



3714/2

FERDYNAND HOSICK

JULIUSZ SŁOWACKI

(1809 — 1849)

3946

CA

BIOGRAFIA PSYCHOLOGICZNA

TOM DRUGI

KRAKÓW I WARSZAWA
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
1897





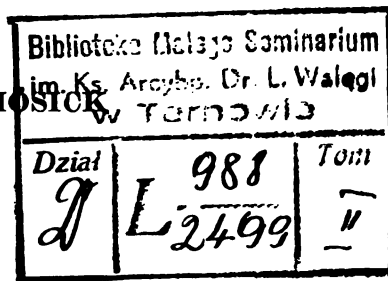






Hoesick, F.

FERDYNAND HOŚICK



JULIUSZ SŁOWACKI

(1809 — 1849)

BIOGRAFIA PSYCHOLOGICZNA

TOM DRUGI

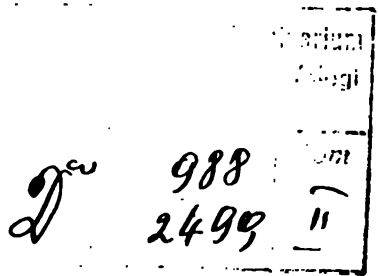


KRAKÓW I WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
1897

JPK

PG7158
S62H624
v.2

371¹²/2



KSIEGA CZWARTA.

W S Z W A J C A R Y I.

1833 — 1836.

ROZDZIAŁ I.

EGLANTYNA PATTEG.

Jezioro Leman. I. Pensjonat pani Patteg. Charakterystyka Eglantyny. Jej uczucie dla Słowackiego. Eliza Morin. Krytyka poezji Słowackiego w *Revue Européenne*. Towarzystwo w Paquis. Polacy w Genewie. Tryb życia. Trzy oazy na pustyni jednostajności. Ostateczna praca nad *Lambrem*. *Godzina myśli*. Pisanie *Kordyana*. II. Psychologia Słowackiego w roku 1833. Spleen. Wspomnienia dzieciństwa. Tęsknota za krajem. Uczucie niepokoju. Potrzeba kochania.

»Wystawcie sobie jezioro, czyste i równe, jak zwierciadło, tak równe, że kiedy po niem przepłynął zdaleka statek parowy, w kwadrans później widziałem fałd czarnej, rozbitej kołem wody. Fałd ten posuwał się zwolna, wspinał się; mijając łódkę mą, zakołysał nią zlekka, a skoro przeszedł i potoczył się dalej, czołno znów stało nieruchome na zwierciadlanej toni«. Jezioro to, jeżeli wiatr nie marszczy jego powierzchni, odbija w swej przezroczystej tafli cały krajobraz, krajobraz, który w dzień pogodny, słoneczny, mieniając się w górze opalowym blaskiem śniegów na szczytach, w dole zaś — lśniącem szafirem Lemanu i szmaragdową zielenią winnic, niema poprostu równego sobie na świecie.

I.

Wśród takiej natury — pisał Słowacki do matki w niepełna rok po swem przybyciu do Genewy — trzeba być smutnym albo trzeba się kochać. On, niestety, może dla-

tego, że się nie kochał w nikim, że go od czasu, jak wyjechał z kraju, opanowała jakaś dziwna niemoc sercowa, jakaś niezdolność do pokochania kogoś, nie mógł się opędzić smutkowi (nawet w chwilach, kiedy pozornie był wesół), choć nie miał właściwie powodu uskarżać się na dołę swoją, bo przyznać musiał, że mu w Genewie było nie tylko lepiej znacznie, aniżeli w Paryżu, ale zupełnie dobrze niemal. Nie mieszkając w mieście samem, ale na przedmieściu, w Paquis, gdzie otoczony wiejską prawdziwie ciszą, wiódł żywot sielski zupełnie, myślał sobie nieraz, patrząc na śliczne góry, na cudowne widoki, na rozległe błękity fali, któremi nieustannie wzrok poił, że kiedyś, kto wie, czy tych dni genewskich żałować nie będzie; albowiem nie uwierzycie (pisał do Teofilów), ile ten obraz ma smutku i myśli: szum jeziora zaledwo słyszeć się daje, cicho, cicho. Tu wszystko cichą przybiera barwę: nawet wspomnienia wielkich ludzi (Voltera, Russa, Byrona i pani de Staël) są wspomnieniami cichego życia.

Dom, w którym mieszkał, wysoki na trzy piętra, szary, z zielonemi okiennicami, położony o kilkadziesiąt kroków od miasta, nad jeziorem — którego jednak dla innych domów z okien nie było widać — ukrywał się cały w ogrodzie, między lipami, świerkami i sosnami. Ogród ten, zawsze zielony, nawet w zimie, stroił się co roku, na wiosnę, w tysiące fiołków i pierwiosnków (które tu żółtego i różowego bywają koloru); kiedy w powietrzu tymczasem, przesyconem zapachem lip kwitnących, fruwały białe motyle, świegotały jaskółki, dzwoniły skowronki, brzęczały muszki i świerszcze. Spacerować wtedy w cieniu lipowej alei, patrzeć na Mont-Blanc śnieżny, widny na horyzoncie, a najczęściej wiankiem białej chmury okryty, i marzyć, pijąc wszystkimi zmysłami »poezję wiosny i szwajcarskiego powietrza«: to była rozkosz, którą upojony, nieraz pisał do swoich, że mogą mu jej pozazdrościć. Dlatego (prosił raz Teofilów) w domu waszym wiejskim, tak, jakeście mi przyrzekli, zbudujcie mały pokój z dwoma oknami na wschód, a w ogrodzie posadźcie szpaler z kasztanów i jodeł na przemiany, aby mi przypominał aleję, po której teraz chodzę. Pokój zaś, żeby mu przypominał ten, w którym mieszka obecnie.

Była to stancyjka niewielka, bardzo ładna, z obiciem w kraty zielono-karmazynowe, o dwóch oknach z małemi szybami — jak zwyczajnie w Szwajcaryi — w których stanawszy, widziałeś dwa olbrzymie świerki stuletnie, sosnę, dąb stary, wiele krzewów, murawę gładką, jak kobierzec zielony, i klomb róż. Przez okna, ponieważ wychodziły na

wschód, zaglądało co rano, zimą i latem, wesołe słońce. Ono też co dnia budziło poetę ze snu. Przy jednym z okien stał stolik do pracy (najczęściej zavalony papierami); przy stoliku — ogromny fotel aksamitny, w którym osoby Słowackiego nie było widać z tyłu, gdy siedział; dalej biurko czeczotkowe, kilka krzeseł, półka na książki, zegar z kulką, piec okrągły i łóżko. To ostatnie, zwyczajem szwajcarskim, ukryte za firankami, tworzącymi nad nim rodzaj *ciel de lit*. »Żrazu firanki były mi obojętne, teraz przyzwyczaiłem się do nich i lubię je. Kiedyś, wróciwszy do kraju starym kawalerem, urządzę sobie podobne«.

Tymczasem, ponieważ nie zanosilo się bynajmniej na powrót, błogosławił Opatrzność, że go zaprowadziła pod dach *pension*'u pani Patteg, osoby dobrej niezmiernie, już niemłodej, która wraz z córką swą, Eglantyną, wszyskiem trudniącą się w domu, starała się dlań czynić to samo, jak mówiła, co chciała, ażeby dla jej oddalonego syna uczyniono. W słowach tych nie było przesady. Pokochała go bowiem istotnie, jak syna, tak dalece, że raz nawet w poczciwości swej wyraziła się, że chciałaby, aby... zachorował, dlatego poprostu, aby mu dać dowody swej troskliwości i przywiązania, które w innych okolicznościach nie zawsze »na scenę wystąpić mogą z równym blaskiem«. Na szczęście, poeta, zdrow i czerstwy, jakim może nie był dotąd nigdy (co miał niewątpliwie do zawdzięczenia łagodnemu klimatowi szwajcarskiemu), o możności zachorowania ani myślał. Pani Patteg swoją drogą czuwała nad jego zdrowiem, jak matka, starając mu się we wszyskiem dogodzić, wypytując ciągle o gusta i chęci, etc. Troskliwość ta z jej strony, zarówno jak i to postępowanie »nader delikatne i niepospolite«, rzadko spotykane u osoby obcej zupełnie, aż go niekiedy wprawiało w kłopot. Zdarzało się nawet, że, starając się go rozerwać czemkolwiek i rozweselić, kiedy był smutny i osamotniony, osiągała skutek wprost przeciwny. Raz na przykład, kiedy Eglantyna wyjechała na czas jakiś do starej i chorej ciotki swej w Lyonie, ona widząc często Słowackiego, że nie ma do kogo słowa przemówić, zaczynała go »nudzić« rozmową o rzeczach, które o ile mogły być zajmującymi dla niej, o tyle w nim żadnego nie budziły interesu. »Ona myśli, że kiedy nic nie gadam, to smutny jestem, i nie wie, ani się domyśla, że przymus gadania jest dla mnie przykrym w terażniejszych czasach. A jednak przymuszam się, bo ona mię kocha«.

Niemniej, aniżeli pani Patteg, chociaż inaczej, bo inną — od macierzyńskiej gorętszą nierównie — miłością, pokochała go córka jej, Eglantyna, panna niemłoda już, trzydziesto-

letnia mniej więcej, mimo to ładna (»piękna i rozumna«, jak się o niej wyraża pani Orpiszewska) i bardzo miła w obejściu, choć pokazywały się w niej czasami wady starej panny. Wykształcona, czytana, trochę literatka (w listach szczególnie, które były równie długie, jak sentymentalne), wielka przyjaciółka Polaków, skromna, praktyczna, gospodarna, uczynna, bezinteresowna, łagodna i, jak większość kobiet ówczesnych, trochę egzaltowana, czyniła wszystko, co mogła, by tylko lokatorowi swemu, do którego się przywiązała wkrótce, jak siostra i »bardziej może, niż siostra«, pobyt w Genewie uprzyjemnić, urozmaicić. Na szczęście, a względnie zadowoleniu jego zależało jej najmniej, aniżeli na własnem, a *Monsieur Loully*, jak nazywała Juliusza, umiał to ocenić. »Nie uwierzysz, mamó, jaki to jest mój Stróż-Anioł ta Eglantyna«, pisał o niej Słowacki do matki, a nazywając ją tak, oddawał jej tylko sprawiedliwość, trudno bowiem, zwłaszcza na obcej ziemi, w dali od swoich, znaleźć istotę, któraby tak czuwała nad kimś, jak ona nad nim. Zdaniem pani Orpiszewskiej, była Eglantyna poprostu jego Opatrznością. Nie było życzenia, któremuby się nie starała zadosyćuczynić, albo któregooby nie uprzedziła. Przyjemność jemu wyrządzona stawała się tem samem i przyjemnością dla niej, tak samo, jak ją zasmucał smutek dostrzeżony na jego czole, i jak się radowała, kiedy jemu radość jaka przypadła w udziale.

Z uczuciem tem nie uważała nawet za stosowne ukrywać się przed nim; przeciwnie, zdradzała się z niem na każdym kroku, przy każdej sposobności. A sposobności takich przy wspólnem pożyciu pod jednym dachem nie brakło. Jeżeli widziała, że się nudził, starała się z nim bywać u swoich znajomych, gdzie go — wtrąćmy nawiasem — ze znaczną przyjmowano attencją, jako sławnego poety polskiego, co znów bardzo przyjemnie łechtało jego miłość własną. Czasami, ażeby mu i pod tym względem zrobić ułatwienie, zapraszała do siebie kilkanaście osób, panien i młodzieży, ażeby miał z kim zabawić się i potańczyć. Jeżeli pogoda albo inne względy nie pozwalały na wyjście z domu do miasta, grywała z nim w karty, w bostona, to bowiem asorbowало go i chwilowo przynajmniej odpędzało cisnące mu się do głowy czarne myśli. Kiedy go jaka zła wiadomość zgryzła, albo list jaki zasmucił, ona jedna umiała mu z twarzy wyczytać zmartwienie; musiał się jej w takich razach wyświadczać ze wszystkiego, a ponieważ przyznawał sam (w listach do matki), że po każdej spowiedzi takiej doznawał uczucia ulgi, nie miał więc dla niej tajemnic. Podobnie i Eglantyna zwierzała mu się ze wszyst-

kiego, mówiąc nieraz, że żadnej ze swych przyjaciółek, tego, co jemu, nigdy nie mówiła. Tak np. powiedziała mu raz, że gdyby umarł, ona-by serce jego w urnie srebrnej piechotą do kraju poniosła. Tymczasem, dopóki się cieszył kwitnącym zdrowiem, ażeby mu okazać zainteresowanie się swoje wszystkim, co miało związek z jego narodem, z jego ojczyzną, uczęszczała pilnie — najchętniej z nim razem — na publiczne kursa historii polskiej, wykładane przez jednego z Genewian, które jednak pod względem dokładności, jak zapewnia Słowacki, dla człowieka obznajmionego z niemi, niemało pozostawiały do życzenia.

Bardziej jeszcze, aniżeli dzieje Polski, »pełne błędów i skaleczonych imion«, które dopiero Juliusz musiał później korygować w domu, interesowały ją losy jego rodziny, szczególniej matki, którą, dzięki rozmowom o niej z synem, choć nie widziała jej nigdy, pokochała jak córka, jak przyjaciółka, do tego stopnia, że jej pani Becu aż śniła się nieraz. Kiedy widziała — niekiedy przez uchylone drzwi — że *Louilly* pisze list do domu, prosiła go zawsze, ażeby nie zapomniał matce swej od niej i od pani Patteg »tysiąc rzeczy powiedzieć«. Z czasem zaczęła i ona pisywać do Krzemieńca. Zrazu dopisywała się tylko do listów swego »brata«, najpochlebniejsze zawsze wydając o nim świadectwo przed matką; później pisywała osobne listy (nawet po wyjeździe Juliusza z Genewy). Słowacki, ceniący w niej przywiązanie to bardzo wysoko, umiał być wdzięcznym: pisząc do matki, prosił ją często, ażeby napisała po francusku i do jego gospodyń także. Zdarzało się też, że niektóre listy z domu tłómaczył Eglantynie, spacerując z nią po ogrodzie i, jeżeli to była jesień, słuchając szmeru spadających liści.

Kiedy nadchodziły urodziny lub imieniny poety, pierwsza, nie zapominając o nich nigdy, śpieszyła z wiązaniem Eglantyna. Dnia 23 sierpnia 1833 roku (a były to pierwsze jego urodziny, jakie obchodził w Genewie) dostał od niej złotą obrączkę z napisem *23 Aout 1833* we środku. Zażenowany podobnym upominkiem, nie chciał go przyjąć na razie; wobec nalegań jednak ze strony Eglantyny, która jedyna w całym domu i w całym mieście pamiętała o jego urodzinach, trudno było odmówić stanowczo; przyjął więc. Bądź co bądź zadziwiło go to niepomierne, że tak pamiętała o tych urodzinach. Mówił o nich raz jeden w zimie, później zaś, zapytywany o nie kilkakrotnie, nigdy nie chciał powiedzieć. Obrączkę tę, wraz z pierścionkiem, niegdyś mu podarowanym przez babkę, nosił Słowacki odtąd na jedynym palcu. Nadmienić wypada, iż dnia tego, zbudziwszy

się rano o 7-ej, spostrzegł poeta nad sobą rękę (była to, jak się okazało, ręka Eglantyny), która, odchyliwszy firanki, rzuciła mu na łóżko bukiet kwiatów, z samych róż! Parę miesięcy temu, kiedy powróciła z Lyonu, przywiozła mu stamtąd na pamiątkę bardzo ładny scyzoryk, oraz prześliczną kieskę na pieniądze, »z największym wytworem« przez damy lyońskie haftowaną. Że przez cały czas, gdy bawiła w Lyonie, pisywała do niego długie listy, »bardzo miłe i sentymentalne«, rozumie się samo przez się.

Wszystko to, razem wzięte, nie mogło czasami poecie nie dawać do myślenia. Jest-że to przyjaźń jedynie, spokojne przywiązanie siostry do brata, czy miłość? Otóż nie ulegało wątpliwości najmniejszej, że o przyjaźni nie mogło tu być mowy, a przeświadczenie to nieraz przyprawiało Słowackiego o wyrzuty i skrupuły. O ile bowiem z jednej strony pewny był, że się Eglantyna w nim zakochała, o tyle z drugiej strony nie starał się nawet wmawiać w siebie, że i on ją kocha. Nie, nie kochał jej, stanowczo! Miała nad nim »panującą władzę siostry«, ale i na tem koniec. Kiedy wyjechała, było mu wprawdzie nudniej trochę, lecz tęsknotą uczucia tego nazwać było niepodobna. Na listy jej, jeżeli odpisywał »w podobnym guście«, to czynił to głównie ze względu na nią, z obawy, ażeby jej listem chłodniejszym, t. j. szerszym, poprostu przykrości nie sprawić; a powtóre, bawiło go takie sentymentalne »skracanie sobie czasu« stylem romansów pani de Staël lub *Nowej Heloizy*. Żeby mu jednak listy Eglantyny »nadmierzające« przynosiły szczęście, tego nie mógł powiedzieć żadną miarą. Ponieważ »urozmaicały« mu nieco jednostajność życia, jakie prowadził w Paquis, oczekiwał więc każdego, »jak małej jakiej nowości«. Ale też i nic więcej. Miał przynajmniej — powiada — w godzinach poczty wyglądać czego. Gniewał się, kiedy listonosz z pustemi rękoma przechodził koło ich domu; myliłby się wszakże, ktoby sądził, że go to choć cokolwiek wytrącało z równowagi. Wiedział zresztą, że list, którego się spodziewał dziś, przyjdzie jutro, a najdalej pojutrze! W gruncie rzeczy były mu listy te dość obojętne.

Gdybyż o tem wiedziała Eglantyna, ona, która w Juliuszu znalazła swój ideał, swoje bożyszcze, i która łudziła się czasami, że jest kochaną! Wygnaniec, skazany na życie tułaczce, bez nadziei powrotu do kraju, poeta, z wielkim talentem podobno, miły w obejściu, wykwinnych arystokratycznych manier, łagodny, pracowity, ładnie — z uczuciem — grający na fortepianie, malujący piękne pejzaże, cichy, smętny, melancholijny, a nadto przystojny, interesujący,

sławny, nie dziw, jeżeli potrafił rozplomienić ku sobie serce dziewczyny, która niemłoda wprawdzie, ale piękna jeszcze, a tem samem nie pozbawiona praw do życia, do szczęścia, chwyciła się tej miłości, jak deski zbawienia, przekonana, iż znajdzie w niej zbawienie i odrodzenie.

W podobnem zupełnie, co Eglantyna, położeniu, znalazła się w tymże czasie przyjaciółka jej, panna Eliza Morin, córka jednego z pierwszych w Genewie doktorów, a urodzona z matki Włoszki, dzięki czemu nietylko, że śpiewała »prześlicznie« metodą włoską, lecz otrzymała jeszcze w darze od natury ogromne, czarne jak lawa, oczy Wenecyanki, a z oczyma — serce gorące i spragnione kochania, jak łabędź wody. Słowacki zapoznał się z nią w domu pani Patteg, gdzie panna Eliza, bywała razem z matką dosyć często, zarówno w dzień dla zwykłej pogawędki, jak i na urządzanych przez Eglantynę panińskich herbatkach tańczących. Otóż wieczorki te, pomimo woli gospodyń, dały początek sielance miłosnej poety z panną Morin. Po jednej z takich herbatek, kiedy się miano rozchodzić, Słowacki, który, jako domowy, pomagał damom przy ubieraniu się w przedpokoju, szczególną zawsze pieczołowitością otaczał pannę Elizę. Dlaczego? Poprostu dlatego, że, jak mówi, podobał mu się jej kapelusz, który, lubo do innych podobny, odróżniał się przecież gustowną, na czoło spadającą koronką czarną. Gdy się w niego ubrała, podobna była, zdaniem Słowackiego, do świeżej róży rozkwitłej na oknie gotyckiem. Ztąd poszło, że Juliusz po jakim czasie zaczął wraz z paniami Patteg bywać w domu pani Morin »i tak się zaczął prędko romans klecić«, romans, w którym, niestety, serce Juliusza, jak zwykle, żadnego nie brało udziału. Swoją drogą lubił bardzo Elizę, z przyjemnością słuchał jej śpiewu, i chętnie ją zawsze witał, kiedy przyszła.

W sercu panny tymczasem, nieposadzającej interesującego lokatora pani Patteg o bierność, zaczęło się uczucie dla niego z dniem każdym rozwijać coraz silniej, aż wreszcie, wezbrawszy nadmiernie, nie potrafiło ukrywać się dłużej, przejawiając się w taki na przykład sposób, że panna zaczęła dawać poecie *rendez-vous* w kościele protestanckim, w którym każdej niedzieli o pewnych oznaczonych godzinach bywała z matką na kazaniu i do którego i on, za jej namową, choć nie czuł pociągu do protestantyzmu, zaczął teraz uczęszczać regularnie. Na szczęście dla Elizy, a raczej na jej nieszczęście, przypadł na ten czas właśnie wyjazd panny Eglantyny do Lyonu. Słowacki pozostał sam; a że »głina, z której go Bóg ulepił, nabrała jakiegoś magnety-

cznego pociągu, który wiązał doń serca panien«, więc i panna Eliza Morin, nie mogąc się oprzeć temu magnetycznemu pociągowi, odwiedzała *pension* pani Patteg o ile się tylko dało jak najczęściej: z początku dwa razy w tygodniu, po pewnym czasie co dwa dni, a w końcu codziennie. »Dlaczego nas odwiedza?« pytał Słowacki w jednym z listów do matki. »Zapewne nie dla widzenia starej pani Patteg«. Poeta tymczasem, widząc w swej wielbicielce »wiele dowcipu i miłości«, a i smutku niemało, ujęty wyrazem dobroci i spokojności, jaki się na jej pięknej twarzy malował, lubił z nią »tracić czas« na długich rozmowach (rozmowach, które były długim szeregiem wynurzeń ze strony Elizy) i spacerując po ogródku, obrywać sentymentalnie stokrotki, pytać je o różne rzeczy i wierzyć im, albo nie wierzyć. Raz, gdy Eliza nie przyszła przez cztery dni, chcąc jej dać do zrozumienia, że mu tęskno bez niej — bo istotnie doznawał chwilami tego uczucia — wstał rano, poszedł do miasta i kupił dwa pęki kwiatów. Powróciwszy do domu, rozwiązał je, ułożył na nawo w jeden bukiet, po swojemu t. j. tak, jakby je ułożyła pani Becu, poczem zerwał w ogrodzie dwie małe stokrotki, i włożywszy je w bukiet, który się teraz bardzo okazałe przedstawiał, posłał go pannie Morin; nie od siebie jednak, ale od pani Patteg. Przypomnienie to było skuteczne: przyszła z matką wieczorem. Kiedy poszli do ogrodu, zostawiając starsze panie same w pokoju, przyznała mu się, że zła była na te stokrotki, (bo znalazła je odrazu, choć były w tysiącu ukryte) nieprzychylny bowiem wydały jej wyrok¹⁾. Rozkoszne dziewczę! »Zawsze (pisał Słowacki do matki) mam po niej mnóstwo słów cichych, łagodnych i smutnych, z których tak widna miłość, że jej nie chcę zapytać, czy mnie kocha?« Dla tej samej przyczyny, kiedy mówiła mu, że była smutna przez cztery dni, nie chciał jej pytać: dlaczego? Zapytana zaś, co robiła wczorajszego wieczora, odpowiedziała: »Tak mi było smutno, że położyłam się o 10-ej i czytałam«. Jaką książkę? Nowy Testament. »Kiedy jestem smu-

¹⁾ Ażeby zrozumieć ten ustęp, znać trzeba piosneczkę, którą dziewczęta szwajcarskie, obrywając listek po listku margerytki, śpiewają na nutę walca; piosenka ta brzmi, jak następuje:

*Il m'aime un peu, beaucoup
A la folie
Par fantaisie!
Il m'aime un peu, beaucoup,
Passionément
Pas du tout!*

tna, mówiła, nic innego czytać nie mogę«. Potem ciągnęła dalej: »Dziś rano obudziwszy się, byłam zdziwiona, że mi wesołe przychodziły myśli, i przeczułam, że dzień ten będzie szczęśliwy dla mnie«. Jakoż w parę godzin później przyniesiono jej kwiaty.

Oprócz Elizy Morin i jej matki, poznał Słowacki u pani Patteg i dwie inne panie Morin (najniezawodniej krewne panny Elizy), żonę i córkę doktora Morin, jednego z bardziej wziętych lekarzy miejscowych. O ile jednak z Elizą i jej matką łączyły go ściśle węzły serdecznej sympatii, o tyle *Mademoiselle Lina*, zarówno jak i pani doktorowa, trochę przesadzona sawantka, nie bardzo mu się podobały. Właściwie miał im do zawdzięczenia jedną tylko przyjemniejszą chwilę, na samym początku swojego w Genewie pobytu, kiedy po jednym z wieczorków tańczących, wyprawianych przez panią Patteg, zagadnęła go pani doktorowa — snać dobrze nieświadoma jeszcze jego nazwiska — czy zna poezye niejakiego pana Juliusza Słowackiego? Młody N. N. bowiem mówił jej dzisiaj, że w jednym z dzienników francuskich czytał o nich temi dniami długi i bardzo pochlebny artykuł. Oświadczwszy pani Morin, nie bez przyjemności, że musi tu być mowa o nim chyba, ponieważ on jest właśnie Juliuszem Słowackim, udał zrazu, że go wiadomość ta niewiele obchodzi; nazajutrz jednak, zaciekawiony niepomiernie (w nocy aż spać nie mógł), pobiegł do miasta, do *Société de lecture*, gdzie znajdowały się wszystkie mniej więcej dzienniki francuskie, przejrzał kilkanaście, aż w końcu, wzięwszy do ręki *Revue Européenne*, zeszyt styczniowy (z roku 1833), znalazł w nim, oprócz wspomnianej recenzji jeszcze tłumaczenie *Araba* i pieśni *Bogarodzica*, tudzież jedną scenę z *Maryi Stuart*, (scenę pomiędzy Duglasem a Maryą).

Z bijącym sercem zabrał się poeta do czytania tego artykułu o sobie, choć, przeczytawszy pod nim nazwisko L. Lemaitra, swojego dobrego znajomego z Paryża, z góry mógł być pewny, że spotka się tu z »całą litanią pochwał« i komplementów. Jakoż nie zawiodł się pod tym względem: recenzja była napisana dlań »bardzo życzliwie«, a tłumaczenie »wcale niezłe«. Pierwsza pochwała dostała się pieśni *Bogarodzica*, o której powiedziano było między innemi, że, kiedy się ukazała, »przypisywano ją kilku znakomitszym poetom polskim, ponieważ nie znano autora«. Mówiąc o znakomitszych poetach polskich, miał niezawodnie Lemaitre na myśli autora *Konrada Wallenroda*, o którym wspomniał o kilka wierszy niżej, mówiąc, że wydane świeżo *Poezye Słowackiego* »mianują go w Polsce współza-

wodnikiem Mickiewicza i są kamieniem węgielnym wielkiej sławy literackiej; autor ich bowiem, liczący sobie zaledwie dwadzieścia dwa lat, »rokuje ogromne nadzieje na przyszłość«. Dalej następował rozbiór *Żmii*, przypominającego zdaniem Lemaitre'a *Dziwicię z jeziora* Waltera Scotta, a którego zasługa cała, w braku intrygi, leży w szczegółach, w następstwie scen malowniczych i pełnych życia. »Słowacki jest wyborny w opisach, lecz nie opisuje on przedmiotów, ale roztacza przed oczyma czytelnika obraz pełen efektów świetlnych, cieni i wypukłości. Może nowy kierunek (powiada Lemaitre), powołany przez Słowackiego do życia, przyoblecze się u niego z czasem w kształt większych utworów, które mu pozwolą, niby nowemu Walterowi Scottowi, ukazać w świetle poezji cały naród, podobny szkockiemu, naród wojowniczy, obdarzony wyobraźnią i uczuciem, którego pieśni smętne żyją w Polsce po dziś dzień, podobnie jak w Hiszpanii stare romanse Bardów«. O dramatach Słowackiego, zawartych w drugim tomie, pisał Lemaitre, że »nie mogą być w kraju swoim z niczem porównane«, albowiem dotychczasowe dzieła dramatyczne polskie, lubo wyszły z pod pióra najznakomitszych pisarzy starej szkoły (klasyków), choć bardzo piękne, nie tworzyły teatru narodowego. Dramaty Słowackiego tymczasem, jakkolwiek nie bez wad, mogą być uważane za szczęśliwą próbę stworzenia teatru narodowego. Pierwsza tragedia Słowackiego, *Mindowe*, jako historia ponura, pełna zbrodni, przyodziana w szaty pogańskie, mogła być »podstawą wielkiej epopei dramatycznej, podobnej do dramatów historycznych Szekspira«. W *Maryi Stuart*, która zdaniem recenzenta jest raczej poematem dramatycznym, niż tragedią, »zachwyca nas rzucona niejako w poprzek dramatu postać Nicka, błazna królewskiego. Szczegóły jego śmierci szlachetnej wywołują żywe i głębokie wzruszenie«. *La scène où Rizzio insulte Douglas en presence de la Reine, rappelle la scène du Cid*.

Obok tej jednakże »litanii pochwał« były i zarzuty, (zamilczane przez poetę w liście do matki). Przedewszystkiem, pisał Lemaitre, daje się w poezjach Słowackiego odczuwać jeden błąd ogólny: brak silniejszej akcji, z czego wynika nieodbicie »brak zainteresowania treścią«, tak, iż życzyć należy autorowi, aby po tem pierwszym wyładowaniu swej siły, nauczony doświadczeniem i radami krytyki, zwrócił w przyszłości uwagę »na zajmującą akcją, która jest najpopularniejszym czynnikiem powodzenia«. Brak mu tylko tej jednej strony artyzmu. Czytając słowa powyższe, nie wyciągnął z nich Słowacki zdaje się logicznego wnio-

sku, z łatwością dającego się wyczytać pomiędzy wierszami, wniosku, który był bardzo dlań niepoehlebnym, pozwalał się bowiem domyślać, że poematy Słowackiego uważał krytyk za nieco nudne, że pozbawione »zajmującej akcji«, cierpiały głównie na »brak zainteresowania treścią«, czyli, że nie interesowały sobą czytelnika, tak życzliwego nawet, jak autor niniejszej recenzji. Słowacki na domyśl ten nie wpadł i upajał się tem, co Lemaitre przytaczał na usprawiedliwienie tego ogólnego braku w jego poezjach, a co było tylko łagodną oliwą na zadaną poprzednio ranę. Jeżeli utwory Słowackiego, pisał krytyk, nie dość potrafią czytelnika zainteresować treścią swoją, wskutek braku zajmującej w nich akcji, to błąd ten był może nieuniknionym. »Słowacki uległ przedewszystkiem gwałtownej potrzebie tworzenia. Pod wpływem bogactwa siły twórczej, pełen niecierpliwości, pragnął rozlać fale poezji, które kołowały się w jego duszy, wskutek czego nie mógł zbyt wielkiego kłaść nacisku na przedmiot i plan utworu. Pierwsze lepsze ramy wystarczają mu; oprawiając w nie swoje skarby, czyni to bez nadmiernego współudziału refleksji. Opieszałość tę jednak okupuje tyloma pięknosciami, że można mu ją śmiało wybaczyć«.

Upojony, odurzony tego rodzaju pochwałami, po odczytaniu ich kilkakrotnem, tak, iż umiał je prawie na pamięć, został się Słowacki jeszcze czas jakiś w czytelnicy, ażeby zobaczyć, czy też i inne osoby na artykuł ten zwracają uwagę. Jakoż nie doznał zawodu pod tym względem. Zdarzyło się bowiem, że takich, co recenzję tę w obecności poety dnia tego czytali, znalazło się kilku. Jakiś jego-ność nawet, dobywszy pugilaresu, zapisał sobie jego nazwisko, nie wiedząc naturalnie, ani przypuszczając, że człowiek noszący to nazwisko, stał przy nim, o kilka kroków. Powiada Słowacki, że go nadzwyczaj ta scena zabawiła. Nazajutrz, bo nie mógł się oprzeć pokusie, żeby raz jeszcze nie przeczytać owego artykułu o sobie, zastał, w chwili, kiedy wchodził do czytelnicy, samego pana doktora Morin, który, zapewne przez żonę tu przysłany, siedział nad rozbiorem jego poezji.

Ale sceny w rodzaju powyższej, albo owej z Elizą Morin w ogródku, były tylko, jakby rzadkimi oazami wśród głuchoj pustyni monotonnego trybu życia, jakie Słowacki zmuszony był, chcąc nie chcąc, prowadzić w Szwajcaryi; z Elizą Morin bowiem, jak i z Eglantyną Patteg, wiązały się dlań jedynie »wspomnienia cichego, jednostajnego życia nad jeziorem«; a to nie mogło mu z natury rzeczy wystarczać. Kochany przez nie, podobnie, jak Szczęsny

Kossakowski w *Horsztyńskim* przez Amelię i Marynę, odpłacał im za miłość ich nie miłością wprawdzie, bo tej anioł nie nawiedzał go jakoś, ale przyjaźnią i sympatją braterską, z czego w każdym razie taką wynosił korzyść, że mu to choć w części wypełniało ową wiecznie prześladowającą go pustkę. Prócz nich nie miał w całej Genewie nikogo, z kimby mógł być wylanym i szczerym, z kimby w zażyłszych pozostawał stosunkach.

Towarzystwo, zapelniające w ciągu lata *pension* pani Patteg, składało się zawsze z różnojęzycznego tłumu cudzoziemców, przeważnie Anglików, szukających tu nad błękitnymi wodami Lemanu świeżego powietrza i rozrywek: cała galerya postaci nieciekawych, prozaicznych, banalnych, z którymi nie miał nic wspólnego; *des Lebens flach alltägliche Gestalten*, jakby je nazwał Schiller. Pani Uwaroff, żywa i krzycząca, zwracająca na siebie powszechną uwagę Genewian jaskrawością swych sukien; — jej córka, posiadająca sztambuchy, w których włoscy artyści, stosując się smac do gustu właścicielki, wszystko jaskrawemi kolorami malowali, i śpiewająca różne pieśni (i polskie między innemi), a robiąca zawsze trzy omyłki w każdej aryi, nigdy mniej ani więcej; — jej cała rodzina, złożona z braci i siostr, których jedyną charakterystyką było, że nie sprawowali się cicho, i mówili różnymi językami; — nabożny i dziecinny Anglo-Skot, który, ledwo przyjechał, zaraz kupił sobie siatkę na motyle i cały ranek uwijał się z nią po ogrodzie; — Anglik-oryginał, łysy, z ogromnym nosem, wiecznie w spodniach nankinowych i w tabaczkowym fraku, trochę głuchy i głupkowaty, całą sławę swoją fundujący na dobrem graniu w wista i łający, jeżeli który z graczy słowo przemówił, jak gdyby o wielkie sumy chodziło, choć nie grano nigdy wyżej, jak po 5 sous za punkt; — Mr. Hamilton, ładny chłopiec, zawsze pięknie ubrany i pełen pretensyi; *la comtesse* Seidwitz, stara uróżowana arystokratka, co dnia w innej sukni, zawsze wygorsowana — choć liczyła sobie 65 lat wieku — z ogromnym krzyżem dworu wiedeńskiego, zawieszonym na ogromnej kokardzie, przy boku, lubiąca kalemby i chodząca zawsze w towarzystwie papugi, służącej Niemki i lokaja Niemca, noszącego za nią dwie poduszki, które kładł, »gdziekolwiek baba usiąść zamierzała«; — pan Wolff, pastor anglikański, wysłany z Anglii, aby ludzi na metodystów nawracał, okrągłutki i pulchniutki, »z jezuicką miną« spożywający pokarmy i uśmiechający się wciąż »uśmiechem jezuickim« do swojej chudej żony; — pani Potopoff, wdowa, ładna jeszcze i nie wątpiąca o swoich wdziękach kobieta (choć miała w Rosyi córkę dorosłą),

zawsze w zielonej sukni i w kokoszniku; — jej kuzynka, panna Aneta, dobre i proste dziewczę; — pan Szaszin, kuzyn pani Potopoff, nie mówiący po francusku, tylko po rosyjsku; — pan Speaze, »doskonale nudny« Anglik, wysoki jak dzida, oponent z zasady, po całych dniach grający na gitarze pierwszą lekcję ze szkółki; — cały legion Anglików, z których wielu nie czytało Byrona, a często o nim nie wiedziało wcale; — Angielki — z wyjątkiem jednej — wcale nie sentymentalne, choć smukłe i szczupłe: — oto sylwetki ludzi, którzy jak cienie w czarnoksiężskiej latarni, przewijały się latem przez *pension* pani Patteg i z którymi, chcąc nie chcąc, zmuszony był, jak powiada, »grać tragicomedję życia«. Czy mógł, spędzając czas w ich towarzystwie, wielkiej doznawać przyjemności? Oczywiście, że nie. Chyba, żeby się dostroił do ogólnego kamertonu tych »zjadaczów chleba«. A do tego najmniejszej nie zdradzał nigdy ochoty. Całe szczęście, że ta hałaśliwa »wieża babilońska« nie trwała długo, i że z nadejściem jesieni cicha posesya w Paquis opróżniała się znów aż do następnej wiosny.

Pomiędzy Polakami, chociaż ich liczba dość spora bawiła podówczas w Genewie (emigrantów lub studentów uniwersytetu, uczęszczających na wykłady Michelet'a, Simondi'ego i Rossi'ego), nie znalazł żadnego, z którymby był na tak przyjacielskiej stopie, jak np. z owym biednym suchotnikiem paryskim, Zienkowiczem, o którego śmierci doniesiono mu niedawno z Paryża, a który podobno w ostatnich czasach częściej miał na ustach jego, Słowackiego, imię, aniżeli rodziny swojej. Jedyni, z którymi przestawał bliżej i komunikował się częściej, Juliusz Gruźewski, mający tu do spółki z Czechem Czapkiem fabrykę zegarków, Regner, niegdyś guwerner przy młodym Ogińskim, bracia Miaczyńscy, Aleksander i Włodzimierz, niejaki Darowski, i Edward Mokrzecki, dawny znajomy-rówieśnik z czasów jeszcze wileńskich, ludzie poczciwi i zacni, ale za prozaiczni, jak dla Słowackiego, nie zawsze go rozumieli, tak samo, jak i on nie zawsze ich zrozumieć był zdolny. To też wogóle trzymał się trochę na uboczu i choć, jak sam to przyznawał, nadewszystko brakło mu przyjaźni, to przecież w zawieraniu jej był trudny i ostrożny, zawiódłszy się bowiem raz na człowieku tak zdawało się pewnym, jak Michał Skibicki (który po jego wyjeździe z Paryża splamił się jakąś brzydką malwersacją pieniężną i uciekł do Wiednia), niezupełnie dowierzał ziomkom swoim na obczyźnie zamieszkałym, ponieważ zdarzało się często, że nie zawsze wskutek biedy potrafili utrzymać się na prostej ścieżce. »Dobrzy byliby z nich ludzie w szczęściu, ale je nędza

przemieni w ludzi złych i szkodliwych«. W braku przyjaciela, położył całą ufność w Eglantynie; z rodakami zaś, jakkolwiek przyjemnie mu było rozmawiać po polsku, przedstawiał nie więcej, aniżeli tego wymagały stosunki towarzyskie. Do domów polskich, jak np. hrabstwa Bernardowstwa Potockich, także nie chciał pójść pierwszy, a to z różnych powodów.

W podobnych żyć przymuszony warunkach, nie dziw, jeżeli skarżył się czasem na jednostajność życia i jeżeli mu się zdawało niekiedy, że wegetuje tylko, nie żyje. Miewał wprawdzie i takie chwile, że ta otaczająca go cisza wiejska działała nań, jak balsam, tak, iż roił sobie, że oto osiadł już na wsi, aby odpocząć po trudach życia; spokój ten nie zawsze mu wystarczał. »To niepodobna (myślał sobie), aby moje życie, tak młode, miało już być bez przyszłości«. Na zmianę tymczasem nie zanosilo się bynajmniej: dni, tygodnie i miesiące całe płynęły jedno po drugim podobne do siebie, jak koszarowe okna, nie urozmaicone żadnym interesującym wypadkiem, żadną sceną niezwykłą. »Żadnych nie mam nowin (pisał): nudno wszędzie i głucho«. Listy do matki były więc z konieczności »próżne« najczęściej i — jak mu się zdawało — wszelkiego pozbawione interesu. »Odbierając takie próżne listy, może pomyślisz, mamo moja, że ci szczegółów życia nie piszę; wierz mi, moja droga, że od dwóch miesięcy nie było dnia, któryby się od innych różnił czemkolwiek«.

Rano wstawszy (a sypiał długo, mając dużo wolnego czasu, i najczęściej aż do 10-ej zalegał łóżko) schodził na śniadanie. W lecie tylko, w wielkie upały, ażeby się ochłodzić na cały dzień, wstawał o 6-ej i biegł do kąpieli w jeziorze, pod drzewami pięknego ogrodu. Po śniadaniu, o 11-ej, szedł do miasta, do biblioteki publicznej, gdzie były wszystkie dzienniki (francuskie przynajmniej) i pisma peryodyczne. Z gazet, których codziennie mnóstwo, jak powiada, czytał, wiedział doskonale, co się dzieje w Europie, w świecie literackim i politycznym. Z biblioteki, gdzie czytywał także różne dzieła — najwięcej z zakresu filozofii i poezji — wychodził na miasto, załatwiał sprawunki i, jeżeli miał chęć po temu, odwiedzał znajomych; najczęściej jednak wracał do domu, gdzie, o ile nie zasiadał do pracy, albo grał na fortepianie, fantazyując sobie na tematy różnych aryi z oper (największą przecież przyjemność sprawiał mu polonez Sokołowskiego), albo wychodził z książką na spacer, do ogrodu lub nad jezioro. Jeżeli poszedł nad jezioro, spotykał często starego Maurycego, niegdyś przewoźnika Byrona, o którym lubił, żeby mu stary opowiadał

różne, bardzo charakterystyczne niekiedy, anegdoty: o tem naprzykład, jak raz z autorem Manfreda trzymał zakład o luidora, który z nich prędzej przepłynie jezioro, i jak któregoś dnia, przegrawszy zakład — bo nie mógł się tak, jak Byron, pokrzepiać koniakiem, który poecie wlewano łyżeczką do ust — zmusił lorda do przyjęcia od niego luidora. W gawędach tych znajdował Słowacki wielką przyjemność. Lubił też, wynajawszy czółno, pływać niem po jeziorze, wypłynąć daleko, daleko od brzegu i, złożwszy wiosła, marzyć dopiero, zapatrzony w niebo i w prześliczne góry dookoła. Podobnie lubił marzyć Shelley wśród szafirowych bezmiarów morza Śródziemnego. Ale przejażdżki takie (Byron gustował w nich również, kiedy mieszkał nad Lemanem) możebne były jedynie w dnie pogodne, letnie, bez wiatru; w upał lub deszcz innych należało szukać rozrywek. O 4-ej obiad. Na odgłos donośnego dzwonka schodziło się towarzystwo całe do salonu — albowiem zawsze prawie mieszkał ktoś jeszcze u pani Patteg prócz Słowackiego — do salonu, skąd się następnie udawano do sali jadalnej, o której wypada powiedzieć dla dokładności obrazu, że była ozdobiona w rogach dwoma posągami gipsowemi: jeden wyobrażał Apollina belwederskiego, drugi — jakąś Wenus. Po obiedzie, jeżeli były jakie *misses*, grywał z niemi w wolanta lub w *cerceaux*, a podczas gry takiej dochodziło nieraz do walki, z powodu, iż on w zabawach tego rodzaju do niebywałej z czasem doszedł zręczności i wprawy, panny zaś nie chciały mu w żaden sposób przyznać nad sobą wyższości; kończyło się na tem, że zrywano różne i obrzucano się niemi wzajemnie. Pyszne lekarstwo na spleen! O 9-ej pijano herbatę, po której »wszelka wolność wyjścia prędkiego lub bawienia się z damami w salonie« przy kominku, pozostawiona była każdemu. Kto chciał, odchodził, kto chciał, zostawał. Słowacki nie był nigdy przeciwny spędzaniu wieczorów w towarzystwie. Owszem, rozrywało go to, zwłaszcza, że na t. zw. *soirées dansantes*, co pewien czas urządzanych przez panią Patteg, grywał pierwsze skrzypce, zarówno w tańcu, w którym celował, w mazurze szczególnie, jak i w konwersacyi, którą, jeżeli był dobrze usposobiony, wprawiał Szwajcarki poprostu w zachwyt. Panny nie mogły go się dosyć nachwalić, a młodzież mu zazdrościła. Z początku bawiły go te salonowe sukcesy; później zubożniał na nie, jak i na wszystko, tak, iż wolał czasami grać do tańca, aniżeli samemu hasać. Teatr, »szkaradny« w ogóle, i grywane w nim przez lichych aktorów sztuki, przeważnie operetki i wodewile, żadnego dla niego nie przedstawiały uroku.

Żeby to jeszcze był teatr polski! Nierównie większą znajdował przyjemność w czytaniu Anglikom na głos Szekspira lub w urządzaniu wraz z Eglantyną, teatrów amatorskich, w których, jeżeli sam nie brał udziału (choć wybornym był aktorem), to brał na siebie mniej utrudzającą pamięć rolę suflera. Najczęściej jednak schodziły mu wieczory na graniu w szachy lub w bostona. Nawiasem mówiąc, nie miał szczęścia do kart: zawsze przegrywał.

Życie takie, płynąc wciąż równym korytem, »bez żadnej zmiany, ani nawet nadziei zmiany«, sprowadziło za sobą, w zimie zwłaszcza, kiedy dom pani Patteg, opustoszały, cichy, pustynią się zdawał, pewnego rodzaju odrętwiałość psychiczną, z której oczywiście, niby strumień ze źródła, wypływał spleen, oraz pragnienie czegoś nowego, jakiegoś ruchu, jakichś wzruszeń niezwykłych, czegoś jednym słowem, coby mogło się stać pokarmem dla wyobraźni.

Od czasu, jak zamieszkał w Genewie, zdarzyło mu się trzy razy wszystkiego odmiennych nieco doznać wrażeń, a choć były to wrażenia tak nikłe, że w innych okolicznościach nie wyrłyby mu się w pamięci, to przecież dziś, kiedy i takich mógł wyliczyć kilka zaledwie, wspominał je bardzo mile.

Raz, kiedy rodzina pani Uwaroff mieszkała jeszcze w Paquis, wybrał się z nimi na spacer, w góry, otaczające jedną stronę Genewy. Damy jechały w dwóch wynajętych powozach, on zaś towarzyszył im konno obok. Przybywszy tak, aż do stóp Salève, wsiedli wszyscy na osły. Jemu dostał się biegun największy i najmocniejszy, prowadził więc cały orszak, »orszak wesoły, śmiejący się, błyszczący różnemi kolorami sukien damskich, co na tle turni skalistych i wijącej się nad przepaścią drogi wyglądało zdaleka nadzwyczaj malowniczo. Na górze, przed oberżą, na długim stole z desek, w cieniu grusz i jabłoni, spożyto wiejskie śniadanie, napawając się jednocześnie widokiem na ogromną dolinę, na kręty Rodan, błyszczący w słońcu, niby wąż srebrny, na szafirową — a matową z góry — tafłę jeziora, na Genewę, łąki, wsie i miasteczka: widok nieporównany przez to, że ujęty w liściaste konary drzew, niby w ciemno-zielone ramy. Był to dlań piękny dzień!

Drugi raz — a uczynił to ze względu na pewną Angielkę — wybrał się w licznej towarzystwie Anglików do Cologny, ażeby obejrzeć dom, w którym mieszkał Byron przed kilkunastu laty. Z wycieczki tej najprzyjemniejszy był powrót, powrót przy świetle księżyca, łodziami, wśród uśpionej natury alpejskiej. Jezioro, skapane w mgli-

stych, seledynowych półtonach, jakby senne, robiło wrażenie jakiejs legendowej, zaczarowanej krainy wrózek; księżyc przeglądał się w wodzie, w głębi widniała Genewa, migająca różańcem oświetlonych okien i latarni; słowem, przejażdżka, jak wymarzona. »Taki spacer byłby zachwycający z miłemi osobami«, przy boku kobiety kochanej i kochającej. Jego serce, niestety, było puste.

Trzecim razem, jako w uroczystość imienin jego »kuzynki«, przypadającej, jak wiadomo, na dzień 29 listopada, wybrał się w gronie kilkunastu znajomych na wieś, pod góry genewskie, na obiad. Kiedy jechali, ciężkie, ołowiane chmury zaległy horyzont. Sam tylko Mont-Blanc biały świecił się od słońca, jak śnieżny posąg. Nim dojechano do miejsca, lunął deszcz. Gdy ustał, »najsłodsza« tęcza zatoczyła nad wodami jeziora swój różnobarwny krag. Tęcza ta była później, przy szampanie, treścią ody, zaimprovizowanej przez Juliusza na usilne prośby towarzyszków, którzy, rozentuzjasmowani nią, kiedy skończył, klaskali w ręce, całowali go, ściskali. Potem, po szeregu toastów, wychylonych na cześć poety, pito zdrowie solenizantki, potem zdrowie pani Becu, aż wreszcie po serdecznem staropolskiem »kochajmy się!«, zaintonowano poważnie: »Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny!« Była to po prostu chwila rozczulająca.

Zresztą przykryło się pocie nad Lemanem i bardzo być może, iż z samych nudów popadłby w melancholię, gdyby nie »kraina marzeń i rojeń«, która go silniej, niż kiedykolwiek, oddzielała od świata. Jej zawdzięczając, skoro nadeszła jesień, nie mógł się zbyt uskarżać na nudę: z początku zajęty był ostatecznem wykończaniem rozpoczętych jeszcze w Paryżu *Lambra* i *Dumy o Il'actawie Rzewuskim*. W tymże czasie napisał poemat o swoim dzieciństwie, *Godzinę myśli*. Pracując nad niemi, więcej przebywał myślą w Krzemieńcu i Wilnie, z Ludwikiem Spitznaglem i Ludwiką Śniadecką, aniżeli w Szwajcaryi z Eglantyną, Elizą i innemi »panienkami«, których słowa mu, jak powiada, wchodziły przez jedno ucho, a wylatywały przez drugie. Po napisaniu tych poematów, wysłał je do Paryża, do drukarni panien Pinard, co, jak wyobrażał sobie, będzie przypomnieniem o nim Corze. »Pisano mi z Paryża, czytamy w jednym z listów do matki, że mię Cora zawsze wspomina. Druk mego *Lambra* przypomni jej, jak niegdyś, drukując poezye, chodziłem do nich co ranka i gadałem z nią przez długie godziny: będzie jej trochę smutno, kiedy to wspomnienie pierwszej cichej miłości stanie przed oczyma«.

W maju (1833 roku) wyszedł wreszcie *Lambro*, stanowiąc wraz z *Dumą o Wacławie Rzewuskim* i *Godziną myśli* tom III »Poezyi Juliusza Słowackiego«. Wrażenie, jakie ten tomik uczynił wśród Polaków genewskich, wypadło dla autora — jak mu się wydawało — więcej niż pochlebnie. To samo dało się powiedzieć i o Lwowie, gdzie *Rozmaitości lwowskie*, niezawodnie z inicjatywy Augusta Bielowskiego, najprzód, w Nr. 30 z d. 27 lipca (1833) doniosły o ukazaniu się tego tomu w handlu księgarskim, przyczem wspomniały, że między drobnymi poezjami, wydrukowanymi w tym tomie, »celuje pięknnością prawdziwie wzorowego wystowienia *Duma o Wacławie Rzewuskim*«; a następnie, w jednym z najbliższych numerów, podały »Wyjątek z poematu J. Słowackiego, p. t. *Lambro*«, poprzedziwszy go kilkoma życzliwymi słowami objaśnienia. Co ważniejsza, to, że i księgarze, a w ich liczbie i sławny Korn z Wrocławia, zażądali znaczniejszej liczby egzemplarzy *Lambra* w komis. W Paryżu rozprzedaż tego III-go tomu także szła rażno. Dość powiedzieć, że pierwszego dnia po wyjściu książki — jak mu donosił Januszkiewicz — rozkupiono tyle egzemplarzy, że wróciła się połowa kosztów wydawnictwa: była nadzieja, że wkrótce wyprzedzą pokryje cały nakład. Każdy list Januszkiewicza przynosił pomyślne pod tym względem nowiny, których wierzytelność była zawsze poparta tak przekonującym dowodem, jak pieniądze za rozprzedane egzemplarze. Tym sposobem nie upłynęło sześć miesięcy, a poecie wróciło się z *Lambra* 1767 franków. Takim powodzeniem nie mogły się poszczycić nawet *Dziady* Mickiewicza, pomimo, że o nich pisało więcej i lepiej, aniżeli o III-m tomie Słowackiego. Właściwie nie pisano o nim wcale. Jedyny, który o tym poemacie, a raczej o przedmowie do niego, zabrał głos, był sprawozdawca literacki *Pielgrzymia polskiego* (wydawanego przez Januszkiewicza, któremu Słowacki dał w komis swoje dzieła). Kto był tym sprawozdawcą? W przekonaniu Słowackiego był nim Mickiewicz, który (zdaniem Juliusza) dotknięty »krótką a gryzącą« przedmową do *Lambra*, zemścił się w *Pielgrzymie polskim*, »ale dość niezgrabnie«: mianowicie »obciął« wyjątek z tej przedmowy, »ale tak obciął, że mu nadał całkiem inne znaczenie«. W postępku tym (wciąż zdaniem Słowackiego), było dużo »złej wiary«, co zresztą Słowackiemu wszyscy przyznawali, którym ten artykuł *Pielgrzymia* przeczytał. Czy artykuł ten, a raczej drobną wzmiankę dziennikarską, pisał istotnie Mickiewicz, jak o tem był przekonany Słowacki? Trudno odpowiedzieć stanowczo. Ale są poszlaki, że rzeczywiście on był auto-

rem tej wzmianki. Wprawdzie Januszkiewicz (po 43 latach) utrzymywał, że autorem tej wzmianki był Bohdan Jański, ale to nie jest żaden dowód, bo Januszkiewiczowi, jeśli chodzi o Słowackiego, nigdy wierzyć nie trzeba. Pan Władysław Mickiewicz, w swojej książce o Ojcu, utrzymuje, że Mickiewicz nigdy do *Pielgrzyma* nie pisał o rzeczach literackich, co jest nieprawdą, bo pisywał. Kto wie, czy podejrzenie Słowackiego nie było oparte na podstawie jakiej dobrej informacji. Skoro wiedział napewno, że Mickiewicz »o dziełach literackich w pisemku pisał«, to musiał to pisać na pewnej podstawie. Cokolwiekby, czuł się tą krytyką swej przedmowy do *Lambra* dotknięty boleśnie, ktokolwiek ją napisał: Mickiewicz czy Jański.

W takim usposobieniu, kiedy nadeszła jesień 1833 roku, zabrał się poeta do pracy nad *Kordyanem*, mającym stanąć według wyraźnego zamiaru autora, jako przeciwstawienie, obok trzeciej części *Dziadów* i mającym nadto, świetnością swą, zrehabilitować panią Becu, jako wdowę po doktorze Becu, tak znieślawionym w tym poemacie Adama. »Nic mi nie pozostaje, pisał o tem Słowacki do matki, myśląc o *Kordyanie*, jak okryć ciebie, matko moja, promieniami takiej sławy, aby cię *inne pociski ludzi* dojść nie mogły«. To był uboczny cel, z jakim Słowacki wziął się do pisania *Kordyana*. Utwór ten, skomponowany na wielkie rozmiary »trylogii dramatycznej«, a pisany *con amore* dzięki myśli współzawodnictwa z twórcą *Konrada Wallenroda*, do tego stopnia zaprzętał sobą imaginację i całą istotność Juliusza, że aż go tem samego rozśmieszał. Istotnie, roztargnienie poety w tych czasach dochodziło kulminacyjnego punktu. Któregoś dnia np., płacąc szewcowi za buty, zapłacił nie tyle, ile mu się należało, i wyszedł ze sklepu. Dopiero w kilka minut potem przypomniał sobie nagle, ile zapłacił, i naprawił popełnioną omyłkę.

Niestety, po takich dniach weny pisarskiej, kiedy to mu płynęło z pod pióra po sto i więcej wierszy dziennie, następowała reakcja znużenia i wyczerpania umysłowego, dni, w których był »jak Turek po wytrzeźwieniu się z opiumu, zupełnie zimny i prozaiczny«. Wtedy czytywał. Mając prawo, jako członek genewskiego Towarzystwa literackiego, brać książki do domu, za co płacił 50 franków rocznie, otaczał się, jak Faust, mnóstwem »dzieł filozoficznych«, jak np. dziełami Platona (w tłumaczeniu francuskim) i historycznych, szczególniejszych dotyczących rzeczy polskich, jak np. Rulhière'a *Histoire de l'anarchie en Pologne*, zapiski Dumouriera itd. i siedząc w swoim fotelu staroświeckim, zaczytany, paląc fajkę, przy trzaskających

na kominku drewnkach, przepędzał tak całe ranki i popołudnia, a niekiedy i wieczory, o ile na to pozwalała Eglantyna. W ostatnich czasach otrzymał wreszcie z domu z takim upragnieniem od kilku już miesięcy oczekiwane dzieła Kochanowskich, Jana i Piotra; tego ostatniego w pierwotnym wydaniu, gotyckimi literami. Nie mógł się niemi dosyć nacieszyć. Zwłaszcza *Treny* podobały mu się niezmiernie.

Niesposób jednak trawić dni całych na czytaniu. I po tem następowała reakcja. Cóż wtedy? Wtedy przychodziła kolej na zniechęcenie, na spleen. Przez czas trwania takich »tygodniowych spleenów« nic go nie bawiło, nie cieszyło, a wszystko — nawet i Eglantyna czasami ze swoim przywiązaniem — drażniło, niecierpliwiło. Smutny i posępny, z »ponurą walką myśli na czole«, opryskliwy dla najbliższego otoczenia, rozkapryszony, sam nie wiedzący czego chciał, miejsca sobie nigdzie znaleźć nie mógł i, patrząc na świat przez zakopcone szkła swojego ponurego — chwilowo — usposobienia, widział go, naturalnie! szarym i bezbarwnym. O Genewie wyrażał się, że nudna; o arystokracji genewskiej, złożonej z kupców, żegarmistrzów i metodystów (uważających np. teatr, za zgubną i zakazaną zabawę), że śmieszna; o Anglikach, mieszkających u pani Patteg, że nieznośni; o »rezonowaniach« pana Wolffa, że głupie itd.

Promiennemi, poetycznemi, i »pełnemi kolorów«, wydawały mu się jedynie wspomnienia Krzemieńca i Wilna. Wspomnienia te podczas takich »dni samotnych« rozpacznych, często nawet w chwili, kiedy »grając rolę wesołego chłopca«, prowadził tańce (bo trudno było nie brać udziału w zabawie), tłumem cisnęły mu się do głowy i napełniały »puste serce«, przywołując na pamięć różne obrazy dzieciństwa, tych lat, prawdziwie sielskich, anielskich, w porównaniu z którymi teraźniejszość, wiek męski, była wiekiem klęski, zawodów i rozczarowań. »Prawdziwie, że złe ulepione serce człowieka: przeszłość nie powinna się nam piękniejszą, niż była, wydawać«. A jednak wydawała mu się piękniejszą i, co gorsza, wszystko ją przypominało. Wismukłe sosny ogrodu zmuszały do myślenia o innych dniach »przepędzonych między sosnami«. Słowiki, ukryte w gąszczu i zawodzące swe płaczliwe trele, przypominały pogodne noce litewskie. Aleja lipowa przypominała inny szpaler. Róże pachniały tak samo, jak te, które niegdyś zrywał dla Ludki. Nawet ten śmieszny Angloszkot, który z siatką na motyle uwijał się ranki całe po ogrodzie, przypominał mu boleśnie jego dzieciństwo, Mickuny, Wilejkę,

lasy sosnowe i »jeszcze coś«. Kiedy grał w bostona, zdawało mu się nieraz, że widzi ojca swego, Rustema i Bogatkę, siedzących przy zielonym stoliku.

Za to, patrząc codziennie na biały wierzchołek Mont-Blanc'u, myślał o teraźniejszości i Malczewskim, z którym miał, jak sądził, dużo podobieństwa: tylko, że jego »dotychczas burza jeszcze nie złamała«, ani duma nie zabiła; choć zaczął już w sobie dostrzegać różne wady, jakich nabywa serce tułacza: już się np. ani do miejsc, ani do osób, z którymi żył, nie przywiązywał tak silnie, jak w dzieciństwie. Widocznie, że się przerabiał powoli na »obywatela świata« i to mu niemało smutku napędzało do serca. Wielką prawdę wypowiedział Dante, mówiąc:

O, szczęśny, szczęśny, co się rodzi,
I nigdy w życiu za obręb graniczny
Swoich zegarów miejskich nie wychodzi.

Słowa te wielkiego florentczyka stały Słowackiemu zawsze na myśli (bo miał je wyryte w pamięci ognistemi zgłoskami owego napisu nad bramą piekielną u Dantego), ile razy się przysłuchiwał bijącym zegarom genewskim; uważał, że w głosie ich było coś dziwnego. Niektóre dzwonią zwolna i ponuro; inne wybijają coś naksztalt uciętego kuranta, ulubioną zapewne piosnkę jakiegoś zegarmistrza, który przed stu laty ją śpiewał i potem śpiew swój wszczepił w starą wieżę kościelną. Więc dziś zegarmistrz w grobie spoczywa, a wieża powtarza co godzina jego ulubioną melodyę. Ludzie, którzy się tutaj urodzili, muszą być smutni, ile razy oddalą się tak daleko, że już tej pieśni nie słyszą. Szczęśliwy, kto nigdy z oczu komina ojcowskiego nie straci, kto jak liść uwiedły padnie u stóp drzewa na którym wyrósł. Jemu los szczęścia tego odmówił i skazał na tułactwo, na wieczną tęsknotę za krajem, za rodziną, i na ciągłą — straszniejszą jeszcze od tej tęsknoty — niepewność: ażali wróci kiedykolwiek do swoich umrzeć pomiędzy nimi, czy też sądzone mu na obczyźnie życie zakończyć? Pytanie to było dla niego prawdziwem *to be or not to be*. Kiedy z nastaniem wiosny, widział jaskółki ciągnące na północ, miał w oczach łzy. Kiedy go Eglantyna poprosiła, ażeby jej wymalował jaki pejzaż na pamiątkę, namalował widok Krzemieńca, z ławki pod topolą w botanicznym ogrodzie. Wszystko, co pochodziło z kraju, było mu drogie podwójnie, dlatego tylko, że z kraju. Kiedy się przyszło rozstawać ze starymi koszulami, kupionemi w Wilnie, smuciło go to rozłączenie tak, jakby się żegnał ze starymi przyjaciółmi. Do nowych koszul, które sobie spra-

wiał obecnie za pośrednictwem pani Patteg, już się tak nie przywiąże! »Wszystko, co otacza człowieka, odmienia się, jak liście na drzewie — pisał pod tem wrażeniem — wkrótce oprócz kilku książek nic nie będę miał z kraju, nic dawnego przy mnie nie zostanie«. Pod wpływem tego uczucia tęsknoty, chcąc sobie sztucznie wytworzyć atmosferę, któraby mu przypominała dom, nauczył swoje gospodynie robić chłodnik, ale nie bardzo w nim smakowały. Na Wielkanoc uczył je pieczenia bab.

Z tem uczuciem, które Niemcy tak poetycznie *Heimweh* nazywają, szło nierozłącznie w parze pokrewne mu smutkiem inne, niemniej bolesne: tęsknota za matką. »Matko moja — pisał raz do niej w chwili zwątpienia — ty nie wiesz, ile przez to oddalenie zebrało się w sercu mojem łez i miłości dla ciebie«. Nieraz, czytając list od niej, doznawał złudzenia, że chodzą razem po ogrodzie krzemienieckim, że słyszy imię swoje, jej wymawiane głosem. Kiedy mu raz obiecała przysłać jaką pamiątkę, prosił o miniaturę jej (z portretu, który odmalował Kłembowski); patrząc na nią w »smutnych godzinach«, będzie sobie przypominał szczęśliwe lata dzieciństwa. Tymczasem nie chciał się pozbywać nawet niektórych nałogów, które odziedziczył po matce, a z których nieraz śmiano się w Paquis. Tak np. powziął zwyczaj, jeszcze dzieckiem będąc, długiego chodzenia w kółko po pokoju. Zrazu, widząc go krążącego, »jak gwiazdę«, około marmurowego stołu, myślano, że używa agitacyi dla zdrowia, albo że wiersze składa. Nikomu bowiem przez myśl nie przeszło, że jest to tylko nałóg familijny, uprawiany jedynie dla dogodzenia niespokojności nerwów. Najczęściej, podczas takiej przechadzki, nie myślał o niczem: najwyżej o tem, że gdyby mu kiedy wypadło mieszkać z matką, salonik przyszłego ich domku musiałby być dosyć obszernym, ażeby mogli dwoje krążyć i wymijać się łatwo. Tymczasem śniła mu się matka bardzo często, a jeśli się zdarzało niekiedy, że przez czas dłuższy nie widywał jej we śnie, zaczynał myśleć o niej, zasypiając, który to sztuczny środek przywoływania upragnionego snu nie zawsze zawodził.

Za najbliższymi krewnymi, jak dziadek i babka, albo Teofilowie Januszewscy, tęsknił również. Każde przypisanie się dziadka w liście do matki, przyprawiało go o rozczulenie. Cóż dopiero, jeżeli się dziadunio przypomniał wnukowi swemu wierszem. Niemniejszą radość sprawiały mu »brzuchowate litery« Hersylki. Czasem, w dzień dżdżysty, wyjmował z szuflady dawne listy, od matki, od Teofilów, od przyjaciół paryskich, a każdy świstek papieru budził

w nim całe szeregi wspomnień. Między wieloma »łzy wyciskającymi relikwiami«, chował małą książeczkę Ludwika Spitznagla, pełną rysunków i wierszy.

Teraźniejszość taka, której jedyną osłodą były wspomnienia z lat ubiegłych dawno, musiała z konieczności wyjaławiać serce i budzić obawy o przyszłość. Całe szczęście, że ją Słowacki uważał tylko »za czas czyścowej próby«, do której końca, jak mniemał, każda zbliżała go chwila.

Nadzieja ta jednakże nie była zdolną pomimo wszystkiego rozpedzić dręczącej go od dłuższego już czasu niespokojności, która, zdawało mu się, miała »jakąś twarz ludzką i bladą«, a z którą musiał walczyć, jak z domowym wrogiem, zaprawiała mu bowiem wszystko goryczą, w nocy odbierała sen, w dzień smak pokarmom. Często, zatrudniony czytaniem, albo jaką »cichą pracą«, zrywał się nagle, jak waryat, i zaczynał chodzić szybkimi krokami po pokoju, z rozpalonem czołem, jak gdyby ją ujrzał, tę niespokojność, wyrastającą raptem z kart książki. Rozigrana imaginacja unosiła go wówczas, jak rozbiegany rumak, i rozsadzała mu czaszkę najstraszniejszymi częstokroć obawami i podejrzeniami. I tak np. zdarzały się dni, w których mu spokoju nie dawała dziwna jakaś, niczem nieuzasadniona trwoga o los i życie jego najbliższych, o życie matki i o swoją przyszłość w razie, gdyby został sierotą na łasce stryja, który był jego opiekunem, a który go nieraz »odepchnął od siebie wymaganiem uszanowania«. Co począłby wtedy? Byłby »zupełnie niemy«, opanowałyby go bowiem niemoc jakaś, któraby mu nie pozwoliła ujmować się zbytnio za swoją sprawą. Z ustami, zakneblowanymi przez dumę, nie upominałby się o nic, a wówczas, nie wątpił — w godzinach spleenu i mizantropii — nie omieszkanoby go skrzywdzić, zostawiając na łasce Opatrzności. Z kolei rodziły się innego rodzaju myśli, tym razem jemu nie przynoszące zaszczytu, mianowicie: poczucie swej niezaradności. Żył z tego, co miał od matki, to znaczy, że był dla niej ciężarem, ponieważ, ażeby jemu nie zbywało na niczem i żeby mógł sobie żyć, nic nie robiąc, a przynajmniej nie zarabiając na własne utrzymanie, ona musiała sobie odmawiać wszystkiego, musiała nosić stary, podarty szlafrok, mieć zimno w mieszkaniu, chodzić piechotą, kiedy dawniej jeździła koczkiem, ograniczać — przez oszczędność jedynie — swoje stosunki towarzyskie itd. Wyrzuty podobne nie przestawały go ścigać; prześladowany niemi a tak samo, jak szekspirowski Hamlet, obezwładniony chorobą woli, skąd wynikała niemożność zdecydowania się, niezdolność powzięcia jakiegos stanowczego zamiaru, budował

w imaginacyi swej — i zawsze tylko w imaginacyi — najfantastyczniejsze zamki na lodzie, najdziwaczniejsze i najekscentryczniejsze, prawdziwie poetyczno-niepraktyczne projekty, z których naturalnie żaden (może i na szczęście dla poety) nie miał przyjść do skutku. Jeden z takich projektów np. polegał na porzuceniu Genewy i domu pani Patteg, gdzie mu się przykryło niejednokrotnie, i na zamieszkanii, skoro mu się fundusze uszczuplą, gdzie w »wieśniaku szwajcarskiego domu«. O »zwierzęce wygody życia« — tłumaczył sobie — nie dbał, mogłoby mu więc być w takiej chacie pasterskiej bardzo dobrze (zupełnie jak w sielance Gessnera). Swoją drogą, kiedy się z planem tym zwierzył przed Eglantyną, uznała go za trochę komiczny. Czasami, w chwilach »najokropniejszej niespokojności«, połączonej z wyrzutami, marzył (bo zawsze *marzył* tylko) o czemś pośrednim pomiędzy *pensionem* w Paquis, a »wieśniaka szwajcarskiego domem«. Wtedy zdawało mu się, że ulżyłby ciężaru matce, gdyby się przeniósł bądź »do jakiego cichego miasta Włoch«, bądź do południowej Francyi, bądź do Niemiec, gdzie można żyć podobno spokojnie i tanio, bądź do Galicyi, do Lwowa lub Krakowa. Najchętniej powróciłby na Wołyn, ale to było niemożliwe. Wszystkie te projekty, jeden niepraktyczniejszy od drugiego, wynikały poprostu z chęci przenoszenia się od czasu do czasu z miejsca na miejsce. Słowacki, który nie wiedział, że ludzie nerwowi, jak on, nigdzie popasać długo nie lubią, zapatrywał się na to inaczej, mianowicie: widział w tem rodzaj poświęcenia. Czasami znów, a ciągle pod wpływem owych wyrzutów, postanawiał, ażeby ulżyć matce, wziąć się do pracy, do jakiegoś praktycznego zajęcia; ale, jak zwykle u niego, kończyło się wszystko na szlachetnych zamiarach. I pomimo, że taka »chęć czynniejszego życia«, właśnie za sprawą owych wyrzutów sumienia, ogarniała go dosyć często, zawsze mu ostatecznie opadały skrzydła, zawsze koniec końców do jednej dochodził konkluzyi, że nic mu nie pozostaje, tylko »cicho siedzieć, myśleć i pisać«. I głowę włożywszy pod skrzydło, jak się wyrażał, znowu, »jak łabędź senny«, zasypiał na czas jakiś. Niestety, błogie to *dolce far niente* zamacała wciąż owa niespokojność o los »oddalonych osób«, ów »jaskółczy niepokój«, które mu ciążyły na sercu. Co tam się w tej chwili dzieje w Krzemieńcu? Czy wszyscy zdrowi? Dlaczego nie piszą? Co to jest, że już tak długo nie miał od nich listu? Czy nie chorzy? A może ich jakie nawiedziło nieszczęście? Podobna niepewność, od której każda pewność byłaby niewątpliwie znośniejszą, wprowadzała umysł jego w stan nieustannego na-

piecia i ciągłego oczekiwania jakiejś wieści smutnej, jakiegoś ciosu bolesnego, jakiejś fatalnej wiadomości z domu. Największe z tego powodu katusze cierpiał w godzinach poczty, pomiędzy jedenastą a drugą.

Widząc to Eglantyna, całe ranki nieraz przepędzała na dziedzińcu, czekając listonosza. Często, widząc go, mijającego dom, biegła za nim, lękając się, czy przypadkiem nie zapomniiał wstąpić. Poczciwa!

Poczciwość tę umiał w niej Słowacki oceniać należycie, tak samo, jak doskonale zdawał sobie z tego sprawę, że poczciwość ta nietylko we wrodzonej dobroci i szlachetności serca, ale i w miłości także miała swe źródło. A jednak, pomimo wszystkiego, nie mógł jej kochać, choć nigdy może takiej, jak dziś, nie uczuwał potrzeby kochania.

Oddawna, bo od owego dnia, w którym po raz ostatni widział się i pożegnał — może nazawsze — z Ludką Śniadecką, trawiła go namiętna żądza wrażeń serdecznych, wrażeń, w którychby nietylko głowa jego, czyli imaginacja, ale i serce żywy brało udział. A nie doświadczył dotąd podobnego uczucia ni razu. Co to są prawdziwe »przyjemności uczuć«, nie wiedział. Znał tylko »przyjemności wrażeń«. Bo, że dziecinne przywiązanie do Ludki było więcej miłością studenta-poety, który się naczał poematów Byrona, *Dziadów* Mickiewicza i sonetów Petrarki — o ile je mógł znać z przekładów — i któremu się przywidziało, że i on także, jeżeli ma być wielkim poetą, musi mieć swoją Beatrice, podobnie, jak miał Petrarka Laure, Tasso Eleonorę, a Mickiewicz Marylę: o tem już nie wątpił, choć wstyd mu się było do tego przyznać, jeżeli nie przed samym sobą, to przynajmniej przed matką; co zresztą ani na moment postaci rzeczy nie zmieniło. Fakt, że mu się od niejakiego czasu boleśnie uczuć dawała pewna pustka sercowa i że pożądał miłości, miłości prawdziwej, ludzkiej, a nie literackiej, jak jego pierwsza miłość, fakt ten rzucał się w oczy i nie pozostawiał żadnych wątpliwości. »W takim czarującym kraju, pisał raz w tem uczuciu do matki, potrzeba mieć tylko serce napelnione i spokojne; ani jednego, ani drugiego nigdy w życiu nie miałem«. Dlatego był smutny zazwyczaj, dlatego tak częstym podlegał spleenom, ponieważ nie miał nikogo, żadnej »miłej osóбки«, coby go »trochę zelektryzowała«, ponieważ nie znalazł — choć szukał — takiej istoty, coby go podniosła nieco i ożywiła, coby mu ducha »odpromienić« była zdolna, słowem, którąby pokochał naprawdę. Jeszcze takiej na drodze swego życia nie spotkał: wszystkie kobiety,

w których duszy on płomień miłości rozniecić potrafił, pozostawiały go niewzruszonym, zimnym, obojętnym: nie kochał żadnej. I to było źródłem jego melancholii! Wierzył, że sama obecność w sercu miłości już wypełnia życie, już daje pokarm, i jest sto tysięcy razy więcej warta, niż pustka i nicość życiowa: cóż dopiero dla poety, dla artysty, którego — jak powiada Sienkiewicz — *fachem* jest kochać; albowiem sztuka istnieje przez miłość jedynie i przez kobietę. On tymczasem, choć pragnął taki »zwodniczy postrzał amora« — jak mówi Dante — poczuć w swem sercu, nigdy, jak żyje, nie kosztował miłości naprawdę. Dusza jego była spragniona kochania, łaknęła szczęścia we dwoje, czegoś, coby ten głód uczuciowy zaspokoiło. Na wszystko wtedy, przypuszczał, innemiby poglądał oczyma. Ta cudowna przyroda alpejska, strojna w szklistości lodowców i błękity jezior, inaczejby przemawiała do niego: nie byłyby to już w jego oczach wspaniałe tylko, ale puste ramy, bez żadnego wewnątrz malowidła, lecz byłby przepiękny, wymarzony obraz raju, »bo prawdziwie, że ta ziemia, to raj dla szczęśliwych«. On, niestety, nudził się w tym raju, jak Adam w szóstym dniu stworzenia. A czemu? Bo w Edenie tym nie było jeszcze Ewy, bo »wśród takiej natury trzeba być smutnym, albo trzeba się kochać. Na mnie tymczasem (własne jego słowa w jednym z listów) Bóg rzucił jakieś przekleństwo: na drodze, którą idę, stawia mi lalki, zabawkę; serce moje żywi okruszynami uczuć«.

Takim zastała Słowackiego jesień roku 1833.

ROZDZIAŁ II.

M A R Y A W O D Z I Ń S K A.

Willa przy ulicy Beauregard. I. Marya Wodzińska i jej rodzina. Atmosfera w domu Wodzińskich. Książę Ludwik Napoleon. Pierwsze wrażenie Słowackiego. Fatalny list. *Kordyan*. Wielkanoc 1834 r. Wyjazd Eglantyny. *Pont du Mont Blanc*. Prologomena przyszłej miłości. Pogoda umysłu. Rozczytywanie się w dziełach Jana Kochanowskiego i Platona. »Trzeba się kochać« (1834). II. Wybieczka w Alpy. Towarzystwo. Wyjazd z Genewy. Villeneuve. Bex. Zwiedzanie salin. Droga przez Simplon. Klasztor św. Bernarda. Louèche-les-Bains. Na szczycie Gemmi. Lodowce. Interlacken. Giessbach. Lauterbrunn i Grindenwald. Faulhorn. Wodospad Aary. Lucerna. Kaplica Tella. Na Rigi-Kulm. Powrót do Genewy (31 lipca — 20 sierpnia). III. Zbliżenie się do rodziny Wodzińskich. *Genewa Mazepa*. Wychodzi *Pan Tadeusz*. Pomysł sześciu kronik dramatycznych. *Balladyna*. Stosunek do Maryi. Myśl o ożenieniu. Zabawy u Wodzińskich. »Prawie familijne« wieczorki. Poświęcenie pomnika J. J. Rousseau. Wiersz w sztambuchu Maryi (1834 — 1835). IV. Życie się z Wodzińskimi. Pamiętny bal. Romans się zaczyna kleić. Pierwszy pocałunek. Rozmowy o rzeczach anielskich. Obiad wiejski. Powrót w czasie burzy. »Różowe sprzeczki«. Stokrotki. Rojenia o »młodej, ładnej i bogatej żonie«. Zazdrość i choroba Eglantyny. Pożegnanie z Maryą. Wyjazd do Veytoux. Wyrzuty sumienia (1835).

Położona wśród czarującej okolicy, nad jeziorem, w ogrodzie, na wzgórzu, którego zbocze, zstępując aż do szafirowych wód Lemanu, tworzyło szereg malowniczych tarasów, willa przy ulicy Beauregard, w której od roku 1832 mieszkała pani Wodzińska, zwracała na siebie uwagę przechodniów przez to szczególnie, że o pewnych godzinach słychać było, przez jej otwarte okna, czarowne dźwięki chopinowskich mazurków i nokturnów, z niepospolitą oddawaną maestryą. To panna Wodzińska grała na fortepianie.

I.

Była to panna nie piękna, choć nie tak znowu »bardzo brzydka«, jak się wydała Słowackiemu, kiedy ją po raz pierwszy zobaczył. Wysoka, pełnej tuszy, (kto wie nawet, czy nie zatęga trochę, jak na przyszłą heroinę poematu *IV Szwajcaryi*), niepospolicie rozwinięta, nietylko duchowo, ale i fizycznie, choć liczyła sobie rok 15-ty dopiero; brunetka o matowo białej cerze Włoszki, o włosach czarnych, jak heban, połyskujących jak jedwab, a tak długich, że, kiedy je rozpuściła, mogła się niemi nakryć, niby płaszczem; o prześlicznych czarnych oczach, cudownie oprawnych, oczach, które, pełne ognia i życia, »odbijały wszystkie wzruszenia i tajemnice duszy«; o rysach twarzy wydatnych, niezupełnie regularnych — *lez nez était fort* — posiadała »coś niewypowiedzianie uprzejmego« w całym ułożeniu, coś, co się zwykle mianem wdzięku niewieściego określa. Ci, co ją znali, wyrażają się zgodnie, że »piękną nie będąc nigdy, zdawała się więcej niż piękną, bo całą jej postać otaczał jakiś niepojęty czar«. A że posiadała nadto »mnóstwo talentów«, więc niemałego musiało jej i to także dodawać uroku. Jako córka magnata — Wodzińcy bowiem zajmowali wtedy w społeczeństwie stanowisko magnackie — otrzymała wychowanie staranne nadzwyczaj, polegające głównie, stosownie do ducha czasu, na rozwijaniu stron artystycznych w kobiecie, kosztem praktycznych. Kształcona w domu, prywatnie, przez cały legion różnych metrów, guwernantek i bon, których w Służewie, jej wsi rodzinnej, znajdowało się zawsze kilkoro, uprawiała ze znacznym powodzeniem prawie wszystkie sztuki piękne: poczynając od muzyki, a kończąc na malarstwie, do którego, jako amatorka, miała bardzo sympatyczny talencik. Pejzaże, a nawet portrety, co już nie jest rzeczą łatwą, malowała wcale dobrze. Jeden z najlepszych wizerunków Chopina, jaki posiadamy, wyszedł z pod jej ołówka. Zrobiła też (podobno, że bardzo trafiony) portret Eglantyny Patteg, który nam może z czasem pozwoli uprzytomnić sobie nieznane dotąd rysy tej »siostry genewskiej« Juliusza. Śpiewała nie gorzej, niż rysowała, i jeżeli altowym głosem swym nie czarowała słuchaczy, jak syrena, albo pani Delfina Potocka naprzykład, to wrażenie przecież, jakie robił jej śpiew, zawsze było bardzo dodatnie: wszyscy godzili się na jedno, że miała głos »śliczny i dźwięczny«. Na poezyi znała się — już wtedy w Genewie — równie do-

brze jak na muzyce; na muzyce zaś, jak wiadomo, rozumiała się, jak prawdziwa artystka: oprócz wykonawczego bowiem, posiadała jeszcze i niemały talent kompozytorski, talent, którego sobie nie lekceważył nawet Chopin. W chwilach wolnych (od lekcji, któremi jeszcze była wtedy, jak sama powiada, obarczona) komponowała różne sentymentalne walce *à la* Chopin i nokturny *à la* Field, a z tych niektóre udawały się jej wcale nieźle. Dość powiedzieć, że jeden z takich »ładniuchnych tematów« (wyrażenie Chopina) przesłany panu Fryderykowi do Paryża, tak dalece trafił mu do przekonania, że go »zaraz tego samego wieczora« wziął za temat do improwizacji w jednym z salonów, jak się do tego sam w liście swoim z dnia 18 lipca 1834 roku do Feliksa Wodzińskiego przyznaje. Zapewne, że niepoślednią w tem rolę odgrywała młodzieńcza i egzaltowana miłość młodego maestra dla »panny Maryni, z którą się to w Pszennego domu za dawnych czasów po pokojach goniło«, ale bądź co bądź nie musiał to być temat zupełnie błahy i bez wartości; w przeciwnym razie nie nazwałby go Chopin »ładniuchnym«. Co zaś do jej talentu wykonawczego, to zaprzeczyć się nie da, że była to prawdziwa zdolność z bożej łaski, zdolność, rozbudzona jeszcze w zaranu przez Chopina, z którym »Marynię« od dzieciństwa łączyły węzły zobopólnej sympatii i zażyłości, (sympatii, która była pierwszą miłością obojga), zdolność, którą ostatecznie rozwinął John Field. Ten ostatni, jak o tem wiemy z listów Słowackiego, będąc w Genewie, dawał przez czas jakiś pannie Wodzińskiej lekcye gry na fortepianie.

O skończonem wirtuozostwie tej gry świadczy między innemi następujący fakt. W godzinach, w których ćwiczyła się w muzyce, pod oknami willi, na ulicy, stawał co dnia prawie młodzieniec pewien, któremu przysłuchiwanie się tym pięknym melodyjom Grottgera polskiej muzyki wielką snąc sprawiało przyjemność, skoro zdarzało się niejednokrotnie, że stał tak, zasłuchany i nieruchomy, z cygarem w ustach, dopóty, dopóki muzyka nie ucichła. Młodzieńcem tym, zawsze wytwornie ubranym, a ujmującym swojem melancholijnem wejrzeniem, był przyszły twórca drugiego Cesarstwa we Francyi, książę Ludwik Napoleon, mieszkający wtedy w Genewie, na wygnaniu. Z domem Wodzińskich, u których bywał często, łączyły go stosunki przyjaciąni (przyjaźni, którą miłych znajomych genewskich zaszczytać nie przestał wówczas nawet, kiedy zasiadał na tronie). Dla panny Maryi, jako interpretatorki utworów Chopina i Fielda, był — jak i wszyscy zresztą — z nie-

kłamanem uwielbieniem. W rozmowach o niej, nie nazywał jej nigdy inaczej, tylko *la brune fille d'Euterpe*.

Mianem tem zaczęło ją wkrótce nazywać całe miasto, ile, że nie było po pewnym czasie koncertu w Genewie na cel dobroczynny, ażeby do łaskawego w nim współudziału nie zaproszono panny Wodzińskiej. Po koncertach takich, na których ją, prosząc o nadprogramowe dodatki, rzęsiłemi zawsze darzyła publiczność oklaskami, dziękował jej nieraz — w imieniu różnych instytucji filantropijnych — sam prezydent miasta.

Oprócz powyższych — artystycznych — otrzymała panna Maryanna w darze od natury jeszcze jedną zdolność: umiała się podobać. Nie można powiedzieć, żeby była kokietką; nie, kokieterya nie leżała w jej usposobieniu. Mimo to szczęście do mężczyzn miała zawsze nadzwyczajne, już w Genewie nawet, choć, jak się nas dzisiaj zapewnić stara, »nie myślała wtenczas o miłości, lecz o nauce«. Przeróżne lekcye — powiada — cały mój czas zabierały. Nie byłam dorosłą panną, za takową nie uważałam się sama i w oczach świata nie uchodziłam. A jednak potrafiła niechcący może, rozmarzyć sobą Chopina, w Służewie jeszcze, na parę lat przed przybyciem do Genewy, a że tak było, tego aż nadto wyraźnie dowodziły — pomiędzy wierszami — jego listy, pisane teraz z Paryża, gdzie stałe zamieszkiwał, listy, pisane do matki, albo do braci »Maryni«, a w których »pannie Maryi« kazał conajmniej »kłaniać się bardzo elegancko z uszanowaniem«. W podobnem położeniu, jak Chopin w Służewie, znalazł się obecnie w stolicy szwajcarskiej młody hrabia de Montigny, Francuz, który bywając częstym gościem w willi przy ulicy Beauregard, tak się w czarnobrewej córce Euterpy zakochał, że się o nią w ciągu roku 1833 i 1834 dwukrotnie aż oświadczył! Fakt ten służyć może za dowód, że chopinowska *mademoiselle Marie*, choć »obarczona« lekcjami, dość znajdowała czasu pomiędzy jedną lekcją a drugą, ażeby się niektórym ze swoich znajomych zakraść do serca i stać się panią ich wyobraźni. Przypuszczam nawet, że nie musiało jej to wcale z wielką przychodzić trudnością; na to bowiem, ażeby rozmarzyć sobą, wprawić w zadumę, a w końcu zachwycić i podbić sobie kogoś zupełnie, wystarczało jej poprostu zasiąść do fortepianu. Wiedziała, że grą swoją »entuzjazmowała słuchaczy«! W rozmowie, którą równie biegle, jak po polsku, prowadziła po francusku, po angielsku i po włosku, także potrafiła, jeżeli tylko chciała, w najwyższym stopniu dodatnie czynić wrażenie: podbijała sobie każdego, na kim jej zależało, ażeby mu się podobać, głosem swoim, który

»dźwięczał dziwną harmonią«, swoim »czarującym uśmiechem«, opromieniającym owal twarzy, i swemi czarnemi oczyma nakoniec, w których, jakby powiedział Słowacki, »całym pękiem Kupido trzymał najeżone strzały«, a w które wpatrując się, zapominano, jak zapewnia p. Antoni Wodziński, o nieklasycyzmie innych rysów, o linii nosa zbyt ostro zarysowanej itp.

A można z nią było mówić o wszystkim, bo — że użyjemy wyrażenia osoby, znającej ją dobrze — rozumek miała niepospolity. Biegła w rzeczach sztuki i piękna, wyślawiająca się gładko, z natury skłonna do egzaltacji — nigdy jednak nie graniczącej z przesadą — nie dziw, że była niebezpieczną, tembardziej, że wzdychających do niej amantów lubiła zbywać »wesołą obojętnością«, co dolewało jeszcze oliwy do ognia, albowiem równało się nieczulej igrasce kotki z myszą. Nie od rzeczy też będzie napomknąć, że oprócz polskiej płynęła w jej żyłach także i włoska krew (p. Wodziński utrzymuje, że odziedziczyła ją Marya po babce, jednej z tych Orsettich, którzy opuściwszy swój pałac rodzinny w Medyolanie, ze świtą królowej Bony (?) przywędrowali do Polski), i że ów temperament artystyczny, który ją przedewszystkiem cechował, miał tem samem źródło swe w słonecznej ojczyźnie Palestriny i Mercadante, Rafaela i Tyciana, Sforzów i Medyceuszów.

Jednem słowem, zakochać się w takiej pannie, zwłaszcza, jeśli się było młodym i — jak Słowacki w owym czasie — stęsknionym za uczuciem miłości, nie należało do niepodobieństw; przeciwnie, było koniecznością ponieważ; bo — jak powiada p. Antoni Wodziński — »był to kwiat nawpół roztwarty, pełen woni, świeżości, blasku«, a przytem miała Marya, zdaniem tegoż autora, »wszystko, co takiego człowieka, jak Słowacki, pociągnąć mogło i musiało: wykwintne wychowanie, wdzięk dziewiczy, duszę, która go była w stanie zrozumieć, inteligencyę żywą, zamiłowanie do sztuki, a wreszcie... ten urok, jaki nadaje pierwszorzędne stanowisko społeczne, urodzenie, majątek, formy i stosunki światowe«. Wiadomo zaś, jak Słowacki był na to czuły, z jaką łatwością tego rodzaju wpływom podlegał.

Oprócz panny Maryanny — bo tak ziomkowie nazywali czarnobrewą córę Euterpy — miała tu pani Wodzińska przy sobie dwie córki: średnią, Józefę (późniejszą panią Kościelską, matkę dziś powszechnie znanego pośła) i najmłodszą, Teresę, wówczas dziecko trzyletnie, (która w roku 1852 poślubić miała kuzyna swego, Leona Wodzińskiego, dziedzica dóbr Białobrzegi i Sucha w radomskim); oraz

trzech synów: Kazimierza, Feliksa i Antoniego. Ten ostatni bawił do niedawna w Paryżu. Ojciec ich, Wincenty, bogaty obywatel-magnat z Kujaw, gdzie posiadał jeden z najpiękniejszych majątków w Królestwie, pamiętne w życiu Chopina Służewo, bawił tymczasem w kraju, rodzinę swoją w Genewie odwiedzając tylko co parę miesięcy. Wesołość, panująca w uroczej willi przy ulicy Beauregard, podwajała się wtedy; choć i w zwykłych warunkach smutno nie bywało tu nigdy; pani Wodzińska bowiem, nieskrępowana względami materyalnemi, prowadziła dom otwarty, który stał się niebawem ogniskiem genewskiego *high-life'u*, gdzie »niemal codziennie« gromadziło się nietylko towarzystwo polskie, ale i przedniejsze rodziny z miejscowej *élite de la société*. Z Polaków, stale mieszkających w Genewie, bywali tu: pani Klaudyna z Działyńskich Potocka; pani Ossolińska, Chodkiewiczówna z domu, której córka Wanda, późniejsza pani Tomaszowa Potocka, szczególnie się przyjaźniła z Maryą i swatać ją chciała ze swym krewnym, Darowskim (czyli, że oprócz Chopina i hr. de Montigny miał Słowacki z czasem jeszcze i trzeciego rywala), generał Gruszewski, nieodstępny przyjaciel pani domu; bracia Miączyńscy, Aleksander i Włodzimierz; sporo młodzieży uniwersyteckiej polskiej — ponieważ z młodymi Wodzińskimi, także uczęszczającymi na niektóre wykłady, łączyły ją stosunki koleżeńskie — i wiele innych osób, szczególnie szlachty emigrantów, zatrzymujących się w Genewie dla obejrzenia Lemanu i okolic; albowiem kto tylko z ziomków zawadził o Genewę, każdy prawie znajdował w domu pani Wodzińskiej gościnne przyjęcie. Między innemi zatrzymał się tu raz i Adam Mickiewicz podobno »w przejeździe do Włoch«, wywarłszy osobą swoją i powagą głębokie na Maryi wrażenie. Z obcych należeli do stałych gości pani Wodzińskiej: państwo Saladin, których córka, uwielbiana przez najmłodszego z braci Wodzińskich, a słynna z wdzięków, stała się głośną za czasów drugiego Cesarstwa hrabiną de Pourtales; niektórzy znakomitsi profesorowie uniwersytetu genewskiego, jak Bonstettin i Sismondi; i wreszcie, obok znacznej liczby dystygowanych Anglików i Angielek, wspomniani już: młody hrabia de Montigny, zakochany w Maryi, jak Filon, i księżę Ludwik Napoleon. Ten ostatni, mało mówiący, nadzwyczaj uprzejmy, był namiętym tancerzem. Kiedy wieczorami po skończonej kolacyi młodzież zaczynała tańczyć, on należał zawsze do tych, co tańczyli najczęściej: szczególnie z panną Maryanną, z którą ogromnie lubił upajać się szalonym wirem galopady. Bo marzycielska jego natura nie znajdowała upo-

dobania w miarowym sentymentalnym walcu. Do grona domowników zaś, bardzo licznego, należeli między innymi: Mr. Basclop, metr angielskiego języka, T. Field, nauczyciel muzyki, oraz dwie guwernantki: panna Mallet, Francuzka, i *miss* Wagner, Angielka, niezwykle odznaczająca się pięknnością.

Tym sposobem, w salonie pani Wodzińskiej — w salonie, z którego okien najcudowniejszy roztaczał się widok na jezioro, na okoliczne góry, na niedokończony jeszcze *Pont du Mont Blanc* i na niewielką wysepkę J. J. Rousseau w pobliżu, pośrodku której wznoszono właśnie pomnik dla uczczenia pamięci autora *Nowej Heloizy* — wesoło bywało zazwyczaj i gwarno: tańczono, muzykowano, bawiono się w gry towarzyskie, przy czem obejść się nie mogło naturalnie, ażeby sutyh raz po raz nie palono ofiar na okwieconym ołtarzu płochego (a tak wszechwładnego dziś) bożka flirtu.

Rozumie się samo przez się, że szczególni przywilejami — oprócz arystokracji — cieszyli się tu artyści; nie było pomiędzy nimi tylko poety. Na jednym z wieczorów wszakże, w połowie listopada 1833 roku, znalazł się na salonach pani Wodzińskiej także i poeta. Był nim Juliusz Słowacki.

Na wieczorze tym grała panna Maryanna na fortepianie, a że grała »ślicznie« metodą Fielda, więc gra jej była Słowackiemu »bardzo miłą«, ile, że przypominało mu to czasy wileńskie i grę Ludki. Wykonawczyni jednak sama nie zrobiła na nim powierzchownością swą wcale dodatniego wrażenia; przeciwnie, wydała mu się poprostu bardzo brzydką, może dlatego, że podobna trochę z twarzy do Ludwiki Śniadeckiej, nie mogła się z nią mierzyć pod względem urody.

Cokolwiekby, wieczór ten, lubo należał bezsprzecznie do przyjemniejszych, jakie się Słowackiemu spędzić zdarzyło, odkąd bawił w Genewie, nie wyryl się w pamięci jego zbyt głęboko.

Winien był temu głównie *Kordyan*, którego ostateczne wykończanie i przepisywanie na czysto, do tego stopnia absorbowало poetę, że — jak się sam wyraził — życie i rzeczywistość puszczał lekkomyślnie mimo siebie. Dziwne usposobienie zaiste! Świat realny, prawdziwy, dotykalny, ze wszystkimi swojemi powabami, z całą poezją natury, z całą przewagą jawy nad snem, musiał ustąpić przed marzeniami: ludzie żywi, istniejący, musieli ustąpić miejsca postaciom fantastycznym, urojonym, wysnionym, wysnutym z bujnej imaginacji! Ale taką już była natura

Słowackiego! Imaginacya, marzenie, fantazyja, urojenie, brały u niego zawsze górę nad rzeczywistością. Imaginacya była dlań często źródłem szczęścia i nieszczęścia, radości i zgryzot. Co dziwniejsza, to, że sobie z tego najdokładniej zdawał sprawę, tak, iż zdawało się nieraz, że wierzył w chwilowe szczęście, choć wiedział dobrze, iż jest to szczęście urojone. I »prawdziwie — pisał raz — że jestem szczęśliwy tą władzą twórczą urojonych wypadków, szczęśliwy każdego wieczora, kiedy piszę, kiedy chodzę po suchych liściach ogrodowej alei«. I dziwić się wobec tego, że poeta-artysta większą w nim grał rolę najczęściej, aniżeli mężczyzna-człowiek, i jeżeli, jak się wyraził w jednym z listów do matki, układanie kamyków na własny grobowiec wystarczało mu najzupełniej.

Nie inaczej miała się rzecz i tym razem. Z głową nabitą swoim »wielkiem dziełem«, dziełem, które powinno być ostatecznym i śmiertelnym ciosem w jego achillesowej walce z autorem *Dziadów*, a którym, jak mniemał, Bóg sam go natchnął, nie pozwalał poprostu myśli swej zaprzątać się rzeczami tak błahemi, jak czarne oczy jakieś pięknie na fortepianie grającej panny. Jakoż skończyło się na tem, że »wszystkie przyjemności życia miały go i obchodziły kołem, mówiąc: »Nie przeszkadzajmy temu człowiekowi, on o przyszłości pogrobowej marzy«. I było mu z tem dobrze nawet, tak dalece, że nie mógł czasami zrozumieć, jak inni ludzie bez takich wrażeń żyć mogą; i zdawało mu się, że chleb, który spożywają, musi pachnieć nicością.

W niemałej także mierze do tego, że wspomnienie przyjemnie spędzonego wieczoru przy ulicy Beauregard i ślicznej gry na fortepianie »Fielda metodą« zatarło mu się w pamięci bardzo rychło, przyczyniła się jeszcze i ta okoliczność, że w tych właśnie czasach otrzymał poeta list z domu pełen niepomysłnych wiadomości. Przedewszystkiem donoszono mu w nim o śmierci babki. Wypadek ten wstrząsnął całą jego istotą moralną bardzo silnie: raz dlatego, że przywiązanie, jakie żywił dla zmarłej, było rzeczywiście gorące nadzwyczaj i szczere; a powtóre, że już na parę tygodni przed otrzymaniem tej bolesnej nowiny dręczyło go fatalne jakieś przeczucie nieszczęścia. Wiadomo zaś, że »tajemnicza władza przeczuć« była dlań zawsze przedmiotem medytacyi! Przeczucia te, choć niczem w zasadzie nie umotywowane — chyba brakiem od dłuższego czasu wiadomości z Krzemieńca — o taką go przyprowadziły niespokojność, że nie mógł sobie poprostu miejsca znaleźć nigdzie: raz, sam dobrze nie wiedząc czemu, nie

jadł prawie nic, ile, że pokarmy zdawały mu się goryczą zaprawne; kiedyindziej nie rozumiał czytanej książki, choć silił się, żeby uważać; raz znowu, pisząc list do matki, który miała otrzymać w sam dzień swoich imienin, zaczynał ni stąd, ni zowąd płakać rzewnymi łzami, etc. Okazało się, że w chwili właśnie, kiedy on pisał ten list, w Krzemieńcu (jakby na potwierdzenie słów Hamleta, że więcej jest rzeczy na ziemi i niebie, aniżeli się ich śniło naszym filozofom) odbywała się eksportacja ciała starej pani Januszeńskiej. Poprzedniego dnia, wieczorem, chodząc po pokoju, mimowoli wyobrażał sobie, że się przechadza po sypialni babuni, gdzie nad framugą drzwi wisiał biały z kości słoniowej Chrystus na czarnym krzyżu, i że, spacerując tak (zwyczajem familijnym) dookoła stołu, rozmawia z matką, którą, jak mu się zdawało, widział przez uchylone drzwi w przyległym pokoju leżącą na kanapie i oświeconą płomieniem rozpalonego świeżo na kominku ognia. Nie wiedział, że w tym samym pokoju, o tym samym czasie, stała na katafalku trumna ze zwłokami babki!

Wszystko to nie mogło pozostać bez wpływu na jego wyobraźnię; tembardziej, że list ów zawierał oprócz powyższej i inne jeszcze, wcale nie pocieszające wiadomości: dość powiedzieć, że pisała go pani Becu pod świeżem wrażeniem przeczytania *Dziadów* Mickiewicza. Nadto znalazły się w liście tym takie wiadomości o Ludce (jakie? nie wiemy), że Słowacki, odpisując matce, tyle tylko w tej sprawie napisać był zdolny: »Ledwo wierzyć mogę wieści o Ludwisi; niepodobną mi się wydaje«.

Że tyle dyssonansów naraz, w jednym mniej więcej czasie, mogło zagłuszyć w poecie wspomnienie melancholijnej gry panny Wodzińskiej, odebrawszy mu na długo ochotę do poszukiwania rozrywek i przyjemności, to, wobec nadczutej pod wielu względami natury Juliusza, było nieuniknione. To też nie wychylał się prawie z domu. U Wodzińskich bywał wtedy jedynie, kiedy go zaprosili. Ale i do nich, choć był to jedyny dom polski, jaki miał w Genewie, chodził, jakby z musu; powtóre, nie chciał im się narzucać. Swoją drogą, ile razy się wybrał, nigdy nie żałował: choćby dlatego tylko, że miał tam sposobność mówienia po polsku. Zmuszony prawie wyłącznie posługiwać się językiem francuskim, znienawidził go w końcu tak, że w teatrze nawet przestał bywać z czasem, albowiem, jak powiada, chciałby tu słyszeć ludzi mówiących po polsku.

Z ziomkami widywał się rzadko. Najwięcej i najchętniej przesiadywał w domu, w towarzystwie swoich gospodyń i rodziny młodszej córki pani Patteg, która z mężem

swoim, bankierem w Genewie (w wolnych chwilach haftującym włóczkami) i z czworgiem dzieci sprowadziła się na zimę do Paquis, ażeby być bliżej matki i siostry. Słowacki polubił ich bardzo, na co zresztą, jako ludzie poczciwi i serdeczni — jak to Szwajcarzy — w zupełności zasługiwali. Był z nimi, jak brat, jak bliski krewny. Wieczorami, po obiedzie, grywali w wista; we dnie zaś, jeżeli mu się sprzykrzyło siedzieć samemu w pokoiku u siebie, schodził do nich, żeby się trochę popieścić z dziećmi. Najstarsza z nich, Mathilde, dziewczynka sześciolatnia, była jego — żoną. Uczył ją rysować, opowiadał jej — jak jemu opowiadano niegdyś — różne historye z Pisma świętego, albo też, przeszedłszy z nią do swego pokoju, zapalał fajkę, sadzał sobie dziecko na kolanach (czasami przychodziła i Eglantyna) i zaczynał dopiero ku najwyższej ucieście Matyldki, rozpowiadać różne najfantastyczniejsze historye. O tem na przykład, jak się z nią ożeni kiedyś, jak pojedą razem do Polski, która jest krajem prawdziwych cudów, piękniejszym od Szwajcaryi i wszystkich krajów świata. »Pojedziemy tam, mówił, prześliczną kareta, w której okna będą całe z różowych karmelków. W kraju naszym, który płynie mlekiem i miodem, na polach i łąkach, zamiast śniegu, leży cukier, a po Wiśle pływają statki, ukute ze szczerego złota, oświecone płomieniami zapalonego ponczu«. Dziecko, zaciekawione, z szeroko rozwartemi oczyma, wyrażającemi najwyższy wyraz zdziwienia, z ogromnem zajęciem i przejęciem słuchało tych opowiadań, a poeta i Eglantyna, jeżeli była obecna, uśmiechali się do siebie. Matyldka tymczasem, wywdzięczając mu się za to, zjawiała się przed nim często z bukietem fiołków, prosząc, żeby je sobie na stole w swoim pokoju postawił (wiedziała bowiem, że lubił bardzo kwiaty, zwłaszcza fiołki), albo też obrębiała mu własnoręcznie chustki do nosa. Zupełnie, jak przystało na kochającą małżonkę! Jego bawiło to, i nieraz, gawędząc tak, ubolewał, że naprawdę żonatym nie jest. Bo nie ulega wątpliwości, że gdyby to od niego zależało, natychmiast pomyślałby o ożenieniu się. Osiadłby na wsi — myślał sobie — jak Kochanowski, i żyłby, jak on, szczęśliwy i spokojny, przy boku dobrej, kochającej żony, bo, jak powiada poeta, żona mężowym kłopotom zabiega

I jego wczasu we wszystkim przestrzega;
Ona wywabić troskę umie z głowy
Słodkimi słowy.

Ona dziateczki ojcowi podobne
Rodzi, skąd rosną pociechy osobne i t. d.

Kochanowski stał mu w tych czasach na myśli częściej, niż kiedykolwiek; od chwili bowiem, jak otrzymał z domu jego dzieła i *Jerozolimę* Tassa w przekładzie Piotra Kochanowskiego, nie rozstawał się z niemi prawie, rozkoszując się ich polszczyzną cudowną i zazdroszcząc Janowi »chaty, lipy, żony i dzieci i czasów szczęśliwych, w których żył«. Czegoby on nie dał za to — myślał sobie nieraz — ażeby módz podobny prowadzić żywot! Wtedy, był przekonany o tem, nie cierpiałby tak często, jak dziś, na napady *spleen*'u, aniby ogarniały go takie, jak dziś, zniechęcenie i nuda.

Wtedy też, można być pewnym, nie pisałby do matki, że biała karta papieru mogłaby być godłem jego, tłómaczem i najlepszym dziennikiem. »Wist, czytanie i dumanie, napełniają mi wszystkie godziny życia, i mogę powiedzieć (jak Mickiewicz w swoim pierwszym sonecie krymskim), że taka cisza koło mnie, iż słyszałbym głos od was«.

Szczęściem, zaczął się już w Paryżu, w drukarni panien Pinard, drukować *Kordyan*, którego przysyłało mu arkuszami do korekty. Była to obecnie jedyna jego przyjemność i rozrywka. Pierwszy arkusz odebrał, jakby na gwiazdkę, w sam dzień Bożego Narodzenia. Nawiasem mówiąc, dzień ten spędził dosyć smutno: wszyscy domowi wyjechali na wieczór, on został w domu, sam jeden, i z nudów robił korektę. (Rzecz dziwna, że ani dziś, ani na wilię nie otrzymał zaproszenia z willi Beauregard). Po Nowym Roku (którego to dnia pewno był u państwa Wodzińskich z powinszowaniem) otrzymał drugi arkusz, aż wreszcie na kilka dni przed Wielkanocą, ukazał się na półkach księgarskich *Kordyan*, wydany bezimiennie.

Okoliczność ta wpłynęła na humor autora bardzo pomyślnie, przynajmniej na czas Świąt wielkanocnych, które mu i dla wielu innych jeszcze względów przeszły weselej, aniżeli się mógł spodziewać. Przyczyniła się do tego mianowicie pani Wodzińska, która poetę zaprosiła do siebie (widocznie, że zaczynano się powoli przekonywać do niego) nietylko na Święcone, ale i na domową uroczystość pieczenia bab, które się jednak ku wielkiemu zmartwieniu gospodyni i jej córek nie udały, tak, iż musiano polskie baby zastąpić szwajcarskimi plackami od Werrasa, pierwszego pasztetnika w Genewie. Mimo to niepowodzenie kuchenne, przeszło Słowackiemu tych kilka dni bardzo wesoło, a nie miał tego nikomu innemu do zawdzięczenia, tylko rodzinie Wodzińskich. Nietrudno sobie wyobrazić, jakie wrażenie robić nań musiał np. widok panny Maryanny, kiedy temi samemi paluszkami drobnymi, któremi z taką

biegłością przebierała po klawiszach fortepianu, teraz miała ciasto. Nie mogło mu się to nie podobać. Scena ta (zapewne bardzo wesoła) zapisała mu się w pamięci tak żywo, że miał ją jeszcze przed oczyma, pisząc *Horsztyńskiego*.

Po zimie, jednej z najłagodniejszych, jakie pamiętano w Szwajcaryi, cieplej, południowej, ozłoconej pięknem słońcem, a ciągle pachnącej fiołkami, których poeta nieraz, w styczniu nawet i w lutym, zbierał w ogródku całe bukietki (a kto wie, czy jednego z takich bukietków nie ofiarował kiedy pannie Wodzińskiej), przyszła wiosna, zakwitły drzewa, zazieleniły się łąki, a dom pani Patteg, jak zwykle o tej porze, zaczął się napełniać mnóstwem nowych »zamorskich figur«, przeważnie Anglików, którzy, przetwarzając się po korytarzach, biegając po schodach, hałasując, a nadto psując harmonię ogrodowej zieleni swojemi ubiorami ekscentrycznemi, poczęli niebawem drażnić i niecierpliwie spragnionego spokoju i ciszy poetę, tembardziej, że ludzi wykształconych, inteligentnych, nie było pomiędzy nimi zupełnie. Angielki zaś, im która ładniejsza — a były dwie tym razem bardzo ładne — tem naiwniejsze, tem sztywniejsze.

Nie znajdując w towarzystwie tych ludzi żadnej przyjemności, zaczął ich Słowacki unikać w końcu i, zaryglowawszy drzwi od swego pokoju, czem jakby się odcinał od rzeczywistości, wracał znów do świata fantazji: zaczął pisać tragedję o Wallasie, szkockim rycerzu, którego przedstawiał jako najczystsze, najidealniejsze ze wszystkich bohaterów w dziejach narodów. Dalszych części *Kordyana* zaniechał tymczasem. Na odpoczynek czytał pierwsze romanse pani Sand i filozofów niemieckich. Zresztą marzył o Wallasie, spacerował po ogródku (o ile w nim nie było Anglików), przegrywał na fortepianie smutnego niemieckiego walca, którego niegdyś grywała pani Becu (a którego wrażenie, powiada, tak się pomieszało w jego myśli z opowiadaniem o Wallasie, że dziś po przez tęskną melodyę walca widział jak we mgle całą historję Wallasa) i tak przeszła mu wiosna, maj.

Dnia 1 czerwca wyjechała panna Eglantyna do Paryża, do jednego z wujów swoich, ażeby z nim razem oglądać »dziwy paryskie«. Ranek jej wyjazdu był dla poety — jak to sam przyznawał — bardzo smutnym. Miała wyjechać o godzinie 4-ej z rana; a ponieważ dała mu do zrozumienia, iż wolałaby, ażeby on, nie kto inny, obecny był, kiedy będzie wyjeżdżała, przyrzekł jej więc, że ją obudzi o 3-ej. Jakoż nie położył się wcale spać, tylko czytał, leżąc na kanapie, aż do umówionej godziny. Kiedy po-

wstał i wyrzał przez zapotniałe od nocnego chłodu okno, już światło ranne, niebieskawo-szare, oblewało drzewa i murawy ogrodu. Cicho było wszędzie i szaro, jak o zmroku. Przeszedłszy na palcach przez pół-ciemne pokoje, podszedł do drzwi pokoju Eglantyny i obudził ją stukaniem. Po niejakiem czasie wyszła ubrana. On czekał w sieni. Kiedy wyszli z domu przez rozwidniający się ogród, na drogę, którą miał przejeżdżać dyliżans, niebo na wschodzie już zaczynało się złocić różowym blaskiem; ptaki, dopiero co ze snu zbudzone, świegotały po drzewach (jakby zawodziły *Kiedy ranne wstają zorze*); a zimno poranku przejmowało jakimś dziwnem, jakby elektrycznem, drżeniem. Wyszli na wzgórek, na którym zatrzymali się, oczekując powozu. Ze wzgóрка, tuż przy drodze położonego, widziałeś całe błękitne jezioro; za niem — góry; a nad górami — biały, jakby senny, Mont-Blanc. Eglantyna płakała, jak dziecko, bo jakkolwiek jechała do Paryża, który pragnęła zobaczyć i gdzie ją czekał cały szereg rozrywek, to przecież z drugiej strony, na myśl, że jechała sama, że musi się na kilka tygodni rozstać z Juliuszem, do którego się przywiązała jak siostra »i więcej może, jak siostra«, trudno się jej było powstrzymać od łez. Słowacki tymczasem stał milczący, z ponurą walką myśli na czole, z oczyma suchemi wprawdzie, ale niemniej, od Eglantyny, smutny; każda bowiem chwila taka, jak ta, budziła w nim jakieś odległe wspomnienia i stała się dla niego, jakby zwierciadłem, które mu w zmieszanych kolorach ukazywało całe jego życie, całą przeszłość. Nadjechał w końcu dyliżans pocztowy, Eglantyna wsiadła, pożegnali się, woźnica zaciął konie, powóz potoczył się dalej, a poeta został sam jeden, jak słup, na zielonej, uperlonej rosą murawie, patrząc na ozłoczone niebo. Po niejakej chwili wzeszło słońce: najprzód jakieś ogniste płomienie wytrysły z ziemi, podobne do olbrzymiego pęku mieczów świetlistych, aż wreszcie cały krąg słońca wyrwał z za gór. Zaróżowiły się śniegi po szczytach, zarumienił się Mont-Blanc, toń jeziora powlekła się fioletem, a każda kropla rosy poczęła błyszczeć jak rubin lśniący. Zegary miejskie zaczęły wydzwaniać piątą. Poeta wrócił do domu. Wszedłszy do swego pokoju, pozamykał okiennice i dziwnie posępnego doznał wrażenia, ujrzawszy na stole zapaloną lampę, a na kanapie — rozrzucone książki, które jeszcze czytał niedawno i które porzucił w nieładzie, idąc budzić Eglantynę; albowiem (powiada) było coś smutnego w powrocie myślą do kilku ubiegłych godzin.

Po wyjeździe Eglantyny smutno mu było bardzo, przynajmniej przez pierwszych parę dni. Samotny, nie ma-

jąc przy sobie nikogo, z kimby mógł tak otwarcie, jak z Eglantyną, rozmawiać, komuby się mógł tak, jak jej, zwierzać ze wszystkiego, co go chwilowo bolało, trapiło, leżało na sercu: chodził ponury po ogródku albo nad brzegiem jeziora i wyraźnie tęsknił za swoją »siostrą genewską«.

Ale znalazło się wkrótce na tęsknotę oną bardzo skuteczne lekarstwo. Były niem codzienne spacery nad wieczorem po nowo-wybudowanym moście, *Pont du Mont-Blanc*, który, rzucony przez zatokę jeziora — nieopodal ujścia Rodanu — tak, iż łączył z sobą dwa najpiękniejsze ogrody w Genewie, *Square des Alpes* i *Jardin Anglais*, stał się odrazu najmodniejszym miejscem promenady dla Genewian. Dla Słowackiego była to rozmaitość, tem przyjemniejsza, że spotykał się tu ze znajomymi ziomkami, a między innymi — można być pewnym — i z rodziną Wodzińskich także, którzy nie mogli przecież nie korzystać z tak modnego spaceru, będącego o pewnych godzinach rodzajem *rendez-vous* dla całego genewskiego *high-life'u*. A skoro tu bywali (a nie mogli poprostu nie być), trudno było nie spotkać się ze Słowackim, który o tych spacerach na nowym moście nie omieszczał nawet pisać w jednym z listów do matki, donosząc jej, że do jego regularnego życia przybyła dzięki temu jedna rozmaitość. Nie sposób też, ażeby spotykając się tu z Wodzińskimi, nie przystępował do nich, nie spacerował z nimi razem, nie asystował pannom, pannie Maryannie zwłaszcza, która, w miarę, jak ją poznawał bliżej, coraz bardziej zaczynała mu się podobać.

Albowiem, jak się miał o tem sposobność przekonać niebawem, była to panna, która na bliższem poznaniu nie traciła — jak się dziać zwykło najczęściej — ale, przeciwnie, zyskiwała: bardzo nawet. Inteligentna, żywa, sprytna, dowcipna, zapalająca się (z czem jej podobno było bardzo do twarzy), zwłaszcza, kiedy rozmowa toczyła się na temat sztuki, nie dziw, jeżeli poecie imponowała cokolwiek, który przyznać musiał, iż z tego rodzaju istotą spotykał się w życiu po raz pierwszy. A przytem mógł z nią o wszystkim rozmawiać po polsku! Już to samo dawało jej przewagę i wyższość nad innemi pannami, a cóż dopiero, jeżeli się zważyło, że z panien tych ani jedna nie mogła się z nią mierzyć pod żadnym względem: ani Eglantyna, ani Eliza Morin, ani wszystkie Angielki razem. Wszystkie one, nawet te, które ją, jak Eliza Morin np., przewyższały urodą, robiły w porównaniu z nią wrażenie gąsek prowincjonalnych, a co gorsza, raziły brakiem wykwintu, wytworności

w obejściu: prostota ich niekiedy zakrawała na pospoliczość. Panna Maryanna tymczasem, jako pochodząca ze sfery tych ludzi, »dla których dobre wychowanie jest po-niekąd potrzebą życia i drugą naturą«, była uosobieniem arystokratycznej dystynkcji i wielkoświatowego poloru. Nie była ładna, to prawda: ale, rozmawiając z nią, cóż dopiero słuchając jej gry na fortepianie! zapominało się, że piękną nie była.

Niestety, wrażenie, jakie Słowacki robił na pannie Maryannie, było dalekiem od tego, jakie ona robiła teraz na nim. Przedewszystkiem raziła ją w nim — w pierwszych czasach przynajmniej — nadzwyczajna pewność siebie, z jaką się zachowywał wobec kobiet, a zwłaszcza pannen, o których zdawał się być przekonany, że nie ma takiej, któraby się nim zająć nie mogła. Z nią tymczasem, na nieszczęście dla Słowackiego, miała się rzecz wprost przeciwnie: to nie była Cora Pinard albo Eliza Morin, albo Eglantyna wreszcie! Wyższa od niego stanowiskiem społecznym, wychowana w pojęciach arystokratycznych, zamiast mu się dać odrazu »jak szatanowi obłąkać« i bez zastanowienia, jak biedna Cora naprzykład, »popaść w jego szpony«, przeciwnie, traktowała go trochę z góry i nie robiła sobie nic ani z jego »małej sławy«, ani z jego tytułu poety, z którego on był tak dumny, iż się jej aż wydawał chwilami »troszkę śmiesznym«. Zbyt wiele pokładając w talencie swym zaufania, zbyt wysoko — zdaniem panny — ceniący siebie, a jako zdobywca serc niewieścich, przeceniający się stanowczo, nie wiedział Słowacki, że nikt w rodzinie Wodzińskich nie był nim zachwycony, a najmniej ze wszystkich panna Maryanna. »Świadomość geniuszu, pisze p. Wodziński, w jaskrawych występujących wyrazach, a także zarozumiałość, już czysto światowa, nie zjednywały mu ani serca, ani nawet należnego uznania. Co w nim także raziło, to nieukrywana niechęć, z jaką się wyrażał o Mickiewiczu«. Nie wiedząc, jak poważne miał Słowacki do tego powody, przypisywano to uczuciu najzwyczajniejszej zawiści literackiej. Jednem słowem, początkowe wrażenie, jakie robił Słowacki w domu przy ulicy Beauregard, było ni mniej, ni więcej, tylko ujemne: uważano, że jest poprostu »niesympatyczny«, zarozumiały, że tkwi w nim dużo z »fanfaroną«, który, pretensjonalny z natury, a nadto »w humorze zmienny, jak dzień marcowy, to wymuszony, to znów ckliwy«, przez to samo już, że »odznaczał się nie-naturalnością«, na względy Maryi, jak i jej całej rodziny, nie bardzo mógł liczyć. Jeden tylko Antoni Wodziński, który go znał dawniej, wstawiał się za nim, mówiąc: »Wy się

o tem później dowiedziecie, a on już dziś czuje, że będzie wielkim poetą».

Na szczęście dla Słowackiego, miała się ta niekorzystna opinia o nim w domu Wodzińskich zmienić wkrótce na lepszą.

Tymczasem Słowacki, nie domyślając się zgoła, że może się Maryi nie podobać i być w oczach jej »troszkę śmiesznym«, coraz bardziej zaczął się do niej przekonywać. Zauważył nawet, że jest niejaki podobieństwo pomiędzy Maryą a Ludką. Bo i ona, jak tamta, miała czarne oczy; bo i ona, jak tamta, miała włosy krucze; bo i ona, jak tamta, miała rysy wydatne; bo i ona wreszcie, jak tamta, miała taki sam sposób grania na fortepianie »Fielda metodą«, z tą różnicą, że panna Wodzińska grała nieskończenie lepiej, aniżeli Ludwika Śniadecka, i że ją przewyższała nietylko pod tym jednym względem.

Na takie usposobienie poety przypada wyjście w Paryżu *Kordyana*, który jednak, rzecz nie do pojęcia dla nas, przeczytany w domu Wodzińskich — a czytany prawdo podobnie na głos przez autora samego — nie bardzo się podobał. Cokolwiekby, zaczął się Słowacki w tych czasach komunikować z Wodzińskimi coraz częściej (raz nawet zaprosił młodych Wodzińskich na mały wieczorek do pani Patteg, na którym, jak powiada, zgrabnie się bardzo wydali przy ciężkich tancerzach miejscowych), a że, jako się rzekło, nie podejrzewał zupełnie, aby go panna Maryanna nazwać mogła po wielu, wielu latach »troszkę śmiesznym«, wpływał więc stosunek ten niemało na jego ożywienie.

W tymże czasie ukazała się w Paryżu, w piśmie emigracyjnym *Le Polonais*, wydawanem w duchu konserwatywnym, w języku francuskim, przez Władysława Platera, życzliwa krytyka *Kordyana*, która na poetę, na jego humor, również musiała wpłynąć korzystnie. Autor tego artykułu, prawdopodobnie sam Władysław Plater, kolega szkolny Słowackiego, zaczął od oświadczenia, iż wie, z pod czyjego pióra wyszedł ten poemat. Oto początek rzeczowej recenzji.

»*Kordyan* — taki jest tytuł poematu polskiego, świeżo ogłoszonego w Paryżu. Autor, człowiek zdolny, chciał zachować bezimiennność. Przedmiot wzięty jest z historii; ale pełen fantazyi. W nocy d. 31 grudnia 1799 roku, odbywa się sabat dyabelski na Łysej górze. Uderza pierwsza godzina XIX wieku; szatani obradują nad losami ludów. Cały ten obraz *przypomina żywo* scenę pokuszenia, w której szatani tworzą Mirandę«.

W dalszym ciągu, streściwszy cały poemat scena po scenie, recenzent wygłaszał taką opinię:

»Chociaż z dzieła poznajemy autora, nie odsłoniemy na razie tajemnicy. Jest to młody człowiek, dobrze znany między rodakami. Mamy już dowody jego talentu, a książka ta uprawnia do jeszcze większych nadziei. Cały poemat, pod względem ducha i formy, pod względem myśli i wykonania, rozpada się na dwie części. Są ludzie posiadający natchnienie, nie posiadający jednak artyzmu. Inni znowu wprawni w sztuce, nie mają talentu poetyckiego. Ani jedno, ani drugie nie może odnosić się do autora *Kordyana*. Nowy ten utwór, jak i pierwsze tegoż autora poezye, odznacza się bogactwem rytmu, czystością i siłą języka, i harmonią w wykonaniu. Poeta jedna sobie czytelnika przez śmiały sposób wyrażania swych myśli. Nie przemawia atoli do serca, nie sprawia głębszego wrażenia. Nie chcemy go sądzić według prawideł sztuki. Nie wspominamy o sposobie, w jaki rozwija akcję. Przebaczymy mu nawet błędy historyczne. Talent może do pewnego stopnia usprawiedliwić kaprysy wyobraźni. Wolno jest poecie oddalać się trochę od prawdy: *Mendax poeta*. Chcielibyśmy tylko widzieć w jego utworach inną zaletę: a mianowicie naturalność. Zdaje się, że Muza autora *Kordyana* czerpała więcej z książek, aniżeli z natury i rzeczywistości. Dla tego jest nieco za teatralną. Ale Muza ta jest młoda, aby się zaś przekonać, czego po niej spodziewać się można, wystarczy przypomnieć *kilka przesłicznych miejsc, jakie mu poddyktowało natchnienie*.

W tym tonie była cała krytyka, której odczytanie o tyle sprawiło przyjemność Słowackiemu, o ile w tej krytyce nie widział jawnej niechęci, o którą posądzał wszystkich stronników Mickiewicza. Oto, co sam z powodu tej krytyki pisał do matki, w liście z d. 27 kwietnia (1834 r.): »Mój śpiew ostatni, jeżeli się nie podobał, to zadziwił. W jednym z pism, po francusku wydawanych, czytałem o nim zdanie i rozbiór, pochlebne o tyle, o ile przeciwna partya ganić nie może, a tą przeciwną mi partyą są — nie szczęściem — wszyscy poeci, na których czele stoi Adam, od tego bowiem, — w Paryżu jeszcze — sam pierwszy stronić zacząłem. Wielu jednakże, w Paryżu, przypisuje pieśń moją Adamowi. Oto wyjątek z listu, pisanego do mnie: »Byłem przytomny, jak Ogiński atakował Adama, a kiedy ten się wypierał, że nie jest autorem dzieła, i że nie wie o niczem, odrzekł (Ogiński): »To przynajmniej wiemy, że pan chce to mieć tajemnicą«. W drugim liście pisze mi jeden ze znajomych (Eust. Januszkiewicz): »Z Memla dokąd egzemplarze posłałem, piszą mi o *Kordyanie* z wielkiem uniesieniem i biorą go za pracę Adama. Z tych doniesień widać, że pracę moją, bezimiennie wydaną, w wielu miejscach przypisują innemu; znając uprzedzenie naszych w tym względzie, nie jest mi niemiłą taka pomyłka«. Z tem uprzedzeniem, o którym tu wspomina Słowacki, nie zdradził się krytyk z *Le Polonais*, i to było wielką wygraną poety. Żałował tylko, że oprócz tej recenzji, napisanej po francusku, żadne z pism polskich nie wspomniało o *Kordyanie*. Nawet *Rozmaitości lwowskie* przemilczały o nim.

Cokolwiekbądź, jedno jest pewne, że poeta stał się

weselszym od niejakiego czasu, rzeświejszym i pogodniejszym: tak dalece, że ostatecznie zaczął nawet nie tać tego przed sobą, że mu jest »dosyć znośnie na tym świecie«. Zapomniawszy o trapiących go jeszcze parę tygodni temu spleenach, przyszedł do wniosku, że uskarżanie się zbyt na los byłoby co najmniej ciężkiem i nie do darowania błźnierstwem z jego strony; przyznawał jednak, że się tak w żądaniach swoich ograniczył, iż »żadne błyszczące marzenia« nie śmia poprostu zakłócać mu spokojności. Co przez te »błyszczące marzenia« rozumiał, trudno zgadnąć; w każdym razie pocieszał się myślą, że jest tem, czem być powinien, sądził bowiem, że nie rozminął się ze swoim powołaniem i że zapełnia sobą, jak należy, »jedną małą kratkę na świecie«. Tak usposobiony, starał się o ile możliwości dążyć do różnowagi w życiu i do harmonii, które cechowały i taką klasyczną pogodą opromieniały np. humanistyczny w każdym calu żywot Jana Kochanowskiego: słowem, starał się teraz wytworzyć w sobie »filozoficzną piękność moralną«.

Pogląd ten zaszczepił mu w duszę dzieła filozoficzne, w których się ostatnimi czasy rozczytywał, szczególnie zaś dyalogi Platona, które (we francuskim przekładzie niezawodnie) najbardziej zdawały się zaprzętać obecnie umysł jego i wyobraźnię, ile że studyowanie ich podwójną sprawiało mu rozkosz: intelektualną i artystyczną (co nigdy dziełu naukowemu nie szkodzi). I nie można mu się dziwić! Platon-filozof, wspomagany przez Platona-poetę, jednego z największych artystów pióra, jacy żyli kiedykolwiek, musiał takiemu człowiekowi, jak Słowacki, w najwyższym stopniu trafiać do przekonania, musiał poprostu budzić zachwyt, nietyle filozoficzną może, ile artystyczną, poetyczną stroną swoich sympozyonów; a nauczając go o godności natury człowieka, o spokojności wewnętrznej, której — według niego — jeżeli są pozbawieni, próżno się ludzie starają o zewnętrzną, etc., nie mógł tem samem silnego nie wywierać wpływu na sposób myślenia poety.

Choć nie da się zaprzeczyć, że tę chwilową pogodę myśli zawdzięczał Słowacki w większej mierze, aniżeli filozofii Platona, fizycznemu zdrowiu, jakim się cieszył od paru miesięcy, a na które doskonale oddziaływały zwłaszcza zimne kąpiele w Arwie. Jest to »zimno-lodowa« rzeczka o ćwierć mili od Genewy. W jednym z listów do matki pisze o niej Słowacki, że zdaje się płynąć cudowną wodą letejską. Od czasu bowiem, jak się w niej kąpał, zauważył, że jest nietylko na ciele silniejszy i zdrowszy, ale i na duszy spokojniejszy, weselszy.

Kąpiele te, nadzwyczaj orzeźwiające podczas upałów letnich, ogromną sprawiały mu przyjemność. Wychodził zawsze z domu o 2-ej. Łazienka, w której się kąpał, stała w małym ogródku, pełnym kwiatów. Do altanki, winną macią obrosłej, w której odpoczywał po kąpieli, zaglądały malwy, jego ulubione kwiaty. »To dziwne — pisał o nich matce — że ja tak lubię malwy, które nie mają zapachu. Sądziłiby ludzie, że jestem nieczuły zupełnie. Mamo moja, kiedyś mały nasz domek, biały jak śnieg, z zielonemi okiennicami, z czerwonym dachem, obsadzimy różnobarwnymi malwami; z tyłu będzie rosło kilka jodeł i kilka brzoź drżących; ścieżki będą wysypane żółtym piaskiem, a jaśkółki nad gankiem gnieździć się będą. O, jakieby to szczęście było!« Tymczasem, dopóki o szczęściu podobnem mógł sobie marzyć co najwyżej, ile razy przyszedł się kąpać, zawsze, nim wskoczył do wody, leżał czas jakiś w altance, rozebrany, ażeby ostygnąć, i czytał przyniesioną z sobą książkę, najczęściej dyalogi Platona, które się jeszcze piękniejszemi wydają, jeżeli się je czyta na świeżem powietrzu, w dzień słoneczny, w cieniu drzew albo w takiej altance, ocienionej winem i umajonej malwami. O ileż lepiej rozumie się wtedy i odczuwa piękność takiego np. ustępu jak ten, którym Słowacki, przetłómaczywszy go na polski, ozdobił jedną ze scen w *Horsztyńskim*: »Sokrates powiedział do Fedona: Gorąco dziś. Jeśli chcesz, to pójdziemy nad błękitny strumień, a rozmawiając, nogi nasze zanurzymy w chłodnej wodzie. Poszli nad strumień. Widzę ich. Siedzieli na lekkiej pochyłości, okrytej bujną murawą. Fale żywe łaskotały ich stopy, platan rozłożysty dawał cień przyjemny i słyszeć było śpiewanie koników polnych, które się kryły w trawie przed upałem południowym. Mówiąc o piękności, Sokrates porównał naturę człowieka do wozu, zaprzężonego dwoma końmi. Jeden, czarny, rwie się i pieni; drugi, biały jak mleko, opiera się zapałowi towarzysza. Woźnica złotemi lejcami poskramia sprzeczne zapędy obu. Czarny koń, to zmysły; biały, to dusza; woźnica, to rozum«. Rzecz prosta, że wobec takiej filozofii zbankrutować musiała w umyśle Słowackiego (choć zbankrutowała chwilowo tylko) filozofia nudy i zniechęcenia, której wyrazem był *René* Chateaubrianda (i Szczęsny Kossakowski w *Horsztyńskim*), filozofia, usiłująca dowieść, że nuda i zniechęcenie są dwiema najwybitniejszymi cechami ludzi teraźniejszych. Wniosek wprost powyższemu przeciwny — pod wpływem dzieł Platona i rajskej malowniczości pejzażu szwajcarskiego w lecie — był nieuniknionym wynikiem zastanowienia; nie dziw więc, że pod

tym względem znaczny nastąpił zwrot w zapatrywaniach Juliusza, w sposobie jego patrzenia na życie: zamiast, jak dawniej, obawiać się, żeby się wskutek ciągłego osamotnienia nie zamienić z czasem — w ostrygę, wszystko jedno, czy w zwykłą ostrygę, czy w piękną konchę perłową (o możliwości podobnej metamorfozy wyczytał w jakimś autorze angielskim), i zamiast, jak do niedawna jeszcze, uważać teraźniejszość za »czas czyścowej próby« jedynie, używanie dóbr tego świata do szczęśliwszych odkładając czasów: zaczął więcej, niż kiedykolwiek, sympatyzować z naturą, którą, jak powiada, czuł teraz do głębi duszy; z niej starał się czerpać natchnienie do pracy, ochotę do życia, na jej łonie szukając wytchnienia, ukojenia, spokoju wewnętrznego, harmonii. Nigdy też w tym stopniu, co dziś, nie odczuwał tak jej piękności, nie lubił z nią tak przebywać sam na sam. I gdyby nie przeświadczenie, że »wśród takiej natury koniecznie trzeba się kochać«, potrzeba »serce mieć tylko napełnione i spokojne«, kto wie, czyby mu na tym świecie nie było zupełnie dobrze. Niestety, w sercu jego wyrył ślepy los krwawymi zgłoskami Baltazara przeraźliwe słowo: pustka. Czy serce to obudzi się kiedykolwiek? Trudno było przewidzieć. Dziś w każdym razie nie zanosilo się na nic podobnego.

II.

Jednego z ostatnich dni lipca zaproponowała Słowackiemu pani Wodzińska, wybierająca się z całą prawie rodziną na parę tygodni w Alpy Berneńskie, ażeby się przyłączył do ich grona. Projekt ten, oczywiście, trafił mu do przekonania odrazu; pojmował bowiem, że taka wycieczka w góry, w najromantyczniejsze, najcudowniejsze legendami opromienione strony ojczyzny Tella, wzbogaciłaby jego wyobraźnię niezliczonem mnóstwem obrazów, co, dla poety, nieocenionym mogło być poprostu nabytkiem. To też, choć okoliczności nie bardzo sprzyjały tak kosztownemu bądź co bądź przedsięwzięciu, postanowił, nie bacząc na nic, skorzystać z okazji i wybrać się. Widział wprawdzie, że Eglantyna (która po powrocie niedawno z Paryża, skąd mu przywiozła w upominku piękny kryształowy kielich, leżała chora w łóżku przez parę dni i teraz dopiero zaczynała zwolna przychodzić do siebie) nie bardzo chętnem na projekt ten spoglądała okiem — bo przykro jej było pomyśleć o nowem z Juliuszem rozłączeniu na

parę tygodni — z drugiej strony jednak nie uważał tego za wystarczający powód, ażeby się do towarzystwa Wodzińskich nie przyłączyć. Jedyne względy, które go w domu zatrzymać mogły, były względy materyalne, ale usunęła je pani Patteg, która przydała mu do jego wypróbnionej kasy potrzebną ilość franków, tak, iż droga była przed nim wolna zupełnie. Nawet Eglantyna przekonała się ostatecznie, że zawiele żądała od swego »brata«, kiedy nalegała nań, ażeby dla niej to zrobił i nie jechał. Wszak i jemu także należało się trochę rozerwać! Tak długo nie wychylał się nigdzie!

Skończyło się na tem, że dnia 31 lipca, na pokładzie statku, wypływającego z Genewy, o godzinie 9-ej zrana, w gronie rodziny Wodzińskich, panny Mallet i młodego Darowskiego (albowiem on był zdaje się owym ziomkiem ze Żmudzi, o którym wspomina Słowacki w liście do matki) znalazł się także i autor *Kordyana*. Ten ostatni, w bluzie płóciennej, haftowanej zielonym jedwabiem, z mantelzakiem na plecach, przepasany czarnym pasem skórzanym, w białych szarawarach, w kapeluszu z białej i czarnej słomy plecionym, dość niskim, ale z ogromnemi skrzydłami, ozdobionym pasową wstążką, w trzewikach na grubej podeszwie — umyślnie do chodzenia po górach — z wysokim, białym kijem w rękę (wyższym od niego), zakończonym u dołu kołcem żelaznym, podobny w tym kostiumie do sielankowego Filona, wyglądał tak młodo, że, jak powiada, dawano mu 15 lat wieku. Tak go zapewniano przynajmniej, przemilczając tylko, że w kostymie tym nie tylko wyglądał bardzo młodo, ale i trochę śmiesznie, i że przez pryzmat tego komicznego wrażenia miano się mu przypatrywać dłużej znacznie, aniżeli trwała wycieczka. Nie okazywano mu tego jednak, a on, niedomyślny, wszystkie komplementy, które go darzono, brał za dobrą monetę i przekonany był, że się w tym sielankowym kostiumie rzeczywiście podobał pannom. Tymczasem rzecz się miała przeciwnie.

Rozległ się wreszcie sygnał do odjazdu, zahuczała basowym swym, jakby zachrypniętym głosem, świstawka parowa, tak głośno, że aż echo odbiło się o skały Salève, zdjęto pomost, zwinięto liny, zakotłowała się woda pod kołami i parostatek, rzucając na miasto kłęby czarnego dymu, odbił od brzegu. Niebawem minął Paquis (gdzie niezawodnie, powiewając chustką na pożegnanie, stała Eglantyna), potem wyrzało Coppet, gdzie pani Staël mieszkała, po chwili jednakże i Coppet zasunęło się w głąb. Z kolei przepływało koło Lausanne; koło Ferney, nad którym

świecił się w słońcu krzyż kościoła, wzniesionego Panu Bogu przez Voltaire'a; koło Clarens, skąd Saint-Preux, patrząc na skały Meilleries po drugiej stronie jeziora, pisał do Julii swe najpiękniejsze listy; potem ukazał się unieśmiertelniony przez Byrona zamek Chillon; aż wreszcie, po siedmiogodzinnej żegludze, wylądowano w miasteczku Villeneuve.

Z Villeneuve, dawnego Avencium, udano się dwoma wynajętymi powozami do sławnego (w Szwajcaryi) swojemi kopalniami soli miasteczka Bex, dokąd zawitano już o zachodzie słońca i gdzie zanocowano. Na tem zakończył się pierwszy dzień »wojażu«, dzień wesoły od początku do końca, od chwili, kiedy się rano zeszli wszyscy w przystani, aż do chwili, kiedy sobie po wieczerzy, spożytej w Bex, w jednym z tamtejszych domów zajezdnych życzone wzajemnie dobrej nocy. Podróż statkiem parowym, przy najpiękniejszej pogodzie, pod dachem płóciennym ochraniającym od słońca, przy jednostajnym szumie rozbijanej kołami wody, wśród powodzi światła dookoła, wśród najcudowniejszych krajobrazów (zeszpeconych jedynie, zdaniem Słowackiego, mnóstwem winnic, okrywających wszystkie wzgórza nadbrzeżne, a »nudnych dla wzroku«), podróż, urozmaicana śpiewami i śmiechem, rozmowami wesołemi i poważnemi naprzemian, osładzana cukierkami, a dzięki zapasowi prowiantów obfitująca w liczne gastronomiczno-gambrynusowskie *intermezja*, wpłynęła na humor i usposobienie wszystkich o tyle dodatnio, iż życzyć sobie należało, ażeby reszta podróży w podobny przeszła sposób.

Nazajutrz od samego rana, zaraz po śniadaniu, udano się do miejscowych kopalni. Kopalnie te, jak nasze w Wieliczce, ciągną się pół mili pod ziemią. Zwiedzanie ich, w płaszcach płóciennych, z kagankami żelaznemi w rękach, wśród ciemności korytarzów, wąskich i wilgotnych, przypominających kręgi dantejskiego Piekła, bardzo silne na wszystkich zrobiło wrażenie, a najsilniejsze zdaje się na Słowackim, który powiada, że »było w tej podróży prawdziwie coś uderzającego imaginacyę, zwłaszcza prochem rozsadzane skały«. Reszta dnia upłynęła na oglądaniu samego miasteczka Bex i okolic, które są bardzo malownicze.

Ze świtem następnego poranku wyruszono w dalszą drogę: pani Wodzińska z córkami i panną Mallet — powozem; mężczyźni pieszo, obok. Pogoda była, jak wymarzona; góry, oświetlone wschodzącem słońcem, prześliczne; humor doskonały. Panna Mallet, stara panna, »trochę podtusiała«, nie mogąca spokojnie usiedzieć w powozie, do-

starczała młodzieży, swoim zamiłowaniem do botaniki i swoją puszką zieloną do zbierania owadów i roślin, nie mało tematu do złośliwych conceptów i żartów; panny Józefa i Marya (bo najmłodsza ich siostrzyczka, Terenia, została w domu pod opieką pana Basclop i pięknej miss Wagner) uśmiechały się do siebie, ile razy spojrzały na Słowackiego i na jego płócienną pelerynę z haftem (gdybyż o tem wiedział Słowacki!); najmłodszy z synów pani Wodzińskiej, który z rozpacz, że panna Saladin nie brała udziału w wycieczce, wziął na siebie rolę pajaca, pobudzał raz po raz towarzystwo całe do śmiechu; najstarszy, Antoni, smętny i zamyślony, bo »stracił niedawno i pochował w grobie kochankę«, uchodził w oczach wszystkich za »osobę melancholijną towarzystwa«; autor *Kordyana*, ani przypuszczając, że panny, kiedy się nie patrzył na nie, żartowały sobie na temat jego peleryny, nie szczędził im komplementów, szczególnie pannie Maryannie, która, uważał, bardzo »miłą« była i zajmującą (pani Wodzińska wydała mu się także »bardzo miłą osobą«); słowem, wycieczka zapowiadała się jaknajlepiej, bo »różnica charakterów podróżujących osób dobrą razem tworzyła harmonię«. Zbierano kwiaty, botanizowano, podziwiano piękne widoki, śpiewano różne pieśni, co Słowackiemu dało pochop, że i on nie został w tyle za innymi, lecz, ośmielony przykładem towarzyszków, śpiewał również; i tak przez całą drogę aż do Martigny, gdzie przenocowano i skąd, znowu o świcie, jak poprzedniego dnia, wyruszono dalej.

O wschodzie słońca, kiedy Martigny dawno zniknęło już z oczu, a zaczynała się słynna, przez Napoleona wykuta droga na Simplon, droga, biegnąca pomiędzy dwiema olbrzymimi ścianami skał, nad przepaścią i nad rwącym strumieniem, huczącym na dnie przepaści, spotkano pogrzeb wiejski. Kilkoro ludzi w łachmanach i ksiądz, przodem idący, stanowili cały orszak, a śpiew pogrzebowy, zagłuszany szumem potoku, prawdziwie hamletowe nasuwał myśli, przynajmniej Słowackiemu, któremu ta żałobna gromadka przypomniła owe pogrzeby wiejskie, przez step ciągnące na cmentarz, jakie widywał niegdyś dzieckiem będąc, w Wierzchówce na Podolu. Albowiem, dziwna rzecz, podczas wycieczki tej ciągle zmiana miejscowości sprawiała często, że upatrywał w nich raz po raz podobieństwa ze swemi stronami rodzinnymi. »Nigdy (powiada) tyle cieniów przeszłości nie stanęło przedemną; różne twarze znajomych i umarłych stawały po drogach i przeprowadzały mię, jak wierne przyjaciół; różne zapomniane piosnki cisnęły mi się do ust moich; było mi smu-

tno i miło«. Dzięki wspomnieniom tym, ponieważ nic nie rozmarzyło go tak, jak powrót myślą do lat dzieciennych, bywały chwile, w których i on »ponury« i zamyślony, stawał się obok młodego Antosia Wodzińskiego »osobą melancholijną towarzystwa«. Chwile takie nie trwały jednakże długo na szczęście, tak, iż poeta, nowemi ciągle zajęty widokami, nowemi wsiami, które mijano, nowemi ludźmi — przeważnie ubogimi — których spotykano, nie miał poprostu czasu na rozpamiętywanie rzeczy minionych: zbyt na to była interesująca i pogodną teraźniejszość, która, chociażby tylko jako panorama, świeżemi wciąż poiła wzrok obrazami.

W ten sposób dotarto szczęśliwie, bez żadnych przygód, do wsi Bourg St. Pierre, od której począwszy, resztę drogi odbywano pod przewodnictwem *guide'ów*, na murłach. O godzinie 5-ej wieczorem wjechano w krainę lodów i śniegów, mając z boku lodowiec de Menouve, aż w końcu, między skałami, w ciemnem już, mglistem powietrzu, osamotniony wśród dzikiej okolicy górskiej, ukazał się słynny klasztor św. Bernarda, kres pierwszej części podróży.

Przed klasztorem, na ganku, oczekiwał już gości ksiądz gwardyan, w czarnym habicie. Na dziedzińcu, nieopodal, leżał ogromny pies. Za klasztorem, w którego kilku oknach świeciło się, błyszczało, oprawione w skalisto-śnieżne ramy, jezioro Champey, czarno-olowianego koloru.

Klasztor sam, nazewnątrz jak i wewnątrz, wydał się Słowackiemu zachwycającym poprostu. Jako mury, jako budynek, jako siedziba, położona wśród wiecznych śniegów i zamieszkała przez ludzi, uciekających od burz i pokus życia, a oddanych Bogu, dobrym uczynkom, modlitwie i wzniosłej kontemplacyi, żyjących duchem, nie ciałem, zrobił na nim przybytek ten (w r. 962 przez św. Bernarda z Mentony założony) bardzo podniosłe w pierwszej chwili wrażenie. »Niestety, ludzie nie odpowiadają często wielkości powołania«. Refleksya ta nasunęła się autorowi *Mnicha* przy wieczerzy, podczas której panował jego zdaniem ton zbyt świecki. Dla niego, który w swej wyobraźni poetyckiej identyfikował pojęcie zakonnika z pojęciem ascety, brakło tu przede wszystkim tej atmosfery mistycznej — podczas wieczerzy przynajmniej — którą spodziewał się znaleźć w klasztorze. Ksiądz-gwardyan np. wprowadził go w zdumienie swoim zachowaniem się światowem, które mogłoby zwrócić na siebie uwagę »nawet na dworze Ludwika XIV«. Że zaś i inni braciszczowie nie ustępowali pod tym względem swemu przełożonemu, więc skończyło się na tem, że wspinały refektarz gotycki — śmiało mogący

służyć za tło jakiejś romantyczno-ponurej scenie z poematu Byrona lub romansu Walter-Scotta — przeobraził się ku niewymownemu zdziwieniu poety w jakiś wielkoświatowy salon z czasów Ludwika XIV, w którym towarzystwo, malowniczo ugrupowane dokoła wielkiego stołu przy świetle lamp i trzaskającego na kominku ognia, »śmiechem i żartobliwą rozmową odstraszało wszelką myśl wzniosłą i smutną«.

Po skończonej wieczerzy udano się na spoczynek: damy, jako niemające prawa nocować w obrębie murów klasztornych, do przyległej *dependance St. Louis*; mężczyźni do przeznaczonych dla siebie cel, zimnych, jak lodownie.

Nazajutrz, rano, zaraz po śniadaniu, obejrzano wszystkie osobliwości miejscowe, poczynając od kościoła, gdzie jest piękny pomnik jenerała Dessaix, a kończąc na t. zw. *morgue*, czyli małym domku w pobliżu klasztoru, gdzie bywają składane trupy znalezionych w górach — pod śniegiem najczęściej — wędrowców. »Okropny widok! Zmarzłe ciała mężczyzn i kobiet siedzą i leżą w różnych pozycjach, jedne do szkieletów podobne, drugie czarną skórą powleczone«.

Z góry św. Bernarda udano się znów z powrotem do Martigny, zład po dwóch dniach pieszej podróży doliną Rodanu, »wśród uśmiechającej się krainy wiosny«, zatrzymując się po drodze w różnych wsiach, miasteczkach, oberżach i szaletach pasterskich, dotarto do sławnej miejscowości kąpielowej Louèche-les-Bains, gdzie przenocowano.

Z Louèche zrobiono wycieczkę na górę Gemmi. Trzy godziny jechać na nią potrzeba na mułach, a tak jest stercząca, że, przypatrując się jej, łatwiej pomyśleć o jakiejś ścianie prostopadłej, aniżeli o górze. Droga, w zygzak wykuta, ciągle wisi nad przepaścią. Szeroka cztery stopy za ledwie, tak, iż dwom mułom wyminąć się na niej trudno, wyślubiona w granicie, na podobieństwo rynny, w ten sposób, że idąc nią, zawsze się ma jakby sklepienie nad głową (w dni dżdżyste chroniące od deszczu, który tu nie ma przystępu) wznosi się piętrami coraz wyżej, a tak przedziwnie, że dwaj podróżni, oddaleni od siebie nieraz o jakie sto kroków, już się nie widzą wzajemnie, ponieważ literalnie stoją jeden nad drugim. Widok zewsząd, z każdego zakrętu, piękny nie do opisania. Stanąwszy na szczycie (co się wydaje w wprost niemożliwym, jeżeli się górze Gemmi przypatruje z dołu), obejmuje się jednym rzutem oka: całą dolinę Rodanu i całe pasmo Alp Berneńskich i Ober Wallis, nad których śnieżnymi wierzchołkami, tak

efektownie rysującami się na turkusowem tle nieba, króluje dumna Mont Rosa. W dole, u samego podnóża góry, na zielonej równinie jaśnieje w słońcu miasteczko Louèche, a jak powiada Słowacki w liście do matki i Teofilów, »żadne opisy nie odmalują wam zieloności szmaragdowej, którą widać w dolinie, tych domów białych, które po niej są rozsypane, tej góry żółtego koloru, tych gazowych chmur, które się wieszają po jej szczytach. A ja to wszystko widziałem!« I nie tylko widział, ale oglądał w miłym towarzystwie osób, w otoczeniu których czuł się, jak między swoimi, i z którymi — w rodzinnej mowie — dzielić się mógł wszystkimi odbieranymi wrażeniami, wszystkimi myślami, jakie mu się przesuwaly przez mózg, wszystkimi zachwytaami, jakich doznawał. A doznawał ich przecież na każdym kroku!

Ze szczytu góry Gemmi, po obiedzie w hotelu Wildstrubel, położonym tuż pod wierzchołkiem Daubenhorn'u na wysokości 2,952 metrów nad poziom morza, poczęto zmierzać — pod wodzą przewodników — w kierunku północnym, drogą dziką, pustynną, pomiędzy skałami, gdzie-niegdzie pokrytymi białymi szmatami śniegów, i znów w przeciągu paru godzin nie widziano dokoła siebie nic, tylko skały, śnieg, niebo i granatowo-czarne jeziora, prze-ważnie zamrożone jeszcze do połowy, po których pływające kry dziwnie ponuro i złowrogo odbijały swą śnieżną białością od ciemno-błękitnej tafli wody. Przechodząc tędy, mimowoli doznajesz złudzenia, że błądzisz po jakiejś zimnej, bezludnej krainie śmierci. Całe szczęście, że, jakby w nagrodę za to przygnębiające uczucie, z chwilą, kiedy się staje na dole, po przeciwnej stronie góry Gemmi, zaczyna się istna ziemia obiecana, pełna zieleni, drzew najpiękniejszych, łąk kwietnych, rozbrzmiewająca szumem potoków, kaskad srebrnych, z gór spadających, szaletów prześlicznych, etc., rozmarzająca melancholijnem dzwonieniem trzód, rozśpiewana jodlowaniem pasterzy i pasterek, skąpana w powodzi światła i ciepła.

Wśród takiej arkaadyjskiej prawie okolicy, trzymając się wciąż wybrzeży Kanderu, dochodzi się aż do jeziora Thun. Nad jeziorem, u samego ujścia Aary, strasznie szumiącej i błękitnej, leży miasteczko Thun, w którym się zatrzymano na nocleg, ażeby o świcie następnego dnia wsiąść do łódki i przepłynąwszy na drugą stronę jeziora, dostać się po dobrym kwadransie drogi biegiem Aary — na podobieństwo kanału łączącej jeziora Thun i Brienz — do Neuhaus, zkad już powozami jedzie się do słynnego Interlacken, najbardziej malowniczego zakątka Szwajcaryi.

Z Interlacken, gdzie w banalnem towarzystwie licznych turystów-Anglików, grasujących tu, niby szarańcza, podziwiano przedewszystkiem widok na Jungfrau, zrobiono wycieczkę (zdaje się nazajutrz dopiero o wschodzie słońca) łódkami przez jezioro Brienz do sławnej kaskady Giessbach.

Z czeluści czarnej, niebotycznej skały Schwarzhorn'u, szumiąc przeraźliwie, wypada nagle gwałtowny, spieniony potok, który, zlatując z wysokości kilkuset stóp, roztrąca się o najeżone głazy, poczem natychmiast, z szalonym, iście piekielnym łoskotem, podobnym do nieustannego grzmotu, w dalszej gubi się otchłani. Takie jest pierwsze piętro kaskady, a piętr takich, zanim woda ze szczytu przeleje się do jeziora, jest siedm: każde inne, każde w swoim rodzaju najpiękniejsze: tam widzisz białą strugę wody, spadającą pionowo, niby wysmukłą, kryształową kolumna; tam potok zwija się w wir, z którego, jak z wypełnionej czary, spływa na niższy stopień kilkoma »warkoczami«; aż wreszcie, przy spływie z drugiego piętra na trzecie, woda cisną się w przepaść z takim pędem, że się wygina w przedziwny, do szlannej bani podobny obłok, pod którym, nie zamoczywszy stopy, przejść można na drugą stronę potoku i, jak przez ruchomą kratę z roztopionego srebra, patrzeć na całą okolicę: na błękitne wody jeziora Brienz, na malownicze ruiny zamku Ringenberg, na pobliskie góry, lasy i wsi. Na niższych piętrach zielenią się łąki i leszczynowe lasy, wśród których wodospad, ujęty jakby w szmaragdowe ramy, pieniać się i hucząc w kamienistym łożysku, to przedzierając się przez ciasne otwory w skałach, lub rozpryskując się o nie w krople brylantowego deszczu, podobnego do białej, srebrzystej mgły, w coraz to inny sposób zachwyca oko wędrowca, aż nakoniec rozstrzelony na kilkanaście odnóg, spleciony i skłębiony, gubi się w nurtach jeziora. W dni słoneczne — a w taki dzień słoneczny właśnie był tu Słowacki z Wodzińskimi — zawisa ponad wodami Giessbachu, prawdziwie czarodziejskiego dodając im uroku, najcudowniejsza tęcza, która »na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza«.

Widok »warkoczy« Giessbachu, srebrzących się wśród bujnej zieleni leszczyn i świerków, przypomniał Słowackiemu Zofiówkę, gdzie po raz pierwszy w życiu, dzieckiem będąc, oglądał podobne, choć sztuczne i nie tych rozmiarów, kaskady i gdzie z takim »rozemdleniem serca«, zasłuchany w szum spadającej wody, marzył o Ludwice Śniadeckiej. Z kolei — na zasadzie prawa kojarzenia się wyobrażeń — przypomniały mu się Julinki, Wierzchówka, jarzębiny, rosnące nad brzegami Ikwy etc. etc.

Po obejrzeniu Giessbachu rozłączył się Słowacki z częścią towarzystwa; damy bowiem, zmęczone i przerażone podróżą po przepaścistych górach, zrezygnowawszy z piękności Grindelwaldu i Oberhassli, postanowiły z Interlacken udać się powozem do Lucerny, i doczekawszy się tam »chłopców«, przez których rozumiały i Słowackiego także, wracać razem — znowu powozami — do Genewy. Jakoż stało się, jak zdecydowano: panie wróciły do Interlacken, »chłopcy« zaś, »trochę smutni z rozłączenia się, trochę weseli z odzyskanej swobody«, ruszyli pieszo przez góry w kierunku Lauterbrunn, odkąd począwszy, zaczął ich wojaż karmić najcudowniejszymi widokami dolin różnych, lasów, kaskad, strumieni, lodowców.

Nic piękniejszego naprzykład, jak droga z Interlacken do wioski Lauterbrunn, przez wąwóz tego imienia. Szosa ciągnie się wzdłuż brzegu rzeki Lütchine'y, do której z niesłychanym szumem wpada ze wszystkich stron niezliczone mnóstwo strumieni i strumyków, potoków i źródeł. Ztąd nazwa miejscowości, ponieważ Lauterbrunn oznacza po niemiecku: same źródła. W końcu wąwozu znajduje się sławna kaskada Staubbach. Widziana z przodu — a widać ją już z ganku oberży w Lauterbrunn — podobna jest do wspaniałego welonu, poruszanego wiatrem, a to z powodu, że woda jej, nigdzie się prawie o skały nie obijając, spada z wysokości ósmiu stóp, zmieniona we wstęgę mgły białej, lecącej na dolinę, nad którą, niby olbrzym śnieżny, króluje przepiękna piramida góry Jungfrau.

Bardziej jeszcze, aniżeli dolina Lauterbrunn, podobała się Słowackiemu dolina Grindelwald. Jedną z osobliwości jej, która wielki wzbudziła podziw w przyszłym autorze poematu *W Szwajcaryi*, są dwie rzeki lodów, zachodzące aż na sam środek przestronnej równiny, tak, że promienna ich białość, chwilami oślepiająca poprostu od słonecznego blasku, nadzwyczaj efektownie odbija od jaskrawego kolorytu usianych kwiatami łąk. Tam też, dzięki szczęśliwemu (dla podróżnych jedynie) przypadkowi, udało się Słowackiemu widzieć spadające z gór lawiny, czyli t. zw. awalansze. »Huk, podobny do piorunu, rozlega się po dolinie, ile razy bryła śnieżna oderwie się z czoła gór«.

Największe jednak, prawdziwie niezapomniane wrażenie zrobił zdaje się na poecie lodowiec Wetterhornu, przez mieszkańców Grindelwaldu powszechnie »większym« nazywany, a obfitujący w widoki, jakby z jakiegoś fantastycznego świata baśni. Najeżony z zewnątrz piramidami olbrzymich złomów lodowych, w najdziwniejsze połamanych kształty, przenosi wyobraźnię widza — o zachodzie słońca

zwłaszcza, kiedy lodowiec cały wygląda jakby się palił miejscami — w podbiegunowe strefy wiecznych mrozów; wewnątrz zaś, pod spodem onej masy lodu i zlodowaciałego śniegu, obfituje w tego rodzaju grotty lodowe, że opisać ich ani wymalować nie sposób: światło słoneczne, przeświecając przez rozpostarte nad głową niebieskawe sklepienie z lodu, sklepienie, które chciałoby się porównać do jakiegoś kryształowego, drogiemi kamieniami nabijanego sufitu, załamuje się w niem w najprzecudniejsze tęcze, niby w milionach pryzmatów; wszędzie »ze sklepienia łyż spadają duże, a we łyżach sylfy z jasnością ogromną deszczem spadają«. Pod stopami czernieje przepaść, na której dnie szumi potok, podrywający lody.

Zwiedziwszy grotę, z której wychodząc, ma się odrazu przed oczyma, jak na dłoni, całą dolinę Hassli, uśmiechniętą, zieloną, kwitnącą, zdecydowano się pójść na Faulhorn, gdzie jeszcze, jak do owego czasu, niewielu było podróżników, a z kądem, jak zapewniali przewodnicy, nieznównany ma być widok na Alpy. Jakoż następny już zachód słońca zastał Juliusza i jego towarzyszków na szczycie Faulhornu, przed oberżą, która jest (a przynajmniej była wtedy) najwyższem mieszkaniem w Europie. »Wojażerowie, chcąc patrzeć na okolicę, muszą wychodzić z domu kołdrami okryci. Mróz nam dopiekał, ale też jaki widok! O zachodzie słońca mgły nas owiały i staliśmy na szczycie góry, jak na pokładzie płynącego do nieba okrętu. Zaczzerwienione słońce było niżej, aniżeli my, a jeszcze miało drogę do przebycia, nim zaszło. Za nami, z mgły, wychodził ogromny szereg gór śnieżnych — Wetterhorn, Finsteraarhorn, Jungfrau i mnóstwo innych: — niktby w godzinę nie porachował ich szczytów, a wszystkie były czerwone od słońca, ogniste, jakby rubinowe. Nocowaliśmy w oberży. Zrana widzieliśmy wschód słońca, czysty, bez żadnej mgły. Przepaście, błyszczące jeziora, cała Szwajcarya leżała pod nami, widna, jasna. A jaka cichość dokoła!« Mimowoli przychodziła na myśl ostatnia tercyna z pierwszego krymskiego sonetu.

Z góry Faulhorn puszczono się raz jeszcze do czarujących dolin Ober-Hassli, aby zobaczyć spadek Aary, »gdzie Aar wody błękitnemi spada«, i źródła Rodanu,

Gdzie śnieg przybiega aż do stóp człowieka
Spłaszczoną pletwą, jak delfin olbrzymi;
Para mu z nozdrza srebrzystego dymi,
A Rodan z paszczy błękitnej ucieka.

Przenocowawszy następnie — już po raz czwarty — w zimnej oberży pośrodku śniegów Grimsel, »śliczną drogą świętego Gotarda«, przez Andermatt, gdzie oglądano słynną

Teufelsbrücke, skierowano kroki wzdłuż brzegów Reusse'y w kierunku Altdorf, gdzie Wilhelm Tell strzelał z łuku do jabłka na głowie swego dziecka. Dziewiątego dnia wreszcie, licząc od owych dni rozstania się z damami w Interlacken, nastąpiło spotkanie się z niemi nad brzegiem »najpiękniejszego« Jeziora Czterech Kantonów, w Lucernie. Okazało się, że damy bawiły tu od tygodnia przeszło, nie spokojne o »chłopców«, czy im się co złego nie stało w drodze, że tak długo dawali na siebie czekać. Obawy te jednak były płonne, chłopcy bowiem, lubo zdrożeni, wracali zdrowi i w brylantowych humorach. Jeden tylko Słowacki usposobiony był smętniej.

Nazajutrz zrobiono wycieczkę czółnami do kaplicy Tella, ukrytej »w cieniu ze skał i pod wieńcem borów«, a wystawionej w miejscu, gdzie legendowy oswobodziciel Szwajcaryi, uwolniony z okowów, wyskoczył na brzeg, łódź z Gesslerem odepchnąwszy nogą na rozszałałe od burzy jezioro. Słowacki, nie zdając sobie sprawy, czemu jest smutny dnia tego i do zadumy skłonny, nie podzielał wesołości reszty towarzystwa; i kiedy inni, wysiadłszy z czółen, z zajęciem oglądali naiwne freski, zdobiące ściany kaplicy Tella, a przedstawiające najdramatyczniejsze chwile z dziejów oswobodzenia Szwajcaryi, on, zadumany i nastrojony tęsknie, melancholijnie, siedział na progu, przed kaplicą, i patrzył w wodę, przypatrując się, jak na »swawolnej i ruchomej« fali mienia się tu i owdzie »plamy od sosen, co się kołyszają na niebie, i od skał cienia«. Wtem — wnosząc z wiersza *Na Nilu* — o dziwo! podniósłszy oczy, spostrzegł, że panna Maryanna, »jak przywabiony gołąb' białością smutnego ptaka«, siedziała nad nim.

I długo nas ludzie
Widzieli nad jeziorem, dumających razem,
Nie wiedząc, żeśmy w toniach błękitnych szukali
Gwiazdeczki szczęścia, bardzo dawno utraconej.

Od chwili tej, dziwna rzecz! wesołość odbiegła go zupełnie: pierś wzbierała westchnieniami i nieuchwytnymi pragnieniami; w głowie paliło się od tysiąca sprzecznych myśli; do oczu cisnęły się łzy, często bez najmniejszego — na pozór — powodu. I tak np., kiedy się następnego dnia wybrano na Rigi-Kulm, z kądem widok na Alpy rozleglejszy jeszcze, aniżeli z Faulhornu, ale mniej piękny, góry bowiem, widziane z oddali, »nie przerażają wielkością swoją rozumu, a nawet imaginacyi człowieka«: on, zamiast iść w ślady swoich towarzyszków i, jak oni, z zachwytem patrzeć na wschodzące nad Szwajcaryą słońce, patrzył na nie wzro-

kiem osłupiałym, błędnym, »bez przerażenia« i, jak powiada, mimowolnie płakał, nie wiedząc nawet, czemu... Czemu? Dlatego zapewne, że mu spokoju nie dawała myśl, trapiąca go już od niejakiego czasu nieustannie, myśl, że »wśród takiej natury trzeba być smutnym albo trzeba się kochać« i że to życie tułacz, jakie pędził, »mogłaby tylko miłość rozświecić«. Myśl ta wyciskała mu łzy i czyniła wyjątkowo czułym na wszystko. Rozczulała go cichość i małość chat, rozsianych po dolinach i zboczach gór, między zwierciadełkami kilkunastu jezior; rozczulał widok tego szmatu ziemi, który on, stojąc na szczycie, nad przepaścią, wyżej od wychylającej się z za widnokręgu kuli słonecznej, ognistej, jakby z miedzi, ogarniał jednym rzutem oka, a który był jednak całą ojczyzną Szwajcarów.

W takim usposobieniu powrócił Słowacki dnia 20 sierpnia przez Bern do Genewy, do domu pani Patteg, do swojego ogródka nad jeziorem, do swojej altanki, do swoich kąpiei w Arwie. Niestety, ponieważ wrócił smutny i z sercem, wprawdzie nie przeszytem jeszcze na wskroś, ale draśniętem już zlekka zatrutym grotem Amora, choć nie przypuszczał wcale, ażeby to mogło być smutku jego przyczyną, wszystko zaczęło go tu razić, drażnić. Przyjemność sprawiło mu tylko pierwsze powitanie z Eglantyną i p. Patteg. Zresztą, patrząc na otaczający go świat przez zakopcone szkła owej »tęsknoty i ponurego smutku«, które — jak się uskarża przed matką — wycieczka ta zostawiła mu w sercu, wyobrażał sobie, że na drogę jego rzucił Pan Bóg same »serca z kamienia«, samych ludzi zimnych, niezabawnych, niedowcipnych, nieczułych. Atmosfera *pension*'u pani Patteg, pełnego o tej porze cudzoziemców, »ludzi, którzy się na chwilę poznają, aby się znów rozłączyć i zapomnieć o sobie«, oddziaływała nań przygnębiająco, pobudzając do przeczuć, które go ostatecznie do reszty wtrącały w otchłań spleen'u. Z wyjątkiem jednej może Eglantyny i jej matki, o których życzliwości i czułości dla siebie nie mógł poprostu wątpić, widział we wszystkich, a bardzo być może, iż w pannie Maryannie przede wszystkim, »serca z kamienia«, obojętność i lodowaty chłód. Przekonany — na szczęście chwilowo tylko — że nikomu na nim nie zależy naprawdę, że w nikim nie budzi współczucia jego niešťczęśliwa, dantejska dola tułacza, który, nie mogąc powrócić do swej rodzinnej ziemi, musi wciąż deptać obcych ludzi łany, porównywał się do kamiennego słupa na drodze, przy którym różni przechodnie zatrzymują się na chwilę — albo nie zatrzymują się nawet — aby wyczytać niezrozumiały dla nich napis, i ruszają dalej.

Przeświadczenie to, po części uzasadnione, trapiło go, jak zmora, a zarazem o dziwny jakiś, nieusprawiedliwiony niczem napozór przyprawiało niepokój; przedewszystkiem zaś, gdziekolwiek się obrócił, prześladowały go wspomnienia tej wycieczki z Wodzińskimi, w towarzystwie owej »czarnobrewej panienki«, której ani osobą swoją, ani talentem nie imponował. Noclegi w oberżach, popasy w szaletach, dzwonki pasących się trzód, szum wodospadów i strumieni, Anglicy przy *Table d'hôte* w Interlacken, śpiew ptaków w dolinie Hassli, pieśni szwajcarskie przy akompaniamencie gitary i cytry, piękne Szwajcarki w Rougemont, (wsi, słynnej z piękności kobiet), zakonnicy z klasztoru św. Bernarda, rozmowy z Maryą przez drogę, zachody słońca, podczas których ona »od Alp na śniegach różowych różowa«, stała przy nim, jak Astarte przed Manfredem, kaskada Giessbach, przy której widział ją »pod jasną tęczą różnofarbnej bramą«: wszystko to majaczyło mu przed oczyma, nabierało szczególnego jakiegoś poetycznego uroku, rozmarzało, świadcząc niezbiecie, że »za tym zmysłem, co kochać przymusza«, zaczynało już iść zwolna w ślady także i serce poety, a za sercem — dusza.

III.

Z nadejściem jesieni, Słowackiego ulubionej pory roku, wstąpiła mu w duszę pogoda. Byłżeby to wpływ budzącego się w nim uczucia miłości, tej miłości, w którą wierzył, że ona jedna tylko mogłaby cokolwiek to mroczne życie tułacza rozjaśnić? W każdym razie, kąpiąc się w ciepłych promieniach słońca, które jakby złotawym pyłem przesycalo powietrze, i chodząc po ogrodzie, wsłuchany w melancholijny szelest spadających liści, pożółkłych i, rzekłbyś, pachnących jesienią, czuł jakąś błogość dokoła siebie i spokój. Usposobienie jego, tak zmienne zazwyczaj i tylu sprzecznym wpływom podległe, stało się podobnem do gładkiej toni Lemanu, i już się nie nudził tak, jak np. rok temu o tej samej porze. Pustka, która go do niedawna jeszcze prześladowała swoją czczością, wypełniła się (czem się jednak wypełniła, tegoby może powiedzieć nie umiał); towarzystwo ludzi, w których niedalej, jak przed pół rokiem, na wiosnę, widział bezmyślnych tylko »zjadaczów chleba«, o których wątpił, żeby ich kiedy w »aniołów« przerobić było można, zaczynało mu się przykrzyć coraz mniej, a ponieważ obcując z nimi, niemałe miał powodze-

nie, zwłaszcza u dam, zaczął więc udzielać się chętniej, niż dawniej, i korzystając z opinii »uczonego i przyjemnego człowieka«, uprzyjemniać w ten sposób życie sobie i drugim.

Ale, dziwna rzecz, jakby zadawalniając się tem, że go Anglicy, zamieszkujący pensjonat pani Patteg, uważali »za cudowne prawie zwierzę, które z równą biegłością kilkoma władą językami«, od towarzystwa ziomków, a zwłaszcza od domu Wodzińskich, zdawał się stronić. Czemu? Trudno zgadnąć. Co pewna, to, że w willi przy ulicy Beauregard, odkąd powrócił do Genewy, nie pokazywał się często, bywając wtedy jedynie, kiedy go zapraszano. Czy miał w tem jakie wyrachowanie? Bo że się odtąd rodziną Wodzińskich więcej interesował, aniżeli dawniej, o tem świadczą dostatecznie jego listy do matki, między którymi, począwszy od tego, gdzie opisuje swój »wojaż« po Alpach z Wodzińskimi, aż do chwili wyjazdu ich z Genewy, nie ma takiego, w którymby nie znajdowała się o nich krótsza lub dłuższa wzmianka. Z drugiej strony, wątpliwości zdaje się również nie podlegać żadnej, że w niebardzo pochlebnej zrazu opinii Wodzińskich o nim nastąpił pewien zwrot na jego korzyść, co pozwala się domyślać, że wycieczka w gronie ich odbyta (pomimo owej peleryny z zieloną wypustką), nie zaszkodziła mu w oczach dam, zarówno pani Wodzińskiej, jak i jej córek, nie mówiąc już o synach. W przeciwnym razie bowiem, można być pewnym, zapraszano by go na ulicę Beauregard coraz rzadziej. Tymczasem faktem jest, że zaproszenia ztamtąd otrzymuje Słowacki w tych czasach coraz częściej i że w stosunku jego do rodziny Wodzińskich coraz większą zaczyna grać rolę serdeczność, »prawie familijna«.

W miesiąc niespełna po powrocie do Genewy wyprawiła pani Wodzińska podwieczorek za miastem, na który otrzymał zaproszenie także i Słowacki, a na którym ułożono, że kiedyś, jeżeli się wszyscy — da Bóg — zjadą zczasem szczęśliwie w Warszawie, pani Wodzińska wyda bał kostiumowy, na który każdy z uczestników wycieczki — ciągle śnać dostarczającej tematu do rozmowy — przywdzieje swój podróżny ubiór, a nawet swe grube, gwoździami nabijane trzewiki, w których chodził po skałach. Projekt ten bardzo się wszystkim podobał. »Jakieby to było smutne i zachwycające uczucie, po dziesięciu lub dwudziestu latach ubrać się tak, jak się człowiek ubierał za młodu, będąc na obcej ziemi! Jak miłoby było winszować sobie wtenczas przebytych bied i młodym ludziom o przeszłości rozpowiadać!«

Równie dobrze, jak na tym podwieczorku, bawił się

później Słowacki u Wodzińskich na wielkim balu, na którym znajdowały się wszystkie damy polskie, przebywające w Genewie, między innemi i pani Bernardowa Potocka, właścicielka starego Konstantynowa: wogóle cała tutejsza kolonia polska. Tańczono do białego dnia; Słowacki zaś, jako mazurzysta, bynajmniej nie pozostawał w tyle za innymi: tak dalece nawet, że mu któraś z dam (a bardzo ładne podobno i różowe usteczka wymówiły te słowa) powiedziała: »Znać, że pan z Wołynia Wołynianin, bo po wołyńsku tańczysz mazurka«. Na co Słowacki, nie chcąc Wołyniowi ujmować sławy, jaką z jego tańca odnosił, odpowiedział z ukłonem: »Ha, prawda, że my, Wołyniacy, to dziarskie chłopcy«. A trzeba było widzieć — powiada w liście do matki — jego cienką postawę, aby sobie wystawić, jak mu te słowa junackie były do twarzy.

Tego rodzaju bale i podwieczorki, na których rozmawiać i tańczyć z panną Maryanną aż nadto miał sposobności, nie pozostawały oczywiście bez wpływu na rozwój jego uczuć dla niej.

O tem zaś, jak go ożywiały i jaki powracał z nich podniecony psychicznie, świadczy wymownie tragedia o Mazepie, której pomysł zrodził mu się w głowie po powrocie właśnie ze wspomnianego balu u Wodzińskich. Wytańczywszy się na tym wieczorze, wrócił — powiada — do domu, a ponieważ to była zwykła pora roku — jesień — w której go już od lat czterech regularnie napadała »poetyczna kanikula«, zaczęły mu zaraz tego samego dnia (bo wrócił nad ranem) snuć się po mózgu, jak Fantazemu, jakieś mary, jakieś światła, jakieś cienie: Wojewoda, zazdrosny jak Ottelo lub mąż Indyany z powieści pani Sand, a zawzięty jak Wojewoda z *Czatów* Mickiewicza; Amelia, żona wojewody, podobna z twarzy do pięknej i młodej macochy schillerowskiego *Don Karlosa*, jak tamta nieszczęśliwa i smutna; Zbigniew, syn wojewody, zakochany w swej macosze, której mu tak samo kochać nie było wolno, jak nie wolno było René'mu Chateaubrianda kochać się w swojej siostrze, (to samo, co i wojewodzina, noszącej imię); za nimi, na drugim planie, cały orszak postaci charakterystycznych, posuwających akcyę dramatu: król Jan Kazimierz, w czarnym, szwedzkim stroju, wzorowany na molierowskim *Świętoszku*; Kasztelanowa, cała w koronkach i fiokach; dalej dworzanie wojewody, Imci panowie: Chmara, Pasek i Chrzastka; a wreszcie, na czele tej barwnej kawalkady — pan Mazepa, w wykwintnym stroju królewskiego pazia, młody, przystojny sowizdrzał, pełen fantazyi i junackiego animuszu, słowem, bardzo podobny do

samego Słowackiego, jakim był przed paru godzinami na owej zabawie tańczącej u pani Wodzińskiej.

W ten sposób w przeciągu kilkunastu dni powstał *Mazepa*, ten najsceniczny dramat polski, napisany, jeżeli się tak wyrazić można, jednym tchem, od pierwszego do ostatniego aktu. Skończony jednak, choć nieprzepisany na czysto, ponieważ imaginacja poety palić się już zaczynała do innych, nierównie świetniejszych pomysłów, zamiast pod prasy drukarskie, na których »posmarowanie« brakło chwilowo funduszków, musiał pozostać w tece autora, z której było mu przeznaczone dostać się w kilka tygodni później do ognia w kominku, ażeby potem, po prześciu takiej próby czyszcowej, odżyć nanowo, jak Feniks, i wydostać się na widok publiczny dopiero po upływie lat sześciu, i to najniezawodniej w zmienionej znacznie formie.

Fantazja poety nie zasypiała przecież, choćby dlatego tylko, że ją do twórczości pobudził wyszły niedawno temu *Pan Tadeusz*. Słowacki, przeczytawszy go, uchylił czoła: przyznał — w liście do matki — że są w tym poemacie, niepodobnym do żadnego z poprzednich utworów Mickiewicza, rzeczy prześliczne, jak np. gra Wojskiego na rogu, lub koncert Jankiela, że mnóstwo jest w tym »bardzo pięknym poemacie, podobnym do romansu Waltera Scotta, wierszem napisanego«, ustępów natchnionych, napisanych z taką sztuką, z taką plastyką przedziwną, z takim ciepłem serdecznym, że oprzeć się urokowi ich niepodobna, jakkolwiek byłoby się źle uprzedzonym do osoby autora. Nie przeczył też, że ze wszystkiego, co dotąd w języku polskim napisano, ta »powieść szlachecka«, choć jej bohaterka pasterka gęsi, była arcydziełem największym, najgenialniejszym.

Lecz przeświadczenie to, niemały zaszczyt przynoszące Słowackiemu, albowiem okazuje się z tego, że był jednym z pierwszych, którzy się na wielkiej piękności *Pana Tadeusza* poznali odrazu (a nawet o Krasieńskim tego powiedzieć nie można), nie przeszkadzało mu swoją drogą zażdrościć szczerze Mickiewiczowi tego arcydzieła; bo, przeczytawszy je, musiał przyznać, że walka z autorem *Pana Tadeusza*, musi się odtąd dla każdego z poetów polskich stać nierówną, że musi się zawsze skończyć porażką przeciwnika, choćby nim był nawet on, Słowacki. Po *Dziadach* można się było jeszcze w najlepszym razie ważyć na *Kordyana*; po *Panu Tadeuszu* można było co najwyżej kapitulować. Albowiem wyobrazić sobie trudno, ażeby w tym rodzaju, co *Pan Tadeusz*, udało się komu napisać coś piękniejszego jeszcze, coś wspanialszego, coś, z czem na po-

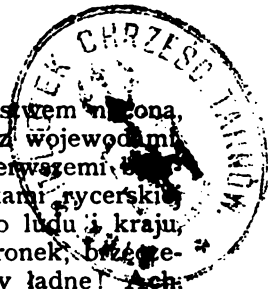
równaniu *Pan Tadeusz* by stracił, a przynajmniej nie wydał się doskonalszym, genialniejszym.

Cokolwiekbaż, dla niego było to zadanie nad siły; on bowiem ze swoim talentem, ze swoją organizacją umysłową, nie zdobyłby się nigdy na taki poetyczny realizm, na takie artystyczne odtworzenie rzeczywistości. Ta ostatnia była zawsze jego słabą stroną, jego piętą achillesową: a że sobie z tego sam sprawę zdawał najdokładniej, dowodem list do autora *Irydiona*, umieszczony na czele *Lilli Wenedy*, w którym powiada wyraźnie, że ile razy zetknie się z rzeczywistościami rzeczami, opadają mu skrzydła.

Zupełnie przeciwnie miała się rzecz z Mickiewiczem: ten, ile razy czuł realny grunt pod sobą, ile razy odtwarzał życie, zdobywał się na arcydzieła. Kiedy mu wypadło, jak w *Dziadach*, tworzyć sceny fantastyczne, marzone, nie realistyczne, dawał dowody, że wyobraźni nie miał bujnej i że pod tym względem można go pobić bardzo łatwo, jeśli się jest Słowackim. Tak jest! Wyzwany na rzeczywistość, na realizm, Mickiewicz należy do niezwykłych, jak Achilles; ale wyzwany na fantazję, na wyobraźnię, przestaje być niezwykłym Achillem, albowiem tu odsłania się jego słaba strona, jego achillesowa pięta. Na to zaś, ażeby utrafić w nią, jak to się udało niegdyś Parysowi, trzeba mieć po swojej stronie Apolla, trzeba mieć wielką wyobraźnię! A tę on miał!

Od podobnego przeświadczenia do pomysłu »sześciu kronik dramatycznych«, osnutych na tle przedhistorycznych, legendowych dziejów Polski lechickiej, był już jeden krok tylko. »Od czego bowiem — słowa są prof. St. Tarnowskiego — czarowna władza imaginacji, od czego intuicyjna zdolność odgadywania rzeczy dawno przeszłych, wyobrażania sobie nieznanych i niewidzianych. Gdyby też np. udało się wykraść jaką tajemnicę przedpiastowskich jeszcze czasów? Gdyby w ciszy ducha usłyszeć lot tego orła, którego gniazdo znalazł Lech, albo aniołów, kiedy z nieba dążyli do chaty kołodzieja? Gdyby też zgadnąć, jak to było, kiedy on swoich gości miodem częstował, albo do czego mógł być podobnym ten tyran zły, a tchórzliwy, co wytruł stryjów i braci, a przed ludźmi ze strachu uciekł na wyspę, jak rzymski Tyberyusz na Caprę? Jaki był jego pierwotny zbytek, jaki rodzaj rozpusty, jakie okrucieństwo? Albo ten jakiś homeryczny król, pół chłopca, pół rycerza, co ze smokami walczył, jak Herkules? Albo ta jego córka, co się, jak Ifigenia, poświęciła tylko dobrowolnie!

Tak! Polska przedchrześcijańska, Polska Krakusów



i Piastów, cała chłopska jeszcze, a już rycerstwem nie ona, z wójtami, którzy na wojewodów wyrastają, z wojewodami, którzy tak jeszcze do wójtów podobni, z pierwszymi szlachami chrześcijaństwa, z pierwszymi szczękami rycerskiej zbroi, wśród spokojnego, łagodnego, cichego ludu i kraju, w którym najgłośniejszym tonem jest skowronek, brzęczenie pszczoł i szum zboża na polu: to byłoby ładne! Ach, prawda, jakieby to mogło być ładne!

I dlaczegoż być nie może? Czy u nas już tak zatarły się wszystkie ślady wspólności z tymi starymi ojcami, że już w naszej duszy nie zdołamy odszukać nic z tego, co było w ich duszach? czy bociany, skowronki, lipy i bławatki nie takie same? czy słomiane strzechy bardzo zmieniły styl swojej architektury? czy ludzie z długimi włosami, w długich, szarych ubraniach, o ruchach powolnych i spokojnych, do tamtych już wcale nie są podobni, kiedy o zachodzie słońca wracają z pola lub w święto siedzą na progach domów i radzą? A w naszych duszach czy z ich łagodnej cichości, z ich biernej, dziecinnej dobroci nie zostało nic, po czemby pochodzenie i familijne podobieństwo poznać można? Poeto, patrz dokoła siebie, i w siebie: przypomnij wieś polską, jak wygląda: zastanów się nad polską naturą, którą znasz i widzisz, zajrzyj sam w siebie i staraj się dojść, co tam jest późniejszego obcego, historycznego, a co pierwotne i wrodzone. Czego nie dojrzyysz, to odgadnij, domyśl się, dotwórz, ktoś to potrafi, jeżeli nie ty? i z Polski stwórz fantastyczną legendę. Odważnie, śmiało, nie bój się pobrać: masz na tej drodze największe przykłady. Z takich czasów właśnie powstawały największe poezye, największe postaci: z mytycznych bohaterских dziejów — tragedia grecka; z niepewnych, półbajecznych podań — Macbeth, i Hamlet, i Lear. Dlaczegoż ta przedhistoryczna przeszłość polska miałaby leżeć odłogiem? dlaczego ona jedna miałaby być pod względem poetycznym jałową? W każdym razie próbować warto: pierwszym na tem polu, nowym, oryginalnym, będziesz z pewnością, a gdyby ci się udało, gdyby się okazało, żeś zdolny wskrzeszać postaci dawnej przeszłości?

I wyobraźnia, zachwycona tym obrazem i rozpalona tą piękną nadzieją, zaczęła roić i marzyć niespokojnie, zaczęła bujać i panować w tej przestronnej, a niczyjej krainie. I już zapragnęła zagarnąć ją całą: Lech, Krakus, Piast, to nie dosyć, to nie wystarcza, trzeba więcej, trzeba mi ich wszystkich, ujmę ich w ramy sześciu następnych obrazów, sześciu legend czy kronik poetycznych, odtworzę wszystko, wszystkich ich odgadnę, od tego przybysza,

który musiał być zupełnie, jak król Jan w stanie natury (praszczur Sobieskiego), aż do tego Piasta, który musiał być bardzo podobny do tego lub owego wiejskiego gospodarza, którego dobrze pamiętam: a pomiędzy to wszystko wsunę sąsiednie drapieżne rycerstwo niemieckie, któremu się ci Polanie jeszcze dziwią, już trochę zazdroszczą: księży w grubych habitach z krucyfiksem w ręku, a z pytaniami katechizmu na ustach; biskupów, pół wojennych, pół apostołskich, w żelaznym pancerzu, pod złocistą kapą, na białych koniach i z infulami, połyskującymi do słońca: całe to wytworzenie się Polski chrześcijańskiej, szlacheckiej, historycznej, z pogańskiej, ludowej i ledendowej: wszystko to znajdzie się w tych sześciu obrazach».

Ale niestety, zarys wielki nie wypełniał się szczegółami, tak, iż nie było prawdziwego planu, choć był pomysł. Zeszedłszy w owe wieki Polski przedhistorycznej, znalazł się Słowacki w wielkiej próżni: nie zastał tam ani ludzi ani zdarzeń. Nie zrażał się tem wszelako. Powiedziawszy sobie, że z tej kopalni coś musi wydobyć koniecznie, postanowił wytrwać w raz powziętym zamiarze, choćby mu nawet przyszło wszystko z siebie wydobyć, choćby tę próżnię czasów piastowskich zaludnić musiał postaciami własnego wymysłu i dla postaci tych wymyślić zawikłania, uczynki, nazwiska. I tu zdało mu się nagle, że z labiryntu tego jest jednak wyjście, wystarcza tylko sięgnąć do poezji ludowej, do ballad; bo jeżeli gdzie spodziewać się można zastać jakiś ślad owych czasów zamierzchłych, to właśnie w powieściach i podaniach gminnych; wyobrażenia, uczucia, sposób pojmowania świata, z tamtąd zaczerpnięty, najwięcej zbliżyć się musi do tego, jaki nadać trzeba ludziom z epoki przedpiastowskiej. Z tą nitką Aryadny w ręku, przekonany, że to jest owo tajemnicze *Eureka*, które mu miało otworzyć wrota na ścieżkę do tej legendowej krainy, wziął do treści swego poematu jeden motyw z *Malin Chodźki*, o dziewczynie, która zabiła siostrę dla tego, iżby sama mogła zostać żoną rycerza, drugi z *Lili Mickiewicza* i z *Switezianki*, trzeci z szekspirowego *Macbeta*, czwarty z *Króla Leora*, piąty ze *Snu nocy letniej*: i tak powstała *Balladyna*.

Ale, skoro po dwóch miesiącach — listopadzie i grudniu — usilnej, wytężonej pracy nad nią, skończył ją wreszcie i *Balladyna* stała się faktem, przyszły z kolei dni reakcyi okropnej, dni odrętwiałości, które, niestety przeciągnąć się miały aż do następnej wiosny, a podczas których takiego doznawał uczucia, jakgdyby natężone do niedawna jeszcze władze myślenia rozkręciły się nagle, jak struny

instrumentu, i jakgdyby źródło imaginacyi wyschło w nim zupełnie. Że nieuniknionem takiego stanu następstwem był spleen, to przy znajomości natury Słowackiego nikomu nie wyda się dziwnem. Zmuszony będąc powrócić do zwykłej monotonnej ciszy codziennego życia i być znowu przez jakiś czas zwykłym śmiertelnikiem, którego mieszkania już nie nawiedzają żadne »idealne figury«, do którego nie uśmiecha się żadna »idealna piękność«, stał się odrazu podobny do ptaka ze złamanymi skrzydłami, który, nie mogąc latać i zniewolony pełzać po ziemi, cierpi na nostalgię za swemi powietrznymi nadobłocznymi szlakami, po których mu tak dobrze było krążyć samotnie w promieniach słońca, gdzie mu tak jasno było dokoła, przestronno i świetliście, i gdzie nie potrzebował stykać się bezpośrednio z rzeczywistością, z prozaicznością życia. Nie umiając nagiąć się do niej, popadł »w głębszą, niż kiedykolwiek melancholię i obojętność« i zamiast szukać zabaw, zamiast żyć z ludźmi, zamiast unikać samotności, jak to nawet w jednym z listów do matki przed paru miesiącami obiecywał tej zimy uczynić, znowu zaczynał kumać się z mizantropią, znowu zaczął poddawać się smutkowi, znowu zaczął poprzestawać na towarzystwie swoich gospodyń, i znowu, kiedy przyszło dzielić się z matką wiadomościami o sobie, zaczął się użalać na brak tematu.

Choć miałby może o czem pisać, gdyby chciał »zrobić ze skrytości swej ofiarę« i pisać o wszystkim, co mu ciążyło chwilowo na sercu. Z tem jednak krył się o ile możliwości, nawet przed matką, jakkolwiek zapewniał ją niejednokrotnie, że nie ma dla niej tajemnic; i zapełniał listy swe takimi np. błahostkami, jak przepis na układanie z kart kabały czyli passyansu; passyans bowiem stał się dlań teraz ulubioną wieczorami rozrywką.

Nauczył go się ciągnąć od pewnego Włocha, który, mieszkając u pani Patteg do późnej jesieni (inni jej lokatorowie rozjechali się już byli w październiku), albo mu opowiadał cuda o Włoszech, zwłaszcza o ich taniości, co było nie bez pewnej korzyści dla poety, ponieważ nabierał przy tej okazji wprawy w język włoski, albo też, jeżeli sobie na razie nie mieli nic do powiedzenia — proponował mu *patience*; i tak schodził im cały wieczór. Czasem chadzali razem do teatru, nie często jednak, Słowacki bowiem, mając do wyboru między teatrem, złym i drogim, w którym się nudził zazwyczaj, a domową siestą w swoim pokoju, przy kominku, spędzoną na czytaniu Szekspira lub Dantego — bo w tych poetach rozczytywał się od niejakiego czasu najwięcej — decydował się prawie zawsze na ostatnią.

U Wodzińskich także bywał »nie często«, tłumacząc się, że zajęty pisaniem, nie mógł się bardzo długo oderwać od pracy; kiedy się nareszcie, po dłuższej niebytności na ulicy Beauregard, zjawił tam któregoś dnia, »wymawiali mu to zaniedbanie«, które przyznać musiał, że, jako w towarzyszu podróży, było conajmniej »dosyć niegrzeczne i dziwne« i nie dawało się usprawiedliwić chorobą spleenu.

A jednak, kto wie, czy zwalając niegrzeczność tę na karb spleenu, nie mówił mimowoli — prawdy; chodzi tylko o to, jaka była spleenu tego przyczyna? i co, oprócz zajęć literackich, mogło poetę wstrzymywać od częstszego odwiedzania domu Wodzińskich? Odpowiedzi na to pytanie szukać należy w liście Słowackiego do matki z d. 18 grudnia 1834 r., w którym pisze między innemi, co następuje: »Tego roku imieniny twoje, mamó, samotnie przepędziłem: zle dosyć nowiny wyczytałem zrana w pismach, a potem z różnych innych przyczyn tak mi smutno było, że natychmiast po obiedzie uciekłem do mego pokoiku, tak, jak mama zwykłaś czynić: zagasilem świecę; mały ogień na kominku słabo mi przyświecał; samotny, milczący, myślałem o różnych czasach, o różnych wieczorach, a kiedy na zegarze uderzyła głośno nad moją głową siódma godzina, ogromna niegdyś godzina, lży rzuciły mi się z oczu potokiem i chodziłem po pokoju i modliłem się i płakałem. Tego wieczora nie było we mnie ani iskry nadziei«. Cemu? Zkąd takie naraz zwątpienie? Czy miał może jakie niepomysłne wiadomości z domu? Nie, inny był powód tych łez, a poeta, choć nie chciał się do tego przyznać przed ludźmi i przed matką, przed sobą nie widział potrzeby robić z tego tajemnicy, że go o podobne rozdrażnienie przyprawiała panna Maryanna! Czyżby ją kochał?

Czy ją kochał, z tego sobie dziś jeszcze sprawy nie zdawał jasno: pewny był tylko jednej rzeczy, mianowicie: że mu nie była obojętną, że oczy jej wywierały na niego jakiś wpływ magnetyczny, że zależało mu na tem bardzo, aby się jej podobać, aby ją zaciekawić, zainteresować sobą, że przyjemnie mu było z nią rozmawiać, że go rozmarzała swoją grą na fortepianie, że z nikim tak chętnie, jak z nią, nie tanczył kadryla, że cieszył się, kiedy go wybrała w mazurze, że wobec niej jednej tylko czuł się niekiedy oniesmielony, i że przykro mu było, jeżeli go nie wyróżniała. A, niestety, nie wyróżniała go nigdy! Miała dlań zawsze »dużo wdzięku i dobrego serca«, ale tak samo, jak nim, a może i bardziej, interesowała się osobą księcia Ludwika Napoleona, albo Chopina, dla którego z nieklamanem zdawała się być uwielbieniem, a może i czemś więcej jeszcze.

Jego powodzenie, jako kompozytora i wykonawcy, w Paryżu, jego z dniem każdym wzrastająca sława, jego stosunki z najarystokratyczniejszymi sferami stolicy świata, jego listy z nad Sekwany do braci jej, albo do matki (listy, w których tyle było zawsze o niej), jego kompozycje, któremi sypał, jak z rękawa, a z których każda słusznie uważana być mogła za najpiękniejszą w swoim rodzaju, rozgłos, jaki sobie zdobył w świecie muzycznym swojemi improwizacyami, wszystko to nie pozostawało bez wpływu na pannę Maryannę i na Słowackiego, którego miłość własna niemało na tem cierpiała, bo nie przyzwyczajony był do opozycji, bo go drażnił opór, jaki w tym razie napotykał, bo nie mógł się pogodzić z myślą, ażeby on, »syn pieśni, syn królewski«, mógł w sercu kobiety, przez siebie wyróżnianej, zajmować drugie miejsce. Lubiła go! To nie dosyć: on żądał nie przyjaźni, ale uczucia czulszego, takiego, jakim zapłonęły dlań Cora, Eliza, Eglantyna! Panna Maryanna tymczasem nie postępowała ich śladem.

Tak przeszła zima. Mroźna i śnieżna, jak już oddawna nie pamiętano w Szwajcaryi, a dla Słowackiego pełna wzruszeń, pokrewnych tym, jakich niegdyś, kiedy się kochał w Ludce, doznawał w Wilnie, przypominała mu ona raz po raz zimy wileńskie. Widok jodeł w ogrodzie oprószonych śniegiem i owego białego całunu, pokrywającego ziemię, jak puchem, budził w nim różne wspomnienia różnych zajazdów z dzwonkiem przed ganek Jaszuński, różne potyczki gałkami śnieżnymi, różne zabawy, kuligi itp. Cóż dopiero, kiedy część jeziora i niektóre kanały zamarzły i kiedy urządzono ślizgawkę!

O ślizgawce tej znajduje się w jednym z listów poety do matki ustęp pewien, po którego przeczytaniu dochodzi się mimowoli do wniosku, że nie zawsze musiała ona być mu w tym czasie na rękę. Ustęp ten brzmi: »Zima ta jednak była nadzwyczaj ostra, mieliśmy kilka dni śnieżnych i niektóre kanały zamarzły. Cała publiczność ślizgała się na łyżwach, ja zaś musiałem wyznać, że nadto jestem niezgrabny i że nigdy nauczyć się biegać po lodzie nie mogłem«. Musiałem wyznać? Komu? To pytanie zostawia Słowacki bez odpowiedzi, ale przypuścić wolno, że pomiędzy tą ślizgającą się publicznością znajdowali się także i młodzi Wodzińcy z siostrami, a w takim razie nietrudno sobie wyobrazić i Słowackiego, który, spacerując po lodzie bez łyżew, kiedy go panna Maryanna zapytała, czemu się nie ślizga wraz z innymi, »musiał wyznać, że nadto jest niezgrabny« itd. Swoją drogą, jeżeli się tak rzecz miała isto-

tnie, musiało mu być przykro niezmiernie, kiedy, sam nie mogąc brać w zabawie udziału, widział swą »czarnobrewą panienkę«, ślizgającą się raz z młodym Darowskim, raz z księciem Ludwikiem Napoleonem, raz z zakochanym w niej hrabią de Montigny. Co się działo w duszy poety? Cokolwiekbądź można być pewnym niemal, że przyjemności mu widok ten nie sprawiał: pomimo, że wszystko to działo się na tle przepysznego pejzażu zimowego, na tle ubielonych śniegiem, jakby oprószonych cukrem, gór, na tle ciemno-granatowego jeziora, które zamrożone przy brzegu jedynie, w głębi, o kilkaset kroków dalej, przecudownie odcinało się od ogólnej białości krajobrazu. Ale nie dajmy się unosić domysłowości.

Bardziej jednak, aniżeli sport łyżwiarski, zaprzętały mu głowę w ciągu tej mroźnej zimy innego rodzaju myśli, ze ślizgawką wszakże — o ile jej używała Marya — w pewnym, lubo dalekim bardzo, pozostające związku. Osamotniony najczęściej, dręczony spleenem, a przytem — choć nie chciał się przyznać do tego nawet przed sobą — raniiony już przez figlarnego syna Afrodyty, porównując się chętnie »do psa, co się sam za ogon chce złapać i kręci się długo na jednym miejscu, aż nakoniec, znużony, wyraca się i usypia pod kominem«; w listach do matki uskarżający się bezustannie na brak »teraźniejszości dobrej, ani złotej nadziei«; przyznający słusność Eglantynie, kiedy go nazywała spieszczonem imieniem *Pauvre Loulli* albo *Bon Louilly*: nabrał w końcu przekonania, że byłoby dlań najlepiej, gdyby się ożenił. Z kim? Ze wszystkiego, co w kwestyi małżeństwa swojego pisał do matki, domyslać się można, że chętnie przekroczyłby zawysokie dla siebie progi willi Beauregard i ożenił się z panną Wodzińską. Bo jeżeli podobna myśl mogła się zrodzić w głowie Chopina, mogła się równie łatwo zrodzić także i w głowie Słowackiego.

Myśl o ożenieniu od dłuższego już czasu zdaje się kielkowała mu w mózgu. Jeszcze 17 października 1833 r. pisał do matki, ażeby się uśmiechnęła, skoro będzie odczytywała te słowa: »Wrócę kiedyś, a jeżeli nie, to znajdę sobie zagranicą, ładną, dobrą, może nawet bogatą żonę. Będę miał synów, córki«. Najpiękniejszego wnuczka posadzi jej na kolana. »Tylko, matko, odpędzaj go od książek; niech nad śmiercią Hektora nie płacze, niech się nie uczy od Jowisza z *Iliady* zmarszczeniem brwi świat wstrząsać; daj mu zimną *Eneidę*, której Julek częstym czytaniem nie podarł; niech ze spalonego miasta uczy się z Eneaszem unosić Boga, matkę, żonę, dzieci; niech nic nie zostawia

po sobie, czego by mógł żałować». Później, kiedy się zaczął rozczytywać w dziełach Jana Kochanowskiego, tak szczęśliwego w pożyciu z panną Podłodowską, tak piękne wiersze piszącego przy jej boku, pod lipą, zazdrościł mu mimowoli. W uczuciu tem utwierdzał go również i Chateaubriand, kładący w usta Amelii, siostry Rene'go, następujące słowa: »W małżeństwie możebyś znalazł ulgę na twoje utrapienie. Żona, dzieci wypełniłyby dni twoje. Bo któraż kobieta nie chciałaby uczynić cię szczęśliwym. Zapal twej duszy, piękność geniuszu twego, postawa twoja szlachetna i namiętna, twój wzrok dumny i tkliwy, wszystkoby ci zapewniło jej miłość i wierność«. Podobnych zapewnień nasłuchiwał się także i z ust Eglantyny niejednokrotnie, która, widząc go strapionym i smutnym, najczęściej może to samo, co Amelia René'mu, doradzała lekarstwo! Tylko że w radach jej było trochę egoizmu kobiety kochającej, któraby chętnie widziała, gdyby się ożenił — z nią; bo do związku z inną nie namawiałaby go z taką szczerością i serdecznością. On jednak marzył nie o takiej żonie, i dlatego udawał przed Eglantyną, że nie domyśla się jej ukrytych myśli.

Wiadomość o ożenieniu Mickiewicza z Celiną Szymanowską i szczegóły, jakie mu donoszono, o ich pożyciu w Paryżu, pobudziły go również do marzeń w tym kierunku. »Co wieczora — pisał o tem matce — mnóstwo ziomek schodzi się do mieszkania poety i bawią go, a on, ciągnąc dymy z cybucha, słucha i uśmiecha się. Co za sprzeczność z mojami samotnymi wieczorami! Niech będzie ze mną jak Bóg chce, w tej smutnej wędrówce życia«. Żona Mickiewicza grała podobno prześlicznie na fortepianie (choć pewnie nie piękniej od panny Wodzińskiej), a muzyka, zwłaszcza jeżeli się słucha osoby kochanej i kochającej, coś dopiero żony, nieraz może dostarczyć natchnień poecie! Samo towarzystwo żony, z chwilą, kiedy to jest istota godna tego tytułu *żony artysty*, musi zbawienny pod niejednym względem wywierać wpływ na twórczość pisarza. Przykładem Wiktor Hugo, któremu żona i dzieci nie przeszkadzały bynajmniej być pierwszym poetą romantycznym Francji. Za drugi taki przykład mógł służyć sławny historyk i profesor uniwersytetu genewskiego, Sismondi, którego spotykał często na wieczorach u pani Wodzińskiej. Żona jego, Angielka, nie tylko, że była mu najlepszą przyjaciółką, kochanką i siostrą, ale tłómaczyła jeszcze na język angielski dzieła męża, przyczyniając się tem samem do rozpowszechnienia sławy człowieka, którego nosiła nazwisko. »Szczęśliwe małżeństwo, ocienione jedną laurową koroną!«.

Czemużby nie przypuścić, że i jemu Bóg poszczęści w wyborze i da za towarzyszkę życia istotę równie dobrą, równie inteligentną? Żyłby z nią wówczas jak ten pan Sobanski, którego poznał niedawno u pani Wodzińskiej, a który, będąc człowiekiem dosyć bogatym, kupił sobie obywatelstwo w Szwajcaryi i żył spokojnie »z ładną i przyjemną żoną« w Vevey, nad brzegiem jeziora. Panna Maryanna ze swoim usposobieniem artystycznym, ze swoim talentem do muzyki, była jakby stworzoną na żonę dla niego. Ach! jakżeby był szczęśliwy, gdyby mógł z nią razem, jako jej małżonek, pod jaką lipą albo dębem, przed własną chatą, w rodzinnej ziemi — jeżeliby to było możliwe — »marzyć i pisać marzenia, i gwarzyć z nią, i opowiadać jej z zapalem swoje plany poetyczne«. Takie życie, spokojne, sielskie, dawałoby mu natchnienia pogodne, wolne od mizantropii byrońskiej i mógłby wtedy powiedzieć o sobie to samo, co włożył parę miesięcy temu w usta Kirkorowi z *Balladyny*, kiedy mu — stosując w myśli słowa te do siebie — mówić kazał:

Jam stworzony do ciszy wiejskiej
I prostoty. Niechby mi doświadczył
Sad owocowy, niechbym małe chłopię,
Dzieciatko moje, na rękach kołysał!
Oto się modlę. Ty mi zaś co roku
Z tronu do chaty listy będziesz pisał.
Niechaj raz na rok spadnie mi z obłoku
Biały gołąbek i skrzydełkami
Przyniesie powieść pełną tych wielkości,
Co budzą uśmiech i dech pod lipami
Dają znacniejszy. Król mi pozazdrości
Żony, i dziecka, i lipy, i chłodu
I snów pod lipą i złotego miodu.

Żyliby sobie po sielsku, jak Teofilowie w swoim folwarku wołyńskim, i tak samo, jak oni o tej porze niezawodnie, wchodziliby co dnia w wiejskie, drewniane wrota; jak Teofilom, byłoby im widać gołębnik ich domu i słyszeć zapach lip w ogrodowej alei; sadyby im obradzały, żyta kłaniały się całym łanem, pszczoły dawały miód, a »Faunowie leśni« skakaliby, jak w *Sobótce* Kochanowskiego. On tymczasem, »wygrywałby na fujarce proste pieśni«, podczas gdy żona jego w wielkim słomianym kapeluszu na głowie (podobnym do tego, jaki panna Wodzińska miała na wycieczce w Alpy), zbierałaby sentymentalnie bławatki, karmiła drób — jak Zosia w *Panu Tadeuszu* — mając dla męża zawsze uśmiech na ustach i, jak powiada Kochanowski, »szacunek dobrej żony«. Zimą, kiedy wieczory długie, a roboty w polu nie ma, czytaliby razem

Szekspira, Byrona, Dantego, Kochanowskich, i tak doczekaliby późnej starości.

Ta myśl o zawarciu ślubów małżeńskich, nie dawała mu teraz spokoju w nocy i we dnie. Dawniej, kiedy się nie czuł tak zdrowym i krzepkim, jak obecnie, i dopóki wyobrażał sobie, jak powiada, że go prędko z tej ziemi poetyczna konsumpcja albo »langory« zabiorą, nie układał żadnych planów ani projektów na przyszłość; dziś jednak, kiedy nabierał pewności niemal, że mu może długo na tym świecie bazgrać jeszcze wypadnie (jego własne wyrażenie), musiał pomimowoli szerszym trochę cyrkleń życie swoje rozmierzać.

Niestety, miał tu na samym zaraz wstępie olbrzymią i niemożliwą prawie do przewyciężenia przeszkodę: swoje oplakane położenie materyalne. Jedynym majątkiem, który posiadał, był jego talent, a to jeszcze na utrzymanie rodziny nie starczy; tak samo, jak nie upoważnia do starania się o rękę takiej, jak panna Wodzińska, bogatej panny; bo sława literacka, choćby największa, wymieniona na gotówkę, nigdy nie da wielkiej sumy. A ludzie dziś oceniają człowieka według jego dochodu rocznego! Wiedział o tem Słowacki doskonale i dlatego zdarzało mu się niejednokrotnie, iż ubolewał nad tem, że pochodził z rodziny literackiej, że miał ojca literata-poetę, po którym odziedziczył talent i brak zmysłu praktycznego. Gdyby nie to »nieszczęśliwe wydarzenie«, byłby: podobny do innych zjadaczy chleba, dbałby przedewszystkiem o żywot doczesny; sława po śmierci, choćby nieśmiertelna, nie zaprzętałaby jego umysłu, i kto wie, czyby mu z tem lepiej nie było i szczęśliwiej. Czasami znów marzyło mu się, żeby pojechać do Indyi, zrobić ogromny majątek, wrócić bogatym jak nabab milionowy, a to wszystko dlatego, aby kupić piękny pałac, osadzić w nim piękną żonę (do matki pisał, że ją-by w tym pałacu osadzić pragnął) i służyć jej na kolanach. Wtedy, jako taki nabab, mógłby w pałacu tym osadzić nawet pannę Wodzińską, o której rozmyślając temi czasy, pewno nieraz powtarzał głośno, jak gdyby stała przy nim:

Bo ja, ach! gdybym był także aniołem
Z rozpromienionem na błękitach czołem,
I nieskończoność całą miał obszarem,
I mógł rozrządzać gwiazdami wszystkiemi:
Nie chciałbym gwiazdy niebieskiemi świecić,
Lecz tylko rzucić błękity i lecieć,
I taką, jak ty, mieć moją na ziemi!

Zimny rozsądek jednakże radził planów tych zaniechać, o urzeczywistnieniu ich bowiem w obecnych warun-

kach mowy być nie mogło. Próżne pożądanja! Szybkie zrobienie milionów w Indjach, kiedy nie było na podróż do Indyi, należało do mrzonek, zarówno niepoetycznych, jak i niepraktycznych, a pałac nababa, widziany przez pryzmat bujnej wyobraźni poety, robił na nim samym wrażenie zamku na lodzie!

Cóż więc pozostawało czynić? Co? Wyrzec się raz na zawsze osobistego szczęścia i żyć dla sztuki, w podobnych, jak dotychczas, niedostatkach i »kłopotach finansowych«.

Ale pogodzić się z myślą tą nie przychodziło Słowackiemu łatwo; a że skorym był do popadania z jednej ostateczności w drugą, począł przeto — na seryo zupełnie — zastanawiać się nad tem, czy mu przypadkiem Bóg nie przeznaczył miejsca w jakim cichym klasztorze; choć, z drugiej strony, czuł w sobie pewien brak »tej mistycznej pochodni, z którą w klasztorze mógłby się zamknąć i latać na skrzydłach wiary w jakąś błękitną krainę nieskończoności«. Gdyby nie to, kto wie, czyby dlań nie było najlepiej usunąć się raz na zawsze od pokus światowego życia; tembardziej, że to życie światowe, o ile go nęciło pewnemi swojemi powabami, jak np. szczęście w małżeństwie, o tyle w równym, jeżeli nie w wyższym stopniu ciążyło mu i nie wystarczało. Nie miał nikogo (pisał do matki, zapominając o Eglantynie), coby mu najmniejszą chwilę życia przyjazną rozmową skrócił; nikogo, coby przyjaźnie za rękę ucisnął, itd.

Wszystko to były skargi, pisane pod wpływem uczucia dla panny Wodzińskiej. Eglantyna, która go wciąż kochała jednakowo i która, jak zawsze, trochę mu się z miłością swoją narzucała, z samej natury rzeczy nie mogła być nadal jego powiernicą; nie mogąc zaś mówić z nią otwarcie o tem, co mu teraz takim ołowiem ciążyło na sercu, miał jej z dniem każdym coraz mniej do powiedzenia. W końcu zaczęła go nudzić i drażnić: swemi podejrzeniami — słusznemi zresztą — o nieszczerść z jego strony, swoją zazdrością. Domyślała się, że Juliusz oddał serce swe Maryi, że się z tem przed nią, przed Eglantyną, ukrywa, że ją zwodzi, że mu nie można wierzyć, kiedy się gorętszych uczuć dla tamtej wypiera, etc. Ponieważ nie tała się z tem przed nim, ale go nieraz — zbyt często — karmiła łzami »w codziennym podawaniu chlebie«, a poeta wyrozumiałością dla cudzych kaprysów i pretensyi się nie odznaczał, więc przyszła kolej na dysonanse, na sceny przykre dla obojga.

Skończyło się na tem, że poetę coraz większa zaczęła

zbierać ochota wyjechania z Genewy: raz dlatego, żeby się odczepić od Eglantyny (to trywialne wyrażenie najlepiej określa jego zamysły), a powtórę, że wyleczyłoby go to zarazem ze wszelkich afektów dla Maryi. Wszak przestrzeń i czas są najzagorzalszymi nieprzyjaciółmi miłości; tak samo, jak najlepszym na nią lekarstwem — zdaniem Napoleona — ucieczka. Ale dokąd się przenieść? Tu nie mógł się zdecydować na wybór miejscowości: raz go nęciło Pau w południowej Francji, raz Włochy, raz Hières na Rivierze, raz Clarens nad jeziorem genewskim, raz okolice Lyonu. Najchętniej udałby się już z wiosną do Włoch, dokąd wybierali się właśnie Teofilowie razem z panią Becu. Myśl połączenia się z nimi w Pizie, gdzie projektowano sobie spędzić lato, uśmiechała mu się podwójnie: raz, że zobaczyłby się z matką, do której był stęskniony oddawna, a powtórę, że wyjechałby z Genewy, gdzie mu już duszno być zaczynało. Ale projekt wyjazdu pani Becu zagranicę nie doszedł do skutku i trzeba było, zaniechawszy myśli o podróży do Włoch, pogodzić się z rzeczywistością genewską.

Z drugiej strony jednak, przyznać musiał, rzeczywistość ta nęciła go do siebie, jak syrena. Oderwać się od niej dobrowolnie przysłoby mu z wielką trudnością, z wielkim żalem. Albowiem zaprzeczyć nie mógł, że dzięki zacieśniającym się coraz bardziej pod względem towarzyskim stosunkom z Wodzińskimi, upływał mu obecnie czas w Genewie bardzo przyjemnie: nigdzie indziej nie znalazłby podobnej »prawie rodzinnej« atmosfery.

Wymowną jej ilustracją, najlepsze rzucającą na nią światło (a oświetlającą ją inaczej zupełnie, aniżeli to czynią późniejsze relacje strony przeciwnej) jest opisany przez Słowackiego w liście z d. 5 lutego 1835 r. wieczór u pani Wodzińskiej, na którym, jak i na wszystkich innych zresztą przy ulicy Beauregard, bawiono się doskonale, a którego punktem kulminacyjnym była gra w szarady. Słowacki dnia tego był w brylantowym humorze. Humor ten, nie przekraczający jednak ani na chwilę przepisów wielkoświatowego *savoir vivre*'u, tryskał co moment, jak rakietami, najzabawniejszemi conceptami, które zyskując aplauz ogólny, wszystkich raz po raz do serdecznego pobudzały śmiechu.

Oto kilka próbek. Podczas jednej z szarad wypadło pocie, przedstawiającemu Czas czyli Saturna, kosą z dwóch kijów złożoną i bardziej do cepów, aniżeli do kosy podobną, skosić trzech razem w kącie stojących — głupców towarzystwa. (W każdym towarzystwie znajdzie się zawsze takich kilku, przynajmniej trzech). Pragnąc im jakoś dołą

osłodzić, poprzedził akt ten patetyczno-bombastyczną przemową, w której tłómaczył swoim przyszłym ofiarom, że są nadzieją przyszłości, ale że czas na nic, nawet na rozum, nie ma względu, i dlatego niechaj się z przeznaczeniem swoim pogodzą.

W bardzo piękną szaradę ubrano następnie wyraz: *Nonchalance*. Pierwsza sylaba *non* wywołała następującą bajkę (którą niezawodnie wymyślił i skomponował nie kto inny, tylko autor *Balladyny*): *Non*, rycerz zazdrosny, rozkazał żonie swej, kiedy wyjeżdżał razem z krzyżowcami do Palestyny, aby nikomu zamku nie otwierała, na każdą prośbę przybyszów odpowiadając *non* i zawsze *non*. To powiedziawszy odjechał. Wielu rycerzów przyjeżdżało do zamku, prosząc, aby im wolno było wejść do bramy, ale wierna Penelopa odpowiadała wszystkim: *non*. Aż zdarzył się w końcu rycerz jeden, który przewąchawszy rzecz, prosił pani, aby mu do zamku wejść zabroniła; na co otrzymawszy odpowiedź *non*, zdobył fortecę. Zazdrosny Otello tymczasem zginął w Palestynie. Druga sylaba *cha* taką wywołała opowieść: Pewne grono starych pań — najprawdopodobniej starych panien — miały prześlicznego i nade wszystko ukochanego kota. Otóż zdarzyło się, że im raz zginął faworyt. Zrozpaczone damy umieszczają zaraz szereg ogłoszeń po dziennikach, z dokładnym opisem powierzchowności swego ulubieńca, wskutek czego tysiące kotów poczęto znosić do ich domu. Opowiadanie to zillustrowano w ten sposób, że kotami była młodzież, a damami, poszukującymi swojej zguby, panny, a więc i panna Maryanna między innymi. Nie wiem, czy która znalazła, dodaje ironicznie Słowacki. Atoli najzabawniejszem było obrazowe przedstawienie trzeciej sylaby *lance*. Wystawiono ogromne szranki, z tronem pośrodku, na którym zasiadła królowa — panna Maryanna niezawodnie — rozdająca wience. Następnie dwóch rycerzów (Słowacki np. i jeden z młodych Wodzińskich) z poduszkami w ręku, zamiast tarcz, z papierowymi od głów cukru szyszakami na głowach, ze szcztokami od zmiotania, zamiast lanc, staczali bój zawzięty o wieniec zielony z rąk piękności i kruszyli dla niej kopie.

Wieczorki takie »prawie familijne« wyprawiała pani Wodzińska często. Słowacki, zapraszany prawie na wszystkie, zawsze się na nich, jak sam przyznaje, »bardzo dobrze bawił«. Gry towarzyskie, muzyka i taniec, spacer po ogrodzie lub moście nad brzegiem jeziora, a wszystko to na tle stosunku, »prawie familijnego«, wolnego od wielu krępujących ceremonii: oto w jaki sposób upływał teraz Słowackiemu czas w willi przy ulicy Beauregard.

Jednego z pierwszych dni marca odbyła się wielka w Genewie uroczystość: na pięknej wysepce, połączonej małym mostkiem z wielkim mostem jeziora, zrobiono prześliczny ogródek, przechadzkę i postawiono statwę J. J. Rousseau'a. Odsłonięcie tej statwy dłuta słynnego rzeźbiarza ówczesnego Pradier'a, odbyło się — wnosząc z listu Juliusza — z niezwykłą pompą. Cała ludność miejska wyległa na brzegi; na wysepce znajdowali się tylko wysocy urzędnicy, komitet budowy pomnika, wojskowi i armaty. W chwili, kiedy po odsłonięciu posągu, włożono mu na głowę złoty wieniec, zagrzmiały salwy armatnie, przeciągłem echem odbijające się następnie o brzegi Lemanu; potem przyszła kolej na mowy; aż w końcu, muzyka wojskowa zagrała taniec jakiś, wyjęty z napisanej przez J. J. Rousseau'a opery, i cała ludność, idąc za przykładem delegatów, zgromadzonych dokoła pomnika, zaczęła tańczyć. Słowacki przypatrywał się temu wszystkiemu z okien mieszkania Wodzińskich i widok tej figury kamiennej, która siedziała nieruchoma nad trzecią generacją ludzi, weselących się dokoła niej, wzruszył go bardzo. »Oto, czem jest sława, myślał sobie, (a może i dzielił się myślą tą ze stojącą przy nim, przy tem samem oknie, panną Maryanną): ludzie starzy tańczą, jak dzieci, koło posągu człowieka, dawno zmarłego. Gdyby to wiedzieć można, czy ten człowiek wie o tem po śmierci?« Wieczorem, po skończonej uroczystości, byli wszyscy, t. j. cała rodzina Wodzińskich i Słowacki z nimi w teatrze, w którym dawano tego dnia operę Rousseau'a *Wieszczek wiejski*, oraz małą komedyjkę *à propos*, osnutą na tle życia autora *Nowej Heloizy*. W czasie antraktu znowu uwieczono laurem białe popiersie wielkiego fantastyka. Na dworze jednocześnie, pomimo dżdżystej pory — jak to w marcu — palono fajerwerki. Na ulicy, imię Rousseau'a noszącej, płonęły tysiące kagańców, a tłumy ludu snuły się po trotuarach. Słowacki, opisując tę uroczystość matce, w liście z dnia 7 marca 1835 roku, czyni to w taki sposób, iż mimowoli wyobraża go sobie czytelnik na tle tej iluminacji, wmieszanego w tłum uliczny, w towarzystwie Wodzińskich oczywiście, kiedy po skończonem przedstawieniu wracał z nimi z teatru do domu.

Wkrótce po tej uroczystości spotkała Słowackiego miła nad wyraz niespodzianka: pani Wodzińska, nie mająca zamiaru wyjeżdżać ze Szwajcaryi prędzej, aż na jesieni, postanowiła na ciąg letnich miesięcy przeprowadzić się po za miasto i obrała na mieszkanie — do czego w nie-małym stopniu przyczyniły się niezawodnie stosunki ze Słowackim — dom pani Patteg. Że Juliusz wiadomość o tem

przeniesieniu się Wodzińskich z niemałym przyjąć musiał ukontentowaniem, że sobie po takim wspólnym pożyciu pod jednym dachem obiecywał niejedno i że nie bez otuchy pewnej i nadziei poglądał w tę niedaleką przyszłość, to było tak naturalnem, że aż się jemu samemu nawet nie mogło wydawać dziwnem. Fakt, że pani Wodzińska zdecydowała się nająć mieszkanie w domu pani Patteg (do czego, można być pewnym niemal, pierwszą inicjatywę dał Słowacki), fakt ten, istotnie wagi niemałej, napoił serce poety uczuciem nieklamanej wdzięczności dla pani Wodzińskiej. To też nie nadaje jej odtąd w listach innego przydomku, tylko »bardzo dobra dama«.

W pannie Maryannie także zaczęło się coraz więcej dopatrywać »wdzięku i dobrego serca«. Jednocześnie atoli (rzecz znamienna i godna podkreślenia) w listach swych do matki stanie się poeta, tak wynurzony przed nią zwykle i otwarty, skrytym i zamkniętym. Skryty z natury, nie uczyni odtąd »ofiary ze swej skrytości« nawet wtedy, kiedy mu o sobie donosić wypadnie matce! Skąpy w słowa, co więcej, nie zawsze szczery, będzie niektóre rzeczy umyślnie oświeślał inaczej, aniżeli się miały w rzeczywistości, zaczęło najważniejsze wypadki swego życia pokrywać milczeniem, jakby się wstydził, albo też — co prawdopodobniejsze — nie śmiał do nich przyznać. Bo (myślał sobie niezawodnie) jeżeli, co daj Boże, sprawy pomyślny wezmą obrót, wtedy napisze o wszystkim; w przeciwnym razie (a na wszystko należało być przygotowanym) lepiej jeżeli się matka nie dowie o niczem. Po co ją dopiero zwodzić napróżno i karmić obietnicami, które się mogą nie ziścić. Lepiej milczeć, bo nie wiadomo, co może nastąpić. »A kto wie, *a może?* To dziwne słowo *może* ma czarujący dźwięk lutni Eola: każdy najmniejszy wietrzyk wygrywa na naszych myślach to słowo *może* i zawsze tylko *może*: to słowo musiało istnieć przed stworzeniem świata«. Cokolwiekby, o jednej rzeczy myślał bez żadnych zastrzeżeń i bez żadnego *może*, mianowicie: że mu panna Wodzińska nie była obojętną; i jeżeli uczucia, jakie wzbudzała w nim, nie umiał jeszcze — a *może* nie chciał — nazwać po imieniu, to w każdym razie zdawał sobie z tego sprawę doskonale, że oprócz niej nie podobała mu się teraz żadna inna panna, czyli, że wszystkie przestały go interesować. Tylko ona miała dla niego jakiś urok, tylko ona posiadała jakąś magnetyczną władzę nad nim. Innych kobiet nie widział poprostu, nie zwracał na nie uwagi. Wszyscy np. koledzy jego, młodzi Wodzińscy między innymi, kochali się na zabój w jednej Angielce, do której to Armidy chcieli, ażeby i on poszedł,

pewni, że skoroby ją ujrzał, zakochałby się natychmiast. Nie dał się jednak zaprowadzić, nie zależało mu bowiem na niej ani trochę. Drugi raz, na jakimś balu »w domu jednego z panów włoskich«, widział trzy śliczne Angielki, które, jak powiada, wszystkim prawie głowy zawróciły, na nim tylko nie zrobiły żadnego wrażenia. Czemu? Bo w głowie jego »utworzył się jakiś obraz, jakieś wyobrażenie ogromnej miłości, niepodobnej do osiągnięcia«.

I chodził wieczorami po ogrodzie, przy świetle księżyca, i słuchając śpiewu słowików, miał »jakieś uczucie samotnej dumy«, które go pocieszało i przynosiło mu ulgę. Po powrocie z takich przechadzek smutnych wracał do pokoju, zapalał lampę i, albo położywszy się nierozebrany na łóżku, puszczał wodze marzeniom — najczęściej o wycieczce z Wodzińskimi w góry — albo też czytał kilka rozdziałów z Biblii, którą miał teraz po polsku, w tłumaczeniu Wujka. Po nocach nie mógł spać. W głowie roilo mu się od różnych projektów na przyszłość, tak, iż dopiero nad ranem najczęściej otulał go Morfeusz swem nietoperzem skrzydłem. W ciągu dnia, nie zdolny skupić myśli o tyle, ażeby pisać i tworzyć, używał wiosny, spacerując nad brzegiem jeziora, i marzył. Marzenia były teraz głównem jego zatrudnieniem, a ograniczały się »do własnego byle gdzie domku«. Chciało mu się koniecznie »mieć coś swojego na ziemi, coś bardzo małego, coś bardzo pełnego kwiatów, drzew, zieloności« i żeby to wszystko opromienione było, niby słońcem, uśmiechami i spojrzeniami czulej, kochającej żony, szczeniakiem dziatki. I znów stawała mu przed oczyma panna Maryanna, do której tęsknił, jeżeli się nie widzieli przez parę dni, i około której obecnie myśl jego krążyła nieustannie, jak księżyc około ziemi. I zdarzało mu się nieraz, że opadało go zwątpienie, że tracił wiarę w swoją gwiazdę przewodnią i że, niczego się już nie spodziewając dla siebie na tym biednym świecie »pomiędzy aktorami, grającymi smutną i głupią komedię życia«, zadawał sobie niekiedy pytanie, czy nie najlepiejby było rzucić się w jezioro i raz na zawsze wszystkiemu koniec położyć. Na szczęście przypominało mu się w takich razach, że niebawem cała rodzina Wodzińskich mieszkać z nim będzie pod jednym dachem w Paquis, i wracał czempredzej do domu, ażeby o ile możliwości dom ten i ogród przyozdobić na ich przybycie. Wielką bowiem zdawał się przywiązywać wagę do tego, ażeby się tu pannie Maryi podobało, ażeby zastała tu pięknem wszystko i miłem. W tym celu, nie szczędząc sił, ani pracy, kopał klomby, sadił kwiaty, naprawiał małą altankę w ogrodzie, ubierał ją winem i powojem.

W zajęciach tych pomagała mu często Eglantyna, ale w stosunku Słowackiego do niej wielkie zaszły zmiany: miejsce dawnej czułości braterskiej, zajęła jakaś chłodna grzeczność dobrze wychowanego człowieka, grzeczność, nie zobowiązująca do niczego, a taka obojętna, że już się nawet w listach do matki ani słowa od niejakiego czasu nie pisało o pannie Eglantynie. O pannie Wodzińskiej tymczasem i jej rodzinie były obszerne relacye w każdym liście; kiedy zaś poprosiła poety, ażeby jej w sztambuchu »kartkę białą zabazgrał«, napisał piękny, sentymentalny wiersz, pełen wspomnień z podróży po Alpejskich górach, wiersz, którego początek brzmiał, jak następuje, a którym, jak to dziś sama pani Orpiszewska przyznaje, wszyscy byli zachwyceni.

Byli tam, kędy śnieżnych gór błyszczą korony,
Gdzie w cieniu sosen, bożym strzeżone napisem,
Stoją białe szalety, wiązane cyprysem;
Gdzie w łąkach smutnie biją trzód zbłąkanych dzwony;
Gdzie się nad wodospadem jasna tęcza pali;
Gdzie na zwalonych sosnach czarne kraczą wrony:
Tam byli kiedyś razem i tam się rozstali.

Po takim wstępie, napisanym odrazu, *ex promptu*, w przystępie natchnienia, a opisującym czarownemi słowy niedaleką przeszłość, następowało jakby smutne przeczucie przyszłości. Bo któż zaręczy, że ta przyszłość nie skończy się, dla jednej strony przynajmniej, mianowicie dla poety, tragicznie. Błądzili kiedyś razem po alpejskich górach i zachwycali się wspólnie pięknościami widoków natury; ale takie sielankowe podróżowanie po łąkach, gdzie »biją smutnie trzód zbłąkanych dzwony«, mogło bardzo łatwo — jeżeli nie musiało — wyryc się niezatartemi ślady w sercu mężczyzny. Cóż wtedy? Wtedy nie byłoby dziwnem? gdyby to serce pękło, po rozstaniu się z tą, dla której biło tak żywo wśród gór i dolin szwajcarskich. A ona? Jej nie możnaby się było dziwić nawet, gdyby wróciwszy po latach do kraju, zapomniała o swoim towarzyszu podróży po Alpach. Cóż naturalniejszego! Onby jednakże nie zapomniał i w końcu umarł z tęsknoty po niej. I dopiero, gdyby doszło kiedyś do owego balu, jaki pani Wodzińska obiecała z czasem wyprawić dla wszystkich, co brali udział w tej wycieczce, a na którym wszyscy mieli stawić się w tych samych kostiumach, w jakich chodzili po górach, dopiero wtedy dowiedziałaby się Marya — może przez ironię losu podczas mazura albo wieczery — że ów młody, z czarnemi oczyma towarzysz-poeta... umarł.

„Cichoż na jego grobie?” Słowików gromada
Śpiewa na srebrnej brzozie cmentarza tak smutnie,
Że brzoza płacze...

IV.

Łudził się jednak Słowacki, kiedy sobie wyobrażał, że z chwilą sprowadzenia się Wodzińskich do domu pani Patteg, zaczęną się dlań *die schönen Tage von Aranjuez*: panna Maryanna bowiem, pomimo owego wiersza, jaki jej poeta wpisał do stambucha, a który wyglądał trochę na nieśmiałe wyznanie miłości, zachowywała się, jak dawniej, t. j. nie zdawała się domyślać nawet w sercu Juliusza żadnego dla siebie głębszego uczucia. Swoją drogą zaprzeczyć się nie da, że w stosunku jej do niego zaszły niejaki zmiany na lepsze, chociażby takie tylko, jakie za sobą pociągały nieodbicie warunki życiowe. Przebywając dzień cały w jednym domu, do pewnego stopnia w jednym mieszkaniu (oprócz Wodzińskich bowiem, którzy zajęli pierwsze piętro, i Słowackiego, który miał swój pokój, również na pierwszym piętrze, nie mieszkał nikt w tym czasie w domu pani Patteg, poprostu dla braku miejsca), razem zasiadając do śniadania, obiadu i kolacyi, nie dziw, jeżeli po jakimś czasie — niedługim — nadzwyczajnie tem samem zbliżyli się do siebie, jeżeli wyrodziła się ztąd pewna pomiędzy nimi poufałość, i jeżeli z poufałości tej, niby ze źródła, żywsza w końcu wypłynęła sympatya; bo, jak wiadomo, poufałość rodzi sympatyę.

O sympatyi tej ze strony Wodzińskich (a trudno przypuścić, żeby jedna tylko Marya stanowiła wyjątek pod tym względem) świadczy między innemi następujący fakt. Usłyszawszy kiedyś od poety, że, pisząc do wujostwa Januszewskich, wybierających się w podróż do Włoch, prosił ich, ażeby mu przywieźli z domu dzieła jego ojca, jeżeli im miejsce w pakach zostanie; i dowiedziawszy się później, że projekt spotkania się Słowackiego z krewnymi pod lazurów niebem Italii nie dojdzie prawdopodobnie do skutku — z powodu trudności paszportowych — postarali się oni o kompletne wydanie pism Euzebiusza Słowackiego i położyli je któregoś dnia na stole, tak, iż poeta, wszedłszy do salonu, nie mógł ich nie zobaczyć odrazu. Jakoż zauważył je istotnie w pierwszej chwili, a że leżały otwarte, gdzie był portret autora, umieszczony na czele pierwszego tomu; więc Juliuszowi, kiedy spostrzegł nagle, niespodziewanie zupełnie, tak dobrze znajome sobie rysy, tę twarz

wesołą, pogodną i uśmiechniętą, łyzy zakręciły się w oczach, albowiem zdało mu się, że nieboszczyk przyszedł do niego z tamtego świata pytać go o życie, jakim żył, i chciał mu zostawić naukę spokojności, jeżeli nie szczęścia.

A, niestety, niczego tak dziś Słowacki nie pragnął, jak spokojności, jak szczęścia! pomimo bowiem, że mu, dzięki sprowadzeniu się Wodzińskich do pani Patteg, upływał czas bardzo wesoło pozornie (przynajmniej miał z kim »pogadać, a czasem potańcować«), spokojności wewnętrznej, a tembardziej szczęścia, które przy braku spokojności właśnie jest niemożliwem poprostu, nie kosztował zupełnie. Gry towarzyskie, wspólne czytanie książek — przyczem Słowacki czytywał paniom i swoje także utwory — muzyka panny Maryi, spacerowanie nad jeziorem, rozmowy w ogródku, zabawy tańczące, ciągle możność mówienia popolsku, co na obczyźnie posiada urok podwójny, i atmosfera »prawie familijna«: wszystko to, rzecz dziwna, nie wystarczało mu, nie zadawalniało go, ciągle żądał czegoś więcej, ciągle trwał w przekonaniu, że nie znalazł jeszcze takiego towarzysztwa, jakiegoby »duszą żądał« i że lubo znajdował często »roztargnienie i cichą wesołość«, czuł jednak, iż sercami ludzimi ci nie lgnęli do jego serca.

Ostatnia uwaga odnosiła się głównie do panny Maryi, która, nie lgnąc jakoś sercem do serca poety, czyniła go przez to samo »nieszczęśliwym i nieczulym na wszelkie drobniejsze dobre strony życia, jakim żył od pewnego czasu«. Przeciwnie, uważał, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu; we wszystkim dopatrywał się złośliwej i niesprawiedliwej niełaski losu względem siebie. Kiedy czytał damom swoje poezye, wrażenie, jakie tem osiągał, dalekiem było od tego, jakiego się właściwie spodziewał. Czuł, że i te wystąpienia nie podnosiły wcale jego uroku. Jakoż rzecz miała się tak istotnie. Deklamując z emfazą pewną, i podnosząc głos, który, z natury głuchy i przytłumiony, dźwięcznym nie był, nie podobał się, a panny uważały, że był »troszkę śmiesznym«, kiedy, podnosząc oczy w miarę czytania, śledził wrażenie, malujące się na twarzach słuchaczy, przyczem, co gorsza, jakby oczekiwał oklasków z ich strony, oklasków i objawów podziwu. I tak na każdym kroku! Ogródek, który urządził przed domem (a bardzo być może, iż pracował nad nim z myślą o Maryi), nie rósł coś, choć na słońcu, choć często polewany. Posiał rezedę, nie zeszła. Dlaczego nie zeszła? Człowiek rozsądny odpowiedziałby niezawodnie, że nasiona były nie-dobre; Słowacki widział w tem symbol swojego niepowodzenia. Podobnie miała się rzecz z altanką, po której obie-

cywał sobie wiele, a która, choć był to już koniec maja, nie zacięła się jeszcze. Kiedy nadeszła Wielkanoc i pani Wodzińska postanowiła piec ciasto, tym razem według krzemienieckiej recepty pani Becu, upieczone baby okazały się ciężkie i zakalcowate. Słowackiego to zmartwiło, albowiem imaginował sobie, że wszystkiemu temu była winna recepta. Z wyjazdu pani Becu razem z Teofilami do Włoch, gdzie się poeta — z takim utęsknieniem — spodziewał spotkać z nimi w Pizie, także nie wyłoniło się dla niego nic, prócz zawodu; pani Becu bowiem, w ostatniej chwili musiała zrezygnować z podróży i Teofilowie pojechali sami; wyjeżdżając zaś, napisali do niego list, kilka słów wszystkiego, tak bladym atramentem, że ledwo mógł rozpoznać ślady wyrazów, a potem, ślady te z wielką trudnością odczytane, o żadnych nie donosiły szczegółach. Chcieli, aby przyjechał do Pizy, lecz nie pisali kiedy? Donosili o jakimś zasiłku, lecz nie wymienili ilości. Żądali też, aby im kupił zegarek w Genewie, i przywiózł, a zapomnieli o rzeczy najważniejszej, mianowicie: że kupno podobne może wyczerpać ostatnie jego fundusze, i że bez grosza w kieszeni nie będzie mógł »z zegarkiem, ani na zegarku, jak na koniu, wędrować«.

Nie lepiej też szczęściło mu się podczas loteryi fantowej, urządzonej przez panią Wodzińską na korzyść przebywających w Genewie niezamożnych Polaków-emigrantów. Z 500 biletów 100 było wygrywających. On miał 5 i żaden nie wygrał! Wypadek ten, tak mało znaczący, że nikt inny nie zwracałby nań uwagi, a przynajmniej nie przywiązywałby doń tyle, co Słowacki, znaczenia, pozbawił go humoru i pewności siebie na cały wieczór tak, iż kiedy po skończonej loteryi fantowej zaczęto tańczyć, on brał już udział w zabawie jakby z musu. Złe uprzedzony dla wszystkich, próżen »tego zachwycającego uczucia budzącej się nadziei i słodkiej melancholii«, z jakimi niegdyś suwał się po wileńskich posadzkach; mając w sercu żal do panny Maryi, od której żądał, ażeby go wyróżniała: nudził się raczej, aniżeli bawił, i kiedy reszta towarzystwa tańczyła ochoczo, on nie mógł się doczekać końca zabawy. Nawiasem mówiąc, z panną Wodzińską tańczył wieczoru tego mniej, niż kiedykolwiek, tańcząc — jak powiada — tylko z temi prawie pannami, których nikt nie chciał wziąć do tańca, a więc z panną Eglantyną i niektórymi jej mniej zgrabnemi koleżankami. O godzinie drugiej po północy poczęli się goście rozjeżdżać. Zostało się tylko kilku młodzieży, którzy, z powodu, że bramy miasta jeszcze były zamknięte, nie mogli wracać do domu. Doczekawszy z nimi

poranku (pani Wodzińska z córkami przedtem już udała się do swoich pokojów), kiedy go pożegnali (nareszcie!), kontent, że sobie poszli, znużony tym wieczorem, zaduchem salonów, blaskami lamp, smutny i rozdrażniony, czując, że nie będzie spał, choćby się nawet położył, wyszedł przed wschodem słońca na brzeg jeziora. W jakim celu? Nie wiedział sam. Wiedział tylko, że mu potrzeba powietrza, chłodu, że się w pokoju udusi, że mu krew bije do głowy i że mu jest źle na świecie, bardzo źle! Widok budzącej się ze snu natury, spokojnej i pogodnej, przez to, że tak olbrzymi stanowił kontrast z jego chwilowem usposobieniem, nie działał nań kojąco i, zamiast uspokoić, rozdrażniał raczej. Wody Lemanu były ciche, przejrzyste i błękitne. Zaróżowione szczyty gór przeglądały się w nich, jak w zwierciadle; rybki wyrzucały się na wierzch. To wesołe pluskanie się rybek, które noc całą przepędziły w cichej wodzie i nad rankiem szukały świeżego powietrza, pobudziło Słowackiego do rozmyślań na temat, że jednak w życiu tych stworzeń jest coś sprzecznego bardzo z huczną nocą człowieka. Marząc tak, zamyślony, patrzył na czerwieniejące niebo, aż w końcu uwagę jego zwróciły na siebie jakieś dwie biedne kobiety, które przyszły pracować nad jeziorem. Odgarnawszy grabiami muł brzegowy i kamyki, rozrzuciły na trawie cały kosz prostej, brudnej bielizny, poczem wzięły się do pracy. Słowacki przyglądał się im w milczeniu i, dziwna rzecz! to prozaiczne zatrudnienie szczególnem przejmowało go wzruszeniem, jego, ubranego w stroju balowym. »Zmysły moje rozigrane — pisał o tej chwili do matki — zdolne były do przyjmowania najmniejszych wrażeń: spostrzegałem okiem prawie łzawem sprzeczności między celami życia różnych ludzi: pracować bieliznę albo patrzeć na wschód słońca i topić się w marzeniach! Po jakiej ogromnej drabinie te zatrudnienia musiały wchodzić i schodzić, aby się spotkać na środkowym szczeblu! Prawda, mam, że najszczęśliwsze rybki, które połyskały srebrną skrzela w chłodnej wodzie?« I przypomniały mu się owe poranki i owe wschody słońca, na które patrzył ze szczytów Faulhornu i Righi, owe szczęśliwe i wesołe chwile, przeżyte z Maryą podczas podróży po górach, i zdało mu się nagle, że »gdyby nie było na świecie poezji, to już sama myśl, że człowiek, który, chodząc po ziemi, zebrał tyle jasnych i nadzwyczajnych obrazów i z niemi do grobu pójść musi, zrodziłaby ją«.

I znowu napadła go i opętała na czas dłuższy jego »domownica zwyczajna, melancholia«, i znowu począł pod wpływem tej melancholii układać projekty wyjazdu z Ge-

newy. Dokąd? Wszystko jedno! Chociażby do Paryża, gdzie nawet przydałaby się jego obecność dla sprawdzenia rachunków z księgarzami, a zwłaszcza z Eustachym Januszkiewiczem, który go »zbywał niczem« i nie nadsyłał pieniędzy za rozprzedane tomy poezji. Jakkolwiekby, byłoby mu tam, pod pewnym przynajmniej względem, lepiej, aniżeli tu, nad jeziorem, gdzie się truł tylko miłością. Czyż nie rozsądniej byłoby oddalić się i stracić z oczu Maryę raz na zawsze? Pewnem jest, »że potrzeba nieobecności, ażeby zatrzeć żywość wrażenia«, dopóki zaś pozostawać będzie w Paquis, wrażenie, jakie na nim robi panna Wodzińska, tylko się potęgować może z dniem każdym. Zapobiedz temu, przeszkodzić, położyć koniec, dopóki płomień nie rozpalił się zbyt silnie, radził mu instynkt.

Twój pożar jeszcze w małej iskieierce,
A już cię strawił, już cię zwiędniałym uczynił...
Uciekaj! Ciebie już skrzydłami chwyta
Straszny duch ognia; tobie uciekać potrzeba.
Wierzej mi, są miłości bez gwiazd, Boga, nieba!
Te wkrótce zetrą serce w proch: tak je znudzą,
Tak splamią, tyle razy do niczego zbudzą...
To się i tobie stanie.

Przecucie to czyniło go coraz smutniejszym i niespokojniejszym, tak dalece, że miewał chwile, w których, jak sam przyznawał, z przerażeniem patrzył na zdrowie swoje i przyszłość. Dlaczego? »Zwykła niespokojność jaśkółki, co się boi, aby się dom jej z gniazdem nie spalił, nim dzieci się wychowają«. Swoją drogą za punkt honoru uważał sobie nie okazywać nikomu zwątpienia, jakie mu toczyło duszę, i stłumiając wszelkie objawy ognia, który w nim płonął wewnątrz, grał rolę człowieka »zimnego« z taką maestryą, że go wszyscy, niekiedy nawet samej panny Maryi nie wyłączając, uważali »za żelazo bardzo zimne«. Tak nakazywała mu jego duma, jego ambicya. A jednak cierpiał przez to, z powodu tej dumy właśnie, i nieraz zrzuciłby z siebie chętnie ten żelazny pancerz udanej obojętności. »Zdaje mi się — pisał w tem uczuciu do matki — że Bóg kiedyś miał włożyć duszę moją w orła, co śpi na igłach śniegu, nie budząc się, kiedy wichur obrywa mu pióra; co niema przyjaciół i szczęśliwy, że sam patrzy na słońce. Szkoda, że nie poszedł Stwórca za pierwszą myślą, że zrobił ze mnie posępne nic; takby mi dobrze było ze skrzydłami i z jękiem ptaka w piersiach«.

Na szczęście jednak, zmęczony smutną rzeczywistością, znajdował ukojenie w świecie przeszłości, pisząc melancholijną tragedję prozą, osnutą na tle smutnej historii

hetmana-renegata Kossakowskiego i jego syna Szczęsnego. »Czasy nasze mają dziwne lekarstwo na chorobę smutku: poezję« — mówi główny bohater tej chorobliwej trochę, ale przepięknej, choć pełnej zbyt wyraźnych reminiscencji z *Hamleta* i *Renégo*, tragedyi, a słuszność tego aforyzmu stwierdzał autor najlepiej na sobie, ile że pisanie i zaabsorbowanie myśli tym utworem, w który Słowacki tyle włożył samego siebie, tyle własnej melancholii, tyle własnych myśli i uczuć, było mu jakby upustem, którym spływały jego ówczesne spleeny.

Podobnie balsamiczny wpływ, choć z wielu względów odmienny, wywierała nań także i muzyka, której, dzięki pannie Wodzińskiej, słuchał teraz co dnia godzinami całemi. Panna Marya, tak samo, jak i mistrz jej, Fryderyk Chopin, najchętniej grywała wieczorami, w ciemnym pokoju, oświetlonym co najwyżej seledynowym blaskiem księżyca, szeroką smugą przez okno napływającym ze dworu (czasami przy akompaniamencie słowików, zawodzących swe trele w ogrodzie i przy melancholijnem dzwonieniu ciszy nocnej, przypominającej nokturn *Es dur* Chopina). Słowacki miał ten przywilej, że mu było wolno siedzieć wtedy nieopodal fortepianu i, słuchając, »kryć się do muszli serca swego, jak ślimak«. Sceny podobne, jakby wzorowane na cudnej elegii Alfreda de Musset, *Lucie*, powtarzały się co wieczór, tak, iż Słowacki, jak ów zakochany w Łucyi młodzieniec Mussetowski, również mógł powiedzieć o sobie:

...nous étions seuls, j'étais assis près d'elle,
Elle penchait la tête, et sur le clavecin
Laisait, tout en rêvant, flotter sa blanche main.

Ktoregoś wieczoru, kiedy siedzieli tak w salonie, bez światła, sami, we dwoje tylko, Słowacki, podniecony muzyką, tą, jak powiada Musset, *langue que pour l'amour inventa la génie*, podszedł z cicha na palcach do krzesła panny Maryi i nie zdając już sobie sprawy z tego, co robi, oszołomiony uczuciem, wrzucił mu w piersiach, nie wiedząc sam, z kąd mu się wzięła ta śmiałość, pochwycił warkocz panny w obie ręce i wpił się weń namiętnie ustami, jak szaleniec. Panna Maryanna, widząc to, zmieszana zrazu, »sercem bijąca, brylantowa w oczach«, zerwała się z miejsca, nie wiedziata, co począć i dopiero, kiedy ujrzała przed sobą ze spuszczonei oczyma poetę, który, jak zbrodniarz, nie miał siły wytrzymać jej spojrzenia, nie mogła się powstrzymać, ażeby nie wybuchnąć śmiechem. Co mu się stało? Oszalał, czy co? Z kąd mu się wzięła taka czułość? On, taki zawsze ponury i seryo, on, taki zawsze — jak mó-

wił — zrozpaczony życiem, żeby się uciekać do takich sentymentalności pasterskich! Wszystkiegooby się spodziewała po nim, nigdy jednak, ażeby uczucia swe wyrazić był zdolny w podobnie pastersko-sielankowy sposób! *Lui, cette être morose et grave, lui, ce désespéré de la vie, recourir à ces sentimentalités de berger!*

Wypadek ten musiał jednak z natury rzeczy, dać trochę do myślenia pannie: przedewszystkiem pochlebiał jej, a to wystarczało najzupełniej, ażeby, ulegając delikatnym podszeptom swej próżności, od której, będąc kobietą, nie była wolną, zaczęła się odtąd osobą poety interesować więcej cokolwiek, aniżeli dotychczas. Do pewnego stopnia było to nieuniknione.

Ztąd poszło, że, sama nie wiedząc, kiedy i jak, stała się Słowackiemu życzliwszą. Miała pewność, że była kochaną przezeń, a to wkładało na nią jeden przynajmniej obowiązek: szanowania tego uczucia. Mogła mu nie być wzajemną, ale samo poczucie delikatności — wrodzone jej przecież — nakazywało mieć wzgląd na niego, pozwolić, ażeby się czasem łudził, być w obcowaniu z nim uprzejmą, łaskawą, na niejedno wyrozumiałą, słowem, nie rozdrażniać go, nie dawać powodu, żeby cierpiał, żeby się męczył niepotrzebnie. Kochał ją, to znaczy, że pragnął, ażeby i on był kochany; nie należało więc okazywać mu obojętności, ale, przeciwnie, starać się, ażeby chwilami niezupełnie tracił nadzieję. Trochę w nim nadzieję tę podsycać, doradzała nawet kokieterya! Kobieta bowiem, choć nie kocha, widząc jednak, że jest kochaną, wszelkich będzie dokładała starań, ażeby zakochanego w niej mężczyznę coraz silniej przykuwać do siebie: o tyle obojętny jej nie jest nigdy, żeby nie miała czuć się dotkniętą w swojej miłości własnej, widząc go, że stygnie i że coraz bardziej wraca do równowagi. Tego żadna nie zniesie apatycznie. Cóż dopiero, jeżeli to jest istota, w której żyłach płynie odrobina krwi włoskiej!

Tym sposobem doszło powoli do tego, że i panna Wodzińska zaczęła nieznacznie, ale stopniowo, zapływać »w kraj ideału«. Na jakąkolwiek uczucie to zasługiwało nazwę, w każdym razie jedno jest pewnem, że panna Wodzińska była w tych czasach z większem dla poety zaufaniem, niż dawniej, że nie wahała się nawet zwierzać mu z wielu rzeczy, które miały pozór szczerości, choć wypowiedane były nieraz pół żartem, z uśmiechem na ustach. Raz np., kiedy, chodząc po lipowej alei ogrodu, rozmawiali o przyszłości, jaka ich czeka, i kiedy on pół żartem, pół serio, ubolewał nad swoją, skarżąc się, że wkrótce zostanie

sam, opuszczony, z sercem, trawionem miłością niewyznaną, z której uleczyć mógłby go chyba jeden tylko habit mni-cha-Kartuza; ona, niby nie domyślając się, o co mu w danym wypadku chodziło, do czego robił aluzję, kto był tą jego wybraną, pocieszała go — także pół żartem, pół serio — że i jej również po przyszłości niewiele spodziewać się należy. Dlatego — mówiła — przyjechawszy do Służewa, przywdzieje czarną, żałobną sukienkę, zamieszka w pustelnicznym domku nad rzeczką, odda się modlitwie, zajmie się leczeniem chłopów i nauczaniem ich dzieci, i żyć tak będzie w cichości dopóty, dopóki nie wypowiada się kiedyś, po upływie szeregu lat przed mnichem pewnym, który dziś jeszcze mnichem nie jest wprawdzie, ale który nim pewno zostanie kiedyś. Można to było tłumaczyć sobie rozmaicie i albo do rozmów podobnych przywiązywać wagę, albo też uważać je za zabawkę, za zwykły, trochę sentymentalizmem zaprawny, flirt. Jak się na tę kwestję zapatrywał Słowacki? Trudno odpowiedzieć stanowczo. W każdym razie, pisząc o tej rozmowie swej z Maryą do matki, opisuje ją tonem żartobliwym, jakim też była niezawodnie i w rzeczywistości także prowadzona. Cokolwiekby, o ile domyślać się można, że poeta w swoich »rozmowach o rzeczach anielskich« z Maryą nieraz musiał robić do tego aluzję, że gotów przywdziać habit mniszy, jeżeli mu się z nią »nigdy, nigdzie połączyć« nie będzie wolno; o tyle pewnem jest, że na sentymentalne projekty swej »czarnobrewej pannenki« zapatrywał się bardzo sceptycznie, z wielkiem niedowierzaniem: wątpił poprostu, czy panna Marynia, ze swym usposobieniem żywym, długo byłaby zdolna prowadzić żywot pustelniczy; nie wątpił bowiem, że znajdzie się niebawem »jaki pan Podkomorzyc w krainie Lachów, dobrze opatrzonego w szlachecką układność, talenta, wasy, podkówki i ostrogi«, który jej z łatwością domek pustelniczy wybić z głowy potrafi, kiedy on tymczasem, biedny poeta-wygnaniec, nie będzie mógł »kartuzowem wspomnieniem zdobyć liliowej duszy dla aniołów«. A kiedy go panna zapewniała, że się myli, że nie zna jej, jeśli przypuszcza, że pierwszy lepszy jakiś podkomorzyc miałby w niej zatrzeć »kartuzowe wspomnienia« genewskie, on wiedział, co o tych zapewnieniach myśleć, albowiem przekonany był, że »młode nasze Polki zawsze przebywają bardzo piękne krainy marzeń, aby się kiedyś zamknąć i zakopać w najnudniejszej rzeczywistości«. Po pannie Wodzińskiej zaś, o ile ją poznać zdołał, nie spodziewał się również, ażeby mogła stanowić wyjątek pod tym względem. Jakoż przewidywania jego miały się z czasem sprawdzić w zupełności.

Mimo to przeświadczenie jednak, przeświadczenie, które wskazuje wyraźnie, że na rolę swoją w stosunku do Maryi zapatrywał się z krytycyzmem pewnym, zapominał często, że po sielance tej nie może się on dla siebie żadnej spodziewać przyszłości i, hołdując horacyuszowskiej zasadzie *Carpe diem*, z rozkoszą poddawał się urokowi, jaki dlań miała chwilowo teraźniejszość; a że mu się panna z dniem każdym podobala coraz bardziej, więc

Z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać.
A ona tak mię prowadziła wszędzie!...
I mogła była, co chce, robić ze mną!...

Któregoś dnia, korzystając z prześlicznej pogody, przejechali wszyscy, pod przewodem pani Wodzińskiej, na drugi brzeg jeziora, na obiad wiejski. Był to jeden z najpiękniejszych dni w życiu poety. Kiedy jechali w tamtą stronę — paroma łódkami — roztaczał się dokoła nich, w całym majestacie i przepychu kolorów, najcudniejszy pejzaż alpejski: śnieżne, jak opale mieniące się lodowce, rzucone na turkusowy ekran nieba włoskiego; olbrzymia, szafirowa tafla jeziora, lśniąca pod światło słoneczne, jakby posypana dyamentami; po brzegach, gdzie spojrzeć, wszędzie istny eden zieleni; w powietrzu zaś, w promieniach słońca, mnóstwo jaskółek i motyli. Na takim tle, przybrana w lekką, perkalikową sukienkę, w dużym słomianym kapeluszu, nie dziw, że się Słowackiemu wydawała panna Maryanna »tak lekką, że na fale wejść mogła, a staw, nierozbity, nosiłby nóżki jej« oraz, że rozbawionemu w tem towarzystwie co chwila przychodziła ochota zawołać: »Prawdziwie, że ta ziemia, to raj dla szczęśliwych!« Stanąwszy u celu, towarzystwo całe, chroniąc się przed upałem, zasiadło u drewnianego stołu, w cieniu olbrzymich platanów. Przedtem oglądano w sadzawce restauracyjnej, w środku ogrodu, żywe ryby, które skazane na ogniste *autodafe*, miały się po jakimś czasie ukazać na półmisku, usmażone. Po obiedzie, podczas którego przywiezione z domu wino ciekło obficie, »jak w Kanie Galilejskiej«, grano w zajaca, przy czem młodzież, upoważniona przez damy, pozrucała surduty i fraki; a kiedy się zajac uprzykrzył, puszczano kaczki, (t. j. płaskie kamyki, które się rzuca w ten sposób, ażeby, ślizgając się po wodzie, jak największą ilość razy odbiły się od jej powierzchni). Tak przeszło kilka godzin. Kiedy zaczęto myśleć o powrocie do Genewy, niebo, dotychczas pogodne i błękitne, zaciągnęło się ołowianymi chmurami, zerwał się wicher, zaszumiały drzewa, jezioro pociemniało,

sposepniało nagle, aż w końcu zaczęło się marszczyć, pieńić, wzdymać i pomrukiwać złowrogo: zanosiło się na burzę. Nie zwłócząc tedy, ażeby, o ile możliwości, przed deszczem zdążyć do domu, powskakiwano do czółen i, nie bez humoru, ani dobrej myśli, odbito od brzegu, w tem przeświadczeniu, że *audaces fortuna juvat*. Tymczasem wiatr zamienił się wkrótce w szalony wicher; chmury, które zdawały się zniżać, stawały się coraz czarniejsze, a grzywy bałwanów — coraz bielsze i bujniejsze; czólnami zaczynało kołysać coraz bardziej, tak, iż chwilami woda z jeziora dostawała się przez burt do wnętrza; wiosła często, zamiast fali, rozbijały powietrze; po jakimś czasie, kiedy o zawróceniu się mowy już być nie mogło, poczęło grzmieć; zrobiło się ciemno, jak o zmroku; błyskawice poczęły raz po raz pruć zygzakami powietrze; do domu zaś nie było blisko.

Ale Opatrzność czuwała widocznie nad wesołą drużyną, bo nie dopuściwszy, ażeby zmokli, pozwoliła im dobić szczęśliwie do brzegu, bez szwanku, bez kropli deszczu. Ostatecznie, ponieważ przejażdżka taka, pod grozą burzy, nie była pozbawiona emocyi, zachowali z niej — na długo — bardzo przyjemne wspomnienie. »Ładny był spacer, wesoły dzień: nikt nie zasmucił się, ani stetryczał bólem głowy, jak się to często zdarza; nikt się nie lękał gromu Boga; wszyscy byli razem, aż do wieczora«.

Kiedy pozostawali w domu, w Paquis, zdarzało się im często, że spacerując po ogródku przed domem, »niczem nie strwożeni, sami« coraz silniej utwierdzali się w przekonaniu, że

Miło po listku rwać niepełną stokroć
I rozkochanych słów różaniec cedzić:

tak samo, jak miło jest niekiedy

Zabłądzić pod lipowe cienie
Z kwiatkami w ręku i, patrząc ukradkiem,
Wzajemnie mówić obrywany kwiatkiem:
Kocham, i pani kochasz mię...

Czasem, gdy ich »różowa poróżniła sprzeczka«, bo o takie »sprzeczki różowe« u zakochanych nietrudno, zwłaszcza, gdzie, jak w danym wypadku, mężczyzna nie jest pewny miłości kobiety, albo, kiedy im »zgody ciągle zabraniały świadki«, porozumiewali się pomiędzy sobą za pomocą stokrotek, obrywanych niby od niechcenia, dla siebie wyłącznie, uśmiechając się raz wesoło, raz smutnie, stosownie do tego, co mówił kwiatek: »nie«, czy »tro-szeczkę«.

Tak upływały im dni całe i tygodnie. Którejś niedzieli, pod koniec czerwca, w czas sianokosu, korzystając z okoliczności, że murawę ogrodu pani Patteg zalegały rozrzucone kopy skoszonego przed paru dniami siana, zaproponował ktoś, ażeby urządzić rodzaj majówki, t. j. spędzić kilka godzin pod gołym niebem, nie dalej wszakże, jak przed domem, w ogródku, na sianie. Myśl ta, rzucona w porę, uzyskawszy aprobatę wszystkich, rychło zamieniła się w czyn, a że pogoda była jak wymarzona, więc popołudnie to, przeleżane na sianie, przegawędzone, prześpiewane, przedeklamowane i przedowcipkowane, zapisało się w pamięci Słowackiego, jako jedno z najprzyjemniejszych, najbardziej sielskich. »I tak — powiada Słowacki — leżeliśmy całą niedzielę, panie, panny i chłopcy, święcąc dzień Boży, nie myśląc o niczem, odurzeni zapachem umarłej i zabitej trawy, odrzucając tę myśl, że człowiek przechodzi jak trawa i kwiat polny«, że wszystko na tym świecie — a więc i miłość także — musi mieć swój koniec, że wszystko, jak trawa, wędnie i usycha, podcięte nieubłaganą kosą czasu, że nic, a przedewszystkiem szczęście nie trwa wiecznie, nie ciągnie się w nieskończoność.

Refleksye podobne, choć było mu na razie wcale dobrze, chwilami nawet »wesoło bardzo«, nasuwały się teraz poecie o wiele częściej, niż dawniej; a górę nad niemi brała jedna przedewszystkiem: myśl o przyszłości, połączona z dręczącą go niepewnością: jaka też będzie ta przyszłość? Czy sążone jest Maryi odegrać w niej jakąkolwiek rolę? czy też, przeciwnie, ta pogodna atmosfera, którą oddychał obecnie, rozwieje się lada dzień, jak owe mgły poranne, i nie zostanie mu nic z tej całej idylli, prócz goryczy doznanego zawodu i upokorzenia? I znowu, jak parę miesięcy temu, poczęły się w nim budzić pragnienia życia we dwoje, w towarzystwie »młodej, ładnej i bogatej żony«, pragnienia, które go opanowały w krótkim czasie tak silnie, że ukryć się z niemi nie był nawet zdolny przed matką, choć zwykle skryty był pod tym względem i nie skory do wynurzeń. Oto co pisze w liście do niej w czerwcu 1835 roku: »Pamiętasz, mammo, te węże, które widzieliśmy kiedyś na moczarach pińskich, obwijające się koło lilii wodnych i grzejące się na słońcu? Chciałbym na rzece żywota znaleźć taki biały kwiat, obwinać się koło niego i zasnąć. To bardzo mistyczne i ciemne, matko moja! Lilia wodna niech się tobie zamieni w jaką miłą, spokojną i cichą dziewczeczkę, a zrozumiesz moje żądanie. O! o! o! z takimi wykrzyknikami konają osoby w moich tragediach; z takim długiemi westchnieniami kona... moja na-

dzieja! Byłem u panny Lenormand, obrywałem tyle razy margerytki, zdmuchiwałem cykorye, wiązałem trawy, szukałem czterolistnej koniczyny i dotąd nie wiem, co mię na świecie czeka. Zdaje mi się jednak, że musi coś czekać».

Wątpliwość ta zatruwała mu najśłodsze chwile uniesień i wesela, a spotęgował ją jeszcze, i to w stopniu bardzo wysokim, przyjazd do Genewy Wincentego Wodzińskiego, który tu przybył, ażeby razem z żoną i z dziećmi wracać wkrótce do kraju, do Służewa. Dla Słowackiego była wiadomość ta bardzo »smutnym wypadkiem«, a dzieląc się nią z matką, pisał w strapieniu swoim, co następuje: »Mąż pani Wodzińskiej przyjechał po nią i ma wkrótce *porwać* ztąd całą rodzinę. Szczęśliwi! Wracają! Wracają ułożyć się i pomieścić w domu rodzinnym na resztę życia, usnuć sobie domowe szczęście (którego mu nie kosztować), żenić synów (czego im szczerze zazdrości), wydawać za mąż córki (czyli oddać Maryę, którą on kocha i która jego »pierwszą miłością« pokochała, nie jemu, ale komu innemu!!!), zasadzać ogrody, siać zboża, budować i przebudowywać domy, patrzeć na zachód słońca, wyjeżdżać do lasów na herbatę z przyjaciółmi, z wiejskim sąsiedztwem. Zazdroszczę, choć takie szczęście podobne mi się wydaje do kwiatowego cmentarza. Bo i nad cmentarzem chce mi się często powiedzieć, jak Luter, patrząc na groby w Worms: *Invideo, quia quiescunt!* Zazdroszczę, bo cicho spoczywają. Czy też ja kiedy dojdę do przedśmiertnego spoczynku?» Ojciec Maryi, dumny magnat, marzący o świetnej partyi dla swojej starszej córki (co go później skłoniło do dania odmownej i stanowczej odpowiedzi Chopinowi, gdy go się ten »grajek« poważyl prosić o rękę Maryi), ojciec jej zachowaniem się swoim, wyniosłym i nieprzystępnym, do żadnych nie upoważniał nadziei; przeciwnie, takie robił wrażenie, że gdyby mu się człowiek z taką, jak Słowacki, pozycją oświadczył o rękę Maryi, gotówby się nawet nie oburzyć, ale poprostu roześmiać. Dlatego nie pozostawało poecie nic innego, tylko wszelkich pozbyć się złudzeń raz na zawsze. Za wysokie progi! A powtóre, nie był pewny miłości panny, która o ile z jednej strony dużo mu w ostatnich czasach okazywała życzliwości i przyjaźni, o tyle z drugiej niemniejszą okazywała życzliwość młodemu Darowskiemu, a oprócz tego pozwalała kochać się w sobie młodemu hrabiemu Montigny: najlepszy dowód, iż ten, oświadczywszy się o nią raz, na próżno, próbował niedawno szczęścia po raz wtóry, niestety, znowu z tym samym skutkiem. Mimo to nie przestał bywać w domu pani Wodzińskiej, co należało sobie tłóma-

czyć, iż pomimo dwukrotnego niepowodzenia nie zraził się i miał nadzieję, że, oświadczywszy się po raz trzeci o rękę panny, będzie przyjęty ostatecznie. Słowacki, który o tych konkurach Darowskiego i hrabiego de Montigny nie mógł nie wiedzieć, musiał się tem trapić podwójnie, czuł bowiem, że rywale ci, choć on ich zaliczał bez ceremonii do głupców towarzystwa, mieli więcej szans, ażeby się móżdż ożenić z Maryą, aniżeli on. Że refleksye podobne nie wpływały na humor jego dodatnio, rozumie się samo przez się; to też, pisząc do matki, w następujący sposób streścił swoje ówczesne usposobienie: »atmosfera imaginacyi, kraj przeszłości, wyspa ideału, przerżnięta rzeką łez«.

Na podobną wyspę, nie ideału, ale gorzkiej rzeczywistości, przerżniętą głębszą, nierównie rzeką łez, wyrzuciły losy i Eglantynę Patteg, która, osiadłszy na niej, jak rozbity okręt na mieliznie, stała się pastwą najsroźszych katuszy moralnych, przez jakie kobieta kochająca przejść może wogóle w życiu. W duszy jej bowiem, od chwili, kiedy się rodzina Wodzińskich sprowadziła do Paquis, zaczął rozgrywać się bolesny dramat psychiczny, tem boleśniejszy, że nie wolno mu się było ujawniać na zewnątrz; a jak powiada Bourget, *les vrais drames du coeur n'ont pas d'événements*. Jak gdyby chcąc Słowackiemu dowieść słuszności jego aforyzmu w *Horsztyńskim* (którego kreślił właśnie ostatnie sceny), że »ludzie tak dziwnie stworzeni są od Boga, że zawsze przywiązują się do słowa *ja*, oprócz kobiet, które przywiązują się czasem do słowa *mój*«, kiedy spostrzegła — a z przerażeniem zrobiła poraz pierwszy to odkrycie — że poeta, do którego sobie ona dotychczas wyłączone rościła prawo, odwraca się od niej, że sercem swem i wyobraźnią skłaniać się poczyną w inną stronę, w stronę panny Wodzińskiej, że jej, Eglantynie, zejść wypadnie chcąc nie chcąc na drugi plan, że towarzystwo jej, wobec tamtej, przestanie wkrótce posiadać dlań jakikolwiek urok, i że z podobną, jak Marya, rywalką, młodszą, bogatszą, wykształćszą, inteligentniejszą i świetniejszą pod każdym względem, a do tego jeszcze Polką, dla takiej, jak ona, prostej, niemłodej, ubogiej i trochę pospolitej Szwajcarki, nie ma najmniejszych szans powodzenia, a może być tylko pewność bezsilności własnej, Eglantyna, kiedy się jej jasno sformułowało w umyśle niebezpieczeństwo utraty Juliusza, o którego przywiązaniu dla siebie w zaślepieniu swem — tak właściwem pannom starzejącym się — nie wątpiła, poczęła się trapić na samą myśl o tem i otworzyła do duszy swej przystęp najokropniejszemu ze wszystkich uczuć: zazdrości. Zazdrość ta, opętawszy ją raz, zabiła w niej spo-

kój, wesołość, otuchę, nadzieję — słowem, wszystko, na czem zakwita szczęście: w nocy odbierała jej sen, w dzień apetyt, a w nocy zarówno, jak we dnie, prześladowała ją nieustannie najokropniejszymi podejrzeniami, najczęściej wszelkiej pozbawionemi racyi, podejrzeniami o brak dobrej woli, o nieszczerłość, o złośliwość, o lekceważenie, o przewrotność, o niewdzięczność, o brak serca, o egoizm, o radość z cudzej krzywdy, z cudzych cierpień, z cudzego nieszczęścia. O wszystko to posądzała teraz Eglantyna zarówno Słowackiego, jak i Maryę, którzy, egoistyczni w swojej miłości, zdawało się jej, uknuli poprostu spisek przeciwko niej, jak gdyby dręczyć ją i męczyć szczególną im sprawiał przyjemność. Z natury imaginacyjna i skłonna do przywidzeń — o co u ludzi uczuciowych, a zwłaszcza u kobiet egzaltowanych nietrudno — często widziała więcej, aniżeli było. Kiedy np. zdarzyło się, że wyszli ze Słowackim i Maryą na spacer do ogrodu, chodziła z nimi, jak po rozpalonej podłodze; albowiem była gotowa przysiąc, że radziły się jej byli pozbyć (w czem może miała czasami słuszność). Jeżeli zdarzyło się niekiedy, że, idąc z nią, zapomnieli się i, zamiast po francusku, t. j. zrozumiale dla niej, mówili przez chwilę po polsku, z pewnością podejrzewała ich zaraz, że czynią to umyślnie, nie chcąc, ażeby rozumiała, co mówią. Bo kto wie, co sobie mówili? Może wyśmiewali się z niej? Może naradzali się nad sposobem, w jakiby zostać sami? Wieczorami, kiedy widziała, że Słowacki idzie do salonu, dokąd go nęciła obecność siedzącej przy fortepianie Maryi, powiedziałaaby mu nieraz, jak zazdrosna Goplana rozkochanemu w Balladynie Grabcowi:

Niech słońce zagaśnie,
Jeśli mi ciebie kto wydrze, kochanku!
Ty jesteś moim, moim, moim wiecznie!
Choćbyś miał księżyc za ślubny pierścioneć,
Choćbyś miał księżyc, to ja go rozłamię!
Zagaszę księżyc, który cię prowadzi

do tej dziewczyny, która mi ciebie wydarła!

Ach! bądź mi wiernym! Błagam cię, zaklinam!
Na twoje własne szczęście! Ach! Zaklinam!
Przynajmniej dzisiaj nie chodź tam wieczorem,
Przynajmniej dzisiaj nie chodź tam, ja — każę!

Poeta jednak albo się nie domyślał istotnie, o co jej chodzi, albo też udawał, że się nie domyśla niczego i, jak Kirkor, szedł do tej chaty,

Gdzie mieszka uboga wdowa
I swe młode córki chowa,

a biedna Eglantyna nie miała, jak Goplana, na rozkazy swoje ani Chochlika, ani Skierki, którzyby »pracowali na jej szczęście«, którzyby sprawili, żeby się Marya znowu wydała poecie »bardzo brzydką«, którzyby jej nie dali »prześlicznie grać na fortepianie«, którzyby zalepili Słowackiemu uszy woskiem, ażeby się nie rozmarzał denerwującymi melodyjami Chopina, którzyby potrafili dokazać tej sztuki, ażeby pociski Amora, wymierzone w serce Juliusza, chybiały celu, i którzyby wreszcie posiadali moc skierowania serca tego ponownie ku niej, ku Eglantynie. Nie mając takiej władzy nad nim, nie omieszkała mu przynajmniej dawać przy lada sposobności do zrozumienia, ile cierpi z jego powodu, ile ją to jego sprzeniewierzenie się jej kosztuje, a kiedy on, rozdrażniony tem i zniecierpliwiony, a i znudzony czasami, bo przedewszystkiem nudziły go te narzekania, usiłował jej wytłómaczyć, że nigdy nie żądał od niej niczego więcej, tylko, żeby mu dała nieco »przyjaźni i ciszy«, ona mu w odpowiedzi na to »lży w powszednim podawała chlebie« i jęcząc z jękiem mówiła: »Niech słyszy«. Rozdrażniony tem wszystkim Słowacki, zaczął jej poprostu unikać, a jeśli się udało jej kiedy zatrzymać go z sobą czas jakiś, wymawiał jej, że mu tylko »serce krwawi« niepotrzebnie, i że, zamiast być dlań balsamem, jakby przystało na kochającą siostrę, w chwilach, kiedy się otwiera »serca jego rana«, ona leje w nie »żółciowe gorycze«, niepomna, że takim postępowaniem nikt sobie jeszcze czyjejs miłości nie zaskarbił.

Skończyło się na tem, że Eglantyna wskutek tych wszystkich przejść »poczęła schnąć«, blednąć, mizernieć, aż wreszcie »niebezpiecznie« zachorowała. Widząc to, Słowacki, i wiedząc, że przyczyną choroby tej nie jest kto inny, tylko on i jego miłość dla Maryi, a dla Eglantyny obojętność, bolał nad tem szczerze i »cierpiał«. Bo jakkolwiekby, żał mu było biednej »siostry genewskiej«, od której tyle dobrego doświadczył, a której za jej przywiązanie bezgraniczne odpłacał teraz złorzeczeniami i niejednem przykrem słowem. Z drugiej strony, ponieważ miłość jest zawsze egoistyczną, nie widział powodu zmieniać sposobu swojego postępowania z Maryą, pomimo, że obecność ojca jej paraliżowała ich często i krępowała; więcej nierównie, aniżeli niedomagania i lży Eglantyny.

Ale podobny stan rzeczy nie mógł trwać długo i jakieś rozwiązanie kwestyi musiało nastąpić koniecznie. Przyspieszyła je zdaje się pani Patteg, która »domyślała się, o co rzecz idzie«. Cokolwiekby, Słowacki, widząc, że wszystkiemu winien jest on, że chcąc mieć czyste sumie-

nie, należy »postąpić sumiennie« i oszczędzić Eglantynie dalszych powodów do martwienia się, zdecydował się po niemałej z sobą walce przeciąć pasmo tej kabały i opuścić niezwłocznie Paquis, choć przyznawał, że żał mu było rozstawać się teraz z tym domem, gdzie ostatnimi czasy czuł się tak dobrze, gdzie się do niego uśmiechać zaczęło szczęście, gdzie zostawiał wszystko, co go chwilowo przywiązywało do życia, co miało dlań powab i urok. Niestety, okoliczności składały się tak fatalnie, że względy osobiste musiały ustąpić na bok, albowiem nie o niego tu chodziło, lecz o kobietę, której dręczyć dłużej nie miał poprostu sumienia. Dlatego powziął stanowczy zamiar wyjechania.

Ale dokąd? Wybór miejsca nie grał w tym razie żadnej roli. Chodziło o to tylko, żeby wyjechał z Genewy, żeby się usunął z oczu Eglantynie, żeby się nie mógł widywać z Maryą. W tym celu obrał sobie na miejsce pobytu Veytoux, niewielkie miasteczko, położone na drugim końcu jeziora, niedaleko Villeneuve.

Spakowawszy rzeczy, będąc już gotowym zupełnie do odjazdu, poszedł się pożegnać z Eglantyną i obwieścić jej przy tej sposobności, że wyjeżdża. Pożegnanie z Maryą odłożył na ostatnią chwilę, albowiem wiedział z góry, ile go pożegnanie to kosztować będzie.

Eglantyna, kiedy się dowiedziała, o co chodzi, w żaden sposób przystać nie chciała na propozycję matki i zaklinała poetę na wszystko, aby został, tłumacząc, że woli go takiego nawet, jakim jest dla niej obecnie, aniżeli nie widzieć go wcale.

— Cóż ja kochałam, kochając człowieka?
W coż ja wierzyłam, wierząc w serce? Stoję,
Jak nad przepaścią jaką, sama jedna
I opuszczona wiecznie, o, ja biedna!
Gdy patrzę w oczy twoje, widzę jasno,
Że ty naprawdę żegnasz... Wieki miną,
Te gwiazdy, które dziś świecą, zagasną,
A nie odmieni się sercom, co giną,
Nic a nic! Lecz ty nie przez duszę własną
Tak postępujesz ze mną, z tą jedyną
Duszą, co tobie spadła, jak z miesiąca,
Siostra i matka razem — i służąca!
Musi być jakaś okropna przyczyna
Tego rozdziału, tej bolesnej rany,
Którą mi dajesz w serce...

Jakoż była istotnie przyczyna, że się Słowacki oddał teraz, tak nagle, ale mówić o niej z Eglantyną, rozwodzić nad nią długo, nie pora była obecnie. Mógł jej dać do zrozumienia, że wyjazd ten wyjdzie *jej* na dobre, że nie powinna go zaklinać, aby został, bo-by na tem *ona* wyszła

najgorzej, ale wyjawic jej całą prawdę, bez obstępów, nie miał poprostu sumienia; tembardziej, że gdyby powiedział otwarcie, dlaczego wyjeżdża, nie mógł być pewnym, żali się pohamować zdoła i czy jej nie zacznie tego swojego bądź co bądź poświęcenia się dla niej wyrzucać. Albowiem w duszy, pomimo całego współczucia, jakie w nim budziła swoją niedolą, złorzeczył jej (dowodem rzucone jej później *Przekleństwo*); ponieważ nikt inny, tylko ona »wydzierała mu ostatnie godziny szczęścia jego na ziemi«, ponieważ nikt inny, tylko ona »wypędzała go na samotność«, ponieważ nic innego, tylko jej pretensye niczem nieuzasadnione w gruncie rzeczy (bo nigdy jej nie mówił, że ją kocha) skłaniały go do wyjazdu, bo gdyby nie te względy, jemu aniby przez myśl przeszło opuszczać Paquis i pozbawiać się dobrowolnie paru tygodni przy boku Maryi, któraby mu była »siostrą na wygnaniu ziemi«.

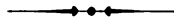
Pozostawiwszy Eglantynę we łzach, albowiem nie robił z tego tajemnicy, iż żegna się z nią »na wieki«, poszedł pożegnać się z Maryą, a pożegnanie to, dla innych zupełnie względów, także nie musiało być dla niego mniej bolesnem, aniżeli chwila rozstania z Eglantyną; gdyż o ile tam współzucie i poszanowanie cudzego nieszczęścia nie pozwalało mu przyznać się otwarcie, czemu się żegna, o tyle tu nie pozwalała na to miłość własna; nie mógł się jednak oprzeć nieprzewycięzonej poprostu chęci dania przynajmniej do zrozumienia Maryi, że ta chwila rozstania się z nią, na zawsze prawdopodobnie, niejedną pociągnie za sobą chwilę tęsknoty i żalu w jego życiu, a co będzie tego powodem, o tem on wyraźnie powiedzieć nie może: niech się sama lepiej wszystkiego domyśli. Ona tymczasem nie domyślała się niczego, a przynajmniej nie chciała się domyślać.

Po tej przykrej dla niego scenie pożegnania z Maryą, jeszcze »nim księżyc zabłysnął wieczorem« wiozł już poetę dyliżans pocztowy wzdłuż lewego brzegu jeziora drogą ku Villeneuve. Noc była jasna, miesięczna, ciepła: prawdziwa noc letnia. W naturze panował spokój, cisza, i słyszać było tylko jednostajny pomruk fali, opłókującej brzegi, i turkot powozu, pomieszany z tententem kopyt końskich. Błada światłość księżyca kładła się na wodzie migotliwą, srebrną kolumną i, co szczególne, niepokoiła Słowackiego, który, »wzburzony«, z rozpalonem czołem, takiego doznawał uczucia, jakby uciekał i, co gorsza, jakby uciekał prześladowany wyrzutami sumienia. Zdawało mu się ciągle, przez całą drogę, że widzi Eglantynę, jak »niema płaczem, za nim wyciągała ręce«, a on odpychał ją od siebie, »jakby

się ta kobieta do stóp jego kładła; że dostrzega jej postać schorzałą i bladą, jak biegnie za nim po smudze światłości księżycowej; że słyszy jej głos, jej łkanie, jej słowa, które mówiły: Otom jest »oszukana, przeklęta, zabita!« I, jak powiada, »próżno się zatokami węzowemi kręcił«: głos ten, pełen rozpacz, leciał za nim wszędzie i nie przedstawiał mu brzmień w uszach ani na chwilę. Próżno starał się przekonać sam siebie, że ostatecznie walczy tylko ze złudzeniem; próżno powtarzał na głos:

Patrzę na niebo, księżyc, na gwiazdy, jezioro!
Wszak tu jęk nie doleci, wszak łez nie zobaczę:
To jezioro, to fala, to nie ona płacze!

Nic nie pomagało! Głos sumienia buntował się przeciwko tym sofistycznym perswazyom rozsądku i dręczył go przez całą noc, aż do samego Veytoux. Nadto trapiła go jeszcze niewypowiedziana tęsknota za Maryą, a oprócz tęsknoty — smutne przeczucie, graniczące niemal z pewnością, że już nie zobaczą się nigdy.



ROZDZIAŁ III.

OSAMOTNIENIE I TĘSKNOTA.

Położenie Veytoux. I. Mieszkanie poety. Jego uczucia. Usycha z żalu, omdlewa z tęsknoty. *Rozłączenie. Stokrótki. Przekleństwo. Wspomnienie Laury.* Minister protestancki. Geneza *Lilli Wenedy*. Filozofia sztuki. Zamek Chillon. Poemat Byrona. Przyjazd Eglantyny do Veytoux. Wiadomości o Maryi. Powrót do Genewy. II. Jesień roku 1835. Kajocki. Stosunek do Eglantyny. Modlitwy o paszport do Włoch. Przedostatnia scena z Eglantyną. Pożegnanie. Wyjazd do Rzymu (luty 1836 roku).

»Nic piękniejszego, jak okolica, w której żyję!« pisał Słowacki do matki, we wrześniu, po dwóch miesiącach pobytu w Veytoux, które, jako miasteczko, położone na zielonej równinie, na południowym krańcu jeziora Genewskiego, w najbliższym sąsiedztwie zamku Chillon i skał Heloizy, nie dziw, że swoją wiejską spokojną pięknnością czarowało i rozmarzało poetę. »Na jasnych i wodnistych łąkach wzniesione (opisał je w kilka lat później Słowacki w jednym z swoich przepięknych listów *Do autora Irydyona*), z pod czarnych gór uśmiecha się wiosenną zielenią, z pod gór, które, podobne legionowi rzymskiemu, stoją groźne, nachylone, gotowe spaść i rozprószyć... Co? Kilka małych domków, białe odbitych w jeziorze, mały kościółek z piramidalną wieżyczką i rząd ciemnych drzew kasztanowych, które — jesienią — owieszone mnóstwem chłopiąt, tłukących z koron owoce, rumienia się hożą czerwonością wesołych twarzy, niby jabłonie sadów naszych, mnóstwem owoców spłonięte«. Stoki gór, jak wszędzie nad Lemanem, porośnięte winnicami; w górze śnieżne wierzchołki sławnych dzięki romansowi Rousseau'a skał Meille-

ries, mieniające się w słońcu na podobieństwo perłowej macy: słowem, widok nie do opisania. Ludzie, którzy widzieli Neapol i Helespont, mówią, że piękność krajobrazu Veytoux, w niczem nie ustępuje tamtym. I kto tu nie był, ten, jak się wyraża Słowacki, próżno będzie krajobrazy tworzyć, »osrebrać je księżycem i promienić świtem«; bo nie wie, »że trzeba niebo zwalić i położyć pod oknami (domu, w którym mieszkał poeta) i nazwać jeziora błękitem«;

Potem jezioro z niebem dzielić na połowę:
W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał szafirem;

w czasie niepogody zaś »włosem deszczu skałom wieńczyć głowę«; a podczas nocy letnich, miesięcznych i widnych, widzieć wszystko »w księżycu odkreślone kirem«.

I.

Niewielki domek, w którym zamieszkał poeta, domek, taki ładny i jasny, że »zjadłoby« go się chętnie, stał na pograniczu pomiędzy Veytoux a sąsiednią wioską Oeglone, i był własnością wieśniaków, którzy za piękność jego kazali sobie dobrze płacić cudzoziemcom, przyjeżdżającym tu na zimę dla kuracyi winogronowej i dziwnie ciepłego klimatu. Słowackiego jednak nie »darli« tak niemiłosiernie, jak innych; przeciwnie, pomimo, że miał pokój, jak wymarzony, wynajmował go za cenę bardzo przystępną. Był to pokój stanowczo najpiękniejszy ze wszystkich, w jakich Słowacki mieszkał kiedykolwiek w życiu. Słoneczny, pełen światła, z widokiem na zamek Chillon, widny o dwieście kroków, na winnice, na jezioro, »prześlicznie« umeblowany, czyściutki i wesoły, odwiedzany w ciągu dnia przez jaszkółki, tłukące się czasem piersią o zwierciadło, służyłby Słowackiemu za rozkoszne gniazdko, gdyby nie smutek, nurtujący duszę poety, od chwili, kiedy wyjechał z Genewy.

Mimo złudzenia bowiem, niestety! optycznego tylko, że się dostał do raj, w gruncie rzeczy, jeżeli myślał czasami o raju, to jedynie w ten sposób, w jaki o nim myśleć musieli nasi pierwsi rodzice po wypędzeniu z Edenu; a w takim razie rola Anioła Gabryela, który go z Paquis »wygnał na samotność«, przypadła Eglantynie. Samotność ta, przez to właśnie, że zaprawna smutkiem i melancholią,

dokuczała mu najbardziej; i tu leży przyczyna, dlaczego mu się wszystko wydawało ciemnem i »mgłą tajemnem«. Patrzac na otoczenie »wzrokiem ponurym skrå i łzami«, myśląc nieustannie o Maryi, o której pozbawiony był wszelkich wiadomości, mógł z ręką na sercu powiedzieć o sobie, jak powiedział w swojej szwajcarskiej idylli, że

Odłąd zniknęła, jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.

Istotnie tak było: tęsknota za Maryą i rozłączenie z nią, co na razie potęgowało niezmiernie samo uczucie miłości, takim przejmowały go smutkiem, że, jak powiada, chciało mu się poprostu umrzeć. Słowa bowiem, które miał z czasem włożyć w usta Anhellemu, najlepiej określały jego własne uczucia, jakich teraz doznawał w Veytoux z powodu panny Wodzińskiej:

— Otom zobaczył anioła, podobnego tej niewieście, którą kochałem z całej duszy mojej, będąc jeszcze dzieckiem.

A miłowałem ją w czystości serca mego; i dlatego lży mię zalewają, kiedy myślę o niej i o mojej młodości.

Bo oto byłem przy niej, jak ptak swojski, co się boi; i nie wziąłem nawet pocałowania od jej ust koralowych, choć byłem blisko: jak gołąb, mówię, siedzący na ramieniu dziewczyny.

...Oto mi więc smutno, że ujrzałem tego anioła i wołałbym był wczoraj umrzeć.

Pod wpływem tego uczucia napisał Słowacki — pomiędzy 20 a 30 lipca — kilka »lirycznych kawałków«, które malowały stan jego umysłu w tych czasach, a które p. t.: *Rozłączenie*, *Przekleństwo*, *Stokrotki*, *Ostatnie wspomnienie* i *Chmury* należą do pereł liryki erotycznej polskiej.

Rozłączeni, lecz jedno o drugim pamięta:
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągle wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz w cichej komnacie zamknięta.

Łudząc się chwilami w kwestyi uczucia, jakie dla niego żywiła Marya, wyobrażał sobie, że tak samo, jak on po niej, i ona tęskni po nim. W przeciwnym razie duma nie pozwalałaby mu tęsknić po niej.

Wiem, o jakiej godzinie wraca bólu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi lżę wyciska.
Tyś mi widna jak gwiazda, co się tam zapala
I lżę różową leje i skrå sińą błyska.
A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać,

to przecież

Znając twój dom i drzewa ogrodu, i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakimi drzewy szukać białej szaty.

Ty jednak »próżno będziesz krajobrazy tworzyć«, bo,
nie będąc nigdy w Veytoux, nie jesteś w możności wyo-
brazić sobie tej prawdziwej ziemi obiecanej, wśród której
żyję i marzę o tobie.

Nie wiesz, nad jaką górą wschodzi ta perełka,
Którąm wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę-stróża;
Nie wiesz, że gdzieś daleko, aż u gór podnóży,
Za jeziorem dojrzałem dwa z okien światelka.

Przywykłem do nich: kocham te gwiazdy jeziora,
Ciemne mgłą oddalenia, od gwiazd nieba krwawsze.
Dziś je widzę; widziałem zapalone wczora:
Zawsze mi świecą; smutno i blade, lecz zawsze...

A ty wiecznie zagasłaś nad biednym tułaczem:
Lecz, choć się nigdy, nigdzie połączyć nie mamy,
Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki, co się wabią płaczem.

Ale przeświadczenie, że i Marya tęskni za nim, nie
umniejszało bynajmniej smutku, choć było w pewnym sto-
pniu smutku tego niejaką osłoda. »Dzisiaj samotny, dzisiaj
bez nadziei« błądząc po okolicy, myślał o niej tylko, nie-
zdolny — chwilami — do myślenia o czym innem. Wszystko
mu ją przypominało, a nic tak rzewnie, jak białe stokrótki,
które zrywał teraz i obrywał listek po listku, tak samo,
jak to czynił niedawno, w towarzystwie Maryi; i wszystkie
jego smutki, jak powiada, »zbiegały się wtedy razem do
białej stokrótki, co była siostrą stokrótek w alei«.

Rwałem ją: listki leciały w błękicie
Aż na jezioro ze skały, gdzieś siedział...
I wiesz, co listek ostatni powiedział?

Oto, że jest jeszcze kochany przez nią. Nędzna pocie-
cha! albowiem chociażby nawet tak było, wszelką pewność
stałości ze strony Maryi zatruwała inna pewność: że się
nigdy, nigdzie połączyć nie mają, że muszą się rozejść na
drodze życia i o ile możliwości zapomnieć jedno o drugim,
bo nic im nie pozostaje innego. Niestety, serce nie sługa,
jak powiada Mickiewicz, nie zna co to pany, i rozkazywać
mu trudno. To też i Słowacki był wobec swego bezsilny,
i dlatego, pomimo głosu rozsądku, który mu radził zaprzę-
tać sobie umysł czem innem, poezją np., przebywał najchę-
tniej i prawie ciągle na owej »wyspie ideału, przerżniętej

rzeką łez«, i zdawało mu się wciąż, że czuje, jak pachną warkocze kochanki, że widzi promienny blask jej oczu. I znów, jak powiada w strofie XVIII-ej swojego szwajcarskiego romansu, ogarniały go, drżącego, płomienie, i nie wiedział gdzie iść

i gdzie oczy schować
I gdzie łzy ukryć, i gdzie być samotnym?

I starał się siłą wyobraźni przywołać postać Maryi przed siebie; nie wiedział tylko, ile razy się tak myślał w przyszłości zagłębił, »jak sobie jej postać malować?«

Czy wtenczas, kiedy uciekała trwożna?
Czy, kiedy wiejskim otoczona dworem,

jak Zosia w *Panu Tadeuszu*,

Chodziła, gdyby zakłęta królowa?
Czy, kiedy cicho uśnie pod jaworem?
Czy, kiedy goni? czy, kiedy się chowa,
W księżycu blasku biała, lub wieczorem
Od Alp, na śniegach różowych, różowa?

W nocy, bywało nieraz, budził się, otwierał okno i stawał w niem, zamyślony, »słuchając różnych płaczów na dolinie« i zdawało mu się, że w szmerze fontanny, »co wiecznie jęczy zapłakany szumem«, pomieszany z sentymentalnymi serenadami słowików, słyszy głos jakiś, mówiący mu o niej. A że z konieczności nie było w tych tajemniczych nocturnach ani jednego słowa nadziei, bo nie mogło być, więc poeta, otwierający im serce, mógł tylko »o śmierć prędką modlić się z rozpaczą« w tem przekonaniu, że i tu, i tam, za morzem, i wszędzie,

Gdzie tylko poszłę przed sobą myśl biedną,
Zawsze mi smutno i wszędzie mi jedno,
I wszędzie mi źle, i wiem, że źle będzie.

Obok tej tęsknoty po utracie Maryi znalazło się w sercu Juliusza dosyć jeszcze miejsca na żal do Eglantyny, od której miał częste listy, a którą przeklinał teraz — nawet wierszem — za wszystkie »żółciowe gorycze«, któremi go poiła, dopóki nie wyjechał z Genewy. Pod wpływem tego żalu i tej urazy do biednej dziewczyny, która zdaniem p. Treliaka »może jakiś czas karmiła się nadzieją, że zdoła pozyskać serce poety, a zobaczywszy, że to serce zwraca się ku innej kobiecie, nie umiała utaić swego żalu, a czasem gorzkiego powstrzymać słowa«, napisał Słowacki swoje słynne *Przekleństwo*, rzucone Eglantynie, w którym, wyma-

wiając jej swój wyjazd do Veytoux, między innemi zapewnia ją, że, jeśli dziś »w samotności, okryty żałobą, oczy błędne obraca za każdym szelestem«, to niech nie myśli, ażeby o niej wtedy pamiętał. Nie! bo »czekam, ale nie ciebie! tęsknię, nie za tobą!« Przeciwnie,

Tej czekam, omamiony, tej samotny płaczę,
Która mi była siostrą na wygnania ziemi;
Mysząc, że kiedyś duszy oczyma zobaczę
Tę, co w duszę oczyma patrzy anielskiemi,
A nigdy serca mego nie umiała krwawić.

Nie zniosłaby też, ażeby się ktoś dla niej wyrzekł dobrowolnie »ostatnich godzin szczęścia swojego na ziemi«, aniby potrafiła dla dogodzenia własnemu egoizmowi »wygnać »kogoś na samotność wśród pustyni, samotność, która na niego wpływ wywierała zabijający, potęgując napady spleen'u, i przeciw której lekarstwa szukać musiał w nudnych rozmowach z pewnym ministrem protestanckim, jedynym człowiekiem, jaki — oprócz gospodarstwa-wieśniaków — mieszkał w tym domu.

Człowiek to był nie zły, do rzeczy, a jako świeży wdowiec z pięciorgiem dzieci, budzący niezwykle współczucie. Szkoda tylko, że rozmowa z nim stawała się zawsze męczącą i nudną; jako pastor bowiem, należący do sekty metodystów, miał swoje dziwactwa, a nadto, jak każdy metodysta, starał się wszystkim, a więc i Słowackiemu, narzucić swoje przekonania, na które poecie, dumnemu ze swego katolicyzmu, trudno się było zgodzić. Ztąd dysputy, często ożywione bardzo, choć jałowe, bo Słowackiemu ani przez myśl nigdy nie przeszło, ażeby zostać metodystą.

Większą też, aniżeli w dyskusjach tych, znajdował Słowacki przyjemność w samotnych dumaniach i przechadzkach z książką w ręku, z Szekspirem lub Byronem, których czytał sobie *en plein air*, leżąc na miękkiej murawie, w cieniu drzew; uważał bowiem, że miło jest

Pójść nad jasne zdroje
Gdzie słońcu broni przystępu leszczyna,
I na murawie legnąć aksamitnej
W brzęku motyli, przy wodzie błękitnej.

Na jednym z takich spacerów, pod wpływem odczytanej świeżo pieśni trzeciej *Wędrowek Childe Harolda*, zrodził się pomysł do tragedyi, której bohaterką miała być początkowo Julia Alpinula, unieśmiertelniona w tem arcydziele Byrona, a której z czasem sądzone było przedzierzgnąć się w »pół-posagową« *Lillę Wenedę*.

Do tej »pół-posagowości« zaczął teraz Słowacki więcej nierównie przywiązywać wagi, aniżeli mu się to czynić zdarzało dotychczas, do pobytu w Veytoux; pobyt ten bowiem stanowił poniekąd epokę w jego życiu, przynajmniej w jego przekonaniach i wyobrażeniach artystycznych. Przedtem lubował się w ponurym, chorobliwym Byronizmie, drapując się w urojone często i nieszczerze cierpienia; obecnie zaszła w nim stanowcza zmiana pod tym względem, zmiana, ujawniająca się tem przedewszystkiem, że nagle, bez widocznego powodu »znienawidził« swoje pierwsze utwory. Czemu? Na to pytanie potrafił taką dać tylko odpowiedź, że wydawały mu się one dzisiaj nietylko chorobliwemi w założeniu, ale i nieudolnemi w wykonaniu. Jednocześnie poczuł w sobie raptownie »potrzebę większej doskonałości«, gdyż rozwinęło się w nim obecnie »jakieś nowe piękności uczucie«, uczucie, o którym nie wiedział jeszcze jak się ono przyoblecze w słowa; wiedział tylko, i z tego zdawał sobie sprawę najdokładniej, że cokolwiek napisze w przyszłości, już karty nowego dzieła będą jaśniejsze, pogodniejsze, pełniejsze równowagi moralnej; tak samo jak w słowach i stylu więcej będzie szczerości, łez, uczucia, a mniej pozy i retoryki, czem tak grzeszyły wszystkie jego utwory do *Kordyana*, i od czego nie była wolną nawet *Godzina myśli*, choć ten poemat lubił najwięcej ze wszystkiego, co napisał w Genewie, albowiem było w nim coś, co go jak gdyby kołysało »przeszłości dźwiękiem, jakąś cichą, dawną piosenką«.

Główną przyczyną tej szczęśliwej w Słowackim metamorfozy, która się i w ten także objawiła sposób (co świadczyło o pewnym stopniu dojrzałości umysłowej), że przestał nagle znajdować przyjemność w czytaniu powieści, oraz »w tłumie tych dzieł lekkich«, jakimi dotychczas otaczał mniej więcej swój rozum, było, zaprzeczyć się nie da, zbliżenie się i częste przestawanie z naturą, z wszechstworzeniem. Sam przyznawał, że te trzy miesiące, przepędzone wśród najpiękniejszych widoków przyrody, wielką dlań były nauką, i że — dzięki tym krajobrazom egzotycznym, oświetlonym złotemi promieniami słońca lub seledynowemi księżycą, tym górą, temu jezioru błękitnemu, nabijanemu światłem, i tym wibracyom lodowców w upalne dni lipcowe — zmienił się do niepoznania w swoich poglądach na świat, a zwłaszcza na artystyczne sposoby jego odtwarzania. Te ostatnie były u niego aż do tej chwili w fazie fermentu, w fazie krystalizowania się, tak, iż można go było porównać do Schillera z epoki *Żbójców*, lub Goethego z epoki *Goetza von Berlichingen*. W Veytoux,

jakby za dotknięciem laski czarnoksiężkiej, miało się z nim stać to, co się stało z Schillerem, kiedy pisał *Don Carlosa*, co się stało z Goethem, kiedy zobaczył Włochy, co się stało z Mickiewiczem, kiedy zamknięty w celi bazylińskiego klasztoru, z Gustawa przedzierzgnął się w Konrada. Podobna zmiana dokonała się teraz w Słowackim: z Kordyana (z pierwszego aktu) zrodził się nagle Anhelli.

A przyczyniła się do tego — oprócz wpływu natury — w niemałym także stopniu i samotność, ta, jak ją ktoś nazwał trafnie, najprzedniejsza geniuszów mistrzyni, samotność, która im pozwala skupić się w sobie, a której w starożytności wielu mędrców, a między innymi Chrystus i św. Jan Chrzyciel, szukali na pustyni, w dali od rozgardyaszu miast, od ciżby ludzkiej, od codziennej banalności życia. Taką pustynią dla Słowackiego było właśnie Veytoux. Odcięty od świata, od ludzi, a przynajmniej od znajomych, mając dni całe wolne przed sobą, nie potrzebując myśleć o jutrze, mógł z najzupełniejszą, niczem nie zamącaną swobodą oddawać się kontemplacyom, uważać »harmonię, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem«; postrzegać, że sztuka powinna naśladować »tę dziwną wszystkiego jedność«; zastanawiać się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem i dźwiękiem natury, w nocy i we dnie, w pogodę i podczas burzy; widzieć ją zbliska błękitną albo chmurną; wsłuchiwać się w szmery potoków, w ciche szepoty nocy, w melancholijną muzykę wieczoru, w dzwonienie skowronków, w śpiew słowików, w kumkanie żab, w plusk rybek, wyrzucających się nad powierzchnią wody, w nieuchwytnie dla ucha rozmowy kwiatów i traw, w »rozplakane« szumy fontanny: słowem, obserwować i patrzeć.

Raz, powiada, wyszedłszy na wielką górę, pod nogami miał wielki parów, zarosły sosnami, bardzo ciemny, przetrzynięty potokiem. Było to w niedzielę rano. Dzwon kościoła wiejskiego, nadzwyczaj głośny i ponury, napełniał całe powietrze: tak, iż krajobraz cały zdawał się ożywiony duszą dzwonu, »jak ciemny poemat, w którym brzmi imię Boga«. On tymczasem, zasłuchany, nie bez pewnej słuszności widział w tym obrazie, pełnym kolorów i dźwięków, niby wizerunek symboliczny tego, co czuł w danej godzinie: zamiast się modlić w kościele, słuchał z daleka między skałami dzwonu, co zwołuje spokojnych ludzi na modlitwę.

Podobnego rodzaju refleksye nasuwały mu się tu na każdym kroku. Oglądając zamek Chillon, podczas nocy, przy świetle księżyca (w dzień czytał nieraz *Więźnia Chillonu* Byrona, patrząc zbliska na mury zamku i więzień)

i słuchając śpiewania puszczyka, ukrytego w starej wieży, widywał czasami — podobnego doznając złudzenia, jak autor *Przedświt*, na jeziorze Como — nieprzebrane tłumy mglistych, wymarzonych widm ludzi i rycerzy, z Boniwarem na czele, którzy ginęli niegdyś w tym zamku, a dziś zapomniani, odpoczywali snem wiecznym, obrócenie w proch, z którego powstał, kiedy zamek ich tymczasem aż po dziś dzień stoi taki cichy w księżycowym blasku; i mimo-woli rodziło mu się w duszy pytanie: za co ci ludzie ginęli? jaką była idea, w której imieniu padali śmiercią walecznych? i czy warto było nieść jej życie w ofierze, a często z życiem razem i osobiste szczęście? Pytanie to przez długi czas nie dawało mu spokoju, aż w końcu znalazł na nie odpowiedź. Było to pewnej niedzieli. Dowiedziawszy się, że w jednej z oberży na górze ma się odbyć bal, udał się tam o oznaczonej godzinie — bo smutno jest siedzieć samemu w domu w niedzielę — i dziwnego doznał wrażenia: na murawie, za którą, w dole, widać było błękitną taflę Lemanu, wieśniacy i wieśniaczki, wszyscy w malowniczych świątecznych strojach, tańczyli walca, a tak, że złudzonemu oku zdawało się, iż cały ten korowód tańczących uwija się nad brzegiem przepaści, z miejsca bowiem, gdzie stał poeta, przedewszystkiem rzucało się w oczy jezioro, widne tu zresztą wszędzie, z każdej ścieżki, z każdej doliny, z każdej góry. W głowie Juliusza, jak sam przyznaje, obudziły się dziwne myśli na ten widok. Nasamprzód ci ludzie, między którymi widział mnóstwo pięknie zbudowanych mężczyzn i prześlicznych, zgrabnych kobiet, wszyscy bez wyjątku tacy weseli, rozbawieni, szczęśliwi, rozniecali tem szczęściem zazdrość w sercu, że nie wszystkim ludziom tak jest dobrze na świecie, jak im. Kiedy to tak będzie zawsze i wszędzie? — myślał sobie Juliusz. Ale jednocześnie obok tego uczucia zazdrości i zarazem politowania nad tymi, którzy podobnego szczęścia nie znają, rodziło się przypuszczenie: ażali ci średniowieczni rycerze Chillonu nie zapewnili zgonem swym szczęścia przyszłym pokoleniom, i czy nie oni temu winni, że nigdzie wieśniak nie jest tak szczęśliwy i bogaty, jak w tych stronach? Kto wie, czy owe więzienia Chillonu, czy te filary i pierścienie żelazne, do których przykuwano więźniów, nie są źródłem, z którego po wiekach wypłynął dzisiejszy dobrobyt ludu szwajcarskiego i jego wolność? Niejednokrotnie zastanawiał się nad tem Juliusz, a codzień, idąc na obiad do pobliskiego Montreux, i przechodząc koło ślicznego kościółka, otoczonego kwiatami, porośniętego bluszczem, wijącym się po starych gotyckich ścianach, otoczonego murem, z którego

najpiękniejszy miał widok na jezioro, i położonego w ogrodzie z samych róż, jaśminu i błękitnych dzwonków; codzień, przechodząc tędy, powtarzał sobie: jak dobrze modlić się w takim kościółku! jak dobrze ludziom, którzy modlą się w nim od kołyski aż do grobu, którzy nie są zmuszeni, jak on, trawić najpiękniejszych lat życia na wygnaniu, depcząc »obcych ludzi łany«, wiecznie stęsknieni za ową ziemią obiecaną, na której się urodzili i wychowali, i której im żadna inna, choćby najpiękniejsza, zastąpić nie była zdolna.

I przestał wierzyć w możliwość szczęścia dla siebie na ziemi, bo szczęścia tego nie rozumiał na razie bez Maryi, i pragnął tylko jakiego cichego, małego domku przy Teofilach, z ogrodem, z jednym sługą, z szafą pełną książek, gdzieby mu dni upływały w spokoju i na pracy. »Bo czemuż ja byłbym, pisał o tych swoich marzeniach do matki, gdybym stracił to okienko, przez które na świat patrzę i odzywam się do przechodzących pod domkiem moim ludzi. Teraz zdaje mi się, że jestem na coś potrzebny. Gdyby mi powiedziano, że nie, okryłbym się moim płaszczem i położyłbym się spokojnie do snu, pytając Boga, na co mi kazał grać rolę waryata na tym świecie?«

Cokolwiekby, »waryatowi« temu, dobrowolnie wyrzekającemu się wszelkich powabów szczęścia doczesnego, zaczęło się po jakimś czasie przykrzyc w Veytoux; »życie pustelnicze nad jeziorem«, tyle mające dlań uroku z początku, przestało go w końcu poetycznością swoją rozmarzać; tak, iż stopniowo, nieznacznie, zaczął tęsknić za swojemi dobrymi gospodyniami genewskimi, za panią Patteg, która go kochała jak syna, i nawet za Eglantyną, której niedawno jeszcze złorzeczył tak namiętnie i niemiłosiernie przekleństwami. Po upływie dwóch miesięcy, kiedy się dowiedział od Eglantyny właśnie, która umyślnie w tym celu przyjechała do Veytoux, że cała rodzina Wodzińskich opuściła ostatecznie Paquis i udała się do Drezna, (gdzie się Chopin oświadczył o Maryę i — nie został przyjęty) i kiedy go Eglantyna, nic nie wiedząca naturalnie o napisanem pod jej adresem »przekleństwie«, zaklinała ze łzami rześnistymi w oczach, ażeby powrócił do nich, że nigdzie mu nie może być tak dobrze, jak u nich, bo nigdzie otoczony nie będzie taką miłością matczyną i siostrzaną, nie mógł nie uznać całej słuszności tych perswazyi i, choć na myśl o powrocie takiego doznawał uczucia, »jak gdyby mu się coś na świecie przez dwa lata klejonego nie kleiło«, to z drugiej strony przecież zasmucało go przypuszczenie samo, że ten dom, z kąd wyjeżdżał, płacząc, płakany, miałby

mu być obcym tej zimy, że chcąc na swoim postawić i nie wrócić, musiałby znów nowych szukać ludzi, z nowymi oswajając się twarzami, kiedy tam uważano go, jak syna...

Bo zostać w Veytoux przez całą zimę było niesposób. Ciągła samotność skłaniała do melancholii i mizantropii. Nadto myślał i nadto się zachmurzał, będąc nieustannie sam, a że to nie zawsze dobry nań wywierało wpływ, z tego zdawał sobie sprawę doskonale. W Paquis tymczasem miał tyle samotności, ile chciał, miał jednak i możność pogawędzenia z ludźmi, potańczenia, słowem. rozerwania się. Kiedy na początku września zmuszony był wyjechać za interesami do Genewy na kilka dni, w sprawie paszportu do Włoch, z kąd go wciąż atakowali Teofilowie (Januszewscy), aby przyjeżdżał czempredzej; i kiedy zamieszkawszy natenczas u swoich dawnych gospodyń, odetchnął znów tą samą serdeczną atmosferą ich domu, w którym przeżył dwa lata i gdzie mu dobrze było, gdzie spokojne wiódł życie, »jak we własnej rodzinie«, mimowoli ogarnęła go tęsknota za opieką i troskliwością, jakimi go otaczały matka i córka Patteg, i gdyby mu nie było wstyd przyznać się do tego, kto wie, czyby tu już nie został całkiem. Jak zwykle o tej porze, *pension* w Paquis wrzało jeszcze licznym gronem cudzoziemców, w liczbie których znalazło się kilka ładnych Francuzek, z Paryża, gdzie grasowała właśnie cholera i z kąd schroniły się nad brzegi Lemanu. Towarzystwo ich, pomijając już inne względy, bardzo zachęcało do pozostania w Paquis. Przemógł się wszakże i, lubo niechętnie, powrócił do Veytoux. Po co? Sam nie wiedział. Chyba w tym celu jedynie, ażeby się nudzić i odbierać listy z Genewy, od Eglantyny (w których znajdowały się raz po raz i listy od Teofilów z Rzymu, oraz od matki, z Krzemieńca) listy, rozdzierające mu serce. Nie zawsze mógł to powiedzieć o listach Hersylki lub Teofila z Włoch, którzy zrozumieć w żaden sposób nie mogli tego, że on z powodu trudności paszportowych ruszyć się z miejsca nie może. Posądzali go nawet o skąpstwo i o brak ciekawości dla krajów nieznanych, jakby zapominali o tem, że sami mu w listach swoich pisali, że »nudzą ich bardzo Włochy, a szczególnie Hersylkę«. On pomimo tego nie zrażał się i, przeciwnie z utęsknieniem marzył o klasycznej ziemi Italii, o lazurach włoskiego nieba, o blaskach tamtejszego słońca. Bo, pomijając już względy estetycznego piękna i korzyści, jakaby odniósł z tej podróży, jako poeta, znalazłby tam owo zapomnienie, o które modlił się Manfred, a któreby go uleczyło może po utracie Maryi. Albo-

wiem wspomnienie jej towarzyszyło mu wszędzie i ciągle. Gdziekolwiek poszedł, gdziekolwiek »obrócił myśl biedną«, zawsze mu stawała na drodze, jak widmo senne, i przejmowała smutkiem. Cóż dopiero, kiedy z nadejściem jesieni, w październiku, zaczęły się deszcze i mgły, do reszty rozmiękczające nerwy i ostatecznie pogrążające człowieka w letyjskich nurtach spleenu. Myślał wtedy, że oszaleje! W końcu ogarnęła go taka obawa, taki lęk jakiś, żeby go ta melancholia istotnie do szczytu nie zgryzła, że spakował któregoś dnia wszystkie manatki, siadł na statek parowy i wrócił do Genewy.

II.

»Wrócił więc Anhelli do jamy pustej i, spojrzawszy na ściany, zajęczał, bo już jej nie było«; a patrząc na ten dom, w którym go, jak mu się teraz zdawało, panna Maryanna »kochała krótko ale mocno, jak zazwyczaj młode dziewczęta polskie kochają«, w którym z nią biegał po murawach ogrodu i w którym przeżył jedyne chwile »szczęścia swojego na ziemi«, śmiało mógł zastosować do siebie słowa jednego z bohaterów swoich: »O, tu mi był eden! Oczy twe były dla mnie gwiazdami zbawienia, hymnem anielskim! Drzę cały, kiedy myślę, i tego widziałem nie mogę teraz wygnać z pamięci, nie mogę!« I trudno mu było powstrzymać się chwilami od płaczu, bo — jak sam powiada w liście do matki z tego czasu — człowiek najszczerzej płacze, kiedy płacze nad sobą samym.

Tymczasem

Jesień z liryzmem smutnym przyszły w parze
Na jego duszę, niby dwaj grabarze,

i nietylko, że mu się w oczach ćmiło od łez, łez szczerych i serdecznych, ale go jeszcze dochodziło ze dworu smutne i jednostajne »płkanie drzew«, które, słońca wzywając daremnie, wdziały na siebie »z liścia złotego ubranie«. Jesień, zwykle taka piękna w Szwajcaryi, tego roku była brzydka, chłodna, dżdżysta, tak dalece, że już w październiku okazała się potrzeba palenia w piecu. Czasami popadywał śnieg. Powietrze było wilgotne, przejmujące. Cała dolina napełniła się iście londyńskimi mgłami, które, kręcąc się i wyjść z niej nie mogąc dla otaczających gór, mżyły wciąż drobnym, przedziwnie do spleenu usposabiającym deszczem (u nas nazywa się deszcz taki kapuśniacz-

kiem). Drogi zaległo błoto, a duszę Słowackiego — czarne, rozpaczliwe myśli. Mało wychodząc z domu, większość dnia spędzając samotnie i bezczynnie, zaczął z nudów, wyglądając przez zapotniałe szyby okien, układać w głowie różne sentymentalno-wyszukane metafory, przyrównywując na przykład Genewę o tej porze do serca, które się samo w sobie zasklepia i, raz napełnione mgłami, nie wypogodzi się tak prędko, jak serca, co są na wszystkie cztery wiatry otwarte.

Jego serce, nie należące — jak mniemał — do liczby tych ostatnich, wypełnione melancholijnymi mgłami wspomnień o Maryi, podobnież zasklepiało się teraz samo w sobie, czemu należało przypisać, że jemu, który lubił takie poetyczne metafory, wydawały się one dzisiaj »smutnie śmiesznymi«, tem smutniejszymi, że oprócz metafor tych, nie dowcipnych zresztą, nic innego nie przychodziło mu jakoś do głowy. Dziwna rzecz! On, który każdej jesieni — od kilku lat przynajmniej — nawiedzany był przez jakąś nową myśl poematu, w tym roku miał wyobraźnię podobną do niezapalanej latarni. Nie mając zaś pod czaszką żadnego zmyślonego obrazu, mimowoli musiał oddawać się kontemplacyom na temat rzeczywistości.

A rzeczywistość ta wcale się nie przedstawiała świetnie. Kilka godzin gry na fortepianie, poprostu dla zabicia czasu, parę godzin lektury, po obiedzie, t. zn. nad wieczorem, kilka partyi wista, w którego *notabene* zawsze przegrywał: oto, jak mu upływały dnie całe. A towarzystwo? To składało się z jednego Anglika, jednego Francuza i jednego Polaka, niejakiego Kajockiego: trzech niedobitków z całego różnojęzycznego grona gości, co mieszkali u pani Patteg w ciągu ostatniego lata.

Najsympatyczniejszym z nich był ów Kajocki, bogaty Litwin, lubiący bawić się, trzymający konie i powóz, co poniedziałek wyprawiający wieczorki z tańcami, i mający wszystko, prócz zdrowia. Słowacki znał go z widzenia jeszcze z Wilna, z uniwersytetu. Mieli wtedy wspólną znajomą w Julce Saundersównie, córce profesora, w której Kajocki kochał się zapamiętale, a która umarła parę lat temu. Wspomnienie jej było ogniwem, które sentymentalnego trochę Litwina miało teraz do Juliusza przywiązać bardzo silnie, był to bowiem jedyny człowiek na obczyźnie, z którym mógł o niej rozmawiać, który ją znał.

Towarzystwo Kajockiego, bardzo pocziwego zresztą i serdecznego chłopca, miało dla poety tę przynajmniej dobrą stronę, że dawało mu możliwość rozmawiania popolsku; bo gdyby nie on, nie byłby chyba Słowacki, jak ów ry-

cerz z szekspirowskiego Ryszarda II-go, który, skazany na wygnanie, powiada: »Język mój teraz będzie mi niepotrzebny, tak właśnie, jak rozstrojona lira albo harfa, lub też jak sztuczny instrument, odemknięty i podany temu, co nie zna żadnych prawideł harmonii. Bo, nie wychodząc prawie z domu i nie bywając nigdzie, ponieważ nie wszedł od czasu powrotu z Veutoux w żadne towarzystwo polskie, choć — jak sam powiada — bardzoby to łatwem było dla niego, jedynie z Kajockim miał sposobność w ojczystym porozumiewać się języku. Zresztą mówił wciąż po francusku. Stosunków z genewską kolonią polską nie odnawiał, dlatego głównie, że zwykle nudził się na wieczorach, a powtórę, że każdy taki wieczór kosztował go z ośm franków: mieszkając za miastem, musiał każdym razem brać powóz, kosztujący sześć franków, co wraz z rękawiczkami za dwa franki utwierdzało go dostatecznie w przekonaniu, że »kto się na wieczorach nudzi, ten nudów tak drogo kupować nie powinien«.

Wolał zostawać w domu i, w najgorszym razie, gawędzić z Eglantyną. W najgorszym razie? Tak jest, z Eglantyną bowiem nie łączył go już taki serdeczny stosunek, jak dawniej. Wspomnienie Maryi rzuciło przykry przedział pomiędzy nich, przedział, którego złagodzić, ani usunąć nie zdołała nawet miłość Eglantyny. Przeciwnie, pogłębiała go raczej. »Ty wydarłaś ostatnie godziny szczęścia mojego na ziemi«. Słowa te były wciąż w myśli Słowackiemu przytomne, ile razy Eglantyna stawała przed nim, ile razy zamieniali z sobą spojrzenia, ile razy zdarzyło się, że w rozmowie potracili o wspomnienie Maryi, wspomnienie, które Eglantyna radaby chętnie wyrugować z pamięci Juliusza, ponieważ ono jedynie — czuła to instynktownie — mroziło tak stosunek jej do poety, ponieważ ono było źródłem tej rozterki moralnej, jaka nad nimi zawisała. Jakoż doszło do tego w końcu, że oboje unikali wspólnej rozmowy o Maryi, zrozumieli bowiem, że jest to zarówno dla niego, jak dla niej, niezabliźniona rana, która boli za najlżejszem dotknięciem. Lepiej więc nie poruszać jej wcale. Nie mogąc jednak mówić o tem, co go obchodziło najżywiej, zwłaszcza, że pozbawiony wszelkich wiadomości o Maryi, straszne cierpiał niepokoje, miał sobie teraz Słowacki wogóle z Eglantyną do powiedzenia bardzo niewiele, »pomimo tortury umysłowej«, jaką sobie zadawał. Eglantyna, która była za inteligentną, aby tego nie widzieć, bolała nad tem, trapiła się, płakała, ale muru głową przebić nie mogła; a że czasami, nie mogąc już dłużej ukryć tajonego bólu, wymawiała go Słowackiemu, wytworzyła się wsku-

tek tego atmosfera tak duszna, tak męcząca, że im obojgu już oddychać nią dłużej było trudno.

Tylko, że istniała wielka między rozczarowaniami ich różnica; bo, choć jedno, jak drugie, doznało zawodu: on, wracając do Genewy, ona, odzyskując go znowu dla siebie wyłącznie (jak myślała), to przecież uczucia, przez jakie przechodzili w tym czasie, bardzo niewiele miały cech pokrewnych. Pomijając już, że ona go kochała, a on jej nie, że ona mu przebaczyła dawno, co ucierpiała z powodu Maryi (bo kobieta kochająca wszystko przebaczyć gotowa ukochanemu przez siebie mężczyźnie), a on jej raz powziętej do niej urazy zapomnieć nie mógł (bo mężczyzna zawsze bywa w takich razach bardziej zapamiętałym), to były jeszcze inne względy, które sprawę Eglantyny z dniem każdym pogarszały coraz bardziej. Przedewszystkiem nudził się Słowacki obecnie w jej towarzystwie. Powtórę, kochając go, narzucała mu się ze swoją miłością, co nigdy kobiecie nie wychodzi na dobre. Potrzebie drażniła go i irytowała, kiedy mu robiła wyrzuty, że jej w zamian za przywiązanie odpłaca zimną obojętnością, że nie jest już dla niej takim, jakim był dawniej. Słowackiego to niecierpliwiło i nie widział innego sposobu zakończenia tej tragicomedyi, tylko wyjechać z Genewy na zawsze, zejść Eglantynie z oczu.

Najchętniej, gdyby to od niego zależało, pojechałby do Włoch, do Teofilów. Cóż, kiedy, pomimo najusilniejszych starań, czynionych w Paryżu około uzyskania paszportu na wyjazd ze Szwajcaryi, pozwolenia tego w żaden sposób otrzymać nie mógł. Przyjaciele jego paryscy, do których pisał w tej sprawie i którzy się podjęli ułatwić mu wszystko, tak mało zadawali sobie starania gwoźli urzędowania swych obietnic, że nastąpiło przedawnienie i skończyło się na tem, że prośbę poety ostatecznie odrzucono. Teofilowie tymczasem, choć sami nieświeżnie bawili się w Rzymie, nie chcieli wierzyć, ażeby Juliusz istotnie wyjechać nie mógł, i posądzali go o opieszałość. On przecież miał czyste sumienie pod tym względem, bo prawdziwie, że poruszył wszystkie, jakie się dało tylko sprężyny, ażeby się wyrwać z Genewy, która »nudziła go już z bardzo wielu (wyżej wymienionych) przyczyn«; a powtórę, że niezmiernie wiele obiecywał sobie po tej podróży włoskiej. To też, kiedy stracił nadzieję odbycia jej w tym roku, przyznawał się otwarcie tak w listach do matki, jak i do Teofilów, że wielka mu przez to przyjemność ubyla w życiu, iż tej zimy spędzić z nimi razem nie może. Bo nie-tylko — pisał — że z rozkoszą marzył o tych kilku mie-

siacach wędrówki po ojczyźnie sztuki i piękna z dawno ukochanymi osobami, ale doznawał już »przecuciem«, w imaginacji, nowych wrażeń, smucąc się na dawnych ruinach, rozmyślając wśród gruzów ich nad wielkością wszelkiej potęgi ziemskiej itd.

Ale przykuty do miejsca, mógł rozmyślaniami tym oddawać się tylko w swej bujnej wyobraźni; z czego — wtrąćmy w nawiasie — Eglantyna w głębi duszy cieszyła się serdecznie. Nie kryła się z tem nawet przed Słowackim; bo i czemuż nie miałyby się do tego przyznać otwarcie, że na niczem nie zależało jej tak bardzo, jak na tem właśnie, ażeby on został przy niej, ażeby zniechęcony trudnościami, przestał w końcu »modlić się o paszport« i zrezygnował z wyjazdu. Słowacki jednak, jakby na przekór jej, skoro istotnie przestał wierzyć w możliwość zobaczenia się z Teofilami we Włoszech, począł układać inne plany, które znowu niweczyły cały gmach marzeń Eglantyny, wszystkie bowiem, jak gwiazdy około słońca, obracały się około wyjazdu z Genewy na wiosnę, do Brukselli, albo do Francji południowej. Uskutecznienie tego projektu — tłumaczył Eglantynie — nakazywały mu poprostu względy na matkę, względy oszczędności. Życie w Genewie jest dla niego zakosztowne; nie może tyle wydawać nadal, musi się ograniczyć w wydatkach koniecznie. Nie może ścierpieć dłużej, ażeby, kiedy on ma ogień na kominku, matka jego sypiała w nieopalonym pokoju — ze względów oszczędności. Byłoby to egoizmem nie do darowania, godzić się z myślą, że się jest matce ciężarem, i pomimo tego przeświadczenia, wydawać więcej, aniżeli na to pozwalają fundusze. A on stanowczo, dotychczas przynajmniej, żył nad stan. Zarabia bardzo mało; książki, które wydał własnym nakładem — za otrzymane z domu pieniądze — nie przynoszą mu prawie nic, a choćby nawet przynosiły i więcej, to, »wystawiony na wszelkie szachrajstwa księgarzy«, których rachunków nigdy zrozumieć nie mógł, na dochód z tego źródła nie może liczyć żadną miarą. Dlatego postanowił przenieść się do jakiego tańszego kraju; dlatego, niechaj mu ona zarówno, jak i jej matka, nie biorą za złe, jeżeli dom ich za kilka miesięcy, a może i wcześniej, opuści itd.

Słyszac to Eglantyna, która instynktem kobiecym odgadywała, że nietylko te są powody, skłaniające Juliusza do opuszczenia Szwajcaryi, chciała koniecznie, aby mieszkał u nich nadal za połowę ceny; a kiedy po jakimś czasie (30 listopada) oświadczył, że z nastaniem wiosny, gdy śniegi potopnieją w górach, wyjedzie stanowczo, nieodwołalnie,

ona »płakała, płakała, płakała«. Próżno starał się jej wytłómaczyć (a rozmawiali tego wieczora do pierwszej po północy), że nie jest jeszcze do takiej doprowadzony ostateczności, ażeby nadużywać przyjaźni biednej wdowy, która, ciężko pracując na kawałek chleba, z wielkim go ostatecznie zarabia kłopotem; Eglantyna zaklinała go wciąż, aby został, aby się poprostu ulitował nad nią, bo ona nie przeżyje rozstania się z nim (zapewnienie, w którym Słowacki widział tylko sentymentalną egzaltację starej panny), bo nie godzi się dla kaprysu poświęcać czyjegoś szczęścia, a może i życia itd.

W takim usposobieniu zastała go zima w roku 1835, zima ostra, śnieżna i mroźna, dla niego zaś o tyle nieznośniejsza, że zmuszony kosztować z zimna, wybić sobie z głowy nie umiał południowego słońca Włoch, o których marzył nieustannie, jak o ziemi obiecanej, a których, jeśliby nie miał zobaczyć, to jedynie dzięki niedbalstwu swoich paryskich przyjaciół. Nagle w połowie lutego 1836 roku, kiedy wszelką już stracił nadzieję wyjazdu do Teofilów i spotkania się z nimi pod lazurówem niebem Italii, przysłano mu niespodziewanie z Paryża z takim upragnieniem i od tak dawna oczekiwany paszport, z którym w kieszeni, mógł jechać natychmiast. Jakoż nie zwłóczył. Pieniądze miał (oprócz dwustu rubli, które mu przysłali Teofilowie, otrzymał był jeszcze od matki niedawno świeży zasilek), a że w długie pertraktacje z Eglantyną wdawać się nie chciał, postanowił więc, nie czekając, aż śniegi potopnieją, wyruszyć zaraz. I uczynił, jak zadecydował: spakowawszy rzeczy, pożegnał się ze swemi gospodyniami, podziękowawszy im za wszystkie dobrodziejstwa, jakich mu w ciągu tych trzech lat nie szczędziły; Eglantynie, dla której ten dzień rozstania z nim (przeczuwała, że na długo, jeżeli nie na zawsze) był najsmutniejszym dniem pewno, jaki miała w życiu, dał piękną szkatułkę, pełną drogich dla niego pamiątek (był w niej między innemi stary, przywieziony z kraju, zegarek); poczem, obiecawszy jej, że będzie pisywał do niej, siadł do dyliżansu pocztowego i, nie przypuszczając, że opuszcza Paquis na zawsze, podążył do kraju, gdzie cytryna dojrzewa,

Gdzie buja laur
I cyprys cicho stoi...

. —

KSIEGA PIATA.

W A N D E R J A H R E

1836 — 1838.

ROZDZIAŁ I.

W RZYMIE.

Początek niedokończonej powieści humorystycznej. Podróż ze Szwajcaryi do Rzymu. *Marya Krystyna*. Noc na morzu. Przybycie do Civita Vecchia. Wylądowanie na ląd rzymski. Wschód słońca. Refleksye filozoficzne (22 lutego 1836). I. Hotel *Babuino*. Teofilowie Januszewscy. Franciszek Skibicki, »Polak, Szambelan Jego Cesarskiej Mości i Katolik«. Jego karykatura w *Nowej Dejanirze*. Psychologia Słowackiego w Rzymie. Doznane wrażenia i *Bęniowski*. Słowacki i Rafael. *Causeries romaines* na temat sztuki. Portret Słowackiego, malowany przez Teofila Januszewskiego. Pejzażomanja. Znajomości z malarzami. Suchodolski i jego żona. Brzozowski. Stosunki towarzyskie. Ówczesna kolonia polska w Rzymie. Stosunek z »Filami«. Początki rozczarowania Rzymem. II. Znajomość z Zygmuntem Krasińskim. Psychologia Słowackiego i Krasińskiego. Różnica temperamentów i ideałów artystycznych. Co Krasiński myślał o Słowackim w r. 1836. Słowackiego uczucie dla Krasińskiego. *Irydion* i *Balladyna*. Wspólne przechadzki po Rzymie. Nad grobem Shelley'a i Keats'a. Rozmowy w willi Mills. Muzyka Konst. Danielewicza. Pani baronowa Richthoffen. III. Psychologiczna geneza tragedyi *Beatrice Cenci*. Dyssonanse w stosunku do Teofila i Hersylki. Przyjazd Gajów z Wilna. Wyjazd do Neapolu (5 czerwca 1836).

Przed kilku laty ogłoszono w *Warcie* fragment z niedokończonej powieści Słowackiego, którą poeta zaczął pisać około roku 1841, w Paryżu, a która, choć zaczęta tylko, bardzo wiele światła rzuca na pobyt Słowackiego w Rzymie, a zwłaszcza na jego podróż do Rzymu. Powieść jest trzymana w tonie humorystyczno-sarkastycznym, w tym samym, jaki cechuje *Nową Dejanirę*, napisaną w tymże czasie. Co ciekawsze, to, że w powieści tej, wido- cznie pisanej w przystępie dobrego humoru, te same występują postacie, co w *Nowej Dejanirze*, z tą różnicą, że dwie córki hrabiego Respekta tutaj nazywają się Wanda i Marya, kiedy w *Nowej Dejanirze* noszą poetyczniejsze

imiona Dyany i Stelli. I ów »Szambelan jego Cesarsko-królewskiej Mości i Katolik«, który tak rozśmiesza sobą czytelnika *Nowej Dejaniry*, występuje w tej powieści, a występuje plastyczniej i żywiej, bo opisany dokładniej, aniżeli w dramacie.

Powieść ta, w której Słowacki bardziej jeszcze, aniżeli w innych utworach swoich, »nie tworzył prawie nic, lecz przypominał« zaczyna się od bardzo zabawnej inwokacji do gęsiego pióra, poczem poeta opisuje parowiec *Maryę Krystynę*, pędzący w noc księżycową z Genui do Civita Vecchia, statek, podobny do »cudownej bańki mydlanej z różnych kolorów«, a wiozący nowy zastęp podróżnych, jadących do wiecznego miasta. Wśród tego kosmopolitycznego grona, które jutro już »rozsyPie się i będzie po ruinach Rzymu łażyło«, stał — jak nam opowiada Słowacki — z cygarem w ustach, »pod warkoczem dymu ciemnego, na pokładzie zielono malowanym, oparty o poręcz statku czyli parochodu« bohater powieści, pan Alfons, emigrant, z »drzewa już — jak *Marya Krystyna* — na wszystkie ziemskie zapały i uczucia, rozkochany i przekochany i rozczarowany«, chwilowo zapałszy w czarną tęczę dymu, buchającego z komina, tęczę gorącą jeszcze, pełną iskieł, jak gdyby wyrzucaną z wulkanu. Czerwone iskry latały po niej, jak listki, a gwiazdy błękitne, migocąc przez nią, topniały w niej jak płatki śniegu, i gasły. Pomiedzy pasażerami tymczasem, których posągowa grupa stała na samym zadzie okrętu, toczyła się rozmowa o wynalazku pary, o kopule Św. Piotra, o grocie, gdzie psy zdychają, o synagodze w Livorno, o cygarach *della Fama*, rozmowa, której się pan Alfons przysłuchiwał z daleka, ale w niej nie brał udziału. A tymczasem »księżyc złoty, jak liczman *sinaeso*, rzucał ciche i melancholiczne światło, które w złote frendzle wieszało się po bałwanach morskich«.

Dla każdego, kto zna naturę talentu Słowackiego, odrazu przestanie być tajemnicą, że tym panem Alfonsem, smutnie zapałszonym w owe »skry, ognia córki«, jest sam poeta, że to, co się w powieści odnosi do pana Alfonsa, w rzeczywistości odnosiło się do Słowackiego samego, który, jadąc z Genewy do Rzymu, jechał tą samą drogą przez Genuę i Civita Vecchię, co i ów wymyślony bohater. Początkowo miał zamiar jechać przez Turyn, ale — jak powiada w swej żartobliwej *Podróży na Wschód* — »dla śniegów jechać nie mogłem przez Turyn« i dlatego

leksza od rymu

Para mię gnała z Marsylii do Rzymu.

Nareszcie ukazało się »czworogrannne miasteczko« Ci-vita Vechia, za jego wieżami zaś, na pół zrujnowanemi, a stojącemi na cyplach, w morze zabiegłych, ujrzano brzegi Kampanii Rzymskiej, płaskie, ciemno surowego koloru, jakby umyślnie wygładzone, ażeby służyć »na podstawę ludzi wielkich i posagowych«. Statek przybił do brzegu, a *fachini* wzięli w opiekę cudzoziemców i »wola ludzka stała się zupełnie niepotrzebną«. Byli tacy, których aż pięciu *fachinów* odprowadzało do austeryi: jeden niósł tłumok, drugi pudełko od kapelusza, trzeci łaskę, czwarty parasol, i t. d., Słowackiemu wystarczył jeden »na jednobagażową usługę«. Odchodząc od portu, poeta spojrział raz jeszcze na stojącą u przystani *Maryę Krystynę*, i okręt ten, istne pieścidełko, ze złotą dziewczicą na piersi, z oknami pałacemi się odstrzałem zorzy różanej, wydał mu się istnem cackiem blasku, jakąś fantastyczną łodzią Tyberyusza albo matki Nerona, jadących do Caprei na ucztę. Ale to poetyzowanie rzeczywistości, o ile było możliwe w porcie, w pobliżu morza, zaróżowionego od zorzy, pod kopułą wspaniałego nieba włoskiego, o tyle musiało ustać, kiedy poeta wszedł do austeryi, gdzie należało pomyśleć przedewszystkiem o tak prozaicznej rzeczy, jak jedzenie. Ale poezya poezyą, a apetyt apetytem. Tymczasem apetyt dokuczał. Słowacki zadowolnił go »całą langusą z oliwą i z octem«, poczem na-jął sobie do Rzymu *veturin'a*.

Ruszyli w drogę, a poeta z pewnością tak samo, jak jego Alfons z powieści, »jechał przez pustą Kampanię Rzymską z tą myślą, że jedzie do Rzymu«. Ta myśl, powstawszy w głowie poety, mimowoli nastrajała do pewnej melancholii, pobudzała do idealizowania natury; tembardziej, że ta natura i bez tego była pełna poezyi. Słońce nie wzeszło jeszcze, tylko nad morzem, za ruinami wież kwadratowych, za tłumem masztów okrętowych, unosiły się mgły poranne, przesłaniające horyzont. Maszty i żagle okrętów, ślaniających się po fali, wydawały się »jako łabędzie stado, które ogarnął sen pod ruinami«; a kiedy, po chwili, obudził się wiatr lekki, który je pochylił w jedną stronę, robiły dantejskie wrażenie »girlandy dusz potępionych, gnanych w dalekie niebo«. Taki widok miał teraz Słowacki za sobą. Przed nim piętrzyły się szafirowe Apeniny, a u podnóża ich, w zieleni ogrodów, bielily się pałace wiecznego miasta, »beładnym kawałkom marmuru białego podobne«; w głębi zaś, ponad niemi, wyglądała kopuła kościoła Św. Piotra »i błyszczał krzyż brylantu miganiem«. Albowiem była to chwila właśnie, kiedy nareszcie »z czerwonych płomieni ukazało się słońce ogromne«, które z szybkością,

wschodnim krajom właściwą, wyleciało niby olbrzymia kula z rozżarzonej miedzi; a skoro ten krąg mieniących się blasków rozpanował się na stepie, zdało się, że »uduchowione i w jedno ciało zbóstwione legie Rzymskie, jedną tarczą okryte, wyszły na spotkanie oczu łzami zalanych«. Na widok ten, wzruszony myślą, iż się znajduje w środku trójkąta, którego bokami były: Rzym, morze i słońce! Słowacki — jak jego Alfons z powieści — kazał weturynowi zatrzymać się, wyskoczył z pojazdu, zwanego *Paretti*, wszedł na pobliskie wzgórze, a przystanawszy na niem, chciał »obaczyć patrzącą w siebie myślą, o czym dumają stojące z marmuru posągi«. Lecz nie zobaczył nic, tylko wyniósł przekonanie, »że myśl, choćby obudzona widokiem największej na świecie rzeczy, jeśli nie czuje potrzeby zreasumowania się lub skondensowania się w słów krystalizację, staje się zupełnie rzeczą nieistniejącą na żadnym świecie. Ztąd postanowił strzedz się ludzi, którzy uchodzą za myślących, a nie wymyślili żadnej przemiany w materji, żadnej sztuki kuglarskiej, z anatomii wykonanej«. Doszedłszy do tego smutnego przekonania, powrócił do swego weturyna, kazał mu jechać dalej, a sam, rozglądając się do koła, w miarę, jak się przybliżał do Rzymu, zaczął myśleć »o miłości dawnej, dziecinnej, o szkołach, gdzie go rzymskiej historyi uczono, aż nareszcie zobaczył wróbla i klasnął w ręce, z największym zapalem wołając: »Możeli to być, aby ten wróbel, którego ja widzę z kasztanowatym skrzydełkiem i czarnym podgarlem, tak samo wyglądał dziś, jak wtenczas, gdy obraz jego malował się w gałce Brutusowej żrenicy? O naturo!«

W takim usposobieniu dojechał Słowacki — dnia 22 lutego — do Rzymu.

I.

W Rzymie spotkał się z Teofilami. Było to rozczulające spotkanie. Równy we dwa lata potem, wspominając tę chwilę, tak o niej pisał Słowacki do matki: »Dwa lata temu (d. 22 lutego 1836) wjeżdżałem do Rzymu, ścisnąłem Filów i odświeżałem u nich moje familijne uczucia: tak właśnie, jakbym kwiaty zerwane, i już uwiedle, wstawiał do wody, aby głowę podniosły«. Zamieszkało na *Strada Babuino*, w hotelu *Babuino* (którego »księga pasażerów, napełniona różnemi uwagami wierszem i prozą«, jeszcze w roku 1841 wywołała pogodny uśmiech na ustach Słowackiego).

Teofilowie, dopóki byli sami, mieszkali »u Skibickich«; kiedy przyjechał Julek, zamieszkali z nim razem.

Nie znaczyło to, ażeby — z chwilą przyjazdu poety — przestali się komunikować ze Skibickimi i całym kółkiem, z którym żyli Szambelan i pani Szambelanowa. Owszem, przyjazd Julka, którego Skibicki musiał znać jeszcze z kraju (mógł się z nim spotykać u swego stryja w Żytomierzu), w zupełności nie stawał na przeszkodzie, ażeby żyć z »Szambelaństwem« na takiej samej stopie, na jakiej wujostwo Słowackiego, pod nieobecność jego, żyli dotychczas. Przyjechawszy do Rzymu nie na kilka dni, ale na całą zimę, nie mogli stronić od towarzystwa, bo i w Rzymie można się nudzić, jeśli się nie ma znajomych albo się od nich stroni. Rozumieli to Teofilowie, a można być pewnym, że i Słowacki — z początku — nie miał nic przeciwko temu, ażeby się trzymać Skibickich; raz dlatego, że przyjemnie jest, mieszkając w obcym mieście, w atmosferze kosmopolitycznej, mieć towarzystwo polskie, móżdż rozmawiać po polsku; a następnie, że podtrzymując stosunki z całą ówczesną kolonią polską rzymską, która była dość liczna, żyło się z ludźmi, należącymi do najwytworniejszych sfer towarzyskich.

Szambelan Skibicki nie obracał się w innych sferach. Ożeniony z Heleną Drzewiecką, córką »pana Szefa« Drzewieckiego z Krzemieńca, bardzo bogaty, jako właściciel pięknego dziedzicznego majątku na Wołyniu, mający słabość do tytułów, próżny i przesadzony, był — szczególnie w oczach Słowackiego — najkomiczniejszą figurą ze wszystkich Polaków, wtedy przebywających w Rzymie. Przyszły autor *Nowej Dejaniry* nie mógł mu śmieszności jego dawać: począwszy od tytułu »Szambelana Jego Cesarskiej Mości«, do którego Szambelan przywiązywał wielką wagę, a skończywszy na »czerwonej i oszczędnej peruczce«, którą sobie Szambelan zakrywał łysinę, wszystko w nim, nawet katolicyzm jego, podniecało sarkastyczny dowcip poety, który zrozumiał odrazu, że trudno o zabawniejszą figurę komiczną do komedyi lub powieści humorystycznej, aniżeli ten »Polak, Szambelan Jego Cesarskiej Mości i katolik«. Jakoż nie upłynęło pięć lat, a portret czyli karykatura »czerwono-rzadkowłosego Szambelana« znalazła się aż w dwóch utworach Słowackiego: w owej niedokończonej powieści rzymskiej i w *Nowej Dejanirze*.

Tymczasem zwiedzano wszystkie osobliwości wiecznego miasta, a Słowacki, zachwycony Rzymem, na śmieszne strony Szambelana mniej zwracał uwagi. Jakie wrażenie zrobiła na Słowackim stolica katolicyzmu i papieztwa? Roz-

dział VII wspomnianej powieści, w której miały być, oprócz opisu podróży, »wypadki miłosne, awantury i filozofia«, zaczyna się od odpowiedzi na to pytanie. Odpowiedź ta, trzymana w tonie żartobliwym, jak cały romans, brzmi, jak następuje: »Choćbyś *już* nie kochał (jak Słowacki, który od chwili rozstania się z Maryą Wodzińską był przekonany o sobie, iż jest »z drzewa *już* na wszystkie ziemskie zapały i uczucia, rozkochany i przekochany«), gdy cię na pustych Rzymu ulicach odstrzelone od białych murów słońce wiosenne ogrzeje, gdy cię owionie i upoi zapach mocny kardynalskich i gdzieś za pałacami skrytych ogrodów, ten zapach mniszy, bukszpanowy i różany, kościelny i miłosny, choćbyś był płazem, uczujesz, że serce jest oddzielnym od natury ludzkiej zwierzęciem, z rodzaju zoophytów, które, paląc się ogniem nieznanym, krew ci, nóżkami wrosłemi w artery, wysysa. O, wtenczas, jeżeli myśl twoja może powędrować do wnętrza którego ze starych pałaców i tam nakreślić sobie myśli ołówkiem rysy piękne, dziewicze, na pugilarzesie imaginacyi: wtenczas uciekaj, bo nie znam niebezpieczniejszego grodu dla rozkochanego człowieka«. Czego dowodzą te słowa? Oto, że Słowackiego przez cały czas, jak bawił nad Tybrem, prześladowało wspomnienie Maryi Wodzińskiej; że o niej zapomnieć nie mógł, i że sobie rysy jej bardzo często, błędząc po którym ze starych pałaców, kreślił »myśli ołówkiem na pugilarzesie imaginacyi«; że, jak niedawno temu, w Genewie, myślał przebywał w Rzymie, *przeczułem* doznając nowych wrażeń, tak teraz, w Rzymie, niemało przebywał myślał w Genewie, w Paquis i nad błękitami Lemanu, przy boku Maryi, której czarne oczy ścigały go aż tutaj, pod progi Watykanu, tak, iż myślał tu o nich więcej, niż przystało; więcej, aniżeli o rozumie kardynała Mai i poliglotyzmie kardynała Mezzofanti; więcej, aniżeli o Niebur'ze »który znał Rzym lepiej, niż Tacyt i chłop Transteweranin«; więcej, aniżeli o papieżu, »który jest chory na niewykurowanego polipa w nosie«; więcej, aniżeli o ruinach Forum i Kapitolu.

Swoją drogą nie tracił czasu: co było do zwiedzania, zwiedzał: począwszy od słynnych akwaduktów rzymskich, które wzdłuż Kampanii Rzymskiej

idą, jako tłum Samarytanek,
Niosąc na głowie dzbany, korowody
Dzbanów! lecz wszystkie — na głowach — bez wody,

a skończywszy na malowidłach Rafaela i Michała Anioła, zdobiącemi Watykan i mnóstwo innych kościołów rzymskich. Oto wrażenie naprzykład, jakiego Słowacki doznał

na widok rafaelowskich *loggi*'i, wrażenie, któremu poeta taki nadał wyraz w *Beniowskim*:

I te suity, gdzie nad ludzką głową
Wisi w tęczowych blaskach dzieło boże,
A taką sztuką odświeżone nową,
Tak nieśmiertelną, że umrzeć nie może,
Lecz, o Jehowie będąc, *jest* Jehową,
Iskierką Jego treści dotykálną,
Ludzkim filarem wspartą i widzialną!

I kiedym w górę spojrział, to przestraczem
Zdjęty myślałem, że w braku sufitów
Niebiosą wiszą otwarte nad gmachem
I że kolumny są bez żadnych szczytów!
I chciałem myśli tytańskiej zamachem
Zbić to zwierciadło czynów i błękitów,
Gdzie, powtórzone, wisi boskie dzieło!
I trwa...

Ten to »cudownie malowniczy gips« (freski Rafaela) miał w przekonaniu Słowackiego na myśli św. Jan, kiedy, mówiąc o kartach ksiąg w Apokalipsie, mówił, że będą *zwinięte*,

Gdy trąby zagrzmia, fale wstaną wzdęte.
A Bóg światowi powie: »W gruzy syp się!«
A grobom powie: »Stójcie odemknięte!«
A tym sufitom: »Skrzydłami się nieście
W niebo, bo z myśli i z nieba jesteście!«

Zwiedzanie kościołów, których w Rzymie, jak wiadomo, jest bardzo wiele, i bardzo pięknych, było niejednokrotnie głównym celem przechadzek po wiecznym mieście. Słowacki był zachwycony, zwłaszcza obrazami i mozaikami tych świątyń. W pieśni VII swojej *Podróż na Wschód* jest nawet jedna strofa, będąca poetycznym odbiciem tych wrażeń.

Lubię, gdy cichy promień słońca strzeli
W ciemną altanę, lub na sklep, gdzie *prix fixe*
Błyszczą klejnoty, lub do księżej celi
Złotym promieniem lecąc na krucyfiks
Albo na rzymskich kościołów mozaiki,
Lub na błękitny dym, rzucony z fajki.

Zwiedzając te kościoły i stare pałace rzymskie, kędy, jak powiada pięknie Krasiński, »przy obrazach Rafaela i gzymsach złożonych powój gruzów się rozplata«, wielbił geniusz nieśmiertelnego kochanka Fornariny (do którego portretu, przez samego Rafaela malowanego, podobną była trochę panna Wodzińska), godzinami całemi rozmawiał o nim z Teofilem, niemniej zapalonym wielbicielem mistrza

z Urbino, a za tło do tych *causeries romaines* służyły im bądź pyszne kościoły rzymskie, bądź Watykan, ze swemi renesansowymi *camera*'mi i *loggi*'ami. Zrazu, po obejrzeniu pierwszych obrazów Rafaela, doznał Słowacki małego rozczarowania: poprostu wyobrażał sobie więcej. Dopiero, kiedy się im przypatrzył raz i drugi, przekonał się, że jako prostota i jako wyraz są to rzeczy jedyne w swoim rodzaju, nieporównane z niczem. Nawet w Rafaelu z pierwszej epoki, kiedy nieśmiertelny twórca *Szkoły Ateńskiej* był jeszcze preraphaelitą tylko, nawet w tym Rafaelu począł smakować, zaczął się nim zachwycać, co zasługuje na podkreślenie, zważywszy, iż miało miejsce w r. 1836, a więc na całych 40 przed narodzeniem się kultu dla preraphaelizmu, na całych 40 lat przed Dantem Gabrielem Rosettim i angielskimi preraphaelitami; świadczy to bowiem, jak subtelną naturą artystyczną był Słowacki, jak rozumiał i odczuwał to, co się dopiero narodzić miało w 40 lat po nim, jednym słowem, jak znacznie — i pod tym względem — wyprzedził swoją epokę. Bo zaprzeczyc się nie da, że jak w jego dramatach, w takim *Horsztyńskim* np., nie brak scen, pisanych i pojętych w ten sposób, jak dziś pisze Maeterlink (z tą różnicą, że cały Maeterlink nie jest wart jednej sceny z *Horsztyńskiego*), jak cały szereg wierszy Słowackiego z epoki Towianizmu przypomina — i przewyższa — dzisiejszych dekadentów francuskich, pp. Mallarmé, Verlaine, Rimbaud, i wielu innych, tak i obecnie, w Rzymie, w roku 1836, stojąc przed obrazami Rafaela z czasów jego pierwszej manieri, mógł śmiało nazwać się jednym z pierwszych wielbicieli preraphaelizmu. Odbiciem tego zachwytu, doznanego w muzeum watykańskim na widok płócien Rafaela, jest pewien ustęp z krytyki Słowackiego, napisanej w roku 1841 z powodu poezji Bohdana Zaleskiego, a w której autor *Beniowskiego* pisał między innemi, co następuje: »Z całego poematu widać, że poeta chciał zachwycić prostoty, która ze szkoły malarskiej, katolickiej, włoskiej, a dziś małpiej tegoczesnej, niemieckiej (i protestanckiej) wypływa. Pierwsza — piękna — wprowadzoną być może z watykańskiego obrazu Rafaela *pierwszej manieri*, gdzie z grobu Najświętszej Maryi Panny wykwiła siedm lilii, a w koło stoją anieli, bardzo prosto odrysowani, ale cudownie pięknie. Kto pierwszy raz spojrzy, myśli, że to jakieś dziecko malowało, tak wszystko jest proste i niesztuczne: murawa bladozielonym pociągnięta kolorem, prawie bez perspektywy; dno niebios blade, jednostajne, jak turkus; ale kto się w twarze aniołów zapatrzy, powoli, powoli przestaje oddychać, zachwycony pię-



knością wyrazu i *małą a jednak dziwną* różnorożnością uczucia. Teraz Niemiec Overbeck, naśladowując manierę Rafaela, trawy rysuje grynszpanowym, bladym kolorem, niebo zaciąga błękitem, aniołów robi podobnych do woskowych figurek, i taki blado-dziecinny postawiwszy obraz, sądzi, że dosięgnął najwyższego szczytu malarstwa. Zdaje się, że i Teofil Januszewski był tego samego, co i Słowacki, zdania o Rafaelu. Nie mogli się tylko zgodzić co do *Transfiguracji*, tego największego może, choć rozmiarami najmniejszego, arcydzieła Rafaelowego pędzla, które artysta, umierając, kazał sobie nad trumną powiesić, gdy ciało jego będzie wystawione na widok publiczny — dowód, jak wysoko je cenił. Teofil nie lubił tego obrazu; Słowacki przeciwnie, uwielbiał go.

Godzili się za to na jedno, kiedy Teofil przeniósł na papier rysy Słowackiego; portrecik ten bowiem, rozmiarami nie większy od *Transfiguracji* Rafaela, należał bezwarunkowo do udatniejszych prac męża Hersylki. Słowacki, otrzymawszy go od Teofila na własność, zrobił z niego prezent Eglantynie, od której otrzymywał tu częste listy, miłe dosyć, bo »sercem pisanę«. Portret ten, malowany akwarellą, przechowywała Eglantyna u siebie aż do końca życia. Oprawny w ramki wisiał zawsze w jej pokoju, pomiędzy portretami osób najdroższych jej sercu. Pani Seweryna Duchńska, która go widziała u niej jeszcze w roku 1874, taki nam daje jego opis: »Piękny to bardzo portrecik: rysy pociągłe, delikatne, nadzwyczaj regularne; wyraz oblicza smętny, zadumany; nie dopatrzyć najmniejszego zarostu. Z pod okrągłej czapeczki greckiej świeci wysokie czoło; po obu stronach wybiegają na skronie pukle ciemnych, wijących się włosów; oczy ciemne, szeroko rozwarte; wzrok głęboki, znaczący. Takim był Juliusz Słowacki w dwudziestym piątym roku życia, gdy przebywał w Genewie. Eglantyna podziwiała nadzwyczajne podobieństwo wizerunku. Rysy te same, jak w znanym medalionie dłuta Władysława Oleszczyńskiego; całość jednak więcej jeszcze przypomina portret Byrona w jego młodzieńczych latach«.

Już to wogóle malarstwo uprawiano teraz w Rzymie z zapalem. Dziwna rzecz! Wszak i Goethe, kiedy bawił nad Tybrem, z zapalem oddawał się malarstwu. Toż samo powiedzieć można o Słowackim i o Teofilach: gdziekolwiek poszli, wszędzie — hołdując modzie swego czasu — brali z sobą pędzle i farby i, choć czytali już *Pana Tadeusza*, gdzie owo malowanie pejzażów tak komicznie charakteryzuje »ostatniego z Horeszków«, nie zdawali sobie

sprawy, że i oni także z tą swoją pasją pejzażową niemało przedstawiali tematu dla humorysty, kiedy malowali różne grobowce, ruiny, wodociągi, kaskady, cyprysy, laury etc. A czynili to po części z zamięłowania, po części zaś i z nudów potroszę *pour passer le temps*; przebywając bowiem, od dwóch miesięcy przeszło, ciągle razem, wyczerpali w końcu temat do rozmowy, tak, iż zdarzały się chwile, w których nie było poprostu o czem mówić.

Z drugiej strony jednak zaprzeczyć się nie da, że niemałą pobudką do tej pejzażomanii było dla nich towarzystwo artystyczne, w jakim przebywali często, towarzystwo dwóch malarzy, Brzozowskiego i Suchodolskiego, z którymi przedstawiali najwięcej, z którymi prawdopodobnie oglądali wszystkie muzea i galerie obrazów, i którzy oczywiście musieli tem samem jakiś na nich wywierać wpływ. Przyczyniał się do tego w niemałym stopniu także i dobry ich znajomy z Podola, Aleksander Potocki, syn Szczęsnego i słynnej Greczynki Zofii, dziedzic Tulczyna i Zofiówki, sympatyczny oryginał, z niemniejszym upodobaniem, aniżeli grę na wiolonczeli, uprawiający malarstwo portretowe.

Oprócz Brzozowskiego, przezwanego żartobliwie »wielkim pittorem koni« (bo istotnie same tylko malował konie), Aleksandra Potockiego i Suchodolskiego, męża bardzo pięknej i zalotnej żony, należeli do kółka Słowackiego i Januszewskich: Wański, skrzypek, znajomy ich jeszcze z Wilna, Zenon Brzozowski z Ukrainy, dobry znajomy Teofilów i pani Becu (matka jej była wielką jej przyjaciółką) i Aleksander Hołyński, młody obywatel z Białej Rusi z pod Witebska. W tem towarzystwie najwięcej spędzali wieczorów, bądź w teatrze, bądź na spacerach, bądź u Aleksandra Potockiego na kwartetach, do których, oprócz gospodarza domu, grającego na wiolonczeli, zasiadali: Wański, Januszewski, grający drugie skrzypce, i Suchodolski, grający na altówce. Inni, słuchając, zabawiali się tymczasem, każde na swój sposób: malarze rysowali karykatury (Brzozowski konie); Zenon Brzozowski i Hołyński rozmawiali z Hersylką, a Słowacki (że użyjemy wyrażenia, którego on nie znał) flirtował z panią Suchodolską, którą nazywał »swojem rzymskiem bóstwem«, a której rola ta — sądząc z listów Słowackiego — bardzo zdaje się pochlebiała. Na jednym z takich wieczorów wyrysował Suchodolski portret Słowackiego, »osobliwie trafiony, bardzo ładny i bardzo podobny«, portret, który sobie poeta obiecywał zachować do litografii, jeżeliby mu kiedy przyszło jakie wydanie poezyi swoich ozdobić *portretem autora*.

Ale, jak wszystko na świecie, tak i towarzystwo to,

a zwłaszcza ciągle, po całych dniach, przebywanie z Teofilami, sprzykrzyło się w końcu Słowackiemu: straciło urok nowości. Zaczął się nudzić.

Niestety (jak o tem wiemy z *Naszych najserdeczniejszych* p. Sardou) najbliżsi, choćby to byli nawet bliscy krewni, nie zawsze bywają nam najmiłsi (wie o tem każdy, kto ma liczną »familie«); tak samo, jak nie wystarcza być czyim krewnym, np. wujem, jak był Januszewski dla Słowackiego, ażeby nie tracić na bliższem poznaniu. O prawdzie tych słów przekonał się teraz Słowacki aż nadto dobitnie. Zapisując Teofilom »bez żadnej myśli«, jak powiada, wszystkie godziny swego życia, jadając z nimi razem śniadania, obiady i kolacye, spędzając w ich towarzystwie całe dnie i wieczory, na gawędce, w ostatnich czasach pustej najczęściej i prowadzonej tylko *pro forma*, żeby mówić, żeby nie dopuszczać do kłopotliwego milczenia, nic dziwnego, że się zaczynał nudzić i że, co gorsza, najbardziej go nudzić zaczęli oni, Teofilowie. Okazało się bowiem, że istniała między nimi — niedostrzeżona przedtem — głęboka przepaść moralna, przepaść, na domiar złego, pogłębiająca się z dniem każdym. Przepaścią tą była różnica usposobień. Słowacki, natura artystyczna *par excellence*, a więc nerwowa i kapryśna, z sercem »pełnem łez i boleści, przywykłem do jakiejś dzikiej samotności, albo do wzruszeń nagłych i ognistych, nie zaś do ciągłego zapieczowego życia« (a takie zapieczowe życie właśnie uchodziło za ideał w oczach Teofilów) czuł się przedewszystkiem skrupowany. Przebywając od kilku lat ciągle za granicą, oddany samemu sobie, bez żadnej kontroli nad swoją osobą, zarówno jak i nad swemi czynnościami, odwykł już od tego, ażeby się przed kimś z czynności swoich tłumaczyć i opowiadać. Tymczasem »Fil« inaczej się na te sprawy zapatrywał. Widząc Słowackiego, że bierze kapelusz i wychodzi, mimowoli (może nie w tak złej nawet myśli, jak go o to posadzał Słowacki) zapytywał go: dokąd idzie? kiedy powróci? etc. Poetę, niezmiernie wrażliwego pod tym względem, irytowała ta opieka i ten »mentorski ton«, jaki w rozmowach z nim przybierał niekiedy mąż Hersylki. Zamieszawszy u nich i wiedząc, że ma z nimi rok cały przepędzić, nie sądził, ani przypuszczał, że będą wymagali od niego, by ciągle z nimi i tak, jak oni w domu siedział, on, który przywykł prędko latać, czasem nic nie mówić, »a czasem z jakim drugim szaleńcem gadać po szalonym językiem imaginacyi«. To pierwszy powód dysonansów, jakie się coraz częściej pomiędzy niego a Teofilów wkładać zaczęły. Drugim był marzycielski charakter Słowackiego,

który, wymagając od rzeczywistości, żeby dorównała jego marzeniom, musiał w końcu zawsze doznać uczucia rozczarowania. Podobnie miała się rzecz i tym razem z Teofilami. Dopóki ich nie widział, tęsknił za nimi i marzył o spotkaniu; kiedy marzenie to stało się rzeczywistością, tęczowa bańka mydlana prysła i pozostały mydliny. Dopóki Teofilowie byli we Włoszech, a on w Szwajcaryi, wydawało mu się szczytem szczęścia spędzić z nimi czas jakiś razem pod włoskim niebem; kiedy celu dopiął, zaczęły mu w zetknięciu z tą upragnioną rzeczywistością opadać skrzydła, czuł się, jak ryba wyrzucona na piasek. Albowiem takim już stworzyła go natura, że w świecie uludy czuł się, jak ryba w wodzie, kiedy rzeczywistość, życie realne, z konieczności prozaiczne, dusiło go i łamało mu skrzydła. To były prawdziwe przyczyny, dla których nie zawsze harmonizował teraz z Teofilami.

Ale był jeszcze trzeci powód, dla którego Słowacki pomimo najszczerzych chęci nie mógł być z Teofilami takim, jakim z nimi istotnie pozostawać pragnął. Oto przeczytał im któregoś dnia »wszelkie swoje prace«, a więc *Balladynę*, *Horsztyńskiego*, *Mazepę* i kilka scen z zaczętego, a niedokończonego *Wallasa* (zniszczonego następnie) i prace te »nie bardzo się im podobały«. Mówili, że dobrze, ale szlachta nie zrozumie. Ten ich szlachecki gust, dowodzący, że i oni nie bardzo rozumieli, o co chodziło, wystarczał, ażeby ich Słowacki posądzać zaczął o instynkta, właściwe wszystkim pospolitym »zjadaczom chleba«, z którymi on, nie dziw, że nie miał nic wspólnego. Zauważył przytem, że zachwyty ich nad arcydziełami wielkich mistrzów dłuta i pędzla tchnęły afektacją sztuczną, nie były szczere; i że szczeri byli w swoich listach do niego, kiedy mu tęskniącemu jeszcze za nimi w Genewie pisali, że »nudzą ich Włochy, szczególniejsz Hersylkę«. I takim ludziom myślał sobie, miała się podobać *Balladyna* albo *Horsztyński*! Nie obeszło się i bez tego również, żeby mu nie wymawiali czasem jego nieczynnego życia, żeby go nie namawiali do jakiegoś pozytywniejszego zajęcia, żeby mu nie starali się wytłómaczyć, że na poezye zawsze miałby jeszcze dość czasu w wolnych chwilach. Wszak i Teofil maluje, a przecież prowadzi obok tego gospodarstwo, co mu daje utrzymanie i to zadowolenie moralne, że nie jest nikomu ciężarem, ani potrzebuje czyjejś łaski. A były jeszcze i inne rzeczy, które ich dziwiły w Julku! Tak np. zrozumieć nie mogli jego szczególnego sposobu życia. Jak to można, ażeby młodzieniec w tym wieku, co on, prowadził się tak skromnie, tak ascetycznie, i wiodąc czystsze życie, niż inni, jeszcze w tem

znajdował, jak mówił, jakąś dumną pociechę dla duszy. Dziwactwo! To też mieli go za oryginała nie do naśladowania.

Wszystko to, razem wzięte, ten spowodowało skutek, że Słowacki począł tęsknić za cichem życiem, jakie prowadził w Genewie, i że najszcześliwszy był, kiedy zostawiwszy Teofilów w domu, mógł samotnie przechadzać się po mieście, albo po okolicy, słowa do nikogo nie mówiąc i marząc o pannie Wodzińskiej. Pozbawiony wszelkich o niej wiadomości, »z dziwnem rozemdleniem serca« myślał o tych sielankowych dniach szczęścia w Paquis, kiedy to biegali razem po murawach, albo też »rozkochanych słów różaniec cedząc«, obrywali stokrótki; i tęskno mu było za tym »romansem«, za muzyką Maryi, za jej oczyma czarnymi; i marząc tak »pół senny« o tej przeszłości świetlanej, tak różnej od tej teraźniejszości tak nudnej, chociaż za tło służył jej Rzym, czuł zapach warkoczów swojej genewskiej Beatrice, pierś mu raz po raz wzbierała natchnieniem i nie wiedział,

gdzie iść, i gdzie oczy schować,
I gdzie łzy ukryć, i gdzie być samotnym.

Oczywiście, że i ten Rzym papieski wtedy, przez taki oglądany pryzmat, wydawał mu się innym jakimś, nie takim, jakim go sobie przed przyjazdem tu wyobrażał. I zaczął się dopatrywać coraz więcej plam na jego słońcu, i nieraz chciał mu się, kiedy smutny i osamotniony błędził po ruinach Term Karakalli lub *Forum*, tak do nich przemówić:

O biedny Rzymie, jak ty w Słowianina
Pieśni wyglądasz niemyślący, karny!
Na toż to przysłał Bóg Atyli Syna,
Aby gitary tam dźwięk taki marny
Rzucił na wiatry? A tam jednak glina
Z Grachów, i z duchów stoi obłok czarny
Na Coloseum. Księżyc je upiększa,
Lecz jest jak tylko jedna z tarcz, nie większa

Od Brutusowej. Z taką to koroną
Stoją ruiny czarne i zębate.
O prawda! że tam ptaszków pełne łono,
Że im powoje stanęły za szatę;
Że tam krzyż дума i gromnice płoną;
Że tam, kędy lwom odmykano kratę,
Dzisiaj (widziałem sam, biedny wygnaniec)
Wypada jakiś ksiądz, mnich, obłąkaniec,

Rzuca się, pieni, klnie: *i Carbonari*
Krzyczy, *la gente d'inferno!* i zgrzyta...

Sam, jak hyena, jest albo wilk szary,
Na żar położy więźnia i wypyta:
Do domu nakształt dymu albo pary
Wciśnie się, zyzem tygrysim powita.
Pieczęć zawsze nadybie gorącą,
Spowiada panią, uwodzi służącą.

I taki brudny czart czasem się chyli
I z pyłu lice odsłoni pomnika,
Z pyłu, co leciał przed wojskiem Atyli,
Przed kopytami tłumów Alaryka,
I nakrył dawne miasto, nim przybyli.
I jako ten grób, co się sam zamyka
Zniknęło, cudzej uchodzące właści,
I utonęło, przed mieczem, w przepaści!

Dzisiaj dobyta kolumna niecała
Pyta się biedna, cicho: a co w Rzymie?
Czy mi czas było, abym zmartwychwstała?
Czy macie jakie na grobowcu imię,
Abym go strzegła ja i nad niem stała,
Ja, co widziałam mogiły olbrzymie
I wiem, co dola ludzi niepowrotna,
I jeszcze po nich jestem dzisiaj smutna.

Tak pyta, gdy ją podnoszą na drągi
I stawia znowu czołem na gwiazd wianek...

A kiedy zaszedł »od Tybrowej strony« do tego Rzymu
dzisiejszego, ze starożytną Romą nic nie mającego wspól-
nego, do tego Rzymu prozaicznego,

co się myciem swej bielizny trudni,
A nie trudni się obmyciem korony,
A syczy, kiedy się dzień rozpołudni
I gdy nań blaskiem przeraźliwym pała,
Jak wąż, co głowę ma na kłębku ciała:

wtedy znajdował go odartym ze wszelkiej poetyczności, ze
wszelkiego majestatu Wiecznego miasta.

Zielony on jest, a w płaszczu z purpury,
A w ręku suchy kwiat, z świeżego żłobu.
Nad nim ognistych smoków lecą chmury
A z Dantejskiego nosi płaszcz wyrobu,
Dominikańskim mieniący się jadem,
A każda w nim nić — czartem albo gadem.

W tem uczuciu, będącem czemś więcej jeszcze, niż
rozzarowaniem, napisał raz Słowacki, powróciwszy z prze-
chadzki po Kampanii, następujące terzyny?

Nagle mię trącił płacz na pustem błoniu:
»Rzymie! nie jesteś ty już dawnym Rzymem!«
Tak śpiewał pasterz trzód, siedząc na koniu.

— 133 —

Przedemną mroczne błękitnawym dymem
Sznury pałaców pod Apeninami,
Nad niemi kościół ten, co jest olbrzymem.

Za mną był morski brzeg i nad falami
Okrętów tłum, jako łabędzie stado,
Które ogarnął sen pod ruinami.

I zdjął mię wielki płacz, gdy tą gromadą
Poranny zachwiał wiatr i pędził dalej
Jakby girlandę dusz w błękitność bladą.

I zdjął mię wielki strach, gdy poznikali
Ci aniołowie fal, a ja zostałem
W pustyni sam, z Rzymem, co już się wali.

I nigdy w życiu takich łez nie lałem,
Jak wtenczas, gdy mię spytało w pustyni
Słońce, szydzący Bóg: czy Rzym widziałem?

II.

Pisząc te ponure, iście Dantejską grozą nacechowane strofy, nie przeczuwał Słowacki, że niebawem innemi na ten sam Rzym poglądać będzie oczyma, że znajdzie się człowiek, który mu gród ten blaskiem swojego geniuszu oświeci, a oświeci tak, że to samo, co teraz — w przystępie spleenu — prozaicznym i małym, wyda mu się wspaiałem i poetycznym. Czarodziejem tym miał być Zygmunt Krasiński.

W jaki sposób, kiedy i gdzie zapoznał się z nim Słowacki? Odpowiedź na to pytanie bardzo łatwa: ponieważ mieli wspólnych znajomych, jak np. Aleksander Potocki, więc znajomi ci zbliżyli ich do siebie i poznali, wiedzieli bowiem, że zależało im na tem obydwóm, że zarówno Słowacki, jak Krasiński, radziby byli zabrać z sobą znajomość, chęć taka bowiem cechuje wszystkich młodych autorów.

Cechowała też i naszych poetów; choć nie ulega wątpliwości, że w danym razie ciekawość i ochota zabrania znajomości leżała przeważnie po stronie Krasińskiego. Słowacki, nie lubiący w ogóle czynić pierwszego kroku (wszak nawet do Mickiewicza w Paryżu pierwszy pójść nie chciał), trzymał się zdaleka, na osobności, i choć dawano mu raz po raz do zrozumienia, że młody Krasiński, autor *Władysława Hermana*, *Agay Hana* i *Nieboskiej Komedy*, i całe kółko, z którym żył, chętnieby go widzieli w swoim gronie, umyślnie »stronił« od nich, tak dalece, iż skoń-

czyło się na tem, że »wszyscy prawie musieli go pierwsi szukać w jego mieszkaniu«.

Do kółka tego, oprócz Zygmunta, należeli: Konstanty Danielewicz, doktor, filozof i artysta-muzyk, a Krasieńskiego już od szeregu lat przyjaciel i towarzysz podróży nieodstępny; Dr. Sauvan, z łacińska przezywany »Salvanusem«, a nie opuszczający Zygmunta, który rozdrażniony nerwowo i od dłuższego już czasu chory na oczy, potrzebował wciąż jego opieki: Adam hrabia Sołtan, przez wszystkich »pułkownikiem« nazywany; Stanisław Sołtyk, narzeczony znanej z życia Mickiewicza Henryki Ankwicówny; Otton Rajecki, młody sympatyczny Litwin, zagrożony suchotami, na które też umarł wkrótce; Roman Załuski, który niebawem przewiezie do Paryża rękopis *Irydiona* do druku; i wreszcie Aignez, budowniczy warszawski, który służył pod Kościuszką, a nie cierpiał francuzczyzny, choć sam francuskiego pochodzenia.

Te nowe znajomości wywarły na Juliusza wpływ zbawienny. Odtąd zdawało mu się, że innem oddycha powietrzem. Porwany wiram towarzyskiego życia, jakby odżył. Stał się poprostu innym człowiekiem. On, który niedawno jeszcze narzekał na zniechęcenie i nudę, teraz, dzięki temu, że mógł przestawać z młodymi, jak on, zapaleńcami, że prowadził z nimi »kawalerskie, biegające i cygara palące życie«, miał tysiące zachceń, tysiące »wielkich podlotów do nieba«, żałował, że nie tu upłynęła mu jego przeszłość.

Miał zaś metamorfozę tę do zawdzięczenia głównie Zygmunutowi Krasieńskiemu, którego towarzystwo, jak sam przyznawał, miało dla niego pod względem umysłowym »lekarskie, uzdrawiające skutki«. Albowiem był to pierwszy człowiek, który go rozumiał całkowicie i który uznawał w nim »ogrom poezyi«, jakim go obdarzyły niebiosy. To też, kiedy byli razem, zdawało mu się, jak przepięknie powiada w owym liście do autora *Irydiona*, służącym za wstęp *Lilli Wenedzie*, »że wszyscy ludzie mają oczy rafaelowskie, że dosyć jest jednym słowem zarysem pokazać im piękną postać duchową, że dbać nie trzeba o niedowidzenie, a chronić się tylko przesytu«; i sądził, że »wszyscy ludzie obdarzeni są platońską i attycką uwagą; że dodawszy do stworzonego już przez poetów świata jedną taką postać jak nimfa uwieńczona jaskółkami, które pierzchają z włośów, dotknięte słońca promykiem, jedną taką postać, jak nimfa, uwiązana rączkami za łańcuch smutno gwarzących żórawi, można te Ateńczyki obrócić na niebo oczyma«. I przyznawał, że człowiek ten, młodzieniec o całe trzy lata młodszy od niego, miał dziwną władzę nad nim, i że ledwo

się zjawił, niby jakiś »Archanioł wiary«, ledwo się poznać zdołali, odrazu zaczął z sercem jego dziwne robić »czary«, tak, iż serce to, takie dumne i tak dla wszystkich zamknięte, przed nim jednym, jak na zaklęcie magnetyzera, otwierać się zaczęło, podobnie, jak się otwierało niegdyś przed Ludwikiem Spitznaglem, z którym Zygmunt miał wiele pod niejednym względem podobieństwa. Pełen młodzieńczego zapału dla rzeczy piękna, umysłowo nad wiek rozwinięty, z iskrą geniuszu nad czołem, wykształcony, czytany, biegły zarówno w rzeczach poezji i sztuk pięknych, jak filozofii historii, z niewysłowionym wdziękiem opowiadający o starożytnym Rzymie, o prądach, nurtujących społeczeństwa nowoczesne, o walkach arystokracji z demokracją, walkach, które z taką genialną intuicją odmalował w swojej *Nieboskiej Komedji*, wylany, szczery i pełen prostoty w obejściu, bez cienia zarozumiałości, a przytem (co najważniejsza, jak w danym wypadku) z ogromnem, niekłamaniem uznaniem, w rozmowie przybierającym pozory uwielbienia, wyrażający się o wielkim talencie Słowackiego, jako autora *Maryi Stuart* i *Kordyana*, uznający w nim talent ten bez żadnych zastrzeżeń, dowodząc śmiało, że »Mickiewicz nawet sam nie miał tak różnobarwnej i giętkiej wyobraźni«, nie dziw, jeżeli Słowacki przywiązał się doń wkrótce całym sercem, jak Telemak do Mentora, jak Shelley do Byrona, jak Schiller do Goethego.

Znali się z sobą niedługo lecz wiele,
I od dni kilku już są przyjaciela.

Jakoż pokochali się istotnie, jak bracia, z tą różnicą, że kiedy Słowacki nie zawahał się przyznać Krasieńskiemu pewną wyższość nad sobą (co zresztą dowodziło tylko trafności i zupełnego braku zaślepienia w sądzie), Krasieński patrzył nań krytyczniej: widząc w nim mnóstwo przymiotów, nie zamykał przecież oczu na niektóre jego wady, tak człowieka, jak poety.

Jako poeta, wydawał mu się Słowacki nie zupełnie jeszcze... dojrzałym. *Kordyana* uważał za »poemat zapału, szaleństwa«, obfitującym w »pyszne położenia i dziwnie trafne pojęcia«. Swoją drogą, jako autor *Nieboskiej Komedji*, widział w nim pewne dzieciństwa, którychby on np. nie popełnił nigdy. *Maryę Stuart* uważał również za rzecz »znakomitą«. Mniej za to trafiały mu do przekonania takie Słowackiego utwory, jak *Mindowe*, *Bielecki*, *Lambro*, *Żmija*, których w liście swym do Gaszyńskiego, mówiąc o Juliuszu, nie wymienia wcale. W ogóle nie widział w nim dość »harmonijnej równowagi«, bez której niepodobna być wiel-

kim poecie. Mimo to przepowiadał Słowackiemu, że »będzie wielkim«, skoro tylko ta poezya, którą go tak hojnie obdarzyło niebo, dojdzie do »harmonii muzycznej«, kiedy się nauczy »sztuczniej jeszcze godzić dysonanse z prawdziwymi dźwiękami«. »Dzisiaj — pisał o nim do przyjaciela swojego w Montpellier — brak mu czasem powagi, bez której poezya może być miłą igraszką, ale nigdy nie zostanie częścią świata. Tej on nabędzie, bo zdolności tak silne nie ustają, nie słabną, aż zdobędą drogę sobie przeznaczoną i wydadzą wszystkie owoce w nich nasiennie zawarte. Garczyński nie miał i trzeciej części jego ducha, choć tak w obłoki podchwalony przez Mickiewicza«.

Jako człowiek, wydał mu się Słowacki bardzo »mitym«, ale... Otóż tych *ale* widział w nim Krasiński, jako w człowieku, więcej nierównie, aniżeli w poecie. Przede wszystkim uważał go za istotę kapryśną, złożoną z »dziwnych kontrastów«, bardziej nacechowaną przymiotami i wadami, właściwymi kobietom, aniżeli prawdziwie mężczyznami; i dlatego, jak się wyraził, nie chciałby go odgadywać, tak samo, jakby w żadnym przypadku także i liczyć na niego nie chciał. Czemu? Bo z »temi istotami obchodzić się trzeba, jak z morzem, jak z elektrycznością: zważać ich objawienia i dziwić się im, jeśli silne; żadnej zaś nadziei ni rachuby na nich nie pokładać; w tem ich podobieństwo do kobiet i do sił ślepych natury«. Jak kobieta był Juliusz — w przekonaniu Zygmunta — awanturniczy wyobraźnia, a nerwami i całym ciałem tchórz. Dlatego zaliczał go do kategorii tych poetów, którzy »nigdy w danej chwili poezyi w działaniu mieć nie będą«, ponieważ nie czuć w nich silnego indywidualizmu, tak potężnego np. w Byronie, a którego pozbawieni w zupełności byli np. Goethe i Szekspir. To też Goethe, jak wiadomo powszechnie, był tchórzem, Szekspir nim być musiał. Otóż takim »tchórzem« to jest człowiekiem silnego indywidualizmu pozbawionym, zdawał się być i autor *Maryi Stuart*, któremu jednak natura brak ten, jak Szekspirowi i Goethemu, w inny wynagrodziła sposób. Bo zaprzeczyć się nie da, że tego rodzaju poeci, mniej będąc ludźmi, a bardziej światem, »więcej obejmują« za to, większą odznaczają się intuicyą, łatwiej wcielają się w innych, zdobywając się na obiektywizm, który w zdumienie wprawia każdego, kogo cechuje właśnie silniejszy indywidualizm. »Jest w nich jakiś panteistyczny kunszt: rozlani w cudzych charakterach, w zewnętrznych fenomenach, mniej dbają o godność osobistą; słowem, są to ogromne siły duchowe, ale nie ludzie, nie charaktery, nie Zawisze.

Ta przewaga refleksyi w Krasińskim, refleksyi, nie prześlepiającej nawet w przyjacielu ani jednej wady, ani jednej ułomności charakteru, stanowiła też zasadniczą i kardynalną różnicę ich usposobień. (Nawiasem mówiąc, czy Krasiński pod względem siły charakteru o wiele przewyższał Słowackiego, i czy więcej miał »poezyi w działaniu«, to inne pytanie, które nie tu miejsce rozstrzygać). Bo nie ulega wątpliwości, że refleksya, rozsądek, logika, rozum, inteligencya, czyli wszystko to, na czem się opiera głównie poezya *Irydiona*, *Przedświitu* i *Psalmów*, w życiu Słowackiego, zarówno jak i w jego twórczości nie odgrywały roli prawie żadnej. Przeciwnie, on je nawet lekceważył do pewnego stopnia, jak w *Balladynie* np., o której powiedział wyraźnie, że wychodzi na świat »obdarzona siłą wewnętrzną urągania się z tłumu ludzkiego, z porządku i z ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie, z nieprzewidzianych owoców, które wydają drzewa ręką ludzi sadzone«. On nie wahał się powiedzieć sam otwarcie o tej tragedyi, pisanej »z arystycznym na twarzy uśmiechem«, że zawarte w niej »tysiące anachronizmów przerazi śpiących w grobie historyków i kronikarzy«; a nie wahał się dlatego, że przekonany był, iż »jeżeli instynkt poetyczny był lepszym od rozsądku, który nieraz tę lub ową rzecz potępił, to *Balladyna* wbrew rozwadze i historyi, zostanie królową polską, a piorun, który spadł na jej chwilowe panowanie, błysnie i rozprószy mgłę dziejów przeszłości«. Pod tego rodzaju dowodzeniem nie podpisałby się nigdy Krasiński, który w swoich utworach, jak *Nieboska Komedia* i *Irydion* (już ukończony, choć jeszcze nie wydrukowany) przedewszystkiem i największą wagę przywiązywał właśnie do tego »porządku i ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie«, a które tak sobie lekceważył Słowacki. On, Krasiński, niczego się tak nie obawiał, jak tego właśnie, żeby napisane przezeń dzieło poetyczne, nie przeraziło przypadkiem »śpiących w grobie historyków i kronikarzy«, z którymi przedewszystkiem chciał być w zgodzie, a z którymi się tak mało liczył autor *Balladyny*. On, Krasiński, nie wierzył, ażeby »instynkt poetyczny« mógł być, jak się zdawało Słowackiemu, »lepszym od rozsądku« i żeby poemat w takich zasadach poczęty, mógł »wbrew rozwadze i historyi« rozprószyć mgłę dziejów przeszłości. I kiedy on, Krasiński, dążył do tego, ażeby to, co napisze, miało za podstawę rzeczywistość; Słowacki nie wstydził się przyznać, że ile razy tylko zetknął się »z rzeczywistemi rzeczami«, opadały mu skrzydła i był smutny, jak gdyby miał umrzeć. Taką już była jego natura! Obdarzony od Boga wyobraźnią »tak

różnobarwną i giętką«, jakiej nawet — co mu przyznawał Krasinśki — Mickiewicz sam nie miał, polegał głównie i jedynie na niej. O resztę się nie troszczył. Wyobraźnia ta, jedna z najpowiewniejszych, z najeteryczniejszych, jakie wydała ludzkość, wyobraźnia, która potrafiła być fantastyczniejszą jeszcze od Szekspirowskiej, a która poetycznością swą dorównywała Shelley'owskiej, (jeżeli jej nie przewyższała) pozwalała mu z tęcz, girland, opali, dyamentów, nici babiego lata, promieni słonecznych i księżycowych blasków, wznosić czarowne zamki uludy, które, lubo kruche, jak bańki mydlane, że grające wszystkimi kolorami tęczy, zadawałniały go tem samem i czyniły pobłażliwym na różne usterki logiki, mogące »przerazić śpiących w grobie historyków i kronikarzy«. Zdawało mu się poprostu, że jeżeli coś »ma wewnętrzną siłę żywota, jeżeli stworzyło się w głowie poety podług praw boskich, jeżeli natchnienie nie było gorączką, ale skutkiem tej dziwnej władzy, która szepce do ucha nigdy wprzód nie słyszane wyrazy, a oczom pokazuje nigdy we śnie nawet nie widziane istoty«: to już rzecz taka nie może być złą. Inaczej się na kwestyę tę zapatrywał Krasinśki. Dla niego nawet fantazya, choćby najbujniejsza, ujęta być winna w karby logiki, »rozwagi i historyi«. Wszystko to, co poeta napisze, powinno być należycie umotywowane, tak, iżby na czytelniku robiło wrażenie czegoś rzeczywistego, tak, iżby czytelnik wierzył w możliwość, w prawdopodobieństwo opisywanych wypadków. Budować gmachy, choć najfantastyczniejsze, wolno poecie; obowiązkiem jednak jego jest pamiętać o fundamentach, które powinny być mocne i rzetelne, bo inaczej cały zaczarowany pałac może się zawalić, a poeta, jak budowniczy, obawiać się tego powinien najbardziej; pamiętać też należy i o tem także, ażeby mury nie były zbyt cienkie i kruche, zbyt filigranowe i z niedość mocnego stawiane materiału, bo nic łatwiejszego, jak, żeby się zaczęły rysować. O wszystkim tem pamiętał zawsze Krasinśki i dlatego poezya jego jest trochę ciężka, dlatego *Irydion*, choć logiczniejszy nierównie, aniżeli *Balladyna*, nie jest taki, jak *Balladyna*, poetyczny, nie posiada tego, co *Balladyna*, wdzięku.

O różnicy swoich talentów, różnicy, tak wielkiej, iż większej pomiędzy poetami wyobrazić sobie prawie niepodobna, przekonali się Krasinśki i Słowacki najlepiej, kiedy sobie przeczytali wzajemnie: jeden *Balladynę*, drugi *Irydion*; a trudno określić ją piękniej i poetyczniej, aniżeli, jak to uczynił Słowacki, kiedy dedykując Krasinśkiemu *Balladynę* (niezawodnie »na pamiątkę« owych dni wspólnie

spędzonych i przemarzonych w Rzymie) napisał, co następuje: »Tak więc, kiedy ty dawne, posagowe Rzymian postacie napełniasz wulkaniczną duszą wieku naszego; ja z Polski dawnej tworzę fantastyczną legendę, z ciszy wieków wydobywam chóry prorockie, i na spotkanie twojej czarnej, piorunowej, dantejskiej chmury, prowadzę lekkie, tęczowe i aryostyczne obłoki, pewny, że spotkanie się nasze w wyższej krainie nie będzie walką, ale tylko grą kolorów i cieni, z tym smutnym dla mnie końcem, że twoja chmura, większym wichrem gnana i pełniejsza piorunowego ognia, moje wietrzne i różnobarwne obłoki roztrąci i pochłonie«.

To Juliuszowe przewidywanie owego smutnego dlań, a jak mniemał, nieuniknionego epilogu, rzuca bardzo sympatyczne światło na poetę i na jego miłość dla Krasińskiego, miłość, w której było coś kobiecego, coś, co mu serce napełniało bezwzględnem, bezgranicznem i bezkrytycznem uwielbieniem dla autora *Irydiona*, coś, co mu zamykało oczy na różne jego wady, coś, co mu nakazywało widzieć w nim jakiegoś »Archanioła wiary«, jakiegoś »serc wskrzesiciela«, słowem, jakiegoś człowieka wyższego, świętego, z którym mierzyć się nie uchodziło poprostu, albowiem nie był to tylko genialny poeta, jak Mickiewicz, lecz jeden z tych duchów wielkich, proroczych, Chrystusowych, z którymi obcowanie przynosi ukojenie. Dlatego chętnie i bez fałszywej skromności przyznawał niższość swą wobec Zygmunta, niższość, do której się nie poczuwał zupełnie w stosunku do twórcy *Pana Tadeusza* i *Dziadów*. Co innego z Krasińskim! W nim widział przede wszystkim ideał człowieka — teraz przynajmniej w Rzymie — który mu był o tyle droższy, że pierwszy postawił go obok Mickiewicza, a nawet pod pewnemi względami przyznawał mu wprost wyższość nad nim. Tem podbił go sobie najbardziej, dzięki temu urósł tak w jego oczach. W Krasińskim znalazł Słowacki swojego pierwszego wielbiciela, dodajmy, szczerego zupełnie, wielbiciela, który go podziwiał za to, co stworzył dotychczas, a który nadto świetniejszą jeszcze przepowiadał mu przyszłość. Takiego człowieka nie spotkał dotąd Słowacki nigdzie.

Nie dziw więc, że mu był za to wdzięczny i że najszczęśliwszym się czuł, kiedy byli razem, kiedy mógł z nim rozmawiać, kiedy z ust jego słuchał »pełnych zapału pochwał«, kiedy Krasiński »w żywych i pasjonowanych rozmowach« nowe i nieznanne mu dotychczas roztaczał przed nim światy, światy uczuć i myśli najwznioślejszych, i kiedy mógł powiedzieć o sobie, jak Kornelia Metella w *Irydio-*

nie: »I jako prorok, i jako święty, on staje przedemną i mówi, a ja go słucham«. Jakoż doszło do tego w końcu, że Słowacki, odkąd się zaprzyjaźnił z Krasieńskim, dni prawie całe spędzał z nim i z jego towarzyszami, biegając »po odległych spacerach« i zwiedzając wszystko, co było do widzenia w Rzymie, a z czem autor *Irydiona*, już czwartą spędzający tu zimę, doskonale był obeznany. Razem więc, czasami we dwóch tylko, a czasami w kilku, bo Danielewicz, Sauvan, Rajecki i Załuski najczęściej dotrzymywali im towarzystwa, byli w Coloseum, razem na Kapitolu, razem na *forum romanum*, razem w willi Mills; razem — prawdopodobnie — i na owym »małym cmentarzu koło Świętego Piotra«, gdzie się znajduje grobowiec rodziny Cenci'ch; razem mogli oglądać nieśmiertelne malowidła mistrzów odrodzenia; razem mogli podziwiać groźny majestat *Mojżesza* Michała Anioła i majestat cierpienia rodzicielskiego przy utracie dzieci w posagu Laokoona; razem wreszcie, jak Hamlet i Horatio nad grobem Yoricka, przesiadywali — nieraz godzinami całemi — na cmentarzu protestanckim, nad mogiłami dwóch poetów angielskich, Shelley'a i Keats'a.

Miło leżeć na takim cmentarzu, pisał o nim Słowacki do matki; mały, kwadratowy, pod piramidą Cestysusa, dawnego Rzymianina, położony, dokoła »cichemi« grobami z białego marmuru zasiany. W jednym kącie cmentarza widać przezroczysty kłęb cyprysów i innych drzew egzotycznych; zupełnie, jak gaik Elizejski w *Eneidzie* Wergiliusza, po którym błądzą cienie kochanków-samobójców. »Cóż, moja droga, gdzie mi wybrać miejsce? Czy na krzemienieckim cmentarzu, pod śliwą babuni, nie będzie mi spokojniej«, aniżeli tutaj, na obcej ziemi obok tych poetów, zabitych przez edynburską krytykę? Tymczasem, zdrów i wesół, nie potrzebował się obawiać losu Keatsa, to jest przedwczesnej śmierci z suchot, i dobrze mu było rozmawiać nad jego grobem z Krasieńskim: o poezji angielskiej, o Byronie, a wreszcie i o tym ateuszu, Shelley'u, który utonął w zatoce morskiej około Spezzia, i którego zwłoki później, po wydobyciu ich z wody, Byron, przyjaciel jego, starożytnym obrządkiem greckim, podobnie, jak Achilles ciało Patrokla, spalił na stosie.

Ulubionym także celem przechadzek dla nich, zwłaszcza wieczorem, była o niecałych parę wiorst drogi od Rzymu położona willa Mills, czyli, jak ją powszechnie nazywano, Willa róż. Jestto ogród pełen róż i cyprysów, zasadzony na ruinach dawnego pałacu cesarzów rzymskich.

»Przy świetle księżyca, kiedy kwiaty wydawały dziwne

zapachy, kiedy ruiny, otaczające willę, przybierały kształt duchów, a Rzym daleki w sinej mgłę tonął, rozmarzeni ciszą nocną, panującą dokoła, i śpiewem słowików, mimowoli nakazującym myśleć o ogrodzie Kapuletów i o nieśmiertelnem pożegnaniu Romea i Julii, nie słyszeli nieraz, że zegary miejskie wydzwaniały północ: do tego stopnia dawali się porywać swoim rozmowom, które, »podobne do platońskich«, często kazały im poprostu zapominać o godzinie i że już pora wracać. Ale bo też na brak tematu do rozmowy nie mogli się uskarżać. Na pytanie zaś, co ich zaprzątało najbardziej? o czem dysputowali najwięcej? można odpowiedzieć bez wahania: poezya. Ta poezya, która zdaniem Krasińskiego, była »wiecznem przewidywaniem najwyższych form, jakie czy na ziemi, czy w niebie, przybierze kiedyś realne życie«, a którą, zdaniem Słowackiego, wiek nasz uważał za najlepsze »lekarstwo na chorobę smutku«, poezya ta, a w szczególności to, co im nadawało prawo do tytułu poetów, t. j. ich dzieła, te, które napisali już, i te, które dopiero w przyszłości napisać zamierzali: oto główna oś, około której w ożywionych gawędach swych, prowadzonych »po szalonemu językiem imaginy«, obracali się najczęściej. bo z największem upodobaniem. Słowacki, któremu żądza sławy nie dawała spokoju, czem się różnił od Krasińskiego, opowiadał mu z zapałem o swoich projektach na przyszłość — a przyszłość tę widział w bardzo różowych kolorach — o swoich kronikach dramatycznych, których pięć jeszcze miało nastąpić po *Balladynie*, będącej pierwszą z cyklu; o tragediach, jakie zamierzał napisać: o Krakusie, o Wandzie, o Ziemowicie, o Lechu, o Wallenrodzie, o Janie Kazimierzu, etc. »Cienie już różne ludzi niebyłych, mówił, wyszły ze mgły przedstworzenia i otaczają mnie ciżbą gwarzącą; potrzeba tylko, aby się zebrały w oddzielne tłumy, ażeby czyny ich ułożyły się w postaci piramidalne wypadków, a jedną po drugiej garstkę na świat wypychać będę; i sprawdzą się może sny mego dzieciństwa. Bo ileż to razy, patrząc na stary zamek, koronujący ruinami górę mego rodzinnego miasteczka, marzyłem, że kiedyś, w ten wieniec wyszczerbionych murów nasypię widm, duchów rycerzy; że odbuduję upadłe sale i oświecę je przez okna ogniem piorunowych nocy (jak w *Makbecie*), a sklepieniom każę powtarzać dawne Sofoklesowskie: »Niestety!« A za to imię moje słyszane będzie w szumie płynącego pod górą potoku, a jakaś niby tęczą z myśli moich unosić się będzie nad ruinami zamku«. A kiedy w odpowiedzi na to Krasiński wyraził wątpliwość, czy przypadkiem z dzwonek polnych nie większa ozdoba

ruinom, »niż z tego wieńca myśli, w który je ubierze poeta«, on wątpliwości tej nie podzielał i obstawał przy swoim, na twierdzenie Zygmunta takim odpowiadając argumentem: »O, nie mów mi, że z dzwonków polnych większa ozdoba ruinom, niż z tego wieńca myśli, w który je ubierze poeta, bo choć róże, rosnące na ruinach pałacu Nerona, rozwidniły nam piękne te gruzi, to jednak jaśniej mi je oświecił ów duch Irydiona, któregoś ty pod krzyżem w Colosseum położył i nakrył złotymi skrzydłami anioła«.

Za tło do podobnych rozmów służyło im czasem i mieszkanie Konstantego Danielewicza, do którego przychodzili na muzykę. Danielewicz bowiem grał przepięknie na fortepianie, czem ich rozmarzał obydwóch i o »dziwne rozemalenie serca«, jak powiada Słowacki, przyprowadzał. Wpływ ten miała na nich gra Konstantego z dwojakiej przyczyny: przedewszystkiem, istotnie mistrzowska pod względem wykonania, nie mogła nie rozmarzać sobą takich dwóch natur poetycznych, jak Słowacki i Krasiński; powtóre, przypominała im najpiękniejsze, najczarowniejsze chwile, jakie mieli w życiu: Słowackiemu pannę Wodzińską, która miała podobny sposób gry, jak Danielewicz; Krasińskiemu panią Bobrową, z którą nieraz, jak obecnie ze Słowackim, słuchał muzyki Konstantego, a z którą trwający już od trzech lat przeszło romans *à la* Balzak (pani Bobrowa bowiem była *une femme de trente ans*, nieszczęśliwa w pożyciu z mężem, z którym miała dwie córki) był dla niego w tych czasach jedynie źródłem udręczeń i zgryzot.

Bo nie należy zapominać, że oprócz tylu łączników duchowych, wiążących Krasińskiego ze Słowackim, był jeszcze i ten, nie mniej silny od tamtych, że obydwaj byli zakochani (choć każdy po swojemu), obydwaj stęsknieni za swemi kochankami, obydwaj pozbawieni wiadomości o nich, obydwaj trapieni niespokojnością z tego powodu i — jak to zakochani — obydwaj smutni najczęściej, a przynajmniej nastrojeni rzewnie, melancholijnie. U Słowackiego, u którego imaginacja większą grała rolę, aniżeli temperament, nie przejawiało się uczucie to zbyt gwałtownie: zresztą, skryty z natury, usiłował je tłumić w sobie i nie okazywać go o ile możności; ale u Krasińskiego, z którym rzecz miała się przeciwnie, bo namiętny temperament w nim brał zawsze górę nietylko nad wyobraźnią, trapiącą go różnemi upiorami przeszłości, ale i nad zdolnością powściągnięcia rozigranych nerwów; u Krasińskiego, choć również, jak Słowacki, starał się nie okazywać po sobie, jakie nim targają uczucia, nie zawsze walka ta z wewnętrznym de-

monem miłości uchodziła baczności obecnych. Cierpiąc »w głębi ducha«, zdarzało się niekiedy, że z dziwnym, niewymownym wstrętem, jeśli przypadkiem w czytaniu szukał zapomnienia, odrzucał książkę, której i tak nie rozumiał, i znowu tonął w tej »próżni bez imienia, bez granic«, która go otaczała. Czasami znów, kiedy, leżąc na sofie, słuchał muzyki Konstantego, powstawał nagle »w jakiejś rozpacz, obudzonej piękną dźwięków« i prosił przyjaciela, ażeby przestał grać. Tak »drżał na pewne wspomnienia!« A jednak, choć cierpiał z ich powodu, puszczał im czasem serce, jak powiada, ażeby po jakimś czasie znów odsuwać je od nich, tysiącom myśli powtarzając, jak Kartuzi: *Me mento mori*. Zdarzało się też, że grając w wista z towarzyszami (do których należał niekiedy i Słowacki), lub sam układając *passjans*, bo i tego używał sposobu, »pasując się z szyderskim, niewidomym losem«, rzucał ni ztąd, ni zowąd karty na stół i, płonąc gorączką od nagłego, spazmatycznego śmiechu, zaczynał ku niewysłowionemu zdziwieniu przyjaciół, zdziwieniu graniczącemu z osłupieniem, sypać żarciki jakieś, zgryźliwe i gorzkie, poczem zapadał ponownie »w próżnię bezdenną, w milczenie kilkogodzinne«.

Towarzystwo Słowackiego »ożywiało« go w takich razach najbardziej; Słowacki zaś, niewiedzący o właściwych powodach tego w przyjacielu swym rozdrażnienia (dyskretycy bowiem nie pozwalała ich Krasińskiemu wyjawiać), ażeby go rozerwać i sobie przytem myśl rozweselić, proponował mu w takich razach — odszukanie państwa Richthoffen, ażeby popatrzeć na piękną baronową, o której wiedział, że się podobala nie tylko jemu, ale i Krasińskiemu. Jakoż »latali za nią, jak waryaty po willach włoskich, ażeby ją zobaczyć«, nie marząc o niczem, tylko o tem, żeby jej być przedstawionym. Wiedzieli, że jest Polką, choć mąż był Niemiec, słyszeli o niej, że ma być »bardzo miłą osobką, wiele gadającą, z rodzaju naszych przymilających się, zwinnych kobietek warszawskich«, nie dziw więc, że mieli ochotę poznać ją, raz dlatego, że ładna, bardzo ładna, powtórę, że Polka, co jej w oczach ich podwójnego dodawało uroku, jednemu bowiem i drugiemu zdawały się Polki »z innego świata, lepszego, zgrabniejszego stworzeniami«. Nareszcie stało się pragnieniom ich zadość: Aleksander Potocki, jako dobry znajomy państwa Richthoffen, zarekomendował ich raz w ogrodzie Borghesych i nastąpiło rozczarowanie: »ideał, utworzony w imaginacji rozprysnął się za pierwszym spotkaniem«. Swoją drogą zaczęli z czasem bywać u nich w domu; nazwisko Słowackiego, już »trochę znane«, pomogło mu, jak powiada, do otrzymania dobrego nader

przyjęcia; za Krasińskim, o którym nie wiadomo, że pisze również, przemawiał tytuł hrabiego, przyszłego ordynata; i wywiązała się tym sposobem »milutka znajomość«, z której korzystali raz po raz, choć przyznawali, że lepiej się bawili, kiedy sami, we dwóch tylko, błądzili po ulicach albo okolicach Rzymu.

Słowackiemu wszystko się wtedy wydawało piękniejszem, poetyczniejszym, i niejedno, na co, kiedy chodził z Filami, nie zwrócił był prawie uwagi, teraz, dzięki towarzystwu Krasińskiego, wprowadzało go w ekstazę. Przy oglądaniu kościoła Świętego Piotra np., kiedy stali na dziedzińcu przed świątynią, pod owym obeliskiem między wodotryskami, zdało mu się któregoś dnia, — a było to w samo południe, kiedy (że użyję tu wyrażenia mojego przyjaciela, Kazimierza Tetmajera) »słoneczne zamyślenie świat ogarnęło cały«, że

Z tęczy, co wiecznie swoją wstążką pęta
Skrzydła fontannom i włos im ubiera,
Wyszły Anioły przewodnie, bliźnięta,
Wyszły i wiodły w kościół Zbawiciela;
I tę kopułę, która już pęknięta,
Jak czaszka w grobie ludzka się rozdziela,
Wzięły na skrzydła złote, nad tułaczem.

I Słowacki, patrząc na nią, mimowoli myślał sobie:

— Jej-bym nie zwałił gromem, echem, płaczem.

Więc póki stałem pod ogromną banią,
To ją trzymała para jasności;
Wysokość — z niebios równałem otchłanią.
Bo ta kopuła, to Alp rówieśnica!
Chmury stukają w okna, idąc na nią,
I do kościoła wchodzi błyskawica,
Za nią pioruny, te nawałnic wodze,
Spotkawszy kościół powietrzny, na drodze.

Potem Bóg Perun, wróciwszy w Łotysze,
Puszczom i sosnom bladym rozpowiada:
»Na chmurach się tam las krzyżów kołysze,
I kościół w chmurach stoi i nie spada.
Choć ja i wichry, moi towarzysze,
Ja i me dzieci, piorunów gromada,
Bierzem go w ręce, w skrzydła, z kolumn rwiemy
I tu na puszcze litewskie niesiemy.

Ale zwycięstwo kiedyś przy nas będzie,
Tu na piorunach czerwonych przyleci;
Marzanny się w nim zagnieżdżą łabędzie,
I orły będą w czerepie mieć dzieci.
Tak mówił Perun... Ja wiem, że zdobędzie
Błyskawicami to, co próchnem świeci:

Dłatego bronił gmach od zaginienia
I aniołami ubrałem sklepienia.

A teraz wybacź, Cezarów mogiło,
I wy Piotrowych fontann Świtezianki,
I ty, wisząca na powietrzu bryło,
I wy, kolumny, jak Pelejad wianki
Stojące w chmurach, i ty, świata siło,
Krzyżu pokorny, i wy, dawne szranki,
Gdzie lew z Chrystusa walczył apostołem!
Wybacźcie, żem się na was oparł czołem.

Strudzony byłem i smętny. Lecz znowu,
Wielkim popiołem posypawszy ciemię,
Znów do mojego powrócę narowu,
Do pieśni, ludzi malować i ziemię.

III.

Jakoż powrócił istotnie »do swego narowu, do pieśni«, wyobrażnia jego bowiem, od chwili przyjazdu do Rzymu, jakby senna i rozleniwiała, poczęła teraz, niezawodnie pod wpływem pełnych zapachu rozmów z Krasińskim, ożywiać się nagle, nowemi zapładniać marami, a ponieważ przebudzenie to nastąpiło w Rzymie, więc i obrazy, jakie zaczęła przesuwać poecie przed oczyma duszy, miały za tło Rzym, a za bohaterów — rodzinę hrabianki Beatrix Cenci, tej samej, której portret w białym zawoju, przez Guido Reni'ego, a jak głosiła legenda, w więzieniu, na parę dni przed śmiercią pięknej Beatrix malowany, oglądał niedawno w pałacu Barberinich.

Słowacki, który już, jak wiadomo, podczas pobytu swego w Paryżu zaczął pisać prozą, po francusku, dramat, mający za treść sprawę hrabianki Cenci, powrócił dzisiaj raz jeszcze do tego pomysłu, z postanowieniem, aby go opracować obecnie po polsku i wierszem, a pobudką pod tym względem, która i sam pomysł przekształciła gruntownie, były mu: legenda o hrabiance Beatrix Cenci, tej dziewicy czystej i nieskalanej, która w obronie swej czci, nie wahała się popełnić ojcobójstwa, legenda, którą w Rzymie słyszał opowiadaną kilkakrotnie, a którą mu raz po raz przypominać musiały różne, uświęcone nią miejsca, jak: Zamek Anioła i Pałac Cencich; Pałac Colonnów, których stary hrabia Francesco Cenci był stronnikiem; Pałac Orsinich, których »złość z Colonnami« była w swoim czasie równie głośną nad Tybrem, jak w Weronie, unieśmiertelniony przez Szekspira, spór między domami Montekich

i Kapuletów; oprócz legendy zaś, ów portret Guido Reniego. Przypatrując mu się, »tej głowie cudownej piękności, spokojnej jako cyprys, nadto smutny, aby nim ruszył wiatr«, zachwycony tem anielskim obliczem, nieraz miał chęć powiedzieć, jak jego Giani w akcie drugim tragedyi. »Ta twarz zostanie mi wiecznie w pamięci... W ziemię utopiłeś oczy rozwarłe i chciwe. O, takie oczy nie widzą, lecz tworzą same obrazy i na utworzone patrzą z litością lub zamiłowaniem. A moje oczy w tej cudnej głowy oczach utonęły, jako w głębokiem morzu zachwycenia«. I stojąc tak przed tym obrazem, z pewnością przywodził sobie na pamięć koleje życia tej męczennicy, która mogła powiedzieć o sobie: »jestem, jako najbielsza z gołębic«, a która zginęła tak marnie; i litując się nad jej dołą nieszczęsną, tragiczną, jak trudno znaleźć w historii podobną, można być pewnym, że mimowoli zaczął myśleć i o swojej dawno zarzuconej sztuce francuskiej, przedstawiającej właśnie krwawe dzieje tej najbielszej z gołębic. Po niejakiem czasie, myśląc o tej sztuce, przyszedł do przekonania, że gdyby ją dzisiaj, po pobycie w Rzymie i po widzeniu tego portretu, na nowo opracowywać przyszło, wzięłby się do rzeczy inaczej zupełnie, aniżeli wtedy, w Paryżu. I tu zaświtało mu w głowie, że malarz, malujący portret kobiety tak czarującej, mógł się z łatwością zakochać w nim, a ona w nim. Bo czemu by nie przypuścić, że Guido Reni, kiedy malował portret córki hrabiego Cenci, był młody, piękny, namiętny. Jako taki, a przytem jako artysta, sławny w całym Rzymie, mógł wzbudzić afekt w czarującej hrabiance. Co za tragedia! Te dwie istoty kochające się na podobieństwo Romea i Julii, pragnące żyć razem i długo, marzące o raju na ziemi, o uściskach wzajemnych, o pieszczotach i pocałunkach upajających, te dwie istoty czułe i tkliwe, wyobrazić je sobie w sytuacji, w jakiej znalazła się Beatrice, ojcobójczyni, skazana na śmierć przez ścięcie! Toż to motyw tragiczniejszy tysiąckroć, aniżeli historia Romea i Julii! Co za rozdzierająco smutny duet możnaby wysnuć z tego motywu! I Słowacki, zapaliwszy się do tego nowego pomysłu, dawniejszy, pierwszy, a mniej szczęśliwy, (jak mu się zdawało) zarzucił zupełnie i postanowił do tej okropnej tragedyi ojcobójstwa, wtrącić epizod oryginalny, mniejsza o to, że dowolny i z legendą niezgodny, epizod, który na podobieństwo złotego pędu promieni słonecznych, wpadających przez zakratowane okno do ciemnej celi więziennej i niosących z sobą świeże powiewy wiosny, przesycone zapachem róż i fiołków, miał nieco rozjaśnić ponure karty utworu i dodać mu poetycznego uroku.

Pomysł jednakże, o ile przyszedł łatwo, o tyle dojrzewał zwolna, jakby oporem: nie przyoblekał się w konkretne kształty. Poeta nie mógł jakoś »zobaczyć« swojej tragedii: nie »widział« jej. Może dlatego, że nie mógł się skupić dostatecznie, że za mało miał spokoju w Rzymie, że zabardzo go absorbowały stosunki towarzyskie. Dość, że do pisania, pomimo najszczerzych chęci, nie przyszło i sprawa Beatrix Cenci odłożoną została na później, do lepszych czasów.

Nie miało to znaczyć, ażeby obecne czasy nie zasługiwały na miano dobrych, choć z drugiej strony przyznać trzeba, że obok pięknych, harmonijnych akordów, jakie poeta miał do zawdzięczenia Krasieńskiemu, który niestety, wraz z Danielewiczem i Sauvanem jednego z ostatnich dni maja opuścił Rzym, udając się do Kissingen, z kąd przyrzekł mu pisywać; że obok akordów tych, a po części, i głównie nawet, z powodu tych akordów właśnie, szły w parze jednocześnie i dysonanse.

Przyczyną dysonansów tych, które poecie obrzydziły pod koniec nawet Rzym, byli Teofilowie. Ci ostatni czuli się poprostu pokrzywdzeni i trochę obrażeni w swojej miłości własnej. Czemu? Widząc, że Julek, od chwili, kiedy się zapoznał z Krasieńskim i jego towarzyszami, coraz chętniej zaczął nie bywać w domu, przekładając widocznie nad towarzystwo swoich krewnych najbliższych »kawalerskie, biegające i cygara palące życie« przyjaciół młodego Krasieńskiego, że go ci powoli wszystkimi sposobami starali się przyciągnąć do swoich mieszkań (mieszkanie państwa Januszewskich tak było połączone salonem z pokojem Słowackiego, że nie mógł kolegów swych »bez żenowania« ugaszczać u siebie, chociaż się wszyscy zapoznali z Teofilami) i że powracał od nich często po północy dopiero, a niekiedy nad ranem; widząc to, nie dziw, że mieli do niego żal z tego powodu i że mu nawet po niejakiem czasie zaczęli to wyraźnie okazywać. Pan Teofil, jeżeli się zdarzyło przypadkiem, że Julek powrócił do domu nie w nocy, jak zwykle, ale przed wieczorem, okazywał się »z zimną twarzą«; często, przyszedłszy ze spaceru, a widząc Julka u siebie, nie witał się z nim wcale, tylko szedł prosto do okna i nie zaczynając pierwszy rozmowy, (co znowu niecierpliwiło Juliusza) pogwizdując sobie, z rękoma w kieszeniach, z nosem spłaszczonym o szybę, wyglądał na ulicę; a że poeta również nie myślał czynić w takich razach pierwszego kroku, więc upłynęło nieraz sporo czasu, zanim się ostatecznie jeden z nich — najczęściej Teofil — zdecydował przerwać to denerwujące milczenie. Nawiasem

mówiąc, podobnego rodzaju nieme sceny zniechęciły Słowackiego do reszty od siedzenia w domu. Oczywiście, że to nie polepszało sprawy i że i tak już duszna atmosfera pomiędzy poetą a wujowstwem zgęszczała się coraz bardziej. Słowacki, widząc, że »stracił ich serce«, jakkolwiek przyznawał, że było w tem niemało i jego winy, to przecież z drugiej strony doskonale zdawał sobie sprawę, że najwięcej do kwasów tych przyczyniła się »skłonność do złego humoru« wuja, który nudząc się sam z żoną, chciał (także dziwna pretensya!) żeby się wszyscy nudzili z nim razem! Gniewało go poprostu, że się Słowacki bawił gdzieś indziej, i że znajdując nudy w domu, szukał zabawy poza domem. Hersylka, oczywiście, stała po stronie męża, więc i ona robiła Julkowi różne miny, które go doprowadzały do pasyi.

Taki stan rzeczy trwał kilka tygodni. Skończyło się na tem, że Januszewscy postanowili dnia 23 maja wyjechać z Rzymu do Neapolu, a ponieważ nie bardzo namawiali Słowackiego, ażeby jechał z nimi — skoro się nudzi w ich towarzystwie — nie pozostawało mu więc nic innego, tylko unieść się ambicyą i zostać. A nie uśmiechało mu się to wcale. Zostawał bowiem sam jeden. Krasiński wyjeżdżał lada dzień. Z nim razem jechali Sołtan, Danielewicz, Salvanus, Rajewski. Inni także się rozjeżdżali w różne strony. Hołyński i Brzozowski wybierali się wkrótce do Neapolu. W Rzymie zostawali się tylko państwo Richthoffen, jedyny dom, w którym mógł przepędzać wieczory. Wieczory! Ale co począć z dniem całym, w tropikalne upały, jakie się teraz zaczynały nad Tybrem? W Neapolu chłodniej od morza. Ale nie! nie pojedzie do Neapolu! zostanie w Rzymie! Jakoś to będzie! Musi być dobrze! Rano, o godzinie 7-ej będzie wychodził na spacer, aby się cokolwiek chłodem orzeźwić; potem zajdzie do kawiarni; potem, około 10-ej wróci do domu i w płóciennnej bellezie, pozapuszczawszy żaluzye, będzie marzył i... gryzł się zapewne aż do godziny 4-ej, o której wyjdzie na obiad, po obiedzie na spacer, a po spacerze... Po spacerze, jeżeli nie wróci do domu, ażeby spędzić wieczór samotnie, to pójdzie z wizytą do pani Richthoffen, u której pierwszy raz w życiu będzie się starał »być jak domowym i wyrobić sobie prawo przychodzenia nawet co dnia«. W ten sposób, myślał sobie, upłynie mu szereg »dni samotnych«, po których nie wiedział jeszcze, co zrobi. Swoją drogą spoglądał w tę niedaleką przyszłość bez otuchy i »z przerażeniem« pewnem. »Bo wystaw sobie droga (pisał w tem uczuciu do matki) życie takie: wymaluj sobie myślą naokoło młodego chło-

pca Rzym, spiekły upałem przez dzień cały, bez drzew, bez zieloności, i pomyśl, co on będzie robił». Dlatego przejmował go strach mimowolny, kiedy patrzył na mieszkanie, w którym mu samemu zostać wypadnie; dlatego modlił się, ażeby mógł pisać przynajmniej, ażeby imaginacja przysłała mu w pomoc i zapełniła jakimiś marzeniami te puste dni, które go czekają; ażeby się ulitowała nad nim, albowiem ona jedna, ta »szalona władza tworzenia« jest jego aniołem-stróżem, albowiem bez niej, doprawdy nie wie, co by począł na świecie.

Obok tego trapiło go i inne jeszcze uczucie. Oto, było mu przykro poprostu, że w ten sposób rozstaje się z Teofilami, że wyjadą rozżaleni nań, rozczarowani i jakby zawiedzeni, że nie był takim, jakim być należało, że nie zawsze był z nimi »dobrym i szczęśliwym w zarabianiu na miłość ich i przywiązanie«, że często, w rozdrażnieniu, dotknął które z nich boleśnie jakim słowem niebaczem, choć może na to nie zasłużyli. Bo z drugiej strony trudno się im dziwić, że wymagali, aby więcej z nimi, aniżeli z kimkolwiek innym, przestawał. Wszak, jako jego krewni najbliżsi, mieli do tego prawo; zwłaszcza, że nie widzieli go tak długo i kto wie, czy, rozjechawszy się teraz, jeszcze kiedy zobaczą. Musiało ich to martwić, że »tak bliscy siebie«, nie mogli z nim być zawsze razem, że był jakiś przedział pomiędzy nimi a nim, przedział, do którego on postępowaniem swoim przyczynił się najbardziej.

I robił sobie Słowacki wyrzuty z tego powodu, i, jak powiada, cierpiał na tem.

Na domiar złego, przyjechał do Rzymu dawny znajomy jego, jeszcze z Wilna, niejaki Gaj, sławny niegdyś »sowizdrzał«, który teraz, ożeniwszy się, nietylko spoważniał odrazu, ale i znudniał. Co gorsza, to, że sam się do tego przyznawał otwarcie, tak dalece, że przybywszy do Rzymu — z żoną — i spotkawszy tu Słowackiego, oświadczył mu na samym wstępie radość z tego spotkania, ponieważ, jak się wyrażał, będzie przynajmniej miał włączyć się z kimś po Rzymie, »bo on lubi gadać dużo i, jak sam powiada, potrzebuje koniecznie kogoś nudzić«. Ten Gaj doprowadzał go teraz swoim gadulstwem do rozpacz. A nie było sposobu uwolnić się od jego towarzystwa. Żeby choć miał ładną żonę! Oprowadzanie go wtedy po wiecznem mieście i służenie za *cicerone*, o co się sam ciągle przymawiał, miałooby wówczas jakiś romansowy urok. Niestety, pani Gajowa traciła bardzo na porównaniu z Wenus Kapitołińską i w obcowaniu z poetą niewiele zdawała się dbać o to, ażeby być mniej nudną od męża. Sytuacja,

w jakiej się znalazł Słowacki, była istotnie nie do pozazdrośczenia. Oglądać w takich warunkach, a w dodatku i w upał jeszcze, osobliwości Rzymskie (któregoś dnia zaprowadził ich na szczyt kopuły Św. Piotra), osobliwości, które się już widziało przedtem po kilka razy i to w przyjemniejszym towarzystwie, było równie przykrem, jak *ricordarsi del tempo felice nella miseria*.

Ale, jak mówi przysłowie, nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło. Okazało się bowiem, że i ten wyjazd Gajów miał wyjść w końcu Słowackiemu na dobre. Jakim sposobem? Bardzo prostym. Gajowie nie mieli zamiaru bawić w Rzymie dłużej nad dwa tygodnie; potem wybierali się do Neapolu. Woleliby, naturalnie, pojechać tam w towarzystwie, zwłaszcza dawnych znajomych. A takimi znajomymi ich — od dziecka prawie — byli właśnie Teofilowie Januszewscy. Teofil przytem bardzo się lubił z Gajem. Żony ich także nie miały nic przeciwko sobie. Czyżby więc — proponował Gaj — nie było najprzyjemniej wybrać się do Neapolu razem? Myśl ta trafiła do przekonania Filom, tak dalece, że postanowili wyjazd swój odłożyć do 4-go czerwca, t. j. do święta Bożego Ciała, ażeby zobaczyć słynne procesye, poczem, razem z Gajostwem dopiero puścić się na południe.

W ciągu tych dwóch tygodni udało się Słowackiemu odzyskać znowu serce Teofila i Hersylki. Nie potrzebując już dzielić się pomiędzy nich a Zygmunta i jego towarzyszy, zaczął im znowu okazywać więcej przywiązania, nie rozłączając się już z nimi, jak dawniej, przez cały dzień, razem chodząc na spacer, razem na obiad, razem wracając do domu wieczorem, razem dotrzymując towarzystwa Gajom, do których powoli zaczął się także przekonywać. Tym sposobem, na miejsce niedawnych dysonansów, znowu nastąpiła zgoda, harmonia, przyjaźń, tak, iż kiedy 5 czerwca miano jechać do Neapolu, nawet mowy już nie było o tem, ażeby Słowacki został w Rzymie. Pojechali wszyscy razem, a w kilka dni później podążyli za nimi jeszcze Wański, Brzozowski i Hołyński, oraz Suchodolski, malarz, ze swoją piękną żoną.



ROZDZIAŁ II.

W NEAPOLU I SORRENTO.

Hotel Vittoria. Widok z balkonu. Życie na ulicy Św. Łucyi. »Ciche przy białym księżycu rozmowy«. Tryb życia. Teatr neapolitański. Myśli o przyszłości. I. Te-
raźniejszość. Studya nad Dantem. Pompei i Herkulanum. *Grotta di lazura*. Grób
Wergiliusza. Wspomnienia Maryi Wodzińskiej. Wycieczka na Wezuwiusz. Myśli
o ożenieniu. Wspomnienia Genewy (5 — 22 czerwca). II. Wyjazd do Sorrento.
Rozłączenie z Teofilami. Pragnienie samotności. Życie wiejskie. Młoda gospodyni
i jej serenady. Sielanka w stylu *Elegii Rzymskich* Goethego. Spacer nad brze-
giem morza z panią Suchodolską. Studya nad Szekspirem. »Pisałem trochę«.
Pierwszy objaw zwrotu ku religii. III. Powrót do Neapolu (w końcu lipca).
Psychologiczny zwrot w uczuciach dla Teofilów. Myśl o rozstaniu z nimi. Samo-
tne medytacje na balkonie. »Ścigająca myśl« o Maryi Wodzińskiej. Zenon Brzo-
zowski i Aleksander Hołyński wybierają się w podróż na Wschód. Namawiają
do niej Słowackiego. Trzy tygodnie wahania. Wpływ Biblii na powzięcie sta-
nowczej decyzji. Pożegnanie Neapolu. Pierwsza pieśń *Podróży na Wschód*.
Uczucia przed wyjazdem. Ostatni obiad z Teofilami. List do matki. Początek
dziennika. Wyjazd z Neapolu (24 sierpnia 1836 r.)

W Neapolu zamieszkali w hotelu *Vittoria* przy *Via Santa Lucia del mare* Nr. 28, nad samem morzem: Teofi-
lowie w jednym, Słowacki, obok nich, w sąsiednim pokoju. Mieszkanie to bardzo się podobało poecie, raz dla przepy-
sznego widoku, jaki miał z okna, a powtóre, że okno to
zarówno w jego, jak i Filów pokoju, wychodziło na nie-
wielki balkonik żelazny w stylu *rococo*, balkonik, którym
architekt »tkanki podrzeźniał pajęczce«, a na którym siedząc,
doznawałeś złudzenia, że balkon ten »drży nad falami
morskimi«. W pobliżu bowiem, o kilkanaście kroków od
hotelu, za »rybackich sklepów złotym wiankiem«, po dru-
giej stronie ulicy, błękitniała zatoka, ta ze wszystkich za-
tok na świecie najpiękniejsza, nabijana światłem sło-
necznem, upstrzona białymi i brązowymi żagielkami łodzi

łacińskich, zjeżona w porcie obok latarni morskiej smukłemi masztami okrętów, okolona amfiteatralnym półkregiem jasnych domów nadbrzeżnych, stojących wzdłuż t. zw. *Chiai*, czyli głównej ulicy w Neapolu, uwieńczona w górze wielkim zamkiem królewskim Castello dell'Ovo i zakończona »ogromną mogiłą czarnych popiołów«, Wezuwiuszem, który, stojąc na straży z boku zatoki, plamił przeczyste szafirowe sklepienie nieba — nieba włoskiego — brunatnym pióropuszem dymu. Wszystko to, skąpane w oślepiających blaskach promieni słonecznych i wyglądające wtedy, dzięki żywoci swego kolorytu, »jak bańka z mydła, wypuszczona przez jakiego trytona«, a jako pejzaż nie mające nic równego sobie, służyło za malownicze tło całemu szeregowi scen rodzajowych ulicznych, które, wysunięte na pierwszy plan, jeżeli się je obserwowało z balkonu Słowackiego — wszystkie bowiem rozgrywały się pod oknami hotelu Vittoria — o ile z jednej strony oszałamiały i denerwowały swoją hałaśliwością (już to wogóle hałaśliwość cechuje Neapol), o tyle z drugiej bawiły i interesowały widza, swoją werwą, swoją różnaitością, swoim kolorytem i tą, prawdziwie neapolitańską wesołością. Rano, ponieważ ulica Św. Łucyi jest stanowiskiem marynarzy i lazarónów (co za typy przepyszne!) widzieli ich jak śniadają, jak oblegając stragany z ostrygami, makaronem i *frutti di mare*, targując się z przekupniami, hałasując przytem, gestykulując i wrzeszcząc, jak gdyby się paliło; o południu wygrzewał się ten »Dyogenesów lud« w słońcu, hołdując swej ulubionej zasadzie *dolce far niente*; wieczorem zaś, nieraz do późnej nocy, krążył koło butelki, baraszkował, grał w kości, śpiewał pieśń o świętej Łucyi, tańczył przy harmonijce, zalecał się do dziewcząt, jednym słowem nie zapominał o horacyuszowskim *Carpe diem*. Za nimi tymczasem, w głębi, z za ciemnej sylwety Wezuwiusza wschodził biały księżyc, rzucając na zatokę srebrzyste pęki światła. Krater wulkanu ział krwawym słupem ognistym, który, wraz z promieniami miesiąca, także odbijał się w morzu. Na wodzie, nabijanej pasowemi i seledynowemi refleksami, płonęły ognie rybackie, jaskrawo oświecając trójkątne żagle łodzi. Od strony Neapolu, wzdłuż brzegu, na Chia i Margelinie, zkład, przytłumiony oddaleniem dochodził monotonny turkot powozów, widziałeś długi, gęsty różaniec latarni gazowych, podobny do różowych paciorków. Nad nimi, jak słońce pośrodku gwiazd, królował rześisty płomień latarni morskiej, co chwila zmieniający kolory: raz czerwony, jak rubin, raz zielony, jak szmaragd, raz niebieski, jak szafir, a raz znowu, jak opal, żółty. W powietrzu, po-

dobne do błyskawic czarnych, fruwały nietoperze, a na ziemi, »jakby gwiazdeczek jakich nowych plemię«, świeciły *luciole*.

»Czarowny widok, czarowne wieczory«, mawiał o takich chwilach Słowacki do siedzącego z nim na balkonie Teofila; i nie mieli dość słów na wyrażenie zachwyty swojego dla Neapolu.

Podobne *siesty*, podobne »ciche przy białym księżycu rozmowy« balkonowe, z cygarem w ustach i spokojem w duszy, miały zarówno w poecie, jak i w jego wuju, ogromnych zwolenników. Januszeńskiego zachwycał »zgiełk ludzi i tęcza, w jaką się ludzkie wiązały kolory nad błękitnawem morzem«; Słowacki znów, zamyślony, patrzył na Wezuwiusz,

aż po lawy ścianie
Drący się księżyc wejdzie, na kraterze stanie
I ztamtąd białe czoło obróci do świata;

i tak, na cichej pogawędce, raz po raz głuszonej gwarem ulicznym, dochodzącym z dołu, gwarem jednostajnym, ani na chwilę nie ustającym, a którego jedynym urozmaicheniem były »siarczaną wodą z hukiem wystrzelone korki«, schodziły im niekiedy całe długie wieczory. Za nimi, dla braku miejsca na balkonie, siedzieli we drzwiach Gajowie, pani Hersylia, Zenon Brzozowski, Hołyński, a czasem także i państwo Suchodolscy (choć wtedy Słowackiego bardziej, aniżeli błękit zatoki Neapolitańskiej, przyciągały do siebie magnetycznie »błękitne oczy« pani Suchodolskiej). Często także, jeśli pogoda sprzyjała, wybierano się na spacer, na ludną promenadę, gdzie »rój mrówek lezie i rząd karet płynie« i gdzie wmieszani w »falę ludu, co z sobą po ulicach niosła osoby, *granem* widok płacące i krzesła«; i widokiem tym napawali oczy tak długo, dopóki im się to nie uprzykrzyło w końcu. Skoro się uprzykrzyło — a najwcześniej doznawał zawsze przesytu tego Słowacki — wracano do domu, na balkon, albo decydowano się pójść do teatru, na którym bywano dosyć często, (poprostu dla zabicia czasu, bo ani opery miejscowe, ani komedye nie stały na wysokości rzymskich chociażby, nie mówiąc już o paryskich i drezdeńskich). Słowackiego zaś, dziwna rzecz, nawet teatr nie bawił. »Bywam tu na różnych teatrach — pisał o tem do matki — na które mię najczęściej ciągną moi znajomi«. A więc trzeba go aż było wyciągać! »Opery tutejsze złe i nie bawią mię; komedya jeszcze gorsza, nudzi mnie«. Raz tylko, powiada, zabawił się dobrze w teatryku St. Carlino, gdzie przedstawiają małe sztuczki ludu neapo-

litańskiego w dyalekcie neapolitańskim. »Z teatru tego można poznać obyczaje ludności miejscowej«, i dlatego interesowały go przedstawienia tu dawane więcej, aniżeli jakiegokolwiek inne. Zwłaszcza, że uczęszczało na nie oprócz pospólstwa, zajmującego parter i wyższe piętra, także i dobre towarzystwo: dużo cudzoziemców zwłaszcza. »Wszystko się śmieje, skoro się kurtyna podniesie. Nie zawsze jednak można trafić na dobrą sztuczkę. Prześmiawszy się czasem nad miarę, smutniejszy jestem potem, kiedy myślę o tej biednej mojej przyszłości«.

I.

Tymczasem teraźniejszość nie przedstawiała się najgorzej. Czas upływał dość jednostajnie wprawdzie, ale przyjemnie. Ponieważ w Neapolu — zdaniem Słowackiego — mało jest rzeczy do widzenia i wystarcza »poznać ogólnie fizyognomię tej stolicy«, a upały coraz bardziej dawać się zaczynały we znaki, większą część dnia przepędzano w mieszkaniu, przy zapuszczonych żaluzjach, w chłodnej — względnie — atmosferze pokojowej. Każdy wtedy zajmował się czem mógł.

Słowacki studyował Dantego. Właśnie udało mu się dostać niedawno nowe wydanie arcydzieła Alighierowego z komentarzami. Komentarze te, jak się o nich dowcipnie wyraził w swojej *Podróży na Wschód*, dopatrywały się w *Boskiej Komedii* mnóstwa rzeczy, o których można być pewnym, że się nie śniło autorowi.

Wolę piekło Danta:
Właśnie je czytam podług nowych kluczy,
Które przyczyną może będą schizmu;
Mówiąc, że Dant chciał republikanizmu
I w poemacie używał języka
Sekretnych związków. A gily tajemnicze
Kładł *majuskule*, to podług krytyka
Na końcu rymu położone B. I. C. E.
Wcale znaczyło co innego w pieśni,
Niż Beatrice.

W dni chłodniejsze robiono wycieczki w okolice: do Pompei i Herkulanum, które, rzecz dziwna, najmniejszego na Słowackim nie zrobiły wrażenia; na Wezuwiusz, z kądem oglądano wschód słońca; do klasztoru Tre, do Sorrento, na wyspę Capri, do Portici, do grobu Wergiliusza, do słynnej *grota di lasura*, »gdzie światło wpada, jak

z dziurki od klucza« i do której przez tę właśnie dziurkę od klucza wpływa się łódka wraz z przypiływem morskim.

Grób Wergiliusza był ulubionym celem samotnych spacerów Słowackiego. Chociaż nie lubił *Eneidy*, to jednak ten grobowiec wielkiego poety starożytnego, ocieniony konarami klasycznego lauru, miał dla niego jakiś urok poetyczny. Zachodził też tutaj — z Dantem pod pachą — bardzo często i, siadając »w cieniu wirgilowego lauru« czytał, podziwiał piękność krajobrazu, (bo znikąd Neapol i zatoka nie wyglądają tak pięknie, jak ztąd), a najczęściej ani czytał, ani patrzył przed siebie, tylko marzył.

Już to wogóle marzenia grały w jego życiu neapolitańskim bodaj czy nie najważniejszą rolę. Często, kiedy Teofilowie prowadzili się »jak para gołąbków« na miasto, na muzykę, a Gajostwo szli, jak druga para gruchających gołąbków, skupować lawy, szyldkrety i obrazki, on pozostawał w domu, sam jeden, na balkonie i »przemarzał« cały wieczór, siedząc w krześle, »jak śpiący«, przypatrując się różom w wazonie (bo był na ganku róży wazon), paląc fajkę i, jak powiada, pławiąc różne obrazy na błękitnym dymie tytoniu. Różne obrazy! Jakież? On sam nie widział ich jasno, albowiem były to tylko senne przypomnienia, przypomnienia chwil błogich, świetlanych, a które go tu na każdym prześladowały kroku, wszędzie przywodząc mu na myśl owe ciche, promienne i saczęśliwe dni genewskie, jedyne szczęśliwe, jakie miał w życiu. Gdziekolwiek poszedł, na cokolwiek patrzył, wszędzie i zawsze stawała przed nim ta przeszłość niedaleka, a niepowrotna, przeszłość, która teraz o tyle wydawała mu się piękniejszą, że ją widział przez tęczyowy pryzmat wspomnienia, które jest, jak wiadomo, największym artystą i poetą, bo odrzuca wszystko, co brzydkie i przykre, a zachowuje to tylko, co piękne, wzniosłe, dobre, słowem, dodatnie. Patrząc na zatokę i Neapol, mimowoli, przymrużywszy oczy, widział owym wewnętrznym wzrokiem duszy... jezioro genewskie, tak samo, jak ta zatoka, błękitne i modre. Wezuwiusz kazał mu myśleć o śnieżnej kopule Mont-Blanc, którą z okien swojego mieszkania w Paquis widział tak samo po prawej stronie, jak tutaj ten »ponury kurhan popiołów«. Księżyc, wschodzący nad Wezuwiuszem, uprzytomniał mu owe ciche wieczory szwajcarskie, kiedy to, otworzywszy okno i stanąwszy w niem, wsparty o framugę, oczekiwał wschodu księżyca, mającego się wychylić niebawem z poza góry Mont-Blanc. Tylko, że tu wszystko wrzało dookoła, jak w ulu, kiedy tam niezamacona niczem panowała cisza. Ach, ta cisza! Jakże mu było tu za nią tęskno! A nie

znajdował jej nigdzie. Chyba na szczycie Wezywiusza. Chociaż i tam nie miał spokoju, bo nawet i ta wycieczka w nocy, z pochodniami, po drodze pełnej lawy, tyle tylko posiadała dlań uroku, o ile mu przypominała ów »wojaż« po Alpach z Wodzińskimi. Na połowie drogi, kiedy się zatrzymali wreszcie przed małym domkiem pustelnika, gdzie mieli przenocować, (a było ich czterech, oprócz przewodników: Teofil, Gaj, Wański i on), nie dawały mu spać wspomnienia owego noclegu z całą rodziną Wodzińskich, i z Maryą! w klasztorze na górze Św. Bernarda. Pustelnik, częstujący ich chlebem, serem i winem *Lacrima Christi*, zdawał mu się mieć pewne podobieństwo z owymi zakonnikami szwajcarskimi, tak uprzejmymi dla dam i tak swobodnymi w obejściu z niemi... Kiedy im podano książkę podróży, nad którą, przeglądając różne podpisy, większą część nocy spędził bezsennie, przypomniało mu się, że i tam na górze Św. Bernarda, przeglądał taką samą książkę z podpisami podróży, tylko, że tamtą przeglądał razem z Maryą. Później, kiedy o świcie, zdrzemnąwszy się trochę, puścił się z towarzyszami w dalszą drogę na szczyt krateru, ażeby ztamtąd zobaczyć wschód słońca, myślał przez cały czas o tem, jak się rok temu w podobny sposób — tylko że nie po osypującym się popiele — wdierał na górę Righi nad jeziorem Czterech kantonów. Skoro stanęli na szczycie, nad ogromną przepaścią krateru, gdzie ciepłe powietrze wydobywa się z ziemi, jak z pieca, a stąpa się po gorących jeszcze żuźlach, czerwonych jak węgle albo złotym kolorem siarki umalowanych, i kiedy nad tym prawdziwie piekielnym obrazem wzeszło wspaniałe słońce, on, lubo oczarowany pięknnością tego widoku, przypatrywał mu się roztargniony, więcej bowiem, aniżeli o tym, myślał o innym wschodzie słońca, na Rhigi Kulm i na górze Faulhorn, i mimowoli zadawał sobie pytanie: czy go też ta gwiazda, tak często zastająca go na szczytach gór i tylokrotnie witająca pierwszego na ziemi, czy go ta gwiazda już zna trochę z twarzy? A obok takich pytań, przyzna każdy, że dziwacznych, przychodziły mu do głowy i różne inne jeszcze, niemniej dziwaczne myśli. Oto naprzykład; »czy nie byłoby cudem wielkim przyrodzenia, gdyby trumny złych ludzi, zakopane w ziemi, przerzynały się przez nią, jak strumienie, i padały podziemnymi drogami do żaru wulkanicznego. Gdyby się tak działo od stworzenia świata, jużby się ludzie z tem tak oswoili, jak z płynieniem rzek, z kwitnieniem drzew i z lataniem ptaków«. Następnie, kiedy świeżym porankiem poczęli schodzić na dół, i kiedy się powtórnie zatrzymali przed całą śpiącego jeszcze pustelnika,

cela ta, ocieniona lipami wydała mu się tak piękną i cichą, że sam zamieszkałby w niej chętnie. »Bo właściwie, myślał sobie, siedząc niemy i zamyślony na ławce kamiennej przed domkiem i patrząc na morze i na Neapol (co mu znowu przypominało widok z góry Righi na jezioro Czterech kantonów i Lucernę, na które patrzył razem z całą rodziną Wodzińskich), bo właściwie, to zamiast domku małego, gdzie mieszka pustelnik, obdzierający podróżnych, ludzie powinni by zbudować klasztor dla ludzi smutnych, jak ja. Niechby ztąd drugi wulkan modlitw leciał pod błękitne niebo«. Możeby też wówczas ziściło się to, o czym raz rozmawiał w Genewie z panną Wodzińską, mianowicie: że przyszedłby tu kiedyś odbyć spowiedź przed pewnym mnichem-kartuzem, którymby był nie kto inny, tylko on. Jakże im dobrze było wtedy, kiedy takie prowadzili rozmowy, kiedy on, tak zawsze lękający się o tę przyszłość, dowodził jej, że nie jemu sądzone takim »kartuzowem wspomnieniem zdobyć liliowej duszy dla aniołów«, ponieważ gotów je bardzo łatwo wybić pannie z romansowej główki — jaki pan podkomorzyc w krainie Lachów, dobrze opatrzonej w szlachetną układność, talenta, wąsy, podkówki i ostrogi. Kto wie, czy przewidywania jego nie sprawdzą się prędzej, aniżeli przypuszczali wtedy oboje? Kto wie? Jakieś fatalne pod tym względem przeczucia nie dawały mu już spokoju oddawna. Nikt zaś, tyle co on, nie miał prawa wierzyć w przeczucia, zwłaszcza własne. Tyle razy miał się sposobność przekonać o ich prawdomówności, szczególnie, kiedy zapowiadały jakieś nieszczęście.

A nieszczęściem byłaby dla niego dziś jakakolwiek niepomysłna wiadomość o Maryi, której czar trwał nad nim ciągle i której widmo senne, jak cień, szło za nim, morzem i lądem, na szczyty wulkanów i szczyty wierz kościelnych, nocą i rankiem, o każdej godzinie dnia. Ta myśl szalona, która mu niegdyś, w chwili uniesienia, powstała w głowie, myśl, że mógłby się z Maryą połączyć doznaniem węży, prześladowała go sobą aż dotąd, ośwładnęła nim zaś tak silnie, że nie umiał się z nią ukryć nawet przed matką, do której pisząc teraz z Neapolu, przyznał się otwarcie, że byłoby mu tutaj zupełnie dobrze, gdyby nie uczuwał wciąż braku jakiej podpórki. »Podpórka nazywa się u mnie... trudno mi to wytłumaczyć: jestto coś, co mię kocha, coś, co mię broni od myśli, że jestem samotny na świecie, jakaś postać, co mi patrzy ze łzami w myślące czoło i oczy. Kiedy patrzę na Wezuwiusz i na białe domki u stóp jego nad morzem, myślę, czy nie można by w jednym z tych domków szczęśliwie pędzić życie?

Trzebaby tylko z trzykroć majątku! Wtenczas ty, moja droga, miałabyś mieszkanie z ogródkiem pełnym róż, tulipanów i anemonów, ja miałbym także cichą i żaluzjami zielonemi zasłonią pracownię, łódkę z białym żagielkiem na morzu, konia, a potem może miłą i dobrą żonę, różowe dzieci, a potem niechby choć popiół przysypał nasze grobowce!« Ten obraz i to pożądanie szczęścia rodzinnego tak dalece zaprzętały mu umysł, że nawet podczas swych rozmów wieczornych na balkonie z Teofilami, mówił z nimi o tem otwarcie. A gdy był sam, kiedy np. wynajawszy łódkę, pływał nią po zatoce — co mu znowu przypominało owe samotne przejażdżki czółnem w dni jesienne po jeziorze Genewskiem — i kiedy, oddalwszy się znacznie od brzegu, tak, iż wszystkie domy Neapolu robiły zdaleka wrażenie piany morskiej, leżącej na brzegu, zawsze roło mu się jedno, mianowicie: żeby z tej białej piany »wyszła jaka idealna Wenus i przejrzała się w tem wielkiem zwierciadle błękitu«. Ale, niestety, wszystko to były tylko marzenia, o których urzeczywistnieniu nawet marzyć nie było mu wolno. Nie dziw więc, że wobec tego widziano go smutnym najczęściej i apatycznym, i na mnóstwo rzeczy obojętnym, które zdawało się, że powinny go sobą interesować. Oto, niedaleko szukając, kiedy byli w Pompei i Herkulanum, nad których pięknością unosili się wszyscy (a między innymi i szambelan Skibicki, który także po jakimś czasie przyjechał z Rzymu do Neapolu, i który wraz z żoną również przyłączył się do towarzystwa Filów), on chodził po tych, przed wiekami brukowanych uliczkach, pomiędzy temi grobowcami z dwóch stron i temi domkami bez dachów i sufitów, jak po spalonej wiosce, z cygarem w ustach, niezdolny do zachwytów, a skory do złośliwych uwag i obserwacji. Ściany domów ze szczątkami malowideł czerwonych wydawały mu się podobne do uróżowanych kobiet; o świątyni Izydy, słynnej ze swych wyroczni, wyraził się, że ledwieby na małych dzieciach uczyniła wrażenie strachu; małym cyrkiem teatralnym, w całości odkopanym, rozczarował się także, nie znalazł w nim bowiem, czego się spodziewał: przy jego kolumnach nie stoją zaschłe trupy aktorów, jak mu opowiadano, ani po schodach siedzą spaleni na węgiel słuchacze. Słynny dom poety, położony tuż obok domu rozpusty, gdzie mu usługny *cicerone*, zaprowadziwszy go do najtajniejszych zakamarków, pokazywał różne bezwstydne i rozwiązłe obrazki, rozbudził w nim tylko uczucie obrzydzenia: słowem, innemi na wszystko patrzył oczyma, aniżeli myślał, że patrzeć będzie, kiedy opuszczał Genewę. Dziwna rzecz! Skoro wyjeżdżał

ze Szwajcaryi, wyjeżdżał z takim lekkim sercem, z taką nieklamana radością w duszy, że wyjeżdża, że pali za sobą wszystkie mosty, łączące go z Paquis i z Eglantyną, której miłość już go męczyła tylko; a teraz, kiedy otrzymał list od niej (a pisywała często), uważał sobie dzień taki za szczęśliwy. Wspomnienie Genewy i cichego domku w Paquis szczególnego zaczęło dla niego nabierać obecnie uroku: poprostu tęsknił za niem i dałby wiele, żeby znów mógł powrócić do tego anhelicznego życia, które tak kojąco (jak mu się zdawało dzisiaj) oddziaływało na jego smutną duszę. »Myśl moja, pisał o tem swoim uczuciu do matki, która przez trzyletnią spokojność przywykła do wewnętrznego i ciągłego życia, tutaj gniewa się na mnie, że ją widokiem różnokolorowym ciągle zatrudniam i męczę«. Dlatego, pomimo, iż zachwycony był Neapolem i pomimo, że mu dobrze tu było z Teofilami, postanowił rozstać się z nimi na jaki miesiąc i wyjechać na cichsze mieszkanie do Sorrento. Potrzebował przeżyć choć kilka tylko tygodni między drzewami, daleki od tego zgiełku brukowego, od tego hałasu, od tego nieustającego turkotu powozów, od tego ciągłego ruchu i rozgardyaszu, który o ile z początku bawi, o tyle w końcu nietylko nudzić, ale i denerwować zaczyna.

II.

Jakoż dnia 22 czerwca, w towarzystwie Filów, którzy nazajutrz powrócili do Neapolu, ażeby tam zabawić przez lipiec i sierpień aż do pierwszych dni września, oraz w towarzystwie Suchodolskich, którzy zamierzali dłuższy czas przemieszkać wśród ceglanych skał Sorrento (ponieważ mąż pięknej pani Suchodolskiej chciał wykończyć kilka pejzaży), wybrał się Słowacki do Sorrento, pożegnawszy ulicę Św. Łucyi i swój balkonik na cały miesiąc przynajmniej. O wcześniejszym powrocie nawet myśleć nie chciał, tembardziej, iż mu Teofilowie przyrzekli odwiedzać go tam od czasu do czasu.

I dobrze mu było w tem ustroniu. Życie wiejskie, jakie tu pędził, przypominało mu owe dni samotne, przepędzone w Veytoux nad Lemanem i to podobieństwo »dwóch chwil błędnego życia« miało dla niego dziwny powab. Wynalazł sobie niewielki pokoik, z którego nie widział nic prócz gaju cytrynowego i morza. Za morzem we mgle oddalenia błękitniał Wezuwiusz. Gospodyni, od

której mieszkanko to wynajmował, młoda i piękna Włoszka, powzięła do niego wkrótce wielką sympatyę, która się z początku przejawiać zaczęła romantycznymi serenadami na gitarze. Podobało się to Słowackiemu, który, jak wiadomo, lubił kruszyć serca niewieście i patrzeć, jak się miłośnym zapalają ogniem, chętnie więc, »oparty na murze, jak w obrazach włoskich lub flamandzkich«, słuchał tej cichej, melancholijnej muzyki, wiedział bowiem, co przez nią należy rozumieć i czego są te serenady dowodem. I tak się zaczął prędko romans klecić, romans, który, kto wie, czy nie natchnął przyszłemu autorowi *W Szwajcaryi* owej czarownej sceny w grocie lodowej podczas burzy. W każdym razie, czy była »grota posępna i ciemna«, czy była »trwoga w ciemności tajemna«, a przytem »razem niepamięć jakaś boskiej kary« i czy ich tam istotnie, jak Don Juana i Haideę, dzień szary »zastał z twarzą ognistą przy twarzy«, co wszystko pod lazurowem niebem Italii nie należy do nieprawdopodobieństw (przykładem Goethe i jego romans z bohaterką *Elegii Rzymskich*), jedna rzecz nie ulega wątpliwości, że były w romansie tym »księżycowzdychania«; że »młoda gospodyni« Słowackiego nietylko mu dawała serenady, ale go uczyła także czytać po włosku, co jest zawsze z niemalym dla kobiety połączone niebezpieczeństwem, jak nas o tem naucza smutna historia Franczeski di Rimini; że oprócz tego starała się wmówić weń, iż lepszą od *Ojciec-nasz* modlitwą są wieczorne spacerery pod rękę, przy świetle księżyca, etc. Jak się skończyła ta idylla? Prawdopodobnie, jak wszystkie tego rodzaju sielanki: rozłączeniem i zapomnieniem.

Nieinaczej też, zdaje się, zakończyła się znajomość poety z piękną panią Suchodolską, z którą także lubił (to znaczy, że i ona lubiła z nim) podczas, kiedy mąż jej malował pejzaże, spacerować nad brzegiem morza, a której oczy błękitne w rok już po wyjeździe z Sorrento »bardzo słabo« pamiętał.

Nie tak się rzecz miała z czarnemi oczyma panny Wodzińskiej, o których nie mógł zapomnieć i których spojrzenie ścigać go nie przestało i tu pomiędzy skałami w Sorrento. Jakże często myślał o nich, chodząc o zachodzie słońca nad morzem i słuchając powiewu wiatru, który wiejąc przez cały dzień od morza na ziemię, w godzinę zachodu obracał się nagle i, unosząc z sobą zapach drzew cytrynowych, gonił za słońcem, na bezmiary wód!

Pozatem upływał mu czas na czytaniu Szekspira, na przechadzkach po górach, na których spotykał zawsze mnóstwo »oryginalnych figur Niemców i Anglików, którzy,

przyrośli na grzbietach osłów, jak Centaury mitologiczne, zachwycali się widokami Sorrento«; rano chodził kąpać się w morzu, w ciągu dnia zaś, kiedy słońce na dworze dogrzewało zbyt silnie, zamykał się w swoim pokoiku i próbował pisać trochę. Jakoż pisał trochę zapewne *Walcława*, choć niewiele, upał bowiem działał mu paraliżująco na imaginację. To też nie przymuszał się bardzo do pracy, wiedząc, że to, co w takich warunkach powstanie, później go nie zadowolni, i wolał marzyć godzinami całemi i myśleć, a niekiedy, jeżeli grające w pobliskim kościele organy dochodziły do jego cichej celi, modlić się.

III.

W ten sposób upłynął mu w Sorrento cały miesiąc. Zabawiłby tu może dłużej jeszcze — do czego nawet zaczęto go bardzo podczas owych lepszych niżeli *nasz* księżyczko-wzdychań — ale zbliżał się dzień wyjazdu Teofilów, wypadało więc ostatnie parę tygodni spędzić razem z nimi. Kto wie, kiedy zobaczą się znowu? W tym celu powrócił w końcu listopada do Neapolu (»trochę smutniejszy niż przedtem«, jak powiada w liście do matki), zamieszkał w tym samym pokoiku, co dawniej, z tym samym balkonem, i odtąd nie rozłączał się z wujowstwem ani na chwilę prawie. Odprowadziłby ich chętnie aż do Florencyi, gdzie i tak miał zamiar udać się na zimę, ale stawał temu w tej chwili na przeszkodzie brak funduszków, argument, wobec którego umilknąć musiały wszelkie zachcenia.

Ta myśl o mającem wkrótce nastąpić rozstaniu z Januszewskimi, którzy, szczęśliwi! wracali do kraju, w strony rodzinne, ażeby tam pędzić znów życie spokojne pomiędzy swoimi, kiedy on, sam jeden zawsze, nad morzem albo gdzieindziej w jakiej obcej miejscowości przebyć musi tak długie jeszcze lata, w wiecznej niespokojności o matkę, w wiecznej niepewności o przyszłość, myśl ta szczerem przejmowała go smutkiem i sam już nie wiedział, jak powiada, czego żądać na świecie, na tym tu biednym świecie, gdzie wszystko się kończy i wszystko się krzyżuje, jak te łódki, które widział na morzu, płynące różnemi drogami. Pod wpływem tego uczucia łgnął teraz do Teofilów więcej, niż kiedykolwiek. Rozmowy ich mimowolnie stawały się dłuższemi, ponieważ rozmawiano o domu, o najbliższych. I zdarzało się, że nieraz i północ zastawała ich tak gwa-

rzających na balkonie. Teofilowie widząc, że Julek się do nich nawrócił ostatecznie, że żał jego na myśl o rozstaniu się z nimi istotnie płynie z serca, że mu rzeczywiście bliskość pożegnania boleśnie uczuwać się daje, powzięli dla niego także więcej nierównie sympatyj, aniżeli z początku; Teofil zaniechał owego »mentorskiego tonu«, który lubił przybierać dawniej; Hersylka nabrała przekonania, że jednak z tego Julka poczciwy chłopiec, o czym już wątpiła czasami, zwłaszcza w Rzymie, kiedy go tak z równowagi wytrącało »słuchanie wujowskich nauk«; jednym słowem, o ile w początkach nie brak było w stosunkach pomiędzy nimi przykrych niekiedy dysonansów, o tyle teraz, kiedy się przychodziło rozjeżdżać, dziwnie harmonizowali ze sobą. Oni mu opowiadali o matce, o dziadku, o życiu jej, jakie prowadzi w Krzemieńcu, o jej stosunkach towarzyskich, o różnych osobach, które bywają u niej; on zaś, milczący i posepny, słuchał tego wszystkiego ze spuszczoną głową, »jak człowiek, który stara się każde słowo głęboko wryć w pamięć, bo wie, że ma znów zostać na długo sam ze wspomnieniami«. Często, kiedy wujowstwo, znużeni w końcu, udali się na spoczynek do siebie, on, podniecony rozmową z nimi, nie czując najmniejszej potrzeby snu, zamiast pójść za ich przykładem, przesiadywał jeszcze parę godzin na balkonie, patrząc, zamyślony, przed siebie i marząc. O czym? Najwięcej o owych latach, spędzonych w Genewie, które mu regularnie co dwa tygodnie przypominały listy Eglantyny, i o owych dniach szczęścia, które miał do zawdzięczenia pannie Wodzińskiej. Którejś nocy, kiedy tak siedział pogrążony w medytacjach na ganku, doszły go najprzód od strony morza wesole dźwięki muzyki, poczem ujrzał na wodzie wielki, obwieszony mnóstwem różnokolorowych lampionów »bat« pełny ludzi, głośny od rozmów, śmiechów, śpiewów, a co chwila oblany zielonością ogni bengalskich, czerwonych lub zielonych. Było to towarzystwo, zaproszone na wieczór do jednego z bogatych cudzoziemców, który taką przejażdżkę gościom swoim urządził po kolacyi. Za statkiem tym, rzęsiście oświetlonym, płynęło kilka ciemnych łodzi, na których ulokowała się reszta towarzystwa — najszczęśliwsi! »Bo ileż to ściśnień dłoni (pomyślał sobie poeta, kiedy cały ten korowód weselny przepływał pod jego oknem), ile rumieńców noc pokrywa, a ten księżyc niepełny, wschodzący nad Wezuwiuszem nie zdradza światłem bładem ukradzionego szczęścia«. I przypomniała mu się owa wycieczka z Wodzińskimi na drugi brzeg Lemanu, na obiad wiejski, i ów powrót ztamtąd wieczorem, czólnami, przy boku panny Maryi. Jakże się czuł wtedy szczęśliwy!

I jakże różną wydała mu się teraz ta przeszłość w porównaniu z chwilą obecną. Dzisiaj wolno mu co najwyżej patrzeć z daleka z balkonu — jak z łoży teatralnej — jak drudzy się bawia, jak, korzystając z ciemności, zamieniają wymowne uściśnienia dłoni, których nikt nie widzi i których się on jeden tylko domyśla, kiedy wówczas on sam był aktorem i sam pił z tej upajającej krynicy »ukradzionego szczęścia!« *Tempora mutantur*.

A jednak, gdyby mniej pamięci bólu,
Zachceń i marzeń, a więcej rozsądku,

toby mu może dobrze było w Neapolu: nie omdlewałby tak »z romantycznych cierpień«, jak omdlewał, aniby był tak »smutny życia nicością«, która mu wszędzie pokazywała pustynię, mówiąc: »tam ci lepiej będzie«. Wówczas też, kto wie, czyby mu tak trafiały do przekonania pokusy Zenona Brzozowskiego i Aleksandra Hołyńskiego, którzy, wybierając się w tych czasach w podróż do Ziemi Świętej przez Grecję i Egipt, namawiali go gwałtem, ażeby jechał razem z nimi. To go rozerwie — mówili — to mu da możliwość uciec nie tylko przed mrozami grudnia, ale i przed tą »ścigającą myślą«, od której się, jak powiada, uwolnić nie może; oni zaś ze swej strony zrobią wszystko, co będzie w ich mocy, ażeby mu możliwość zdecydowania się ułatwić. Nie ma odpowiednich na przedsięwzięcie takie funduszów? To jeszcze szkopuł najmniejszy: jeżeli się tylko zgodzi na przyjęcie pożyczki, to Zenon Brzozowski służyć mu nią będzie natychmiast. Tysiąc rubli może mu zakredytować choćby zaraz. Tak, — odpowiadał im na to Słowacki — pożyczyc łatwo, ale oddać? Nie, nie, stanowczo nie pojedzie. Niech jadą sami, a jego nie kuszą niepotrzebnie! On nie może sobie pozwalać na takie zbytkowne wojaże! Przyznaje, że podróż taką, zwłaszcza w tak miłym, jak ich towarzystwie, odbyłby bardzo chętnie. Nieraz nawet w snach dzieciennych marzył o niej razem z Ludwikiem Spitznaglem i Olesiem Chodźką, ale to jeszcze nie powód, ażeby marzenie to miało się zaraz przeobrazić w rzeczywistość. Z tylu marzeń już zrezygnował w życiu, że zrezygnowanie z tego, będzie tylko jednym więcej. Projekt mimo to uśmiechał mu się bardzo i dałby wiele, ażeby mógł z propozycji Brzozowskiego i Hołyńskiego skorzystać. Filowie, kiedy im o tych planach powiedział, odradzali mu je stanowczo. Uznawał w zupełności całą słuszność ich rozumowania, a jednak chętnie podawał ucha namowom Brzozowskiego.

Na takim wahaniu się zeszło mu trzy tygodnie. Nad-

chodził koniec sierpnia. Termin wyjazdu zbliżał się z dniem każdym. Stało się nawet tak, że Hołyński pojechał naprzód do Aleksandryi, gdzie się miał spotkać z bratem swoim, Stefanem, i dokąd po upływie jakich dziesięciu dni miał wypłynąć z Neapolu Brzozowski. Czy wypłynie sam, czy też w towarzystwie Słowackiego, o tem jeszcze żaden z nich nic dziś pewnego nie wiedział. Nareszcie przyszedł czas i na Brzozowskiego. Ten, będąc już gotowym do drogi, nie omieszkiał raz jeszcze powtórzyć swej propozycji Słowackiemu. Słowacki nie wiedział: jechać czy nie jechać? Wobec odradzań Teofilów, namów i przyrzekań Brzozowskiego i własnej niemożności zdecydowania się, postanowił — w ostatniej prawie chwili — zdać wszystko na los szczęścia, podobnie, jak na decyzję Szczęsnego Kossakowskiego, czy trzymać z ojcem, czy nie, miało wpłynąć *tak*, albo *nie* oberwanej przez Amelię margerytki. W tym celu, ponieważ wpadła mu właśnie pod rękę leżąca na stole Biblia, otworzył ją na chybi trafi, z mocnem postanowieniem, że zrobi, jak mu ta książka poradzi, i o dziwo! pierwsze zdanie, na którem oczy jego spoczęły, było: »Kościoły azyatyckie pozdrawiają was«. Wobec tego nie namyślał się już ani chwili dłużej, tylko zaczął pakować rzeczy.

Dla wyobraźni jego poetyckiej był wyjazd ten pod każdym względem nadzwyczaj pożądany: najlepszy dowód, że od pierwszej chwili, kiedy był pewny, że jedzie, poczęło mu się palić w głowie od różnego rodzaju rymów, obrazów; z góry już widział siebie na ruinach starożytnej Helady, na piramidach, u grobu Chrystusowego, na równinach Maratonu, Salaminy i Troi, gdzie walczyli Milcyades i Temistokles, gdzie Hektor żegnał się z Andromaką, a Achilles opłakiwał zgon Patrokla; a że nie mógł o tem myśleć bez wzruszenia, bez uczucia radości w piersiach, więc nie upłynęło dwadzieścia cztery godziny, kiedy mu — nad grobem Wergiliusza — przyszedł pomysł pisania wierszem dziennika z tej podróży (Lamartine opisał swoje przygody z podróży na Wschód także w formie dziennika), dziennika, w którymby się znalazły opowiedziane wszystkie jakich doznał przygody, opisy natury, miejsc, przepraw morzem i lądem, na okręcie i na wielbłądzie, sylwetki spotykanych ludzi etc., a wszystko kreślone bezpośrednio po odebraniu wrażenia, pisane zaś lekko, zgrabnie, stylem brylantowym, fajerwerkowym, aryostycznie, o ile możliwości stylem byronowskiego *Don Juana*, z tą różnicą, że obok tego stylu *à la Don Juan* znalazło się dość miejsca i na melancholijny styl *Childe Harolda*. Pomysł ten wydał się poecie tak dalece szczęśliwym, że nie tracąc czasu — jak się

zdaje — i korzystając z samotności, która mogła w tej chwili być jedyną jego towarzyszką przy mogile śpiewaka *Eneidy*, zaczął kreślić — ołówkiem — początek poematu, początek, który tak samo, jak *Childe Harold* Byrona, miał się zaczynać od klasycznej inwokacji do Muzy. Byron zaczął swoje wędrówki od:

O Muzo, którą Grecy wywodzili z nieba itd.

Czemużby więc jemu nie było wolno, myślał sobie, zacząć swojej peregrynacji od takiego np. żartobliwego wezwania:

Muzo, mdlejąca z romantycznych cierpień,
Przybądź i pomóż! Wzywam Ciebie krótko,
Sentymentalna; bo kończy się sierpień,
Bo z końcem sierpnia i koniem i łódką
Puszczam się w drogę przez Pulią, Otranto,
Korfu... Gdzie jadę? powie drugie canto.

Strof w rodzaju tej napisał mu się — według wszelkiego prawdopodobieństwa — odrazu kilkanaście. Tymczasem, o ile się domyślać wolno, słońce poczęło się zwolna chylić ku zachodowi, zatoka z błękitnej stała się fioletową; Neapol cały zarumienił się »skrawymi słońca zachodniego łuny«; w szybach okien zamku królewskiego nad miastem zdawały się płonąć dziesiątki krwawych słońc; a w powietrzu zawisła mgła złota, która owiewając cały krajobraz, czyniła z niego jak gdyby fantastyczne widzenie jakiejś rajskiej, nieziemskiej krainy. Zdaje się, że zachwycony pięknością tego widoku, postanowił go zaraz Słowacki odmalować z natury i przenieść do swego dziennika.

O Neapolu! ty, niepożegnany,
Czekasz, aż Ciebie pożegnam epicznie.
Jak biała Wenus, urodzona z piany,
Wyszedłeś z morza zapłoniony słicznie
Skrawymi słońca zachodniego łuny,
Cichy, pod górą, co ciska pioruny.

O Neapolu! gdzie jest twoja dusza?
Bo duszą twoją nie jest ruch i życie!
Patrzę na ciebie z grobu Wergiliusza.
A tyś na niebie i na fal błękitie
Tak roztopiony w zorzy malowidła,
Jak upuszczona na brzeg bańka z mydła.

O Neapolu! wieczorne wyziewy
Twym są rumieńcem, twe dymy są tęczą,
Harmonizujesz się tak, jako śpiewy
Z ciszą powietrza; twe dzwony nie jęczą,
A twój domami okryty pagórek
Ma białość lekkich na błękicie chmurek.

Tylko po Chiai i po Margelinie
Idą przeciwne sobie dwa rysztołki;
Rój mrówek lezie i rząd karet płynie,
Wszystko się rzuca itd.

Tymczasem — wnosząc z powyższego opisu — złoci-
sty krąg słońca skrył się za morzem; od zachodu powiał
chłodny wietrzyk; w powietrzu zamigotały nietoperze; za-
toka poczerniała; krajobraz poszarzał; płomieniste słońca
w oknach zamku królewskiego pogasły; na Corso poczęto
zapalać latarnie; na niebie błysnęła jedna, druga gwiazda;
aż w końcu, z poza ogromnej mogiły czarnych popiołów
Wezuwiusza, ukazała się srebrna tarcza miesiąca. Pod wra-
żeniem podobnej chwili mógł Słowacki napisać teraz na-
stępujące zwrotki:

Z grobowca wieszczą widzę, jak nad głową
Wulkanu księżyc wysunął się biały,
A u stóp góry Castello dell'Ovo,
Zamek podobny do sterzącej skały,
Gmach, co się trzyma przez królewską wolę
W morzu, jak jaje Kolumba na stole,

Zczerniał przy fali migającej złocie;
A gdy na niebie szafirowem ze dna
Gwiazd zapalonych wychodziły krocie:
I z okien zamku błysła gwiazda jedna,
Czerwona, rubin zamglonych błękitów,
Siostra błyszczących gwiazd — u Karmelitów.

O gladyatory, wydarci ludowi
W godzinę zgonu i mrący na słomie!
Idę powiedzieć o was Chrystusowi
Pod Jego krzyżem, w Jego męki domie;
Idę zapytać głośno w Oliwecie,
Gdzie się zbudzicie i zmartwychwstaniecie?

I tam, gdzie Chrystus zapłakał sam w sobie
Z oliwy bladej gałązki rwać będę,
A jeśli znajdę, że już śpicie w grobie,
Liściami płaczu posypię tę grzędę,
Pod którą będzie cichy sen grobowy:
Kości bez czaszek i trupy bez głowy.

Tymczasem żegnam was! »Niech śmierć będzie z wami!«

Żegnam i ciebie, o garsteczko prochów
Leżąca zawsze pod laurem klasycznym;
Turkot powozów z Pauzylipu lochów
Woła pod tobą hymnem romantycznym,
Że sława przejdzie, a bryki nie przejdą,
Że ta bryk droga jest wieku *Enejdą* etc.

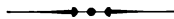
Ale mrok wieczorny gęstniał — jak się zdaje — coraz
bardziej i trzeba było, chcąc nie chcąc, wracać do domu.

Lecz chodźmy w miasto! Już księżyc wysoko
A golf ubrany latarni przepaską...

Te i tym podobne wiersze mogły się snuć Słowackiemu po głowie, kiedy zaczął schodzić z góry. Myśl bowiem, raz nabrawszy rozpędu, mogła wciąż biedz niewstrzymana dalej, coraz nowemi niepokojąc poetę rymami, podsuwając mu tak ekscentryczne np. a efektowne i przez nikogo dotychczas nie użyte, jak: Szekspir i expir, *frutti di mare* i symarę, laur i Giaur, scenarz i Ojciec-nasz itp.

W kilka dni później była już — zdaje się — pierwsza pieśń poematu prawie skończona, a wolno się domyślać, że pisanie jej, tudzież mnóstwem innych spraw nagłych tak był poeta zajęty, iż dopiero na kilka godzin przed wyjazdem, który nastąpił ostatecznie d. 24 sierpnia nad wieczorem, potrafił znaleźć chwilę wolnego czasu (przed ostatnim obiadem, jaki miał spożyć w Neapolu w towarzystwie swojego towarzysza podróży, Teofilów, Gajów, Sudolskich i Skibickich), ażeby napisać do matki i donieść jej o tym wojażu.

List ten, pisany nie bez pewnej obawy, aby mu matka za złe nie wzięła tej podróży, miał głównie na celu uspokojenie jej, że przedsięwzięcie to, które się im tam w Krzemieńcu czemś nadzwyczajnem wydawać będzie, widziane z brzegu Śródziemnego morza wcale nie wygląda tak strasznie; a powtóre chodziło w nim jeszcze poecie, ażeby przekonać matkę, że podróż ta, dla niego, jako dla poety właśnie, z ogromną może być korzyścią; bo chociażby tylko ustaliła moc charakteru — pisał — którego potrzeba do przedsięwzięcia i wykonania rzeczy, połączonej z trudami znacznemi, to już i z tego samego niemały może dla niego wyniknąć pożytek. A cóż dopiero, jeżeli się weźmie pod uwagę, że zobaczy nowe kraje, nowych ludzi, że będzie żył z nimi, że go wielbłąd karawany zanieśnie do grobu Chrystusa. »Będę się tam modlił za tych, których kocham, a potem, z sercem pełnem pamiątek i obrazów, wrócę do jakiej cichej, europejskiej samotności«. Tymczasem przesyła jej za pośrednictwem Teofilów małą pieczętkę z lawy, ozdobioną popiersiem Homera na końcu. Sam zaś jedzie zwiedzić miejsce śmierci Hektora i wołać głośno Milcyadesa na pustych równinach Maratonu. »Wyznaj mi, droga, że mię jakiś niewidomy duch z miejsca na miejsce spędza, jak zmordowanego gołębia, nie pozwalając mi zasnąć, kiedy na jakiej gałęzi usiędę«.



ROZDZIAŁ III.

W GRECYI.

Uspodobienie Słowackiego, w jakim się puszczał w podróż. Przyczyny melancholii Zenona Brzozowskiego (24 sierpnia 1836 r.). I. Cztery dni w Otranto. Przybycie do Korfu. Wspomnienia Odysseusza i Nauzykai. Druga pieśń »rymowego baletu«. Podróż statkiem parowym. Życie na pokładzie. Kapitan okrętu. »Hrafi Salomon z Zante«, poeta grecki. Interesująca pasażerka. Noc na morzu. Skała Leukady. Wspomnienia Safony i Ludwiki Śniadeckiej. Itaka. Przyjazd do Zante. Pierwsze wrażenia Grecyi. Przyjazd do Patras. Odwiedziny u Kanarisa. Podróż brzegiem Lepantu. Nocleg w Vostizy (12 września). II. Klasztor Megaspoleon. Harmonie i dyssonanse. Droga do Tripolis. Arkadia. Chęć zwiedzenia Sparty. »Neapol w miniaturze«. Argos. Ruiny Mycen. Grób Agamemnona (18 września). III. Ruiny Nemei. Pobyt w Koryncie. Wyjazd w nocy do Kalamaki. Noc na łódce. Rozmowy z majtkiem. Legenda o harfiarzu z wyspy Scio. Wschód słońca nad Salaminą. Przyjazd do Aten. Tydzień w grodzie Minerwy. Medytacje na stopniach świątyni Jowisza (20 — 27 września).

A jam skrzydlate obrócił ramiona
Wschodowi, chciwy nowego żywota,
I uciekałem, jak duch z bladą twarzą,
Więcej przed myślą moją.

Słowa te, włożone później, po latach, w usta Królowi-Duchowi, najdobitniej określają usposobienie Juliusza, w jakim z towarzyszem swoim, Zenonem Brzozowskim, siadał w Neapolu do dylżansu pocztowego, ażeby, dojechawszy nim do miasteczka portowego Otranto, puścić się ztamtąd morzem do Grecyi, z Grecyi do Egiptu, a z Egiptu do Ziemi Świętej. Bo zaprzeczyć się nie da, że — zawiedziony w swoich nadziejach, »nieszczęsny i błędny«, trawiony jakąś chorobliwą tęsknotą i nudą, jakimś Wertherowskim *Weltschmerz*'em, z sercem przepełnionem wspomnieniami Maryi Wodzińskiej, o której myśl »ścigała« go

zawsze i wszędzie, z sumieniem, niepokojonem wyrzutami najrozmaitszego rodzaju — dlatego »z *takim smutnym zapalem* rzucał się w świat nieznany, pełny niebezpieczeństwa, gdy w Grecyi rozboje, a w Egipcie zaraza panowały«, ponieważ mu to ryzykowne (na owe czasy zwłaszcza) przedsięwzięcie opramieniała nadzieja, że tam, »w krainach południa«, znajdzie bezpieczne schronienie nie tylko »przed mrozami grudnia«, których tak bardzo nie miał się czego lękać, ale i »przed *ścigającą* myślą«, przed ową »pamięcią bólu«, przed owymi nieuchwytnymi »zachceniami i marzeniami«, które go, jak Eumenidy Oresta, na każdym przesładowały kroku, a przed którymi nie umiał się — nawet pod lazurówką niebem Italii — w żaden sposób opędzić. Od chwili bowiem, kiedy się rozłączył ze swoją »panienką czarnobrewą«, jak w jednym z listów do matki nazywa pannę Wodzińską, nie mógł sobie miejsca znaleźć nigdzie, zarówno w Rzymie, jak i w Neapolu, nie mówiąc już o Genewie (bo »miłość, prócz czystej miłości niebieskiej, wprowadza duszę w jakiś smętny zamęt«), a że doszukiwanie się we wszystkim »smutków błahych, wątłych, kruchych«, leżało w naturze jego usposobienia — jak to sam przyznaje w *Grobie Agamemnona* — więc zdawało mu się, że wszędzie czeka go jedno i to samo: smutek. To też, kiedy mu Brzozowski i Hołyński zaproponowali, aby się wybrał na Wschód, uczepił się tej myśli, jak deski zbawienia, i wmówił w siebie, że *wojaż* taki uleczy go z chronicznej choroby spleen'u, zdecydował się pojechać; za dowód zaś, że to właśnie, nie co innego, było główną do tego pobudką, posłużyć może, jak w danym wypadku, pierwsze zaraz *Canto* »Podróży z Neapolu do Ziemi świętej«, w którym, objaśniając czytelnika, »z kąd się wybrał, po co i dla czego«, powiada między innemi, co następuje:

Chrystusa dyabeł kusił i mnie kusi:
Na wieży świata postawił *smutnego*
Życia nicością, i pokazał wszędzie
Pustynie, mówiąc: Tam ci *lepiej* będzie.

Albowiem, jak dotąd, było mu źle na świecie. Zgorzkniały skutek tego, pełen niepokoju, pozbawiony równowagi moralnej, w wiecznych szamotaniach się, z nerwami rozkiełznanymi, zniechęcony do świata do ludzi, do siebie wreszcie, trapiący »myślami ponuremi i ciemnymi«, jednym słowem, wykolejony z tej normalnej »prostej ścieżki«, o której mówi Dante, a którą toczyć się powinno życie człowieka, stał się pomimo woli skończonym typem bajronisty, a stał się nim tak dalece, że nawet ten »w rymowym ba-

lecie« rozpoczęty »Dziennik z podróży« miał swoim tonem, stylem, sposobem pisania etc., przypominać nie spokojne, klasyczne do pewnego stopnia, spencerowskie stances *Childe-Harolda*, albo melancholijne refleksye i pejzaże Lamartiniowskiego *Voyage en Orient*, ale rozerwane, kapryśne, swawolne, rozhukane i żadnemi regułami poetyckimi nieskrępowane oktawy *Don Juana*. Wiedział wprawdzie, że tak »ze śmiechu przeskakiwać w smutek

Jest wielkim błędem, charakteru wina,
A raczej nerwów rozkiełzanych skutek«

ale i z tego zdawał sobie sprawę dokładnie, że być równym i klasycznym przy takich rozkiełzanych nerwach, jak jego w tym czasie, to zadanie nad siły.

Na podobny brak równowagi ducha cierpiał także i jego towarzysz podróży, Zenon Brzozowski, któremu życie zatruwała nieszczęśliwa miłość. Jak Słowackiemu panna Wodzińska, tak jemu zamąciła spokój poznana przed rokiem panna Aniela Moszczyńska, w której się zakochał, o którą się oświadczył i od której dostał rekuzę. Ta rekuza przyprowadziła go o melancholię; ta rekuza sprawiła, że porzucił Florencję i przeniósł się do Rzymu, a później do Neapolu; i ta rekuza wreszcie — na szczęście dla Słowackiego — była powodem głównym, dla którego zdecydował się razem z Hołyńskim odbyć podróż po Wschodzie. Może mu się tam uda o Anieli zapomnieć! Z powyższego wynika, że i Brzozowski miał swoją »ścigającą myśl«, która go w dalekie kraje gnała, i że to podobieństwo niedoli, ta tęsknota po raju utraconym, ten obraz kochanki, zakrzwawiający serca obydwóch, Zenona i Juliusza (choć ten nie dostał rekuzy) były tym węzłem psychicznym, tym łącznikiem duchowym, który ich w czasie tej desperackiej podróży spoił o tyle silniej. Wszak już Wergiliusz powiedział: *Solamen miseris socios habuisse malorum*.

I.

W takim usposobieniu, po czterech dniach męczącej podróży »kuryerem«, po długich i nudnych popasach w Lecce i innych miasteczkach włoskich, przybyli w niedzielę, dnia 28 sierpnia, do Otranto, gdzie im na statek kuryerski, przypływający tu co tygodnia i zabierający pasażerów do Korfu, wypadło czekać aż do piątku. Otranto jest miastem portowem, brudnem, jak wszystkie miasta włoskie, i jako

takie, dla cudzoziemca, cóż dopiero dla poety, jak Słowacki, nie przedstawia najmniejszego uroku. To też nudził się tu bardziej jeszcze, aniżeli jego towarzysz, a że upał był nie do zniesienia, więc nawet chodzić po brzegu Adryatyku nie miał ochoty: siedział w hotelu przy zapuszczonych żaluzjach, i pisał drugie *Canto* swojej *Podróży na Wschód*, opisując w niem, w sposób heroi-komiczny, przeprawę z Neapolu do Otranto. Jednocześnie, w umyśle na ten cel przeznaczonym albumie, zaczął pisać prozą dziennik dla matki. Ale porzucił ten projekt zaraz pierwszego dnia: wiedząc, że go »oktawa pieśni, a kocha sykstyna«, wolał pozostać wiernym formie wiersza i nie zniżać się do prozy.

Na pełne morze wypłynęli, nareszcie! dnia 2 września; a ponieważ, jak mówi Chateaubriand (którego *Itinéraire de Paris à Jérusalem* nie był Słowackiemu obcym) biada temu, kto, jadąc do Grecyi, nie patrzy się na otaczającą naturę przez pryzmat dzieł Fenelona i Homera, więc i Słowacki, który się w tem nieszczęśliwym położeniu nie znajdował, ale, przeciwnie, na wszystko patrzył, nie jak impresjonista, ale jak romantyk, t. j. przez pryzmat wspomnień historycznych, przywiązanych do każdej miejscowości, widział teraz, płynąc po morzu, nietylko niebo i wodę, ale mu na samą myśl, że się znajduje na Adryatyku, stawały przed oczyma wyobraźni »Apollo, Nereidy i Wenus, wychodzące z morskiej piany; Alcybiades, Cezar, Cycero, Wergiliusz i Horacy, przepływający się przez to morze; Nauzykaa, igrająca z towarzyszkami; Andromaka, płacząca nad brzegiem fałszywego Symeontu« etc., etc.

Tak upłynęło dwa dni, bez nadzwyczajnych przygód, wśród spokojnego lazuru morskiego, pod turkusową kopułą nieba bez chmur, aż wreszcie, dnia 4 września, zarzucono kotwicę w Korfu, niegdyś wyspie Feaków, nieśmiertelnej pobytem Odysseusza u króla ich, Alcynousa, ojca Nauzykai. Zabawiono tu cztery dni, zwiedzając miasto, które na Słowackim zrobiło »anglo-greckie« wrażenie, i którego jedyną ozdobą są: brudne i ciasne uliczki przedmieścia Kastrádhés, rynki, zavalone owocami i jarzynami, i ogród Królewski, niegdyś Alcynousa, z tarasem, z nieporównanym widokiem: na »tryumfalną melodyę błękitu« morskiego; na olbrzymie drzewa oliwne i pomarańczowe, na dzikie grusze z owocami, jak małe dynie; na palmy, agawy i mirty. »Na południe od miasta, za ogrodami, wznosi się nad samem morzem wysoki przylądek *Kanone*. Patrząc ztamtąd, ma się przed sobą górzystą wyspę, pokrytą oliwami i winem. Z płytkiej, jaśniejszym błękitem poplamionej wody, wyrasta biały dom, otoczony cyprysami i tak na

morzu postawiony, że drzewa przeglądają się w wodzie, i cały ten piramidalny a maleńki obrazek zdaje się rzuconym tu dla wywołania nastroju cichej i szczęśliwie śniącej śmierci. Kiedy płynął tędy Ulisses, okręt utkwiał mu na mieliźnie, potem skamieniał przez wieki i zarósł cmentarnemi drzewami; ztąd wysepka zowie się *wyspą Ulissesa*. Pośrodku wyspy widać białe mury jakiejś siedziby ludzkiej: to domek pustelnika, który na to, ażeby uprawiać swą winnicę na przeciwległej górze, codzień musi wbród — w czasie odpływu — morze przechodzić. Koloryt tego wszystkiego tak silny, obraz tak *pomyślany*, że Böcklin wydaje się naraz realistą; nawet rysunek tej pustelni przypomina *Wyspę umarłych*. Tak mniej więcej w swoim wytwornym *Dzienniku z podróży po Grecyi* opisuje wyspę Korfu p. Józef Weyssenhof. Słowacki opisał ją również — wierszem — w drugiej pieśni swojego »rymowego baletu«. Niestety, pieśni tej nie posiadamy. Dlatego trudno coś powiedzieć o jego pobycie na Korfu. Pewnem jest to tylko, że zdjął tu bardzo piękny widoczek — akwarelę — i że dnia 8 września w dalszą puścił się drogę.

Na morze statek wyleciał parowy;
Wre para, słychać dźwięk żelaza szklanny;
A jako z płaskiej wieloryba głowy
W niebo srebrzyste tryskają fontanny,
Tak z pod okrętu, młyńskim bita kołem,
Wytryska piana; a dym leci czołem.

Pogoda była, jak wymarzona; wszyscy pasażerowie siedzieli na pokładzie, w cieniu płóciennej zasłony, rozpiętej na żelaznych słupkach; i kiedy ogień wrzał »zamknięty w drewniano-smolnem łonie wieloryba«, w oddziałowej klasie, gdzie się znajdowali także Słowacki i Brzozowski, słychać było co chwila przerywany śmiechem wesoły gwar rozmowy. Słowacki był w doskonałym humorze, który się też objawić nie omieszkął w rozpoczętej teraz, po wyjeździe z Korfu, pieśni III *Podróż na Wschód*, opiewającej właśnie, z nieporównaną werwą i niemniejszym zasobem obserwacji artystycznej, życie na statku parowym: od samego rana, kiedy po nocy przespanej w kajutach, »wychodzą różni

Na pokład statku zmytego podróźni;
Ten pije kawę, ów rozciąga członki;
Wszyscy się zdają rozrastać, jak krzewy;

aż do wieczora, kiedy

Na maszcie statku błyszczą dwie latarnie
Pod obłokami kirowego dymu;

i kiedy

Zda się, że światła te, zamglone sadzą,
Okręt w krainę piekielną prowadzą.

Rozkoszne *dolce far niente* było całodziennem zajęciem wszystkich. Rozmawiano, zabierano znajomości; mężczyźni starali się zbliżyć do dam, między którymi było kilka ładnych (jedna zwłaszcza); Brzozowski w nadszaskiwaniu angielskim *misses* znajdował skuteczny balsam na swoje biedne, niepocieszone, a tak okrutnie przez pannę Mosszczyńską zranione serce; a Słowacki nie dawał mu się pod tym względem wyprzedzić; z tą różnicą, że kiedy Zenon, w antraktach pomiędzy jedną rozmową a drugą, nudził się czasami, on pisał i opisywał swych towarzyszków podróży, kreśląc ich sylwetki lub karykatury, poczynając od kapitana okrętu, a kończąc na majtku, co »rudel obraca mosiężny«. Oto, w jaki sposób opisał kapitana i jego stosunek do pasażerów:

Jako niegdyś płynął Jonasz święty
W łonie okrętu bez desek i miedzi,
Wesoło w licznej towarzystwie śledzi,
Zapewne nieraz śmiejąc się z kłopotu,
Trawionych fląder, ostryg i czefalów;
Tak nasz kapitan i wódz paketbotu
Z pasażerami, jak z tłumem wasalów,
Otyły, wesół, dowcipny i mądry,
Nas ma za śledzie, ostrygi i flądry.

Drugą wyróżniającą się z tłumu figurą był poeta grecki, »hrab Salomon z Zante«, powracający (Słowacki nie wspomina: z kąd?) do swego rodzinnego miasta, czego mu Juliusz zazdrościł, on, który wiedział, że okręt jego nie do kraju płynie. Niestety, ten szczęśliwy Pindar nowoczesnej a świeżo wyzwolonej Grecji zdawał się być, jako człowiek, osobistością bardzo nieciekawą. Przedewszystkiem, zauważył Słowacki, że ten poeta, będąc człowiekiem bogatym (tak bogatym, iż podróżował aż z dwoma lokajami) miał wszystkie wady i śmieszności Geldhaba. Kiedy mu np. słabość morska zaczęła dawać się we znaki, prędko rękoma

Wziął się za serce i na dwóch lokai
Głośno zawołał nazwiskami dwoma;
Bo skoro tylko jeden się narai,
Zaraz poeta na drugiego krzyczy,
Aby wiadano, że dwóch w służbie liczy.

Oprócz tego piewcy wolności greckiej, który w swoim surducie białym i takichże glansowanych rękawiczkach, wraz z tym »paszalikiem z usługnych lokai«, robił wraże-

nie fanfarona, zwracali na siebie uwagę: jakiś sędzia zantejski, człowiek spokojny i poważny, mało wyróżniający się, i jakiś senator, starzec z twarzą Epikteta,

Z uśmiechem słodkim starości na twarzy,
Z podagrą w nogach, z tłumem sekretarzy;

ale były to wszystko postacie prozaiczne, codzienne, nie wzbudzające ani szczególnego interesu, ani sympatii. Interesującą, bardzo nawet, i sympatyczną była jedna tylko, niemłoda już, ale jeszcze piękna »Safo jakaś«, nie szukająca znajomości z nikim, ciągle przesiadująca w kajucie, »sama, w kobiet sali«.

Raz tylko wyszła na pokład i słońce,
Siadła na ławce, spojrzała w błękity
Tak mglistem okiem, że się zeszły końce
Rzęs długich, czarnych, i wzrok był przykryty
Cyprysem oczu; nie spojrzała w żadną
Twarz na pokładzie. Kiedyś była ładną.
Zniszczył ją smutek. Smutna poszła w ciemność
Na dno okrętu; a z wierzchu mówiono,
Że tę kobietę dręczy niewzajemność,
Że przed miesiącem była mniej, niż żoną,
Więcej niż... Djabła! Niech dokończy zecer!
Że ją angielski porzucił oficer.

Smutek tej kobiety, widocznie cierpiącej i nieszczęśliwej, owiewał ją szczególnym w oczach Juliusza urokiem, i kto wie, czyby się do niej nie zbliżył, gdyby go tylko ośmieliła cokolwiek. Do ludzi smutnych, cóż dopiero do kobiet, zawsze go coś ciągnęło, ponieważ i on był *une âme triste*, ponieważ i on, kiedy nadeszła noc, miał swój cień, który szedł za nim, w ciemnościach nocnych biegł po morzu »z przekleństwem i płaczem«, i który go płaczem tym przyprawiał o bezsenność. Wtedy, nie mogąc spać, z nudów, »bo przez noc całą, tak ciemną i mglistą, co robić«, gryzł, jak powiada, i kasał własne serce, pozwalał się opadać wspomnieniom i różnym wyrzutom sumienia, od których nie był wolny, i żeby się im opędzić, żeby zapomnieć o nich, zasiadał do pisania swego poematu. I kiedy Zenon spał w najlepsze, śniąc o pannie Anieli Moszczyńskiej, on wstawał z pośłania, ubierał się, wychodził na pokład, siadł na ławce i, zapatrzony przed siebie, w bezmiar fosforyzującego morza, otulonego gwiazdzistym płaszczem cichej nocy letniej, układał sobie w myśli takie np. strofy:

Sumienie moje, niewidome światu,
Jak Nereida, wyszło z morza głębi
Na usta, pełne liljowego kwiatu,
I znów, jak Wenus, na wozie z gołębi

Leciało między gwiazd sferami śliczne,
Pół chrześcijańskie, pół mitologiczne.

W dzień znowu, kiedy pod wpływem promieni słonecznych rozjaśniło mu się w duszy, kiedy nad ponuremi wyrzutami sumienia, z powodu Eglantyny brały górę świetlane wspomnienia Maryi, siadał rozmarzony na środku pokładu »w krześle rozłożystem« i myślał sobie, że

Miło tak płynąć w tym okrągłym świecie,
Po morzu cichem, jasno-lazurowem

i, znudzonemu banalnością pasażerów pierwszej klasy, przyglądać się podróżnym z drugiej i pisać o nich ołówkiem w notesie, co następuje :

Tam pod żelazną kolumną komina
Siedział Grek w czapce czerwonej i Turek,
Wzajemnie dymy rzucając z bursztyna;
A między nimi z tłómków pagórek
Żółtych i czarnych; a koło tej góry
Kuchnia, kuchciki, kucharze i kury.

Przy piersi matek rozplakane dzieci;
Przy bokach starców stoją flasze z gliny;
Czasem iskierka czerwona wyleci
Z czeluści statku i pomiędzy liny
Błąka się długo, nim zagaśnie smutna,
Nie docleciwszy pod namiotu płótna.

Cicho. Dzień cały po błękitach bije
Okręt kręconą machinami skrzela...

I tej ciszy błękitu, tak rozmarzającej poetę, nie zamąciła przez cały czas przeprawy ani burza, ani dolegliwsza chwiejba. Morze było spokojne, wygładzone, statek sunął szybko, jak po jeziorze (chwilami przypominało się nawet Słowackiemu jezioro Genewskie), a że trzymano się niezbyt daleko od brzegów, oko więc, zamiast się gubić wśród niezmiernej przestrzeni wodnej, mogło się pieścić raz po raz najczarowniejszym pejzażem, w rodzaju tego, jaki służy za tło podobnej do Afrodyte *Fryne* Siemiradzkiego, pejzażem, który, owiany mgłą oddalenia i osrebrzony sreżogą, przypominał Słowackiemu, siedzącemu w krześle rozłożystem, majaczące blichtry wybrzeży Lemanu. Później, kiedy minięto fortecę Santa Maura, którą

W starożytności zwała się Leukadą,
I pod błękitnym unosi obłokiem
Skałę wslawioną biednej Safo skokiem,

wyrzały śnieżne szczyty Tajgetu, przyrównane przez Polybiusza do Alp, »lecz do Alp pod piękniejszym niebem«.

Słowackiemu musiał być miłym ich widok, albowiem śniegiem ubielone wierzchołki gór przypominały mu Szwajcaryę. Odmienne, bo nieprzewidzianego zupełnie wrażenia doznał za to na widok skały Leukady, która go pobudziła do myślenia nie tylko o słynnej poetce lesbijskiej, ale i o Ludwice Śniadeckiej, o jej sentymentalnej podróży do Konstantynopola po ciało Korsakowa, i to go natchnęło do napisania o niej kilku tak złośliwych sekstyn, że ich aż na tem miejscu przytoczyć niepodobna.

Niedaleko po za »tykającą nieba« skałą Leukady widać wysoki przylądek Itaki i poziome grunty Cefalonii. Ale, przepływając nieopodal tego zakątka rodzinnego Uliksesa, daremno wyteżał Słowacki wzrok, ażeby własnymi oczyma zobaczyć ten świat, na którym się rozgrywała akcja *Odysei*. Nie widać już lasu na górze Nerei, ani ogrodów owocowych Laërtesa, ani Penelopy »w trosce i w żałości«, jak mówi Kochanowski, wyglądającej powrotu małżonka.

W końcu zawinął okręt do Zante, stolicy »złotej wyspy« tegoż nazwiska, zamieszkałej, jak głosi podanie, przez potomków Trojan. Znaczna część pasażerów, przybywszy tu, była w domu, a między innymi i ów poeta grecki, hrab Salomon. Szczęśliwy! myślał sobie o nim Słowacki, kiedy, wysiadłszy na brzeg, wszedł na mury fortecy, ażeby zobaczyć ztamtąd, jak Zante, szmaragdami siana,

W szczyrych szafirów oprawna lazury,
Niebem i morzem dokoła oblana,
Tała mnóstwo domków w głębi łona,
Z domkiem poety, hrabi Salomona.

Szczęśliwy! myślał sobie o nim Słowacki: powrócił do swego rodzinnego miasteczka i może usiąść na ławie przed własnym domem, używać spokoju i szczęścia. Ach! jakże miło musi być wieczorem, po zachodzie słońca, gdy ucichną gwary,

Gdy nocne świerszcze i koniki w trawach
Zaczną piosenkę nocy, a pies stary
Łapą drzwi chaty zawartej otworzy,
Przyjdzie i u nóg pana się położy,

usiąść sobie w swoich progach sielskich i marzyć dopiero i roić. Cóż za szalona różnica pomiędzy ich dolą! Kiedy tamten, szczęśliwy, wróciwszy z podróży, którą odbył dla przyjemności jedynie, w celu poczerpnięcia świeżych wrażeń, zastał swój ogród i drzewa,

Swoją kanapę, i okno na morze,

Swój miły stolik, gdzie pisze i ziewa,
Swoje gazami oskrzydłone łoże,

i może dziś jeszcze cieszyć się lub szlochać, patrząc na domek, gdzie kocha lub kochał; on, nieszczęśliwy wygnaniec, jak obłąkany ptak, błądzi po obcej ziemi...

Tymczasem wylądował w Patras (10 września), a że na wszystko przywykliśmy patrzeć przez pryzmat chwilowego usposobienia, więc i jemu przypomniał się tu z pewnością ów melancholijny wykrzyk Chateaubrianda, który, stanąwszy po raz pierwszy na ziemi dawnej Hellady, pierwsze wrażenie, jakiego doznał, zamknął w tych słowach: »Ach, jakież myśli obudza widok opustoszałych brzegów Grecyi, gdzie nic nie słychać, prócz nieustannego szumu wiatru i jęku fali!« Szczęściem była miejscina ta położona u podnóża gór Tajgetu, niedaleko Parnasu, miejscem zamieszkania słynnego marynarza greckiego i jednego z bohaterów walki o niepodległość Grecyi, Kanarisa, który, jak wiadomo, zaproponował admirałowi Miaulisowi spalić flotę turecką w porcie Chio i dokonał tego dwoma brulotami z niesłychaną śmiałością, poczem obecnie, na starość, jako admirał i minister marynarki, dowodził w Patrasie grecką flotylą. Słowacki i Brzozowski poszli mu wyrazić swoje uwielbienie. Jako pochodzący »z kraju smutnego Iliotów«, nie dziw, że byli ciekawi zobaczyć tego, który jednak nie miał w historii swego życia i swoich czynów bohaterskich ani Maciejowic, ani wyrzekł kiedykolwiek *finis Graeciae*. Sędziwy bohater z pod Chio, gdzie »żył niegdyś jako sala-mandra w ogniu brulotów«, mieszkał dziś spokojny w domku glinianym, »jak domek Ewandra«.

Dzikimi chwasty zaplątana ścieżka
Do progów jego prowadzi; przed progiem
Odłam marmuru, co był kiedyś bogiem.

Belek się ledwo dotykały heble,
W ścianach obficie powietrza, niż gliny;
Sosnowe szczęble i niebieskie szczęble,
To jest deszczulki z sosen i szczeliny
Wiodą na piętro... Wejście, pierwsza próba,
Już była dla mnie, jako sen Jakóba.

Cóż dopiero, kiedy staruszek dowiedziawszy się, w jakim do niego przybyli celu, zaczął im opowiadać (po francusku niezawodnie, albo za pośrednictwem tłumacza) o owej pamiętnej wojnie z roku 1820, o oblężeniu Missolungi, o lordzie Byronie i jego ostatnich chwilach; o Botzarisie, który, osaczony przez Turków, powziął myśl ocalenia Missolungi przez wycieczkę i w 200 ludzi napadł w nocy na obóz

turecki, aż w końcu wielką rzeź w nim sprawiwszy, padł od kuli; o rozpaczliwych walkach na lądzie z wojskami Ibrahima baszy, który

Jak Nil, co wszystkie wody na świat wyda,
Lub jak walająca się z gór piramida,

spadł na Grecyę; o tem, jak Zavellas, niby drugi Leonidas pod Termopilami,

W polach Klissowy z ośmią set człowieka
Zastąpił drogę dwóm baszom... i czeka;

o bohaterskiej śmierci Ypsylanta; o swojej nocnej wycieczce pod okręty tureckie, które mu się szczęśliwie podpalić i spalić udało etc.

Z Patrasu, który, jako miasto, zrobił na nim wrażenie »rzędu domków i fraszek, poustawianych na dziecinnyim stole«, a gdzie pod wpływem odwiedzin u »wielkiego Kanarisa«, wpisał do swego »dziennika« ultra-demokratyczno-demagogiczne »Credo«, z Patrasu puścił się Słowacki z towarzyszem swoim i przewodnikiem wzdłuż brzegu Lepantu ku Vostizy. Jechali konno, po jednej stronie mając widok na morze (w dali majaczyło Missolungi), po drugiej — na góry, na szczyt Parnasu między innemi. Droga była skalista, miejscami urwista. Na czele kawalkady jechał przodem *guid*, za nim — Słowacki, za Słowackim — Zenon, a w końcu właściciele koni

Za kochanymi końmi szli piechotą;
Jeden, jak turek, miał turban na skroni,
Drugi, jak ojciec podobny do syna,
Belwederskiego miał twarz Apollina.

Najbardziej malowniczo jednak wyglądał przewodnik,

Który albańskie rozwiawszy wyloty,
Jechał na koniu, gdyby motyl złoty.
Na kapeluszu słomianym miał myć,
Do roziskrzonych podobną płomyków;
Ze sztuki płótna marszczoną spodnicę;
Gadał mozajką dziesięciu języków;
Śmiał się jak dziecko, a dzieckiem był prawie;
Śpiewał, jak konik polny śpiewa w trawie.

Atoli, pomimo tego śpiewu, przypominającego jakąś smętną melopeę, podróż sama przez się była dość nudna, a przytem dla nieprzyzwyczajonych do takiej jazdy »na cecorskiej szkapie« dosyć utrudzającą, zwłaszcza w skwar południowy. Przedewszystkiem nie było łatwo przyzwyczaić się do siodła mameluckiego, którego strzemiona szerokie, a puśliska krótkie, kurczą nogi jeźdźca, a kaleczą boki ko-

niowi. Za każdym niewłaściwym poruszeniem kula od siodła uderza w piersi, a jeżeli pochyłisz się w tył, wysokie zagięcie kulbaki potrąca krzyż. Jedyną dobrą stroną tych siodel: że zlecieć z nich trudno. Nie mniej także dawały się we znaki popasy w tak zwanych khanach przydrożnych, gdzie trzeba było sobie samemu gotować żywność, samemu kupować i zabijać kury, czasem jagnię, bo takim to sposobem podróżowało się w tych czasach (a niekiedy i dziś jeszcze) po dawnej ojczyźnie Alcybiadesa i Aspazyi. A tymczasem upał dokuczał, słońce paliło: na spiekłych i rzadko rosnących krzewach unoszące się koniki polne umilkły za zbliżeniem się jeźdźców i dopiero, skoro przejechali, rozpoczynały nanowo swoje świegotanie; cząbry »smutne« gór spalonych pachniały silnie; morze, wygładzone, jak tafla, zdawało się drzemać; i słyszać było tylko, oprócz jednostajnego odgłosu tententu koni i cichego świegotania świerszczów, śpiew przewodnika, który od chwili, gdy dosiadł konia, zaczął piosenkę i śpiewał ją przez całą drogę, o ile nie rozmawiał. Powiada Chateaubriand, że jest to najczęściej długa, rymowana powieść, na liczne strofy przecięta; nuta smutna, przeciągła.

Słowackiemu to niewystarczało; dlatego, dla urozmaicenia sobie w jakiś sposób tej podróży konnej, obmyślał następną pieśń swojego »dziennika«; notował w pamięci różne zaobserwowane szczegóły; zmyślał koncepty na temat księcia Pücklera, którego opis podróży po Grecyi czytał właśnie, cieszył się, kiedy zrymował: książę Pückler z *c'est clair*, albo Strasburg z Likurgiem, albo rzekomą sól attycką z Momusa mycką; układał pojedyncze strofy, które później, podczas popasów, wpisywał do notesu; rozmawiał z Brzozowskim, którego nazywał swoim »ukochanym filozofem Zeno«; czasami znów, kiedy »wzrok na błękie zginął«, myśl smutniejsza, jak powiada, przyszła go kołysać, myśl o Maryi, a chwilami nawet o Ludwice Śniadeckiej, o rzeczce, w której ją widział raz kąpiącą się, w cieniu wielkiej jarzębiny, na końcu jednej lipowej alei; i tak upłynął mu cały dzień 12 września, aż w końcu wieczorem zatrzymano się na nocleg w Vostizy.

Nocleg ten, w ruinie jakiejś dawnej oberży, mającej »kształt kurnika«, bez okien, ze szparami w ścianach, »pajęczynami wybitych czarnemi«, niezatartemi zgłoskami zapisał się w pamięci poety. Ledwo przybyli na miejsce, ledwo spożyli — pociemku — wieczerzę, złożoną z czerstwego chleba i gorzkiego, jak piołun, bo zaprawnego żywica, wina Krasso, ledwo się ułożyli do snu, na »dwóch napiętych, jak struny, krosienkach«, zerwał się wiatr, który, świszcząc przez

szczeliny, zdawał się grać na flecie; niebo pokryło się chmurami, a w końcu zaczął padać deszcz rzęśisty, który, przeciekając przez dach, zamienił wkrótce całą izbę w jeden prysznic. Słowacki, który, kąsany przez różne czarne zwierzątka, leżał z otwartymi oczyma, zawołał na chrapiącego już Zenona: »Ty śpisz, Eneaszu, a tu deszcz na nas leje się z dachówek!« Zbudził się Brzozowski, a kiedy poczuł, że moknie, choć zaspany i po całodziennym jeździe konnej zmęczony, musiał rad nie rad powstać ze swego tapczanu i słuchać złorzeczeń Juliusza, który »więcej do czynu sposobny, niż słówek, wściekać się więcej zdolny, niż łzy ronić«, o tem tylko przemyślał: jak i gdzie się ukryć przed owymi strugami wodnymi, przeciekającymi przez sufit?

Szczęściem, że w ścianie, uwitej z sośniny,
Po obu stronach były dwie framugi
Ach! nie framugi — zaczęte kominy!

Po krótkiej naradzie uchwalili, że nie pozostaje im nic innego, tylko schronić się w tych framugach. Jakoż uskutecznił to natychmiast,

Oba, jak dłutem z marmuru wycięci
W niszach przeciwnych, ktoby rzekł, że święci.

Z zapalonymi lampkami przy nogach, z rękami »pobożnie« złożonymi na piersiach, byli w tej chwili, zdaniem Słowackiego, podobni do owego posagu Tetydy w ogrodach Zofiówki, który »zakryty wody srebrzystej obrusem«, stoi sucho w wodnej samolówce. Porównanie to świadczyło o pewnym *Galgenhumor*'ze, w jaki popadli Słowacki zarówno, jak i Brzozowski, podczas tej nocy pamiętnej. Istotnie, nic innego nie pozostawało, tylko śmiać się i dowcipkować. Śmiali się więc i żartowali; i kiedy ulewa szumiała, a wiatr zawodził jakąś piekielną symfonię, oni »jak dwa posagi, oprawione w mury«, taką prowadzili rozmowę: »Czy żyjesz?« »Żyję«. »O czem ty marzysz?« »Ja mówię pacierz... Bóg słyszy pod wodą«. »Nie słyszę: woda tak szumi, już mam mokre nogi«. »Cierp, a ja opiszę

Nasze cierpienia, ściągnięte bez winy
I sprzedam wiernie córkom Mnemozyny.

I kiedyś, w późne wieki, wstanie mściciel
I tu postawi hotel, mości panie!
Tu na tem miejscu, gdzie teraz Jan Chrzyciel
Mógłby duszyczki kąpać, jak w Jordanie,
Tu, gdzie stoimy, ja ci przepowiadam,
Że stanie hotel, tu, gdzie w nurty wpadam.

W nurty natchnienia, myśląc o żegludze
Dawnych rycerzy, Eneja, Ulissa.

Tak mówił Słowacki. Przerwał mu Brzozowski: »Ja się nudzę,

Stojąc w tej niszy, jak kozacka spisa;
Wyznaj, że Grecya *c'est ennuyeux en diable*,
Ja cały mokry, *mais c'est insupportable*.

W ten sposób upłynęła im cała noc w Vostizy. Nad ranem, kiedy »Febus we drzwi Aurory uderzył«, ustał deszcz, słońce weszło pogodnie, zadzwoniły skowronki. Dzień, po całodzienniej burzy, zapowiadał się piękny; powietrze było czyste, ożywcze; nad błękitami Lepantu, na niebie, »na chmury rozplakanej włosach«, prześliczna tęcza ranna zataczała swój krąg różnobarwny; ruszono dalej. Celem wyprawy, do którego spodziewano się dotrzeć nad wieczorem, był klasztor Megaspoleon. Drogę, z Vostizy do tego klasztoru prowadzącą, opisał Słowacki w pieśni VII swojego »dziennika«, a opisał tak przepysznie, tak *à la Veronese*, iż trudno się oprzeć pokusie, ażeby niniejszych kartek nie przyozdobić dosłownem przytoczeniem tych dwóch mistrzowskich sekstyn:

A ty, poezyo, nie bądź więcej mniszka,
Ale opowiedz, jak szedłem wysoko
Nad przepaściami zawieszoną ścieżką;
Jak coraz dalej posyłałem oko
Za laurem, pięknie kwitnącym podemną,
I za otchłanią mórz, błękitnie ciemną;

Jak o południu cień kolczatej gruszy
Osłonił całą podróżnych gromadę;
Jak ciernia krzaki, które wiatr wysuszy,
Dały nam ogień, w oczach słońca blade;
Jak źródło w naszym zajęczało dzbanie:
Jakośmy orłów słyszeli krakanie.

II.

Klasztor ormiański Megaspoleon, do którego przybyli po południu, klasztor, »gdzie niegdyś bronił się Lucyfer Mahometowi, tak długo, jak Iljon, albo jak nasza piękna Częstochowa, kulami ryta«, leży pośrodku wielkiej, głębokiej doliny, pośrodku której »z łona zielonych krzewin i cyprysów« wyrasta ścianą prostopadłą »skała złota«. Wjeżdża się na nią »ślیمaczą drogą«, która, jak bluszcze kręta, węzłowata, prowadzi aż przed furtę klasztorną. Dokoła mu-

rów klasztoru, płaskiego jak wachlarz, bez wieży, bez dzwonnicy, widnieją domki, krużganki, kominy, galeryjki i sine okienka miasteczka Megaspoleon, które »ubrane w cyprysove wieże«, robi zdaleka wrażenie kilkunastu gniazd jaskółczych, przylepionych do urwistej ściany. W chwili, kiedy tu wjeżdżali Słowacki i Brzozowski, wszystko, skąpane w promieniach słońca, zdawało się »lekkim pajęczyny włóknem«. Skoro »karawana« ich zbliżała się do klasztoru, usłyszeli obwieszczający mnichom przybycie pielgrzymów odgłos dzwonka. Słowacki zauważył nawet na ganku dzwoniącego mnicha. Po chwili, kiedy się zatrzymali przed furką i pozeskakiwali z koni, otwarto się drzwi i wyszedł na powitanie archimandryta klasztorny. Słowackiemu przypomniało to ową chwilę, w której razem z Wodzińskimi stanęli przed klasztorem św. Bernarda w Szwajcarii. Po krótkiej wymianie pytań i odpowiedzi, z których okazało się, że chodzi o możliwość przenocowania w obrębie murów klasztornych, archimandryta zaprosił podróżnych do siebie, do swojej celi. Przechodząc przez dziedziniec, widzieli mnichów w błękitnych szatach, z czarnymi brodami, snujących się »w słońca złotego połysku«, jak rój komarów albo mrówek; jedni modlili się tylko, chodząc, drudzy kopalili, inni podlewali kwiaty, karmili ptactwo. Słowackiego interesowało niezmiernie to ciche życie klasztorne; nieraz bowiem, w chwilach zwątpienia i zmęczenia życiem, myślał o tem: czyby nie zostać mnichem.

Nazajutrz, dnia 13 września, po dobrze przespanej nocy na »łonie« sof tureckich, wyruszono ku Tripolisie, miastu, odległemu od klasztoru Megaspoleon o trzy dni drogi konno. A droga to była, jak się okazało, męcząca, »z góry na górę, z boru do boru«. Ziemia — jak powiada Słowacki — nie ma tu czego złożyć w stercie; koń dzwoni w głazy, depce chwast, dziewanny;

Czasem, po drodze, w rozłożystym mircie,
Widać rudery tureckiej fontanny,
Gdzie w kamień woda płacząca nie tętni,
Na które patrząc, nawet grecy smętni...
Taka głęboka przy fontannach cisza,
Tak ciemne mirty i tak liściem szumią
Nad fontannami, jak pacierz derwisza...
Ani po drogach bawiącej się dziatwy,
Ani człowieka w polu, ni na drodze,
Czasem szumiącym lotem kuropatwy
Porwą się w stado, tuż przy konia nodze,
I padną blisko... I znów cisza wielka.
Niebo tych czarnych gwiazdek pozbawione,
Wdzięcznie błękitne, zda się, że nad smętnym
Krajem przeszłości leży zamyśłone

Jakimś obrazem dawnym i pamiętnym
Tylko samemu Bogu, co w niem дума.

Kraj, którym przejeżdżali, zwał się w starożytności Arkadyą. Teraz była to kraina, której widok na każdym kroku przypominał ów sonet krymski o Bagczysaraju, na którego ścianach powój »pisze Baltazara zgłoskami *ruina*«. Wszystko tu milczące i wyschłe. Nie widać owych arkadyjskich pasterzy i pasterek, a jeżeli co wydaje się ironią, to owe słowa Schillera: *Und ich war in Arkadien...* Droga nierówna i pełna rozdołów, wije się najprzód pustemi płaszczyznami, poczem zagłębia się w długą, kamienistą dolinę, którą dojeżdża się aż do Tripolisy. Jest to miasto nawskróś tureckie. Czerwone dachy, minarety i kopuły, domy pomalowane na zielono i czerwono, uliczki wąskie, po bokach nędzne kramy szalów, materyj łokciowych, żywności i wscho-dniej galanteryi: oto ogólny charakter tej miejsciny, której jedyną, rzetelną ozdobą są istotnie przecudowne kobiety. Ich niebieskie oczy, wzrost wysoki, piersi jawne i piękność klasyczna świadczą aż po dziś dzień, że pochodzą z dawnej krwi Heraklidów. Niedarmo nazywa Homer Spartę »pięknemi niewiasty słynącą«. Sparta leży od Trypolisy o jeden dzień drogi. Słowacki miał wielką ochotę zwiedzić te miejsca, które były ojczyzną Agezylausza i Leonidasa, które widziały Menelaja i Helenę, jak podejmowali Telemaka, i na których tak przyjemnie byłoby deklamować głośno ów wiersz z *Odysei*: »Spieszono się w pałacu króla: słudzy przyprowadzili ofiary, przynosili wyborne wino, a ich żony, z czołem ozdobionem czystą przepaską, gotowały biesiadę«... Cóżby to była za przyjemność przejrzeć się w przezroczych wodach Eurotasu, tej rzeki, nad której brzegami rozegrał się niegdyś najpiękniejszy romans Parysa z Heleną, najpiękniejszego młodziana z najpiękniejszą kobietą, której sama Wenus zazdrościła urody... Niestety, trzeba by na to poświęcić kilka dni, a czas naglił i, co główniejsza, męcząca podróż konna w upał »przez wielkie pustynie, po głazach, chwastach i ruinach głuchych«, wyczerpywała sił ostatek. Trzeba więc było zrezygnować ze Sparty i przenocowawszy w Tripolisie, puścić się zamiast na południe, ku Sparcie, na północo-wschód — ku Nauplii nad morzem Egejskiem. Jakoż zawitano tam dnia 17 września, nad wieczorem. Słowacki upadał ze zmęczenia, za czem poszło, że wpadł w zły humor i że go w końcu (choć był to dopiero początek podróży) nic już nie interesowało. O tym jego niedobrym humorze daje najlepsze wyobrażenie początek pieśni VIII *Podróż na Wschód* (nieogłoszony w pismach pośm. Słowackiego) napisany bez-

pośrednio po przybyciu do Nauplii, a który brzmi, jak następuje:

Spoczęłem wreszcie... Przeklinam podróże!
Cztery dni konno, po chwastach i skałach,
Aż się Neapol włoski w miniaturze
Znalazł na morza Egejskiego wałach...

Nauplia, w wiekach średnich, za czasów wojen krzyżowych, Napoli di Romania nazywana, jest miastem greckiem. Położona nad malowniczą zatoką, z fortyfikacyami Palamida na wierzchołku góry, z wysepką niedaleko brzegu, na której widać ruiny średniowiecznego zamku, z uliczkami wązkiemi, z domami wysokimi, staroświeckimi, ze sporym i dość ożywionym portem, ze straganami nad brzegiem morza, gdzie można dostać *frutti di mare*, robi istotnie wrażenie — jak ją nazwał Słowacki — Neapolu w miniaturze. Nie dziw więc, że przybywszy tu i zamieszkawszy w hotelu *Agamemnon*, jedynym w Nauplii, mimowoli przypomniał sobie pobyt swój w Neapolu, że mu się żywo uprzytomniły owe rozmowy wieczorne z Teofilem na ganku przy ulicy Santa Lucia, kiedy

Patrząc na księżyc i na sine domy
Łucyi wybrzeża, i na ciche morze,
Które się kładło przy złocistym wianku
Białych sklepików,

siedzieli w wygodnych fotelach i, paląc cygara hawańskie, gawędzili do późna w noc.

O dwie wiorsty od Nauplii, z której wyruszyli nazajutrz, dnia 18 września, znajdują się ruiny zamku Tiryus, stojące na pograniczu starożytnej Argolidy, a ponieważ powierzchni rzut oka na te zwaliska olbrzymich bloków najzupełniej wystarcza, nie zatrzymano się tu długo, i Słowackiemu bowiem, i Zenonowi pilno było zobaczyć Argos, od którego oddzielała ich godzina drogi zaledwie, a które, jako ojczyzna »króla królów« Agamemnona, więcej budziło interesu, aniżeli resztki dzieła Protasowego. Niestety i tutaj czekało ich rozczarowanie, to zwykłe uczucie podczas podróży. Na miejscu dawnego Argos, wsławnego przez Homera i Eschyla, znaleźli wioskę, porządniejszą wprawdzie i ludniejszą od bardzo wielu w Morei, ale wioskę, która, pomimo schludnych domków, jakiemi się odznacza, pomimo żaluzji i kwiatów w oknach, jakie się tu spotyka dość często, pomimo smukłych topoli włoskich, cytryn, pomarańcz i cyprysów, jakie ją zdobią, i pomimo malowniczego pejzażu, którym otoczona, morza z jednej strony, a z drugiej zaś gór Cynury i Arkadyi, niczem nie przypomina możnej

stolicy Atrydów. To też popasali tu bardzo krótko, spiesząc szeroką, piaszczystą drogą, wśród rozległych pól, do wioski Charvati, gdzie się oglądać zwykło ruiny dawnej świątyni Junony, t. zw. *Heräonu*. Przedtem, opuszczając Argos, zwiedzili prawdopodobnie stary amfiteatr tamtejszy, wykuty w żywej skale, a w którym, jak mówią, mogło się ongi pomieścić 20,000 widzów. *Heräon* — kilka kolumn korynckich wśród nagich pól — mógł do wyobraźni Słowackiego przemówić ślicznem podaniem, przywiązaniem do tej świątyni, podaniem o dwóch braciach, Kleobisie i Boitionie, którym bogini, za ich poszanowanie i poświęcenie dla starej matki, udzieliła najlepszy dar, jaki można otrzymać na ziemi: śmierć łagodną i słodką. Niewiadomo tylko, czy Giuliano — bo tak się nazywał przewodnik Słowackiego i Brzozowskiego — opowiedział im tę poetyczną legendę.

Po obejrzeniu *Heräonu*, zdąży się do zwalisk Mycen, które już leżą w górach korynckich. Okolica, którą przypada droga, nudna i pusta; gdzieniegdzie tylko, jak zwykle w okolicy niegdyś zamieszkanej, która nadto była widownią licznych wypadków, widać ślady dawnych murów, stosy gruzów, kamieni. Takim stosem gruzów jest także, między innemi, i słynny pałac Agamemnona i prowadząca doń — jeszcze sławniejsza — brama lwów. Zarówno ta brama, jak i ten pałac, nie robiłyby najmniejszego wrażenia, gdyby nie myśl, że tutaj rozegrał się straszny dramat, który później Eschylus unieśmiertelnił w swojej *Orestei*, że tutaj odbyła się owa uczta, na której Atreusz ugościł brata swojego, Tyestesa, potrawą, przyrządzoną z mięsa dwóch małych jego synków, że tutaj wiarołomna Klitemnestra, do spółki ze swym kochankiem Aegistem, zabiła powracającego z pod Troi Agamemnona i biedną Kassandrę, że tutaj, mszcząc śmierci ojca, zabił matkę swoją Orestes. Gdyby nie te wspomnienia, nie byłoby po co przyjeżdżać do Myken. Nie więcej interesu przedstawiałby w zwykłych warunkach znajdujący się nieopodal pałacu słynny grób Agamemnona, słynny od chwili zwłaszcza, kiedy w nim było smutno Słowackiemu. Będący tu na kilkanaście lat przed Słowackim jeszcze Chateaubriand tak grobowiec ten opisuje: »Jest to pomnik podziemny, okrągłego kształtu; światło do niego dochodzi przez otwór w sklepieniu; zresztą niczem się nie odznacza; chyba tylko prostotą budowy. Wchodzi się doń przez rozkop, dotykający do bramy grobowca. Brama ta ozdobiona była pilastrami z niebieskawego marmuru, wyciosanego w górach pobliskich. Lord Elgin kazał otworzyć ten grób i wyrzucić ziemię, która jego wnętrze

zawalała. Nizkie drzwi prowadzą z głównej izby do drugiej, mniejszej. Gdym się bacznie przypatrzył, poznałem, że ta druga izba jest prostym wykopaniem, zrobionem za obrębem grobowca; bo niema tam ścian murowanych. Małe drzwi były zapewne drugim wniściem do grobowca. Czy dawniej skrywał się on pod ziemią, jak rotunda w katakumbach w Aleksandryi? Czy też wznosił się nad ziemią, jak grób Cecylii Metelli w Rzymie? Czy był ozdobiony architekturą zewnętrzną i jakiego porządku? Wszystkie te kwestye pozostały niewyjaśnione. Nic nie znaleziono w tym grobie i nie jest nawet rzeczą pewną, iż to był grób Agamemnona, o którym wspomina Pauzaniasz«. O ileż piękniej, poetyczniej, plastyczniej wreszcie, opisał Słowacki ten »grobowiec sławy, zbrodni, pychy«, w którym Atrydów popioły »spią pod świerszczów strażą»:

Druidyczna to z głazów wielkich grotą,
Gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać
I ma Elektry głos. Ta bieli płótno,
I odzywa się z laurów: jak mi smutno!
Tu po kamieniach z pracowną Arachną
Kłóci się wietrzyk i rwie jej przędzywo.
Tu cząbry smutne gór spalonych pachną;
Tu wiatr, obiegłszy górę ruin siwą,
Napędza nasion kwiatów; a te puchy
Chodzą i w grobie latają, jak duchy.

Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie
Przed nadgrobowem pochowane słońcem,
Jak gdyby chciały nakazać milczenie,
Sykają... Straszny jest Rapsodu końcem
Owo sykanie, co się w grobach słyszy:
Jest objawieniem, wielką pieśnią ciszy.

Nad drzwiami grobu, na granitu zrębie,
Wyrasta dąbek w trójkącie z kamieni;
Posadziły go tu wróble lub gołębie
I listkami się czarnemi zieleni,
I słońca w ciemny grobowiec nie puszcza...

Na pytanie zaś, jakich uczuć doznał w tym grobowcu Słowacki, odpowiedź znajduje się w jednym z listów do matki, pisany z Paryża w listopadzie roku 1839, i w *Grobie Agamemnona*. Oto odnośny wyjątek ze wspomnianego listu: »Czy wiesz, że ja siedziałem *sam jeden* całą godzinę w grobie Agamemnona, i myślałem o moich zbrojach błaszanych, zalewając się łzami, a świerszcze polne mówiły *cys!* jak gdyby nimfy przeszłości, nakazujące milczenie«.

III.

Z pól myceńskich, gdzie natchnienie Słowackiego dosięgło jednego z najwyższych szczytów, jakie mu wogóle osiągnąć było sędzone, zdążyli jeszcze na noc do Koryntu, po drodze obejrzawszy prawdopodobnie ruiny Nemei, miejsce słynnych w starożytności *igrzysk nemejskich*. Juliusz od chwili, jak wstąpił w grób Agamemnona, był smutny, skwaszony tak dalece, że to nawet, co tu zapisał — a przynajmniej zanotował — w swoim »dzienniku« zgoła było niepodobnem do pierwszych ósmiu pieśni tego »rymowego baletu«. Sykstyny, skreślone pod wpływem *Grobu Agamemnona*, albo na widok żorawi, które »nad Koryntu górą rozciągnęły łańcuch ku północy« (a rzucone na papier najniezawodniej wieczorem, po przybyciu do Koryntu) jeżeli zasługiwały na jaką teatralną nazwę, to nie baletu — jakkolwiek ta nazwa tak trafnie charakteryzowała lekki ton poematu — ale tragedyi. Poeta mówi w nich wyraźnie o swojej »piersi ponurej« w tej chwili, o swego »serca niedoli«, o swojej »dzikiej tęsknocie«, o swojej »myśli posępnej i ciemnej«, o łzach, które tu miał w oczach, kiedy »wspomiał los swój« etc. Otóż, za przyjazdem do Koryntu »odbiegła mię moja tęsknota«, powiada:

Ztamtąd albowiem oko *tęskne* wita
Kraj cały, żyzny, zielony, szeroki,
Przerżnięty wstęgą korynckiej zatoki.

Nigdzie tak piękne i tak szafirowe
Morze nie świeci, jak tu w tej dolinie;
Kiedy przez szarą drzew oliwnych głowę
Oko na morze to błękitne wpłynie,
To zamyślane odwrócić się nie chce,
Tak go ten błękit rozwidnia i łechce.

Korynt sam, miejsce dawnych igrzysk isthmijskich, ustanowionych przez Tezeusza, a opiewanych przez Pindara, nie zrobił na poecie bardzo silnego wrażenia; bo, jak powiada w swoim wierszowanym dzienniku,

Korynt dzisiaj, to chatek gromady;
Nad niemi kolumn niewielkich wierzchołek,

które to »siedm kolumn dorynckich ze szczątkami architravów u wierzchu« jest wszystkim, co pozostało z owego świetnego grodu, o którym mawiali Rzymianie, że *Non cuivis homini contingit adire Corinthum*, a które już ślepy Homer nazywał »bogatym Koryntem«. Nie zmienił się tylko pejzaż, »jeden z najpiękniejszych krajobrazów na

świecie«. Szczególniej, kiedy mu się przyglądać — jak Słowacki — ze szczytu t. zw. Akrokoryntu, gdzie za czasów staro-greckich stała świątynia Afrodyty Uranii, a dziś są jeszcze szczątki dawnego bizantyjskiego kościoła chrześcijańskiego, przez Turków zamienionego na meczet. Słowacki, wszedłszy tu, kiedy się rozejrzał dokoła, wspomniawszy dawne arkadyjskie czasy sielanek pasterskich i mimowoli ogarnęła go nostalgia za tą idylliczną przeszłością...

W świątyni dwie młode Greczynki
Miotłami z zieleni zmiatały na kopce
Czarne od prochu korynckie rodzyńki,
A na kolumnach ściganych małe chłopce,
Pasterze, w dudki z trzciny wycięte grali.
Kilka baranów sennych, i tam dalej...

Już wiesz, jakie są obrazy sielanek.
Lecz nie widziałeś ich na greckiej ziemi;
Ten smutny kolumn już beżennych wianek,
Te drzewa żywe, co z marmurowymi
Takimi są tu nieraz przyjaciół,
Jak u nas lipy z wiejskimi kościołami.

Tu słońca krwawy blask czerwieni niwy,
Pełny baranów cień każdej kolumny,
I pełny owiec cień każdej oliwy...
Tu duch przeszłości spokojność rozlewa
Na śpiące owce, na pasterzy twarze;
Zefir się rzadko na trawy rozniewa
I Jowisz rzadko tu piorunem karze.
Wszystko zamknięte na wiekowe bliźny.

Dookoła, jak okiem sięgnąć, winnice, będące źródłem bogactwa tej okolicy, rozpościerają świeżość i żyzność po całej przestrzeni. W dole bielą się gromadkami, pośród morw, pomarańcz i cyprysów, domy miasta Koryntu. Cały Peloponez leży, jak na dłoni. Między morze Korynckie wygląda, jak wązki pasek ziemi pomiędzy dwoma morzami. Ku północy sterczy Parnas, pokryty śniegiem: »w hełmie z błyskawicy,

Czuwa, i cicho sny bogów nastrocza,
Co się w powietrzu unoszą, jak tęcza«.

Ku wschodowi ciągnie się szczyt Helikonu, tworząc jakby podwójny garb wielbłąda. Nieco dalej świeci swoją spadziastą ścianą pasmo gór Gerania. W głębi, owiana mgłą oddalenia, majaczeje góra Hymettos, siedlisko słynnych pszczoł z Hymetu, o których myśląc, pięknnością tego widoku rozmarzony, żałował Słowacki, że nie jest tu — owiec pasterzem, panem tej winnicy, panem tej chaty, co stoi tam, nad morzem.



O słońca wschodzie wstawałbym, pobożny,
Od moich owiec raniej, od jaskółki;
Do mnieby gołąb zlatywał nietrwożny,
Z Hymetu by się zlatywały pszczołki,
I kładły miody w złamanej kolumnie.
Bóg byłby ze mną i spokojność u mnie.

Na takich i tym podobnych marzeniach, połączonych ze wspomnieniami Jazona i Medeji, tudzież św. Pawła apostoła, który aż dwa listy napisał do Koryntów, upłynął Słowackiemu cały czas w Koryncie, z kądem, zabawiwszy tu do wieczora, na noc — a była to piękna noc księżycowa — ruszono do Kalamaki, małego miasteczka nad Lepan-tem. Przybywszy tam, już późnym wieczorem, ugodzono czółno, »kaik skrzydlaty«, którym, pod opieką pomyślnego wiatru i dwóch dzielnych majtków albańskich, spodziewano się nazajutrz dobić szczęśliwie do Aten. Tymczasem, kiedy łódź wypłynęła na morze, wypadało pomyśleć o spaniu. Jakoż Brzozowskiemu nie trzeba było dwa razy tego powtarzać, że pora powierzyć się Morfeuszowi. Słowackiego jednak, choć był zmęczony także, nie zdołało usnąć nawet chrapanie towarzysza. Wolał przy świetle latarki pisać, w antraktach zaś gawędzić z marynarzami. Oto wrażenia, które spisał podczas tej przeprawy:

Patrz, błękitna woda
Igra pod moją kaiką skrzydlatą;
Łódka przez fale rozbudzone pędzi,
Jak najkształtniejszy z Olimpu łabędzi.
Przez natchnione żagle księżyc błady
Pokazuje mi majtki zadumane;
Stoją jak dawni rycerze Hellady,
O maszt oparci. Złotem haftowane
Pancerze mają i białe kapoty.
Księżyc jest na nich błękitny i złoty.

Ten złoty blask księżycy i ta cisza nocna, zakłócana tylko klekotem fali, opłukującej burt łódki, usposabiała do marzeń i do słuchania bajek. Słowacki, rozmawiając ze starym majtkiem, potrafił o ten temat; okazało się, że stary marynarz nosił w pamięci swej obfity zapas podań miejscowych i że nie trudno było go nakłonić, ażeby opowiedział niektóre z nich. Jakoż opowiedział ich kilka poecie, a ten, usiłując odgadywać, czego nie rozumiał, słuchał uważnie, z przejęciem.

Jedna zwłaszcza legenda zrobiła na nim silne wrażenie, legenda o pewnym harfiarzu. »Stary i ślepy harfiarz z wyspy Scio — mówił majtek, przyszedł raz nad brzegi morza Egejskiego, a usłyszawszy z wielkim hukiem łamiące się fale, myślał, że szum ów pochodził od zgiełku

ludzi, którzy się zbiegli pieśni rycerskich posłuchać. Oparł się więc na harfie i śpiewał pustemu morza brzegowi; a kiedy skończył, zadziwił się, że żadnego ludzkiego głosu, żadnego westchnienia, żadnego pieśń nie zyskała oklasku. Zniechęcony tem, rzucił harfę precz, daleko od siebie, a te fale, fale, które śpiewak mniemał tłumem ludzkim, odniosły złote narzędzie pieśni i położyły mu je przy stopach. I odszedł od harfy swojej smutny Greczyn, nie wiedząc, że najpiękniejszy rapsod nie w sercach ludzi, lecz w głębi fal Egejskiego morza utonął.

Tak upłynęła noc. Zaczęło świtać.

I z wolna wschód się oczerwienił siny.
Po nad Pireą powiał wiatr świeży,
Łódź się wśród morskiej wzdrygnęła równiny,
Jak rycerz, gdy go w piersi wróg uderzy.
Była to pierwsza fala Salaminy:
Szła od mogiły, gdzie Temistokl leży,
Zatrzęsła łodzią, wkoło ją obesła,
Zagrzmiała, jęła żałośnie i przeszła...
A za nią inne fale z wielkim gwarem
Od brzegu biegły, szerzące wzdychania,
Jutrzenka żywym spłonęła pożarem.
Słońce już było blizkie swego wstania.

Słowacki powstał. Tańczyły różane bryły fal, a droga okwiecała się świtem niebios, kiedy nagle, w ogromnej powadze, »jak król na dywanie«, buchnęło czerwone słońce. Ale, o dziwo! zamiast wstać z mogiły Temistokla, jak z mogiły Boga zmartwychwstający anioł blasku, siły, wyszło ztamtąd, gdzie był złoty tron nieprzyjaciela Grecyi, z kąd Xerxes patrzył na dzieło zniszczenia, z kąd widział, jak tył podawały floty perskie, z kąd przypatrywał się odwadze Greków! »O głupia gwiazda!« pomyślał sobie Słowacki i zaczął w duszy uragać grobowi, jeszcze pograżonemu w ciemnościach, i morzu, które chodziło w łańcuchu; i obrócił się w stronę, gdzie stał niegdyś złoty tron dumnego władcy Persów,

Bo tak stać musiał, gdy ginęły floty,
I za kraj marli rozpaczni obrońce,
Xerxes na tronie tym, ubranym w słońce!

Wkrótce, już o zachodzie, ujrzano Ateny i Akropolis, zaróżowione od promieni słonecznych. Na widok tego grodu, w którym żyli Perykles i Aspazya, w którym tworzyli Fidiasz i Praxiteles, w którym nauczali Sokrates, Platon i św. Paweł, który słuchał złotoustej wywowy Demostenesa, który oklaskiwał tragedye Eschyla, Sofoklesa i Eurypidesa, który się śmiał na rubasznych komedjach Arystofanesa, Słowackiemu

z pewnością silniej zabiło serce. Bo oto dojeżdżał do miasta, o którym tyle się naczał w dzieciństwie, marząc zawsze, ażeby je zobaczyć kiedyś, ażeby powietrzem jego odetchnąć. I widział je teraz, bielejące nad błękitem morza, uwieńczone murami Akropolisu, które zdawały się doń uśmiechać, jak gdyby go, witając, zapraszały w gościnę. Na pierwszym planie widniał port Pyreus, zjeżony masztami okrętów, w głębi zaś, odbite od ciemnego tła gór Hymetu, błękitniało miasto, z białym pałacem królewskim na przodzie, z mnóstwem płaskich dachów, pomieszanych z cyprysami, minaretami, wieżami kościelnymi i ruinami.

Cały tydzień zabawił Słowacki w Atenach, od 20 do 27 września. Niestety, w teraźniejszym grodzie Tezeusza, oprócz ruin, śladów dawnej świetności, nie ma nic ciekawego do oglądania. Nowocześni atenczy, jak i nowocześnie gmachy ateńskie, najmniejszego nie budzą dla siebie interesu. Dlatego też, kto tu nie umie oddychać atmosferą przeszłości, kto nie jest zdolny odtwarzać jej sobie w wyobraźni, ten wyjedzie z Aten rozczarowany, z uczuciem niesmaku. Słowacki wyjechał zachwycony. »Grecya — pisał do matki — pełna ruin przecudownych, podobała mi się bardzo i bardziej, niż Rzym, mię zachwyciła«. O tem zaś, że miał tu Ateny na myśli i Akropolis, niepodobna wątpić. Oglądanie takich cudów architektury, jak świątynia Minerve, jak karyatydy Erechtejonu, jak szczątki Propyleów, jak kolumna Partenonu, jak świątynia Tezeusza, albo miniaturowa świątynia Nike Apteros (tem będąca w architekturze greckiej, czem paryska *Sainte Chapelle* w gotyckiej) absorbowало go tak dalece, że nawet nie znajdował czasu na spisywanie swych wrażeń, na kontynuowanie swojego »rymowego baletu«, który, z chwilą przyjazdu poety do Aten, urywa się nagle. Godzinami całemi przesiadywał, sam albo z Brzozowskim (choć wolał sam), wśród pożółkłych marmurów Akropolisu, studyując pojedyncze odłamy rzeźb, pomiędzy którymi były moze i fragmenty arcydzieł Fidyasza; wieczorami zaś, kiedy wstęp na Akropolis wzbroniony, lubił oddawać się medytacyom nieopodal, na stopniach olbrzymiej świątyni Jowisza Olimpijskiego. Zdarzało się nieraz, że go tu zastawał wschodzący z za gór Hymetu księżyc. Chwile te, na ruinach tego pizystratowego *Niedokończonego poematu* spędzone, niezatartemi zgłoskami zapisały mu się w pamięci. Jeszcze w liście swym z dnia 21 sierpnia 1837 roku pisał o nich z Florencyi do matki z widocznem rozrzewnieniem: »O, piękniej było, kiedym *sam* siedział przy księżycu między kolumnami olbrzymiego kościoła Jowisza u stóp Akropolis Ateńskiej: wiatr, prze-

dzierając się przez te kolumny, grał na nich, jak na organie. O, wiele ja miał cudownych chwil w życiu! Na cóż więc ta gorycz, z jaką czasem piszę o stanie mojej duszy? Gwiazda, co mnie świeci, piękniejszą jest od wielu innych«.

Dopełnieniem tych słów, będących niezaprzeczenie doskonałym streszczeniem wrażeń, jakich poeta doznał pod turkusowem niebem Grecyi, jest następujący wiersz Słowackiego, skreślony około r. 1846, a będący wspomnieniem tej podróży po klasycznej ojczyźnie Fidyasza.

I byłem jeszcze tam, gdzie Ateńczyki
W lasach oliwnych gwarzyli poważnie,
Duchem być sądząc wodę lub płomyki,
A prawdą: przeciw nędzom stać odważnie.
Więc i tam, Panie, pod temi niebiosy
Turkusowemi, kiedym słuchał, blady,

Leciały do mnie różne prawdy głosy,
Jak echa od harf umarłej Hellady.
A jednak smętny odszedłem od echa
Partenońskiego, gdzie marmur różany
I gładki wiecznie z nieba się uśmiecha,
Jak Wenus w srebrne wracająca piany
Zkąd była wyszła kwiatem...



ROZDZIAŁ IV.

W EGIPCIE.

I. Wyjazd z Aten. Wyspa Syra. Hermupolis. Przepisywanie »rymowego baletu«. Wyjazd do Aleksandryi. Tydzień na morzu. »Smutno mi, Boże!« Aleksandrya. Pierwsze wrażenie Wschodu. Hotel *Pod złotym orłem*. Pierwszy wieczór w Aleksandryi. Wiersz *Do Teofila Januszeńskiego*. Opisy Wschodu w *Beniowskim*. Kolumna Pompejusza. Igła Kleopatry. (27 września — 28 października). II. Wyjazd do Kairu. Wrażenie Kairu. List z Genewy. Wiadomość otrzymana »na piramidzie«, że panna Wodzińska idzie za mąż. *Odwiedziny Piramid*. Wiersz *Piramidy*. *Pieśń na Nilu*. *Rozmowa z Piramidami*. Nocleg w grobie Ramzesa. Powrót do Kairu. Towarzystwo Ziomków. Wyjazd do Teb. (28 października — 6 listopada). III. Podróż Nilem. Wiersz *Nz Nilu*. Wspomnienia Maryi Wodzińskiej. Jej imię »na piasku wilgotnym«. Denderah. Spotkanie z Hołyńskimi. Ruiny. Almee. Katarakta Nilu. Teby. Posąg Memnona. Powrót do Kairu. Powtórne spotkanie z Hołyńskimi. Używanie życia. Aleksander Hołyński i Arabka. Rozstanie z Hołyńskimi (6 listopada — 15 grudnia). IV. Droga przez pustynię. Nocleg w grobowcu Szecha. Przybycie do El Arish. Doktor Steble. *Geneza Ojca zadżumionych*. Opowiadanie dragomana. Burza. Boże Narodzenie. Nowy Rok. Panna Malagamba. Wyjazd z El Arish (15 grudnia — 2 stycznia).

I.

Z Aten miano podążyć do Egiptu. Ponieważ okręt jednak, płynący do Aleksandryi (z Marsylii), nie zatrzymywał się w samych Atenach, tylko zabierał pasażerów, jadących z Grecyi, w porcie wyspy Syry, jednej z licznych wysp Archipelagu, od Aten odległej o kilka godzin drogi statkiem parowym; więc trzeba było, oczywiście, najprzód pojechać do Hermupolis, będącego stolicą i głównym portem Syry, i ztamtąd dopiero, doczekawszy się okrętu, że-

glować dalej. W tym celu, dnia 27 września, nad wieczorem, pożegnano gród, który *jest Tezeusza a nie Hadryana*, i obrawszy drogę na Syon, nazajutrz rano, o świcie, wylądowano w Hermupolis. Jest to jedno z najważniejszych miast Archipelagu. Położone nad morzem, na pochyłym brzegu, co je podobnem czyni do amfiteatru, z domami, obróconemi frontem do portu, tak, iż z zapadnięciem nocy miasto całe wygląda, jak gdyby było świetnie uiluminowane, z ulicami wązkimi, brudnymi i stromemi, tak, iż ciągle prawie chodzić trzeba po stopniach kamiennych, z murami domów, pomalowanemi na zielono i niebiesko, co się bynajmniej nie przyczynia do upiększenia miasta, z ruchem na ulicach *par excellence* handlowym, prozaicznym, nie przedstawia Hermupolis dla człowieka, jak Słowacki, najmniejszego interesu. To też nudził się tam, jak na pustyni, i z pewnością dałby niemało za to, żeby się mózż ztąd wydostać czempredzej. Na nieszczęście okręt, z taką niecierpliwością wyczekiwany, dawał czekać na siebie. Z nudów tedy — bo co było robić — zaczął Słowacki — tutaj prawdopodobnie — przepisywać na czysto swój »rymowy balet« z podróży po Grecyi. Jakoż zdążył przepisać dziewięć pierwszych pieśni, t. j. zdaje się wszystko, co miał napisane w brulionie, kiedy przyszła wiadomość, że okręt, mający zawieść ich do Aleksandryi, przybył nareszcie. Nareszcie! Jakoż zdaje się, że jeszcze tego samego dnia odbito od brzegu i, kiedy zapadła noc, Hermupolis skryło się w ciemnościach. Można być pewnym jednak, że zarówno Słowacki, jak i towarzysz jego, bez szczególnego utęsknienia żegnali się z tem miastem; dla nich bowiem żądnych wrażeń i rozmaitości, była to wyspa zabijających nudów, razem ze swoją stolicą.

Coprawda, to i na okręcie, podczas dziewięciodniowej przeprawy morskiej nie było wiele weselej; ale przynajmniej opromieniała ją myśl, że ich niebawem czekają cuda Afryki, że maluczko, a zobaczą Egipt, piramidy, ruiny Teb, Kair, katarakty Nilu, pustynię, etc. Swoją drogą, nie przeszkadzało to Słowackiemu dać się opanowywać smutkowi i owej tęknocie, która mu tak często, z łada powodu, czarnym kirem otulała duszę. Tak np. dnia 20 października, na kilka godzin przed przybyciem do Aleksandryi, kiedy o zachodzie słońca ujrzał stado bocianów, ciągnące z północy (może z Polski? — pomyślał sobie poeta) ku południowym strefom, zrobiło mu się w jednej chwili tak smutno, tak beznadziejnie, że nie brakło wiele, a miałby w oczach łzy.

Tu jednak, na szczęście, uwaga Słowackiego nagle została zwrócona w inną stronę, tak, iż smutek, jaki nim

owładnął chwilowo, musiał ustąpić wrażeniom konkretniejszym o wiele: zbliżano się do Aleksandryi. Świtało. Na horyzoncie, »jak złocistego piasku dzierzgany obrąbek«, ukazała się ziemia. Zbudzony okrzykami marynarzy: »Ziemia! ziemia! ziemia!« Słowacki wyszedł na pokład, ciekawy widoku lądu, którego nie widział już od tygodnia przeszło (zwykle uczucie w czasie podróży morskiej); a powtórę: miał zobaczyć po raz pierwszy Afrykę! Okręt, pędzony pomyślnym wiatrem, szybko pomykał naprzód; Aleksandrya zaczęła się coraz wyraźniej wyłaniać ze mgły. W końcu zaczęto rozróżniać pojedyncze gmachy, minarety, palmy, maszty okrętów.

Rzekłbyś, że biały siedzi na piaskach gołąbek,
Przypatrując się sobie w zwierciadlanej fali:
A to był pałac wielki Mahometa-Ali.
Rzekłbyś, że przed nim resztki wieśniaczego płota
Sterczą: to była Ali-Mahometa flota.

Niebo nad miastem rumieniło się brzaskiem przedświt, co w języku Słowackiego, kolorystycznym i jaskrawym, jak pędzel Weroneza, nazywało się, że nad brzegiem »leżała niesplamiona purpura przedwschodnia«:

Na niej stada gwiazdeczek białego lazuru,
I jedna tylko palma, na prawo, z marmuru,
Otoczona rojami nieśpiących wiatraków...

Tak ukazały się Słowackiemu brzegi afrykańskie, »smutne, jak powiada, obumarłymi południka śniegi zasypane, pod nieba sklepionego łuną, długą i rozciągniętą położone struną«. Niebawem weszło słońce, dzięki czemu matowy aż do tej chwili krajobraz ożywił się w mgnieniu oka; z obumarłej, długiej struny, wypadły na strop niebieski, »jak z boskiego łuku« wystrzelone, ogniste snopy strzał słonecznych; w powietrzu zamigotała jakby mgła złota, a w duszę poety, wraz z promieniami słońca, wstąpiła pogoda.

Kiedy wysiadł na brzeg w porcie aleksandryjskim, »gdzie się jeszcze trzyma latarnia morska, świecąc puszczyków oczyma«, był już w brylantowym humorze; wszystko go bawiło, interesowało, pobudzało do śmiechu, a przede-wszystkiem horda oślarzy, która »osiółkami drogę zwężoną przegradza,

Chwyta, piastuje, z ziemi podnosi i sadza
Na szybkołotnym ośle, razów mu nie szczędzi,
Aż, biegnąc, pod *Złotego orła* cię zapędzi.

»Złoty orzeł« to godło hotelu, do którego się wieść kazali, a który, położony niedaleko portu, posiadał z okien

cudowny widok na morze, na bulwar i ruch portowy, co Słowackiemu przypomniało zaraz Neapol, jak tego dowodzi ów wzorowany na Lemartine'ie wiersz *Do Teofila Januszeńskiego*, napisany drugiego dnia po przybyciu do Aleksandryi, a w którym Słowacki zaczyna opis tego miasta od opisu widoku z ganku hotelu Santa Lucia — w Neapolu:

Gdzie dziś Neapol jasny? Kto zasiadł nasz ganek?
Kto patrzy na rybackich sklepów złoty wianek? itd.

Podobny »rybackich sklepów złoty wianek« widział Słowacki i z teraz okien hotelu *Pod złotym orłem*; z tą różnicą, że tutaj panujący na brzegu zgiełk odznaczał się jaskrawszym jeszcze, aniżeli w Neapolu, kolorytem.

Tu przeszywany złotem, przetkany bławatem,
Chce być człowiek bawiącym oczy twoje kwiatem;
Nawet w ubiorach ludu taka rozmaitość,
Że cię wkrótce dusząca opanuje sytość
I szukasz zmrūżonemi oczyma błękitu.

Wszakże, mimo tę »sytość duszącą« podobало się wszystko to Słowackiemu nadzwyczajnie: patrząc na te wschodnie ubiory, zawoje, burnusy, na te fellah'y etc., doznawał złudzenia, że się znajdował w poetycznym świecie Byrona i Moora; w każdym przechodzącym Arabie widział samych Korsarzów i Giaurów: każdą Arabkę uważał za poetyczną Zulejkę lub Gulnarę. Ich strój orientalny, ich twarze zakryte gazą, ich »oczy błyszczące, jako dwie grotnice, przez dwa białe otwory«, ich chód lekki, ich spojżenia powłóczyste, wiodące na pokuszenie, a przywodzące na myśl »rzeczy złe i zdrożne, o których książki mówią już nabożne«, oddziaływały pobudzająco na jego wyobraźnię: był niemi zachwycony poprostu, tak dalece, że jeszcze w lat kilka potem pisał o nich w *Beniowskim*, co następuje:

Czasami wielkim robrontem skrzydlata,
Bowiem kobiety wschodnie chcą być grube,
Leci ogromna czarna trumna, chata,
Jak okręt, co ma parę albo szrubę
Ukrytą wewnątrz, i blisko przelata;
Ujrzałeś tylko widmo, czarną szrubę,
Oczy świecące przez dwa białe kółka;
Na dole głowę i ogon... osiołka.

Z jedwabnym ciebie minęła szelestem,
Oczyma tylko łysnęła: lecz okiem,
Już myślisz, że cię spytała: kto jestem?
Już myślisz, że to Wenus pod obłokiem,
Że to jest ogień, który pod azbestem,
Pod niespaloną szubą i szlafrokiem

— 197 —

Płonie, i z drogi cię cnoty oddali,
A jeśli dotkniesz go, na popiół spali.

Jednak... częstokroć tak nie jest! Rendez-vous
Gdzieś na cmentarzu dane, dyable myli,
Cyprysowemu ją zostawisz drzewu
Cieszyć, i kłniesz wiatr, co szubę odchyli,
Lecz wtenczas tyle jest wschodniego gniewu,
Taki jest wybuch, że dla krotchwilli
Wrócisz, i ogień hamujesz powoli.

Ostatnia strofa świadczy, że zakwefione kobiety w Aleksandryi nie tylko podobały się Słowackiemu (niezawodnie i Brzozowskiemu także), ale nawet, że naznaczał niektórym z nich *rendez vous* wśród ustronnej ciszy miejscowego cmentarza, czego jednak żałował później.

Niemniejszy zachwyt budziły w nim dziewczęta egipskie (etyopskie): najlepszy dowód, że ich nie przepomniął w swym poetycznym liście *Do Teofila Januszeńskiego*:

Tu pilnująca głową równowagę dzbanka,
Wypreżona przy murach staje Egipczyanka,
Podobna Karytydzie, w ścianę wmurowanej;
Jej koszula, posłuszna piersi z brązu lanej,
Nad łonem się podnosi i na dół opada,
O każdy kształt jak wodna łamiąc się kaskada.

Wogóle pierwsze wrażenie, jakie odniósł z miasta i życia wschodniego, wypadło nader korzystnie pod każdym względem; wszystko mu się tu podobało: począwszy od owego różnorodnego gwaru na ulicach »gliną i rogożą sklepionych«, od owych »świecących sklepików« na bazarze; a kończąc na wielbłądach, owych »wschodnich ubogich krajów wozowodach«, a zarazem »okrętach pustyni«, z których każdy, »jako struś wygląda,

Skrzydła ma z worków, a gdy przed gospodę
Przyjdzie i stanie, to skórzane boki
Leją fontanny dwie i dwa rynsztoki.

Niemniej bawił go widok osiołków, które, poganiane przez swych właścicieli, »gości po ulicach wożą«. Gdziekolwiek się obrócił, wszędzie »radosnych pełno tłumów i okrzyków«.

Strzeż się! bo zdepcą i w błocie położą.
Gdzie pełno leży zgubionych trzewików...
Rzekłbyś, że pod tą żydowską hołotą
Drugim krwawnikiem brukowane błoto.

Cały pierwszy dzień upłynął mu na zwiedzaniu starej arabskiej, i nowej europejskiej, dzielnic miasta; wieczorem zaś, kiedy na niebo wytoczył się księżyc w pełni, prze-

obrazila się Aleksandrya odrazu — dla Słowackiego przy-
najmniej — w jakieś fantastyczne widzenie z *Baśni tysiąca
i jednej nocy*. Poprostu nie spodziewał się znaleźć takich
cudów. Patrząc na te kopuły meczetów, na te wysmukłe
stożki minaretów, na te bramy saraceńskiej architektury,
na te wystające okna (pomiędzy którymi były może i okna
haremów?) zasłonięte drewnianem kratowaniem, bardzo mi-
sternem niekiedy, na te białe, wapnem malowane domy
bez dachów, wzrok jego, zmęczony w ciągu dnia oślepia-
jącym blaskiem słonecznym, nie tylko wypoczywał teraz,
ale i napawał się poezją tego widoku; wszystko bowiem,
w seledynowem świetle miesięcznem skąpane, miało w so-
bie coś rozmarzającego, nastrajającego niezwykle, poety-
cznie. Całe miasto było »w światła roju«, jakby uilumino-
wane; nad drzwiami bazarów i sklepów, w sklepieniach
bram, na krużgankach minaretów, w oknach domów, przed
każdą sienią, wszędzie, jak okiem sięgnąć, wisiały »różne
z tureckiego łożu ramazynowe lampy«, które, mieniać się
swemi różnokolorowemi szybkami, wyglądały, »jak wieńce
z kwiatów na szafiru łące«.

Bo minarety, co je w niebo niosły
Tak były lekkie, jakby swe kwiaty,
Bez żadnych łodyg i pni, same rosły
Albo latały; a tak był bogaty
Niemi horyzont, że oczy nie zniosły
I odwracały się na bledsze światy:
Na morze, co swój włos jak owca wełni
I srebrem błyska; lub na księżyc w pełni.

Czasem piękniejszy tem, że stał na stronie
Minaret, jakby jaki anioł smętny,
Stał w swej ognistej z różnych gwiazd koronie
Tem miłszy oczom, że nie był natrętny.

Powróciwszy do hotelu, choć »znużony temi arabskimi
gwary«, czuł się egzotycznością tej nocy wschodniej —
tym razem prawdziwej — tak dalece podniecony, że, za-
miast pójść w ślady swego towarzysza i udać się na spo-
czynek, zasiadł do pisania i napisał list *Do Teofila Janu-
szewskiego*, list wierszem, w którym, patrząc przez otwarte
okno »na port stary Wielkiego Aleksandra«, opisał, co dziś
»widział i słyszał na wstępie«, a dodać należy w nawiasie,
że opisał to wszystko po mistrzowsku, z plastyką, równą
plastyce opisów w *Panu Tadeuszu*.

Nazajutrz, stosownie do wyrażonej w liście tym zapo-
wiedzi, że

utro ujrzę pomniki, trumny, katakomby,

Wszystko, co pozostało na tym piasku z wieków,
Od Egipcyan, przez Rzymian pobitych i Greków,

pojechali z Brzozowskim — na osiołkach — do słynnych aleksandryjskich katakumb; poczem zwiedzili kolumnę Pompejusza (jeden z największych monolitów w świecie, który, zdaniem niektórych uczonych, jest jedną z tych 400 kolumn, jakie podpierały niegdyś Stoeę, należącą do słynnej biblioteki aleksandryjskiej, spalonej na rozkaz Omara), oraz słynny obelisk, t. zw. igłę Kleopatry, wówczas do połowy zagrzebaną w piasku, a obecnie zdobiącą jeden z placów Londynu. W czasach, kiedy ją oglądał Słowacki, można było po niej jeździć na osiołku.

II.

Po kilku dniach pobytu w Aleksandryi, skoro zwiedzili wszystko, co posiadała godnego widzenia, a co Słowacki opisał matce w obszernym liście (który jej, niestety, nie doszedł), puszczono się łódką, drogą wzdłuż delty Nilowej, do Kairu, dokąd bez żadnych przygód szczególnych przybyto dnia 28 października. Tutaj zabawiono tydzień przeszło. Kair, starożytna siedziba sultanów egipskich, a dziś, po Konstantynopolu, największe miasto na Wschodzie, jest, jako takie, bardziej jeszcze, aniżeli Aleksandrya, typowy; nie dziw więc, że Słowackiego poprostu odurzył swoją atmosferą, jak haszyszem. Sienkiewicz, w swoich egzotycznych *Listach z Afryki*, kreśli taki obraz ulic Kairu: »Na bocznych chodnikach przepychają się Arabowie, Beduini, Żydzi, Koptowie, Murzyni, Grecy i Anglicy; środkiem ciągną szeregi wielbłądów, wozy, zaprzężone w bawoły, i pojazdy paszów, z biegnącymi przed końmi saisami. Widzisz wszystkie barwy skóry i słyszysz wszystkie języki. Ruch i gwar taki, że w głowie się kręci. Pod akacyami przydrożnymi i pod palmami całe obozowiska; gromady kramów, barwne tkaniny, zawoje, stosy bakalij, pęki trzciny cukrowych, znów wielbłądy, znów stada osłów. Między niemi wrzaskliwy tłum przewodników: cały obraz w rażącym blasku lub czarnych cieniach, bez ogólnego tonu, o barwach lokalnych«. Za czasów Słowackiego było tak samo. Świadczy o tem *Beniowski*, w którym życie na Wschodzie odbiło się tak poetycznie, a tak realnie zarazem, że aż nie jesteśmy przyzwyczajeni do takiego realizmu u Słowackiego, którego nadto chętnie lubimy posądzać o zbytek fantastyczności, kiedy on tymczasem, choć posia-

dał fantazję, jakiej nie miał np. Mickiewicz, potrafił być, ile razy chciał, równie dobrym, jak twórca *Pana Tadeusza*, realistą w poezji. Dowodem tego, chociażby owe opisy Wschodu w *Beniowskim*, najrealniejsze, a przytem, bez zaprzeczenia, najpoetyczniejsze, jakie skreślono kiedykolwiek. Na porównaniu z niemi tracą nietylko słynne *les Orientales* Wiktora Hugo, ale i wszystkie *orientales* Byrona, Moora i innych. Oto naprzykład opis tańca wschodnich Almei. Niech mi kto wskaże piękniejszy.

Na wszystkich twarzach była wielka radość;
Światła tysiące, woń drogich korzeni,
I wszystkim ludzkim zmysłom było zadość.
Almeje także, te córki płomieni,
W szat przeźroczystych osłonięte bladość,
Tańczą przy fontan lazurowych chłodzie
Blisko, a drugie daleko w ogrodzie.

Zda się, że ciągle się roją i rodzą
Z krzewów, z jaśminów, z róż, i znowu nowe
Przez rozwidnione aleje przechodzą,
Lecąc przez słońca różnokolorowe.
W tych słońcach giną smętne, z tych się płodzą,
I szybkim tańcem zawracają głowę;
Królowa tańca, młodziutka dziewczyna,
Płeć miała żółto-ciemną, jak cytryna.

Włosy, jak węgiel, czarne, Indyanka!
Oczy jak dwoje czarnej kawy ziarek,
Na głowie, naksztalt kręconego wianka,
Koronę z chińskich jajek i latarek.

Muzyka także grała; muzycanty
Na różnokwietnej siedzieli rogoży
U drzwi, i grali okropne drabanty,
Zachowując się z taktem jaknajgorzej.
Pomiędzy niemi siedział muzyk dworu,
Który w urzędzie był... turbator choru.

Więc śpiewał. Przy nim siedział cymbalista;
Przy cymbaliście siedział bardzo blisko
Skrzypak a raczej Orfeusz lutnista
Z wielką glinianą ostrunioną miską,
Na której szczypał struny naksztalt Liszta,
Wysoko biorąc ton, a potem nisko;
Trzeci, co bardzo mały efekt czyni,
Na smyczku smyczkiem grał, jak Paganini.

Wszyscy z ogromną artystów powagą,
Jak gdyby czuli, że świat dzisiaj cały
Muzykami jest, jak Mojżesza plagą
Skarany...

Mimo całego blasku na tym dworze,
Gdzie wlatywały tancerki-motyle,

Czuć było jakąś dzikość straszną; może
Mleko i świeże kotletry kobile...

Mleko to stało w ogromnej amforze,
Gdzie ametysty, szmaragdy, beryle,
Migały w różne ogniste kolory;
Ale kwas było gorzki czuć z amfory.
Dym także lulek w kłęby się olbrzymie
Mięszał...

Tymczasem ludzie jedzą ryż, sorbety
Piją, i palą czarny tytoń *dżebel*;
U pasa noszą złote amulety,
Świat uważają ten za smutny szczebel
Do nieba. W myślach nie grzebią, jak krety,
Pod katolicki też nie biorą hebel
Mądrości; lubią wiersze pełne słońca
I poematy trwające bez końca.

Ale, zauważy kto może, to jest realizm poetyczny, to jest wspaniała *fantaisie impromptu* na temat Wschodu, lecz nie realizm takiego *Pana Tadeusza* np., gdzie poeta poprośtu *fotografuje* naturę, nie zamykając oczu nawet na szczytły tak naturalistyczne, jak owe piegi i zmarszczki na twarzy Telimeny, albo ów brakujący ząb w jej karminowych ustach. Na taki, nie już realizm, ale naturalizm, którego by się sam Zola nie powstydził, stać również i Słowackiego, który, zwiedzając osobliwości Kairu, pilnie *obserwował* wszystko, później zaś, pisząc *Beniowskiego*, kiedy sobie przypominał te *choses vues*, nie zapominał bynajmniej i o różnych prozaicznościach, i nietylko, że nie zapominał, ale nie wahał się nawet umieścić ich w poemacie, obok najczarowniejszych obrazów orientalnych. Opisując np. ów taniec arabskich Almei, kiedy mu przychodzi mówić o tych, co się im przypatrują, o jednym powiada, że »siedział z cybuchem, jak z wosku, i *poł spity* był w zachwyceniu raju«; o drugim, że »kiwa tylko głową na te cuda i potakuje: czasem, jak z butelki, huknie mu z gardła *czkawka*: »Bóg jest wielki!«; o innych wreszcie, że »czasem z brody gęstej *coś* dostaną

I wcale tego na pazur nie kładną
Ale puszczają wolno i z uśmiechem,
Bowiern zabijać rzecz żywą jest grzechem,

Z drugiej strony, zaprzeczyć się nie da żadną miarą, że Słowacki za bardzo był artystą i poetą, ażeby się przy swojej wykwiintnej i niepospolitym smakiem estetycznym obdarzonej naturze lubować w tego rodzaju szczegółach, i że wołał, chodząc po ulicach Kairu, patrzeć na nie oczyma romantyka, aniżeli oczyma realisty wyłącznie, dla którego

Wschód jest przede wszystkim — niechlujnym. Wolał, chodząc wieczorem po mieście, uśpionem i oblanem światłem księżycowem, nabierać przekonania, że

Wszystko na Wschodzie ma ogromną ciszę,
Wszystko ze światła złotego ubranie:
Mury ze złota zdają się, choć glina
Są oblepione i grożą ruiną.
Na murach dziwnej desenie lekkości
Przydają wieżom i ruinom wdzięku;
Wszystko się zdaje ze słoniowej kości,
Bo od Nimf było niesione na rękę
I postawione wśród palm zieloności
Cudownie, wśród harf aniołowych dźwięku,
Jak ta w Lorecie Matki Boskiej skała,
Która na skrzydłach złotych przyleciała.

Trzeba być wielkim poetą, ażeby tak umieć patrzeć, ażeby mieć tak poetyczne na świat spojrzenie. Można być pewnym, że kto inny, Zola np. z obawy przed banalnością widziałby w Kairze tylko same stare i brzydkie, do wiedźm podobne, Arabki, które »w koszulach czarnych, z pod zasłony patrzące na świat dziko i jaszczurczo,

Siedzą na ziemi, jako czarne wrony,
Albo jak żaby w ogniu, gdy się skurczą;
Spiewają dziwnie i dziwnymi tony
Albo zaklęcia jakieś ciemne burczą
I palą dzikie bladym ogniem zielska.

Słowacki, obok takich starych, obrzydliwych Arabek, widział jeszcze poglądające nań ciekawie z za drewnianych okratowań okien »oczy panny lub mężatki«,

Oczy gruzyjskie, pełne, skrzące, duże,
I usta, czasem nie usta, lecz róże.
Ciekawość taka oczom pozwolona
Na Wschodzie, byle twarz zakryły samą.
Pokazać czasem wolno trochę łona
Przez rozciątego wskróś gorsetu bramę;
Ale twarz zawsze ściśle zasłonią,
Jak miesiąc, gdy nań ziemia rzuci płamę.
Szczęściem, że teraz nawet już na Wschodzie
Ten obskurantyzm twarzy nie jest w modzie.

Tymczasem, wcale nie przeczuwając jeszcze, że z przypomnienia tych wrażeń, w Kairze doznawanych, wysnuje kiedyś w *Beniowskim* najwspanialsze opisy Wschodu, zbierał teraz, jak pięknie powiada Klaczko, »farby do swej weneckiej palety«, tej palety, która pod względem świeżości kolorytu nie ma sobie równej w całej literaturze polskiej. Kairem był zachwycony poprostu, oczarowany i upojony. Obok meczetów, w których to »dwurożu dya-

mentowe światło wiecznie mruga«, obok nieba, które w swej słonecznej pogodzie robiło na nim wrażenie »turkusowego szlaku«, podobały mu się szczególnie, tak samo, jak w Aleksandryi, damy wschodnie: zwłaszcza, kiedy siedząc na miękkich sofach lub na wzorzystych dywanach perskich, z nóżkami po turecku podwiniętymi pod siebie, paliły nargille: uważał, że im z tem bardzo było do twarzy. Przeciwnie mężczyźni: ci wydawali mu się wprost śmiesznymi w takich chwilach.

Dwa węże w kocioł wetknięte ogonem
Do ust im laźły, a oni je ssali,
Smakując bardzo te, co bursztynową
Szyją wziął z kotła gad i oddał głową.

To też, nie dlatego zapewne, ażeby módz rozmawiać z Arabami, zaczął się Słowacki uczyć po arabsku. W przeciwnym razie bowiem, nie zapisywałby w swoim raptularzu takich słówek, których się widocznie uczył na pamięć, jak: *Déament-Rois* — dziewczyna piękna; *Pus* — pocałunek; *Athem* — noc; *Ma sik el bel hajer* — dobranoc; *tarrah* — głowa obwiązana woalem; *sufa* — włosy splecione i opatrzone kulkami złota; *seblech* — płaszcz kobiety, gdy wychodzą; *barezo* — zasłona muślinowa; itd. itd. Powyższe wyciągi z »Dykcyonarza arabskiego« świadczą aż nadto wymownie o płóchej dość *arrière pensée*, z jaką się poeta zaczął uczyć po arabsku, i mimowoli, przeglądając je, czytelnik przypomina sobie owego młodego bałamuta, który, we Włoszech będąc, doskonale potrafił rozmawiać się wszędzie z kobietami, choć cały jego zapas słów włoskich ograniczał się do: *il baccio* (tytuł słynnego walca Arditiego), *Io t' amo*, *Mia bella*, *Mia cara*, *Si non e vero e ben trovato*, *La donna e mobile*, *Lasciate ogni speranza* i *Quel giorno più non vi legemmo avante*. Zdaje się, że Słowacki w czasie swojej podróży po Wschodzie był trochę do tego bałamuta podobny; najlepszy dowód, że zwiedzając targ niewolników w Kairze, żałował bardzo, jak się do tego otwarcie przyznaje w jednym z listów do matki, że nie jest »dobrze złotem nadziany«, albowiem przychodziła mu romansowa myśl: kupić sobie — jedną prześliczną Abisynkę, która była właśnie na rynku Kairskim do sprzedania, a za którą dawano już 1000 franków. On ani tyle, ani więcej dać nie mógł i dlatego, choć nigdy nie odczuł prawdy przysłowia francuskiego, że *la resignation est la plus désagréable de toutes les vertus*, musiał chcąc nie chcąc zrezygnować, jakkolwiek przyznawał później, że było to »jedyne i istotne zachcenie«, jakie miał przez cały czas

podróży swojej po Wschodzie. Zdawało mu się, że potrafiłby się zakochać szalenie w tej nieszczęśliwej istocie, którejby wrócił wolność i któraby nikogo oprócz niego na ziemi nie miała — do zdradzenia. Przebrałby ją za pazią (myślał sobie, patrząc na nią) i byłiby z sobą, jak nowy Lara z nową Gulnarą, jak Don Juan z uroczą Haidée, jak Wilhelm Meister z Mignon. Niestety, marzenia te musiały się rozbić o ową sumę 1000 franków, co, wnosząc z tonu, jakim Słowacki pisze o tem, musiało go na razie o nie-mały przyprowadzić smutek; okazało się bowiem, że piękna Abisynka zdołała urodą swą nadzwyczaj silnie oddziaływać na jego wyobraźnię, tak, iż »na nowo jakiś wulkan zaczął w nim wybuchać«. Ale trzeba było sobie wybić z głowy uroczą niewolnicę i jakimkolwiek sposobem zatrzeć w duszy jej obraz.

Na pytanie, jakiego sposobu użył Słowacki w tym celu, dostarczyć może odpowiedzi druga część *Beniowskiego*; a mianowicie te z przytoczonych powyżej scen, w których bohater tej arystycznej epopei podziwia wdziek, z jakim powabne córki Wschodu palą nargille, lub czar, z jakim arabskie Almee przeginają się w tańcu. Można twierdzić napewno, że Słowacki pisząc te sceny, »nie tworzył prawie nic, lecz przypominał«. Na to zaś, żeby w Kairze, zarówno, jak i innych miastach wschodnich, widzieć taniec Almei lub »damy« palące nargille, trzeba było co najmniej uczyć-szcząć pilnie do miejscowych *cafés chantants*...

Bo z wycieczki do piramid egipskich nie mógł stanowczo przyszły autor *Beniowskiego* wynieść takich wspomnień; tembardziej, że uczucie, jakiego doznał na widok trójkątnych grobowców faraonowych równało się prawie — rozczarowaniu. Być może, iż w niemałym stopniu przyczynił się do tego otrzymany teraz w Kairze list od Eglantyny Patteg z Genewy, list, z którego dowiedział się, że panna Wodzińska »tfu! za mąż idzie...« Wiadomość ta, bardzo ogólnikowa, bo nie umiano mu nawet powiedzieć dokładnie, czyją żoną ma jego Marya zostać wkrótce, podziała nań przygnębiająco. Zrazu wprawiała go we wściekłość, której echem jest owo »tfu!« w *Beniowskim*; a kiedy ochłonął z wściekłości, której źródłem, jak się domyśleć nie trudno, była zdrażniona do żywego miłość własna, popadł w odrętwienie i smutek. Wspomnienie tej chwili znalazło z czasem poetyczny swój oddźwięk w następujących oktawach pieśni drugiej *Beniowskiego*:

Czy wam pozwolił potem los nie wrócić?
Zachować smutku wrażenie niestarte,

I całe życie się przeszłością smucić?
Odwiedzać morza, ludy, Egipt, Spartę,
A zawsze: Ona teraz musi nucić!
• Teraz na księżyc oczy ma otwarte!
Ach! takem ja śnił, lecz na piramidzie
Tfu! odebrałem list, że... za mąż idzie!

To mię cokolwiek zmięszało, nie bardzo,
Ale cokolwiek zmięszało, Bóg świadkiem!
Są ludzie, którzy wtenczas klną i gardzą.
Lecz ja to smutnym nazywam wypadkiem.
Takich dwa, a me serce tak zatwardzą,
Że niezabudką już ani bławatkiem
Nie da się nigdy wyprowadzić w pole;
Chyba mi posag położą na stole.

Wycieczkę do piramid w Gizeh odbyli Słowacki i Brzozowski w dniu 2 listopada. Droga wysadzona palmami, akacyami i kaktusami, wijąc się wśród egzotycznej wegetacji starannie utrzymanych ogrodów, doprowadziła ich aż nad brzeg Nilu, gdzie łódkami miano się przedostać na drugą stronę rzeki. Pogoda pyła przepyszna. »Mgła biała nad palmowym Kairu ogrodem« przesłaniała wschodzące słońce

i łyzy brylantowe
Zawieszała na palmach, a gmachy różowe
Zorzą mglistą, tysiącem wieczowych promieni
Przesuwając się w tajnej ogrodu zieleni
Odchodziły gdzieś na Wschód...
Za Nilem widać było zieloną równinę.
Po obu stronach domki białe, pełne krasy;
Za domkami dwa wielkie daktylowe lasy;
Między lasami przestwór i na tym przestworze
Trzy piramidy; dalej żółte piasków morze
I niebo blade, czyste, jak Ptolomeusza
Krag z kryształu.

Nareszcie przeprawiono się szczęśliwie przez Nil. Słowacki, oczarowany widokiem z łódki, rysował »słowa bo-
wiem, jak uważał, były niedostateczne do wydania wszyst-
kiego, co uderzało w oczy«. Tem się też wytłomaczyć daje
fakt, że odtąd w raptularzu poety więcej będzie rysunków —
ołówkiem — niż poezji opisowej. Nawiasem mówiąc, ry-
sunki to, niektóre zwłaszcza, wcale udatne; niektóre z nich,
jak np. widok grobu Agamemnona w Mikenach albo po-
sagu Memnona o wschodzie słońca, świadczą o wielkiem
poczuciu pejzażu, poczuciu, którego mógłby Słowackiemu
niejeden naśladowca Morot'a pozazdrościć. To samo da się
powiedzieć i o Juliuszowych opisach natury, które dowo-
dzą, że oprócz Mickiewicza żaden z poetów polskich tak,
jak Słowacki, nie rozumiał krajobrazu, z czego wynika, że

żaden tak, jak on, nie potrafił malować słowami. Jego opisy Grecyi w *Podróży na Wschód* i wycieczki do piramid egipskich, nie mówiąc już o opisach Wschodu w *Beniowskim*, mogą być przeciwstawione tylko pejzażom z *Pana Tadeusza*, z którymi porównanie wytrzymują najzupełniej, przewyższając je nadto wenecką prawdziwie świetnością kolorytu.

Na poparcie powyższego twierdzenia wystarcza przytoczyć chociażby ten ustęp z wiersza o piramidach, w którym Słowacki opisuje drogę od brzegów Nilu aż do piramidy Cheopsa.

Przez Nil cichy prędkimi przepawiony wiosły,
Wysiadam. Już zbliżone daktyle przerosły
Czoła dumne piramid. Zniknęły pomniki
I tylko las błędnymi pocięty promyki,
Drzew wysoko pod niebem koronami szumny,
Jak przysiónek piramid, bogaty w kolumny,
Przy ludzkich dziełach ręką zasadzony Boga...

I trzy godziny trwała pełna dumań droga,
I więcej, bo Nil jeszcze nie wrócił do łoża.

Przepływałem jeziora, aż na piasków morza
Wyniosło mię oślątko. Na piaskowym wale
Stały przedemną gmachy błyszczące wspaniale,
Twarzami obrócone do słońca... i do mnie.
Patrzałem na nie, potem na siebie... Jak skromnie
Wyglądałem przy grobach takich, na ościółku,
W pustyni piasku w każdym topiący się dołku.

Blżej (z pokorą wszystko opisywać muszę)
W dolinie piasku stoją trzy drzewa: dwie grusze,
A we środku spleciona z kilku palma jedna,
Chociaż w piasku, zieloność je kryje nie biedna;
Jak szmaragdy się błyszczą, stojące na straży
Przy dolinie piramid. Szczęśliwy, kto marzy
Pod liściem rozłożystym tej szerokiej gruszy,
Gdy lawiną kamieni grobowiec się kruszy
I spada z wielkim hukiem.

Na białym kamieniu
Siadłem strudzony w drzewa szerokiego cieniu.
Myślałem, jak ten wawóz cały piasków przebrną?
Co czuć będę?...

I wstawszy szedłem prosto do Cheopsa grobu.
A kiedym był u piasków przebytych połowy
Wzniosłem czoło, spojrzałem górą ponad głowy
I nie mogłem oczyma dolecieć do szczytu
Grobow, co uleciały w krainę błękitu.
A więc oczy ogromem piramid odparte
Spuściłem... W koło były grobowce otwarte,
W których i proch umarłych dawno powymierał,
Sfinks czarną Kopta twarzą nad piasek wyzierał.
I straszna była dzikość grobowej doliny.

Przed drzwiami, do nizkiego podobną pagórka,
Piramidę maleńką ma Cheopsa córka.
Stanąłem: tak pokornie tu się położyła
Przy mogile ojcowskiej dziecięca mogiła,
Że łzy miałem na oczach...

Po tym przepysznym opisie wrażenia, jakie na nim zrobiły piramidy, opisie, który wedle trafnego wyrażenia St. Tarnowskiego ma tę dziwną władzę, że daje nam nieledwie to bezpośrednie uczucie, jakiego się doznaje pod wpływem tego widoku, i który zadziwiającą plastyką wyrażenia przyprawia czytelnika o złudzenie, że jest to opowiadanie któregoś z bohaterów *Pana Tadeusza* (gdyż w wierszach tych, napisanych w Egipcie, poeta *maluje* naturę zupełnie na sposób Mickiewiczowski) — następuje niemniej świetnie skreślone opowiadanie o Beduinach, którzy, brązowi, w białych płaszczach, »jak grobowe sępy«, ujrawszy podróżnych, podbiegli do nich, ofiarując im się na przewodników; bez przewodników bowiem, jeśli się jest cudzoziemcem, nie wolno oglądać piramid; powtórę jest niepodobieństwem poprostu zapuszczać się samemu do wnętrza grobowców, gdzie znalazłszy się wśród ciemnego labiryntu różnych przechodów, korytarzów i tuneli, w końcu zabłądziłoby się zawsze. Słowacki i jego towarzysz, poinformowani o tem, ugodzili się od razu z czterema *fellahami* i pod ich przewodnictwem zwiedzili wszystko, co było do widzenia. Zaczęto od t. z. komnat królewskich. Oto jak te części wyprawy opisyje Słowacki:

W ścianach piramidy
Jest otwór, gdzie do grobu wchodzisz na kolanach.
Arab z pochodnią wpelznął i zniknął. Musiałem
Synom stepów się oddać i duszą i ciałem.
Dwóch zaprzęgåło się do mnie: dłonie wzięli w kleszcze,
Trzeci lał rakiem, świecąc, a czwarty mię jeszcze
Popychał... I w ciemnościach mię gmachu pogrzebli
I śliskimi kominy, bez schodów i szczebli
Wiedli w górę, aż wreszcie mogłem podnieść głowy
Obaczywszy się żywym w *Komnacie Królowej*.

I dalej korytarzem trumnianego ula
Pełznąć, obaczyłem się w sali trupa króla.
Blask pochodni się lekko po ścianach rozplonił...
Sarkofag próżny; ręką uderzyłem — dzwonił,
Jak rzecz pusta...

Po wyjściu z zaklętych, okopconych lochów na powietrze doznał Słowacki dziwnego uczucia: przedewszystkiem wyszedł ztamtąd, »jak senny«, a powtórę, błądząc wśród ciemności, o których bez przesady mógł powiedzieć tym razem, że były *egipskie*, tak przywykł do nich, że

kiedy się ujrzał nagle *en plein air*, zadziwiony był, powiada, i dniem, co świecił biały, i palm zielonością, i złotem oświeceniem piasków, i turkusowym kolorem nieba; a jednocześnie, nie wiedzieć, na zasadzie jakiej asocjacji idei, przypomniała mu się Marya Wodzińska, która może w tej chwili — pomyślał sobie — spaceruje pod rękę ze swoim narzeczonym, tak, jak z nim niegdyś chodziła po ogródku w Pâquis. Przypomnienie to, niemiłe w tej chwili, zasmuciło poetę, tak, iż »westchnął z głębi piersi — za niczem« i mimowoli chciało mu się rzec do towarzysza:

Dopóki serce wre miłością
Nie żyjesz na tym świecie, ale drzymiesz.
Gdy zgaśniesz, wtenczas zaczynasz dopiero
Pojmować, że ten cały świat — satyrą!

Ale stłumił w sobie chwilowe uczucie żalu, i, zwróciwszy się do Arabów, zapytał: którędy się idzie na szczyt piramidy?

Pokazali mu lewy brzeg, nierówno zlany,
Z ciemnej, nie oświeconej promieniami ściany.

A ponieważ nie miano czasu do stracenia i trzeba było się śpieszyć, żeby nie znaleźć się na szczycie o zmroku, ale być o ile możliwości jeszcze przed zachodem słońca z powrotem na dole, nie powstawał więc, tylko, nie namyślając się długo, znowu »Arabom oddał się ciałem, Bogu duszą«.

Z dwóch Beduinów tylko mój orszak się składał;
Każdy na wyższy kamień wskakiwał, przysiadł,
I podawał mi ręce... I tak szedłem długo;
Raz mi kamień był stołem, drugi raz framugą.
Trzy, a zaledwie z dołu widziane szczelinki
Były, jak trzy komnaty, na trzy odpoczynki.

A w końcu

W głowy zawrocie jużem nie pomniał, gdzie idę,
I tak wszedłem na pierwszą w świecie piramidę.

Ze szczytu widok wspaniały, nieporównany. Arabi stali cicho; Brzozowski usiłował jednym spojrzeniem ogarnąć cztery ściany piramidy, »spadzystym lecące potokiem«, ale na próżno; Słowacki, usiadłszy na najwyższym głazie, na którym siedząc, doznawał złudzenia, że siedzi na spiętych trzonkach czterech olbrzymich, rozpiętych wachlarzy, wodził wzrokiem dokoła, podziwiając piękność pejzażu w tej chwili, a nadto wśluchiwał się w majestatyczną prawdziwie, żadnym najmniejszym szmerem niezakłóconą ciszę, która



panując tutaj, pozwalała mu, jak powiada, słyszeć »czas i życie« t. j. miarowe tykanie zegarka kieszonkowego, i równe, spokojne bicie serca. Potem wyjął sztambuch, który miał z sobą, i zaczął notować szczegóły widoku, na który patrzył, a który później, w wierszu o piramidach, opisał następującemi słowy:

Spojrzałem na błękit rozciągly,
Świat przybrał kształty Bogiem widziane: był kragły;
Zdała Kair, Nil, łąki, daktylowe laski;
Bliżej pustynia, złotem oświecone piaski;
Bliżej trzy drzewa, figa, pod nią cieniu chłodnik,
A w nim stał mój osiołek i Arab przewodnik...
Patrząc na nich, myślałem o mrówce ze srebra...
Bliżej dolina piasku, cała w równe żebra
Wichreń zmarszczona, i Sfinks, i grobowce białe:
Ziemia widoma, wszystko dojrzone, lecz małe.

Inny widok na prawo, inna była scena:
Naprzeciwko Cheopsa stał pomnik Cefrena,
Tak, że orzeł po równej krainie błękitu
Mógł płynąć od jednego do drugiego szczytu.
Dwie piramidy wąwóz tworzyły głęboki,
A zachodniego słońca czerwone potoki
Jakby falami ognia płynęły tamtędy,
Lejąc się przez grobowców utworzonych rzędy.

Ale większy był jeszcze widok z innej strony:
Pustynia i ogromny krąg słońca czerwony
Chylił się do zachodu.

Ale, powiada Słowacki, większy jeszcze, aniżeli ten szkarłatny zachód słońca, był widok w jego myśli, widok na wypadki, którym się te piramidy przypatrywały w ciągu czterdziestu wieków; raz zdało mu się, że »Mojżesz krwią Nil zafarbował« i że »płynął czerwony wypadków posoką«; raz, że widzi Napoleona, jak rozpoczyna bitwę pod Embabeh, przypominając Francuzom owo słynne *quarante siècles*; a wreszcie, bo i o tem nie zapomniał, że oto, stojąc na szczycie tej najwyższej piramidy »depcze to, na czym czas zgrzyta«. Jednocześnie uprzytomniła mu się w pamięci owa chwila w Rzymie, kiedy, razem z Gajostwem wyszedł na szczyt kopuły kościoła świętego Piotra, na który wchodząc, dziwna rzecz, wciąż myślał sobie, że kiedyś jeszcze będzie tak się drapał na piramidy, bo kto wie, czy blakając się tak ciągle po świecie, i tam nie zabłądzi z czasem... Ani przypuszczał wtedy, że przeczucie to niczem nieumotywowane w owej chwili, sprawdzi się tak rychło. Tym sposobem — pisał w parę miesięcy później do matki: »Szczyt Faulhornu, kopuła św. Piotra, Wezuwiusz i piramidy, były to dla mnie najwyższe gałązki na drzewie, na

których ja, biedny ptaszek wędrujący, przysiadalem na chwilę, aby odetchnąć«. Po piramidach jednak, przyznawał, choć zachwycił go, spodziewał się jeszcze czegoś więcej: tak dalece, że pisząc o nich matce, nie zawahał się napisać, iż podobały mu się, iż rad jest z ich oglądania, ale — dodaje — straciłem obraz, który sobie o nich moja imaginacja tworzyła.

Wśród takich i tym podobnych medytacji zaczął, znów przy pomocy Arabów, schodzić na dół. Krag słońca, które się coraz bardziej chyliło ku zachodowi, ciemniał z każdą chwilą, należało więc, chcąc nie chcąc, spieszyć się, ażeby przepłynąć i Nil, przed nocą jeszcze zdążyć na nocleg do wsi pobliskiej. »w Rhamazesa starym grobie«. Kiedy płynęli Nilem, Słowacki, rozmarzony melancholią zapadającego wieczoru, patrząc na niebieskawe opary, których błędne pasma snuły się nad wodą, otulając teraz, jakby muślinową zasłoną, palmy nadbrzeżne, piramidy i wsie okoliczne, mimowoli przypomniał sobie jezioro Lemana i te sielankowe przejażdżki po niem, odbywane w towarzystwie Maryi; i na samo wspomnienie tych chwil taka tęsknota spadła mu na serce, że wyjął notes, ołówek, i napisał ową smutną, i dziwaczną trochę, *Pieśń na Nilu*, w której skarży się, że musi »serce kasać nadaremno«, a w której powiada między innemi:

I jam cierpiał, i jam żył,
Jam w letejskich wodach pił;
Dziś w Nilowe fale mętne
Patrzę oczy moje smętne.

Patrzę smutny, patrzę w dół,
Czy kto moje serce struł,
Że śpi teraz, jak łabędzie.

Słowacki tymczasem, znużony całodzienną podróżą, »jak trup, umęczony«, kiedy stanęli u kresu, nareszcie! w wiosce, gdzie mieli przenocować, myślał o jednym tylko, o wypoczynku. Już w czasie przeprawy przez Nil, kiedy mu przewodnik wskazał »glinianą chatę w głębi, z wiankiem ciernia i gołębi«, z przyjemnością projektował sobie, że tam przynajmniej »odzyska sen, odzyska moc« i spać będzie »z cichą twarzą, pod gołębi sennych strażą«.

Nazajutrz powrócono do Kairu. Ale ta jedna noc, »w Rhamazesa starym grobie« spędzona, nie pozostała bez wpływu na wyobraźnię poety. Historia tego króla i wodza, która w formie legendy krąży aż po dziś dzień pomiędzy ludnością miejscową i którą mu oślarz jego, Hanut, opowiadał podczas wieczerzy, przeniosła go odrazu

w zamierzchłe wieki, w czasy świetnych wypraw wojennych Rhamezesa, i nie upłynęło kilka dni, kiedy Juliusz, jak jego Fantazy z *Nowej Dejaniry*, ujrzał cały korowód mar — przypominających mu owe figurki hieroglifowe na pomnikach egipskich — w których prócz samego Rhamezesa, poznawał jego żonę i siostrę, a przy ich boku przyszłego piewcę *Iliady* i *Odysei* — Homera, dorodnego młodzieńca podówczas. Za nimi roło się od wojowników, Beduinów, dworzan, murarzy, którym Rhamezes, powróciwszy z pola bitwy zwycięskiej, polecił wzniesć olbrzymi grobowiec. Dalej, niby wspaniałe dekoracye na scenie, widział prześliczne pałace i ogrody Rhamezesa; pyszne aleje Sfinksów, piramidy, świątynię Typhona, posągi Memnona, wysmukłe obeliski; a wszystko to — w poetyckiej fantazy Słowackiego — służyć miało za tło tragedyi, jaka się rozgrywała w duszy siostry Rhamezesa. Ta ostatnia, trawiona fatalną miłością, jaką zapłonęła dla greckiego młodziana-poety, zakochanego, niestety, w innej, mianowicie, w żonie Rhamezesa, nie mogąc zostać jego małżonką, postanowiła umrzeć. Brat jej, Rhamezes, wybudował wspaniały grobowiec. W tym grobowcu pragnie być pochowaną. Zwierzyła się z tem siostrze, którą prosiła jeszcze, aby jej przy balsamowaniu nie wyjmowano serca, oraz, żeby historię tej miłości nieszczęsnej wyryto na obelisku. Niczego nadto nie żądała, prócz śmierci lekkiej i bezbolesnej. Dlatego — w tragedyi Juliusza — miała umrzeć, jak Kleopatra, od jadowitego ukąszenia węża, którego sobie przyłożyła do piersi. Ale nie tu koniec tragedyi, bo sprawiedliwa Nemesis nie mogła nie pomścić śmierci tej egipskiej Julii, a ofiarą tej pomsty miał paść ten, dla którego umarła: Homer. Stało się tak, że Rhamezes, który go, jak Menelaus Parysa, gościnnie podejmował u siebie, dowiedział się o prawdziwej przyczynie samobójstwa swej siostry, a nadto... o romansie swojej żony z urodziwym poetą greckim, który tak niegodnie gościnności jego nadużył. Zabić go? Nie, tego nie mógł uczynić, bo nie godzi się nawet takiego gościa zabijać w swoim domu. Można go jednak osądzić i ukarać. Do tego przysługiwało prawo Rhamezesowi. Więc skorzystał zeń i oddał młodego barda pod sąd. Sąd ten odbył się przed statuami Memnona o zachodzie słońca, i zawyrokował, że słońce to oglądać ma dziś Homer po raz ostatni, zaraz po zachodzie bowiem — mają mu być wylupione oczy, poczem może sobie wrócić do Grecyi, z kąd przyszedł. Jakoż pozbawiono go wzroku, i odszedł nieszczęśliwy młodzian, zawodząc smutny hymn do słońca, którego już nie ujrzy nigdy, i do zórawi, które wczoraj widział na

niebie, a których mu już nie sędzono ujrzeć powtórnie. Na tem kończyła się pierwsza część poematu. Druga miała się dziać za naszych czasów, a sądząc z planu, jaki poeta — w Kairze prawdopodobnie — nakreślił, wszystko w niej zasadzało się na idei metempsychozy. Duch młodzieńczego Homera, zamieszkał po trzech tysiącach lat w ciele młodego Araba, Hanuta, (oślarza Słowackiego), a »jego miłość do Arabki, która piersią stłukła zwierciadło czarownika«, miała wypełnić sobą ramy trzech następnych części utworu, aż wreszcie, po długim szeregu »omdleń miłości«, z których się składało całe »życie kochanków«, miało się wszystko zakończyć »śmiercią Araba«.

W dalszych częściach *Rhamezesa*, które z pierwszą wiązały się bardzo luźno (trudno nawet dostrzedz istotnego pomiędzy niemi związku), obiecywał sobie Słowacki wprowadzić i świat nadprzyrodzony duchów, dyabłów etc., co utwór ten uczyniłoby podobnym trochę do fantastycznych tragedyi Calderona, choć wątpić należy, czyby ta egipsko-arabska fantazyja była jednym z piękniejszych liści w poetycznym wieńcu Słowackiego. Zdaje się, że i sam poeta powątpiewał o tem, skoro poprzestał na skreśleniu planu, nigdy nie wykonanego później.

Cokolwiekby, teraz, po powrocie do Kairu, nie miał czasu myśleć o *Rhamezie*: zanadto go absorbowały życie i rzeczywistość, wesoło spędzane w gronie kilku rodaków, stale tu przemieszkujących w Kairze, z którymi zwiedzali wszystkie osobliwości kairskie, a którzy, radzi, że mogą rozmawiać o kraju, o Europie, o Paryżu, o Francyi, o życiu emigracyjnem, o wspólnych znajomych wreszcie, czynili wszystko co mogli, ażeby im pobyt w Kairze uprzyjemnić.

Od nich też, jak się zdaje, dowiedział się Brzozowski o braciach Hołyńskich, którzy przed paru tygodniami już, nie mogąc się Zenona ze Słowackim doczekać, wyruszyli do Memfis i do pierwszej katarakty Nilu.

Poeta i jego towarzysz wybierali się tam również, a że czasu do stracenia nie mieli, więc dnia 6 listopada, wzięwszy na miesiąc łódkę z ośmiu marynarzami (którzy, jak powiada Słowacki, zupełnie byli na ich rozkazy, jak niewolnicy), puscili się Nilem, pod wodę, ku Tebom.

III.

Oto, jak tę część podróży opisuje Słowacki matce: »Śliczna podróż! Rysowałem wiele, słowa bowiem, jak się przekonałem wkrótce, były niedostateczne do wydania wszystkiego, co uderzało oczy. Mnóstwo żórawi, lecących po błękiecie, mnóstwo innych ptaków wodnych, chmury gołębi, unoszące się nad wioskami, wioseczki z ziemi bite, najczęściej w lasach palmowych stojące, czasem ogromne skały i sępy, wielkości człowieka, siedzące o zachodzie słońca na górach, nareszcie przy Siut — d. 13 listopada — pierwszy krokodyl, leżący na piasku, dla którego porwaliśmy się od stołu, aby mu się zbliżka przypatrzeć: wszystko to tworzy teraz w imaginacyi sen bardzo piękny«. Istotnie, bywały chwile, w których mimowoli trzeba było sobie zadawać pytanie: rzeczywistość to, czy też jakiś sen rozkoszny, wywołany zażyciem haszysz. Ta »szarfa Nilu«, tocząca swe gładkie, spokojne, a chciałoby się rzec, turkusowe wody, pośrodku najwspanialszych krajobrazów egzotycznych; to »niebo w słonecznej pogodzie«, które o południu zdawało się zniżać i drgać skwarem; te nieprzejrzane wydmy piaszczyste, na których żórawie i bociany »krzyczącemi stadami« siadały nieopodal rzeki, i na których tak przyjemnie było, chodząc z fuzyą, strzelać wodne ptactwo; te popasy w cieniu namiotu, przy rozpalonem ognisku, na którym pieczono świeżo ubite gołębie; te rozmarzające noce wschodnie, przy »księżycu późno wschodzącym«, poprzedzane takimi zachodami słońca, o jakich wyobrażenia mieć nie może, kto ich nie widział, kto ich »czerwienią« się nie zachwycał; ten dobry humor marynarzy arabskich, śpiewających prawie nieustannie, albo ich lekceważenie rzeczywistego niebezpieczeństwa, kiedy usiadłszy na łopacie, jak na koniu, przepływali Nil, nie bojąc się krokodylów; te noclegi pod gołem niebem, usianem gwiazdami, ta burza nawet, która ich raz zaskoczyła i!.. omal nie zatopiła: wszystko to, tak się wyraził Słowacki, zakrawało na jakieś senne, fantastyczne widzenie, którego obraz nie zatrze się nigdy w pamięci. Nadmienić należy, iż na tle tego niezrównanego obrazu natury — istnej wizyi Edenu — ukazywała mu się chwilami czarnobrewa postać Maryi Wodzińskiej, której wspomnienie szło za nim krok w krok, nawet tutaj, a było tak silne, że go raz np, kiedy błdził samotnie po piasku nadbrzeżnym, skłoniło do wypisania wielkimi literami na piasku, obok swojego imienia, również i imienia Maryi,

co mu się później — we Florencyi — przypomnieć miało podczas pisania poematu *W Szwajcaryi*, i czemu zawdzięczamy te wiersze, w których powiada poeta:

I nie wiem, gdzie iść, i gdzie oczy schować,
I gdzie łzy ukryć, i gdzie być samotnym?
I stoję blady, i kreszę jej rysy
Lub imię pisać na piasku wilgotnym.

To samo uczucie natchnęło go także do pisania teraz *Na Nilu* wiersza *Do**, w którym zwraca się myślą do Maryi, a który początkiem swym przypomina trochę napisane niegdyś w Veytoux *Rozłączenie*:

Kiedy smutny nad Tella siedziałem jeziorem,
Ty przyleciałaś do mnie z dalekiej krainy,
Jak przywabiony gołąb białością smutnego
Ptaka na pustym domie; i długo nas ludzie
Widzieli nad jeziorem dumających razem,
Nie wiedząc, żeśmy w toniach błękitnych szukali
Gwiazdeczki szczęścia bardzo dawno utraconej.
Nie wiem, czyś ją znalazła bezemnie? czy jeszcze
Smutną pod płaczącymi wierzbami zastaje
Biały księżyc? itd., itd.

To wspomnienie owych dni szczęścia, spędzonych w Szwajcaryi z Maryą, miało być w ciągu tej Słowackiego podróży po Wschodzie, jak owa wstążka niebieska, którą widział nieraz wplecioną w warkocz swej »czarnobrewej panienki«. Niestety, »na zwierciadło marzeń, ktoś chuchnął i zamglił szkło«. Tym kimś była Eglantyna Patteg, która mu doniosła o zamążpójściu Maryi.

Tymczasem, dnia 19 listopada, zatrzymano się w mieście Denderah, słynnem ze swoich ruin, największych po piramidach. Tutaj też, prawie niespodziewanie, nastąpiło spotkanie ze Stefanem i Aleksandrem Hołyńskimi. Ledwo przyплыnęli do Denderah, dowiedzieli się od miejscowej straży (bo za przybyciem do każdego miasteczka lub wioski, pokazywali przedewszystkiem *firman* Baszy, w który ich zaopatrzył konsul w Kairze, a który Arabi z największem uszanowaniem odczytywali), dowiedzieli się, że jakieś łódki cudzoziemskie są w pobliżu. Usłyszawszy to Słowacki, wziął fuzję na ramiona — bo bez broni ruszać się tu ani na krok nie było można — i puścił się z jednym Arabem naprzód, wyprzedzając łódkę, która płynęła wolniej, wzdłuż brzegu; chciał się mieszkańców sąsiedniej wioski wypytać o owych cudzoziemców. Po godzinie drogi, ujrzał zdaleka, w jednym z kanałów Nilowych, dwa pawilony i dwóch młodych mężczyzn, w europejskich ubiorach, na piasku. Poznaawszy w jednym z nich Aleksandra Hołyń-

skiego (starszego jego brata, Stefana, nie znal), począł pędem biedz ku nim. W tejże chwili, młody Hołyński, spostrzegłszy go i poznawszy, również zaczął biedz na jego spotkanie. Skoro się uściskali i powitali, »dumni ze spotkania się na tej ziemi cudów«, i kiedy Hołyński przedstawił Słowackiemu brata swojego, Stefana, bardzo sympatyczne czyniącego na pierwszy rzut oka wrażenie, nadpłynęła łódź z Zenonem, którego już Arab uprzedził był o spotkaniu się poety z tymi, których od chwili wyjazdu z Kairu szukali; poczem, po pierwszej gorączkowej wymianie słów, powierzwszy straż nad łódkami służącym, już wszyscy razem, weseli i szczerze uradowani tem spotkaniem, ze strzelbami na plecach, udali się do oddalonej o kilka wiorst osady Denderah, na obejrzenie ruin. O ogromie ich, przechodzącym wszystko, nie mieli najmniejszego wyobrażenia; chodzili więc, jak powiada Słowacki, pomiędzy temi olbrzymiemi kolumnami (tu niechaj sobie czytelnik wyobrazi dekorację z pierwszego i ostatniego aktu *Aidy*) jak odurzeni, uważając zgodnie, że z pięknnością tych zwalisk nie mogą iść w porównanie ani greckie, ani rzymskie ruiny.

Siedząc na kamieniach, w cieniu tych ścian i nieprzejranych kolumnad, od góry do dołu ozdobionych różnorodnymi wizerunkami Ozyrysów, Apisów, faraonów, wojowników, kapłanów etc., rozmawiali »z litością« o wojaczach europejskich, którzy takich cudów wystawić sobie nie mogą; a tych parę godzin, spędzonych pośród ruin w Denderah, miało taki skutek, że odchodząc od nich, wszyscy czterej »zamknęli do serca dzień pamiątek tak cudownych«, dzień, który nawet łączące ich uczucie przyjaźni silniejszym, serdeczniejszem uczynił.

Tymczasem słońce zachodziło zwolna, rzucając jakby garście roztopionego złota na ruiny, co im poprostu nadało jakąś cechę bajeczną; należało więc, nie zapominając o tej poezyi, pomyśleć również i o tak prozaicznej rzeczy, jak obiad.

Jakoż pamiętali o nim Hołyńscy, zapraszając Słowackiego i jego towarzysza na skromny posiłek do swojej łodzi. Wywdzięczając się za to, Słowacki i Brzozowski, zaprosili ich po skromnym obiedzie do siebie — na poncz; po ponczu zaś, który na humory mógł wpłynąć tylko dodatnio, udano się przy świetle księżyca, który się czarownie odbijał w kanale Nilowym, do bliskiego miasteczka Kennech, gdzie pod koronami palm, jak powiada Słowacki, »egipskie Almee otaczały nas wiankami po ulicach«. Ta sentymentalno-awanturnicza wycieczka *au clair de lune* do Kennech, utwierdziła ich w przekonaniu — a niemało przy-

czyniły się do tego niezawodnie owe egipskie Almee — że prawdą jest to, co powiadają ludzie wschodni, mianowicie: że kto raz tamtego powietrza zakosztował, to, jeżeli może, copędzej powraca do niego, pomimo wszystkich niewygód ciągłej podróży: takie tam, w porównaniu z europejskiem, »dziwne i lekkie życie«. Lekkie dla młodych zwłaszcza, jak oni, którzy mieli dużo... pieniędzy, którzy, nie potrzebując liczyć się z groszem, myśleli o rozrywkach jedynie i którzy mogli sobie na takie nawet pozwalać zbytki, żeby ich Almee wiankami otaczały po ulicach, czego pewno nie robiły zadarmo. Wobec tego dziwić się nie można, że im się ten jeden dzień, wspólnie w Denderah przebyty, i ta noc księżycowa w Kennech, nader mile zapisały w pamięci.

Niestety, czas naglił i trzeba było się rozstać; Hołyńscy bowiem, którzy wracali już z katarakty, musieli płynąć do Kairu, kiedy oni jechali dopiero, ażeby te katarakty obejrzeć. Dlatego, choć z niekłamanym smutkiem, o godzinie 1 ej po północy, powiedziano sobie: »Do widzenia w Kairze!« zaczęli rozjeżdżać się: jedni w jedną, drudzy w drugą stronę. Łodzie Hołyńskich, jako płynące z biegiem wody, oddalały się szybko, rozbrzmiewając wesołym śpiewem majtków; okręcił tymczasem Brzozowski i Słowackiego, jako mający prąd rzeki przeciwko sobie, posuwał się wolniej znacznie; po jakimś czasie stracono się wzajemnie z oczu i słyszeć było tylko równomierny płusk rozbijanej wiosłami fali, która, wysrebrzona światłem miesięcznym, mieniła się, jak roztopione srebro.

Z Denderah, po całotygodniowej podróży Nilem, podróży wśród tylu świetnych gmachów, ruin świątyń, pomników egipskich, że aż oczy bolały od ciągłego patrzenia, a głowa od nadmiaru wrażeń, ujrano pierwszą kataraktę pod Siène (Assuan). O tej części wycieczki, która należała do najciekawszych, nie czuł się Słowacki na siłach zdać — w liście do matki — szczegółowej relacji. Opisywać wszystkich gmachów, pisał, niepodobna: wojaż jaki lepiej to uczyni, niż list krótki. W każdym razie (dodaje), miło mu było polować na piaskach, rysować szkice pomników, gmachów, chatek, dumać i myśleć o tem, że się jest w Egipcie, że się coraz to inne ogląda miejscowości, dawne pałace faraonów, ich letnie rezydencje, ich grobowce, a wszystko przy najpiękniejszej pogodzie, w pełnym słońcu, albo też — na czem starożytne ruiny zwłaszcza zyskiwały — w romantycznym oświeceniu księżycowem.

Przyjechawszy do katarakty, wynajęli osiołki, poczem ruszyli, objeżdżając Nil, do Nubii, aby tam — oprócz czar-

nych mieszkańców tej krainy — obaczyć wysepkę Philae, jeden z cudów ziemi Egipskiej. Nie darmo dawni Faraonowie mieli tu swoją letnią rezydencję! Ruiny, z tych czasów pozostałe, a bardzo dobrze zachowane aż po dziś dzień, wprawiły Słowackiego w zachwyt. Oglądał je w dniu 26 listopada.

W trzy dni później, w same imieniny matki, o których, jak zapewnia, bardzo pamiętał, zbliżał się już z powrotem do Teb, na których obejrzenie (a jest tu co widzieć, gdyż ruiny Teb wszystko przechodzą ogromem) poświęcił cały następny dzień 30 listopada. Jak sam zaręcza w jednym ze swoich listów, najbardziej podobą mu się tutaj statua Memnona i druga przy niej stojąca. Wyrysował je nawet w swoim sztambuchu, w chwili, kiedy słońce zachodzi pomiędzy niemi i kiedy te olbrzymy granitowe, wysokości domu trzypiętrowego, cicho siedzące na ogromnym polu, z twarzami obróconymi na Wschód, zdają się, jakby żywe giganty. »Na nodze Memnona znajdują się rzymskie napisy; jeden z tych przed wiekami zmarłych wojażerów napisał na granicie: »słyszę Memnona«; i słowa te w czasie teraźniejszym napisane, a o tak dalekiej świadczące przeszłości, dziwnie zasmucają biednego człowieka«. Przez tego biednego człowieka rozumiał Słowacki siebie, o refleksyach zaś, jakie w jego duszy obudził ten granitowy posąg Memnona i ten na nim przed wiekami wyryty napis Rzymianina, daje niejaki wyobrażenie następujący, tutaj, w Tebach, pod wrażeniem ruin ich, napisany wiersz, którego początek przypomina monologu Hamleta, a zakończenie nastrojone jest na nutę *Hymnu o zachodzie słońca na morzu*:

Czyż dla ziemskiego tutaj wojownika
Walka jest wieczną? Czyliż dni człowieka
Nie są na ziemi, jak dni najemnika?
A jako sługa odpoczynku czeka,
A robotnik czeka swej zapłaty,
Tak mnie miesiące, co przynoszą straty,
Daleś, o Boże, i stroskane noce!
A gdy położę się, myślę o wstaniu,
I myślę tylko o prędkim świtanu,
I pytam, kiedy słońce zamigocze,
A skórę moją robactwo już natacza,
I proch jest na niej, i w kawały pada.

Niemniej smutne myśli przychodziły mu do głowy, kiedy stał przy obelisku Luxora, »który także teraz samotny — jak on — zdaje się tęsknić po swym rówieśniku, wydartym z rodzinnej ziemi i przeniesionym świeżo do Paryża. Więc i wieże z granitu jednego wykute rozdzielają

się i idą na wygnanie. Ludziom, co mają nogi na to, aby się błąkać po świecie, trzeba się pocieszać, patrząc na ten obelisk«. I zdawało mu się, że jedną można tylko z pomników tych »wyssać« naukę: o próżnościach światowych. Marność nad marnościami i wszystko marność: to ostateczna konkluzja wszelkich dumań. Wszystko mija, wszystko się kończy rozłąką, wszystko jest podobne ot do tych żorawi, na które patrzył w tej chwili: jeden się porwał i wszystkie za nim poleciały długim szeregiem w błękit, i wkrótce jęku ich nawet słyszać nie było.

W takim uczuciu opuścił Słowacki Teby, i począł zdążyć z powrotem do Kairu. Przestrzeń tę, ponieważ posuwano się z biegiem rzeki, odbyto znacznie prędzej, aniżeli w tamtą stronę: tak, iż dnia 10 grudnia ujrzano znów trójkątne sylwety piramid. W końcu ukazały się minarety Kairu, gdzie młodzi podróżni obiecywali sobie, spędzić w towarzystwie Hołyńskich, jeszcze kilka takich przyjemnych dni, jak owych kilkanaście godzin, wspólnie spędzonych w Denderah i Kennech. Na nieszczęście Brzozowski nabawił się na Nilu silnego zapalenia oczu i musiał się leczyć u doktora-rodaka, który mu przede wszystkim — ażeby nie narażać wzroku na zbytne stykanie się z blaskiem słonecznym — zalecił siedzenie w domu przez cały dzień. Słowacki był zdrow, jak ryba. Nie czuł się nawet znużony trzydziestodniową, równie przyjemną, jak utrudzającą, podróżą wodną. Żeby się zabawić, nie miał nic przeciwko temu; a że i Hołyńscy nie mogli się uskarżać na brak zdrowia, humoru i najszczerzych chęci używania rozkoszy wschodniego życia, więc byli bardzo za tem, ażeby tych kilka dni, które miano jeszcze w Kairze dla odpoczynku zabawić, nie stracić napróżno, ale o ile możliwości aż do ostatniej kropli wychylić czarę przyjemności. Jakoż nie zaniechano niczego, ażeby się zabawić, ażeby użyć *der schönen Tage ganz nach freier Lust*; a jak się bawiono, o tem najwymowniej świadczy fakt, że młodszy Hołyński z tych awanturnicznych wycieczek do siódmego nieba Mahometa — nie wyszedł cało. Traf zrządził, że jedna z hurys, jakaś arabska Almea, potrafiła go urokiem swych wdzięków tak silnie przykuć do siebie, że postanowił rozstać się z towarzyszami i zostać w Kairze przy swojej odalisce. Nie zdały się na nic perswazyje brata i przyjaciół: odbijały się od jego szalonej miłości, jak groch od ściany. Widząc to, starszy Hołyński, nie chcąc brata zostawiać samego, zaniepokojony tym jego erotyzmem, postanowił zostać przy nim i mieć nań oko. Słowackiego i Brzozowskiego prosił, ażeby się nimi nie krępowali, tylko

jechali naprzód: oni ich dogonia, jeżeli płomień namiętności Aleksandra zgaśnie dość prędko. Niestety, nie zanosilo się na to bynajmniej.

IV.

Ostatni dzień w Kairze upłynął Słowackiemu i Brzozowskiemu (któremu już było na oczy znacznie lepiej) na przygotowaniach do podróży. A podróż ta, jakkolwiek lądem nie zapowiadała się wcale łatwiejszą, aniżeli żegluga po Nilu: przeciwnie, należało się po niej spodziewać jeszcze większych niewygód, ponieważ chodziło o przebycie olbrzymiej pustyni Suez (tej, którą tak cudownie opisał Sienkiewicz w swoich *Listach z Afryki*) na wielbłądzie, która to lokomocya nie należy do najmniej męczących. Tyle tylko, że zarówno dla Słowackiego, jak i dla jego towarzysza, posiadała urok nowości. Sama myśl, że mają odbyć podróż na wielbłądzie, całą karawaną, nie mogła się im nie uśmiechać. Od czegoż byli młodzi, żądni wrażeń i przygód nadzwyczajnych? Zakupiwszy więc, co było potrzeba na drogę (Słowacki między innemi kupił dla matki bardzo ładny płaszczyk tunetański z miękkiej flaneli, który jej po powrocie do kraju miał wręczyć Zenon Brzozowski) dnia 15 grudnia, po serdecznem pożegnaniu z Hołyńskimi, i z owym doktorem-rodakiem, który leczył Brzozowskiego, i z owymi kilku ziomkami-emigrantami, którzy im *ciceronowali* po Kairze, puścili się na Wschód, do Gazy.

Czas był najpiękniejszy, a jazda przez pustynię, w cieniu namiotu, rozpiętego na grzbiecie wielbłąda, z dwoma służącymi i w otoczeniu Beduinów, zapowiadała się bardzo oryginalnie. Już samo dosiadanie wielbłąda dostarczyło im niemało powodu do śmiechu. Trudno wymyśleć coś zabawniejszego! »Nie wystawisz sobie, droga, pisał o tem Juliusz do matki, jak to dziwnie wsiadać na klęczącego wielbłąda, jak się to trzeba trzymać siodła, kiedy wielbłąd się podnosi i, wstając na nogi, trzy razy rzuca człowieka w różne strony. Lecz nieprzyjemniej jeszcze jest siedzieć na nim, kiedy klęka: zdaje się, że się dom pod człowiekiem wali«. Swoją drogą podobało mu się to wszystko. W swoim białym płaszczu flanelowym arabskim, który sobie kupił na wyjeździe w Kairze, a w którym wyglądał jak krzyżak (porównanie tem trafniejsze, że jechał przecie do Jerozolimy) uważał, że »życie takie i podróż taka ma dziwny powab«. Wielbłądy, idąc drogą, pasą się wonnym

amaryntem; podróżny zamienia się w pasterza; Beduini śpiewają; gdzie spojrzeć, wszędzie pustynia, piaski, spiekła trawa, kaktusy; gdzieniegdzie stoi palma samotna, jakby smutna: w powietrzu mignie od czasu do czasu jastrząb; słońce grzeje, ale nie dokucza; aż wreszcie, nad wieczorem, zachodzi przepysznie; i tak upływa cały dzień. Z nastaniem zmroku, karawana się zatrzymuje; wielbłądy przyklękają; podróżni zsiadają; Beduini rozpalają ogniska, paląc krzaki cierniowe, które płoną lekkim płomykiem, jak koronki brabanckie; potem zaczyna się gotowanie wieczery i rozbijanie namiotów, najczęściej pod jaką palmą albo skałą; aż wreszcie, po spożytym posiłku, nocleg na ziemi, na kocach, podesłanych mchem, pod osłoną namiotu, przy migotaniu gwiazd i wyciu szakali, podobnem do nocnego ujadania naszych psów wiejskich.

Pierwszą noc spędzono w miejscu tak oryginalnem, że, istotnie, tylko na pustyni można sobie w ten sposób lekceważyć ponury majestat śmierci: wychodząc z zasady, że spać pod jakimkolwiek dachem musi być lepiej, aniżeli pod gołym niebem w namiocie, zdecydowano się nocować — w grobie jakiegoś Szeika, czyli świętego tureckiego. Była to biała kapliczka z kopułką, jakby mały meczecik, złożona z dwóch izdebek, cienkim murem przedzielonych, z dwoma okienkami w murze, przez które, wszedłszy do jednej izdebki, widziałeś co się dzieje w drugiej. W jednej leżał trup Szeika, w drugiej ułożono posłanie dla Słowackiego i Brzozowskiego. Na dworzu, przed grobowcem, koło ognia, leżały, żując paszę, rozjuczone wielbłądy. Przy wielbłędach spali służący i Beduini. Nad kapliczką rosło wielkie czarne drzewo figowe, w którym przez całą noc śpiewał puszczczyk.

Nocleg ten, najexcentryczniejszy niezawodnie, jaki wymyśleć można (którego w naszych czasach nie powstydziałaby się nawet Sarah Bernhardt, sypiąca w trumnie) tak się wraził Słowackiemu w pamięć — nic dziwnego — że po latach jeszcze, pisząc *Beniowskiego*, kazał bohaterowi swemu w podobnym grobowcu Szecha jedną noc przepędzić; przy czem, nie omieszkał napomknąć, że i jemu zdarzyło się kiedyś coś podobnego.

Wschodnie przebiegając kraje,
Kiedy mnie noga wielbłędów niekuta
Niosła w piekielne stepy albo raje,
Stałem na noc raz w grobie, i dobrze
Spalem na martwych pościeli i ziobrze.

Była to wielka w żywocie pociecha
Zasnąć, a jeszcze większa: wstać o wschodzie

I otrząść włosy senne z prochu Szecha
I zostawić go w mogilnej gospodzie,
Nie dawszy mu za nocleg nic, prócz echa
Z tej pieśni, w obcym, dalekim narodzie
Śpiewanej.

W mogiłce Szecha — był to grób osobny
Na górach, z białą kopułą glinianą —
Leżał mój rycerz, nadzwyczaj podobny
Do męczennika, bowiem go związano;
A nad nim śpiewał nocy ptak żałobny,
Smutniejszy jeszcze, bo śpiewał za ścianą.
Zrobiwszy wieczną z słowikami ligę:
Oddawszy cyprys im, a czarną figę

Wziąwszy na pałac. Jej ogromne liście
Ciągłe po głowie grobowca łopocą;
Ptak umiłował ją sercem ognisćcie
I nie opuszczał nigdy, nawet nocą.
W grobie podwójne także było wnijście
I dwie izdebki, w jednej się szamocą
Owe Tatarki, strzegące dziewczyny,
W drugiej Beniowski, skrzepowany, siny,

Sam jeden leży na glinie i wzdycha:
Któż mu w nieszczęściu srogiem dopomoże?
Nad nim okropna zemsta, zemsta mnicha!
Pod nim umarły! Wspomniat o upiorze,
Potem — weselszą myślą myśl odpycha —
O tej dziewczynie, co w drugiej komorze
Leży i rączki może białe poda.

Trudno o plastyczniejszy przykład owego procesu
przetwarzania się w umyśle poety *Wahrheit* na *Dichtung*.

Słowacki tymczasem, nie wiedząc jeszcze, że mu
z czasem nocleg ten rymami unieśmiertelnić przyjdzie, zbu-
dziwszy się rano, o wschodzie, »otrząsnął włosy senne
z prochu Szecha« i w dalszą z całą karawaną puścił się
drogę. I szli tak, tą pustynią, którą przed wieki Mojżesz
prowadził za sobą lud Izraela z niewoli egipskiej, tydzień
przeszło, aż w końcu, dnia 22 listopada stanęli na granicy
Egiptu i Syryi, nieopodal miasteczka El-Arish.

Tutaj czekała ich kwarantanna. Albowiem, jak w swo-
jej przedmowie do *Ojca Zadżumionych* powiada Słowacki, wy-
mystem to jest dziwnym Mohameda-Ali, że między dwoma
swoimi państwami naznaczył myślą na błędnym piasku gra-
nicę, i pod karą miecza zmusił wolne Beduiny rozbijać
w tem miejscu namioty i żyć przez dni kilkanaście pod
dozorem straży i doktora; inaczej nie mogą się dostać
z Egiptu do Palestyny. Słowacki, przybywszy tu, kiedy mu
powiedziano, że musi wśród tej smutnej równiny piaszczy-
stej przez dwa tygodnie blisko zamieszkać, nie mógł pojąć

zrazu — sam to przyznaje — jak miejsce puste, bez żadnego domu, gładkie, jak stół, otoczone dokoła wzgórkami piaszczystymi i nic więcej, może prawu ludzkiemu podlegać; ale, powiada, miecz baszy zdawał się wisieć w błękitnem niebie nad głową jego przewodników Arabów, bo, przybywszy na dolinę kwarantanny, zaraz kazali wielbłądom uklęknąć, »a w twarzach ich czarnych widać było głębokie poddanie się ludzi wolnych pod prawo straszego człowieka«. Po jakimś czasie zjawił się doktor miejscowy, pan Steble, emigrant włoski, zrewidował ich, osztukał, opukał, wyznaczył miejsce, gdzie mogli rozpiąć namioty, określił obręb, za który nie wolno im było przechodzić, a dowiedziawszy się (od Brzozowskiego zapewne), że jednym z podróżnych jest poeta, obiecał wszelkich starań dołożyć ze swojej strony, ażeby im pobyt pod otwartem niebem o ile możności jak najmniej dokuczliwym uczynić. W tym celu, widząc, że mają tylko jeden namiot, kazał ze składu wydać jeszcze dwa inne, dla nich i Arabów, (choć tym ostatnim dostał się tak podarty, że »słońce było w nim panem«), poczem przyrzekł przysyłać im codziennie świeże pieczywo, nie wspomniawszy nawet, że to rączki jego żony grzęznąć będą w białej i srebrnej mące, ażeby dogodzić nieznanym pielgrzymom i nie zostawiać ich bez europejskiego chleba.

Po odejściu doktora, z którym mieli się w ciągu tej kwarantanny bliżej zapoznać, ile że przyjemnie mu było odwiedzać ich od czasu do czasu i rozmawiać o Europie, o Włoszech, i mieć przytem do czynienia z cywilizowanymi, inteligentnymi ludźmi, rozbito namioty, wygrzebano w piasku małą kuchenkę, Słowacki rozlokował się w namiocie pana Steble, Brzozowski w swoim własnym, aż wreszcie, skoro zdołali się każdy u siebie urządzić, nie pozostawiało im nic innego, tylko siedzieć, czekać i... przywykać powoli do smutnego widoku, jaki ich otaczał. »Opodał nieco rzeczka, sucha prawie aż do dna, przerzynała piasku dolinę i szła do morza, za nią szara wstęga palmowych lasów. Od północy, błękitna szarfa Morza Śródziemnego roztrącała się o piasek i smutnym gwarem fal napelniała ciche nad pustynią powietrze; nad morzem zaś, na piramidalnej piasku mogile, błyszczał białą kopułą mały grobowiec Szecha, straszny, albowiem tam, w jego lochach, składano umarłych z dżumy. Z innych stron wzgórze piaskowe i na nich straży namioty i patrzący na kwarantannę strażnicy w jaskrawych oryentalnych ubiorach«.

W środku doliny, niby stożec gliniany, wyrzelał w górę minaret, z którego muezin obwoływał donośnym głó-

sem wielkość Boga, rano, wieczorem i w nocy, a którego żółtawa białość nadawała mu z daleka pozór kościotrupa. Dokoła żadnego mieszkania, gdzieby się można schronić na przypadek deszczu; słowem, pustynia, kraina zastygła, przerażająca swą odrętwiałością, pełna martwoty, pustynia, o którejby powiedział Sienkiewicz, że odczujesz w niej wszystko, z czego się składa śmierć, nie odczujesz tylko miłosierdzia.

Atoli spokój ten, pomimo swojego smutku, na skołatana duszę Słowackiego oddziaływał kojąco, zbawiennie; do tego stopnia, że jeszcze w cztery lata później, w liście do autora *Irydiona*, umieszczonym na czele *Lilli Wenedy*, z niejaką lubością przypominał sobie »żłote pustynie Suez, na których, jak powiada, tak mi dobrze było, gdym się tylko za słońcem i gwiazdami kierowałem«. Ta cisza »piaskowego stepu«, zakłócana jedynie melancholijnym szumem morza, do którego mu chodzić pozwalano, gdy wziął ze sobą jednego ze strażników kwarantanny, rozmarzała go, nastrojała rzewnie, »podnosiła«. Błękit morski przypominał błękit jeziora Genewskiego, a ze wspomnieniem Lemanu szło nieodłącznie w parze wspomnienie Maryi. I zapominając o tem, że niedługo może dowie się o jej ślubie, takich doznawał uczuć, jak te, które później opisał w pieśni VIII *Beniowskiego*; bo myślał o sobie i o swoich samotnych dumanjach nad brzegiem morza w El-Arish, kiedy pisał następujące oktawy:

Smutno! o, smutno samemu
Na morskim brzegu, gdzie się fale kładą,
Śpiewając ciągły hymn Nieśmiertelnemu,
Który pustynię roześwieca bladą
Gorącym słońcem! Smutno tam jednemu
Z europejskich pamiątek gromadą
Śród gorącego pustyni kobierca
Błądzić z straskanem sercem lub, bez serca...

Jednak jest jakaś duma, co podnosi
Czoło północnych ludzi, gdy po świecie
Wicher nieszczęścia ich, jak liście, nosi,
Zniszczyć nie może. Pan Zbigniew był przecie
Kochany; wiedział, że ktoś Boga prosi
Za nim, że go wiatr pustyni nie zmiecie
Bez śladu, wzięwszy pod swych skrzydeł loty,
Jak zwiewa błędne w pustyni namioty.

Wiedział, że w Polsce ktoś pamiętać będzie,
Błądząc nad stawem, gdzie srebrna topola
Oslania groblę; że zawsze i wszędzie
Dusze kochanków, jak harfy Fola
Albo pod niebem gdzieś, jak dwa łąbędzie,

zapalana, zawsze gasła; a po jakimś czasie, wilgotny knot wcale zapalić się nie chciał i trzeba było poprzestać na świetle błyskawic. W końcu, deszcz przedarł się przez płótno namiotu; na ziemi, gdzie leżały posłania, potworzyły się kałuże, które, podmywając pościel, zniewoliły Juliusza, że zwinął wszystko w jeden pakiet i, jak powiada dowcipnie, sam musiał się zamienić w parasol swoich rzeczy. Ale nie na dowcipkowanie zbierało mu się w tej chwili, bo prawdziwie, że »wielkością biblijną nacechowana była ta burza w pustyni«, burza, której obraz znalazł się później odbity w *Ojcu Zadźmionych*, gdzie go Słowacki, jak powiada, we właściwszem jeszcze pokazał świetle czytelnikowi, albowiem kazał mu patrzeć na niego... przez łyż ludzkie.

Po córce w pięć dni, o Boże mój, Boże!
Z wieczora huczeć już zaczęło morze,
I słońca się krąg pochował ponury,
I niebo czarne zaciągnęły chmury.
Noc przyszła dotąd w pamięci ohydna,
Ciemna, od gromów czerwoności widna.
Jeszcze dziś czuję, i widzę, i słyszę,
Słyszę, jak namiot gęste sieką deszcze,
Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze,
Jak się nademną w ciemności kołysze
I od piorunów się cały czerwieni,
Podobny grobom szatańskim z płomieni.
Zdawało mi się, za burzy łoskotem,
Żem słyszał martwe dzieci za namiotem,
Wszystkie jęczące przeraźliwie, głucho;
Więc natężyłem wzrok, serce i ucho,
I z przerażeniem rozmyślałem w sobie:
Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie.

Ale skończyła się wreszcie ta bezsenna noc zgrozy. Nad rankiem, kiedy Słowacki wyszedł z namiotu, aby zobaczyć, co się z towarzyszem jego stało, i kiedy sobie winszowali, że wyszli cało z tego piekielnego koncertu piorunów, deszczuik drobny »zasmucał powietrze«. Szare niebo zdawało się wisieć nad samą ziemią. Wiatr ustał. Tylko morze rozbijało się z grobowym hukiem o wybrzeże. Przekonani, że po tem, co było, nic gorszego nastąpić już nie może, zziębnięci i przemokli do nitki, Słowacki i Brzozowski poczęli przemyśliwać o śniadaniu i... suszeniu rzeczy; kiedy nagle, przeraźliwy krzyk Arabów o nowem uwiadomił ich niebezpieczeństwie. Co się stało? Oto rzeczka owa, gdzie wczoraj drobna zaledwie toczyła się nitka wody po piaskowym korycie, nabrzmiała nocną ulewą, poczęła wzbierać gwałtownie, przerywać brzegi i białemi, krągłemi falami, podobnemi do pletw srebrnych, rozlewać się po dolinie. Na widok takiego *perriculum in mora* rzucili się obaj

wraz z Arabami ratować czempredziej nieobeschle jeszcze z nocy namioty, które się im też szczęśliwie na najbliższy wzgórek przenieść udało; a ledwo je uprzątnęli, zaraz przysła woda i napełniła owe kęgi, które jako ślady ich zerwanych domów widniały na piasku. Ponury, głodny, szczękający zębami z zimna, drżący, jak w febrze, patrząc ze wzgórza na tryumf tej nędznej rzeczulki, szczególnego uczucia doznawał Słowacki, uczucia, które później, w przedmowie do *Ojca Zadżumionych* określił w następujący sposób: »Bez dachu, bez ognia, bez pokarmu, doznawszy morskiego prawie na ziemi rozbicia, nie mogłem jednak udać się do blizkiego miasteczka, gdzie byli ludzie, ani prosić, aby mię pod dach jaki przyjęto i przy gościnnem posadzono ognisku. A mogły nadejść okropniejsze burze, mogło nareszcie przyjść morze i zatopić wzgórze, na którym stałem; a wszystko to trzeba było własnymi siłami wytrzymać, ocalić się lub zginąć pod okiem ludzi, którzy się mnie i rzeczy moich dotknąć nie mogli i nie śmieli«.

Podobne refleksye snuły mu się po głowie przez całe pierwsze Święto Bożego Narodzenia, które im przeszło smutno, najprzód na suszeniu garderoby, a następnie na rozbijaniu namiotów. Nauczeni doświadczeniem, wybrali teraz na obóz najwyższy wzgórek, jaki był w okolicy. Pierwszą noc jednak, pomimo wysiłków, nie zdążyli się uporać z namiotami, tak, iż spać musieli pod gołym niebem, na wilgotnym piasku, nakrywszy go rogożą i dywanami.

Ale wyjaśniło się nareszcie niebo i nastał szereg dni pogodnych, jak wymarzonych,

Słońce wschodziło w upały czerwone,
Jak jakaś krwawa pożaru pochodnia;

toń morska wygładziła się znowu; ziemia poczęła się miejscami zielenić; pod laskiem palmowym (do którego było także Słowackiemu wolno chodzić w towarzystwie strażnika) ukazały się kwiaty, w rodzaju hyacyntów. Tak zastał poetę w El-Arish Nowy Rok, poprzedzony bardzo silnem trzęsieniem ziemi. O dobrym humorze, w jakim Słowacki był tego dnia 1-go stycznia, świadczy następujący wiersz *Z powinszowaniem Nowego Roku*, posłany Brzozowskiemu na Dzień dobry:

Wielmożny Panie!
Powinszowanie
Nowego Roku,
Co pęta w kroku
Na tej pustyni,
Niech Cię uczyni

Bardzo wesołym.
Ze okiem gołym
Widać, jak rusza
Ten czas i dusza
Na życie wieczne
Bardzo bezpieczne,
Gdzie ani panna,
Ni kwarantanna
Nie przyda troski,
Ani też włoski,
Panie Brzozowski,
Znudzi makaron.
Tymczasem Charon
Niechaj nieprędko
Złowi cię wędką
I na łódź wsadzi,
I tam prowadzi,
Gdzie idą inni,
Bo iść powinni.
Żyj mi lat krocie
I przyjm w namiocie
Moją kolendę;
A ja przybędę
Sam, osobiście,
Harbuza liście
W maśle smażone,
Słodkie i słone,
Jeść na śniadanie.
Ściskam Cię, Panie!

Z dniem 2 stycznia na koniec upływał termin kwarantanny i dalsza droga stała otworem. Rano przyszedł doktor Steble, zbadał ich, a uznawszy, że są zdrowi zupełnie, oświadczył, że mogą jechać. Przedtem wszakże, na pożegnanie, prosił, czy nie chcieliby wypić z nim razem w jego domu, filiżanki kawy. Ale wielbłądy, już okulbaczone i osiodłane, czekały już na nich, klęcząc, więc, ponieważ trudno się było oprzeć prośbom klęczących wielbłądów, podziękowali doktorowi za gościnność, przeprosili, że z niej korzystać nie chcą i, wymówiwszy się pośpiechem, pożegnali El-Arish i pana Steble, nie wypiwszy u niego kawy, ani podziękowawszy jego żonie za pieczywo, które, jak mówiono, sama dla nich piekla codziennie. Nie wiedzieli, jak sroga za niedelikatność tę miała ich spotkać kara. Ale dowiedzieli się o tem wkrótce i nie mogli sobie pośpiechu, z jakim opuszczali El-Arish, darować. Bo cóż się okazało? Oto, że panią doktorową Steble była słynna piękność na Wschodzie, panna Malagamba, o której Lamartine w pierwszym tomie swojego *Voyage en Orient* z takim uniesieniem rozpowiada, a którą odwiedzić, poznać i przekonać się, czy rzeczywiście, jest tak piękna, jak ją opisuje autor *Jocelina*, miał Słowacki specjalnie poleczone od Hersylki.

Kiedy wyjeżdżał z Neapolu, wciąż mu przypominała, ażeby złożył swą czołobitność pannie Malagamba; przyrzekł, że to uczyni, tymczasem w chwili, kiedy się dowiedział, że panna Malagamba została panią doktorową Steble, było już, niestety, zapóźno, ażeby popełniony błąd naprawić. Tłumacząc się z tego później przed Hersylką, nie mógł odżalować tej jakiejś obojętności dziwnej, która go nie natchnęła ciekawością poznania młodej pani Steble, a uczuciowi temu dał w liście swym, do Januszeńskich z Liworno pisanym, następujący wyraz: »Pani doktorowa podała mi zwyczajem wschodnim kawę i nawet pocałowała mnie w rękę, bo taki jest zwyczaj na Wschodzie. I to wszystko opuścić przez jakiś dziwny pośpiech! Ale przynajmniej — pocieszał się po niewczasie — jadłem chleb jej najpiękniejszemi rączkami pieczony. A dyabeł-że mógł wiedzieć, że jest teraz panią doktorową kwarantanny i że na pustyni mieszka między Gazą a Kairem!«

— ••••• —

ROZDZIAŁ V.

W ZIEMI ŚWIĘTEJ.

I. Wyjazd z El-Arish. Nastrój religijny. Przyjazd do Ghazze. Wspomnienia Tassa. Jaffa. Droga i przyjazd do Jerozolimy. Spotkanie z Aleksandrem Spitznaglem (2 — 13 stycznia 1837). II. Przechadzki po Jerozolimie. Wrażenie. Ich odbicie w *Beniowskim*. Noc u grobu Chrystusa. O Maksymilian Ryłło. Pobyt w Betleem. Jerycho. Nad morzem Martwem. Jordan. Dolina Józafata. II. Wyjazd do Nazaretu. Refleksye na temat swojej misyi. Wrażenie z Nazaretu. Pobyt w Kanie Galilejskiej. Nad jeziorem Genezaretańskim. Tyberiada. Wspomnienia Chrystusa. Prologomena do poematu *W Szwajcaryi* i do *Anhellego*.

I.

Nic rzewniejszego, jak ów końcowy ustęp przedmowy do *Ojca Zadżumionych*, w którym Słowacki opisuje swój wyjazd z El-Arish. »Wielbłądy moje, powiada, znów ukłękły przedemną i podniosły się z pielgrzymem zadumanym, wyciągając długie, węzom podobne szyje ku grobowcowi Chrystusowemu; a kiedy już byłem o godzinę drogi ku Wschodowi i obróciłem się na siodle, aby raz jeszcze spojrzeć na mój namiot zielony, obaczyłem go na wzgórzu i zdawało mi się, że wyszedł na miejsce wysokie, aby mię pożegnać; a czy to ludzie pakując rzeczy, czyli też namiot sam, nie czując już w sobie mieszkańca, wyrwał kilka kołków z piasku: dość, że powiewał za mną jednym skrzydłem, pokazując mi swoje łono czarne i puste. I odwróciłem się od tej rzeczy, co miała serce rozdarte po mnie; a wkrótce zaczęły się pokazywać na piasku lilie białe, zwiastując, że się zbliżam do żyźniejszej krainy, i pomyślałem, że na te same kwiaty obróciwszy oczy, mówił Chry-

stus do uczniów swoich, aby, patrząc na lilie, które Bóg odziewa, nie troszczyli się o jutro i o rzeczy z tego świata«. Od tej chwili, podobnie, jak na widok onych lilii, rosnących przy drodze, wszędzie, którą przejeżdżał, na cokolwiek patrzył, stawała mu przed oczyma promienna postać Chrystusa; nie sposób bowiem, wjeżdżając do Ziemi Świętej, nie myśleć o Tym, który tutaj narodził się, żył i umarł, i którego idealny obraz każdy z nas nosi od dziecka w duszy. Słowacki, w którym uczucie religijne, w ostatnich czasach — zwłaszcza od czasu pobytu w Rzymie — powoli stawało się coraz silniejszym, i który nadto artystyczną jeszcze znajdował rozkosz w czytaniu smętnych opowieści Nowego Testamentu, musiał mimowolnego doznawać wzruszenia, kiedy się zastanowił, że niebawem ujrzy te góry, doliny i miasta, wśród których narodziła się najwznioślejsza ze wszystkich nauk: nauka o miłości bliźniego.

Tymczasem droga ciągnęła się przez pustynię i żadnego prawie dzięki jednostajności swej nie budziła interesu. Dopiero dnia 4 stycznia, kiedy się na horyzoncie ukazały minarety i kopuły meczetów miasta portowego Ghazeh, znalazła wyobraźnia Słowackiego odpowiedni w tem pokarm dla siebie; dla niego bowiem, który prawie na pamięć umiał *Jerozolimę wyzwoloną* Tassa (w tłumaczeniu Piotra Kochanowskiego), nie mógł nie przedstawiać szczególniejszego interesu widok miasta, od którego opisu zaczyna się przecież XVII pieśń tej romantycznej epepei.

Gaza, nad morzem miasto położone,
Jest na gościńcu, tuż przy Palestynie,
Ku Damiasce, a ma niezmierzone,
Przyległe piasku suchego pustynie,
Które tak wichry mieszają szalone,
Jako wiatr morze; i często tam ginie
Niejeden pielgrzym, zasuty piaskami.

I dziś nie wiele się tu zmieniło pod tym względem: zwykłe miasto wschodnie, brudne i nieciekawe, przedstawiające się najlepiej, kiedy oglądane zdaleka, ile, że łatwiej sobie wtedy wyobrazić na jego tle opisany przez Tassa przegląd wojsk egipskich. Na Słowackim i Brzozowskim nie zrobiła zdaje się Gaza silniejszego wrażenia, skoro jej poeta w liście do matki tyle tylko poświęcił słów, ile koniecznie potrzeba na pominięcie czegoś milczeniem. »Nie będę ci opisywał Gazy...« Nic więcej! Być może, iż spodobałaby się im bardziej, gdyby ją oglądali przy pogodzie, w oświetleniu słonecznem, a nie w deszcz ulewny, z jakim tu przyjechali i z jakim ztąd, o ile mogli najspieszniej, wyjechali. Dodać wypada, że przybywszy do Gazy całą kara-

waną, na wielbłądach, opuścili ją konno, z mniejszym poczem służby i przewodników.

Drugim miastem, w którym się po drodze do Jerolimy zatrzymali, była Jaffa, za którą przemawiały głównie wspomnienia historyczne, a która, zwiedzana w czasie słoty, z najgorszej znów przedstawiła się im strony. Bo nic prozaiczniejszego, jak miasto wschodnie w deszcz. Znika wówczas egzotyzm, a pozostaje tylko błoto, o jakim nie może mieć wyobrażenia, kto nie był na Wschodzie i kto w jego błocie ulicznym nie brodził po kostki. Słowackiemu i Brzozowskiemu przeznaczone było Jaffę w takich właśnie oglądać warunkach. Nie dziw więc, że podobnie, jak Gazę, nie byli nią zachwyceni. Bo nie wystarcza, ażeby miasto jakieś uznać godnem podziwu, pamiętać, że tutaj, przed wiekami, Perseusz uwolnił Andromedę, że tutaj, jak głosi miejscowe podanie, Noë wsiadł do arki, że tutaj spoczywają zwłoki syna jego Jafeta (ztałd, według niektórych, nazwa miasta), że tutaj Ryszard Lwie Serce odniósł zwycięztwo nad wojskami Saladyna, że ztałd właśnie, z Jaffy, wypłynęły floty Króla-proroka, udające się po cedry Libanu i purpurę Sydonu, i że na tych wzgórzach Napoleon, pobiwszy Turków w roku 1799 pod El-Arish i wzięwszy w kilka dni potem Jaffę szturmem, oglądał zadżumionych w szpitalach i kazał rozstrzelać 3000 jeńców. Wszystko to nie potrafiło zatrzeć ujemnego wrażenia, jakie czyniła rzeczywistość. Nędzna gromada domów, w kształcie amfiteatru, na pochyłości wysokiego wzgórza wzniesiona, poprzecinana mnóstwem uliczek wązkich, krętych i niechlujnych, nie przypomina w niczem — w niepogodę zwłaszcza — że dawniej zwała się *Joppe*, co znaczy: piękna albo przyjemna. To też, przybywszy tu, Słowacki zarówno, jak i jego towarzysz, zamiast myśleć o oglądaniu osobliwości miasta, jak słynne ogrody np. albo mieszkanie Tabity, którą św. Piotr wskrzesił, myśleli tylko o Olesiu Spitznaglu, bracie Ludwika, a przyjacielu uniwersyteckim poety, o którym wiedzieli, że jest wice-konsulem w Jaffie. Niestety, kiedy po wielu trudnościach dopytali się nareszcie o jego adres — co przy opłakanej administracyi wschodniej nie należy bynajmniej do przedsięwzięć łatwych — powiedziano im, że pan wice-konsul pojechał do Jeruzalem, na greckie Święta, i że ztamtąd udać się ma do góry Synai²⁾. Dla Słowackiego, który serdecznie pragnął zobaczyć się z bratem swojego najlepszego przyjaciela młodości, był zawód ten jednym rozczarowaniem więcej. Zmartwiony myślą, że, będąc raz w życiu w Jaffie, musi wyjeżdżać ztąd, nie zobaczwszy się z człowiekiem, którego tak widzieć pragnął,

osładzał sobie zawód ten nadzieją, że wynagrodzi go sobie w Jerozolimie. Na to jednak, ażeby nie doznać zawodu po raz drugi, trzeba było czempredzej, nie zwłócząc, jechać dalej. Jakoż opuścili Jaffę nazajutrz, skoro świt.

Droga z Jaffy do Jerozolimy, choć nie długa, należy (jak świadczą ci, co ją przebyli) do kategorii najmonotonniejszych w świecie. »Jednostajność krajobrazów, rzadko gdzie urozmaiconą wegetacją, głębszą przepaścią lub malowniczym urwiskiem, tem łatwiej powoduje, że do fizycznego zmęczenia podróznego zbyt prędko przybywa obojętność duchowa«. Ta obojętność duchowa musiała z natury rzeczy towarzyszyć także w przeprawie tej i Słowackiemu, odkąd, kołysząc się senny na siodle, jechał wśród nieurodzajnych spadzistości dawnej Judei. Przemoczony, zziębły, niewywczasowany, zmęczony konną jazdą, do której nie był przyzwyczajony, nie doznawał — zdaje się — silniejszego wzruszenia na myśl, że jedzie np. wzdłuż potoku, z którego odważny Dawid, pasterz z Betleem, miał obrać sobie pięć gładkich kamieni, szykując się do walki z Goliatem; albo, że wjeżdża do Emaus, »które było na 60 stajów od Jeruzalem«, jak mówi Pismo, i gdzie Chrystus objawił się dwóm uczniom swoim, zaraz pierwszego wieczora po zmartwychwstaniu.

Nareszcie po całodziennej podróży wśród wichru, słoty i zimna, zatrzymano się o godzinie dziewiątej wieczorem (dnia 13 stycznia) u bram Jerozolimy. Ale bramy były zamknięte. Dokoła panowała grobowa cisza, od czasu do czasu przerywana żalosnem ujadaniem psów miejskich. Deszcz ustał. Wiatr rozpędzał chmury, z za których chwilami wyglądał puciołowaty księżyc, oświecając romantycznie mury Świętego miasta i przywodząc na myśl »jakieś wspomnienia krzyżackie«, nie tylko z *Jerozolimy* Tassa, ale i z *Grażyny* Mickiewicza. Lecz wszystko to, pomimo całej poetyczności sytuacji, ustępowało na ostatni plan, wobec dojmującego uczucia niepewności, czy nie wypadnie stać tak u tych wrót Grodu Dawidowego do samego rana, czy przyda się na co gwałtowne stukanie do bramy, i czy wreszcie, jeżeli się nawet zjawi jaki strażnik, firmany baszy, jakie mieli przy sobie, uczynią im o tej porze wolnym wstęp do miasta? W przeciwnym razie musiano by nocować w polu? Te i tym podobne pytania dręczyły ich przez dwie godziny przeszło, po których upływie otworzono im na koniec bramę i pozwolono — po obejrzeniu firmanów — wjechać do środka.

Stosownie do zwyczaju, jaki panował podówczas, kiedy o hotelach nie miano w Jerozolimie wyobrażenia, zajęchali

na noc do jednego z miejscowych klasztorów. Przypadek zdarzył, że w tym samym klasztorze mieszkał właśnie i Spitznagel, który, nie śpiąc jeszcze, skoro usłyszał głos cudzoziemców, rozmawiających po polsku, schodzi na dół. Słowacki, widząc go i poznawszy odrazu, rzuca mu się w ramiona, wita, mówi: »Oleś, jak się masz?« Ale Oleś, osłupiały ze zdziwienia, milczy: nie poznaje Julka. Ten ostatni pyta go kilkakrotnie: »Jako? Czy mię nie znasz?« i w odpowiedzi na to słyszy, co? »Niech pan daruje, ale, prawdziwie, nie przypominam sobie«. Wobec tego, nie pozostawiało nic, tylko ze ściśnionem sercem, jak powiada, wymówić swoje imię i nazwisko. Ale i to nie na wiele się przydało; Oleś bowiem, dowiedziawszy się z kim ma do czynienia, nie przestał być zimnym i sztywnym, a na propozycję Julka, żeby o pół dnia chociażby przedłużył swój pobyt w Jerozolimie, odpowiedział, że nie może. Dziwne zaiste było to zachowanie się pana wice-konsula: rzekłbyś, że zdziczał na Wschodzie, że zatracił w sobie to ciepło serdeczne, które przy takim, jak obecne, spotkaniu z dawnym towarzyszem zabaw i szaleństw studenckich powinno było przecież objawić się jakoś, wybuchnąć. Nie wybuchło. Poetę dotknęło to boleśnie; wszystkiego się spodziewał, tylko nie takiego obrotu sprawy. To też, widząc, że na rozmowie z nim nie zależy panu wice-konsulowi tak bardzo, że wiadomościami z kraju i z Europy nie interesuje się zbyt, uważał za stosowne nie narzucać mu się, za czem poszło, iż wcześniej nierównie, aniżeli by przypuścić zdołał, powiedzieli sobie *Dobranoc*.

Następnego dnia, raniutko, rozstali się na zawsze. Skoro pan wice-konsul, już gotowy do podróży, a taksamo, jak wczoraj, zimny i sztywny, wszedł do celi Juliusza, ażeby mu powiedzieć do zobaczenia, Juliusz, odpowiedziawszy na jego chłodne uściśnienie dłoni nie wiele co gorętszem, odrzekł z dość gorzkim uśmiechem, że jeśli się mają rozstać w tej chwili, »to już zapewne nie do zobaczenia żegnać się trzeba«.

Cokolwiekbaż ta scena pożegnania ze Spitznaglem wprawiła poetę na samym zaraz wstępie w zły humor, i kto wie, czy nie to było powodem, że Jerozolima, ze swojemi ulicami, pamiątkami i zabytkami, nie zrobiła na nim szczególnego wrażenia. Na taki wniosek przynajmniej, oprócz listów do matki, w których o Jerozolimie, jako mieście niema ani słowa, naprowadzają notatki, jakie tu sobie Juliusz w raptularzu swoim porobił, a które nie wynoszą nawet dwóch wierszy. Z notatek tych wynika, że przedewszystkiem oglądano bramy jerozolimskie: bramę

Jaffy, którą wjechali, bramę Damaszku, bramę św. Szczepana, prowadzącą do góry Oliwnej, i wreszcie, najpiękniejszą ze wszystkich, tak zwaną *Złotą bramę*, prowadzącą do meczetu Omara, która jest zamurowana, a którą, jak głosi podanie, Chrystus, idąc z »Betfagie«, miał odbyć swój ostatni uroczysty wjazd do Jerozolimy, na osiołku, przyczem, jak mówi św. Mateusz w rozdziale XXXI swej Ewangelii, »rzesza bardzo wielka ślali szaty swoje na drodze, a drudzy obcinali gałązki z drzew i na drodze ślali, a rzesze, które uprzedzały i które pozad szły, wołały, mówiąc: Hosanna Synowi Dawidowemu! Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie! Hosanna na wysokościach!«

II.

Już to wogóle melancholijne słowa Nowego Testamentu przypominały się tutaj Słowackiemu na każdym kroku. Często pod wrażeniem tego przypomnienia, miał oczy zamknięte na teraźniejszość, a natomiast widział niemi, niby na jawie, w całej ozdobie, tę przeszłość boską, którą tu uświęconym się zdawał każdy zabytek, każdy kamień. Koło niego przechodzili różni ludzie w zawojach i szarych płaszczach — żydzi w ciemnych szlafrokach, kobiety, otulone muszlinowymi zasłonami, dzieci nawpół nagie, żebracy trędowaci, wielbłądy, konie, osiołki — on zaś, jakby senny, chodził pośrodku tego gwaru i zgiełku, nie widząc nic, myślą bowiem, duszą całą, w innym przebywał świecie: w świecie z przed tysiąca ośmiuset lat, kiedy po tych ulicach, po tej ziemi chodził Pan Jezus, otoczony uczniami, uzdrawiający chorych, opowiadający przypowieści i roztańczający dokoła siebie jakąś dziwną poezję i słodycz, które rzeczywiście nie z tego były świata. Bo jak tu nie myśleć o Chrystusie! Jak nie zamarzyć o Nim, nie widzieć Go wewnętrznym wzrokiem ducha, idąc np. przez t. zw. *Via dolorosa*, skoro się wie, że tędy prowadzony był z ogrodu getsemańskiego na sąd przed Piłatą a potem na Golgotę; że tutaj upadł trzy razy pod ciężarem krzyża; że tutaj, z tego okna, jak powiadają, rzekł Piłat swoje: *Ecce homo*; że tutaj, »gdy Go wiedli na śmierć, schwycili Szymona Cyrenejczyka, idącego z pola, i włożyli nań krzyż, aby go niósł za Jezusem«; że tutaj wreszcie, w narzuconym na wierzch odzienia purpurowym płaszczu i w cierniowej koronie, z pod której kolców wydobywały się krople krwi, blady i wyczerpany, szedł chwiejnym osłabionym krokiem,

wśród urągowiska bezmyślnej ciżby, i — jak Go nam ukazuje Sienkiewicz w swojej nowelli-poemacie: *Pójdźmy za Nim* — w zaświatowym zamyśleniu pogrążony, oderwany już od ziemi, niebaczny na okrzyki nienawiści, nad miarę ludzkich przebaczeń przebaczący i nad miarę ludzkiej litości litościwy, bo już nieskończonością ogarnięty, już nad ludzkie zło wyniesiony, cichy bardzo, słodki i tylko ogromem smutku całej ziemi smutny.

Podobne uczucia budzić musiały w Juliuszu także i inne pamiątki Jerozolimy. »Z pod oliw Chrystusa, (czytamy w jednym z listów) wziąłem ziemi na moje martwe oczy«. W tymże liście powiada, że »okropną jest dolina Józafata«, ale (dodaje) żeby opisać wszystkie te szczególne wypadki i wszystkie wrażenia, jakich się doznało, depcąc ziemię Palestyńską, trzeba by na to dzieła. »A ziemia to, o droga moja, jak piękna! Jakiemi karbunkułami ognistego koloru i błękitnej farby okryta, jakie narcyzy, jakie irysy, jak podobna do pięknego kobierca! Góry tylko, na których stoi Jerozolima, nadają temu miastu straszną fizyognomię«.

Co się także do nadania fizyognomii tej pogodnego wyrazu nie przyczynia bynajmniej, to ów niewidzialny miecz Mahometa, jaki tu w tej stolicy Chrześcijaństwa panuje wszechwładnie, to owe meczety, minarety i półksiężyce, królujące nad całym miastem, a królujące tak despotycznie, że nie znoszą obok siebie ani jednego krzyża, nawet nad kościołem Grobu Chrystusowego! Ta przemoc brutalna, oburzająca i wołająca o pomstę, natchnęła Słowackiego — po latach — do napisania następujących oktaw:

O! ileż razy, ognisty proroku
Boga, wśród twoich wielbłądów klęczących,
Z księżycem srebrnym w rozgorzałym oku
Musiałeś dumać tak, gdy z fal gorących
Wychodził krwawy pot nakształt obłoku
I szedł po stepie... Królu konających,
Wiara twa odlatuje i zostawi
Hymn taki smutny, jak echo żorawi!

Wkrótce Słowianin z twoich wież postrąca
Śpiewaki, Boga śpiewające imię;
Z wież twoich zrzuci białe półmiesiące,
Na piersiach twoich odalisk zadrzymie,
Na falach twoich flota twoja drżąca
Stoi, jak wojsko upiorów olbrzymie;
Chciałaby zakryć twoje piersi całe
Spróchniałym żaglem — królestwo spróchniałe.

Próżno, o próżno! Rany tajemnicze
Rozryły twoje nieszczęśliwe ciało;

Twoje mi śmiercią już blade oblicze
Umarłych moich ojców przypomniało
I tę godzinę, gdy byli pod biczem
Dani, jak Chrystus, kiedy w nich konało
Serce; i gorszą jeszcze, niż skonanie,
Tę, gdy przestali wierzyć w zmartwychwstanie.

Przez podobieństwo śmierci, przez tę ciszę,
Co się nad tobą teraz rozpostarła,
Zabłądzonemu w twoich palm zacisze
Serceś mi wzięła, moje łzy wydarła!
Meczetów twoich płacz wieczorny słyszę,
I po tym śpiewie wiem, żeś nie umarła,
Ale się podłem ulęknieniem spodlisz,
Bo patrzysz w słońce i o śmierć się modlisz!

Niech ci zgon będzie słodki, a w pustyni
Pod namiotami kiedyś, Arab stary
Powieścią swoją wielki płacz uczyni,
Twe księżycowe śpiewając sztandary:
Gdy z wiatrem nieśli je Sallahedyń
Przeciwno złotym krzyżom innej wiary.
Araby ogień obsiedą stepowy
I słuchać będą, smutne chyląc głowy;

Lub zapatrzeni w jasnych gwiazd orszaki,
Które od wieków nie zmieniły chodu
I są dla ludów rodzonych, jak znaki,
I takie same po zgonie narodu.
Tymczasem płomyk wstający z kulbaki
Palcami gasi olbrzymi król ludu,
I gaśnie państwo białego księżycy
Jak w poemacie *Dziadów* druga świeca.

To »państwo białego księżycy« wyciska tu swoje piętno nawet w pobliżu samego Kościoła Grobu Świętego, który, jak wszystko w Jerozolimie, nietylko, że pozostaje pod policyjnym dozorem wyznawców koranu, ale służy jeszcze za tło całemu szeregowi scen charakterystycznych *à la Teniers*, scen, które na człowieka religijnego muszą przynębiająco oddziaływać swoim rażącym kontrastem. Pomijając już licznych przekupniów, którzy u wnijscia do świątyni rozłożyli swoje stragany z różańcami, medalionami, obrazkami, wyrobami z perłowej macicy, z drzewa oliwnego etc., stoi tu zawsze kilkunastu żołnierzy tureckich, których zadaniem: przestrzegać porządku podczas natłoku pielgrzymów i o ile możliwości obchodzić się z nimi nie jak z ludźmi, ale jak z trzodą owiec.

W Słowackim dokonała ta bytność przy Grobie Chrystusowym doniosłego przewrotu moralnego, tak dalece, iż możnaby prawie powiedzieć o nim, że innym tu wszedł człowiekiem, a innym — lepszym — wyszedł. W jego ży-

ciu duchowem jest ta noc z dnia 14 na 15 stycznia, spędzona *samotnie* u grobu Chrystusa, chwilą przełomu, pod religijnym względem przynajmniej, odtąd bowiem, nietylko się utwierdził stanowczo w zasadach wiary, ale i katolicyzm jego nabrał hartu, siły przekonania i »dumy«.

Ażeby zrozumieć owo głębokie wzruszenie, jakiemu tu, pod wpływem świętości otaczającej atmosfery, uległa dusza Słowackiego, trzeba sobie uprzytomnić to miejsce.

Kościół Grobu Świętego wznosi się dziś, według wszelkiego prawdopodobieństwa na temsamem wzgórzu, które się ongi nazywało Golgotą, a na którym ukrzyżowano Chrystusa Pana. Przybytek ten, oświecony mnóstwem lamp, jest niezmiernie tajemniczym. »Panuje tam ciemność, bardzo — zdaniem Chateaubrianda — sprzyjająca pobożności i skupieniu ducha. Księża chrześcijańscy, rozmaitych wyznań, mieszkają w rozmaitych częściach tego gmachu, zbudowanego w kształcie krzyża. Z wysokości arkad, pośród których zagnieździł się, jak gołębie, księża różnych wyznań, rozlegają się pieśni we dnie i w nocy: od rana do wieczora słychać organy zakonników katolickich, dzwonki księży abisyńskich, śpiewy mnichów greckich, żalosne pieśni Kofta. Nie wiemy, z kąd pochodzą te dźwięki; oddychamy wonią kadzideł, nie widząc ręki, która je zapala; i postrzegamy tylko, jak pośród kolumn przesuwają się i ginie w ciemnościach świątyń kapłan, który odprawiać będzie najświętsze tajemnice, w tychsamych miejscach, gdzie się spełniły niegdyś«. Przy wnijsciu do kościoła leży płyta z czerwonego marmuru, przezwana *kamieniem namaszczenia*, na niej bowiem, jak głosi podanie, przed złożeniem do grobu ciała Chrystusowego, Józef z Arymatei namaścił je aloesem i myrrą. Nie dalej, jak o jakie trzydzieści kroków, na prawo, prowadzą drzwi do wielkiej rotundy, gdzie w samym środku, pod główną kopułą, jakby kościół w kościele, stoi kaplica Grobu Świętego. Wszedłszy tu, jest się olśnionym bogactwem i blaskiem różnokolorowych marmurów, srebra, złota i najprzedziwniejszych ozdób architektonicznych. Kaplica ta, na podobieństwo grobów wschodnich, składa się z dwóch komnat; na miejscu jednej z nich, większej, »Anioł Pański, zstąpiwszy z nieba, przystąpił i odwalił kamień od drzwi i usiadł na nim. A kiedy w wieczór sobotni przysła Marya Magdalena i druga Marya oglądać grób, Anioł, którego wejrzenie było jako błyskawica, a odzienie jego jako śnieg, rzekł, odpowiadając niewiastom: »Nie bójcie się wy. Bo wiem, iż Jezusa, który ukrzyżowany jest, szukacie. Nie masz go tu: albowiem powstał, jako powiedział. Chodźcie, a oglądajcie miejsce, gdzie był położony

Pan«. Do właściwego grobu prowadzi mały otwór prostokątny. W samym grobie może się pomieścić najwyżej cztery, do pięciu osób. Ściany są wyłożone śnieżnej białości marmurem. Pośrodku leży płyta marmurowa, rodzaj sarkofagu, pęknięta przez pół. Z sufitu, nad sarkofagiem, zwiesza się 48 lamp złotych i srebrnych, ciągle płonących; są to podarunki rozmaitych narodów z różnych czasów.

Powiada Słowacki, że sama myśl o tem, iż ma spędzić część nocy *sam jeden* u grobu Chrystusa, tak dalece wpłynęła na rozgranie jego nerwów, że w chwili, kiedy próg tego *sanctissimum* przestąpił, rzesiste lzy rzuciły mu się z oczu; poczem, jak sam opisuje w swym sześciowersowym fragmencie, pod wpływem tego uczucia skreślonym (ołówkiem w notesie)

rzuciłem się z wielką rozpaczą na kamień,
Pod którym trzy dni martwy leżałeś, o Chryste!

i skarżył się grobowi, »a ta skarga była ani przeciwko ludziom, ani przeciw Bogu«. O godzinie 7-ej wieczór zamknięto kościół. Poeta został sam, i klęcząc, czytał przyniesioną z sobą biblię. Nad nim płonęło 48 lamp; i tak upłynęło mu 5 godzin. O wpół do 12-ej weszli do grobu: jakaś młoda kobieta i mężczyzna, zdaje się małżonkowie, którzy — jak się o tem poeta dowiedział później — mieszkali w klasztorze i zrobili *votum* odmawiać codziennie w nocy pacierz na grobie Zbawiciela. Jakoż pomodlili się chwilę, poczem, ucałowawszy kamień, podeszli do Juliusza, i pocałowali go oboje w rękę. Zmieszany tem, nie wiedząc nawet jak się zachować wobec nich, czy przemówić co, czy milczeć, ani się spostrzegł, kiedy wyszli, zostawiając go znowu samego. O północy dał się słyszeć odgłos dzwonu drewnianego, zwołujący księży na modlitwę. Zakonnicy różnych wyznań, z których każde ma swoją mniejszą lub większą zagrodę w tym gmachu, zaczęli się budzić; grecka bogata kaplica — najbogatsza ze wszystkich — oświeciła się mnóstwem lampek różnokolorowych; ormiański kościółek na górze także zapalił świece i zaczął swoje śpiewy; Koft, mający małą drewnianą klatkę, przyczepioną do pokrywającego grobowiec święty katafalku, począł również — jak to Słowacki dostrzegł przez szczeliny — dmuchać na żar i gotować kadzidło; katolicy w dalekiej kaplicy, zaśpiewali jutrznią: słowem, z uderzeniem północy, zbudziło się wszystko, ażeby, każde na swój sposób, modlić się i błogosławić Pana. Potem przyszła kolej na Mszę św. Najpierw odprawili ją Grecy, po Grekach Ormianie, po

Ormijanach zaś, o godzinie 2-iej w nocy, wyszedł z zamówioną przez Słowackiego Mszą św., Jezuita-rodak O. Ryłło (Maksymilian), któremu poeta klęcząc na tem miejscu, gdzie Anioł biały powiedział Magdalenie: »Niema Go tu, zmartwychwstał«, służyć miał do Mszy św.

Po skończonej Mszy, skoro wybiła trzecia, powrócił Słowacki, znużony i wyczerpany, do klasztoru, do swojej celi, gdzie po niejakej chwili usnął »snem dziecka, które się zmęczy łzami«.

Drugą Mszą, która nim wstrząsnęła równie silnie, była ta, którą w kilka dni później zamówił w Betleem, a podczas której modlił się gorąco za matkę. Tym sposobem zdarzyło mu się wysłuchać jednej Mszy świętej w miejscu, gdzie Syn Człowieczy umarł, i jednej, gdzie się narodził, gdzie stał ów żłóbek, w którym Boskie Niemowlę złożono. I dziękował Bogu, że mu te święte zabytki oglądać pozwolił; albowiem — słowa są jego własne — wszystko to napęłnia serce jakąś prostotą i świętością, albowiem »miło jest być w prostej grocie, gdzie Anieli zwiastowali pasterzom narodzenie się Pana«, i widzieć wieśniaka (Araba) orzącego przed tą grota; nie mówiąc już o tem, że miło jest, oprócz świętości Betleemu, podziwiać także i słynne z uroku kobiety betleemskie, o których powiada Chateaubriand, że regularność ich rysów, piękność kształtów i sposób noszenia zasłony, przypominają posągi kapłanek i Muz. Swoją drogą, dodaje tenże pisarz, nie stosuje się to do wszystkich. Te piękne posągi są częstokroć osłonięte łachmanami; piękną kibić psuje brud; słowem, nie trzeba na nie patrzeć bardzo zbliżka, ale poprzestawać na ogólnem wrażeniu i nie wdawać się w szczegóły.

Z drugiej strony zaprzeczyć się nie da, że miło jest chodzić po takim mieście, sprawdzając osobiście, czy słynne z piękności jego mieszkanki, zasłużoną cieszą się sławą, taksamo, jak miło jest widzieć w pobliżu »wioseczkę Jerycho, niegdyś zrujnowaną głosem trąby wodza boskiego«. Ciekawem tylko byłoby zbadać, co do wyobraźni Słowackiego i Brzozowskiego bardziej przemawiało: czy Jerycho ze swojemi wspomnieniami z zamierzchłej przeszłości, czy też Betleem ze swojemi powabnemi przedstawicielkami teraźniejszości?

Cokolwiekby, widok Morza Martwego zrobił na nich przygnębiające wrażenie. Jego ponura dzikość i martwota, jego wybrzeża skaliste, bez drzew, bez trawy, ba, bez mchu nawet, jego woda spokojna, szklista, jak rozwarta żrenica człowieka umarłego, jego bagna i ławice piaszczy-

ste dokoła, przejmują jakimś niepojętem uczuciem trwogi, zwłaszcza, jeżeli się komuś taka tutaj wydarzy przygoda, jak Słowackiemu. »Będąc tam (pisał o tej przygodzie w liście do matki), cała kawalkada nasza konno wjechała na trzęsawicę i konie zapadły z nami w ziemię aż po głowę. Widok to był dla mnie, który wyrwawszy mego konia, postawiłem go przednimi nogami na krzaku, przypominający ów ustęp z Biblii, gdzie pisze o pożarciu przez ziemię całego wojska. Towarzyszący nam Arab na pysznym koniu, walcząc z zapadającą się głębią, prawdziwie był podobny do jakiego bałwochwalskiego króla«.

III.

Po obejrzeniu Betleem, Morza Martwego, Jordanu, oraz wioski i doliny Jerycho — ojczyzny słynnych róż jerychońskich — co wszystko razem, wraz z doliną Józafata, stanowi jednodniową wycieczkę z Jerozolimy, pożegnano święte miasto Grobu Chrystusowego, i udano się konno do odległego ztąd o 20 mil Nazaretu.

Na wyjeździe z Jerozolimy zdarzył się Słowackiemu wypadek, który mu niemało dał do myślenia, w jego mniemaniu bowiem, był to poprostu jeden dowód więcej, stwierdzający istnienie jakiejś misyi, do której spełnienia na ziemi powołał go Pan Bóg. Oto Kurd jeden, który mu konie wynajmował, kiedy się szykowali w drogę do Nazaretu, nazywał się Kirkor, taksamo, jak ów Kirkor, który wykrzykuje w *Balladynie*, że gdyby był przy męcie Chrystusa, to zbawiłby Zbawcę. Dlaczego rycerz ten pokazał mu się teraz właśnie, w Jerozolimie?

Pytanie to nie dawało mu spokoju przez cały czas podróży do Nazaretu. Myśl, że zestany jest od Boga, ażeby spełnił jakąś misję, tłukła mu się po głowie, jak ptak w klatce, i nie mógł się jej pozbyć w żaden sposób; przeciwnie, przypominały mu się różne inne zdarzenia w życiu, których sobie wytłómaczyć na razie nie umiał, do których w pierwszej chwili niewielką przywiązywał wagę, a które jednak, rozważone razem, kazały się domyślać jakiegoś niewytłómaczonego związku jego osoby ze światem nadprzyrodzonym.

Naprzykład ten wypadek z Salmonem w Sili, bohaterem jednej z jego młodzieńczych tragedyi o Wandzie. Nie upłynął rok od czasu jej napisania, kiedy istotnie jakiś Salmon zabił Juliusza w lesie, nie dla pieniędzy, ale *tak*,

jak w tragedyi, dla wzięcia papierów i nazwiska zabitego człowieka. Zabójstwo to zostało odkryte i ukarane.

Albo to dziwne spotkanie się jego nazwiska z nazwą jego rodzinnego miasteczka — w jednej strofie *Jerozolimy wyzwolonej*. Ktoby mógł przypuścić, że w tym poemacie Tassa, na dwa wieki przed jego przyjściem na świat przełożonym na polski przez Piotra Kochanowskiego, znajdzie się wzmianka o Słowackim i o Krzemieńcu, i to w jednej strofie! Zkąd w poemacie Tassa sposobność do wymienienia tych dwóch nazwisk, Słowackiego i Krzemieńca w XVI wieku! A jednak, choć to się tak wydawało nieprawdopodobnem, nikt zaprzeczyć nie mógł, że jest w Kochanowskiego przekładzie *Jerozolimy wyzwolonej* taka strofa, w której, w ostatnich czterech wierszach znajduje się nazwisko Słowackiego obok wzmianki o Krzemieńcu. Mniejsza o to, że oba nazwiska są wymienione w innem znaczeniu — inaczej być nie mogło — ale sam fakt, że w XVI wieku, pisarz, który po upływie 200-tu lat stanie się ulubionym pisarzem jednego ze swoich następców po lutni, wypisuje jego nazwisko, obok nazwy jego rodzinnego miasta, w jednym zdaniu, w jednym poetycznym okresie: czyż taki fakt nie może dać do myślenia? Czyż poeta, nazwiskiem Słowacki, urodzony w Krzemieńcu, nie ma prawa być dziwnie uderzony tym szczególnym przypadkiem, kiedy wzięwszy swego ulubionego autora do ręki, znajdzie w nim między innemi, taki ustęp:

*Blisko Słowackim bił się Woyskiem iezdnym
Ernest postawą srogi y zuchwały:
Przed nim, kęs dalej, widać Aldoarda,
Kiedy z Krzemieńca gnał króla Lombarda.*

A jednak strofa taka znajduje się w *Jerozolimie* Tassa przekładania Piotra Kochanowskiego.

Albo to dziwne uczucie, którego doznawał raz po raz, w czasie swej podróży po Grecyi i Egipcie. Co obejrzał jaką dolinę, jaką górę, jakie ruiny, zawsze zgadywał, co będzie dalej. Pojąć nie mógł, zkąd mu na myśl przychodziły obrazy okolic, które zwiedzał pierwszy raz w życiu. A jednak faktem było, że zawsze zgadywał, co będzie dalej, i podróżując po tych starożytnych ziemiach, wciąż doznawał uczucia, że już zwiedzał kiedyś te kraje, że je zna zkądciś, że się w nich oryentuje, jak w dobrze znanej sobie okolicy. I teraz, w Ziemi Świętej, często doświadczał podobnego uczucia. Jak sobie to wytłómaczyć?

Cokolwiekby, nie można było nie brać wypadków takich w rachubę; że dowodziły czegoś, o tem nie wątpił.

Zawitano nareszcie — po całodzienniej podróży — do Nazaretu. Jakie w Słowackim pobyt w tem mieście rodzinnem Największej Maryi Panny obudził uczucia, o tem głucho w jego listach do matki; w jednym tylko, w r. 1845 pisany, powiada, że kiedy był w Nazarecie, to, poszedłszy do lasu oliwnego, siadł przy studni i czekał, ażali mu się jaka postać podobna do Matki Boskiej między Nazaretankami nie zjawi. A wyobrażał ją sobie podobną »nie do żadnej włoskiej Madonny, ale taką, jaką widział niegdyś na cudownym obrazie berdyczowskim, w tęczowych kolorach, z niebieską przejrzystością i blaskiem«.

Z Nazaretu pojechano do miasta Bir-Napluza, zkąd Jozue kłął Samarytance. Po drodze oglądano słynną Kanne Galilejską. Ale miejscowości te, pomimo wspomnień, jakie są przywiązane do nich, z czasów Chrystusa i wojen krzyżowych, zastały Słowackiego znużonym, i co za tem idzie, mniej wrażliwym na mnóstwo rzeczy, któreby go może uderzyły tutaj, gdyby się zetknął z niemi w innem usposobieniu.

Dopiero kiedy stanęli nad brzegiem jeziora Genezaretńskiego, odzyskał dawną wrażliwość, chwilowo przytępioną nadmiarem wrażeń, i znów go wszystko, co widział, poczęło zachwycać, rozczulać. Nadewszystko zachwycony był widokiem jeziora Genezaretńskiego: widok zaś »martwej a świeżo zmarłej« Tyberyady, niewielkiego miasteczka leżącego w gruzach po ostatniem trzęsieniu ziemi (tem, które Słowacki odczuł w El-Arish), obudził w nim głębokie współczucie, zwłaszcza, kiedy mu powiedziano, że pod gruzami temi znalazło śmierć 500 osób, z których jeszcze nie wszystkie nawet wydobyto. Na szczęście, zatarła to bolesne wrażenie pogodna piękność Genezaretńskiego jeziora, które mu od pierwszej chwili przypomniało błękitne wody Lemanu i pannę Wodzińską; a myśląc o niej, mógł śmiało zastosować do siebie to, co z czasem włożył w usta swojemu *Królowi-Duchowi*, mianowicie:

Iryda za kosą
Wlokąca tęczę, gwiazdżice i róże,
Nie jest mi piękną tak, gdy z niebios spada,
Jak to wspomnienie;

więc opadła go znowu szalona, głębokimi westchnieniami ujawniająca się tęsknota po tych krótkich a niepowrotnych zapewne dniach szczęścia, kiedyto w towarzystwie Maryi zrywał stokrórki w Paquis...

A kiedy blaski zeszły z mego czoła
Zdawało mi się, że cały *tęsknotą*

*Omdlewał w sercu po blaskach Anioła,
Jak po tej, która przez aleję złotą
Pełnym księżycem na wieczność odeszła.*

Wyrażenie »kiedy blaski zeszły z mego czoła«, znaczy w tym razie: kiedy zaszło słońce i kiedy nad jezioro wytoczył się z za gór błady księżyc.

Chcąc zrozumieć psychologię Słowackiego w ciągu tej cichej nocy księżycowej, spędzonej i przemarzanej nad Genezaretańskim jeziorem, gdzie Chrystus niegdyś, siedząc w łodzi, nauczał skupione dokoła Niego rzesze, wystarcza przeczytać list poety do matki, pisany już po powrocie z Ziemi Świętej (z Livorno 11 lipca 1837), a gdzie obok innych, nie mniej poetycznych, i chciałoby się rzec, *anhelicznych* ustępów, znajduje się i następujący: »Nad jeziorem Genezaretańskim spałem pod gołym niebem, bo się wszystkie domy przez trzęsienie ziemi były zapadły, i choć byłem z głową nakryty od rosy, obudził mię wschód księżyca. *Jakato była chwila! Ile pamiątek oświecał mi ten księżyc nad cichem Genezaretańskim jeziorem, tego wypowiedzieć nie mogę!*«

O jakiej chwili, o jakich pamiątkach myśli tu Słowacki? Dla wtajemniczonych w dzieje jego serca, odpowiedź na to pytanie bardzo łatwa. Wystarcza poprostu zajrzeć tylko do poematu *W Szwajcaryi*, a klucz do rozwiązania zagadki znajdzie się sam, jak gdyby od niechcenia.

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszej źródła po murawach dyszą...
Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
Wychodzi biały pierścionek Dyanny;
Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą,
I wszystkie liście na drzewach zabrzęczą,
I wszystkie źródła jęk wydają szklanny;
O takiej chwili, ach! dwa serca płaczą:
Jeśli coś mają przebaczyć, przebaczą.
Jeżeli o czem zapomnieć, zapomną.

O takiej chwili zdarzało mu się nieraz przepraszać z Maryą, jeśli ich w ciągu dnia przypadkiem »różowa poróżniła sprzeczka«; o takiej chwili siadywali często w sielskich progach wiejskiego domu pani Patteg, i rozmawiając »o rzeczach anielskich«, patrzyli we wschodzący z za śnieżnej kopuły Mont-Blanc księżyc.

Oto były owe »pamiątki«, które mu tenżesam księżyc oświecał teraz nad Genezaretańskim jeziorem, a których »wypowiedzieć nie mógł« w liście do matki. Ale myliłby się, ktoby przypuszczał, że już po nich nie przyszedł z kolei

inne, niemniej rozmarzające, niemniej rzewne. Na pytanie zaś: cóżby mu jeszcze mogło się tu przypomnieć? odpowie, sędzę, zadowalniająco zupełnie *Anhelli*, którego pomysł, kto wie, czy się nie urodził w głowie poety tutaj właśnie, podczas tej cichej nocy nad jeziorem Genezaretańskim spędzonej. Bo nie ulega wątpliwości, że rozdział V, jeden z najpiękniejszych w tym przepięknym poemacie, powstał pod wpływem tej właśnie nocy. Czytając go, oddycha się że tak powiem, atmosferą Genezaretańskiego jeziora, »nad którym niegdyś Chrystus z taką spokojną pokazywał się twarzą, choć cierpiał w głębi serca«. Jednego wieczora, czytamy tam naprzykład, przechodzili Szaman z Anhellim około cichej i stojącej wody, nad którą rośło kilka wierzb lamentujących i mało sosen. A Szaman, ujrawszy wyskakujące rybki ku zorzy wieczornej, rzekł: Oto widzisz tę płotkę, co przeleciała przez powietrze i znów utonęła; a teraz opowiada siostróm swoim na dnie, że zobaczyła niebo, i opowiada o niebie różne rzeczy, i z tego ma sławę między inszemi rybkami. Słuchając więc powieści o niebiosach, zapłyną do sieci i jutro będą sprzedawane na rynku. Nie jestże to nauka dla ludzi i dla tych, którzy za ludźmi rozprowadzającymi o Bogu i niebiosach wędrują girlandami, a tak dają się ułować sieciom ludzkim i sprzedawani są«. Takie rybki, jak te (o których przypowieść powyższa tak wyraźnie wzorowana jest na przypowieściach Chrystusowych) widział Słowacki nietylko nad jeziorem Genezaretańskim po zachodzie słońca, ale i na jeziorze Genewskim. Raz nawet — i ta chwila właśnie stanęła mu przed oczyma najżywiej — przypatrywał się im tam o niezwyklej dnia godzinie, bo o świcie, po owym balu u państwa Wodzińskich, na którym, z powodu chłodnej obojętności, z jaką dlań była tego wieczoru panna Maryanna, nie bawił się dobrze. Smutne przypomnienie! Na widok rybek, żwawo pluskających się w wodzie i połyskających srebrną skrzela, dziwne — pamiętał — przesuwwały mu się wtedy przez głowę porównania: myślał o swojej doli i żałował, że nie jest taką płotką. Co szczególniejsze, to, że i dzisiaj nie był dalekim od podobnych refleksyi: pozierając na spokojne, jakby uśpione wody Genezaretańskiego jeziora, sam nie wiedząc czemu, »poddawał się smutkowi i tracił nadzieję«, a »zamyślony zbytnio o rzeczach duszy«, jak Anhelli, w żaden sposób nie mógł zapomnieć o tej, którą uważał przez pewien czas za swoją »siostrę na wygnania ziemi«, a której wspomnienia tkwiły w nim jeszcze (pomimo, że rok już minął dawno, jak się rozstali) tak silnie, że mimowoli był im tu powolniejszy o wiele, aniżeli innym wspo-

mnieniom, ogólniejszym, idealniejszym, bardziej z miejscowością związanym, wspomnieniom, które mu nad jeziorem Genezaretańskim powinny były być przytomne w pamięci przedewszystkiem. Bo tutaj przecież — jak o tem nie zapominał zresztą — rozgrywały się najpiękniejsze, najrzowniejsze sceny w życiu Chrystusa; tutaj, nad tem jeziorem, »wyszedłszy Jezus, ujrzał rzeszę wielką: i był ruszony miłosierdziem nad nimi, iż byli jako owce niemające pasterza, i począł je uczyć wiele rzeczy«; tutaj, »wziąwszy pięcioro chleba i dwie rybie, i wejrzawszy w niebo, błogosławił i łamał chleb, i dawał uczniom swoim, aby przed nie kładli: i dwie rybie podzielił wszystkim. I jedli wszyscy, a najejli się. I zebrali ostatki, ułomków dwanaście koszów pełnych, i z ryb. A tych, którzy jedli, było pięć tysięcy mężów«; tutaj, na tych samych wodach, tak spokojnych teraz, kiedy uczniowie Jego, zaskoczeni burzą i wiatrem przeciwnym, w żaden sposób nie mogli dobrać do brzegu, On »przyszedł do nich, *chodząc po morzu*, i chciał je minąć. A oni, skoro ujrzeli Go chodzącego po morzu, mniemali żeby była ułuda i zakrzyknęli. Albowiem wszyscy Go widzieli, i zatrwożyli się. A natychmiast mówił z nimi, i rzekł im: Ufajcie, jamci jest, nie lękajcie się. I wstąpił do nich w łódź, i ustał wiatr«. Wszystkie te sceny nie mogły nie zaprzętać umysłu i wyobraźni Juliusza podczas owego noclegu nad brzegiem Genezaretańskiego jeziora; było to nieuniknione, taksamo, jak nieuniknione było do pewnego stopnia, aby podniosłe wrażenia, odebrane w ciągu tej nocy, nie odbiły się z czasem w którym z utworów poety.

Jakoż odbiły się istotnie w *Anhellim*, w rozdziale V, gdzie Szaman, otoczony gromadą Sybirców, którzy łowią ryby w jeziorze, tak uderzająco podobnym jest do Chrystusa. Istotnie, jest niepodobieństwem poprostu niepomyśleć o Chrystusie nad jeziorem Genezaretańskim, kiedy się czyta w *Anhellim* o owych rybakach, którzy »sposzregłszy Szamana, przybyli ku niemu, mówiąc: Królu nasz! opuść nas dla ludzi obcych i smutni jesteśmy, nie widząc Ciebie między nami. Zostań przez tę noc, a zastawimy wieczerzę i pościlemy Ci łożę w łodzi (jak uczniowie Chrystusa swojemu Mistrzowi). Usiadł więc Szaman na ziemi, a kobiety i dzieci rybaków otoczyły go i zadawały mu różne pytania, na które Szaman odpowiadał z uśmiechem, bo były błahę«. Tosamo da się powiedzieć także o scenie, w której Szaman, ulegając prośbom kobiet i dzieci, sprawia, że na wołanie jednego z dzieciątek, wyszedł z *Anhellego* duch, mający postać piękną i barwy rozmaite, i skrzydła białe na ramionach, duch, który ujrzawszy się

wolnym, »poszedł na wodę i po słupie światłości księżycowej odchodził na południe«. Że, pisząc tę scenę, wyobrażał sobie Słowacki Anhellego podobnym do promiennej postaci Zbawiciela, chodzącego po morzu Genezaretańskim, na to znajduje się dowód w liście poety z Florencyi z dnia 10 lipca 1838 r., gdzie powiedziano jest o Anhellim wyraźnie, że »melancholiczną i *trochę Chrystusową ma twarz*«. Można też być pewnym niemal, że pisząc tę scenę, miał Słowacki żywo w pamięci ową noc, nad jeziorem Genezaretańskim wspólnie z Brzozowskim przebytą, a gdzie, jak sam powiada, przez cały czas prawie »Chrystus mu był przed oczyma. Zdawało mi się (mówi), że postać Jego spokojna stoi jeszcze na błękicie fali, z głową otoczoną promieniami«.



ROZDZIAŁ VI.

W SYRYI. POWRÓT DO EUROPY.

I. Przyjazd do Damaszk. Tragedya *burlesque* o O. Rylle. Przeprawa przez Liban i Antiliban. Ruiny Balbeku i Palmiry. Przyjazd do Bayrutu. Słowacki nie chciał jechać do Konstantynopola. Rozstanie z Brzozowskim (luty 1837). II. Tydzień w Bayrucie. O. Ryłło. Malarz-Włoch. Poeta przenosi się do klasztoru Betchesz-ban. Wspomnienia Lemanu. Harmonijne życie w klasztorze. Legendy miejscowe. Myśli o wstąpieniu do klasztoru. Sen o Ludwice Śniadeckiej. Listy matki. Romansowe źródło. Pomysł *Anhellego*. Spowiedź wielkanocna. D. 29 marca 1837 r. Powrót do Bayrutu. Pożegnanie z księżmi (kwiecień 1837). III. Oczekiwanie na okręt. Znajomość z konsulem francuskim. Zabijanie nudów — książkami. Spotkanie ze Stefanem Hołyńskim. Jemu dedykowany *Anhelli*. Wspólne życie w Bayrucie. Cmentarz turecki. Jego opis w *Beniowskim*. Piękności wschodnie. Ostatni wieczór w Bayrucie. »Feta« w domu konsula francuskiego. Rozstanie z Hołyńskim. Powtórne spotkanie w Tripoli. Piękny dzień. Powtórne rozstanie. 40 dni na morzu. Życie na okręcie. Cypr. Sycylia. Hymn do Najświętszej Panny. Myśl o autorze *Irydiona*. Wyspa Elba. Przyjazd do Livorno. Kwarantanna. Tęsknota za Wschodem. Korzyści odbytej podróży. Wyrzuty sumienia. Trzy listy.

Wiersz *Do księgarza* (kwiecień — 11 lipca 1837).

I.

Z Tyberyady, po pięciu dniach podróży konnej wśród okolicy malowniczej i górzystej, bramowanej śnieżnymi szczytami Libanu na dalekim horyzoncie, przybyli Słowacki i Brzozowski do Damaszk. Powiada Słowacki, że mu się to miasto, swoim charakterem wschodnim przypominające Kair, nie bardzo podobało. Nie uważał, żeby było interesujące; może dlatego, że miast takich widział już przedtem kilka, że nie znalazł tu nic nowego. Arabi, uwijający

się konno lub na wielbłądach po ulicach; kobiety z przesłoniętymi twarzami, elektryzujące przechodnia-Europejczyka powłóczytymi spojrzeniami swoich wielkich, czarnych oczu; bazary, kawiarnie, kawa z fusami, kopuły meczetów, śpiewy muezinów, wysmukłe minarety: wszystko to straciło już dlań pierwotny urok nowości i, co zatem idzie nieodbitcie, przestało zajmować i bawić. W szczęśliwszem położeniu, o tyle przynajmniej, że mu się tu nie nudziło, był Zenon Brzozowski, dla którego Damaszek był przede wszystkim największem na Wschodzie targowiskiem koni arabskich, i który pragnął ztąd zaprowadzić do kraju kilka pięknych rumaków. Jakoż udało mu się zamiar swój doprowadzić do skutku; chwile zaś, w których ze Słowackim razem oglądali, targowali i próbowali różnych potomków słynnego rodu końskiego Nedżów, kto wie, czy nie były z czasem przytomne w pamięci Słowackiemu, kiedy kreśląc przygody Beniowskiego w Krymie, pisał następujące oktawy:

...Pod wieżą stały dwa piękne rumaki.
Do Beniowskiego znowu rzekł przewodnik:
•Wybierz, obydwaj latają jak ptaki,
Obydwa z Nedżów i mają swój rodnik
W złotym woreczku na przodzie kulbaki;
Jeden drugiemu jest jak współzawodnik
Równy: więc wybór zostawuję Waści.
Weź, który lepiej się podoba z maści.

Czarnego wybrał Beniowski i skoczył
Na siodło drogim sadzone kamieniem;
Potem na piasku koło nim zatoczył...
Koń szedł jak fala lekko pod siedzeniem
I piasku wcale morskiego nie tłoczył,
Dumny szlachetnem swoim urodzeniem
I tą metryką, co go z Nedżów wiodła,
W złotym woreczku wiszącą u siodła.

Damaszek jednakże, jak wiadomo, słynie szeroko w świecie nie tylko ze swego targu końskiego, ale i ze swoich fabryk broni, w których wyrabiano owe sławne klingi damasceńskie, tak pożądane przez naszych Karmazynów. Słynna »rózeczka« Maćka nad Maćkami, którą jak knot ze świecy obcinał bagnety z rur karabinów, pewno była rodem z Damaszku! Słowacki, będąc tu z Brzozowskim, musiał oglądać te fabryki, musiał, zwiedzając miejscowe bazary, widzieć na nich, porozkładane w nieładzie, przepyszne, drogiemi kamieniami wysadzone rękojeści pistoletów, krzywe szable tureckie, połyskujące w słońcu, jak gdyby uśmiechające się złowrogo etc. Jest nawet jedna w *Beniowskim* oktawa, która poniekąd naprowadza na ten wniosek:

Broń była cudna: rubinów płomienie
Po pistoletach szły jak isker sznurek;
Rura u strzelby z drutów, a w desenie
Kuta, i bardzo fantastyczny kurek;
Nie był to *Lepaś*, lecz taką na ścianie
Wolałbym wieszać dziś, niż sto dwururek
Paryskich. Szabla także była krzywa;
A tak się zdała żądać krwi, jak żywa.

Myliłby się jednak, ktoby przypuszczał, że znalazłszy Damaszek »nieinteresującym«, Słowacki nudził się w jego murach lub był w niedobrym humorze; bo jeżeli o humor chodzi, to miał go tu więcej, niż gdziekolwiek indziej. Mieszkając — jak i w innych wschodnich miastach — w klasztorze (bo niema prawie miasta na Wschodzie, gdzieby się nie znajdował choć jeden klasztor chrześcijański) nie długiego potrzebował czasu, żeby się z miejscowymi zakonnikami zaprzyjaźnić i być z nimi wkrótce na takiej stopie, jakby się znali oddawna. Nie inaczej też miała się rzecz i z księdzem Ryłło, owym Jezuitą-misyonarzem, któremu do Mszy św. służył w Jerozolimie, a z którym teraz zjechawszy się przypadkiem w Damaszku, pod jednym mieszkali dachem, w tym samym klasztorze. Jakkolwiek znali się z sobą od niedawna i widzieli raz czy dwa wszystkiego, stosunek, jaki od samego początku zapanował pomiędzy nimi, równał się prawie poufałości, do czego głównie przyczynić się musiał sam Ryłło, człowiek wesoły z natury i sensat, który po sumiennem spełnieniu swych obowiązków kapłańskich lubił się rozerwać w przyjemnem towarzystwie. A że Słowacki i Brzozowski potrafili być, kiedy chcieli, przyjemnymi towarzyszami, co i o zakonnikach owego damasceńskiego klasztoru powiedzieć było można, więc bawiono się chwilami — zwłaszcza przy stole — wcale nie źle, jak za dobrych czasów Boccaccia. Któregoś wieczoru, po kolacyi, Słowacki, który w tych czasach, jak sam przyznaje, był dziwnie skłonny do improwizacyi, zaimprowizował o księdzu Ryłle »tragedyę burlesque«, która tragicznością swą bardzo korzystnie przyczyniła się do strawienia spożytego niedawno klasztornego obiadu. Nawiasem mówiąc, od obiadów tych wstawał Słowacki zazwyczaj głodny, co — jak powiada dowcipnie w jednym z listów do matki — usposabiając go wyjątkowo poetycznie i podniecając znakomicie jego władze imaginacyjne, o tyle silniej rozbudzało w nim improwizatorską wenę.

Z Damaszku, razem z tabunem zakupionych przez Brzozowskiego koni, które pędzono przodem, puszczono się w drogę do Bayrutu. Przeprawa ta, stanowczo jedna z najprzyjemniejszych w całej podróży, raz, że odbywali ją przy

najcudniejszej pogodzie, a powtóre, że za tło służyły jej malownicze doliny, przepaści, skały i śniegi Libanu, rozmarzyła Słowackiego i rozpoetyzowała. »Śniegi gór, powiada, także mię dalekimi napełniły wspomnieniami«. Czego zaś, jakich chwil były to wspomnienia? Samo się przez się rozumie, że Szwajcaryi i owej wycieczki z rodziną Wodzińskich w Alpy Berneńskie.

Nakoniec, przebywszy śnieżny Antiliban, znaleźli się »między ruinami przesłicznymi Balbeku«. Zwaliska te, jedne z najpiękniejszych na świecie, podobały się Słowackiemu niezmiernie. »Pamiętasz, droga (pisał o nich między innemi do matki), że kiedyś, a temu bardzo dawno, leżało u nas na fortepianie dzieło wielkie, z ogromnemi sztychami, o ruinach Balbeku i Palmiry. Stojąc między kolumnami rzeczywistemi teraz, przypomniałem sobie te chwile dzieciństwa, kiedy to przeglądałem je na obrazku, i serce moje było pełne smutku«. Całe szczęście, że smutek ten — zapewne nie wielki — nie mógł trwać długo, odkąd bowiem zjechali z gór w dolinę, powitała ich najrozkoszniejsza wiosna, morze zieloności. Jedne drzewa nie potraciły jeszcze dawnych liści, drugie przystrajały się właśnie w świeże; migdały prószły kwiatem; słońce opromieniało wszystko jakąś grecką pogodą: poprostu Ziemia Obiecana, mlekiem płynąca i miodem.

A w takim razie Bayrut mógłby uchodzić za jej stolicę. Bo nic piękniejszego, jak położenie tego miasta, które rzucone na egzotyczne tło śnieżnych szczytów Libanu z jednej a morza z drugiej strony, wśród najcudowniejszej roślinności, ma sławę na całym Wschodzie ze swego klimatu łagodnego i swoich pięknych kobiet (których widoku Słowacki zawsze był żądny, czem zresztą nie różnił się zapewne i od swego towarzysza). Przybywszy tu, zmęczony dwumiesięczną podróżą na koniu, postanowił Słowacki odpocząć (co wobec »mnóstwa cudownie pięknych twarzyczek«, spotykanych na ulicy, podwójny przedstawiało dlań urok) i rozłączyć się z Brzozowskim. Ten ostatni chciał jeszcze — głównie ze względu na zakupione w Damaszku konie — być w Konstantynopolu. Słowacki koni nie kupował, odprowadzać ich nad Bosfor, ażeby je ztamtąd wytransportować okrętem do Odessy, nie potrzebował, a Konstantynopola nie był ciekawy. Czemu? Przedewszystkiem uważał, że dosyć się już napatrzył miastom wschodnim, od których Konstantynopol mógł być co najwyżej brzydszym, a powtóre, rzecz szczególna! miał jakieś uprzedzenie do tego miasta. Czemu? Nie chcę utrzymywać

napewno, ale zdaje mi się, że odpowiedzi na to pytanie szukać należy w trzeciej pieśni *Podróży na Wschód*.

Jakiegolwiek były zresztą powody, dla których Słowacki nie miał ochoty jechać do Konstantynopola, skończyło się na tem, że postąpił sobie, jak zdecydował: Brzozowski, wypocząwszy dzień jeden, puścił się dalej na północ ku Bosforowi; on zaś, »nie bardzo smutny z rozstania«, został w Bayrucie, ażeby, przeczekawszy tu burze wiosenne, wsiąść na okręt i popłynąć do Europy, do Włoch, gdzie miał zamiar osiąść na czas dłuższy we Florencyi, a dokąd towarzysz podróży (może w chęci starania się raz jeszcze o rękę panny Moszczyńskiej?) także wybierał się za kilka miesięcy.

II.

Słowackiemu tymczasem, od wyjazdu Brzozowskiego, nie było źle w Bayrucie. Znalazł tu kilku znajomych (emigrantów zapewne); w domu konsula francuskiego, gdzie przedstawiwszy się, bardzo gościnnego doznał przyjęcia, zabrał bardzo miłą, bo artystyczną znajomość z pewnym malarzem-Rzymianinem, malującym obrazy do miejscowego kościoła katolickiego; a że i O. Ryłło przyjechał z Damaszku na czas jakiś do Bayrutu, na nudy więc, ani na brak towarzystwa, nawet polskiego, nie miał się powodu skarżyć. Mimo to, nie myślał zabawić tu dłużej, nad kilka dni. Stęskniony za ciszą, a nie znajdując jej w Bayrucie, hałaśliwym, jak wszystkie miasta wschodnie, usłuchał namowy swego towarzysza-malarza, z którym się bardzo zaprzyjaźnił, a który się wybierał właśnie na dwumiesięczny pobyt do klasztoru libańskiego Bet-chesz-ban (co w języku syryjskim oznacza: spoczynek umarłych) i zdecydował się pojechać z nim razem. Życie klasztorne, myślał sobie, da mu możność spędzenia dłuższego czasu w zaciszu, na rozmyślaniu; będzie mógł sobie marzyć, może zdoła nawet co napisać; o ile zaś uprzykrzy mu się samotność, pójdzie pogawędzić z zakonnikami ormiańskimi, albo — jak Dante z Giottem w Fiesole — ze swoim malarzem-Włochem; okolica, w której leży klasztor rzeczony, podobno jedno z najładniejszych miejsc w Syrii, nakarmi jego wyobraźnię nowemi obrazami; nerwy, trochę skołatane i nadwreżone kilkomiiesięczną podróżą na koniu, wielbłądzie, okręcie, osiołkach i mułach, wypoczną należycie; a tymczasem pogoda

ustali się i podróż morska przestanie być, jak o tej porze, niebezpieczną i ryzykowną.

Jakoż w tydzień niespełna po swem przybyciu do Bayrutu (a stanęli tu z Brzozowskim w dniu 15 lutego) znalazł się już w zaciszu klasztornej, na stokach Libanu. Do klasztoru tego, który przylgnąwszy do skały, robi zdaleka wrażenie jaskółczego gniazda, mógł Słowacki śmiało zastosować następujące słowa Szamana, wyrzeczone do Anhellego; »Zaprawdę, że dla tych, co są smutni, ta kraina piękną jest i niebezludną. Tu przylatują mewy i gnieźdzą i kochają się, nie myśląc, że jest jaka piękniejsza ojczyzna«. Ale Słowacki myślał inaczej i dlatego, patrząc z okna swojej celi, z kąd był rozległy widok na szafirowe morze, i widząc stada mew białych, jak — różowe w promieniach zachodzącego słońca — odlatywały gdzieś, jakby na północ: nieraz (ach, jakże często!) miał je ochotę zapytać, jak Anhellu: »Gdzie wy lecicie, o mewy?« I zdawało mu się, jak Anhellemu, że w jęku ptaków słyszał głos, odpowiadający mu: Lecimy do ojczyzny twojej. Czy każesz nam pozdrowić kogo? I słuchając płaczliwego skomlenia mew, mógł powiedzieć o sobie, jak Anhellu, że na ten smutny głos ptaków kruszyło się w nim serce i myślał o matce swojej: co porabia? pewno się niepokoi o niego? Czy doszły ją wszystkie jego listy? Czy mu nie wyrzuca czasem tej wędrówki? Dzięki podobnym rozmyślaniam, miewał o niej co noc prawie różne sny dziwne, które, jeżeli smutne i zatrważające, wprawiały go »w jakieś obłąkanie«, a jeżeli pogodne i normalne, stawały się przyczyną dobrego usposobienia na cały dzień.

Podobny wpływ wywierały na niego i inne sny, mianowicie: jeżeli mu się śniła panna Wodzińska, o której myślał tu bardzo dużo, ciche bowiem życie klasztorne, literalnie niczem nie zamaćcone, przypominało spokojność i ustronność domu pani Patteg w Genewie. Tam widział z okna błękitne wody Lemanu, tu patrzył na błękit morza Śródziemnego. Tam, chodząc po ogródku z Maryą lub Eglantyną, zbierał fiołki i stokrotki; tu spacerując po ogrodzie klasztornej, albo wyszedłszy w góry, zrywał najcudowniejsze karbunkuły, storczyki, narcyzy i mnóstwo kwiecica, któremu nawet nie umiał nadać nazwy właściwej. Tam, o tejsamej porze, co teraz, na wiosnę, oddychał zapachem lip kwitnących; tutaj pachniały mu migdały i mirty, całe białe od kwiatu. Tylko że tutaj był sam, odcięty od świata, od życia, kiedy tam czuł się otoczony sympatją, graniczącą niemal z miłością siostrzaną i macierzyńską, a może

i więcej nawet, niż siostrzaną tylko, jeżeli chodziło o Eglantynę...

Na szczęście brak tego ciepła rodzinnego nie dał mu się prawie uczuć i tutaj na Libanie; od pierwszej chwili bowiem, jak zamieszkał w klasztorze, potrafił sobie do tego stopnia zaskarbić od razu sympatyę zakonników (których inaczej nie nazywa nigdy w swoich listach, tylko »dobrzy księża ormiańscy«), że o serdeczniejszej atmosferze w podobnych warunkach marzyć poprostu było trudno. W rozmowach swoich z nimi, we włoskim przeważnie prowadzonych języku, mógł być jak na spowiedzi otwartym, najmniejszej bowiem nie widział potrzeby ukrywania się z czemkolwiek wobec nich, lub dyplomatycznego przedstawienia się im w jakimś odmiennym, sztucznym świetle. Zarówno on, jak i oni, wiedzieli doskonale, z kim mają do czynienia, z czego wynikało najnaturalniej, że obie strony mogły się odnosić do siebie z wyrozumiałością pewną. Oni radzi słuchali jego opowiadań o Europie, o Rzymie, o Ojcu świętym, o klasztorach na górach szwajcarskich; kiedy on, przyznawszy się im otwarcie, że jest poetą, prosił, ażeby mu opowiadali w zamian różne legendy miejscowe, w których mogło się znaleźć dlań niemało poetycznego materiału. Jakoż znalazło się istotnie.

Niektóre z legend tych, niezawodnie te, które najbardziej przemawiały mu do wyobraźni, zapisał sobie Słowacki w swoim raptularzu. Jedna z nich, najpiękniejsza, przypomina bardzo historię Eloï Alfreda de Vigny, tej Anielicy nieszczęśliwej, która »zgrzeszyła, ulitowawszy się nad męką ciemnych Cherubinów i umiłowawszy jednego z nich, poleciała za nim w ciemność, a teraz jest wygnaną i ukochała mogiły i piastunką jest grobowców, mówiąc kościom: nie skarżcie, się, lecz śpijcie«. Bohaterką tej legendy (legendy, która na utworzenie się w wyobraźni Juliusza postaci Eloï niemały wywarła wpływ) jest Hiszpanka pewna, imieniem Marya, która zakochawszy się w dyable, wyrzekła się dlań Chrystusa; kiedy ją prosił jednak, aby odmieniła imię swoje chrzestne, nie chciała na to zezwolić. Nareszcie, po długich naleganiach szatana, zezwoliła na odjęcie ostatniej litery i została *Mari*. Potem, na ponowne prośby, oddała mu jeszcze jedną literę, aż na koniec zostało jej tylko *M* i odtąd nazywała się *Ema*. Otóż dziewczyna ta, znajdując się raz w teatrze na jakiejś świętej tragedji Kalderona, krzyknęła głośno z rozczulenia i od tej chwili przestała być opętana przez szatana. Równie poetyczne były dwie inne legendy, które tu Słowackiemu opowiedzieli »dobrzy księża«, a których on sobie zanotować nie

omieszkał: jedna o skamieniałych rybach na Libanie, które Chrystus tam u rybaków chcąc dostać, gdy Mu powiedział, że to są kamienie, istotnie w kamienie przemienił; druga o pewnej Maryi, która mając się za mężczyznę, żyła w grocie pomiędzy pustelnikami Libanu i raz przez kobietę nierządną oskarżona, że była ojcem syna tej kobiety, musiała syna tego za karę jak swojego wychowywać i żywić z jałmużny; dopiero, kiedy umarła, okazało się, że grzechu tego popełnić nie mogła, o który ją oskarżano; więc została uznana za świętą.

Po za tem schodziły mu dnie całe na dumaniu, na rozpamiętywaniu swojej przeszłości, swojej teraźniejszości i swojej przyszłości — tak niepewnej i zagadkowej — i nieraz powracał do owej *idée fixe*, która go już w Genewie absorbowała niekiedy, ażeby wstąpić do zakonu i zamieszkać w jakim cichym klasztorze; odcięty od świata i jego pokus, znalazłby dla swej duszy skołatanej i nie-szczęśliwej, odpoczynek i uspokojenie. W klasztorze, myślał sobie, żyłby tak, jak ci oto dobrzy księża ormiańscy: sadziłby kwiaty, uprawiał ziemię, modlił się, czytywał żywoty Świętych Pańskich, a czasami pisywał proste, anielskie poezye, proste i słodkie, jak przypowieści Chrystusa, jak książka św. Tomasza à Kempis *O naśladowaniu*, jak hymny świętego Franciszka z Assyżu lub nieśmiertelne *Fioretti* jego uczniów. Do takiego życia po za obrębem rzeczywistości (wmawiał w siebie) on był stanowczo, jakby stworzony; zdawało mu się, że w takiej rezygnacyi, w takim dobrowolnem wyrzeczeniu się wszystkiego co ziemskie, doczesne, znalazłby może, czego dotąd szukał na próżno: szczęście. Zniknęłaby dlań wtedy cała przeszłość, wszystkie wspomnienia, wszystkie marzenia dzieciństwa; i żyłby w jakiejś sferze czystej, niebiańskiej, w jakimś zachwyceniu pokrewnem temu, w jakim żył np. taki Fra Angelico; i modląc się, zapominałby o wielu rzeczach, o których dzisiaj, niestety, zapomnieć nie mógł w żaden sposób, choć pragnął.

Czegoby np. nie dał za to, żeby wymazać z duszy wspomnienie Ludki! A jednak myślał o niej ciągle. Gniewało go, że się tem interesuje, że mu to wszystko nie jest obojętne zupełnie, starał się, żeby tak nie było, ale nadaremnie! Postać tej kobiety, niegodnej nazywać się jego »kochanką pierwszych dni«, nie dawała mu spokoju nietylko w dzień, na jawie, ale i w nocy, we śnie: śnił o niej raz po raz. Któregoś dnia, powiada, miał o niej nawet sen dziwny. Oto zdawało mu się, że usta jej składają na czole jego pierwszy pocałunek. Zbudziwszy się, ponieważ księża

byli blisko, uważał za stosowne wypowiadać się z tego »grzechu pamięci«, poczem wyszedłszy na jedną z największych skał, rzucił swej Dulcyniei »ogromne przekleństwo«, a wracając ztamtąd, śmiał się sam z siebie i litował, że jest taki »smutny waryat«.

Szczęściem, oprócz przyszłej żony Sadyka paszy, grały we wspomnieniach poety i inne osoby nie mniej ważną rolę, pierwsze zaś miejsce w tym razie należało się bezwzględnie matce. W liście do niej pisanym w kilka miesięcy później z Florencyi dnia 3 października 1837 r., powiada Słowacki między innemi: »Gdybyś ty wiedziała, jak ja któregoś chmurnego dnia na Libanie w klasztorze, wydobylem cały pakiet twoich listów, z jaką smutną uwagą je podług dat sześcioletnich układałem, jak je potem odczytywałem ze łzami nad tobą i nad sobą! Każdą człowieka ma jakiś skład, który w testamencie nazywa: moje papiery! Otóż ja, który w kominie palę często moimi bazgraninami, nie mam przy sobie nic więcej prawie, jak twoje listy, droga! One jedne błędzą ze mną po świecie — widziały Kair i były tam, gdzie pisane Słowo Boże«.

W taki sposób upływały mu dnie w tym »spoczynku umarłych«. Wieczorami, o zachodzie, chadzał do małego źródła, nieopodal klasztoru, gdzie dziewczęta wiejskie przechodziły z dzbankami na głowach czerpać wodę, i rozmawiał z niemi po arabsku (jak Chrystus z Samarytankami), uchodząc w ich oczach — niejednokrotnie bardzo pięknych — za doktora; na Wschodzie bowiem każdy Europejczyk uważany bywa za doktora. Dzięki tej reputacyi, zdarzało się nieraz, że stare matrony i młode Rebeki syryjskie podawały mu rękę, ażeby je brał za puls, co jego »dziwnie bawiło«, a niekiedy nie było i bez przyjemności, zważywszy, że kobiety w tych stronach słyną ze swej urody. Żałował tylko, że cały jego zasób słów składał się z dwustu wokabuł »bez spojeń słów i przypadkowych zakończeń«, co mu wielce utrudniało konwersacyę. Mimo to jednak dawał sobie jakoś radę i regularnie co wieczór widywano go przy tem romansowem źródle.

I tak upłynęło mu sześć tygodni; a że duszę miał zawsze najwrażliwszą na wpływy otoczenia, więc i ten pobyt w cichym odludnym klasztorze, »wśród wspomnień religijnych i tej majestatycznej samotności«, pobudzał go do rozmyślań na temat cierpień ludzkich, cierpień.

Ztąd pomysł *Anhellego*. Poemat ten, zdaniem niektórych, a między innemi i Zygmunta Krasińskiego, ze wszystkiego, co Słowacki napisał w życiu, najpiękniejszy, najgłębszy, nosi na sobie wyraźne piętno mistycznej atmosfery,

wśród której został poczęty, przedewszystkiem zaś — pomijając już całą stronę artystyczną i nie symboliczną — jest doskonałym wyrazem owych Słowackiego pojęć i wyobrażeń, które się w nim ostatecznie urobiły i skryształizowały tutaj, w Ziemi Świętej.

Ale, czy to, że obrana początkowo forma dantejskiej tercyny zbyt krępujące nakładała wędzidła natchnieniu, czy też, że pomysł nie był jeszcze dojrzały zupełnie: dość, że pisanie szło Słowackiemu tym razem trudno nadzwyczaj, tak dalece, że po jakimś czasie zniechęcił się i, odłożwszy pisanie tego poematu na później, zaczął, jak się zdaje, przerabiać i wykończać swoje dawniejsze, niedrukowane jeszcze utwory, pomiędzy którymi prym trzymała *Baladyna*.

Zresztą nie działo się w jego życiu nic, coby na nazwę wypadku zasługiwać mogło, i jedynym zdarzeniem, które mu monotoność tego pobytu w klasztorze przerwało, była spowiedź, którą odbył w dzień Wielkiejnocy przed umyślnie przybyłym z Bayrutu O. Maksymilianem. Zrazu, kiedy mu się ten ostatni ofiarował sam na spowiednika, nie wielką zdradzał do tego aktu skruchy ochotę.

W końcu jednak — czytamy w jednym z listów — przyjacielskie jego nalegania tyle sprawiły, że wyspowałem mu się ze wszystkich grzechów mego życia. Ale, kiedy w szarej godzinie poranku uklęknąłem przed nim, chcąc wymówić pierwsze słowo, rozplakałem się, jak dziecię, tak mi to przypomniawszy dawne czasy, dawną niewinność, wszystko od czego mię później długie lata oddzieliły. Po skończonej spowiedzi ksiądz wstał, uderzył mnie po ramieniu i rzekł: »Idź w pokój, wiara twoja zbawiła ciebie«.

O tym samym czasie, dnia 29 marca, o godzinie 8-ej wieczorem, jak to sam dokładnie w raptularzu swoim zapisał, miał — patrząc w niebo gwiazdziste — chwilę zamyślenia nad swoją przeszłością, a że na tle tej przeszłości, niby oaza wśród pustyni, rysowały się owe dni szczęścia w Paquis, pospołu z Maryą spędzone, z tą Maryą, która była z twarzy podobną trochę i do jego »dziecka kochanki«, takie same, jak tamta, mając włosy i oczy; więc ogarnęła go znowu szalona tęsknota po niej, tęsknota i smutek, których poetycznym wyrazem są niewątpliwie następujące, w rozdziale XI zawarte żale Anhellego: »Otom zobaczył Anioła, podobnego tej niewieście, którą kochałem z całej duszy mojej, będąc jeszcze dzieckiem«. Ze przez tego Anioła rozumiał Słowacki pannę Wodzińską, o tem tak samo wątpić niepodobna, jak i o tem, że tą niewiastą, którą kochał Anhelli, będąc dzieckiem, była Ludwika Śnia-

decka. »A miłowałem ją w czystości serca mego: dlatego lzy mię zalewają, kiedy myślę o niej i o mojej młodości. Bo, oto, byłem przy niej jak ptak swojski, co się boi, i nie wziąłem nawet pocałowania od jej ust koralowych, choć była blisko: jak gołąb, mówię, siedzący na ramieniu dziewczyny. Dziś już to snem jest. Oto szafirowe niebo i gwiazdy białe patrzą na mnie: sąż to gwiazdy tesame, które mię widziały młodym i szczęśliwym? Dlaczegoż nie powstanie wichur, co mię z ziemi zwieje i zanieśie w krainę cichą, dlaczego ja żyję? Oto już jednego włosa nie ma na mojej głowie z tych, które były dawniej, oto się nawet kości we mnie odnowiły, a ja zawsze pamiętam. A nie ma jednej kawki w powietrzu, któraby nie spała przez jedną noc życia w spokojnem gnieździe. Lecz o mnie Bóg zapomniał. Chciałbym umrzeć. Bo zdaje mi się, że gdy będę umarłym, to sam Bóg pożałuje tego, co ze mną uczynił, myśląc: oto już nie narodzię się raz drugi. Wszak rodzić się nie jest to, co zmartwychwstać: trumna nas odda, lecz nie spojrzy na nas, jak matka. Oto mi więc smutno, że ujrzałem tego Anioła«.

Na szczęście, takie smutki poetów bywają dla nich zazwyczaj krynicą poetyckiego natchnienia. Tak się też stało i tym razem ze Słowackim. Ze smutku tego urodziła się postać Eloï, postać, której w pierwotnym planie poematu nie było, a która, lubo zapożyczona z poematu Alfreda de Vigny (na co już Krasiński zwrócił pierwszy uwagę), jest przecież w *Anhellim* jedną z jego największych piękności. Nie od rzeczy też będzie napomknąć, że oprócz utworu Alfreda de Vigny i oprócz owej legendy o Hiszpance, która się dla miłości dyabła wyrzekła Chrystusa, ma Eloë Słowackiego jeszcze coś i z biblijnej postaci Racheli, oplakującej w Rhamie wygnanych synów; tak jak Ellenai ma dużo cech pokrewnych ze świętą Magdaleną.

Na początku kwietnia zdecydował się Słowacki pożegnać »dobrych księży ormiańskich« i rozstać się z nimi, prawdopodobnie na zawsze. Bo zkadżeby mieli się spotkać tu kiedy raz jeszcze? Myśl o tem, że już tych ludzi nie spotka nigdy, przejmowała go smutkiem, i dlatego niezapomniane, jak powiada, zrobiło na nim wrażenie, kiedy ostatniego ranka, zbudziwszy się, usłyszał stukanie do drzwi, którem budzono śpiących po celach zakonników. »Tak było wczoraj, myślał sobie, tak jest dziś, tak będzie jutro«. I kiedy oni, spokojni o to jutro, nie potrzebowali drzeć na myśl o przyszłości, on wyjeżdżał oto do Bayrutu, gdzie miał wsiąść na okręt, i ruszać do Europy, gdzie nikt

go nie czekał, gdzie on niczego się nie mógł spodziewać dla siebie, gdzie go czekała proza życia powszedniego, na obczyźnie, w otoczeniu pospolitych »zjadaczów chleba« lub też, gdyby mu przyszła ochota przenieść się ostatecznie z Florencyi do Paryża, wśród wrzawy sejmików emigracyjnych. Tymczasem jednak, kiedy go od Europy oddzielał cały bezmiar wód Morza Śródziemnego, wypadało podziękować »dobrym księżom« za gościnę i powiedzieć im do widzenia na dolinie Józafata. To pożegnanie z nimi opisał Słowacki matce obszernie w jednym z listów, a opisał je, jak powiada, na dowód, do jakiego stopnia udało mu się pozyskać przyjaźń i sympatyę cichych mieszkańców klasztoru. »Dobrzy ojcowie, mówi Juliusz, zasmuceni, że ich porzucam, dali mi wszelkie prowizye na drogę i wino; lecz, kiedy przyszło osła, dźwigającego rzeczy, ładować, pokazało się, że ogromnego butla wina udźwignąć nie mógł. Radosny byłem z tego zdarzenia, bo myślałem, że się zdołam wymówić od przyjęcia podarunku; ale, niestety, księża wysłali człowieka, który na żyłastych ramionach przyniósł za mną, trop w trop lecąc, butel aż do Bayrutu«. Nareszcie, po długich i serdecznych pożegnaniach, siadł na konia; przewodnicy i muły z rzeczami szli za nim, potem człowiek z butlem na plecach. W innych warunkach, każdego innego, mogłaby »cała krotochwilność takiego orszaku« w dobry wprawić humor; on tymczasem, opuszczając ten klasztor, doznawał smutnego uczucia niepewności, pomieszanego z jakąś dziwną tęsknotą za czemś nieokreślonym, tak zupełnie, jak gdyby mu z łatwością przyjść mogło »życie z tymi dobrymi mnichami przepędzić«. Kiedy ujechał z jaką stają drogi, obejrzał się po za siebie, chcąc raz jeszcze rzucić okiem na te mury, w których obrębie tak mu dobrze upłynęło te sześć tygodni. »Byłem na dole, powiada; klasztor rysował się na niebie, a na dachu klasztornym, płaskim, stały małe, czarne figurki. Byli to księża, którzy mię oczyma przeprowadzali«.

III.

Powróciwszy do Bayrutu, nie znalazł tu Słowacki, jak się był tego spodziewał, okrętu do Europy, tak, iż nie pozostawało nic innego, tylko zamieszkać w hotelu i czekać cierpliwie. Nie przeczuwał tylko, że mu tu czekać wypadnie około sześciu tygodni. Ale i brak tego przeczucia,

i nadzieja, że niebawem będzie mógł ztąd odpłynąć, nie przyczyniały się wcale do urozmaïcenia pobytu w tem, równie pięknie położonem, jak nudnem mieście. Jedyne dom europejski, w którym go podejmowano gościnnie, dom konsula francuskiego, p. Guys, tego samego, który tu podejmował przed pięcioma laty Lamartina z rodziną, był jak niewielka oaza pośród nieprzejranej pustyni najnieznośniejszych nudów. Z obawy jednak, ażeby nie powiedziano, że się narzuca swoją osobą, umyślnie korzystał z oazy tej rzadziej, aniżeli na to pozwalał nawet konwenans; a choć zdarzało się czasem, że zaproszony do państwa Guys, przesiadzał u nich kilka godzin, to przecież nie wypełniało mu to jeszcze całego dnia, z którym nie wiedział nigdy, co zrobić. Czytanie książek francuskich, które mu p. Guys pożyczał do domu, także nie zaradzało zawsze złemu; zwłaszcza, że biblioteka konsula składała się przeważnie z dzieł specjalnych, najczęściej z zakresu etnografii, w której on, jako poeta, mniej znajdował upodobania. Tem się tłumaczy też, że przez czas pobytu swojego w Bayrucie, w początkach przynajmniej, czytał — z nudów jedynie — i takie dzieła nawet, jak de Morie: *Histoire critique de la créance et des coutumes des nations du Levant*, z którego znajduje się nawet w jego raptularzu kilka wyciągów.

Koniec dopiero nudom tym położyło przybycie do Bayrutu: najprzód dwóch Polaków, w służbie u baszy będących, którzy tu, niestety, zabawili parę dni tylko; a następnie — Stefana Hołyńskiego, który przyjechał z Jerozolimy (sam, albowiem brat jego, Aleksander, wciąż jeszcze bawił w Kairze przy swojej odalisce).

Stefanowi Hołyńskiemu poświęcił zczasem Słowacki *Anhellego* »na pamiątkę spotkania się w Ziemi Świętej i pod górami Libanu«. Tak brzmi dedykacja, świadcząca wyraźnie, że spotkanie to musiało ich bardzo zbliżyć do siebie i serdecznym węzłem wzajemnej sympatyj ściśle połączyć. Jakoż skończyło się na tem istotnie, pomimo, że zrazu, w pierwszej chwili, nie obiecywał sobie poeta po towarzyszu swym zbyt wiele: wątpił poprostu, czy w towarzystwie takiego, jak Hołyński, człowieka, będzie znajdował przyjemność *à la longue*. Na szczęście jednak, Hołyński, mało znany Słowackiemu (bo znali się tylko o tyle, o ile spędzili razem owych kilka godzin w Denderah i potem parę dni w Kairze) był, jak się o tem poeta miał niebawem sposobność przekonać, nierównie lepszym towarzyszem, aniżeli brat jego, Aleksander. Natura prosta i szczerą, prawdziwie ukraińską, zdolną do melancholii — jak przystało na nieodrodne dziecię stepów — wielki przy-

tem, jak się okazało, talentu Słowackiego wielbiciel, nie dziw, że niedługiego potrzebował czasu, ażeby pozyskać jego zaufanie i przyjaźń. Mieszkając w jednym hotelu — bo nie było wówczas drugiego w całym Bayrucie — odcięci od Europy, od swoich, znalazłszy się razem na dalekim Wschodzie, w mieście, gdzie, oprócz kilku konsulów i ich rodzin, nie widziałeś prawie białych, europejskich twarzy, już przez to samo, że z jednych i tych samych mniej więcej pochodzili stron, że mieli mnóstwo wspólnych znajomych, o których mogli rozmawiać, i, co najgłówniejsza, jak w danym wypadku, że mogli o nich mówić po polsku, co zawsze zbliża niezmiernie na obczyźnie, musieli, chcąc nie chcąc, jak najwięcej przebywać wspólnie i nie żałowali tego bynajmniej: przeciwnie, po kilku dniach byli już ze sobą, jak bracia. Hołyński, widząc w Słowackim wielkiego poetę, a w sobie tylko zwykłego obywatela ziemskiego, był dlań z całym należnym mu uszanowaniem, co go nadzwyczaj dobrze zapisało odrazu w oczach poety; ten ostatni zaś, aż nadto może o wyższości swej przeświadczony, lubił, ażeby ją drudzy w nim uznawali. (Tem się tłumaczy, że tak mało miał w życiu prawdziwych przyjaciół, i że tak łatwo zrażał się do ludzi). Hołyński tymczasem, podobnie, jak i Krasiński, był dlań z najwyższem uznaniem, i dlatego, nie wiedząc nawet, kiedy i jak, podbił go sobie raz na zawsze. Najlepszy dowód, że mu się Słowacki na pamiątkę tych kilku tygodni w Bayrucie spędzonych, nie zawahał się przypisać jednego ze swoich najpiękniejszych i, dodać należy, najbardziej ulubionych utworów. Podobny zaszczyt spotkał odąd jednego tylko człowieka, a człowiekiem tym był autor *Irydiona*.

O tym ostatnim, o swoich »szalonych spacerach« z nim po Rzymie i jego okolicach, myślał Słowacki niejednokrotnie, chodząc po Bayrucie z Hołyńskim. Taksamo bowiem, jak rok temu z Zygmuntem, upływały mu dziś ze Stefanem całe godziny na ożywionej rozmowie; a że w jednym, jak i w drugim wypadku, ową tajemniczą nicią, która łączyła go z towarzyszem, była sympatya, więc i o różnicy pomiędzy genialnym Zygmuntem a poczciwym Stefanem zapominał często. Spędzając z nim dnie całe razem, »chodząc na spacer, rzucając ukradkiem spojrzenia na zakryte piękności wschodnie«, uważał Słowacki (o czem zresztą wspomina sam wyraźnie w listach do matki), że dobrze im z tem było, i jednemu, i drugiemu, ponieważ jeden zarówno jak i drugi mógł — jak Słowacki — z czystem sumieniem napisać do swoich, że znalazł przyjaciela.

Ulubionym celem ich spacerów — wieczornych — był

miejscowy »ładny cmentarz turecki«, gdzie, jak powiada Słowacki, co wieczoru siadali razem »na marmurowym turbanie, patrząc na morze, i słuchając płaczu tureckich kobiet, które na grobowcach znajomych rozścielały bukiety kwiatów, niezmordowane w oddawaniu czci zmarłym, *wierniejsze, niż nasze kobiety, wspomnieniom*. Marzyłem kiedyś, będąc dzieckiem, o takich cmentarzach, o takich cyprysach, jakie teraz widziałem na oczy«. Pisząc słowa powyższe, (zwłaszcza kiedy pisał o tem, że kobiety wschodnie są wierniejsze wspomnieniom, aniżeli nasze) miał Słowacki niezawodnie na myśli pannę Wodzińską, która, jak uważał, swoim wspomnieniom genewskim sprzeniewierzyła się bardzo prędko, skoro go już o niej doszły wieści, że za mąż idzie! Za kogo? Pytanie to nie dawało mu spokoju przez cały czas podróży. A nie wiedział: za kogo?

Tymczasem »błądził między róże i cyprysy« i widział w tym melancholijnym smutku tureckich cmentarzy dużo poezyi. Oto, co o nich pisze w *Beniowskim*:

Ludzie z księżycową twarzą
W mogiłach swoich wschodnich gospodarzą.

Przyjmują na noc smętne wędrowniki
Czasem przez wieczne nakażą zapisy
Karmić ptaszęta, zkąd są ciągle krzyki
Wróblów, i ciągle pełne ziarna misy,
I ciągle różom miłosne słowiki
Na cmentarzowe latają cyprysy,
I ciągle szpaki po grobach gawędzą
O trupach, którzy karmią i... nie spędzą.

Lubiłem widzieć takie gospodarstwa
Umarłych, szpaków podsłuchać rozmowy
I słyszeć różne ich o zmarłych łgarstwa,
Bo pochlebiają; i posępne sowy,
.
Z grobów posępne pokazują głowy
I zegarowe, wielkie, kragłe lice,
I oczy, co się palą, jak dwie świece.

...Taką pieśń dziwnej do smutku podniety
Śpiewają czarny modrzew z czarnym cisem,
Tuląc skrzydłami wygnańce.

Być bardzo może, iż przez wygnańców tych rozumie tutaj Słowacki siebie i Stefana Hołyńskiego na cmentarzu tureckim w Bayrucie.

Meczety

I groby z dawnym koranu napisem;
Kamienie z ziemi tak podniosły grzbiety,
Jakby wstawały na sąd przed Elbisem:

Wszystkie na słońce obrócone wschodnie,
O wschodzie błyszczą z trawy, jak pochodnie.

W powietrzu smętny półksiężyc blaszany
Do nieba zda się wznosić srebrne ręce,
Za grobowcami prosząc, co z pod ściany
Meczetu, jako pochodnie jarzące,
Pałą się ogniem do Pana nad Pany,
O Jego życiu i ranach i męce
I o tem, jako z ludzi był najkrwawszy,
Pierwszy raz głucho w ziemi usłyszawszy...

Każda tych liter nieznajomych zgłoska
Zda się w ten kamień coraz więcej wrywać.
Jeśli to prawda, Rodzicielko Boska,
Że umiem serca zranione odkrywać:
Ty na ten księżyc, który się tak troska
O groby swoje, musisz przelatywać
I w ogniu zorzy, jak róża Jeryho,
Na tym meczecie smętnym kwitnąć cicho.

Z twarzą do nieba wzniesioną, śród lasu,
Nad muzułmańskim cmentarzem ty stoisz
I słuchasz sosen smętnego hałasu,
A złotą z twych rąk rosą kwiaty poisz,
Aż groby, życia płaczące i czasu,
Ty spokojnością swoją uspokoisz,
Jak smutny obóz kamiennych namiotów,
Ten smutny cmentarz bez bram i bez płotów.

I tak upłynęło im sześć tygodni blisko, na spacerach, na rozmowach, na odwiedzaniu cmentarza — co Słowackiemu przypominało jego rozmowy platońskie z Krasieńskim w Rzymie na grobach Shelley'a i Keatsa — aż wreszcie od tak dawna oczekiwany okręt do Europy zarzucił kotwicę pod Bayrutem i trzeba było się rozstać. Nie na długo! Hołyński bowiem, poprostu zakochany w Słowackim, tembardziej, że była to miłość na wzajemności oparta, obiecał mu przyjechać do niego wkrótce, do Florencyi. Teraz, po wyjeździe Juliusza, zamierzał odbyć jeszcze wycieczkę po Syrii, poczem miał jechać do Grecyi, ażeby się tam spotkać z bratem, jeżeli się ten ostatni wyrwać z Kairu potrafi. Niestety, liczyć na niego z pewnością i przysiąc, że się stawi w Atenach na umówiony termin, było więcej, niż ryzykownem, jeśli się zważy, że powodem, dla którego Aleksander tak sobie upodobał Kair, była kobieta.

Stefan tymczasem, rozsądniejszy od swego młodszego brata, choć i on lubił — jak to widać z listu Słowackiego — »rzucać ukradkiem spojrzenia na zakryte wschodnie piękności«, kłopotał się nie tylko o Aleksandra, ale i o Juliusza. Mianowicie zdawało mu się, że ten ostatni ma nie-

dosyć pieniędzy na drogę, a nie śmie prosić go o pożyczkę. Będąc w szczęśliwszem pod tym względem położeniu, postanowił przyjść mu z pomocą. Nie wiedział tylko, w jaki sposób dać to przyjacielowi swemu delikatnie do zrozumienia, tak, żeby go nie obrazić podobną propozycją. Bo, że Juliusz był w najwyższym stopniu drażliwy i nadzwyczaj czuły na tym punkcie, o tyle go zdołał już poznać. Nareszcie, po kilkodniowych daremnych usiłowaniach, ażeby z nim wszcząć dyskurs o pieniądzach, jednego wieczoru zdobył się na odwagę, zaczął mówić, zająknął się i przestał. »Ścisnąłem go za rękę, powiada Słowacki, i dokończyłem sam zaczęta przez niego frazę. Dobry chłopiec! Rzucił mi się na szyję i rozplakał się rzewnymi łzami, usiłując mnie zmusić koniecznie, abym wziął 2000 franków. Z największą trudnością wymówiłem się od tego i musiałem go przekonać, że mam pieniądze, wystarczające mi na powrót do Europy. Ale łez tych nigdy nie zapomnę, i ty go, droga moja, za to, wiem, że kochać będziesz«. Całe to zajęcie świadczy bardzo pochlebnie o Słowackim, zarówno jak i o Hołyńskim.

Na ostatni wieczór, który spędzić mieli w Bayrucie, zaprosił ich pan Guys do siebie na bal. Ładna-to, jak na Bayrut, była feta, powiada Słowacki, który z zabawy tej nader miłe wyniósł wspomnienie. Bo i co się tam nie znalazło! Dość powiedzieć, że puszczano balon z bibułki angielskiej, i spalono mnóstwo fajerwerków. Na Słowackim jednak większe nierównie, aniżeli balon i fajerwerki, robiły wrażenie tego wieczoru żony konsulów miejscowych, oraz »kilka kobiet wschodnich w arabskich ubiorach«, z którymi rozmowa i taniec na tle uiluminowanego różnokolorowemi lampionami ogrodu, przy dźwiękach pozytywki (bo fortepiany, choć są, lecz aby je nastroić, do Europy instrument posyłać trzeba), nie mogła nie mieć dlań pewnego egzotycznego uroku; tembardziej, że, jako pierwszy poeta, który był w Bayrucie po Lamartinie, stanowczo był wyróżniany przez te panie i honorowany. Ztąd poszło, że wszystkie damy ubiegały się jedna przez drugą, aby z niemi »gadał«, czego im też nie myślał odmawiać. A że następnego dnia miał być na pełnem morzu, więc była w tem wszystkim, jak powiada, jakaś poetyczność, której nawet określić nie potrafił.

Nazajutrz (d. 4 maja) raniutko, odwoził Hołyński Słowackiego do okrętu, chciał bowiem, jak się z tem nie ukrywał zresztą przed Julkiem, być do ostatniej chwili z nim razem, i tak się urządzić, ażeby po jego odjeździe ani godziny dłużej w Bayrucie nie zostawać, ponieważżby mu to

miasto nieznośnem wydało się bez niego. Jakoż pożegnali się prawie ze łzami; poczem Słowacki — jak Romeo do okna Julii — wdrapał się po spuszczonej mu z góry drabinie sznurowej na pokład; Hołyński zaś, powiewając chustką, odpłynął powoli do Bayrutu, gdzie wsiadłszy niezwłocznie na konia (rzeczy już był pierwszej wyprawił) ruszył w góry Libańskie do cedrów Salomona, w przekonaniu, że jeżeli mu się uda znów zobaczyć poetę, to nie prędzej, aż dopiero za kilka miesięcy, we Florencyi.

Tymczasem los zdarzył inaczej. Okręt bowiem, który miał Słowackiego odwieść do Europy, zamiast płynąć wprost, wstąpił jeszcze po drodze — choć właściwie było mu to z drogi — po ośmiu godzinach żeglugi, do miasta portowego Tripoli, gdzie miał jakiś interes do załatwienia. Tym sposobem, niespodziewanie zupełnie, znalazł się Słowacki w Tripoli, i miał tu zabawić, nie z własnej woli bynajmniej, dwa dni. Idąc za przykładem reszty towarzystwa, zamiast nudzić się przez cały dzień na okręcie, wolał nudzić się w nieznanem sobie mieście, wśród rajszych prawdziwie jego okolic. Zajechawszy do jednego z klasztorów, smutny, myśląc o świeżem rozstaniu ze Stefanem, do tego stopnia czuł się nieusposobiony do oglądania osobliwości Tripoli, że odłożył to na dzień następny: dziś nęciła go bardziej cisza klasztorna i ogródek »gdzie mała fontanna, cytryny i pomarańcze, owocem okryte, i białe lilie kwitnące, dziwnie *balsamowały* powietrze i klasztorowi temu romantyczną nadawały postać«. To też nie wyszedł ztąd, aż dopiero nad wieczorem, zapewne, ażeby popatrzeć trochę na zakryte piękności wschodnie.

Nazajutrz jednak spotkała go niespodzianka. Ledwo się zbudził, kiedy wpada do klasztoru lokaj. Czyj? Hołyńskiego, który przybywszy wczoraj do Tripoli i w innym zamieszkawszy klasztorze, dowiedział się przypadkiem, że i towarzysz jego z Bayrutu znajduje się tutaj chwilowo. Przysłała więc, ażeby mu dać znać, że go oczekuje. Dla Słowackiego była to nowina nad wszelki wyraz pożądana. Jakoż spędzili cały dzień razem, włócząc się po cudownych okolicach tego miasta, porównyując jego ładny cmentarz muzułmański z ich ulubionym cmentarzem w Bayrucie; i tak upłynął im czas aż do zachodu słońca, o którym uściśnęli się na nowo, w tem przeświadczeniu, że ten ostatni dzień w Tripoli spędzony był jednym z najpiękniejszych dni w całej ich podróży; poczem każdy udał się w swoją drogę: Słowacki okrętem do Cypru, Hołyński konno do cedrów Libańskich.

Po wyjeździe z Tripoli czekało Słowackiego 40 dni

podróży morskiej, »sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem«. A jednak, pomimo, że w ciągu tak długiego czasu nie trudno spotkać się na morzu z burzą, z huraganem, a wreszcie w okolicach Grecyi, z korsarzami, czyhającymi na cudzą własność i życie: on odjeżdżał spokojny o siebie; spokojny, albowiem posiadał tę samą wiarę w swoje przeznaczenie, w swoją misję, jaką posiadali wszyscy wielcy ludzie; jaką miał Cezar, kiedy mówił przewoźnikowi, że wiezie Cezara i jego szczęście; jaką miał Napoleon, kiedy w odmęcie bitwy, wśród gradu kul powiedział: *La balle, qui me tuera, n'est pas encore fondue*. I Słowacki, jak oni, wierzył w swą »gwiazdę opiekuńczą«. »O droga moja, piesz raz do matki, dlaczegoś ty się lękała o mnie? Czy ty nie widzisz, że ja mam jakąś gwiaźdzeczkę nad głową, dla której złe nie przemoże nademną, aż Bóg mnie zawoła«? W innym znów liście powiada, że »tasama gwiazda, która go strzegła na morzu i na pustyni, świeciła także nad górą Bony« (w Krzemieńcu). Ufny w opieką Boską nad sobą, wierząc, że na szachownicy swego narodu, nie jest zwyczajnym pionkiem, że nie spełnił jeszcze wszystkiego, do czego był powołany i co mu spełnić na tej ziemi było przeznaczone, że na barki jego »włożony jest ciężar większy, niż mogą unieść inni, aby w nim było odkupienie« i że on ciężar ten uniósł dotychczas na pół drogi zaledwie, nie przewidywał żadnego dla siebie niebezpieczeństwa w tej podróży, tak dalece, że go aż to zadziwiło samego.

Jakoż przewidywania jego sprawdziły się w zupełności. Pogoda była przez cały czas żeglugi, jak wymarzona. Morze, spokojne i wyzwierciedlone, chciało mu, rzekłbyś, duszę nauczyć pokoju, tak spokojne, że aż za spokojne, bo zdarzały się dni takiej ciszy na wodzie i w powietrzu, że posuwanie się naprzód było niemożliwe i nie pozostawało nic, tylko stać w miejscu i czekać na wiatr. Że takie przystanki, nieraz trwające po parę dni, dawały się we znaki, to się rozumie samo przez się. Bo póki okręt był w ruchu, póki żagle, pomyślnym wiatrem wydęte, robiły wrażenie skrzydeł łabędzich, dopóty i w duszy było jakoś rażniej.

W ogóle przedstawiało życie na statku mało urozmaicenia, nużąc swą jednostajnością. Dzień do dnia podobny; niebo czyste bez chmurki; rano wschód słońca, wieczorem zachód, zawsze piękny, zawsze olśniewający swym — jeżeli się tak o zachodzie słońca lub wschodzie wyrazić można — weneckim kolorytem; dokoła, jak okiem sięgnąć, wszędzie morze i morze, zawsze błękitne, zawsze gładkie, jak szyba szklanna; a ta jego gładkość mimowoli oddziaływała niwe-

lując na wszystko, co jest myślą, rozleniwiała poprostu, obezwładniała. Co gorsza, że chwilami wpływała wprost przeciwnie, bo rodziła przywidzenia i pokazywała duszy dziwne obrazy, pobudzając do myślenia, »a myśląc, nie można być panem imaginacyi«. Żąd powód do różnych urojonych niepokojów, złych przeczuć, niczem nieuzasadnionych obaw etc., wszystko to zaś miało swe źródło w znużeniu, bo podróż morską bywa przyjemną o tyle, o ile nie jest długą, o ile nie trwa dłużej, nad tydzień najwyżej.

Słowacki tymczasem był w drodze sześć tygodni. Przez sześć tygodni, codzień, wstawał przed wschodem słońca i obserwował gwiazdy, w których się przez czas tej podróży głęboko, jak powiada, zaciekał, często pomagając oku teleskopem okrętowym. Przez sześć tygodni, codzień, przypatrywał się wschodzącemu słońcu, od chwili, kiedy się niebo czerwienieć zaczynało na horyzoncie, aż do chwili, kiedy promienie słoneczne, przemienione ze szkarłatu w złoto, zalały całą przestrzeń, cały bezmiar wód. Przez sześć tygodni, codzień, słuchał o wschodzie słońca piania kogutów, nie przeczuwających, że są przeznaczone na rzeź, a których głos, przypominając spokojność życia wiejskiego, dziwnie brzmiał pośród morskiego oddechu. Przez sześć tygodni, codzień, o jednej i tej samej godzinie porannej, wychodził na jego spotkanie kot okrętowy, wesoły i żywy, kiedy się z nim bawiono, a zwłaszcza, kiedy go drapano po łebku. Przez sześć tygodni, codzień, o jednej i tej samej godzinie widział sześciu mnichów, rzucających spokojne łoże i idących na pokład odmawiać ranne modlitwy. Przez sześć tygodni, codzień, zasiadał z temisamemi osobami do śniadania, do obiadu i do kolacyi. Przez sześć tygodni, codzień, słuchał, jak o godzinie piątej cały okręt odmawiał głośno różaniec N. Panny, prosząc o wiatr pomyślny. Przez sześć tygodni, codzień, starał się skracać sobie czas czytaniem książek z biblioteki okrętowej lub marzeniami o niebieskich migdałach. Przez sześć tygodni, codzień, grywał w warcaby z jednym mnichem. Przez sześć tygodni, co niedzielę — nie codzień — częstował mnichów owem winem, które mu dali na drogę »dobrzy księża ormiańscy«, a że wino było w wyborowym gatunku, więc i humory ożywiały się przy niem. Przez sześć tygodni, codzień, bawiło się towarzystwo widokiem trzech baranów, które zjedzono w końcu. Śmierć ostatniego, powiada Słowacki, była oplakaną rzewnymi łzami przez okrętowego chłopczyka, który się był do zwierzęcia przywiązał, jak do braciszka, zyskawszy i ze strony barana podobne przywiązanie, tak

dalece, że *baş* biedny, póki żył, jak pies biegał za nim. Przez sześć tygodni wrzeszcie, codzień, wzbudzał podziw pomiędzy marynarzami swoim strojem wschodnim. Bo, wracając ze swojej pielgrzymki zupełnie odarty, w koszulach, które, jakby się wyraziła jego babka, nosiły każda pięć ran Chrystusowych, chcąc być ubranym przyzwoicie i nie świecić dziurami, posługiwał się przez cały czas swoim kostyumem oryentalnym. Na ranne wstanie, zamiast szlafroka, miał płaszcz arabski wełniany, od którego białości śnieżnej bardzo efektownie odbijały skarpetki perskie z różnokolorowej wełny, bardzo gustowne, które mu służyły za meszty. Tak przystrojony, w swojej czapeczce greckiej na głowie, siadał na dywaniku tureckim, w Kairze kupionym, który mu i za pościel służył czasami, i żeby już wszystkim przypominać Araba, rozkładał przed sobą *szysze* czyli *nargille*, t. j. rodzaj szklanej lulki, z której się pali tytoń. W stroju tym było mu bardzo do twarzy, a że zdawał sobie z tego sprawę doskonale, więc starał się tym egzotycznym ubiorem działać na imaginację pewnej (nieznanej nam bliżej) osóbkki, której »różową i uśmiechającą się twarz« chętnie widywał »koło siebie«, a na którą ten jego strój oryentalny zdawał się oddziaływać, jak magnes.

Tak przeszła mu cała podróż, zresztą nieobfita w wypadki. Wypadkiem takim był raz np. żółw morski, którego ułowiono śpiącego na wodzie i z którego nazajutrz przyrządzono potrawę dla pasażerów. Wypadkiem również — choć z początku tylko — były ogromne tłumy delfinów, płynące za okrętem; albo wielkością zbliżające się do wielorybów t. zw. *caprodylio*, ryby, które, jak wieloryby, w ten sposób wodę z paszcz na powietrze wypuszczają, iż zdaje się, że to wielkie, szerokie fontanny strzelają z fali. Do wypadków też, niestety bardzo rzadkich, należały chwile, w których się mijało różne wyspy, jak Cypr, Sycylię, Elbę wreszcie. Kiedy przepływali koło Sycylii, księża śpiewali właśnie — jak o tem wiemy z listu do autora *Irydiona* — hymn do Najświętszej Panny. Słowacki zaś »stał z wlepionemi w ogień Etny oczyma, smutny, że go fala znów tylko do Europy odnosiła«.

Nierównie weselej było mu za to w duszy, kiedy mijali Elbę i kiedy o uszy jego obijał się donośny odgłos salw armatnich, jakimi okręt ich witał inne napotykanne okręty. Strzały te zwiastowały bliskość Europy, bliskość Liworna, w którym miano wylądować, w którym tylko, niestety, przed wylądowaniem czekało jeszcze pasażerów — trzy tygodnie kwarantanny.

Słowackiego na samą myśl o niej zawczasu już ogar-

niała rozpacz. »I naznaczono mi nowych dni czterdzieści«! Te tragiczne słowa *Ojca Zadżumionych* dały się obecnie zastosować i do jego autora, odkąd, zawitawszy 17 czerwca do portu w Livorno, musiał przyglądać mu się z pokładu okrętu aż do 11 lipca. Istotnie, sytuacja nie do pozazdrośczenia! Dokuczliwszej męczarni psychicznej nie mógł sobie Słowacki na razie wyobrazić. Po dziesięciu miesiącach wędrówki, w ciągu których odcięty od świata, nie miał żadnych ani o matce, ani o innych swoich krewnych wiadomości, przyjeżdża nareszcie do miasta, do którego kazał adresować list *poste restante*, i wie, że listów tych musi już nań czekać tutaj kilka, (od matki, od Filów, od Eglantyny); widzi gmach pocztowy, w którym się listy te znajdować muszą, listy, które mogły być zwiastunami dobrych zarówno, jak i najgorszych nowin; i nie wolno mu się do nich dostać, nie wolno, chociażby na parę godzin opuścić fatalnego pokładu, i musi na nim nudzić się i włóczyć z kąta w kąt przez całe trzy tygodnie, trzy wieki!

Niejeden, dla takich trzech tygodni, wyrzekłby się dziesięciu miesięcy podróży, nie chciałby widzieć ani Grecyi, ani Egiptu, ani Ziemi świętej! On miał je już (niestety!) za sobą i dlatego mógł teraz z całą swobodą (choć, ile go ta swoboda kosztowała, o tem wiedział on sam jedynie) rozmyślać o wszystkim, co widział, i porządkować swe wrażenia, jakkolwiek przyznawał, że nie było to bynajmniej zadanie łatwe! Przedewszystkiem, tyle nowych obrazów tkwiło mu teraz w pamięci, że chwilami sam pojąć nie mógł, »jak oczy jego mogły wydołać zmysłowi wzroku«. Cokolwiekbądź — myślał sobie — był dlań ten rok wędrówki po Wschodzie jedną z »najjaśniejszych« epok w życiu, epoką, o której do śmierci zawsze z pewnem uczuciem tęsknoty rozmyślać będzie. Bo, jak powiada, »czułem wiele, byłem wesół, zachwycony, płakałem, miałem całe dnie pełne dumań, całe miesiące pełne roztargnienia« i tak przywykł do tego życia Wschodniego, tak je polubił, że mu się dziś z pewną trudnością przychodziło pogodzić z myślą, iż niebawem — jak się tylko skończy ta przekłeta kwarantanna — będzie znów musiał wrócić i nagiąć się do zwyczajów europejskich, »widzieć, że znakiem uszanowania nie jest już zdjęcie trzewików, lecz zwykłe odkrycie głowy, że obrusa nie kładą pod stołem, ale na stole, że ludzie nie jedzą palcami, że pozdrawiając kogo, nie przytykają ręki do ust i do czoła, ani do serca, jak w ziemiach arabskich«. Wszystko to, widziane w tej chwili przez pryzmat wspomnienia, nabierało dla niego nowego poetycznego uroku i wydawało się piękniejszym o wiele, aniżeli na ra-

zie, kiedy było bezpośrednim wrażeniem. I nie dziw! Bo wrażenie, to fotografia, kiedy wspomnienie, to obraz, malowany przez artystę-poetę. To też, nigdy może, jak teraz w Livorno, nie trafiało mu tak do przekonania to, co powiadają ludzie wschodni: że kto raz tamtego powietrza zakosztował, to jeżeli może, wraca tam zawsze, *pomimo wszystkich niewygód ciągłej podróży*. Takie tam »dziwne i lekkie życie«, że ot niedaleko szukając, i jemu się dziś Europa »ciemną« wydawała: »poczerniały domy, zgęstniało powietrze, na zwierciadło marzeń ktoś chuchnął i zamglił szkło«. I mimowoli budziło się w nim pragnienie, ażeby jeszcze raz być kiedy na Libanie; pod warunkiem jednak, ażeby już nie potrzebował, tak, jak w ciągu tej podróży, wciąż niepokoić się o matkę, która zamknięta w Krzemieńcu, pewno się tam troskała o niego. »A ty, droga moja, (pisał do niej, dopływając do Livorno), ile ja ciebie niespokojnych nabawiłem nocy moją podróżą? Ty mi nieraz wyrzucać musiałaś moją wędrówkę? Tobie się zapewne strasznymi wydawały morza, które ja bez żadnego niebezpieczeństwa przebyłem?« Niemniej pełnemi niebezpieczeństw wydawały się jej prawdopodobnie i te piaski afrykańskie, gdzie mu »tak było wygodnie, jak na spacerze w lekkiej lektyce niesionemu, bo siodło kołysane na wielbłądzie do snu łagodnie zachęca«.

Zaprzeczyc się nie da również, że podróż ta znaczny i pod niejednym względem korzystny wywarła wpływ na jego charakter. Nie mając osobnego pokoju, gdzieby się mógł zamykać, nauczył się być z kimś ciągle razem. Następnie przywykł do wielu niewygód; przekonał się (powiada), że obiad bez mięsa obejść się może i że należy czasem pościć. A posty takie musieli sobie z Zenonem wyprawiać dosyć często, żyjąc niejednokrotnie przez cały dzień garsteczką ryżu, jak się im to zdarzyło w El-Arish na przykład, albo przy niedzieli jedząc tylko kury, albo, jak w Grecyi, świeżo upieczoną nad świeżo rozpalonym ogniem baraninę ze świeżo zabitego jagnięcia. Nauczył się także zgodności, do której dawniej tak mało był skłonny, a która w podróży, jeśli się nie podróżuje samemu, jest konieczną. Nieraz zdarzyło się, że był innego zdania, jak Zenon, a jednak najczęściej ustępował mu, taksamo, jak i Zenon jemu ustępował niekiedy. W ogóle przez cały czas zupełna pomiędzy nimi panowała harmonia; jeżeli się posprzeczcali kiedy, tak, iż przestali mówić do siebie (bo i tak bywało czasami), to nie trwała taka niezgoda nigdy dłużej, nad jeden dzień lub kilka godzin. O korzyściach zaś, jakie z podróży tej wyniósł, jako poeta, mówić zbyteczna. Wy-

obrażnia jego mieniła się obecnie całym blaskiem wschodniego kolorytu, i nie potrzebowała już, jak dawniej, marząc o Wschodzie, widzieć go przez pryzmat jedynie poematów Byrona lub Moora.

Szkoda tylko, że oprócz tylu widocznych korzyści z podróży tej wyniesionych, miał jeszcze pewne skrupuły co do matki, o której nie wiedział nawet, czy aprobowała tę awanturniczą wędrówkę, czy zgodziłaby się na nią, gdyby ją pytał o radę, o pozwolenie? Czy nie uważałaby, że jest to zbytek, na który on nie powinien sobie pozwalać, zważywszy, że te 1000 rubli, które pożyczył, oddać będzie musiała Brzozowskiemu ona, nie on. A na to, żeby się z takiego długu uiścić, wypadnie sięgnąć do kapitału, z którego i tak już czerpała nieraz na jego wydatki, nie na swoje. Bo sama chodziła w podartym szlafroku i nieraz, przez oszczędność jedynie, miała u siebie zimno w pokoju. A on tymczasem podróżował sobie po Wschodzie. Nie dziw więc, że po powrocie ztamąd, musiał niejednokrotnie słuchać przykrych wyrzutów sumienia, które mu i w czasie podróży szeptało raz po raz, że właściwie powinien był zostać z Filami w Neapolu, odprowadzić ich potem do granicy, poczem mógłby osiąść albo we Florencyi, albo powrócić do Genewy. Bez podróży na Wschód można się było doskonale obyć.

Jedna w każdym razie rzecz najmniejszej nie ulegała wątpliwości, że myśl o matce długo mu nie dawała spokoju. »Czasem okropne myśli przechodzą przez moją głowę i serce (pisał jeszcze w lutym z Bayrutu). Potem ufam w Boga i spokojniejszy jestem. Napiszcie mi obszernie, aby mi list wasz wynagrodził tę długą niespokojność. Jeden tylko list z Genewy odebrałem w Kairze; zresztą nie wiem wcale, co się dzieje ze znajomymi. Co też Filowie, powróciwszy, nagadali o mnie? Czy mię *jeszcze trochę kochają?* (Widocznie, że i pod względem nich nie miał zupełnie czystego sumienia). A ty, droga moja, czy mię także kochasz i *nie masz mi za złe tej podróży?* Czy listy moje, do tak dalekiego echa podobne, *nie bardzo smutno brzmią w twoich cichych pokojach?* Bo powiedz, droga, cóż ja mam robić na tym świecie? Trzeba lecieć, gdzie wiatr mię ponieśsie i modlić się u Chrystusa, aby mi dał kiedyś ciszę i spokójność, a *mam ufność, że ta podróż zupełnie bezużyteczną nie będzie*, choćby tylko promień wspomnień takich pięknych miał upaść na starość moją, jeżeli dożyję starości. Kiedyś, usiadłszy z tobą na cmentarzyku Krzemienieckim, będę ci opowiadał o grobach dawnych i wielkich ludzi i o pomnikach starych wieków. A słuchając moich wspo-

mnien, będziesz się tak uśmiechała, jak niegdyś, słuchając marzeń moich o przyszłości».

Nie przypuszczał tylko Słowacki, kreśląc ten sielankowo-poetyczny obraz sceny na Krzemienieckim cmentarzu, że dręczące go oddawna przecucia o możliwości wymówek ze strony matki, aż nadto są uzasadnione. Ale przekonał się o tem wcześniej, aniżeli się mógł nawet spodziewać, bo tegosamego dnia jeszcze, kiedy wyszedł z kwarantanny.

Jak to było do przewidzenia, pierwszą jego czynnością po opuszczeniu okrętu i po zainstalowaniu się w hotelu (w tym samym, w tym samym pokoju nawet, w którym stał przed półtora rokiem, jadąc do Rzymu) było pójście na pocztę po listy. Były trzy: jeden z domu, od matki; drugi z Genewy, od Eglantyny; trzeci z Paryża, od Januszkiewicza. Z bijącym sercem rozpieczętował pierwszy i, przeczytawszy, omal nie wypuścił go z ręki. List był zimny, cierpki, niedługi i pełen wyrzutów, że »kiedy Zenon mógł siostrze o sobie wiadomość dawać, on zaniedbał korzystać z tej drogi«. List ten, datowany dnia 21 kwietnia, dowodził tylko, że pani Becu nie otrzymała jego listów, pisanych z Aten i Aleksandryi, ani dwóch innych, które pisał z Bayrutu, a których przesyłką zajął się Brzozowski. Cokolwiekby, nie wyobrażał sobie, ażeby zaraz, na samym wstępie z taką spotkał się przykrością. Strapiiony, rozżalony, bał się (powiada), żeby się nie rozpłakać na ulicy i dlatego, o ile tylko mógł najspieszej, podążył do hotelu »zgryść boleść, jaką go napęliło takie powitanie«, jego, który przez dziesięć miesięcy słowa jednego nie miał z domu i który nie mając w pamięci czulszych listów matki, nie dziw, jeżeli na razie zwątpił o jej miłości dla syna. Niedarmo, (myślał sobie) wyskakując z łódki po wyjściu z kwarantanny, upadł, co mu zaraz dało do myślenia (bo był przesadnym z natury), tak, iż ogarnęła go niepojęta trwoga, jakby się spotkać miał lada chwila z jakimś nieszczęściem. Teraz wiedział już, czego to było wróżbą!

W hotelu, z przeczytanych listów Eglantyny i Januszkiewicza także niewiele mógł zaczerpnąć pociechy. Z listu Eglantyny przekonał się, że nie otrzymała jego ostatniego listu, który przed wejściem do kwarantanny razem z listem do matki powierzył był kapitanowi okrętu, aby go ofrankował i przesłał. »Łajdak! pewnie dla zatrzymania kilku groszy nie wypełnił zlecenia!«

Co zaś do listu Januszkiewicza, to uważam, że nie wypada mi własnymi słowy opowiadać jego treści, skoro to już znacznie wcześniej odemnie uczynił pisarz tej miary,

co Klaczko, który w swoim pięknym, ciepło skreślonym życiorysie Eustachego Januszkiewicza, powiada o jego listach do Juliusza, że ścigały go po całym świecie »z upomnieniami do pracy, do pisania, do drukowania«. Znał wydawca — słowa są Klaczki — to biedne serce Juliusza, pełne miłości własnej, autorskiej próżności, literackiej zawści, i wiedział, w co uderzyć. Na wpół żartem, na wpół seryo, donosił mu (w liście, o którym mowa), że »poetycznej Muzy gachy« korzystają z jego nieobecności i obsadzają Parnas, zalegając wszystkie prasy. Na jeden z takich listów odpowiedział Juliusz z kwarantanny pod Livornem, owym wierszem *Do księgarza*, prawdziwie rymotwórczem *Capriccio*, w którym zebrał najexcentryczniejsze, i najexotyczniejsze zarazem, dźwięki i końcówki.

Jeszcze chodzą przed oczyma
Róże, palmy, wieże, gmachy,
Kair, Teby, Tyr, Solima,
Mój Eustachy.

Jeszcze głowa dyabła warta,
Jeszcze morskie czuję strachy,
Wycia hyjen, lwa, lamparta,
Mój Eustachy.

Jeszcze długo spocząć trzeba,
Nim przywyknę widzieć dachy,
Zamiast płócien, palm i nieba.
Mój Eustachy.

Lecz ty wyrwiesz mię z letargu,
Ty pomieszasz róż zapachy
Księgarskiego wonią targu,
Mój Eustachy.

Będę tobie wdzięczny za to:
Przypomnisz mi Kraj i Lachy
Zniechęceniem, troską, stratą,
Mój Eustachy.

Ty napiszesz mi, jak stoją
Poetycznej Muzy gachy,
I co piszą, i co broją,
Mój Eustachy.

Dla nich rosły świeże laury
I szczękały druku blachy,
Gdym ja gonił Kofy, Maury,
Mój Eustachy.

Niech śpiewają więc »Te Deum«,
Żem rok zgubił, budząc Grachy
I Scypiony w Kolizeum,
Mój Eustachy.

— 274 —

Lecz się wmięszam do Antyfon,
Na egipskie klę się płachy,
Na kościoły, gdzie Bóg Tyfon,
Mój Eustachy.

Klę się tobie i na Ator,
Co w Tentyrze ma swe gmachy,
Że się porwę, jak gladyator,
Mój Eustachy.



ROZDZIAŁ VII.

W E F L O R E N C Y I.

Florencya. I. Usposobienie poety. Brak towarzystwa. Atmosfera stolicy Toskanii. Wędrówki po kościołach i galeryach. Spacery po mieście. Kobiety florenckie. Studya nad Calderonem. Stosunki towarzyskie: Zdzisław Zamoyski, Józef i Herman Potoccy, Bernard Zajdler, Zenon Brzozowski. Wspomnienia z podróży na Wschód. Przyjaźń z Zajdlerem. Nowe mieszkanie z belwederem. Sąsiadki poety. *Anielli*. Wspomnienia Maryi Wodzińskiej. Psychologiczna geneza poematu *W Szwajcaryi*. Słowacki w roli »przyjemnego człowieka«. Księżna Survilliers. Potrzeba kochania. Wieść o zamążpójściu Maryi Wodzińskiej za Chopina. Rozmarzenie poety. Produkcya poetycka. Spleen. (18 lipca 1837 — 21 sierpnia 1838). II. Aniela Mośczyńska. Niepomyślne wiadomości z domu. III. Przyjazd Zygmunta Krasińskiego do Florencyi. Zdanie autora *Irydiona* o *Anhellim*. Wiersz Słowackiego do Krasińskiego. Wyjazd Słowackiego do Paryża (21 sierpnia — 4 grudnia 1838)

W swoim — bardzo pięknym zresztą — opisie Florencyi powiada nieczytany już ostatniemi czasy przez nikogo Józef Kremer, że gród ten, jak był przez długie wieki dla świata, dla wszystkich ludów »piastunem twórczego artyzmu i tego wszystkiego, co wielkie i zacne, jak był ojcowizną Danta, Michała Anioła, Giotta, Leonarda, Galileusza«, tak i dziś jeszcze, zaledwie wstąpisz w jego poważne mury, »czujesz sercem obecność wielkich ludzi, wiecznie żyjących, choć umarłych od wieków. Od świątnic i pałaców florenckich powiewa duch nieśmiertelnych mistrzów-budowniczych, a na rynkach publicznych, na otwartych ulicach, wśród gwaru powszedniego życia, stanęły marmurowe postaci, stworzone niegdyś potęgą promienną geniuszów«.

I.

Wobec tego, dziwić się nie można, że i na Słowackim, od pierwszej chwili, kiedy tu — dnia 18 lipca 1837 roku — przybył z Livorno, zrobiła uroczą stolicą Toskanii dodatnie pod każdym względem wrażenie, i że, pomieszkawszy tu czas jakiś, nabrał przekonania, że, według niego, jest to najmiłsze miasto w całych Włoszech. »Ładna, bardzo ładna Florencya, donosił matce w kilka tygodni po swoim przyjeździe nad Arno, a jednak smutno mi w niej«. Czemu? Dlatego niezawodnie, że brak mu było tutaj — w początkach przynajmniej — odpowiedniego towarzystwa młodych ludzi, z którymi by mógł żyć po przyjacielsku, jak żył w Paryżu np. z Michałem Skibickim, albo w Genewie z młodymi Wodzińskimi; a powtórę, że za dużo był sam, z mało miał sposobności spędzać czas w gronie rodziny, do czego przywykł w Paquis, a od czego każdemu człowiekowi, nie tylko Słowackiemu, odzwyczaić się najtrudniej. Tam, kiedy napadł nań smutek, była Eglantyna, była pani Patteg, które go pocieszały, tuliły »rozżalonego, jak dziecko«. Tutaj nie widział, ani starał się otrzeć nikt jego łez, jeżeli płakał. To też, pomimo, że mu się Florencya, jako miasto i jako »raj prawdziwy dla ludzi ze szczupłym dochodem«, bardzo podobała, nieraz medytował nad tem, czyby nie usłuchać prośb Eglantyny, która go w listach wciąż namawiała i zaklinała, ażeby wracał do nich, i nie rozstać się z Włochami, przynajmniej na zimę. Tutaj, na *Via del Banchi*, kto wie, jak mu będzie, w samotnym, źle opalonym pokoju podczas długich wieczorów zimowych; tam, wiedział, że znajdzie swój dawny kominek, przy którym się wygrzewał tak mile! znajdzie szczerze, kochające serca, o których przywiązaniu dla siebie nie mógł wątpić, (nawet dzieci w Paquis wspominały go czule i pragnęły, żeby powrócił), kiedy tu, w tem najartystyczniejszym mieście na świecie, kto wie, czy znajdzie jaką żywą istotę, coby go »trochę lubiła«, to znaczy kochała tak, jak Eglantyna, »jak siostra, a może i więcej, niż siostra«. Jak dotąd, nie zanosilo się na nic podobnego; tak dalece, że nawet nie miał z kim mówić po włosku, choć wcale nieźle poduczył się był tego języka w czasie podróży po Wschodzie. Z drugiej strony zachęcało go do pozostania we Florencyi a zniechęcało do powrotu do Genewy »przypomnienie różnych nieprzyjemności, od których wyjazdem do Włoch uwolnił się«, a które pociągała za sobą niepodzielana przez

niego miłość Eglantyny. Skończyło się na tem, że chęć uniknienia tych nieprzyjemności, oraz »bardzo miłe życie w spokojnej i ładnej Florencyi« obroniły go od tęsknoty po jeziorze Genewskim (a przyczyniły się do tego w znacznej mierze także i częste listy z Paquis, w których go, jak niewolnika nagłono, aby *koniecznie* porzucił Florencję i nad jezioro wracał) tak, iż odpisał ostatecznie Eglantynie w ten sposób, że zaprzestała nalegać dłużej.

Tymczasem miła, rozkoszna Florencya, ta arena powszechnej sławy, jak ją nazywa Burckhardt, dzięki owej atmosferze duchowej, która jej jest właściwa, zaczęła na poetę z dniem każdym coraz silniejszy wywierać urok »Dosyć mi dobrze we Florencyi«. Oto słowa, które si niejednokrotnie napotyka w jego listach z tego czasu a które świadczą, że mu istotnie dobre strony mieszkania na *Via del Banchi* pod nr. 4216 o dobrych stronach Paquis zupełnie pozwalały zapomnieć. Jakoż miał tu śliczne dwa pokoje za 27 franków miesięcznie, z dobrym fortepianem za 2 skudy na miesiąc, z widokiem na malowniczy plac przed kościołem *Santa Maria Novella*, kościołem, który uchodzi za arcydzieło Alberti'ego, a który Michał Anioł, nieskory do pochwał, nazywał swoją »narzeczoną a kochanką«. Widok tego kościoła z wspaniałym portalem, zakończonym półkolem, z facyatami po obu stronach portalu, ozdobionymi — każda — czterema krągłemi arkadami, spoczywającemi na wysmukłych kolumnach, rozmarzał Słowackiego: zwłaszcza wieczorem, kiedy księżyc oświecał te gotyckie mury i kiedy cisza zalegała rynek. Bo w dzień panował tu hałas i rozgardyasz, jak na wszystkich ulicach i placach Florencyi.

Drugim ulubionym Słowackiego kościołem była katedra, *il Duomo*, słynna kopułą Brunelleschi'ego i smukłą, eteryczną dzwonnica Giotta, »ubraną w rzeźbioną historję ludzkości«. Na placu, przed kościołem, na kamieniu, umieszczonym w bruku, wryto wyrazy *Sasso di Dante*, ponieważ tutaj siadywał niegdyś i wpatrywał się w te marmurowe mury świątyni twórca *Boskiej Komedyi*. Słowacki, używający tu często »księżycowego spaceru«, nieraz marzył sobie, powiada, że tak chodził po tych kamieniach zamysłony Dante. Tutaj też (można być pewnym) zrodził się pomysł do *Poematu Piasta Dantyszka o piekle*.

We dnie, zawsze prawie, ile razy wyszedł sam na miasto, na przechadzkę, wstępował do kościoła *Santa Croce*, tego Panteonu florenckiego, szczytającego się, że mieści w sobie grobowce takich ludzi, jak Dante, Michał Anioł, Machiavelli, Galileo Galilei, Alfieri; i tu, przed pomnikiem

Danta, którego posąg ponury, jak powiada, patrzący na niego z wysoka, zdawał mu się mówić jakieś wyrazy natchnienia, stawał, w zadumie pogrążony, i stał tak, sam często nie wiedząc, jak długo.

W podobną zadumę wtrącały go i seraficzne freski błogosławionego Fra Angelica de Fiesole w Dominikańskim klasztorze św. Marka, w którym mieszkał niegdyś i żył Savanarola. Freski te przemawiały mu szczególnie do duszy swoją prerafaeliczną, iście biblijną prostotą i słodyczą, i kto wie, czy i one także nie wpłynęły na kompozycję niektórych rozdziałów *Anhellego*, poematu, którego mistyczna słodycz tak jest pokrewną anielskiej słodyczy obrazów Fra Angelica.

Pałace *Uffizi* i *Pitti* widywały autora *Anhellego* (a napisał go właśnie w tych czasach) w obrębie swoich poważnych, średniowiecznych murów, również często; szczególnie pałac *Uffizi*, którego jedna sala jest świątynią Medycejskiej Wenus. Słowacki zakochał się w tym posagu. Boska harmonia tych kształtów niewieścich, zakutych w marmur pentelikoński, czarowała go i rozmarzała swoim wdziękiem i swoim powabem; jako artysta zaś, nigdy nie zapominający o swojej sztuce, wpatrywał się w to marmurowe ciało bogini nie tylko pożądanym, zmysłowym wzrokiem mężczyzny, któryby chciał ożywić i posiadać tę Galateę, ale i z myślą także, aby piękność jej przeszła do jego duszy tak, »żeby się wszystko potem podług niej tworzyło«.

Niemniejszym — choć innego rodzaju — zachwytem przejmował go posąg oplakującej stratę swych dzieci Niobe, posąg, przed którym urodził się w wyobraźni poety *Ojciec Zadżumionych*. Widok tej tragicznej postaci matki, rozpaczającej nad trupami wszystkich swoich synów i córek, (którą to chwilę tak pięknie opisał Owidyusz w księdze VI-ej swoich *Przemian*), przypomniał mu naprzód Ugolina, potem *Treny* Kochanowskiego i księgę Hioba, a w końcu opowiadanie doktora w El-Arish o pewnym starcu, który, siedząc w kwarantannie przez trzy miesiące, »9 osób utracił na zawsze i został sam z bratem«; i tak, tu, w galerii pałacu *Uffizi*, przed posągiem płaczącej Niobe, powstało największe arcydzieło poezji Słowackiego, które napisane w ciągu zimy, w szczęśliwej równowadze ducha, miało być jedynym jego utworem, wolnym od wszelkiego zarzutu.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że to ohcowanie z dziełami sztuki florenckiej odwodziło poetę od życia florenckiego, od tej rzeczywistości, która w tem »najbardziej włoskiem mieście z pośród wszystkich miast włoskich«, w tem mieście średnich wieków, kupieckim, republikań-

skiem, arystokratycznym, gwelfowskim, gibelińskim, słowem, o wszystkich kolorach«, niemniej jest uroczą i pełną, a do pewnego stopnia nawet i poetyczną. To też Słowacki, pomimo, że — jak mówił — w zetknięciu z rzeczywistymi rzeczami opadały mu skrzydła i był smutny, jak gdyby miał umrzeć, tutaj stykał się z temi rzeczywistymi rzeczami *con amore* i nie tylko nie był smutny, jak gdyby miał umrzeć, ale cieszył się dobrym humorem i zdrowiem, i myślał o wszystkim z wyjątkiem śmierci. Kiedy wychodził z domu na miasto (a nawiasem mówiąc, takie włóczenie się często bez wyraźnego celu po ludnych ulicach Florencyi *en artiste flâneur*, większą mu po pewnym czasie sprawiać zaczęło przyjemność, aniżeli przesiadanie w domu), uwagi jego nie absorbowwały wyłącznie stare pałace i kościoły, ale zwracał ją też i na to, co się *działo* dokoła niego. Na placu *della Signoria*, który jest tem dla Florencyi, czem np. Rynek główny dla Krakowa, nie przypatrywał się jedynie słynnym, na smukłych filarach wspartym arkadom gotyckim *loggia dei Lanzi*, pod której sklepieniem *Perseusz* Benvenuto Cellini'ego trzyma w ręku uciętą głowę Meduzy, ani zachwycił się wyłącznie średniowiecznym majestatem imponującego *pallazo Vecchio*, strzeżonego przez *Dawida* Michała Anioła i *Herkulesa* Bandinellogo, tego zarozumiałego współzawodnika — w mniemaniu własnem — wielkiego Buonarrotti'ego; przeciwnie, zdarzało się niejednokrotnie, że wszystkie te cuda architektury i rzeźby uchodziły jego baczności, ile, że baczność ta zwróconą była w tej chwili na przechodzącą ulicą (z wachlarzem w ręku) »ładne i zgrabne Florentynki«, które, jak sam przyznaje, często mu sprawiały dystrakcyę. Podobnie się rzecz miała i w galeryach obrazów, w pałacu *Pitti* lub *Uffizi*, gdzie, zamiast podziwiać takie obrazy, jak portret Juliusza II-go, lub *Madonna del Cardinello* Rafaela, jak dwie Wenery Tycjana lub *Madonna di San Francesco* mistrza Andrzeja del Sarto, i takie rzeźby, jak słynny *Achilles* umierający lub grupa dwóch *Zapaśników*, podziwiał kształtne »figurki« nadobnych Florentynek, o których powiada Dante w pieśni XXIII Czyścza, że »chodzą po Florencyi, szyje i piersi pokazując nagie«, a które jego, Słowackiego, w taki wprawiały zachwyt, że nawet w listach do matki (choć matki takie rzeczy obchodzić nie powinny) powstrzymać się nie mógł, ażeby im dłuższego nie poświęcić ustępu. »Nigdy podobnych figurek nie widziałem, pisał, i wybrałbym łatwo sto dziewczątek, w które, żeby mi Bóg tylko pozwolił włożyć duszę podług mego upodobania, to w każdej ze stu mógłbym się dziś zakochać szalenie. Takie,

jak są, przyciągają moje oczy, ale nie serce«. Lecz i ta siła magnetyczna, jaką na same tylko oczy jego, bez udziału serca, wywierały kobiety florenckie, wystarczała, ażeby spędzał wieczory poza domem: bądź na bulwarze *Lung-Arno*, w okolicach *Ponte Vecchio*, gdzie o zachodzie słońca pewna część mieszkańców stolicy odbywała promenadę i gdzie spojrzenia różnych czarnych oczu krzyżowały się w powietrzu na podobieństwo błyskawic; bądź na przechadzce po *Via Calzajolo*, która »napelniona ładnymi osobkami«, również magnetyczny wywierała na niego wpływ; bądź w której z eleganckich kawiarni na *Piazza del Duomo*, które »wieczorem, w niedzielę, tak są pełne ładnych kobiet i strojnych elegantów, że każdy salon ma pozór sali balowej«.

Nie odводziło go to wszakże i od poważniejszych zajęć. Przeciwnie: na wszystko potrafił znaleźć dość czasu i wszystko umiał z sobą pogodzić, harmonizować. Choć wrażliwy na piękność różnych Medycejskich Wener, żywych i marmurowych, nie przestawał mimo to chodzić np. codzień regularnie do biblioteki publicznej, gdzie spędzał zawsze po parę godzin na czytaniu dzieł Calderona, usypiając się jego brylantową, jak mówi, i świętości pełną imaginacją. Oprócz dramatów wielkiego Hiszpana, zapoznawał się tam i z dziełami nowoczesnych poetów włoskich, jak Alfieri (którego wpływu nie trudno dopatrzeć się w *Lilli Wenedzie*, a nawet i w *Maryi Stuart*), lub też — co się nam dzisiaj niezrozumiałem wydaje — powracał do swojego ulubionego Chateaubriand'a, którego *Atala*, *René*, *Les Natchez* upajały go dźwięcznością swej poetycznej (dla nas pretensjonalnej i napuszonej) prozy, i który na twórczość jego z tych czasów florenckich wyrzucił miał wpływ tak silny.

W poważny sposób również, choć nie zawsze, spędzał Słowacki czas w gościnnym domu młodego, świeżo ożenionego Zdzisława hr. Zamoyskiego, który, słysząc o nim dużo w Warszawie jeszcze, sam żądał go poznać, albowiem hr. Z. był synem tego Zamoyskiego, u którego mieszkał Ant. Edw. Odyniec (mogąc z jego łaski patrzeć na Ogród Saski). Otóż z tym Zamoyskim, człowiekiem bardzo sympatycznym i niepospolicie inteligentnym, prowadził Juliusz nieraz godzinami całemi »rozmowy podobne do platońskich«, prawdziwe *Causeries florentines* o sztuce, poezji, renesansie włoskim, etc. Pani Zdzisławowa Zamoyska, młoda, piękna brunetka, mało mieszała się do tych rozmów: wołała słuchać. Dodać wypada, że pani Zamoyska powierzchownością swoją przypominała trochę poecie pannę Wodzińską;

dlatego »patrzac na jej czarne oczy, smutnego doznawał uczucia«.

Nie mniej przyjemnie upływały mu chwile, spędzane u Józefa i Hermana hr. Potockich na *Via Reggia*, dobrych znajomych (zdaje się kolegów szkolnych) Teofila Januszeńskiego, który, będąc niedawno we Florencyi, często bywał u nich z żoną.

W towarzystwie tem, do którego dodać należy jeszcze Bernarda Zajdlera, artystę-malarza, stale mieszkającego we Florencyi, i Zenona Brzozowskiego, który tu — wkrótce po przyjeździe Słowackiego — przybył ze Stambułu, nie dziw, że się Słowackiemu nie przykrzyło nad Arnem, że miał z kim gawędzić, bawić się, chodzić do teatru, zwiedzać powozem lub pieszo okolice Florencyi, grać w wista wieczorem i »trochę się zgrywać«, i że ostatecznie zasmakował w takim życiu »pełnem i pustem zarazem«, o którym jednak nie mógł nic innego powiedzieć, tylko, że było dla niego »nie bez jakiegoś harmonijnego dźwięku, nie bez upojenia«. Zaprawą wszystkiego był dobry humor, pewna trzpiotowatość, która pożądaną przyjemności i okazji zabawienia się, lękała się, jak dyabeł święconej wody, tylko jednej rzeczy: spleenu.

Jakoż, w początkach przynajmniej, nie mógł się Słowacki na napady jego uskarżać. Ponieważ wracał ze Wschodu, co w owych czasach uchodziło za pewien rodzaj bohaterstwa, budził więc, chcąc nie chcąc, zainteresowanie powszechne: dokąd tylko poszedł, kogokolwiek spotkał, wszędzie, każdemu musiał opowiadać o Grecyi i Egipcie, o Palestynie. Ledwo przyjechał, zaraz na kilka obiadów zaproszony, musiał, powiada, często z łyżką podniesioną odpowiadać na mnogie o Wschodzie pytania: »to mię tak znudziło, że przyrzekłem sobie po upłynieniu dni 40 nic już o Egipcie nie gadać, bojąc się, aby mi w nałóg to bajanie nie weszło i nie zrobiło ze mnie indywidualnej i nudnej machiny, która zawsze jeden kurant śpiewa«. Mimo to, zaprzeczyć nie mógł, że ten tytuł »wojażera egipskiego« i pielgrzymia do Ziemi Świętej niemało mu pomagał w towarzystwie, że go te awanturnicze przygody — w oczach kobiet zwłaszcza — stawiały bardzo wysoko, i że dzięki opowiadaniom o nich, doświadczał na sobie tego samego, co Szekspirowski Otello, kiedy prawił uroczej Desdemonie o swoich »strasznych przygodach na morzu i lądzie«. »Mogę czasami, pisał w tej mierze do matki, poprawiać Lamartine'a, czasem nadawać sobie trochę kolorytu i postawy rycerzy Tassa, czasem robić się mistyczną anegdotą rodzajem Giaura, czasem karykaturując siebie, włożyć na kark wiel-

błąda, słowem, że wyciągam różnymi sposobami korzyść z odbytych wędrówek«. Nieinaczej postępował też i Zenon Brzozowski, który się raz np. wybrał ze Słowackim z wizytą do Zamoyskich — po wschodniemu; »i bardzo się im podobała ta Zenonka maskarada«.

Z nikim jednak, ani z Zenonem Brzozowskim, który zresztą po kilku tygodniach pobytu we Florencji (nic nie wskórawszy u panny Anieli Moszczyńskiej) wyjechał do Wiednia, ani ze Zdzisławem Zamoyskim, ani z Potockim, nie był Słowacki tak dobrze, jak z Zajdlerem.

Człowiek to był nieszczęśliwy, złamany. Ożeniony z kobietą piękną, ale pustą i »niegodną«, przekonał się wkrótce, że ani on stworzony na męża dla swojej żony, ani ona stworzona na żonę dla artysty: co ją bawiło, jego nudziło, i naodwrot. Po kilku latach takiego pożycia skończyło się na tem, że go żona porzuciła, a porzuciwszy, doprowadziła do tego, że i »prawna zaszła separacja«. Nie dość na tem: wytoczono mu jeszcze proces, z którego przypadł na niego obowiązek (ciężki, jak dla artysty) płacenia pewnej sumy rozwódce. Nie od rzeczy też będzie napomknąć, że go żona opuściła chorego tak, iż kiedy do niego przyszedł poeta — a było to właśnie po katastrofie rozwodowej — znalazł go »podobnego trupowi«.

Od tej chwili datowała się ich przyjaźń, która z czasem, po upływie paru miesięcy, takim serdecznym połączyła obu węzłem, że się Słowacki wprowadził do domu Zajdlera, ażeby mieszkać z nim razem. Mieszkanie to, na trzecim piętrze, złożone z ładnego saloniku z dwoma oknami i szklanymi drzwiami, (wychodzącymi na obszerny, ładny taras, przybrany statkami, »gdzie w lecie nastawiwszy kwiatów, można zrobić sobie prześliczny drugi salonik, nakrywszy się od słońca płóciennym dachem«), z sypialnego pokoju, ciepłego, bo z oknami na południe, i małego obserwatorium, t. j. wieżyczki, nazwanej belwederem, w którym była mała kwadratowa stancjka z czterema oknami na cztery strony świata, »z najpiękniejszym widokiem na wszystkie góry Toskanii i na wszystkie gwiazdy, nad Toskanią świecące«, mieszkanie to nęciło go poetycznością tej właśnie »wieżyczki«, w której zamierzał, otulony płaszczem, samotne wieczory księżycowe przepędzać.

Wchodziło się do niej po krętych, jak grajcarek, schodach, a trud ten opłacał sownie nieporównany w swoim rodzaju *coup d'oeil* na Florencję i okolice. Z jednej strony zielona dolina między błękitnymi górami, tak błękitnymi, jakby je malował Leonardo da Vinci, na północ góry piramidalne Fiesole i mnóstwo domków na zboczach,

domków, których szyby o zachodzie słońca wyglądały, jak »rzesiste karbunkuly«, płonące we mgle niebieskawej; na wschód, na szafirowem tle nieba włoskiego, zasłaniając sobą część horyzontu, rysowały się dachy budynków sąsiednich, kopuły kościołów i śliczna, jak »cacko z cukru« dzwonnica katedralna Giotta; na zachód wreszcie, po drugiej stronie rzeki, już za miastem, widziałeś szmaragdowe wzgórza, zjeżone cyprysami, które razem z białymi marmurami pomników miejscowego *Campo Santo*, »jak horyzonty Rzymu, pięknie się malowały na łunie zachodu«. W belwederze tym, odkąd się wprowadził do Zajdlera, spędzał Słowacki sam, albo z nim razem, jak Dante z Giottem, długie wieczory jesienne i zimowe, i słuchając muzyki swego gospodarza, który mu grał na gitarze (choć bywały dni, w których »strasznie rzępolił«), dziękował Bogu, że mu pozwolił w życiu coraz to piękniejszemi karmić oczy obrazami, co wpływało na niego o tyle korzystnie, że odbierając jego samotności »żądło gryzące, zamieniało ją w słodką melancholię. W belwederku tym, który miał dwie tylko, ale wielkie, wady »latarni«, mianowicie, że w nim w zimie dla zimna, a w lecie dla gorąca siedzieć nie zawsze było można, przyjmował Słowacki nawet i odwiedzających go gości (z czasem będzie tu długie prowadził rozmowy z Zygmuntem Krasińskim), co mu w następstwie, jako lokatorowi takiej »wieży astronomicznej«, często z gwiazdami rozmawiającemu, zjednało w gronie znajomych, szczególnie pomiędzy damami, żartobliwy przydomek... astrologa. Jakkolwiek bądź, nie mógł się żadną miarą na mieszkanie to uskarżać, Zajdler bowiem, jak przystało na dobrego gospodarza i przyjaciela w jednej osobie, nietylko że mu wysłał salonik pięknym dywanem, ale pozawieszał w nim jeszcze swoje obrazy, niektóre w złożonych ramach, niektóre bez ram, co razem wzięte tak przyozdobiło cały pokój, że, jak powiada Słowacki, kobiecie mógłby służyć do przyjęcia gości. Cóż dopiero poecie!

Wywdzięczając się za to, wszelkich dokładał starań, ażeby Zajdlerowi dolę jego osłodzić i żeby »różnymi sposobami podnieść z prochu tego człowieka«. Jakoż udało mu się »cudu« tego dokazać. Ze »strasznej i zwiędłej mary«, (bo i do takiego stanu potrafi mężczyznę doprowadzić zła żona!) na którą patrząc, lękał się o siebie i o swoją przyszłość; ze »straszącego widziadła«, które widząc go elegancko ubranego, wyświeżonego i w dobrym humorze, powtarzało mu, »jak dzwon pogrobowy: i ja tak niegdyś byłem«; ze »straszydła nędzy« i wcielonej rozpacz, od której nieraz radby był się odwrócić, taką mu widok jej spra-

wiał wyraźną przykrość; z człowieka, który się nie wstydił chodzić w dziurawych butach, w pomiętym, wypłowiałym kapeluszu, w poplamionym — farbami olejnymi — surducie, w który wycierał penzle; z artysty-Cygana, któremu dziury w łokciach rękawów nie kazały myśleć o krawcu, tak samo, jak mieszkanie w pracowni wśród »brudu i pyłu« żadnej nie budziło aspiracyi do porządku i schludności; z człowieka, który niczego się już po tem życiu nie spodziewał, bo zwątpił o wszystkim — potrafił Słowacki wpływem swoim, jaki wywierał na niego, nie tylko »podnieść jego czoło«, tak, iż ci, którzy go znali pierwsi, wydziwić się nie mogli tej odmianie; ale sprawił nadto, że się pan Bernard zaczął stroić, nosić rękawiczki, kwiatek w butonierce, używać perfum, świecić czystą bielizną, a nawet lepiej wyglądać na twarzy, nabierać humoru, cery, słowem: wracać do równowagi.

Słowacki tymczasem, nauczony smutnem doświadczeniem swego »totumfackiego« (tak nazywa Zajdlera w jednym z listów do matki), starał się o ile możności sam równowagi tej nie utracić i dlatego, choć chętnieby się zakochał w kim, »ostrożny« był w wyborze przyszłej Beatrice, mając zawsze na myśli »widziadło straszące« swojego gospodarza. Ostrożność ta, dodać wypada, była do pewnego stopnia konieczną nawet, chociażby tylko ze względu na młode i piękne sąsiadki z pierwszego piętra, z którymi zabierał wkrótce znajomość, aby »gadać po włosku«, a z którymi po niedługim przeciągu czasu potrafił żyć do tego stopnia, że je w końcu, »chcąc te panienki ubawić«, zaprosił kilka razy do siebie i dał im mały wieczorek w swoim saloniku. Tańcowały, jadły ciasteczka, a widząc w mieszkaniu jego mebelki eleganckie, lampę, którą dla nich zapalił, fortepian, posadzkę, wybitą dywanem, piękne obrazy na ścianach, nie mogły wyjść z podziwu. Było ich sześć, a wszystkie ładne, powabne, zalotne, prostoduszne. Jak prostoduszne, tego dały najlepszy dowód swoim zachowaniem się względem poety, na którego poczęły niebawem siatki zarzucać. Jedna zwłaszcza postanowiła wydać się za niego *coute que coute*. W tym celu sama mu któregoś dnia — na schodach — zrobiła oświadczenie miłości, prosząc go o rękę. A Słowacki? Cóż on na to? »Rozśmiałem się, powiada, tak, że się zatrzęsła moja wieżyczka z belwederem, i zostawiłem zmieszaną Cyrce z otwartą gębą. Dotąd pojąć nie mogę tak śmiesznego głupstwa tej rodziny, przekonany bowiem jestem, że matka sama (może nawet i ojciec) należała do spisku dziewcząt. Na miejscu tych Włoszek-Sabinek w odwrotnem znaczeniu, dziewczątka

francuskie albo niemieckie lubiłyby mię i wspominały długo, jak odjadę; a ja właśnie tego chciałem, bawiać je, aby kiedyś, po kilku latach, wspomniały o mnie, zobaczyły oczyma wspomnień mój salonik, mój fortepianik, moją lampę przed lustrem, i powiedziały do siebie: »Jak my się dobrze zabawiły u tego *forestiere*! kto on taki? z kąd? gdzie zniknął?« Żadnej delikatności uczuć nie znają tutaj. Wszystko ma jeden cel: złapać cudzoziemca, jeżeli się da; a wszystko wypływa z jednego źródła, to jest: że osadzili już dawno Włosi w swoim sercu, że każdy cudzoziemiec jest Anglikiem, a wyraz *inglese* znaczy teraz u nich: głupi. Otóż po deklaracyi Włoszki zamknąłem moje drzwi i czekałem spokojnie, aż dziewczyna umrze z miłości, bo powiedziała mi wyraźnie, że nie przeżyje ciosu. Ale dotychczas zdrowa i spuszcza oczy, ilekroć mię zobaczy«. W takich warunkach nie dziw, że go »serca interesowane i głowy bardzo puste« tych sąsiadek znudziły ostatecznie, że mu zbrzydł w domu ich niedostatek połączony ze skąpstwem, że mu się rodzina ta sprzykrzyła, wydała »prawie chłopską« i że nakoniec zerwał z nimi.

Co innego zresztą było mu w głowie tej jesieni. Nie zapominając, w jakim celu postanowił tu przezimować: że zamiarem jego było, popracowawszy trochę, na wiosnę pojechać do Paryża, »z książką pod pachą, jak student, z suknią splamioną atramentem, z piórem za uchem, i znów oddać wielki ukłon swojej królowej Sławie, jako wierny jej do śmierci błazen«, i że grzechem było dla niego trawić czas beczynnie, na wizytach i spacerach, na pustych rozmowach z damami w salonach lub z mężczyznami w kawiarniach, w czym ostatecznie taką, jak powiada, widział czczość i nudę, że nie mógł się przymusić, aby zapomnieć i nie myśleć o tem, co daleko, a po szalonymu używać tego, co blisko, ograniczył swoje stosunki, przymusił się — co mu zrazu nie przyszło tak łatwo — żeby więcej przeziadywać w domu, przy stoliku, aniżeli w mieście, w gronie znajomych, i zabrał się do pracy. Dotychczas, oprócz listów do matki w Krzemieńcu, do Teofilów w Perniatynie, do Zygmunta Krasieńskiego w Wiedniu, do Zenona Brzozowskiego tamże, do Eglantyny w Paquis i do Eustachego Januszkiewicza w Paryżu, od których otrzymywał częste listy i którym odpisywał na nie regularnie, nie pisał nic innego. Teraz zdecydowany był pracować, ażeby się znów przypomnieć narodowi, ażeby znów zakołatać do wrót Sławy i spróbować — po raz trzeci — zali mu się tym razem twierdzy jej zdobyć nie uda. Wszak: »Kończcie, a będzie wam otworzono«, mówi Pismo.

Przyznawał wprawdzie, że mu się trudno było z początku opędzić zwątpieniu i sceptycznemu niedowierzaniu, ażeby ten trzeci szturm »do Sławy grodu« pomyślniejszym został uwieńczony skutkiem, aniżeli poprzednie, i że ciężkiej »boleści wieszca w chwili tworzenia«, o której mówi Karol Baliński w swoim *Farysie*, osładzać mu nie będzie nadzieja niezawodnego zwycięstwa; mimo to, zdecydował się »niezachęcony pochwałami, niezabity dotąd krytyką«, rzucić tom czwarty »w tę otchłań milczącą«, która trzy pierwsze pochłoneła.

Że decyzję tę powziął z ogromnym smutkiem w sercu, z przeświadczeniem prawie, że i teraz jeszcze, jak ów ślepy harfiarz grecki z wyspy Scio, śpiewać będzie pustemu morza brzegowi, o tem świadczy następujący wyjątek z listu do matki: »Wczoraj od Zamoyskiego (Zdzisława) dowiedziałem się, że nareszcie Baliński drukuje historię grodu Gedymina. Biedny człowiek! Jak jemu źle być musi, kiedy, jak tonący, sławy się chwytą! Ja przynajmniej, że młody, to podobny jestem do Ofelii, która nachylając się po kwiaty, upadła w strumień, i długo ją szata napelniona powietrzem utrzymywała pływającą na wodzie, aż utonęła i pieśń jej ucichła«.

Pomimo tego zniechęcenia jednak zaczął pisać *Anhellego*; najpierw dantejską tercyną, lecz ostatecznie, skoro mu forma tercyny zbyt wiele technicznych czysto nasuwała trudności, zdecydował się na prostotę biblijnej prozy. Pisanie tego poematu, a zwłaszcza tych jego rozdziałów, w których Anhelli opowiada Szamanowi o swoim dzieciństwie, o swojej młodości, o swojej pierwszej miłości, a w końcu o tej niewieście, która mu przypominała tamtą »dziecka kochankę«, rozdziałów, które były osobistymi wyrzuceniami Słowackiego samego, nie mogącego zapomnieć o Ludwice Śniadeckiej (pomimo wszystkiego, co mu o jej sposobie życia w Konstantynopolu mógł opowiadać po powrocie ztamąd Zenon Brzozowski), a zwłaszcza o Maryi Wodzińskiej, której czar trwał nad nim aż do tej chwili; pisanie tego poematu uprzytomniło mu w pamięci wszystkie szczęśliwe chwile, przeżyte w Paquis z Maryą, za czem poszło, że serce jego wezbrało niewysłowioną tęsknotą po tym czarującym — we wspomnieniu — romansie. Podobnie jak w Rzymie i Neapolu, tak samo i tu, we Florencyi, wszędzie musiał walczyć z tem promiennem wspomnieniem Maryi, której widmo senne zdawało się nie odstępować go ani na krok. Kiedy grał na fortepianie — a grywał w tych czasach po kilka godzin dziennie — przypominała mu się gra panny Wodzińskiej. Na ulicy, każda spotkana Floren-

tynka, jeżeli była brunetką i miała wielkie czarne oczy, zdawała mu się podobną do owej genewskiej *brune fille d'Euterpe*. Kiedy czytał listy od Teofilów ze wsi, listy, jakby wonne zapachem świeżego siana, brzęczenia pszczoł i »dzwonienia wracającej trzody«, mimowoli przypominała mu się Szwajcarya, drewniane domki na górach szwajcarskich, tamtejsze murawy, dzwonki krów szwajcarskich, których melancholijnej *pastorale* słuchał razem z Maryą; i widział się z nią na lodowcach Alp, nad błękitami jezior, pod tęczami wodospadów, a myśląc o tem, wyobrażał sobie, że myśli o jakimś raju utraconym, z którego los nieubłagany wypędził go na pustynię i którego odzyskać mu, jak Adamowi, nie sędzono nigdy. Każdy list Eglantyny z Paquis, jako pisany ztamtąd, gdzie on się młodym czuł i szczęśliwym, przyprowadzał go o smutek i melancholię. Kto wie nawet, czy nie te wspomnienia głównie były przyczyną, dla której wołał nie wracać do Genewy, gdzieby mu o tyle boleśniej było *ricordarsi del tempo felice nella miseria*.

Cokolwiekby, wspomnienia tych dni szczęścia, spędzonych z Maryą, nie przestawały go ścigać, pomimo, że od chwili, jak się ta sielanka zakończyła rozłączeniem na zawsze, upłynęły już dwa lata przeszło. A jednak, dziwna rzecz, nic ich nie było w stanie zatrzeć: przeciwnie, wszystko zdawało się je odżywiać, odświeżać. Tak np. kiedy któregoś dnia zaprosili poetę Herman i Józef Potoccy, ażeby się wybrał z nimi do Walambrozy, przez cały czas trwania tej wycieczki myślał o owym »wojażu« z rodziną Wodzińskich po Alpach berneńskich. Kiedy przyszedł na *Via Reggia* (o 6-ej po południu) i ujrzał przed domem ogromny powóz, zaprzężony czterema mułami, w powozie — dzieci, guwernantkę, guwernera, panów i panie, wszystkich ubranych po podróżnemu, doznał chwilowego złudzenia, że widzi rodzinę Wodzińskich, z którą się wybiera w góry: bo i z nimi jeździł takimi powozami, zaprzężonymi w muły. Kiedy, wyruszywszy w końcu, pojechali na noc do miasteczka, leżącego u stóp góry, na której stoi klasztor Walambroza, i kiedy, zajechawszy do jakiejś oberży, cały wieczór spędzili na jeździe, wesołej pogawędce, a wreszcie — gdy się damy i dzieci udały na spoczynek — na graniu w wista, jemu przesuwwały się przed oczyma duszy (jak powiedział Hamlet) owe noclegi w oberżach i hotelach szwajcarskich, z Wodzińskimi. Nazajutrz, o godz. 7-ej zrana, kiedy, wzięwszy małą *kariolkę* z koniem dla guwernantki i dzieci, oraz dwa konie dla mężczyzn, przybyli po trzechgodzinnej podróży — wśród najpiękniejszych okolic Toskanii — do klasztoru, do-

znał tego samego uczucia, co wczoraj: oto zdawało mu się, że otoczony gronem rodziny Wodzińskich, wstępuje w progi klasztoru św. Bernarda, że widzi przeora, wychodzącego na ich spotkanie i uśmiechającego się do dam; i tak podczas całej wycieczki, z której wróciwszy do domu, rozmarzony, i opisując ją matce (w liście z dnia 3 października 1837 r.), pisał między innemi, co następuje: »Podróż ta melancholiczne na mnie zrobiła wrażenie, gdyż przypomniała mi moją wędrówkę po Szwajcaryi: albowiem było coś w gwarze tej licznej familii przypominającego mi rodzinę Wodzińskich, *ale mojej młodej panienki czarnobrewej brakowało*«. A ponieważ, dodaje, przyjęcie klasztorne mnichów pobudziło go do myślenia o swojej pielgrzymce do Ziemi świętej, więc mógł w tej małej wycieczce, jak w zwierciadelku, widzieć różne *najpoetyczniejsze* godziny swego życia. »Jak też mię Bóg wysłuchał! — są słowa tegoż listu — ja Go zawsze dzieckiem prosiłem, aby mi dał poetyczne życie; to też On wszystko teraz tak klei, żeby serce moje napęłnił najpoetyczniejszemi wrażeniami; prowadzi mię po błękitnych morzach, nad brzegami wód spokojnych, *i na góry chmurami okryte*, i na szczyty piramid. Chwała Mu za to i dzięki!«. Kończąc zaś opis tej wycieczki do Walambrozy, nie tai poeta przed matką, że wrócił z niej, jakby *lepiej nastrojony*. »Bardzo jestem kontent — pisze — z dnia wczorajszego: piękne niebo włoskie, kryształowe powietrze jesienne, ogromne lasy sosnowe koło klasztoru, błękitne góry w odległości, a wreszcie cicha atmosfera życia klasztornego, wszystko to upoiło mię i w spokojne pograżyło dumania«.

Z dumań tych, niby Afrodyte z morskiej piany, wytonił się najpiękniejszy w naszej literaturze poemat miłosny *W Szwajcaryi*, poemat osnuty na tle wspomnień genewskich o owej »młodej panience czarnobrewej«, której, żałował, że nie było na tej wycieczce do Walambrozy, a o której nie mógł zapomnieć. I stało się z nim, co z owym Królem-Duchem, którego, jak powiada, jakaś smętność znów ogarnęła, tak, iż »westchnęło łono za jakąś dawno w błękitach zjawioną«; znów zaczął w nim wybuchać »jakiś wulkan« tęsknoty i żalu; serce jego poczęło się znowu napęłniać »jakimiś nieograniczonemi zachceniami«, tak, iż znów musiał pracować i silić się, ażeby zapanować nad niem; *al wreszcie skończyło się na tem, że mu, jak Fantazemu z *Nyxes Delantiv*, chodzić zaczęły po głowie »same jakieś światła... czerwone, jak lodowce Alp o zachodzie słońca, zielone, jak szmaragd łąk szwajcarskich, błękitne, jak wody Lemanu: na tem tle malowniczym zarysował się*

obraz dwojga kochanków, trochę podobnych do Romea i Julii, do Pawła i Wirginii, do Chactasa i Atali, do Don Juana i Haidée, a przede wszystkim do samego autora i panny Wodzińskiej, obraz, wytworzony »z imaginacyi i sennego przypomnienia«, a poetyczny i piękny tak, że piękniejszym, poetyczniejszym żaden z narodów europejskich poszczycić się nie może.

Jednocześnie z tym »romansem« *W Szwajcaryi* dojrzały w umyśle poety *Ojciec Zadżumionych* i *Dantyszek*, a praca nad nimi miała się przeciągnąć aż do wiosny roku przyszłego.

Tymczasem, dzięki pracowitości swej, która mu mniej, aniżeli z początku, pozwalała udzielać się światu, zasłużył sobie w kole swoich znajomych na opinię »dzikiego«. Opowiadał sobie o nim, że tęskni do Wschodu, że mu w Europie duszno i ciemno, że marzy o zostaniu mnichem na Libanie, itp. On zaś nie zaprzeczał temu; przeciwnie, zapytany, czy to prawda, odpowiadał, że istotnie »na zwierciadło jego marzeń ktoś chuchnął i zamglił szkło«. Tą swoją »dzikością« jednak, niechcący zupełnie, zainteresował sobą damy florenckie: opowiadała mu pani Potocka, że gadają o nim, i że te, które go nie znają, jak np. księżna Surveilliers, koniecznie pragną zbliżyć się do niego. Jakoż udało się im to po pewnym czasie; z chwilą zaś, kiedy go wciągnęły pomiędzy siebie, potrafiły mu tak przekonywająco wytłómaczyć, że poecie, jak on, nie godzi się stronić od towarzystwa, coś dopiero, towarzystwa wytwornego, arystokratycznego, prawdziwie renesansowego, jedyne, które rozumie i naprawdę ocenia wielkich poetów i artystów, że ani się spostrzegł nawet, jak się dał porwać temu wirowi życia towarzyskiego, jak zaczął prowadzić życie pełne roztargnienia (co go męczyło i nudziło), i jak rozrywany na wszystkie strony, zaczął nie znajdując czasu na pisanie.

Ale już po kilku tygodniach przestało go to bawić. Nieraz żałował, że został na zimę we Florencyi, i »z rozpaczą myślał o swoim 28 roku życia, kończącym się na marnościami światowych«. Albowiem co miał z tego? Czyż miał możliwość, rozmawiając z ludźmi, nawzajem się od nich czegoś dopytać, dowiedzieć? Nie: powracał zwykle zmęczony i pozbawiony swoich marzeń, bo taka rozmowa salonowa — przelewanie z pustego w próżne — to było dla niego pole, gdzie swoje »złote myśli«, swoje samotne rojenia, na zdawkową rozmieniał monetę i rozsypywał marnotrawnie. »Skutek ten sam: zawsze moją miłą własność tracę«. W ten sposób upływały mu wieczory, które niedawno jeszcze prze-

siadywał spokojnie w domu, przy pracy. Żeby mu choć dni pozostawiono wolne! Niestety, »biada temu, którego w towarzystwie osądzą za przyjemnego człowieka!« Taki musi nie tylko wieczorem, ale i w ciągu dnia być na usługach tych, którzy (a raczej które) mu ten tytuł *przyjemnego człowieka* przyznały, i musi, otwierając »wszystkie zakamarki rozumu, wypuszczać z nich na świat władze, które trzymał pod kluczem, jak waryaty, aby nie chodziły po mieście«. Takiemu *przyjemnemu człowiekowi* nie godzi się np. odmawiać, jeżeli go damy chcą mieć za *cicerona* przy zwiedzaniu miejscowych galeryi, nie godzi się, choćby mu nawet wstręt sprawiało włożyć się i rozprawiać o rzeczach, które każdy czuć powinien swoim czuciem i widzieć swojemu oczyma. Zjednałby sobie tem niepochlebny przydomek człowieka źle wychowanego, a takim być *przyjemnemu człowiekowi* nie wolno. Więc »włożył się« z damami po galeriach i muzeach, jaką zaś znajdował w tem przyjemność, tego najlepsze wyobrażenie daje sposób, w jaki później to *ciceronowanie* swoje opisywał matce. »Ale dość już skarg, pisze np. w liście z dnia 2 stycznia 1838 r. Nie, jeszcze jedna! Oto muszę przerwać ten list do mojej drogiej i iść do galeryi Pitti, *gdzie sześć bab chce mię koniecznie mieć ciceronem*. Będę więc musiał suszyć głowę, *aby coś nowego o starych obrazach powiedzieć*, bo jeżeli nie, to całe grono, mające za organ księżną Survilliers, powie, że nie zasłużył na reputację przyjemnego człowieka, jaką mi niedawno te same osoby przyznały. *O tortury!* Będę utrzymywał paradoksy, będę błyskał sprzecznościami, wskrzeszał umarłych malarzy, *i to wszystko zje mi ranek, którybym mógł weselszemi zająć myślami*«. W tymże liście, pisanym z myślą o tych torturach, jakie go wkrótce czekają z sześciu babami w galeryi Pitti (nawiasem mówiąc, *babami* temi były same młode, nieraz bardzo piękne, jak np. księżna Survilliers, ósóbki z arystokratycznego *high life'u*), uskarża się rozdrażniony poeta matce, że nie tylko wizyty, ale i znajomi *dręczą go* mnogimi listami, na które nie wie najczęściej, co odpowiadać: »Tak, wystawcie sobie, że nawet szambelan Skibicki z Pizy, gdzie teraz dla klimatu cieplejszego siedzi z żoną, *ni z tego ni z owego wypalił do mnie list esencjonalnie poetyczny o pochylonej wieży, o Campo Santo, o profesorze prawa, o Dancie i o wszystkich rzeczach, które jego są*, a ja zaś biję się w czoło, myśląc nad odpowiedzią, a najprzód nad tytułem, który na wierzchu listu *przeświekłemu korespondentowi należy się*«.

Swoją drogą, pomimo takich skarg i utyskiwań na te »próżności światowe«, o których naukę powinien był, po-

wiada, z pomników egipskich wyssać, a która poszła w las, dalekim był od wycofania się z tego wiru wielkoświatowego życia i najczęściej nie żałował owych wizyt i owych wspólnych — w towarzystwie *bab* — przechadzek po galeriach. Nawet tego dnia, kiedy mu tak trudno było przerwać list »do swojej drogiej« i kiedy mu się tak nie chciało iść do galerii *Pitti* ciceronować sześciu *babom*, nawet wtedy upłynął mu tam czas wcale nieźle; najlepszy dowód, że nazajutrz, kończąc zaczęty wczoraj list do matki, nie zaważał się napisać: »Otóż przepędziłem wczorajszy ranek w galerii z *damami* (już ich nie nazywa babami) i dosyć się dobrze ubawiłem«. Kiedy zaś bezpośrednio potem dodaje: »Dziś za to siedzę w domu, deszcz czarny pada i melancholiczne światło panuje w moim saloniku«, to mimowoli bierze ochota posadzić go, iż wolałby w tej chwili, zamiast siedzieć w domu sam, opowiadać sześciu babom coś nowego o starych obrazach. I tak było prawie zawsze. Sam przyznawał, że często, wyszedłszy z towarzystwa, gdzie »wiele gadał«, przypominał sobie talent matki swej, jaki w tak wysokim posiadała stopniu, talent bawienia gości, i że nieraz zdarzało mu się dziękować Bogu, iż i na niego również trochę z niej tego daru gawędzenia spadło. Wiedział, iż potrafił być interesującym w rozmowie — zwłaszcza z kobietami — że był wymowny, że myśl przyoblekała się u niego z łatwością w wykwintną formę, zależnie od tematu, że go kobiety wyróżniały, że mu nadskakiwały, że go psuły, nie tając się przed nim z powziętą dla niego sympatią, że gdzie on był, tam inni młodzieńcy ustępować musieli na ostatni plan, że zaćmiewał wszystkich, że trudno było mierzyć się z nim w oczach kobiet, że przemawiały za nim mała sława i tytuł poety (jednego z największych w narodzie), że istotnie potrafił, jeżeli chciał być *przyjemnym człowiekiem*: a wszystko to, razem wzięte, pochlebiało mu, mile łaskotało jego miłość własną; nie dziw więc, że o ile z jednej strony tęskno mu było do pracy, o tyle z drugiej wyrzec się dobrowolnie tych salonowych sukcesów poprostu nie miał siły.

Przyczyniła się do tego między innymi także i osoba księżny Surveilliers, młodej, 30-letniej zaledwie, a bardzo pięknej, czarnobrewnej wdówki, której uczucie gorącej sympatii, jaką powzięła dla młodszego od siebie o parę lat poety, niemało dawało mu do myślenia. Zapoznał się z nią bardzo prostym sposobem. Przedewszystkiem nie szukał tej znajomości, co już było pewną podniętą dla zalotnej, a trochę sentymentalnej wdówki. Postanowiła więc ona go poszukać i, bądź co bądź, ozdobić nim swoje »środki«, na

których zbierała się śmietanka florenckiego towarzystwa. Jakoż znalazła go niebawem. Przejeżdżając raz przez miasto, i spostrzegłszy poetę (widocznie znała go już z widzenia), idącego razem z Hermanem Potockim, kazała stragretowi przystanąć, czem dała Potockiemu do zrozumienia, że chce z nim pomówić, a kiedy ten ostatni podszedł do niej, zażądała wprost, ażeby jej zaprezentował swego towarzysza. »Musiałem więc z nią, powiada Słowacki, w karecie siedzącą, zrobić znajomość«. Odtąd spotykali się bardzo często, księżna Surveilliers bowiem była duszą całego florenckiego *beau monde*'u i bywała wszędzie, między innymi także i u pani Komarowej, którą Słowacki znał jeszcze z Drezna, a która tu spędziła parę miesięcy z dwiema córkami (zadziwiającami całą Florencję swoją pięknoscą), zapraszając poetę »dość często« na wyprawiane przez siebie rauty. Na rautach tych, podobnie, jak i na środowych *five o'clock*'ach u księżny Surveilliers, miał Słowacki aż nadto sposobności kokietowania czarującej wdówki, prowadzenia z nią »rozmów o niebieskich migdałach«, rozmów, któremi rzucał zgubny posiew w jej wrażliwe serce, a podczas których, choć udawał czasami Werthera, zimny był, jak mozartowski *Don Juan*. »Żadna pasya, pisał o tym swoim szczególnym romansie z księżną, nie odkrywa mojej draperyi, żaden wicher nie rozwiewa mi włosów, żadna iskra nie błyszczy mimowolnie w źrenicy; aż mi wstyd, że takim jestem; lecz to nie moja wina«. Księżna tymczasem, choć śmiała i kostyczna w obejściu z innymi mężczyznami, np. z Hermanem Potockim, który się w niej kochał bez pamięci i bez nadziei, jedynie względem niego, w jego towarzystwie, podczas rozmowy z nim była nieśmiała, jakby zalekniona. Okrzyczana za dowcipną i sprytną, na różne złośliwe przycinki poety odpowiadała smutnem spojrzeniem, które zdawało się mówić: »Com panu zawiniła, że się tak znęcasz nademną?« Jemu zaś sprawiało dokuczanie jej szczególnego rodzaju przyjemność, tak dalece, że, jak powiada, *przy niej* odzyskał swoją dawną uszczypliwość w rozmowie, czemu się nawet dziwił, sądził bowiem, że ją już utracił na zawsze. Szczęściem, umiał odróżnić złe od dobrego i tylko w ostatniej potrzebie używał swoich »szkodzących władz«. Drugą, na jej miejscu, zraziłaby do niego ta uszczypliwość (istota taka miała się nawet znaleźć niebawem), ją onieśmielała i podniecała. Kiedy, w teatrze, podczas opery, wszedł do niej, do łoży, cieszyła się bardzo, zdawała się uważać to sobie za zaszczyt, prosiła, żeby został przez następny akt i zapominała o innych swoich gościach, którzy ją tu przyszli odwiedzić w czasie antraktu.

Nieprzyjemność taka spotkała raz — na przedstawieniu *Normy* — Hermana Potockiego, który ledwo się nie skrzył z zazdrości, widząc, jak księżna jest rada Słowackiemu; Słowackiego zaś, kiedy odgadł, co się w tej chwili dzieje z Hermanem, »bawiły jego oczki tatarskie, świecące w głębi ciemnej łoży, jak ogniki, w nieruchomej i bladej twarzy«.

Na środowych rautach u księżny przypadał pocie zaszczyt, że go pani domu mianowała »mistrzem ceremonii«, ponieważ, jako nieodrodny syn swej matki, doskonale umiał przycydować rozmowie, rządząc nią, jak Eol wiatrami. Jeżeli nie widziała go kilka dni, dopytywała się o niego wszystkich znajomych. Swoje »środy« kazała mu przez różne osoby przypominać po kilka razy na tydzień. Ilekroć nie przyszedł — a nie przychodził czasami umyślnie — wy- mawiała mu to zaniechanie. Kiedy wychodził, powtarzała mu kilkakrotnie, na pożegnanie: »Kiedyż się zobaczymy znowu?« Upoważniła go nadto, że ją odwiedzał nietylko we środy, ale i w inne, nierecepcyjne dni, i to nie w zwykłych godzinach przyjęć, ale rano. Zastawał ją wtenczas rysującą pejzaże — wielką bowiem była amatorką sztuk pięknych — i przepędzał z nią, w jej buduarze, godzinę albo i dłużej na miłej, *intime* pogawędce, a że »jakiś zapach dawnej wielkości« napępiał ten buduar kobiecy, pełny medalionów, portretów, biustów familijnych (prócz tego że 20 przynajmniej bogatych sztambuchów leżało na stolikach), więc były dla niego te wizyty ranne u księżny nie bez pewnego rycersko-romantycznego uroku. Nie przeszkadzało mu to przecież uważać tego stosunku za prostą rozrywkę, i niepomny przysłowia francuskiego, że *on ne badine pas avec l'amour*, używał czasami najniegodniejszej »szarlataneryi«, aby zaimponować księżnie swoim pańsko-eleganckiem wychowaniem i swoimi — nietylko literackimi — talentami. Niekiedy, powiada, szkic ruiny w Egipcie, pokazany zgrabnie, przekonywał ją *faktywie*, że, gdyby chciał, mógł nietylko poetą być, ale i malarzem. Raz znowu, na wieczorze u Potockich, kiedy księżna była w drugiej sali, przy kolacyi, zasiadł do fortepianu i zaczął grać »z melancholią« jakąś fantazyę Chopina, którą jednak uciął zgrabnie w miejscu, gdzie trudniejszy pasaż »odkryłby z pod skóry wołowej jego ośłatka uszy«. Księżna brała to wszystko za dobrą monetę i nie zdawała sobie sprawy bynajmniej, że poeta pozuje *quelque fois devant le monde*, jak gdyby do portretu, tj. *en trois quarts*; a nie podejrzewając go o coś podobnego, pozwalała mu wywierać na siebie jakby wpływ magnetyczny, tak dalece, że nie wahała mu się naznaczać czasami romansowego *rendez vous* w którym z mniej od-

wiedzanych ogrodów publicznych, gdzie niczem niestrwożeni, sami, jak owi kochankowie z poematu Juliuszowego, mogli swobodniej rozmawiać o niebieskich migdałach.

Serce poety jednakże pozostawało wciąż zimne i puste. Minęły święta Bożego Narodzenia, minął Nowy Rok, minął karnawał, a jemu ciągle brak czegoś było do szczęścia. Na wigilię, na którą go zaprosili Zdzisławowie Zamoyscy, myślał przez pierwszą połowę wieczoru o przeszłości: o prefekcie Jarkowskim, u którego jadł niegdyś wigilię, dzieckiem będąc, o piekarni u babki, o czeladzi śpiewającej kolędy, o wertepie krzemienieckim; a kiedy, dawnym zwyczajem, wyciągnął źdźbło siana z pod obrusa i wyciągnął je bez kwiatka, co go zasmuciło tak, iż, widząc to, pani domu, wyciągnęła mu drugie, krótkie bardzo, ale z kłosem na końcu, w czym on zaraz widział wróżbę, iż dni jego będą krótkie, ale kłos zostanie po nich: od tej chwili, aż do samego końca wieczoru, myślał już o swojej przyszłości jedynie.

Tylko terażniejszość żadnego nie potrafiła wzbudzić w nim interesu. Nowy Rok zastał go »cichszym i smutniejszym«, niż lat poprzednich; karnawał zaś, z niemniejszą obchodzony we Florencji pompą, aniżeli w Rzymie, nie zrobił na nim dziś żadnego prawie wrażenia. Korowody i maskarady, przeciągające po ulicach, po błocie z roztopionego śniegu, a przedstawiające Tryumf Cezara, wywoływały mu gorzki uśmiech na usta i co najwyżej pobudzały do dowcipków w rodzaju tego, że ten Brutus, jadący na przedzie orszaku, żeby użyć kalemburu Szekspira w Hamlecie, nie Cezara w Kapitolu, ale kapitalne zabił cielę, pod tymi bowiem rzymskimi kostyumami ukrywali się aktorowie albo rzeźnicy. Dziwna rzecz! Kiedy inni — a w ich liczbie i księżna Survilliers — weselili się, bawili, śmiali, on czuł w sercu (oprócz pustki) jakąś tęsknotę, z której się otrząść nie mógł.

Co było przyczyną tej tęsknoty? Odpowiedzi na to pytanie szukać trzeba w liście do matki d. 22 lutego 1838 roku, gdzie czytamy między innemi co następuje: »Dostyc mi dobrze we Florencji, tylko mi brak jakiej miłej osóbki, coby mię trochę zelektryzowała. Ale tego mi zawsze brak było oddawna: ochwaciłem się«. W innem miejscu znowu, w liście z dnia 2 stycznia 1838 roku, pisze: »Dziwna jakaś, czcza melancholia dręczy mię: chciałbym się kochać, ale nie wiem w kim. To jest jedno z najgłówniejszych żądań mojego życia teraz. Otóż rok przeszedł nowy, a ja się nie kocham. Co to będzie? Poznałem tu ładną, jak Anioł, Amerykankę, i to był kamień probierczy mojego ostygłego

serca. Zdawało mi się zrazu, że to była jedna z nimf Niagary, podobna do tych widm, które Manfred wywoływał z tęczy nad wodospadami, i już miałem chwycić ognia z jej błękitnych oczu, kiedy mię odstąpiła od niej ciągle wesołość, ciągle prawie uśmiech na rozkwitłych ustach; włożyłem się więc znowu, jak ptak, głowę pod skrzydło i pograżyłem w moje sny melancholiczne. I nie tylko, że nie miał nikogo, coby go »ożywił i podniósł trochę« — snadź księżna Survilliers nie potrafiła sztuki tej dokazać — ale otrzymywał jeszcze z różnych stron różne smutne wiadomości (niedawno np. doniesiono mu z domu o śmierci dziadka), wiadomości, które na humor jego oddziaływały zabójczo.

Najsmutniejszą z pomiędzy wszystkich tych »smutnych wiadomości« była niezawodnie wiadomość o Maryi Wodzińskiej, o której przez całe dwa lata nie mógł się niczego dowiedzieć, a z którą, jak mu o tem doniesiono teraz, ożenił się podobno Fryderyk Chopin. Wieść ta, spadłszy na Słowackiego znienacka, jak piorun z jasnego nieba, wstrząsnęła nim do głębi; bo, pomijając już, że zadrasnęła boleśnie jego miłość własną, ale, co gorsza, trafiła na niewystygłe w nim jeszcze, a nawet grą wyobraźni bardziej podniecone, uczucie miłości prawdziwej, miłości spotęgowanej tęsknotą, a widzianej przez tęczyowy pryzmat wspomnień, co ją upiększało i jakby otaczało aureolą poezji.

A i o tem także nie godzi się zapominać, że poemat *W Szwajcaryi*, pisany z myślą o Maryi, właśnie był na warsztacie, już ukończony prawie. Raptem donoszą poecie, że ta Marya, o której on wyrażał się zawsze: »moja Marya«, którą opiewał teraz w osobnym, jej poświęconym poemacie, którą widział ciągle, jakby przed sobą, której czarowi ulegał dotąd, choć zniknęła dla niego »jak sen jaki złoty«, o której marzył przez cały czas podróży, w Grecyi, w Egipcie, w Ziemi Świętej, której imię obok swojego pisał na piasku pustyni w Kairze, której miłość miał »naksztalt słońca« w pamięci swojej, że ta Marya wyszła za mąż za Chopina. Mówiono wprawdzie, że wyszła za niego »trochę z przyjaźni« dla swojego genewskiego wielbiciela, do którego Chopin, jak głosiła wieść, miał być jak dwie krople wody podobnym, ale to jeszcze postaci rzeczy nie zmieniało — choć mogło do pewnego stopnia *dorer la pilule* Słowackiemu — skoro została panią Chopin, co było w przekonaniu Juliusza taką samą partją, ani gorszą, ani lepszą, jak gdyby została panią Słowacką. Nie dziw więc, że taki epilog jego szwajcarskiego romansu niezwykłą sprawił mu przykrość, że go dotknął boleśnie i że — co było nieuniknionem przy jego sarkastycznym usposobie-

niu — zatargał w nim strunę właściwej mu dokuczliwej, mefistofelesowskiej ironii, która go jednak tym razem dużo kosztowała, kiedy, dzieląc się z matką wieścią o zamężciu Maryi, pisał: »Jak to sentymentalnie pójść za człowieka podobnego temu, którego się pierwszą miłością kochało! Stałość i nie-stałość harmonizują się z sobą w takim zdarzeniu i, podług Swedenborga, już w niebie nie z dwóch, ale z trzech dusz robi się Anioł jeden po śmierci. Ale w tym wypadku niech Marysia na mnie nie liczy: wolę się do innej jakiej istoty w niebie przylepić: dla niej dosyć Orfeusza! Skrzydła tego Anioła będą z siedmiu pedałów, a z klawiszów rąbki«. Gryząca ta jednak ironia niewielką przynosiła mu ulgę. Wiadomość, że Marya została żoną innego (dopiero później dowiedział się Słowacki, że była to wiadomość mylna), przeszła mu serce, jak grot zatruty. Po otrzymaniu jej, kiedy wyczytał w tym nieszczęsnym liście (najprawdopodobniej od Eglantyny Patteg z Genewy, z Paryża), że pani Chopin nie zapomniała przecież owego walca Chudoby, którego jej on, Słowacki, grywał w Paquis na fortepianie — jej fortepianie — pierwszą czynnością jego było zasiąść do fortepianu i przegrać tego walca. Potem przypomniały mu się owe wiersze, które napisał w Veytoux po rozłączeniu się z Maryą i pod wpływem tęsknoty po niej. W uszach mu brzmiało:

Rozłączeni — lecz jedno o drugim pamięta,
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągle wieści.

Wiersz ten wraził mu się teraz w umysł tak silnie, że nawet, pisząc do matki, bezpośrednio po owym sarkastycznym ustępie o Maryi i Chopinie i po wzmiance o owym walcu, którego Marya nie zapomniała, a którego grywała także i pani Becu, nie mógł się oprzeć pokusie, ażeby o tym wierszu nie wspomnieć: »Takim sposobem — pisał — (grając to, co wy gracie, aby słyszeć to, co wy słyszycie), znajduję jakiś mistyczny sposób połączenia się z wami, i przychodzi mi na myśl wiersz jeden z jakiejś mojej poezyi: *»Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku i nosi ciągle wieści«*. Nadmienię wypada również, że cała druga połowa tego listu, poczynawszy od ustępu o zamężciu panny Wodzińskiej, pisana jest »jakimś tonem smutnym serca«, w który poeta wpadł mimowoli. Podobnym tonem odznaczał się i list następny, który świadczy, jakiego przyczyną smutku i spleenu stała się ta fatalna wiadomość o Maryi. Miła Florencya zaczęła mu się odtąd wydawać »smutną, jak grobowiec«. Jak Dantemu po śmierci Beatrix Portinari zdał

się gród ten odrazu »miastem wymarłem«, podobnie i jemu chciało się dziś — również jak Dantemu — z biblijnym prorokiem zawołać: *Quomodo sedet sola civitas plena populo!* »Wszystko pusto koło mnie« — powiada w liście z d. 19 maja. Poczem na innem miejscu — w tymże liście — dodaje, że czczość jakaś często mu teraz pokazuje błahość wszelkich smutków i tęsknot. A jednak, mimo to przeświadczenie, oprzeć się im nie mógł, nie potrafił, i wystarczało mu, ażeby się z listu Eglantyny dowiedział, że porzuciły już z matką Paquis, *pour n'y jamais revenir*, że zamieszkały w mieście, nad samem jeziorem, w domu z pięknym tarasem, z którego *on decouvre un panorama magnifique*, ażeby pod wrażeniem tęsknoty, jaka go po odebraniu tej wiadomości z Genewy napadła, napisać do matki, co następuje: »Więc już wróciwszy do Genewy, zamiast przywitać się z drzewami ogrodu, gdzieś sobie przez trzy lata marzył, zamiast odpocząć w pokoiku, gdzieś przywykł był leżeć spokojnie, zamiast tej melancholii, jakoby mię przeniknął widok miejsc, gdzieś latał po murawach z młodzieńką Maryą, co mię kochała krótko, ale mocno, jak zazwyczaj młode polskie dziewczęta kochają, zamiast tego wszystkiego, znajduję dom w mieście czarnem i pępennem. Ogród mój dawny przez sztachety żelaznej bramy zobaczę napelniony innemi dziećmi może, co będą, jak ja niegdys, odsyłały sobie wolanta po błękitnem powietrzu. O, nie wrócę do Genewy, a nawet przyjechać tam na krótko smutno mi będzie«: tak samo, jak mu teraz dziwną jakąś, niewymowną tęsknotą wzbierało serce, kiedy wspomniał te błogie czasy genewskie.

A myślał o nich ciągle. Najpiękniejsze widoki Szwajcaryi, a na ich tle postać Maryi, wyidealizowana dwuletniem niewidzeniem, przesuwwały mu się w wyobraźni, jak w kalejdoskopie: widział się z nią razem na błękitnych wodach Lemanu, wśród śniegów św. Bernarda, wśród leszczyn Giesbachu, pod lodowemi sklepieniami grot w Rosculanen, przy kaplicy Tella; o tem zaś, jak dokładnie sobie przypominał wszystko, świadczy chociażby ta tylko wzmianka w tymże liście z dnia 19 maja o pani George Sand, którą, powiada, spotkał raz po mężku ubraną na Genewskiem jeziorze, ale, dodaje, tak miał wtedy serce *innemi rzeczami zajęte* (oczywiście ma tu pannę Wodzińską na myśli), że się do niej nie zbliżył. »A kto wie, czy w tej chwili słowa jej nie mogłyby nadać *innego kierunku moim uczuciom: serce moje było w tych czasach, jak glina miękka i zdalna do przyjęcia innego kształtu*«.

W takim stanie uczuć zastała poetę wiosna 1838 roku,

wiosna zimna i dżdżysta, tak zimna, że jeszcze w kwietniu musiał wieczorem zapalać ogień na kominku, ażeby nie marznąć w ręce, grając na fortepianie lub pisząc. A pisał znowu w tym czasie więcej, niż kiedykolwiek: raz dlatego, że często nuda — choć między dziewięciu Muzami nie położono Nudy — napędzała go do pracy, a powtórę, że miał zamiar przenieść się wkrótce do Paryża, a dał sobie słowo, że do swoich kolegów nadsekwańskich »z niczem nie powróci«. To też, o ile mógł tylko, przysiadywał fałdów po kilka godzin dziennie — nieraz i północ zastawała go jeszcze pochylonego nad stolikiem — tak, iż po jakimś czasie nie tylko się uporał z *Anhellim*, którego zaraz po przepisaniu na czysto posłał do Paryża, do drukarni panien Pinard (korekty obiecał mu dojrzeć Eustachy Januszkiewicz), ale i inne poematy, które tu pozaczynał we Florencji, jak *Ojciec Zadżumionych*, *W Szwajcaryi*, *Dantyszek*, a także i *Wacław*, nie były dalekie od tego, ażeby pod każdym z nich wypisał w końcu uroczyste *Finis*. Jedynie ze względu na nie, na te, jak powiada, swoje »marzenia nie ubrane w ciało«, nie wyrwał się dotąd z tej dżdżystej Florencji, która mu się już przykrzyć zaczynała, jak siwiejąca kochanka, i której w tych wstępach i »warkoczach deszczowych«, przez które, niby przez szarą woalkę, patrzył na nią od kilku tygodni, wcale nie było do twarzy. Niebo »żelaznego koloru« także nie przydawało jej ozdoby: słowem, pilno mu już było pożegnać uroczą stolicę Toskanii. Chodząc »jak mara piekielna« albo jak Dantyszek po piekle, po ulicach, po błocie, pod parasolem, wśród przejmującego, bo wilgocią przesyconego chłodu, albo patrząc ze swego belwederu na szare, brudne chmury (przeciągające tak nisko, że nurzał się w nich niekiedy wierzchołek kopuły katedralnej), znudzony tem wszystkim i zniechęcony, myślał, że »umrze ze spleenu«, i marzył wtedy, jak o Arkadyi, o Paryżu, gdzie spodziewał się znaleźć odmienne od florenckiego towarzystwo, »więcej zachcenia do pracy, więcej porady«. Tutaj nie miał nikogo, kogoby się mógł zapytać, ażali to, co napisał, dobre jest, czy złe. A sobie nie wierzył.

Gdyby mu ktoś powiedział wtedy, że z projektów tych nic nie będzie, że tylko patrzeć, jak ich zaniecha, jak mu z czasem trudno przyjdzie myśleć o wyjeździe z Florencji, tak trudno, że w końcu zostać tu postanowił: takiego człowieka zmierzyłby wzrokiem pełnym politowania i niedowierzania. A jednak słuszność byłaby po stronie tamtego, nie jego; on bowiem, chociaż w tej chwili nie

przewidywał nic podobnego, miał jeszcze pół roku zabawić we Florencyi.

II.

Co było przyczyną tej zwłoki? a raczej *kto* był przyczyną tej zwłoki? Chcąc odpowiedzieć na to pytanie, najlepiej przypomnieć owo francuskie przysłowie, które zawsze i wszędzie radzi *cherchez la femme*. Ale przysłowie to, jak się okaże niebawem, jest niewystarczające, jak w danym razie, albowiem każe szukać *kobiety*, wyraźnie w liczbie pojedynczej; tymczasem w danym wypadku, ażeby doradzało dobrze, powinno by doradzać poszukiwania nie jednej kobiety, ale dwóch; gdyż dwie kobiety były przyczyną, że Słowacki, zamiast wyjechać z Florencyi już w maju, jak zamierzał pierwotnie, wyjechał w grudniu.

Pierwszą była Włoszka, Florentynka, drugą — Polka; pierwsza była »prostą dziewczyną« z ludu, druga należała do sfery arystokratycznej. Już to samo pozwala się domyślać, że innego rodzaju miłość potrafiła w pocięciu wzbudzić ta pierwsza, a inną — ta druga.

Jakie było imię i nazwisko Włoszki? Słowacki nazywa ją swoją Fornariną, czem odrazu daje do zrozumienia, że stosunek, jaki go łączył z nią, przypominał stosunek Rafaela do Fornariny, to znaczy, iż pierwszą i główną rolę grały w nim — zmysły. Dla Słowackiego, który dotychczas »czystsze życie wiodł, niż inni, znajdując w tem *jakąś dumną pociechę dla duszy*«, posiadała ta przygoda romansowa, nie na platonizmie oparta, nadzwyczajny urok, bo urok czegoś, czego aż do tej pory doświadczał mało, za mało nawet, jak na 29-letniego mężczyznę. To też, kiedy mu się udało na swojej drodze spotkać taką Fornarinę, która była »piękniejsza od tej, którą malował Rafael«, nie dziw, że zapoznawszy się z nią bliżej, poprostu oszalał dla niej, że w jednej chwili z dawnego roztropnego młodzieńca, który się »rozważnie prowadził i wszelkich niebezpieczeństw — ze strony kobiet — *z dziwną zręcznością* unikał«, stał się, jakby za dotknięciem jakiejś różdżki Afrodyty, »młodym chłopcem szalonym, który, *pomimo przestroóg rozumu*, zakochał się z całą pasją serca swego«, przekonany ostatecznie, że tylko taka miłość, takie upojenie zmysłów jest coś warte naprawdę i że taka Fornarina, choć była prostą dziewczyną, jeżeli kocha i oddaje się z prawdziwej miłości, może dać więcej niezaprzeczalnego szczęścia, aniżeli wszystkie idealne i platoniczne miłości, które, razem wzięte, ostatecznie »jak

próchna, świecą«, i nic więcej. Byle kochała, naturalnie, i byle była piękna, jak grzech. Jego Fornarina florencka była piękna, jak grzech. Dość powiedzieć, że »zupełnie odpowiadała pięknym okolicom włoskim«. Oczy jej, szafirowe przy świetle wieczornem, stawały się we dnie, przy słońcu, czarnemi, »jak kamienie w powieściach wschodnich«. Kształtna, wysmukła, z piersiami jawnemi, jakby się wyraził Jan Kochanowski, z różowemi, cudownie rozchylonemi ustami, stworzonymi do pocałunków, i które, jak usta owej pieśzeczki Mickiewicza, tyłkoby się chciało całować, całować, całować! posiadała coś czystego w sobie, co ją — w oczach rozkochanego poety — czyniło podobną do Nimfy mitologicznej, a co go przykuwało do niej, pociągało, jak magnes, przyprowadzało o »szal«. Zwłaszcza, że, kiedy on szalał bez opamiętania, ona chwilami wydawała mu się »nieco zimna z charakteru«, co go rozplamieniało tembardziej. Zupełnie wyszedł z normalnej kolei. Dawno — a może nigdy w życiu — nie czuł się tak opętany miłością. Dotychczas bywał niekiedy, jak Anelli, »opętany przez anioła«, teraz był opętany przez kobietę rzeczywistą, o pięknem ciele i krwi południowej. Nie poznawał się poprostu w tych »ekscentrycznych chwilach«. Nie przypuszczał, że był zdolny do takiej »burzy serca«. Stanowczo była to najgwałtowniejsza burza, przez jaką przechodził kiedykolwiek, burza, którą miotany i rozkołysany, czuł się szczęśliwy, jak nigdy, a podczas której, jak Rafael, upojony pocałunkami i pieśzeczotami Fornariny, z lubością wspominał:

*Quanto fu dolce el giogo e la catena
De suoi candidi braci al col mio volti.*

Pod wpływem tego rafałowskiego rozigrania zmysłów, zapomniał, iż ten romans jego to ostatecznie »rzecz pospolita bardzo«, a że miał wyobraźnię bujną, jak mało kto, która najpospolitszą rzeczywistość umiała przystroić w najczarowniejsze girlandy najbardziej rozmarzającej poezyi, więc zaczął to »swoje bóstwo« florenckie osnuwać w coraz idealniejsze szaty, a przedewszystkiem zaprzestał myśleć o wyjeździe z Florencyi, którą niedawno zamierzał opuścić dla Paryża. Kto wie bowiem, myślał sobie, czy ta florentynka nie jest ostatnią różą na wątłej lodydze jego »wdowiego życia?« W jakim celu więc, mogąc jeszcze długo upajać się odurzającym zapachem tej przewonnej róży, zrywać ją zbyt prędko? Niech kwitnie! A Paryż? Paryż nie ucieknie. Tak rozumując, choć od trzech miesięcy wybierał się w podróż, bo miał dość ważne interesy, które go przywoływały nad Sekwanę, siedział nad Arnem

przy swojej Fornarinie i ostatecznie »wybrać się nie mógł«. Strasznie mu się nie chciało odjeżdżać od tej dziewczyny.

Ale wszystko musi mieć swój koniec, wszystko, nie wyłączając samej miłości. Jeżeli kobieta-kochanka zadawała tylko zmysły, jeżeli jest tylko piękną, to choćby nawet była »piękniejszą od tej, którą malował Rafael«, przesyt musi nastąpić prędzej, czy później. Co innego, jeśli pod powłoką tego ciała Fryny mieszka dusza Aspazyi! Zdaje się jednak, iż za Fornariną Słowackiego, jak za Fornariną Rafaela, przemawiała tylko piękność zewnętrzna. Ostatecznie była to »prosta dziewczyna«. Nie dziw tedy, iż po upływie trzech miodowych miesięcy Słowacki powoli zaczął ostygnać w swoim zapale, a natomiast zaczął się bać tego zakochania się swego w prostej dziewczynie, zaczął się lękać, ażeby go ono nie pozbawiło mocy charakteru i panowania nad sobą, i żeby go w końcu »do jakich szaleństw« nie przywiodło. Ta obawa to był początek końca. Po jakimś czasie zaczynał się poeta czuć zmęczonym tą romansową idyllą *à la Rafael*, poczem przyszła kolej i na to, że go ten romans coraz bardziej zaczął »napełniać czczością«. Uważał, iż należy pomyśleć o zręcznem wycofaniu się z tego zaczarowanego koła miłości. Niestety, wszystko rozbijało się o to, że Fornarina zdawała się inaczej na tę sprawę zapatrywać: poprostu nie myślała o zerwaniu. Po co? Czy im było źle z sobą?

W takim usposobieniu, któregoś wtorku, jednego z pierwszych dni lipca, wynajął Słowacki — ażeby swej Fornarinie sprawić przyjemność — jednokonny *tilbury* i pojechali na spacer. Dokąd? Do *Pratelino*. Jest to ogród angielski, położony trochę za miastem, a mniej uczęszczany w dnie powszednie, zwłaszcza w porze południowej. Dzień był prześliczny, upalny; słońce świeciło i dopiekało; w powietrzu panowała cisza. Słowacki był w doskonałym humorze, Fornarina także. Bawiła ich ta przejażdżka we dwoje. W południe wysiedli z powoziku, który pewno zostawili w jakim zajeździe, gdzie się prawdopodobnie i posilili także, poczem pieszo udali się na spacer po parku. Ponieważ park był pusty o tej porze, więc niczem niestrzeżeni, sami, mogli być swobodni, nieskrępowani, biegać po murawach, gonić się, chować jedno przed drugim — jak w poemacie *W Szwajcaryi* — zrywać róże, odpoczywać w cieniu i chłodzić grot, w których mruczały strumienie — jak w poemacie *W Szwajcaryi* — słowem, używać pięknego dnia *ganz nach freier Lust*, jakby powiedział Goethe, i doznawać czarującego złudzenia, że są »nowym Numą z Egerią«. W ten sposób upłynął im cały dzień wesoło, pogodnie

i płocho, jak sobie tylko życzyć można. Niczem marzenie! Poeta zapomniał o czczości, która mu się ostatnimi czasy dawała uczuć, i znowu była mu ta Fornarina »miłą«, jak dawniej.

Epilog jednak, który miał zakończyć ten spacer, wypadł mniej szczęśliwie. Gdyby nie szczęście w nieszczęściu, mogła przygoda, która im się przytrafiła, skończyć się o wiele gorzej. Stało się tak. Kiedy wracali z Prato-lino, oboje weseli i rozbawieni, szczęśliwi i zakochani, Słowacki, który powoził, zajęty rozmową z Fornariną, która siedziała przy nim, zagadał się, zapomniał o lejcach, które należało trzymać krócej: dość, że koń, poczuwszy, iż nie jest trzymany silną ręką, wziął na kiel, a wreszcie poniósł. Dopiero teraz spostrzegł Słowacki, że są w niebezpieczeństwie. Widząc, że konia nie zdoła powstrzymać w biegu, nie namyślając się długo, skreślił gwałtownie, tak, żeby wyrzucić, a wyrzucił tak szczęśliwie, że wolancik przełamał się na pół, koń z przednimi kołami uciekł (ale go złapano zaraz), a oni znaleźli się na ziemi, na trawie. Egerya upadła na Numę, lecz tyle było i nieszczęścia; przekonali się bowiem, kiedy powstali z ziemi, że oboje są zdrowi i cali, że im się nic nie stało; nawet siniaków uniknęli. Najgorzej na tej katastrofie wyszedł koń, który się pokrwa-wił, i kabriolet, za którego naprawienie musiał Słowacki zapłacić kilka skudów. Zresztą nie wpłynęło to nieprzewidziane *intermezzo*, które się mogło skończyć prawdziwym nieszczęściem, na pogorszenie humoru kochanków: tyle tylko, że musieli — jak niepyszni — wracać pieszo. Swoją drogą wracali weseli i podochoceni: Słowacki dowcipkował, Fornarina się śmiała; Słowacki dowodził, że »można w Azji i Afryce wojażować bez żadnego niebezpieczeństwa, a na drodze do Prato-lino spotkać się z królową ostatecznych przestrachów, jak mówi Pismo święte«; a Fornarina pocieszała go, że, choć nieszczęśliwy do koni, przecież nie zginie od nich (prędzej od kobiet). Tak żartując i śmiejąc się, powrócili do domu.

Słowackiemu jednak, który był zawsze przesądny trochę, dał wypadek ten, jakkolwiek błahy sam przez się, niemało do myślenia. Kto wie (myślał sobie), czy to nie była symboliczna przestroga ze strony Opatrzności? czy nie znaczyło to, że należy zaprzestać tych przejażdżek z Fornariną, jeśli się chce uniknąć nieszczęścia. Skończyło się na tem, że zaczął »widzieć przestrogę w tem zdarzeniu«. Niedawno, niedalej, jak kilka dni przed tym spacerem, kiedy się wahał, czyby temu romansowi nie położyć końca, powiedział sobie, po dłuższym namyśle: »Niech się

stanie, jak się Bogu podoba«. Widocznie, że się Panu Bogu nie podobało to jego »zakochanie się w prostej dziewczynie«, skoro go przestrzegł tym wypadkiem z koniem. Być może, że inny na miejscu Słowackiego nie uważałby na taką przestrożę; ale Słowacki uważał i »opuścił« swą Fornarinę. Obawiał się, żeby nie skończyć, jak Rafael. Pragnąc jednak, ażeby pokusie ująć stanowczo, ażeby już nie powrócić do swej florentynki, ażeby nie zatęsknić przypadkiem »do tych dni ognistych *różowego koloru*«, które tej Fornarinie zawdzięczał, i po pewnym czasie nie wrócić do nich, postanowił dłużej nie zwlekać ze swym wyjazdem do Paryża. Tym sposobem, przekonany był, uniknie recydywy, która w miłości jest niebezpieczniejszą o wiele, aniżeli w jakiegokolwiek innej chorobie.

Bądź co bądź, wyjeżdżając z Florencyi, będzie mógł powiedzieć o sobie:

— I ja też miałem Fornarinę moją!

Nie wyjechał przecież. A czemu? Bo go zatrzymała we Florencyi inna Fornarina. Tą Fornariną była panna Aniela Moszczyńska, ta sama, w której się przed wyjazdem na Wschód kochał Zenon Brzozowski. Poznali się niedawno; mniej więcej w lipcu 1838 roku; a że poznanie to (nie wiemy, w jakich okolicznościach) przypadło w czasie, gdy Fornarina już się poecie zaczynała przykrzyć, a zaczęło odżywać wspomnienie Maryi Wodzińskiej, które, jako marzenie, powoli zaczęło w duszy Słowackiego brać górę nad rzeczywistością, której on nigdy nie umiał ocenić należycie, dopiero wtedy, kiedy ta rzeczywistość przestała być rzeczywistością, więc serce jego, kiedy mu na drodze stanęła panna Aniela Moszczyńska — z twarzy trochę podobna do Maryi Wodzińskiej — odrazu zabiło żywiej, a jak się okazało, silniej, niż kiedykolwiek.

Ale bo też dziwna to była panna. Na mężczyzn oddziaływała magnetyzująco, i pomimo, że »strzelna nie była żrenicami zgoła«, kochało się w niej bardzo wielu, a wszyscy bez nadziei. Słowackiemu zaimponowała tem głównie, że on jej nie imponował: ani swoim talentem, ani swoją sławą literacką, ani swoim pańsko-eleganckiem wychowaniem, ani swoim wzrokiem, któremu przypisywał »palącą własność«, ani swoją uczuciową melancholijną grą na fortepianie, ani swoją zdolnością malowania pejzażów, ani swoim tytułem wojażera egipskiego i pielgrzyma do Ziemi Świętej, ani swoim pozowaniem *en trois quarts*, ani swoją umiejętnością bawienia gości, ani swoim darem opowiadania, ani swoją wytworną powierzchownością angielskiego *petit maître*: słowem, niczem tem, czem np. potrafił zaim-

ponować księżnie Survilliers. A jednak, choć nie okazywała mu tego z początku, spodobał się jej odrazu, od pierwszego wejrzenia, i postanowiła go sobie podbić, choć nie można było powiedzieć o niej, żeby

kokietowała
Dlatego tylko, aby mieć ze trzysta
Kornych kochanków przed wachlarza trzonkiem,
Z którychby żaden nie chciał być małżonkiem.

przeciwnie,

Dla zalotników zwyczajnych, jak skała,
Z czego kochanek wybrany korzysta. —

nie bardzo zdawała się dbać o to, ażeby się podobać młodzieży. W obojętności z młodymi ludźmi nadzwyczajnie pewna siebie (pewności tej nadawało jej trochę i to, że miała przeszło milionowy posąg), posiadała w sobie coś, co jakby onieśmielało względem niej, do tego stopnia, że »zbliżyć się ludzie i kochać nie śmieli«. Wykształcona wszechstronnie, wychowana w atmosferze wielkopańskiej, w zbytkach, pieszczona jako jedynaczka, i psuta przez rodziców, którzy w niej widzieli uosobienie wszelkich doskonałości, a którymi ona »samowładnie rządziła«, będąc rzeczywistą »panią domu«, do której woli i kaprysów musieli się wszyscy, nie wyjmując państwa, stosować; jednym słowem: natura energiczna, niepozbawiona pewnej — jeżeli się tak wyrazić wolno — mękości, panna Moszczyńska, »miała cudowną postawę.

W noszeniu głowy cudną lekkość, włosy
A l'antique, barwy troszeczkę bladawe
Oczy skier pełne,

duże, czarne, które »paliły czoła« i których spojrzenia, jakby przeszywającego nawskróś, trudno było wytrzymać. Że im to szczególnego w imaginacji poety dodawać musiało uroku, niepodobna wątpić. Zresztą »kształtna«, wysmukła, z różowemi ustami, wyższa trochę od pani Hersylii (Januszewskiej), trochę podobna do niej, nieco zimna z charakteru. Dumna i nieskazitelna, (czytamy o niej w *Beniowskim*), chodziła jako łabędź lub anieli, kołysząc się na giętkiej stopie, a tak lekko, że na fale wejść mogła.

Jej ręka piękna, mała i biała,
Za szorstką, silną biorąc rękę, drżała,

co dobrze świadczyło o temperamencie panny.

Włosy jej, długie, krucze, w róg zwinięte,
Ciężyły głowie swą jedwabną wagą.

A ta sama głowa, powiada o niej Słowacki w *Benowskim*, gdzie Aniela jest wiernym portretem panny Moszczyńskiej (nawet jej imienia nie zastąpił innem)

Ta sama głowa miała kształty święte
I uświęcone snycerską powagą:
Smukłe, ku plecom w okrągłość ściągnięte.
Ktokolwiek widział marmurową, nagą,
Florencką Wenus, nie weźmie za fraszki
Tego, co mówię tu o formie czaszki.

Że takie »dziewczę z białą szyją«, któremu nadto, jak się o niem pięknie wyraził Piotr Chmielowski, laury zdobiące skronie Juliusza nie pochylały czoła ku ziemi, że taka panna mogła się stać niebezpieczną dla poety, że musiała (cóż dopiero, jeśli postarała się o to!) na umysł jego wpłynąć niezwykle silnie, to się rozumie chyba samo przez się. On, który — jak trafnie wyraził się o nim wyżej wspomniany autor — dotąd napotykał same istoty słabe, czułe, łatwo poddające się wpływom, rozkochane w nim od samego początku (choć nie można tego żadną miarą powiedzieć o pannie Wodzińskiej), co, naturalnie, musiało zmniejszać i ostudzać jego uczucia bardzo prędko, musiał na widok istoty, która mu uleść nie chciała, przeciwnie, pragnęła aby on spokorniał, czuć się przedewszystkiem urażonym w swojej ambicyi człowieka, który »lubił kruszyć serca«, i któremu się zdawało, że glina, z jakiej go Pan Bóg ulepił, miała w sobie coś magnetycznego, co mu jednało serca panien; a następnie, musiał w nim ten opór, stawiany jego woli (wyrażenie prof. Chmielowskiego), podbudzić zapał, i, co za tem idzie, zająć najprzód wyobraźnię, a po wyobraźni serce, i wyrugować z niego wspomnienie panny Wodzińskiej.

Wprowadzony do domu Moszczyńskich, potrafił tu sobie Słowacki po bardzo niedługim przeciągu czasu zjednać sympatyę wszystkich. Stary Moszczyński, »dobry i wiele gadający człowiek«, dużo mający wspólnych cech z hrabią Respektem z *Nowej Dejaniry*, któremu służył za model, »wielki komplimencista«, szczerem uznaniem przejęty dla Słowackiego, polubił go serdecznie, a ponieważ znajdował przyjemność w rozmowach z nim i chętnie go u siebie ugaszczał, więc »do tyła mu robił grzeczności, że nareszcie przełamał jego zwyczaj samotnika i przyzwyczaił, że co wieczora na rozmowie z nim czas tracił«. Pani Moszczyńska, która z czasem posłużyć miała Słowackiemu za model do hrabiny Respektowej, »dla wszystkich dosyć zimna«, była w obejściu z poetą »dobrze i nawet z szacunkiem«. W czasach, kiedy Juliusz zaczął bywać u nich, wypadło

jej właśnie pojechać dla interesów na Ukrainę, gdzie (mówiła, wyjeżdżając) nie omieszka być w Krzemieńcu, ażeby poznać panią Becu i dużo jej dobrego o synu powiedzieć; przyczem stary Moszczyński dodał, że on wyjedna u niej przez żonę upoważnienie macierzyńskie, aby mu pozwoliła nad swym synem ojcowską rozciągnąć opiekę i »wziąć go pod rząd samowładny«. Słowacki, widząc, że mówili to z serca, z nieklamanej życzliwości dla niego, godził się na te pertraktacje pani Moszczyńskiej z matką, do której pisząc o tem, prosił (choć to było zbyt cenne), ażeby była z nią uprzejmą, i źle o nim nie mówiła — snąc nie miał zupełnie czystego sumienia — bo oni go tu »za bardzo dobre stworzenie« mają, i lubią, i kochają, i zachęcają do pozostania we Florencyi, gdzie (jak się wyraził przy stole, podczas obiadu, stary Moszczyński) niech tylko popracuje nad sobą i zakocha się, to już on go ożeni. Panna Aniela, słysząc to, płonęła, jak piwonia, a kuzynka jej, panna Helena, uśmiechała się znacząco, również spuszczać oczy. Ta panna Helena, osoba w wieku już, nabożna i słaba, grała w domu Moszczyńskich podobną rolę, jak panna Marcelina Łempicka w domu państwa Ankwiczków, rodziców Mickiewiczowskiej *Ewuni*. Kiedy Słowacki przychodził, także się uśmiechała mile, a kiedy pani Moszczyńska wyjechała na Ukrainę, ona, widząc, że poeta jest panną Anielą zajęty, że panna (choć udawała, że zajmuje stanowisko odporne) także mu sprzyja, że każde jego przyjście sprowadza rumieniec na jej lica, starała się im wzajemne do siebie zbliżenie się ułatwić, co się jej zresztą w zupełności udawało.

Tymczasem zaczął się na wszystko przez inny zapartywać pryzmat: ten sam dom, który z początku wydawał mu się »domem egoizmu i zimną napełnionym atmosferą złota«, stał mu się teraz ze wszystkich we Florencyi najmiłszym, a jego gospodarze — najsympatyczniejszymi. I dziwić się temu nie można, bo, jak na podstawie osobistego zapewne doświadczenia wyraził się później w *Beniowskim*, wewnątrz domów dopiero wtedy poetycznem jest, »jeśli miłość oświeci, wonną je napełni mirrą«. Panna Aniela, którą posadzał z początku, że nigdy nie zapomina o swoich milionach, zdawała mu się teraz »Nimfą mitologiczną«; od serca jej, jak powiada, »wiało mu tyle woni i tyle światła«, że czuł się wonią tą odurzony, a światłem tem, niby blaskiem słońca oślepiony.

Tymczasem nadeszły na św. Jana piękne fety, iluminacje, fajerwerki, wyścigi konne itd., po których »burza serca« jego, już i tak groźna, rozszalała jeszcze bardziej, do

tęgo stopnia, że postanowił zostać we Florencyi. Któż mu zaręczy, myślał sobie, że panna Moszczyńska nie jest »w przeznaczeniu życia jego« ostatnią, że przez resztę dni, jakie ma przeżyć jeszcze na ziemi, nie będzie skazany »na suchą nudę wdowiego życia?«. Pocóż więc, skoro tak mało spodziewać się może po przyszłości, zrywać tak prędko tę ostatnią różę? Czemuby miał jej odurzającym zapachem nie upajać się dłużej? Kto mu broni? W Paryżu nie jest pewien, czy znajdzie kogo, coby mu sprzyjał. Tu go przyjmują z otwartemi rękoma, kochają, szanują. Więc zostanie.

Cóżkolwiekby, o jednym nie wątpiono powszechnie: że Słowacki stara się o pannę. On tylko jeden nie zdawał sobie sprawy, że, sam nie wiedząc, kiedy i jak, »znalazł się w położeniu aspiranta«, i że ludzie go za takiego uważają. Ani mu przez myśl przeszło coś podobnego. Kochał pannę, chociaż chwilami wypierał się tego uczucia sam przed sobą, ponieważ nie był pewien wzajemności; z przyjemnością spędzał i tracił czas w jej towarzystwie, na to jednak, żeby sobie ze stosunku tego prorokować związek małżeński, był pomimo całej zarozumiałości swojej za skromny. Jakto on, człowiek bez majątku, bez pozycyi, posiadający jedynie na Parnasie włosci, miałby się »posuwać tam, gdzie dwóch ładnych chłopców i bogatych otrzymało arbuzy?« Że się pannie podobał *Anhelli*, którego mu przysłano w tych czasach z Paryża już w drukowanej szacie; że stary Moszczyński nie mógł się poematu tego dość chwalić przed księżną Surveilliers, przybyłą tu na parę dni z kąpeli morskich, gdzie bawiła właśnie; że pani Moszczyńska chciała się widzieć w Krzemieńcu z jego matką; że wreszcie, co najgłówniejsza, panna zdawała się go lubić; to jeszcze nie dowód, żeby chciała wyjść za niego, żeby rodzice jej, ludzie, tak wielkie przywiązujący znaczenie do majątku w ogóle, a do swoich milionów w szczególności, zgodzili się wydać córkę za ubogiego literata.

Te i tym podobne skrupuły przeważały ostatecznie na szali tak, iż poeta, któremu już te »wszystkie niepewności kokietowanego człowieka«, nie wiedzącego co o tem sądzić, zaczęły dokuczać w końcu, postanowił, nie mogąc rozplątać tego gordyjskiego węzła niepewności, rozciąć go, t. j. opuścić Florencję. Jakoż, uznawszy to raz za najwłaściwsze, zaczął się już pakować i składać pożegnalne wizyty, kiedy ni ztąd, ni zowąd wpada do niego Zajdler, z wiadomością, że przez trzecią osobę robiono mu propozycję, żeby wpłynął na niego, ażeby się zatrzymał i aspirował do panny Moszczyńskiej. Na takie *dictum acerbum*, poeta, lubo nie wierzył wcale (tak przynajmniej powiada

w liście do matki), żeby to być mogło prawdą, mimo to jednak postanowił zostać i przekonać się, jak rzeczy stoją. Nadzieja poślubienia Anieli nie mogła mu się nie uśmiechać; został więc, a został dlatego, żeby, jak powiada, nie miał kiedyś na sumieniu, iż się po szczęście w ludzkim rozumieniu wielkie, nie schylił wtenczas, kiedy leżało na drodze.

Tego samego dnia odwiedził go stary Moszczyński, a z rozmowy z nim, »choć zgrabnie bardzo prowadzonej«, wywnioskował Juliusz, że zatrzymanie się jego we Florencji mile będzie przyjęte. Tylko tyle? Odtąd zaczął w domu Moszczyńskich bywać codziennym niemal gościem, ale zamiast robić postępy i nabierać pewności, że konkury te pomyślnym w końcu będą uwieńczone skutkiem, począł fatalnego nabierać przeświadczenia, że gdyby się oświadczył, panna z pewnością go odrzuciła. Myśl ta nie dawała mu spokoju, a za jej sprawą nastąpił jakby zwrot w usposobieniu poety. Dotychczas, póki był »ludzony snem, w który uwierzyć nie mógł«, czuł dla panny Anieli — oprócz miłości — jeszcze i wdzięczność za to, że »to było w niej chwilową myślą, aby go wybrać z tłumu i uczynić szczęśliwym«, wdzięczność, która wynikając z miłości, nadawała pannie w jego oczach »postać litośnego Anioła«. Teraz, na miejsce tej wdzięczności zaczęła się u niego wyrażać »gorycz w sercu« i podejrzenie, czy się ci ludzie nie śmieją przypadkiem z jego aspiracji, czy mu nie urągają? Kto wie, czy przez pamięć o swoich milionach, panna go sobie nie lekceważy trochę? A może się nim bawi tylko? I tu zaczęła się w nim buntować jego duma, jego pycha! Nie przestając bywać u panny, zaczął być względem niej opieszały, zimny, co ją naturalnie dziwiło, drażniło niemile, choć z drugiej strony powinna była — zdaniem poety — zrozumieć pobudki, dla których on »tak nienaturalny« starał się o nią. Powinna to była zrozumieć! A ponieważ nie rozumiała lub udawała przynajmniej, że nie rozumie, więc zaczął ją posądzać zaraz o brak szlachetniejszych uczuć. Co gorsza, zdawało mu się chwilami, że serce jego jest zupełnie zimne, że musi nim być, skoro widzi wszystkie wady w pannie.

Ale było to tylko złudzenie: serce poety nie pozostało zimne; przeciwnie, zajęło się ono tym razem daleko gorętszym płomieniem, aniżeli mu się to kiedykolwiek zdarzyło; najlepszy dowód, że kiedy »niedyskretność osoby, użytej do pierwszych propozycji, była przyczyną, że się do sprawy tej inni ludzie wmieszali, co spowodowało ostateczne oziębienie całego stosunku«, że podobny obrót rzeczy nie-

słychanie boleśnie dotknął poetę, który, donosząc o tem matce — po roku — pisał: »na moje *nieszczęście*« wmieszali się do tego inni ludzie etc. etc.

Bądź co bądź, sytuacja, w jakiej się znalazł, nie była do pozazdroszczenia. Śmiertelnie urażony w swoich najdroższych uczuciach, nabrał przekonania, że wszystko to uważać należy »za sen i przywidzenie« z jego strony, że sobie zadrwiono z niego!

W tem uczuciu doznanej krzywdy i obrażonej dumy, napisał Słowacki owe dwa namętne, a goryczą zaprawne sonety *Do Anieli Moszczyńskiej*, sonety, które są tak wymowną ilustracją jego uczuć z tego czasu, że niepodobna ich — dla dokładności obrazu — nie przytoczyć na tem miejscu *in extenso*.

O tak, zaprawdę, że wybrałaś świetne
Oczy, ażeby je *łzami zaproszyć!*
O tak, zaprawdę, że, chcąc serce *skruszyć*,
Wybrałaś dzikie, smutne i szlachetne!

Lecz go *łzy* dotąd nie otruły *setne*,
Bo serce moje jest losu i Boga,
A wprzód, nim miałyby je zdeptać noga,
Prędzej je zimnem żelazem rozetnę.

I próżno powiesz, bo nikt nie uwierzy,
Abym twój nosił znak u lewej strony:
Bo moje serce jest w płaszczu rycerzy,

Którzy na bieli mają krzyż czerwony;
A nad niem jeszcze jest pancerz stalony,
A ono jeszcze głębiej, w trumnie leży!

* * *

Ogniem, *żałością* wre zamknięte łono;
A kiedy zacznę się na serce dąsać,
Chciałbym je wyrwać z mych piersi i skąsać
I precz odrzucić *tę rzecz tak zhańbioną*

Twoją miłością, że ognie, co płoną,
Dotąd nie mogły go uczynić czystem,
A ty myślałaś, że ja, z tem ognistym
Sercem, nazwę Cię kochanką i... żoną?

O, pierwej piekło, niżby czoło dumne
Na twojem zimnem sercu kiedy spało!
A, niż całować twe usta rozumne,

I twoje białe marmurowe ciało
Owionąć ogniem, i żyć z taką skałą,
Jaką ty jesteś, zimna! Lepiej w trumnę!!!

Do tej czary goryczy, którą mu wychylić sądzone było aż do dna, dolał poecie los nieubłagany jeszcze jedną kroplę — trucizny. Trucizną tą, a raczej ciosem bolesnym, który nań spadł, jak grom z czystego nieba, była smutna wiadomość o kłopotach pani Becu... Należało przerwać wszelką korespondencję z synem, zabronić mu, ażeby, broń Boże, nie pisywał do niej, dopóki nie otrzyma upoważnienia do tego. Dopóki to nie nastąpi, niech milczy, jakby nie miał matki.

Łatwo wyobrazić sobie, jakie na Słowackim musiała podobna wiadomość uczynić wrażenie. Jak dla niego bowiem, był to poprostu najokropniejszy ze wszystkich ciosów, jaki go mógł spotkać. Jeżeli pani Becu straci emeryturę, jaką pobierała, jako wdowa po dwóch profesorach, wtedy z czego będą żyć? Z czego on będzie żył? Czy potrafi zapracować na życie, on, który dotąd wszystko zawdzięczał matce, który żył z tego, co miał od niej.

Te i tym podobne pytania, które mu spać nie dawały, od których o mało co nie oszalał, ostatecznie zaważyły na szali, że się zdecydował wyjechać do Paryża. Tam będzie mógł myśleć o zarobku! Tutaj narażał się tylko, bywając u Moszczyńskich, że ludzie powiedzą, że będąc w biedzie, usiłował sobie polepszyć sytuację — bogatym ożenkiem. To nie leżało w jego zamiarach (może dlatego, że nie miał nadziei dostania panny), więc nie namyślając się długo, w kilka dni po otrzymaniu tej smutnej wiadomości, opuścił Florencję. Z panną pożegnał się zimno, jakby mu była obojętną zupełnie, jakkolwiek nie była mu obojętną. Ale duma nie pozwalała postąpić inaczej.

III.

Zwiastunem tej bolesnej wiadomości o pani Becu i Teofilu, wiadomości, po której otrzymaniu — w październiku 1838 roku — Słowacki długo nie mógł się uspokoić, był Zygmunt Krasiński, w przejeździe bawiący we Florencji, a jadący z Warszawy, w towarzystwie ojca swego, do Neapolu (gdzie miał się poznać z panią Delfiną Potocką). Z nim też, z Krasińskim, spędził Słowacki ostatnie dni pobytu swego nad Arnem.

Smutne to było spotkanie. Krasiński był pod świeżem wrażeniem gwałtownego (za sprawą ojca) zerwania z panią Bobrową, zerwania, które nie było zgodnem z jego poję-

ciami o honorze i uczciwości mężczyzny względem kobiety, sprowadzonej przezeń na bezdroża miłości nielegalnej; jechał więc, dręczony wyrzutami sumienia, bez owej »świeżości młodzieńczej«, jaka mu dawniej była właściwa; pełen »nieskończoności, goryczy, smutku, wstrętu« do życia; »z przekleństwem, wiszącym mu nad głową«, za to, że tę kobietę dowiódł do nieszczęścia, że postępowaniem swoim »zabijał ojca, sam zabijany« przez niego; w najwyższym rozstroju psychicznym; będąc bardziej uosobioną troską i tęsknotą, aniżeli tym Zygmuntem, jakim był jeszcze podczas owych »romantycznych wędrówek« ze Słowackim po okolicach Rzymu w r. 1836; zmieniony do niepoznania, blady, wycieńczony na ciele i duszy, chory na oczy; słowem, postarzały nie o dwa, ale o kilkanaście lat; złamany i wątpiący o wszystkim. Jeszcze gorszem było położenie Słowackiego, zwłaszcza, odkąd Krasiński przywiózł owe fatalne wieści o jego matce. Oprócz tego miał i inne powody, dla których był smutny i skwaszony. Przedewszystkiem był najgorzej usposobiony »po tej całej awanturze« z Anielą Moszczyńską, którą kochał, choćby się tego najbardziej wypierał, a która swoim marmurowym chłodem skały mogła go ostatecznie doprowadzić do rozpacz i zwątpienia o sobie. Jednem słowem, usposobienie, w jakim go zastał, a które pogorszył Krasiński, było jaknajgorsze, a jaknajmniej odpowiednie do tego, ażeby, jak to bywało w Rzymie, przed dwoma laty, trochę ożywić i rozweselić swego przyjaciela i towarzysza spacerów do Willi Mills. Inne były czasy wtedy! Obecnie, choćby chcieli, nie mogli się spotkać w gorszych warunkach. Wówczas myśleli o jednym tylko, o zabawach, spacerach i rozrywkach, bo mieli wolne głowy. Przynajmniej Słowacki mógł to powiedzieć o sobie. Dzisiaj zmieniły się okoliczności. Obaj byli, jak poważeni. Nie dziw więc, że nastrój rozmów, jakie teraz prowadzili ze sobą, był poważny, nacechowany smutkiem. Ponieważ Krasiński był z ojcem, którego obecność nie mogła go nie krępować, więc zamiast, jak dawniej, przyjmować Juliusza u siebie, wolał przebywać u niego, w jego mieszkaniu, w owym belwederze, gdzie mogli być sami i rozmawiać swobodnie. Poza tem spotykali się u Potockich, u Zamoy-skich, lub chodzili, wzięwszy się pod ręce, z cygarami w ustach, po ludnych ulicach Florencyi, mając sobie zawsze niezmiernie dużo do powiedzenia, szczególnie w sprawach, dotyczących literatury i sztuki. Bo o sprawach osobistych wolał każdy z nich milczeć.

Obfitego tematu do rozmów dostarczył im między innymi świeżo wyszły Słowackiego *Anielli*, którym autor

Irydyona był poprostu zachwycony. »Nie znam nic smętniejszego, nic poetyczniej pomyślanego i wykonanego, pisał Krasiński o tym poemacie do Gaszyńskiego. Trudno było w elegię smętną, a jednak pełną barw Moorowskich, przetworzyć Pólnoc; poeta tego dokazał. Po przeczytaniu tego utworu zapadłem jakby w sen magnetyczny, i wyśniły mi się wszystkie gwiazdy, wszystkie tęczę, o których tam mowa; gwiazdy i tęczę, nie takie, jak u nas, ale podobne do światła, nicość oświecających, gdyby można pojąć świat nicości«. Dzieło samo z »wielką sztuką wypracowane«, wydało się Krasińskiemu najpiękniejszym ze wszystkiego, co wyszło z pod pióra Juliusza, tak dalece, że był zdania, iż na pomniku jego kiedyś winni rodacy ten tylko położyć napis: *Autorowi Anhellego*. Styl poematu, »przejrzysty, spokojny, kryształowy« wprawiał go w zachwyt swoją biblijną prostotą. Myśl zaś, zawarta w tym arcytworze Juliusza, wydawała mu się nietylko piękną, ale i prawdziwą. Pojedyncze sceny rozmarzały go swoją melancholią. Tak śmierć Ellenai np. uważał, że jest »po mistrzowsku, z boską prostotą opisana«.

Że Słowackiemu taki szczery, niekłamany zachwyt, jaki wzbudzić potrafił w przyjacielu, pochlebiał bardzo i że go bardziej jeszcze przywiązał do Zygmunta, to jest naturalne i do zrozumienia łatwe. W każdym razie, tych kilka dni, spędzonych z Zygmuntem, było jakby oazą, w której cieniu znajdował ukojenie dla swojej duszy zbolalej i spokoj. To też, kiedy odjeżdżał Zygmunt, kiedy ostatni raz, stojąc w jednym z czterech okien belwederu, spoglądali na drogę Bolońską, którą niebawem miał się twórca *Nieboskiej komedyi* w dalszą puścić podróż, Słowacki nie zaważał się go na pożegnanie nazwać swoim »archaniołem wiary«, który, jak anioł z nieba zesłany, przyszedł z sercem jego »robić czary«; za dowód zaś, że to, co mówił, było szczere, z serca płynące, posłużyć może ów wiersz *Do Zygmunta*, napisany przez Słowackiego już na wyjeździe z Florencyi, a który brzmi jak następuje:

Żegnaj mi, żegnaj, Archaniele wiary,
Coś przyszedł robić z mojem sercem czary,
Coś w łzy zamienił jego krew czerwoną,
Wyrwał je z piersi, wziął we własne łono,
Ogrzał, oświecił, by nie poszło w tłumę,
Ani spokojne mniej, ani mniej dumne.

Więc gdzieś, daleko, u boskiego celu,
Chwała dla ciebie, o serc wskrzesicielu!

— 313 —

A dla mnie pokój, dla ducha i kości,
Bo tym obojgu trzeba spokojności.
Lecz, jeśli ducha nadchodzą morderce,
Lecz, jeśli walka jest: daleś mi serce.

Wierszem tym, napisanym dnia 4 grudnia 1838 roku,
zamknął poeta swój pobyt we Florencyi.

Koniec tomu drugiego.

SPIS RZECZY.

KSIEGA CZWARTA.

W Szwajcaryi. 1833 — 1836.

	Str.
Rozdział I. <i>Eglantyna Patteg.</i> — Jezioro Lemman. I. Pensjonat pani Patteg. Charakterystyka Eglantyny. Jej uczucie dla Słowackiego. Eliza Morin. Krytyka poezyi Słowackiego w <i>Revue Européenne</i> . Towarzystwo w Paquis. Polacy w Genewie. Tryb życia. Trzy oazy na pustyni jednostajności. Ostateczna praca nad <i>Lambrem</i> . <i>Godzina myśli</i> . Pisanie <i>Kordyana</i> . II. Psychologia Słowackiego w roku 1833. Spleen. Wspomnienia dzieciństwa. Tęsknota za krajem. Uczucie niepokoju. Potrzeba kochania	3
Rozdział II. <i>Marya Wodzińska.</i> — Willa przy ulicy Beauregard. I. Marya Wodzińska i jej rodzina. Atmosfera w domu Wodzińskich. Księżę Ludwik Napoleon. Pierwsze wrażenie Słowackiego. Fatalny list. <i>Kordyan</i> . Wielkanoc 1834 roku. Wyjazd Eglantyny. <i>Pont du Mont Blanc</i> . Prologomena przyszłej miłości. Pogoda umysłu. Rozczytywanie się w dziełach Jana Kochanowskiego i Platona. »Trzeba się kochać» (1834). II. Wycieczka w Alpy. Towarzystwo. Wyjazd z Genewy. Villeneuve. Bex. Zwiedzanie salin. Droga przez Simplon. Klasztor św. Bernarda. Louèche-Bains. Na szczycie Gemmi. Lodowce. Interlacken. Giessbach. Lauterbrunn i Grindenwald. Faulhorn. Wodospad Aary. Lucerna. Kaplica Tella. Na Rigi-Kulm. Powrót do Genewy (31 lipca — 20 sierpnia). III. Zbliżenie się do rodziny Wodzińskich. Geneza <i>Mazepy</i> . Wychodzi <i>Pan Tadeusz</i> . Pomysł sześciu kronik dramatycznych. <i>Balladyna</i> . Stosunek do Maryi. Myśl o ożenieniu. Zabawy u Wodzińskich, »Prawie familijne» wieczorki. Poświęcenie pomnika J. J. Rousseau. Wiersz w sztambuchu Maryi (1834 — 1835). IV. Życie się z Wodzińskimi. Pamiętny bal. Romans się zaczyna kleić. Pierwszy pocałunek. Rozmowy o rzeczach anielskich. Obiad wiejski. Powrót w czasie burzy. »Różowe sprzeczki». Stokrotki. Rojenia o »młodej, ładnej i bogatej żonie». Zazdrość i choroba Eglantyny. Pożegnanie z Maryą. Wyjazd do Veytoux. Wyrzuty sumienia (1835)	29

Rozdział III. <i>Osamotnienie i tęsknota</i> .— Położenie Veytoux. I. Mie-	Str.
szkanie poety. Jego uczucia. Usycha z żalu, omdlewa z tęsknoty.	
<i>Rozłączenie. Stokrótki. Przekleństwo. Wspomnienie Laury.</i> Mi-	
nister protestancki. Geneza <i>Lilli Wenedy</i> . Filozofia sztuki. Zamek	
Chillon. Poemat Byrona. Przyjazd Eglantyny do Veytoux. Wiado-	
mości o Maryi. Powrót do Genewy. II. Jesień roku 1835. Kajo-	
cki. Stosunek do Eglantyny. Modlitwy o paszport do Włoch.	
Przedostatnia scena z Eglantyną. Pożegnanie. Wyjazd do Rzymu	
(luty 1836 roku)	99

KSIEGA PIĄTA.

Wanderjahre 1836 — 1838.

Rozdział I. <i>W Rzymie</i> .— Początek niedokończonej powieści humorysty-	
cznej. Podróż ze Szwajcaryi do Rzymu. <i>Marya Krystyna</i> . Noc na	
morzu. Przybycie do Civita Vecchia. Wylądowanie na ląd rzymski.	
Wschód słońca. Refleksje filozoficzne (22 lutego 1836). I. Hotel	
<i>Babuino</i> . Teofilowie Januszewscy. Franciszek Skibicki, »Polak,	
Szambelan Jego Cesarskiej Mości i Katolik«. Jego karykatura	
w <i>Nowej Dejanirze</i> . Psychologia Słowackiego w Rzymie. Do-	
znane wrażenia i <i>Beniowski</i> . Słowacki i Rafael <i>Causeries romai-</i>	
<i>nes</i> na temat sztuki. Portret Słowackiego, malowany przez Teo-	
fila Januszewskiego. Pejzażomanja. Znajomości z malarzami. Su-	
chodolski i jego żona. Brzozowski. Stosunki towarzyskie. Ówczesna	
kolonia polska w Rzymie. Stosunek z »Filami«. Początki rozczaro-	
wania Rzymem. II. Znajomość z Zygmuntem Krasińskim. Psy-	
chologia Słowackiego i Krasińskiego. Różnica temperamentów	
i ideałów artystycznych. Co Krasiński myślał o Słowackim w roku	
1836. Słowackiego uczucie dla Krasińskiego. <i>Irydion</i> i <i>Balla-</i>	
<i>dyna</i> . Wspólne przechadzki po Rzymie. Nad grobem Shelley'a	
i Keats'a. Rozmowy w willi Mills. Muzyka Konst. Danielewi-	
cza. Pani baronowa Richthoffen. III. Psychologiczna geneza tra-	
gedyi <i>Beatrice Cenci</i> . Dyssonanse w stosunku do Teofila i Her-	
syłki. Przyjazd Gajów z Wilna. Wyjazd do Neapolu (5 czerwca	
1836 r.)	119
Rozdział II. <i>W Neapolu i Sorrento</i> .— Hotel Vittoria. Widok z bal-	
konu. Życie na ulicy Św. Łucyi. »Ciche przy białym księżycu roz-	
mowy«. Tryb życia. Teatr neapolitański. Myśli o przyszłości. I. Te-	
rażniejszość. Studya nad Dantem, Pompei i Herkulanum. <i>Grota</i>	
<i>di lasura</i> . Grób Wergiliusza. Wspomnienia Maryi Wodzińskiej.	
Wycieczka na Wezuwiusz. Myśli o ożenieniu. Wspomnienia Ge-	
newy (5 — 22 czerwca). II. Wyjazd do Sorrento. Rozłączenie	
z Teofilami. Pragnienie samotności. Życie wiejskie. Młoda gospo-	
dyni i jej serenady. Sielanka w stylu <i>Elegii Rzymskich</i> Goe-	
thego. Spacery nad brzegiem morza z panią Suchodolską. Stu-	
dya nad Szekspirem. »Pisałem trochę«. Pierwszy objaw zwrotu	
ku religii. III. Powrót do Neapolu (w końcu lipca). Psycholo-	
giczny zwrot w uczuciach dla Teofilów. Myśl o rozstaniu z nimi.	
Samotne medytacje na balkonie. »Ścigająca myśl« o Maryi Wo-	
dzińskiej. Zenon Brzozowski i Aleksander Hołyński wybierają się	
w podróż na Wschód. Namawiają do niej Słowackiego. Trzy ty-	
godnie wahania. Wpływ Biblii na powzięcie stanowczej decyzji.	

	Str.
Pożegnanie Neapolu. Pierwsza pieśń <i>Podróży na Wschód</i> . Uczucia przed wyjazdem. Ostatni obiad z Teofilami. List do matki. Początek dziennika. Wyjazd z Neapolu (24 sierpnia 1836 r.). . .	151
Rozdział III. <i>W Grecyi</i> .— Usposobienie Słowackiego, w jakim się puszczał w podróż. Przyczyny melancholii Zenona Brzozowskiego (24 sierpnia 1836 r.). I. Cztery dni w Otranto. Przybycie do Korfu. Wspomnienia Odysseusza i Nauzykai. Druga pieśń »rymowego baletu«. Podróż statkiem parowym. Życie na pokładzie. Kapitan okrętu. »Hraf Salomon z Zante«, poeta grecki. Interesująca pasażerka. Noc na morzu. Skała Leukady. Wspomnienia Safony i Ludwiki Śniadeckiej. Itaka. Przyjazd do Zante. Pierwsze wrażenia Grecyi. Przyjazd do Patras. Odwiedziny u Kanarisa. Podróż brzegiem Lepantu. Nocleg w Vostizy (12 września). II. Klasztor Megaspoleon. Harmonie i dyssonanse. Droga do Tripolis. Arkadia. Chęć zwiedzenia Sparty. »Neapol w miniaturze«. Argos. Ruiny Mycen. Grób Agamemnona (18 września). III. Ruiny Nemei. Pobyt w Koryncie. Wyjazd w nocy do Kalamaki. Noc na łódce. Rozmowy z majtkiem. Legenda o harfiarzu z wyspy Scio. Wschód słońca nad Salaminą. Przyjazd do Aten. Tydzień w grodzie Minerwy. Medytacje na stopniach świątyni Jowisza (20 — 27 września)	168
Rozdział IV. <i>W Egipcie</i> .— I. Wyjazd z Aten. Wyspa Syra. Hermapolis. Przepisywanie »rymowego baletu«. Wyjazd do Aleksandryi. Tydzień na morzu. »Smutno mi, Boże!« Aleksandrya. Pierwsze wrażenie Wschodu. Hotel <i>Pod złotym orłem</i> . Pierwszy wieczór w Aleksandryi. Wiersz <i>Do Teofila Januszczyńskiego</i> . Opisy Wschodu w <i>Beniowskim</i> . Kolumna Pompejusza. Igła Kleopatry. (27 września — 28 października). II. Wyjazd do Kairu. Wrażenie Kairu. List z Genewy. Wiadomość otrzymana »na piramidzie«, że panna Wodzińska idzie za mąż. <i>Odwiedziny Piramid</i> . Wiersz <i>Piramidy. Pieśń na Nilu. Rozmowa z Piramidami</i> . Nocleg w grobie Ramzesa. Powrót do Kairu. Towarzystwo Ziomków. Wyjazd do Teb. (28 października — 6 listopada). III. Podróż Nilem. Wiersz <i>Na Nilu</i> . Wspomnienia Maryi Wodzińskiej. Jej imię »na piasku wilgotnym«. Denderah. Spotkanie z Hołyńskimi. Ruiny. Almee. Katarakta Nilu. Teby. Posąg Memnona. Powrót do Kairu. Powtórne spotkanie z Hołyńskimi. Używanie życia. Aleksander Hołyński i Arabka. Rozstanie z Hołyńskimi (6 listopada — 15 grudnia). IV. Droga przez pustynię. Nocleg w grobowcu Szecha. Przybycie do El Arish. Doktor Steble. Geneza <i>Ojca zadziumionych</i> . Opowiadanie dragomana. Burza. Boże Narodzenie. Nowy Rok. Panna Malagamba. Wyjazd z El Arish (15 grudnia — 2 stycznia)	193
Rozdział V. <i>W Ziemi Świętej</i> .— I. Wyjazd z El-Arish. Nastrój religijny. Przyjazd do Ghazzeb. Wspomnienia Tassa. Jaffa. Droga i przyjazd do Jerozolimy. Spotkanie z Aleksandrem Spitznaglem (2 — 13 stycznia 1837). II. Przechadzki po Jerozolimie. Wrażenie. Ich odbicie w <i>Beniowskim</i> . Noc u grobu Chrystusa. O Maksymilian Ryłło. Pobyt w Betleem. Jerycho. Nad morzem Martwym. Jordan. Dolina Józafata. II. Wyjazd do Nazaretu. Refleksje na temat swojej misji. Wrażenie z Nazaretu. Pobyt w Kanie Galilejskiej. Nad jeziorem Geneczaretańskim. Tyberiada. Wspomnienia Chrystusa. Prologomena do poematu <i>W Szwajcaryi</i> i do <i>Anhellego</i>	230

Str.248

275.







